

Odmieniec

Victoria Holt



calibre 0.9.43

PHILIPPA CARR

(Victoria Holt)

Odmieniec

Ostatnie lato

Miałam dziesięć lat, kiedy nieprzerwane pasmo szczęścia, jakim było moje dotychczasowe dzieciństwo, raptownie się urwało. Przyczyną tego było małżeństwo mojej matki z Benedyktem Lansdonem. Gdybym była nieco starsza i miała więcej życiowego doświadczenia, wiedziałabym, że tak to się właśnie skończy. Ale ja żyłam sobie, nieświadoma oczekującej mnie zmiany, spokojna i szczęśliwa w bezpiecznym kokonie miłości mojej matki, która była centrum mego istnienia.

Wierzyłam również, że jestem najważniejszą osobą w jej życiu i nie podejrzewałam ani przez chwilę, że jakiś intruz zakłóci moje szczęście.

Ten intruz nie był tak całkiem mi nie znany. Towarzyszył nam, odkąd sięgnę pamięcią, zawsze jednak gdzieś w tle, na drugim planie, gdzie, jak miałam nadzieję, pozostanie już na stałe.

Był obecny, kiedy przyszłam na świat pośród złotonośnych pól Australii. I to w jego domu po raz pierwszy ujrzałam światło dzienne.

- Pan Lansdon - opowiadała moja matka - różnił się od innych górników. Posiadał przynoszącą niemałe dochody kopalnię i zatrudniał w niej wiele osób, którym poszukiwanie złota na własną rękę się nie powiodło. Wszyscy mieszkaliśmy w barakach. Nie możesz sobie wyobrazić, jak one wyglądały; mniej więcej jak ta chata w lesie, w której podczas ubiegłej zimy przebywał ten stary włóczęga. Trudno o gorsze miejsce na urodzenie dziecka. Postanowiono zatem, że na okres porodu przeprowadzę się do domu pana Lansdona. Pedrek także tam przyszedł na świat.

Pedrek Cartwright był moim serdecznym przyjacielem. Mieszkał wraz z rodzicami w Londynie. Jego dziadek był właścicielem kopalni Pencarron, która znajdowała się w Kornwalii w pobliżu Cador, siedziby moich dziadków; spędzaliśmy więc razem wiele czasu. Jeśli jego rodzice musieli zostać w Londynie, a my akurat wybieraliśmy się do rodziców mej matki, z reguły zabieraliśmy go ze sobą. Moja mama była wielce zaprzyjaźniona z jego rodzicami. W Londynie

utrzymywaliśmy ze sobą ściśle stosunki towarzyskie. Byliśmy ze sobą zżyci prawie jak rodzina.

Jako bardzo małe dzieci, ja i Pedrek bawiliśmy się na terenie kopalni złota. Obydwoje przyszliliśmy na świat w tym samym miasteczku górniczym, na drugim końcu świata, i obydwójce w domu tegoż samego Benedykta Lansdona. To nas do siebie zbliżyło.

Powinłam była odgadnąć, co się święci, ponieważ ilekroć mama wymieniała imię Benedykta Lansdona, jej głos nabierał dziwnej miękkości, oczy błyszczały, a na ustach pojawiał się uśmiech. Ale w owym czasie nie przywiązywałam do tych sygnałów żadnej uwagi.

I to wcale nie dlatego, że miałyby to jakiś wpływ na rozwój przyszłych wypadków. Moja niechęć do jakichkolwiek zmian w dotychczasowym życiu wcale nie byłaby mniejsza, ale przynajmniej uodporniłabym się na ten cios; nie byłby dla mnie wówczas takim szokiem.

Dopiero po ich ślubie uświadomiłam sobie, jakie miałam do tej pory beztroskie życie. Ale ile rzeczy traktowałam wtedy jako naturalne i całkowicie mi należne!

Moje radosne dzieciństwo upływało w Londynie, w domu położonym w pobliżu parku, dokąd każdego ranka udawałam się na spacer ze swoją guwernantką, panną Brown.

Spacerowałyśmy ścieżkami pod wyniosłą kopułą koron wysokich starych drzew: kasztanów, dębów i buków. Panna Brown przyłączała się do grona innych guwernantek, z którymi uciniała sobie pogawędkę, a ja tymczasem bawiłam się z innymi dziećmi. Karmiliśmy kaczki na stawie i biegaliśmy po rozległej zielonej łące.

Uwielbiałam sklepy. Niedaleko naszego domu znajdował się rynek i czasami zimową porą panna Brown zabierała mnie tam po południu. Cóż to była za przyjemność przeciskać się wśród tłumu między kramikami i przyglądać się straganiarzom, zwłaszcza kiedy po zapadnięciu zmroku zapalano jedną po drugiej naftowe latarnie. Któregoś razu przy jednym z takich straganów jadłyśmy węgorza w galarecie mimo oporów panny Brown, która uważała posilanie się na ulicy za wysoce niestosowne dla panienki z dobrego domu. Ale jakoś w końcu udało mi się ją ubłagać.

Fascynował mnie widok wspaniale ubranych dam i dystyngowanych dżentelmenów w cylindrach i surdutach. Uwielbiałam zimowe wieczory, kiedy siedziałyśmy z mamą przy kominku i czekałyśmy na dzwonek wędrownego sprzedawcy bułeczek. Nasza służąca, Ann, wybiegała wówczas z półmiskiem do drzwi, a potem wracała ze stertą pysznego pieczywa, które obie z mamą przypiekałyśmy nad płomieniem ogniska.

To były piękne dni, które, jak byłam przekonana, będą trwały wiecznie; nie podejrzewałam bowiem, że Benedykt Lansdon czai się gdzieś niedaleko i wyczekuje tylko stosownej okazji, by wreszcie wystąpić z cienia i wszystko zmienić w moim życiu.

Kiedy pąki na drzewach w parku zaczynały się rozwijać i nawet karłowata grusza na naszym skwerku zapowiadała z pychą, że w odpowiedniej porze spłodzi kilka niejadalnych owoców, mama oznajmiała: “Już czas najwyższy jechać do Kornwalii. Porozmawiam z ciotką Morwenną. Ciekawa jestem, jakie są ich tegoroczne plany”.

Ciotka Morwenna była matką Pedreka; jego rodzice mieszkali niedaleko naszego domu.

Kiedy przybywałyśmy do nich z wizytą, Pedrek zabierał mnie do swego pokoju, aby pochwalić się nowym szczeniakiem lub zademonstrować najnowszą zabawkę, jaką otrzymał w prezencie.

Rozmawialiśmy o Kornwalii i o tym, co będziemy robić podczas pobytu u naszych dziadków: moich i jego.

Potem była emocjonująca jazda pociągiem. Obydwoje z Pedrekiem staraliśmy się zająć miejsce przy oknie. Z gorączkowym podnieceniem wskazywaliśmy sobie po drodze różne interesujące, naszym zdaniem, szczegóły krajobrazu, podczas gdy pociąg mknął po szynach, mijając pola, lasy i strumienie. Tylko od czasu do czasu zatrzymywał się na stacjach i stacyjkach.

Wreszcie przybywaliśmy do miejsca przeznaczenia. Nasi dziadkowie już czekali. Witali nas tak serdecznie i wylewnie, jakby nasz przyjazd był dla nich największym szczęściem w życiu.

Następnie rozjeżdżaliśmy się każde w swoją stronę; Pedrek jechał ze swymi dziadkami do

Pencarron, ja do Cador.

Cador, najwspanialsza i najbardziej fascynująca rezydencja, od setek lat stanowił siedzibę rodu Cadorsonów. Ale wszyscy Cadorsonowie już wymarli. Ich nazwisko wygasło na zawsze wraz ze śmiercią mego pradziadka Jake'a Cadorsona i jego syna Jaco, którzy utonęli w Australii. Dom przeszedł na moją babkę, która wyszła za mąż za Rolfa Hansona. Zawsze uważałam, że to wielka szkoda, iż nie ma już Cadorsonów, ponieważ tylko ich nazwisko naprawdę pasowało do tej pięknej posiadłości.

Na szczęście zamek nie przeszedł w obce ręce i nadal pozostał w rodzinie, bo chociaż mój dziadek wszedł do niej poprzez małżeństwo z moją babką, był do Cador, moim zdaniem, znacznie bardziej przywiązany niż wszyscy pozostali członkowie klanu.

Doskonale rozumiałam jego miłość do tego domu. Zbudowany z szarego kamienia, górował nad okolicą wieżami i armatnimi wieżyczkami niczym średniowieczna forteca. Kiedy samotnie błądziłam po jego wielkich wysokich komnatach, wydawało mi się, że się cofnęłam w czasie i żyję w dawnych wiekach. To było przejmujące doznanie, zwłaszcza kiedy byłam jeszcze zupełnie mała. Przeszywał mnie wtedy niepokojący dreszcz. Ale krzepiąca obecność matki i dziadków rozpraszała niemiłe wrażenie. Dziadek snuł porywające opowieści o wojnie domowej i o walkach żołnierzy Cromwella ze stronnikami króla Karola I. Opowiadał także o straszliwych sztormach, niezwykle groźnych dla statków znajdujących się na morzu, oraz o różnych awanturkach i odkrywcach nieznanymi krain i lądów.

Kochałam Cador. Dni zdawały mi się tam dłuższe, a niebo zawsze słoneczne i bezchmurne.

Nawet kiedy padał deszcz, czas mijał równie ciekawie. Kochałam też morze. Czasami zezwalano nam na małą przejażdżkę łodzią, ale babcia niechętnie odnosiła się do tego typu pomysłów. Wciąż miała w pamięci tragiczną śmierć swych rodziców i brata, którzy utonęli w falach oceanu.

Często wraz z mamą i babcią chodziłyśmy na spacer do Poldorey, pobliskiego miasteczka

podzielonego na dwie części: wschodnią i zachodnią. Mijałyśmy wioski rozciągające się wzdłuż nadbrzeża i przyglądałyśmy się rybakom naprawiającym sieci i komentującym ostatni połów. Czasami pan Yeo, kamerdyner, zabierał mnie ze sobą, kiedy szedł do nich po ryby. Jeszcze żywe rzucały się na wadze pokrytej warstwą srebrnych łusek. Nie mogłam oderwać oczu od tego widoku. Przy okazji przysłuchiwałam się rozmowom rybaków. Czasem chwalili się: “Dziś był dobry połów, Arry. Morze było spokojne. Pan Bóg kazał uciszyć się falom”. Innym razem zapowiadali bardziej pesymistycznie: “Dziś nie ma ryby. Sam Jezus Chrystus nie odważyłby się wypuścić na morze w taką pogodę”. Znałam ich wszystkich z imienia - Toma, Teda, Harry'ego. Niektórzy z nich nosili imponująco brzmiące imiona, w większości zaczerpnięte z Biblii: Reuben, Salomon, Jafet, Obed... Większość z nich była żarliwymi zwolennikami braci Wesleyów, Johna i Charlesa, założycieli Kościoła metodystów, którzy wędrowali po Kornwalii, wygłaszając kazania i naprowadzając ludzi na ścieżkę zbawienia.

Cador znajdowało się ćwierć mili od miasteczka Poldorey, którego dwie części, przedzielone rzeką Poldor, łączył zabytkowy most. Lubiłam wspinać się po jego stromych uliczkach na szczyt skały, skąd rozciągał się piękny widok na morze. Znajdowała się tam drewniana ławeczka, na której ludzie zwykli odpoczywać po trudach wspinaczki. Ja też siadywałam na niej, kiedy przychodziłam tam z dziadkiem. Ulegając moim namowom, opowiadał mi wtedy o przemytnikach i rozbójnikach, żyjących z grabieży rozbitych statków. Zwabiali je w tym celu do brzegu, by rozbiły się o nadbrzeżne skały, i potem łupili. Brodziłam po piaskach nadbrzeża w nadziei, że uda mi się znaleźć jeden z tych półszlachetnych kamieni, w które podobno tutejsze plaże miały obfitować. Nie znalazłam jednak ani jednego. Jedyne, jakie napotkałam, leżały na wystawie sklepu pana Bandera z objaśnieniem: “Znalezione na plaży w Poldorey”.

Byłam dumna, że należę do klanu Cador, ponieważ w Poldorey odnoszono się do mojej rodziny z wielkim szacunkiem.

Wszystko to było moje. Mój także był dom w Londynie: wysoki, wąski budynek, w którym mieszkałam z mamą i służącymi. Służby nie było wiele: służąca Ann i pokojówka Jane oraz pan i pani Emery - ona pełniła rolę kucharki i gospodyni, on zaś był tak zwaną złotą rączką i człowiekiem do wszystkiego; do jego obowiązków należało również opiekowanie się naszym małym ogródkiem. Dochodziła jeszcze oczywiście moja guwernantka, panna Brown, ale ona nie posiadałaby się z oburzenia, gdyby zaliczono ją do tej kategorii.

Stosunki między nami a służbą były bardzo serdeczne. W naszym małym gospodarstwie panowała ciepła i sympatyczna atmosfera. Mama nie była zbyt surową panią domu i nie przywiązywała szczególnej wagi do konwenansów. Sądzę, że cała służba była jej szczerze oddana. Wszyscy uważali się niemal za członków rodziny. W naszym domu nie wyczuwało się owej nieprzeniknionej bariery między górnymi i dolnymi piętrami, jaka istniała gdzie indziej, w większych rezydencjach, takich jak pana Benedykta Lansdona oraz mego wuja Petera i ciotki Amaryllis.

Ci ostatni, ludzie w dość już podeszłym wieku, nie byli moim prawdziwym wujostwem ani nawet wujostwem mojej matki, jednakże nasze powiązania z ich rodziną sięgały kilku pokoleń wstecz. Benedykt Lansdon był wnukiem wuja Petera i te więzi obejmowały także i jego osobę. Wuj Peter, chociaż bardzo stary, był znaną i ważną postacią; posiadał duży majątek i prowadził rozliczne interesy - niektóre z nich otoczone ściśle strzeżoną tajemnicą. Budził ogólny respekt, a wielu ludzi przed nim drżało. Jego żona, ciotka Amaryllis, była jedną z tych przysłowiowych słabych kobiecieątek, które rozczulają swoją bezradnością, ale które kierują domem wprawdzie łagodną, lecz żelazną ręką. Wszyscy ją kochali - nie wyłączając mnie.

Dom wujostwa słynął z eleganckich i wystawnych przyjęć. Wujostwo prowadzili ożywione życie towarzyskie, ale często rolę gospodarzy w ich domu odgrywali córka wuja Petera, Helena, i jej mąż, znany polityk, Martin Hume. Naprawdę bardzo przyjemnie było należeć do takiej rodziny.

Przypominam sobie niektóre wydarzenia z okresu, który potem przywykłam nazywać w myślach jako ostatnie lato; to właśnie po Bożym Narodzeniu tego samego roku po raz pierwszy w moim umyśle zrodziło się podejrzenie, że nastąpi jakaś zmiana.

Przyjechałyśmy z mamą do Kornwalii. Pedrek również towarzyszył nam w tej podróży. Dni mijały szybko, dzielone między Cador a Pencarron Manor. Oboje musieliśmy spędzać kilka godzin dziennie nad lekcjami i nasze kontakty zależały od wspólnej zgody panny Brown i pana Clenhama, który był nauczycielem Pedreka. W następnym roku Pedrek miał pójść do normalnej szkoły i już sam ten fakt był zapowiedzią zmiany w naszym dotychczasowym trybie życia. Chętnie jeździliśmy konno, ale samym nie wolno nam było zbytnio oddalać się od domu; zawsze wówczas musiał nam towarzyszyć ktoś z dorosłych, obecność trzeciej osoby jednak dość nas krępowała. Większość czasu spędzaliśmy więc na padoku, gdzie trenowaliśmy skoki i popisywaliśmy się jeździeckimi umiejętnościami.

Tego dnia wybrała się z nami moja mama; w takich razach prawie z reguły kierowaliśmy nasze konie nad Jezioro Świętego Branoka.

Fascynowało mnie to miejsce. Pedrek miał również podobne uczucie. Jezioro otaczała atmosfera dziwnej tajemniczości. Wierzby zwieszały nad nim swe wiotkie gałęzie, przeglądając się w jego gładkiej tafli, ale pod nią, jak opowiadano, miała kryć się niezmierna głębia.

Miejscowa ludność uważała, że po zmroku należy unikać tego zakątka. Myślę, że to przekonanie w znacznej mierze wpłynęło na mój nabożny stosunek do jeziora. Mama także była pod jego dziwnym urokiem.

Jak zwykle uwiązaliśmy nasze konie do drzewa, a sami rozciągnęliśmy się na trawie, opierając się o głazy, które gdzieniegdzie wystawały z ziemi.

- Niewykluczone, że są to resztki murów starego klasztoru - zauważyła mama.

Znaliśmy już dobrze historię o tym klasztorze, a zwłaszcza o jego dzwonach, które jakoby

miały się odzywać za każdym razem, ilekroć groziła jakaś katastrofa. Wieść gminna głosiła, że dzwony spoczywały na dnie Jeziora Świętego Branoka.

Pedrek, który miał logiczny umysł, zauważył przytomnie, że jeżeli dzwony rzeczywiście tam się znajdują, to nie jest ono takie bezdenne, jak się sądzi. Mama odparła, że ostatecznie w każdej ludowej opowieści mógłby się dopatrzeć nielogiczności.

- Ale ja nie chcę myśleć w ten sposób - zaprotestowałam gorąco. - Wolę wierzyć, że jezioro jest naprawdę bezdenne i że dzwony również się tam znajdują.

- Klasztor zniszczyła powódź zesłana przez Boga na niemoralnych zakonników, którzy zeszli ze ścieżki jego świętych przykazań - wyjaśniła mama.

- Wokół Cador roi się od bogobożnych i cnotliwych osób - dorzuciłam. - Weźmy na przykład taką starą panią Fenny z nadbrzeża, przed której oczami nic się nie ukryje, i która uważa, że wszyscy, oprócz niej, pójdą do piekła. Druga jest pani Polhenny; każdej niedzieli bywa w kościele na dwóch mszach, rano i po południu, i chce koniecznie, aby jej córka, Leah, wyrosła na równie świątobliwą niewiastę jak ona. W rezultacie biedna dziewczyna żyje jak pustelnica i w ogóle nie wie, co to jest rozrywka.

- Ludzie są nieraz bardzo dziwni - stwierdziła mama filozoficznie - ale należy być wobec nich tolerancyjnym. "Widzisz źdźbło w oku brata swego, a belki w oku swoim nie dostrzegasz". *

- Zupełnie jakbym słyszała słowa pani Polhenny, mamo - rzekłam. - Ona wciąż cytuje Biblię, ale w głębi duszy jest święcie przekonana, że w jej oku nikt nie dojrzy najmniejszego nawet źdźbła.

Spoglądałam marzycielskim wzrokiem na jezioro i po raz kolejny starałam się namówić mamę, by opowiedziała nam znaną mi już na pamięć przygodę, jaka mi się w dzieciństwie przydarzyła. Otóż Jenny Stubbs, niedorozwinięta umysłowo niewiasta, która nadal mieszkała w chatce niedaleko jeziora, porwała mnie, kiedy byłam małym dzieckiem. Wszyscy byli wówczas

przekonani, że się utopiłam, ponieważ na brzegu znaleziono moją torebkę.

- Przeszukano dokładnie całe dno - opowiadała mama, spoglądając w zamyśleniu przed siebie. Oczy miała szeroko otwarte, ale wydawała się jakaś nieobecna, jakby przebywała w innym odległym świecie. - Nigdy nie zapomnę tego dnia. Byłam przekonana, że straciłam cię na zawsze.

Była zbyt wzruszona, by mówić dalej, ale ja tak lubiłam tę historię, że mogłam jej słuchać bez końca; o tym jak Jenny Stubbs ukryła mnie w swej chacie, jak dzwoniła dziecinnym dzwoneczkiem w nadziei, że w ten sposób odciągnie uwagę poszukujących, jak mnie tuliła i pieściła, przekonana, że jestem jej małą zmarłą córeczką.

Pedrek również chętnie słuchał tej opowieści. Nigdy nie okazywał zniecierpliwienia, mimo iż mama powtarzała ją wiele razy. Był bardzo taktowny i delikatny i zawsze uważał, by nikogo nie urazić niebaczny słowem. Wiedział przy tym, że ja wciąż chętnie słucham o mej przygodzie.

Rozmowa o tej historii utkwiała mi w pamięci dlatego, że wtedy właśnie główna jej bohaterka, Jenny Stubbs, wyszła z chaty, kierując się w stronę jeziora.

Początkowo nas nie spostrzegła. Coś sobie nuciła. Jej ostry wysoki głos brzmiał dziwnie przejmująco w ciszy pogodnego popołudnia.

Mama zawołała do niej:

- Dzień dobry, Jenny!

Odwróciła się raptownie, jakby się przestraszyła.

- Dzień dobry, jaśnie pani - odparła. Stała przed nami odwrócona tyłem do jeziora. Lekki wiaterek rozwiewał jej ładne jasne włosy. Sprawiała wrażenie osoby niezupełnie normalnej, różniącej się od innych ludzi.

- Jak się miewasz, Jenny? - zapytała ją mama.

- Dziękuję, jaśnie pani, czuję się dobrze.

Podeszła do nas wolnym krokiem. Nie spuszczała oczu ze mnie i Pedreka. Miałam nadzieję,

że dojrzę w jej oczach jakiś błysk świadczący o tym, że wie, iż stoi przed nią dziewczynka, którą kiedyś porwała, ukryła u siebie i obsypywała pieszczotami. Ale nie zauważyłam niczego takiego. Nie wzbudziłam w niej zainteresowania większego niż Pedrek. Mama wyjaśniła mi później, że Jenny w ogóle nie pamiętała tego wydarzenia, nie była przecież całkowicie normalna. Żyła w świecie urojeń, zrodzonych z jej chorej wyobraźni, która podsunęła jej myśl, by porwać cudze dziecko. Wydawało jej się, że jest to jej własna mała córeczka.

Podeszła bliżej i przystanęła obok. Spozierała na mamę z wyraźnym zadowoleniem. Widać było, że cieszy się z tego spotkania.

- Będę rodzić w dożynki - oznajmiła.

- Och, Jenny! - zaczęła mama, ale szybko dodała: - Musisz być bardzo szczęśliwa z tego powodu.

- To będzie dziewczynka. Z całą pewnością - oświadczyła.

Mama potwierdziła skinieniem głowy, a Jenny odwróciła się i poszła w kierunku swej chaty. Znowu dobiegł do nas jej śpiew; dziwny, jakby nieziemski, tembr jej głosu przejął nas ponownie dziwnym wzruszeniem.

- To takie smutne - powiedziała mama, kiedy już Jenny oddaliła się na tyle, że nie mogła nas słyszeć. - Biedna dziewczyna wciąż nie może zapomnieć swego zmarłego dziecka.

- Ono miałoby teraz tyle samo lat co ja - zauważyłam. - Nie bez przyczyny wzięła mnie przecież wtedy za swą córeczkę.

Mama twierdząco skinęła głową.

- A teraz znowu sądzi, że jest w ciąży. To już jej się zdarza nie po raz pierwszy.

- A jak się zachowuje wtedy, kiedy jej mija urojenie? - zapytałam.

- Trudno się zorientować, jaki proces myślowy przebiega w tym zamglonym umyśle.

Faktem jest, że doskonale potrafi pielęgnować dzieci. Bardzo dobrze się tobą opiekowała, kiedy cię

miała u siebie. Wcale nie gorzej niż my sami.

- Ale ja tęskniłam za domem, prawda? Kiedy mnie wreszcie u niej odnalazłaś, podbiegłam do ciebie, prosząc, byś mnie od niej zabrała.

Mama przytaknęła ponownie.

- Biedna, biedna Jenny - powiedziała ze współczuciem. - Tak mi jej żal. Musimy okazywać dziewczynie w miarę możliwości jak najwięcej serca.

Milczeliśmy, wpatrując się w jezioro. Wspominałam dni spędzone w chacie Jenny i żałowałam, że nie udało mi się zapamiętać więcej szczegółów z tego okresu. Pamiętałam, że dzwoniła małymi dzwoneczkami, starając się w ten sposób odwrócić uwagę poszukujących, ponieważ chciała zatrzymać mnie na zawsze.

Miałam dziwne przekonanie, że biedna Jenny stanowi część mego dzieciństwa i że zawsze muszę być dla niej dobra, miła i wyrozumiała. Wiedziałam też, że w tym wypadku mama dzieliła moje uczucia.

Poszczególne epizody z tego ostatniego lata bezustannie odżywały w mej pamięci.

Przypominam sobie, że często spotykałam Jenny nad brzegiem jeziora, gdy, fałszywie podśpiewując, zdążała ścieżką w kierunku swej chaty. Ten dziwny śpiew sprawiał, iż wydawała się istotą jakby nie z tego świata, a więc tym bardziej intrygującą i tajemniczą.

Wyglądała na szczęśliwą, a jej szczęście polegało na ciągłej ułudzie. Była przekonana, że będzie miała dziecko, które zastąpi jej tanto, utracone. Żyła wyłącznie tym jednym pragnieniem i nic nie było w stanie zachwiać w niej wiary, że jest w ciąży.

Ta bezpodstawna nadzieja była wzruszająca i smutna zarazem, ale czyż to miało jakiegokolwiek znaczenie, skoro Jenny czuła się z tym dobrze? Żyła w rzeczywistości nierealnej, ale było jej w tym urojonym świecie radośnie i bezpiecznie.

Zapamiętałam również inne wydarzenie z tego znaczącego dla mnie okresu. Byłam wtedy

w towarzystwie babci, z którą żyłam w wielkiej przyjaźni. Moja babcia nie przypominała innych babć. Przede wszystkim wydawała się na nią za młoda, takie przynajmniej sprawiała wrażenie, i wyglądała raczej na energiczną ciocię niż nobliwą, starszą panią.

Dowiedziałam się od niej wielu rzeczy o mojej mamie.

- Musisz o nią dbać - powtarzała mi. - Sporo ciężkich chwil miała w swoim życiu. Wyszła za mąż za wspaniałego człowieka - twego ojca, który zginął w wypadku, zanim ty przyszedł na świat. Została wówczas sama.

Wyjaśniała mi wiele razy, że mój ojciec pojechał do Australii, ponieważ pragnął dorobić się majątku. Skusiły go odkryte tam bogate złoża złota. Później zamierzał wrócić do Anglii i korzystać ze zdobytej fortuny. Towarzyszyła mu moja mama i rodzice Pedreka. Wszyscy czworo zamieszkali w małym górniczym miasteczku, co było dowodem wielkiej odwagi, gdyż żadne z nich nie nawykło do takich prymitywnych warunków. Ojciec Pedreka i mój byli współnikami. Babcia opowiadała, że praca w kopalni była niebezpiecznym zajęciem. Ziemia się obsuwała i by temu zapobiec, podpierano stropy podziemnych korytarzy drewnianymi palami. Mimo to katastrofy zdarzały się dość często. Tak się też stało w ich kopalni. Ojciec Pedreka znajdował się właśnie na dole, kiedy nastąpiło tąpnięcie. Mój ojciec zjechał po niego na dno szybu i z trudem wywindował go na powierzchnię. Ledwie to zrobił, kopalnia się zapadła, grzebiąc mego ojca pod zwałami ziemi. Oczekujący u wylotu ludzie nie zdążyli mu już przyjść z pomocą.

- Oddał życie za przyjaciela - zakończyła babcia.

- Wiem - odparłam. - Matka Pedreka opowiadała mi o wypadku. Powiedziała też, że ja i Pedrek powinniśmy zawsze o tym pamiętać i darzyć się wzajemną przyjaźnią.

- Na pewno będziecie dobrymi przyjaciółmi do końca życia - przytaknęła, dodając: - Wiem, że tak będzie. A ty musisz bardzo kochać swoją mamę, ponieważ ona po śmierci twego ojca całą miłość, jaką miała dla niego, przelała na ciebie.

Wiedziałam o tym dobrze. Tego właśnie pragnęłam.

Owego pamiętnego dnia poszliśmy na spacer do Poldorey, by odwiedzić stary zabytkowy kościółek. Historia tej niewielkiej świątyni, usytuowanej nad brzegiem morza, sięgała czasów normańskich. Mieszkańcy zachodniego Poldorey byli z niej niezmiernie dumni, ponieważ stanowiła atrakcję, ściągającą turystów nawet z bardzo odległych zakątków kraju. Ludność wschodniej części miasteczka trochę zazdrościła swym sąsiadom historycznego zabytku, ale o jego dobry stan troszczyli się zarówno jedni, jak i drudzy. Urządzano przeróżnego rodzaju loterie i dobroczynne imprezy, by zdobyć fundusze na konserwację. Remontu wymagał zwłaszcza jego wiecznie przeciekający dach. Dochodziły mnie również niedobre wieści, że korniki i kołatki zniszczą stare drewniane elementy świątyni.

Lubiłam wślizgiwać się do kościółka, kiedy nikogo w nim nie było, i rozmyślać o rzeszach wiernych, którzy, podobnie jak ja w tej chwili, zasiadali niegdyś w staroświeckich ławkach. Dziadek opowiadał, że miejscowa ludność szukała ratunku i schronienia w grubych murach świątyni, kiedy to Wielka Hiszpańska Armada znalazła się u naszych wybrzeży, a potem jeszcze raz, kiedy zagrażała nam inwazja wojsk Napoleona. W tym kościółku - podobnie jak w Cadore - przeszłość wзираła z każdego najmniejszego zakamarka, stwarzając złudzenie, że historia zachowała tu dla potomności swoje nienaruszone oblicze.

Drzwi kościoła były otwarte, ze środka dochodziły jakieś rozmowy.

- Domyślam się - powiedziała babcia - że dekorują kościół na jutrzejszy ślub Johna Polgartha.

John Polgarth był właścicielem sklepu spożywczego we wschodnim Poldorey i cenionym członkiem lokalnej społeczności. Jego wybranką była Molly Agar, córka miejscowego rzeźnika. Kiedy weszliśmy do środka, usłyszałam władczy głos pani Polhenny. Była to bardzo ważna osoba w okolicy, ponieważ jako akuszerka pomogła przyjść na świat większości tutejszej młodej

generacji. Utwierdziło ją to w przekonaniu - jak sądziłam - że ma prawo osądzać ich postępek i dbać o ich zbawienie, czyniła to bowiem w sposób apodyktyczny i nie podlegający żadnej dyskusji. Takie postępowanie, rzecz jasna, nie przysparzało jej sympatii, ale ona nie przejmowała się tym, co o niej mówią. Dowodziła, że jest na tym ziemskim padole nie po to, by ją ludzie lubili, ale by sprowadzać ich na drogę cnoty i moralności.

Pani Polhenny była kobietą dobrą, jeśli przez dobroć rozumiało się dwukrotne uczęszczanie do kościoła w każdą niedzielę, a często i w ciągu tygodnia. Brała aktywny udział w organizowaniu dobroczynnych imprez na rzecz remontu świątyni i przy każdej okazji cytowała Pismo Święte. A ponieważ miała głęboką pewność, iż sama jest osobą wysoce cnotliwą i bogobożną, chętnie doszukiwała się wad i grzechów u innych.

Praktycznie nie było w jej otoczeniu osoby, która by zdołała uniknąć ostrza jej krytyki.

Nawet wikary padł jej ofiarą. Zbyt dosłownie - dowodziła - interpretował Biblię i poza tym wolał zadawać się z właścicielami szynków i karczem oraz innymi grzesznikami aniżeli z tymi, których przewinienia zostały zmyte krwią Baranka dzięki cnotliwemu życiu i przestrzeganiu boskich praw.

Nie lubiłam pani Polhenny. Moim zdaniem była jedną z najbardziej niesympatycznych osób, jakie znałam kiedykolwiek. Niewiele miałam z nią wprawdzie do czynienia, ale było mi żal Leah, jej córki, która w tym czasie miała około szesnastu lat. Pani Polhenny była wdową, ale nigdy jakoś nie zdarzyło mi się słyszeć o panu Polhennym. Musiał jednak istnieć, inaczej bowiem w jaki sposób Leah znalazłaby się na świecie?

- Musiała go szybko wykończyć - skwitowała krótko moje wątpliwości pani Garnett, kucharka z Cador. - Biedny facet, założę się, że dobrze dawała mu w kość.

Leah była bardzo ładna, ale sprawiała wrażenie wiecznie zastraszonej, jakby stale oglądała się za siebie w obawie, że lada chwila zza pleców wyskoczy czyhający na jej duszę diabeł, który będzie usiłował ją kusić.

Leah była szwaczką, a poza tym pięknie haftowała. Raz na miesiąc jechała z matką do Plymouth, gdzie miała stałego odbiorcę swych wyrobów. Jej hafty odznaczały się wyjątkowo misterną robotą; biedna dziewczyna ślęczała nad nimi całymi dniami.

Tego dnia Leah pomagała swojej matce dekorować kościół kwiatami; pani Polhenny wydawała rozkazy, a ona spełniała je posłusznie.

- Dzień dobry, pani Polhenny - przywitała ją babcia. - Jakie piękne róże!

Słowa babci sprawiły jej wyraźną przyjemność.

- To najwłaściwsze kwiaty na taką okazję jak ślub, pani Hanson.

- Ach tak, rzeczywiście ... John Polgarth i Molly Agar.

- Całe miasto przyjdzie do kościoła na tę uroczystość - ciągnęła pani Polhenny i dodała znacząco: - A czas jest już na nią najwyższy.

- Jestem pewna, że będą tworzyć bardzo dobraną parę. Molly to miła dziewczyna.

- Hm - odparła z powątpiewaniem w głosie. - Trochę tylko za bardzo trzpiotowata.

- Ona po prostu ma wesołe usposobienie.

- Agar dobrze robi, że ją wydaje za mąż. Takie dziewczyny jak ona nie powinny trwać długo w panińskim stanie. - Pani Polhenny ściągnęła usta, dając do zrozumienia, że wie o czymś, co dla innych stanowi jeszcze tajemnicę.

- A więc tym lepiej - odparła babcia.

Usłyszałam z tyłu jakiś ruch: ktoś wszedł do kościoła. Pani Polhenny przebierała kwiaty w pojemniku. Obejrzałam się za siebie. Młoda, nie znana mi dziewczyna cichutko wsunęła się między rząd ławek i przyklęła pobożnie.

Pani Polhenny zwróciła się do Leah:

- Podaj mi tę gałązkę. Będzie tu doskonale pasować... - Urwała w pół zdania. Srogim

wzrokiem popatrzyła na klęczącą w ławce dziewczynę. - Czy ja dobrze widzę? - powiedziała z

wyraźnym oburzeniem w głosie.

Milczałyśmy, zastanawiając się, o co jej chodzi. Zostawiła kwiaty, przemaszerowała szybkim krokiem wzdłuż nawy i podeszła do dziewczyny.

- Wynoś się! - wykrzyknęła. - Ty, ladacznico! Jak śmiesz wchodzić do tego świętego przybytku! To nie jest miejsce dla takich jak ty.

Dziewczyna wstała z klęczek. Miałam wrażenie, że za chwilę wybuchnie płaczem.

- Ja tylko chciałam... - zaczęła.

- Precz! - krzyczała pani Polhenny. - Precz stąd, mówię.

Babcia jej przerwała.

- Chwileczkę. Co to wszystko ma znaczyć? Proszę mi powiedzieć, co się tu dzieje?

Dziewczyna przemknęła obok nas i wybiegła z kościoła.

- Proszę, niech pani pyta - zachęcała pani Polhenny. - To jedna z nierządnic z Bays

Cottages. - Oczy jej zwęziły się gniewnie w dwie małe szparki, a usta zacisnęły w twardą linię. - I nie widzę powodu, by ukrywać przed panią, że ta dziewczyna jest w szóstym miesiącu ciąży.

- Jej mąż...

Pani Polhenny roześmiała się szyderczo.

- Mąż? Dziewuchy takie jak ona nie czekają do dnia ślubu. Ona nie jest pierwsza spośród czeredy ladacznic w tej dzielnicy, zapewniam panią. Tam wszyscy są zepsuci do szpiku kości. Cud, że Pan Bóg nie starł jeszcze tego miejsca na proch.

- Może jest bardziej miłosierny dla grzeszników niż niejeden ze śmiertelnych.

- Przyjdzie czas, że staną przed boskim sądem, nie ma obawy. - Oczy pani Polhenny rozbłysły, jakby już w wyobraźni widziała nieszczęśnicę smażącą się w piekielnym ogniu.

- Ale przyszła przecież do kościoła - babcia próbowała łagodzić jej gniew. - Widocznie odczuwa potrzebę skruchy, żałuje za grzechy. A dobrze pani wie z Pisma Świętego, że w niebie

jest wielka radość z każdego nawróconego grzesznika.

- Gdybym to ja znajdowała się na miejscu Pana Boga - oświadczyła pani Polhenny - z całą pewnością dobrze bym wiedziała, jak ukarać tych z Bays Cottages.

- Może niektórzy powinni być wdzięczni losowi, że pani nim nie jest - zauważyła cierpko babcia. - Niech mi teraz pani powie coś o tej dziewczynie. Co to za jedna?

- Nazywa się Daisy Martin. Cała jej rodzina to banda nicponiów. Jej babka prosiła mnie, bym do niej przyszła. Kajała się przede mną z powodu własnych grzechów. Nic dziwnego, starzeje się i drży na myśl o boskim sądzie. Zbadałam dziewczynę i powiedziałam: "Ona jest w szóstym miesiącu. Gdzie jest jej mąż?". Oświadczyła, że uwiódł ją jeden z tych sezonowych robotników, którzy pracowali przy kryciu strzech. Dziewczyna ma szesnaście lat. Moim zdaniem jest to hańba.

- Ale do porodu pani przyjdzie, mam nadzieję.

- Muszę, to przecież mój obowiązek. Nawet jeśli dziecko zostało poczęte w grzechu, moim zadaniem jest pomóc mu przyjść na świat. Bóg wyznaczył mi tu na ziemi taką rolę i nic mnie nie powstrzyma od spełnienia tej powinności.

- Bardzo mnie to cieszy - odparła babcia. - Dzieci nie odpowiadają za grzechy rodziców, chyba to pani rozumie.

- No cóż, bądź co bądź to Bóg powołał je do życia. Są to dzieci boże, niezależnie od tego, w jaki sposób pojawiły się na tym świecie. A co do owej małej kreatury, mam nadzieję, że wypędzą ją, skoro się tylko dziecko urodzi. Takie dziewczusko stanowi bardzo zły przykład dla całej okolicy.

- Ale przecież pani mówi, że ona ma dopiero szesnaście lat!

- Jest już dostatecznie dorosła, by wiedzieć, co robi.

- Ale ona nie jest pierwszą, której się coś takiego przytrafiło.

- To wcale nie znaczy, iż nie jest godna potępienia.

- Dobrze pani wie, że ludzie grzeszyli i grzeszą od początku świata - zauważyła

filozoficznie babcia.

- "Bóg ześle na nich żar swego gniewu", * nie ma obawy - zapewniła pani Polhenny,

kierując pobożnie wzrok na belkowany sufit świątyni, jakby to były same niebiosy.

`pp

Ks. Hioba, 20, 23.

`pp

Można by sądzić - pomyślałam - że chciała dać Panu Bogu małego szturchańca za to, iż tak opieszale sprawuje swoje obowiązki.

Wiedziałam, że w duszy babci toczy się walka, czy litować się nad małą Daisy, czy też pofolgować swemu sekretnemu pragnieniu i dalej ciągnąć za język panią Polhenny.

Ta ciągnęła dalej:

- To, co się dzieje w Poldorey wschodnim i zachodnim, gdyby pani wiedziała o tym wszystkim, przeżyłaby pani nie lada wstrząs.

- Powinnam wobec tego dziękować Bogu, że mi oszczędził takiej wiedzy.

- "Bóg ześle na nich żar swego gniewu", wspomni pani moje słowa.

- Trudno mi sobie wyobrazić nasze małe Poldorey zamienione w Sodomę i Gomorę.

- Nadejdzie taki dzień, zobaczy pani.

- Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Ale widzę, że zabieramy pani czas, a ma pani przecież pilną robotę. Do zobaczenia, pani Polhenny.

Wyszliśmy przed kościół. Babcia odetchnęła głęboko, jakby duszna atmosfera kościoła uciskała jej pierś, i chciała zaczerpnąć świeżego powietrza.

Następnie odwróciła się do mnie i powiedziała ze śmiechem:

- Ogromnie moralna z niej kobieta. Ale mówiąc szczerze, wolę już mieć do czynienia z

prawdziwym grzesznikiem. Nie da się jednak zaprzeczyć, że jest doskonałą akuszerką. W całej Kornwalii nie znajdziesz lepszej od niej położnej. Moja droga, musimy zainteresować się tą biedną dziewczyną. Pójdę jutro do tych chat i dowiem się, jaka tam jest sytuacja.

W tym momencie przypomniła sobie nagle mój wiek. Przypuszczalnie zorientowała się, że oto mimo woli zostałam wciągnięta w sferę, której mój dziecinny umysł nie był jeszcze w stanie pojąć.

- Dziś po południu pojedziemy do Pencarron - zmieniła temat. - Czy to nie wspaniale, że Pedrek jest tutaj w tym samym czasie co ty?

Wiele myślałam o pani Polhenny i zawsze uważnie przyglądałam się jej chacie, ilekroć zdarzyło mi się ją mijać. Dom znajdował się na skraju wschodniej części Poldorey i często widziałam przy nim suszące się na krzakach pranie. W oknach wisiały nieposzlakowanej bieli koronkowe firanki, a kamienne schodki przed głównym wejściem lśniły czystością. Szorowano je z pewnością regularnie. Pani Polhenny najwyraźniej była zdania, że czystość jest drugą po bogobożności najważniejszą cnotą, a ona sama główną nosicielką obydwóch tych zalet. Raz czy dwa udało mi się na moment ujrzeć Leah w oknie jej chaty. Siedziała pochylona nad bębenkiem, pracowicie wyszywając wymyślne wzory. Kiedy czasami podnosiła głowę nad roboty, jej wzrok padał na mnie. Uśmiechałam się wtedy do niej i pozdrawiałam ją ręką, a ona odwzajemniała się podobnym gestem.

Miałam ogromną ochotę porozmawiać z nią. Pragnęłam się dowiedzieć, jak się jej żyje z matką taką jak pani Polhenny. Ale ona zawsze, ilekroć zdradziłam taką ochotę, starała się dać mi do zrozumienia, że nie może sobie pozwolić na przerwę w pracy.

Biedna Leah - myślałam. - Ciężko musi być córką bogobożnej niewiasty, która jest święcie przekonana, iż Bóg powołał ją po to, aby strzegła moralności w całej okolicy. We własnym domu

na pewno okazuje jeszcze większą surowość.

Dziękowałam Bogu za moją mamę, moich dziadków i Pencarronów. Oni tak skrupulatnie nie przestrzegali boskich przykazań, ale za to obcowanie z nimi było znacznie przyjemniejsze. To ostatnie lato nie różniło się wiele od poprzednich. Babcia udała się do Bays Cottages i zaniósła młodej dziewczynie ubranie i jedzenie. Kiedy nadszedł u niej czas rozwiązania, pani Polhenny, zgodnie ze swoim ziemskim powołaniem, odebrała zdrowego chłopczyka. Mama przyznała, że aczkolwiek w innych sprawach była nieznośnie irytująca, to jednak dobrze знаła swój fach i rodzące matki mogły czuć się najzupełniej bezpieczne w jej rękach.

Tego roku nieco częściej widywałam Jenny Stubbs. Może dlatego utkwiała tak mocno w mej pamięci, ponieważ zaczęłam zwracać na nią większą uwagę. Przeważnie spotykałam ją na wiejskich drózkach. Pomagała w pracy żonie jednego z farmerów. Słyszałam, że była sprawna i chętna do roboty. Mówiono, że wszyscy się z niej wyśmiewali, ale pani Bullet, jej chlebodawczyni, czuwała nad nią i nie pozwalała, by robotnicy stroili sobie z niej żarty lub podawali w wątpliwość urojoną ciążę. "Ona nikomu nie robi tym krzywdy - denerwowała się pani Bullet. - Zostawmy więc biedactwo w spokoju. Urojenia to cała jej radość".

Jenny śpiewająca donośnie i niezbyt czysto ostrym głosem oraz pani Polhenny wygłaszająca na każdym kroku umoralniające kazania... to były wydarzenia, które najbardziej zapadły mi w pamięć tamtego ostatniego lata.

Pamiętam wszystko tak wyraźnie, jakby zdarzyło się to nie dalej niż wczoraj. Oczyma wyobraźni widzę nasze pożegnanie z dziadkami, którzy z posmutniałymi twarzami stali na peronie. Machałam ręką na do widzenia z okna wagonu i by nie sprawić im przykrości, starałam się tłumić radość, jaką czułam na myśl, że oto znowu wracam do Londynu.

- Chciałabym - odezwałam się do Pedreka - byśmy wszyscy mogli mieszkać blisko siebie.

On był w podobnej sytuacji. Jego babcia, żegnając go, z trudem tylko powstrzymywała łzy.

Podobnie jak ja, nie chcąc ich urazić, starał się przybierać smutną minę, ale i jego rozsadzała radość na myśl o rychłym spotkaniu z rodzicami. Podobieństwo naszego położenia bardzo nas do siebie zbliżało.

W chwilę później pociąg unosił nas w kierunku Londynu.

Na stacji oczekiwali rodzice Pedreka. Taki utarł się zwyczaj w naszych rodzinach. Jeżeli ja wracałam z jego rodzicami, moja mama wychodziła nam na spotkanie i odwrotnie. W tej niezmienności powitalnego rytuału było coś bardzo kojącego i podnoszącego na duchu, ale ja doceniłam te wartości dopiero wtedy, kiedy utraciłam je na zawsze.

Prosto ze stacji, jak to było w zwyczaju, pojechaliśmy wszyscy do nas na herbatę. Po niej dopiero Cartwrightowie wracali z Pedrekiem do swego domu, oddalonego od naszej siedziby o kilka zaledwie ulic.

Zasypywano nas pytaniami, a Pedrek i ja z radosnym przejęciem zdawaliśmy relację z pobytu w Kornwalii.

Siedzieliśmy wszyscy przy stole - nie wyłączając panny Brown i nauczyciela Pedreka - kiedy oznajmiono, że mamy gości.

- Pan Benedykt Lansdon - zaanonsowała z tradycyjną godnością Jane, ale jakoś bardziej ceremonialnie niż zazwyczaj.

I oto pojawił się on, bardzo wysoki, o postawie - trudno mi znaleźć inne określenie - władczej i wyniosłej.

- Benedykt - odezwała się mama, podnosząc się z krzesła.

Podeszła do niego, a on ujął jej ręce w swoje dłonie i tak stali, patrząc sobie w oczy i uśmiechając się do siebie.

Następnie mama zwróciła się do nas:

- Czyż to nie miła niespodzianka?

- Dowiedziałem się, jakim pociągiem wracacie, i oto jestem - wyjaśnił Benedykt Lansdon.

- Usiądź, proszę, i wypij z nami herbatę - zaproponowała ciepło mama.

Uśmiechnął się do nas, po czym nastąpiła zwykła w tych razach wymiana wzajemnych grzeczności.

Mój wesoły nastrój prysnął. Zrobiło mi się nagle ciężko na sercu. Tradycyjny rytuał powrotu od dziadków niespodziewanie został zakłócony. Powinniśmy byli jeszcze dzielić się wrażeniami z Kornwalii i zaspokajać ciekawość rodziców. Potem Pedrek odjechałby do swego domu, uprzednio jednak uzgodniwszy ze mną, jak to było w zwyczaju, kiedy się znowu spotkamy.

- Jak przedstawia się sytuacja w górnictwie? - zapytał Benedykt, zwracając się do ojca Pedreka.

- Różnie. Raz dobrze, raz źle - odparł Justin Cartwright. - Jestem pewien, że w tych zagadnieniach orientujesz się nie gorzej ode mnie... z tą tylko różnicą, że cynk to nie złoto.

- Rzeczywiście, jest to różnica - zgodził się Benedykt Lansdon. - Ale jak wiesz, dawno już przestałem się zajmować tą dziedziną.

- To prawda - przyznał Justin Cartwright.

- Zamierzam wrócić do polityki - oświadczył Benedykt Lansdon, spoglądając na swoją matkę.

Twarz jej zajaśniała zadowoleniem, a w oczach pojawił się radosny błysk.

- Doprawdy, Benedyckie, to wspaniała wiadomość! Zawsze powtarzałam...

Spoglądał na nią i kiwał ze zrozumieniem głową. Najwyraźniej doskonale się oboje rozumieli. Poczulałam się nagle jak odgradzona od niej niewidzialną szybą. Odkryłam, że w życiu mojej matki istnieje strefa, do której ja nie mam dostępu.

- Wiem, że mówiłaś - ciągnął dalej. - Teraz przystępuję do realizacji swoich planów.

- Zdradź nam tę tajemnicę, Benedyckie - nalegała Morwenna, matka Pedreka.

- Nie ma tu żadnej tajemnicy - odparł. - Mam zamiar kandydować na posła z okręgu Manorleigh.

- To twój dawny okręg wyborczy! - wykrzyknął Justin.

Benedykt skinął głową. Patrzył na mamę. Targnął mną bolesny niepokój; dobrze znałam swoją matkę.

- Zdecydował o tym prosty przypadek - wyjaśniał dalej Benedykt. - Umarł Tom Dollis.

Biedny facet, wcale nie był jeszcze taki stary. Zmarł nagle na atak serca. W rezultacie powstał wakat. Na jego miejsce trzeba będzie wybierać nowego posła. Wkrótce odbędą się wybory uzupełniające.

- Ale ten okręg to przecież tradycyjna twierdza konserwatystów - zauważył Justin.

Benedykt przytaknął.

- Rzeczywiście tak było, i to przez wiele lat, ale to się zmieniło od pewnego czasu. -

Kolejne spojrzenie na mamę. - Jeśli mnie wybiorą - kontynuował - będziemy musieli dołożyć starań, by ten fotel pozostał na dłużej w naszych rękach.

My? Zabrzmiało to tak, jakby i ją włączał w swoje plany.

Mama uniosła filiżankę z herbatą.

- Ponieważ nie mam w tej chwili nic mocniejszego pod ręką - oświadczyła - wypiję za twój sukces tym oto napojem.

- Nie ma znaczenia, czym się pije - odparł. - Liczą się tylko intencje.

- Muszę przyznać, że to jest szalenie ekscytujące.

Znów posłał jej porozumiewawczy uśmiech.

- Też tak uważam - oświadczył. - Wiedziałem, że tak to odbierzesz.

Morwenna wtrąciła się do rozmowy.

- O ile wiem, jesteś gorącym zwolennikiem pana Gladstone'a.

- Moja droga Morwenno, to nasz najwybitniejszy polityk w tym stuleciu.

- A Peel... Palmerston...? - zaczął Justin Cartwright.

Benedykt skwitował jego pytanie machnięciem ręki.

- Mówią, że bardzo bystrym politykiem jest pan Disraeli - zauważyła Morwenna.

- Ten parweniusz? On zawdzięcza swą karierę wyłącznie temu, że w obrzydliwy sposób podlizuje się królowej.

- Nie, nie - zaprotestował Justin. - Nie może to być jedyny powód jego błyskotliwej kariery.

Jest genialnie zdolnym człowiekiem.

- Faktycznie masz rację. Szczególne zdolności wykazuje zwłaszcza w reklamowaniu własnej osoby.

- Był przecież premierem.

- Och, przez miesiąc czy coś koło tego...

Mama wybuchnęła śmiechem.

- Widzę, że sprawy polityczne zaczną się u nas wysuwać na pierwszy plan. Kiedy te wybory mają się odbyć, Benedykcie?

- W grudniu.

- Będą musieli szybko podjąć decyzję.

- Rzeczywiście, nie zostaje wiele czasu na przygotowania. Mam jednakże nadzieję, że dam sobie jakoś radę.

Ani ja, ani Pedrek nie odezwaliliśmy się podczas tej dyskusji ni razu. Zastanawiałam się, czy i jego, tak jak mnie, uderzył zupełny brak zainteresowania dorosłych naszymi osobami. Jakby zapomnieli, że my również siedzimy przy stole. Zazwyczaj po dłuższej rozłące zachłannie słuchali naszych relacji z pobytu w Kornwalii; nigdy nie mieli ich dość. Wypytywali nas o to, czy i jakie postępy robimy w jeździe na koniu, jak nam wychodzą skoki, jak się miewają dziadkowie, jaka

była pogoda i o wiele innych podobnych spraw.

Następnie dorośli zmienili temat i zaczęli rozmawiać o reformach w Irlandii planowanych przez pana Gladstone'a. Benedykt Lansdon, jak można było oczekiwać, był i w tej kwestii doskonale zorientowany. To on głównie zabierał głos przy stole, a reszta towarzystwa słuchała go w skupieniu. Dowiedzieliśmy się, że nieszczęsne położenie Irlandczyków oraz ich rosnące niezadowolenie bardzo niepokoi pana Gladstone'a. Jego zdaniem rozwiązanie tego problemu zależy wyłącznie od rządu.

Tak wyglądał nasz powrót do domu, całkowicie zepsuty - jak powiedziałam Pedrekowi - przez wizytę Benedykta Lansdona.

Od owego momentu człowiek ten całkowicie zdominował nasze życie. Stale nas odwiedzał. Kiedy spacerowałam z mamą po parku, często się do nas przyłączał. Rozmawiali ze sobą i wydawali się wtedy zupełnie zapominać o mojej obecności. Zdarzało się jednak, że Lansdon próbował nawiązywać rozmowę również ze mną. Pytał mnie o postępy w jeździe konnej i obiecał wybrać się kiedyś z nami na wspólną przejażdżkę.

Został wybrany na kandydata do poselskiego fotela, tak jak przepowiadała mama. Nosił się teraz z zamiarem kupienia domu w Monorleigh. Chciał, by mama pojechała razem z nim i pomogła mu w wyborze odpowiedniego obiektu.

Marzyłam o tym, by sobie odjechał na zawsze. Chwilowo wynajął umeblowany dom i szukał czegoś bardziej stosownego. Ale często przyjeżdżał do Londynu.

Zbliżał się listopad. W parkach zamiatano opadłe liście, a w powietrzu unosił się przyjemny zapach spalenizny. Było mglisto i wilgotno; niebieskie opary wisiały nad drzewami, nadając im nieco tajemniczy wygląd. Oboje z Pedrekiem przepadaliliśmy za tą porą roku. Brodziliśmy, szurając nogami, w zgarniętych liściach i snuliśmy marzenia o fantastycznych przygodach, których oczywiście byliśmy głównymi bohaterami. Swą zręcznością, pomysłowością i odwagą

zadziwialiśmy cały świat.

Ale tego roku nie miało się spełnić żadne z moich marzeń. Do mego serca zaczął się wkradać lekki niepokój.

I wtedy... przyszło to najgorsze.

Był wieczór. Leżałam już w łóżku, ale jeszcze nie spałam. Swoim zwyczajem czytałam przed snem do chwili, kiedy przyjdzie panna Brown i zgasi mi światło.

Do mej sypialni zajrzała mama. Oczy jej błyszczały. Nieraz słyszałam, jak opowiadano o ludziach, których oblicza rozświetlał odblask szczęścia. W tej chwili mama właśnie tak wyglądała.

Biło od niej jakieś wewnętrzne światło. Nigdy nie widziałam równie promiennej twarzy.

Wyciągnęła się na łóżku i objęła mnie ramionami.

- Rebeko - zaczęła - chcę, byś była pierwsza, która się o tym dowie.

Odwrociłam się do niej i ukryłam twarz na jej ramieniu.

Pogłaskała mnie po włosach.

- Zawsze byłyśmy razem, tylko my dwie, ty i ja, prawda? Och tak, jest jeszcze rodzina, która oczywiście jest nam bardzo bliska, ale nas, ciebie i mnie, łączą szczególne więzy. Bardzo się obie kochamy... i tak będzie zawsze, aż do końca naszych dni.

Skinęłam głową. Zaczynał ogarniać mnie niepokój; instynkt mi podpowiadał, co ma zamiar powiedzieć.

Wówczas nastąpiło wyznanie:

- Wychodzę za mąż, Rebeko.

- Nie... nie - wyszeptałam.

Przygarnęła mnie mocniej do siebie.

- Pokochasz go z czasem tak jak ja. To wspaniały człowiek. Znam go od wczesnej młodości... byłam niewiele starsza od ciebie, kiedy go poznałam. Nasza przyjaźń zawsze miała

szczególny charakter.

- Poślubiłaś mego ojca - przypomniałam jej.

- Tak... tak... ale owdowiałam już tak dawno... od tylu lat jestem sama.

- Dziesięć lat - rzekłam. - Umarł tuż przed moim urodzeniem.

Skinęła głową twierdząco.

- Nie pytasz... - zaczęła.

Nie musiałam. Wiedziałałam. W każdym razie zanim zdążyłam otworzyć usta, mama oznajmiła uroczyście:

- To pan Benedykt Lansdon.

Mimo iż wiedziałam, że może to być tylko on, jej wyznanie zrobiło na mnie piorunujące wrażenie.

- Z czasem bardzo go polubisz, Rebeko - mówiła dalej mama. - Jest to naprawdę niezwykły człowiek.

Nic nie odrzekłam, ale w duchu miałam dla niej gotowe odpowiedzi. Pierwsza z nich brzmiała: "Nigdy", a druga: "Tak, wiem, że jest nadzwyczajny. Ale ja nie przepadam za takimi osobami. Lubię zwykłych, wyrozumiałych, sympatycznych ludzi".

- Wszystko będzie tak jak było - zapewniała.

- To jest niemożliwe - odparłam.

- No cóż, niewątpliwie jakieś zmiany zajdą... jednakże tylko na lepsze. Och, Rebeko, jestem taka szczęśliwa. Kocham go już od dłuższego czasu. Nigdy nie spotkałam mężczyzny, który by mu w czymkolwiek dorównał. Kiedy byliśmy dziećmi, bawiliśmy się wspólnie i razem przeżywaliśmy różne przygody. Potem on odjechał... a ja poznałam twego ojca.

- Mój ojciec był wielkim człowiekiem, bohaterem.

- Tak, wiem. Byliśmy razem bardzo szczęśliwi, ale on nie żyje i na pewno by sobie nie

życzył, bym trwała w żałobie po nim do końca życia. Rebeko, zobaczysz, tobie też będzie dobrze.

Każde dziecko powinno mieć ojca.

- Ja mam ojca.

- Mam na myśli ojca, który stale będzie przy tobie, będzie ci służył pomocą i radą i będzie cię kochać.

- Ale ja nie jestem jego córką.

- Będiesz jego pasierbicą. Rebeko, nie psuj mi tej chwili. Jestem dzisiaj taka szczęśliwa.

Nigdy nie myślałam, że w życiu spotka mnie jeszcze takie szczęście. Przywykniesz do nowej sytuacji. Co czytasz?

- "Przygody Robinsona Crusoe".

- To bardzo interesująca książka, prawda? Zauważyłam ją ostatnio w rękach Pedreka.

Przytaknęłam.

Ucałowała mnie.

- Chciałam tobie pierwszej o tym powiedzieć. Dobranoc, kochanie.

Była trochę zmartwiona, ponieważ rzuciłam cień na jej radość. Ale była to tylko niewielka chmurka na czystym niebie jej szczęścia. Domyślałam się, jakie myśli przechodzą jej przez głowę: że jestem jeszcze dzieckiem, może tylko cokolwiek zazdrosnym, które obawia się, że Benedykt Lansdon oddali nas od siebie.

To przecież zupełnie naturalne uczucie w takich razach - perswadowała sobie.

Może powinnam udać, że się cieszę z tej wiadomości, że jest ona dla mnie równie ważna jak dla niej, ale nie mogłam się zdobyć na aż tak wielką obłudę.

Rodzina nie posiadała się z radości. Przyjęcie zaręczynowe urządzono w domu wuja Petera.

Ślub miał się odbyć niezadługo.

Dziadkowie zapowiedzieli swój przyjazd do Londynu z tej okazji. Przysłali telegram z

gratulacjami, wyrażając w nim swe ukontentowanie z przyszłego związku. Wuj Peter nie ukrywał zadowolenia. Bardzo lubił moją mamę i był dumny z Benedykta, który bez niczyjej pomocy dorobił się wielkiego majątku. Myślę, że bardziej obchodził go Benedykt niż jego własny syn, Peterkin, który oddał się pracy misyjnej, i niż córka, Helena, niezastąpiona żona polityka, Martina Hume'a.

W naszym domu panował trochę inny nastrój; wyczuwało się raczej niepokój i obawę. Służba nie dzieliła się ze mną swymi wątpliwościami, ale ja bez cienia zażenowania podsłuchiwałam ich rozmowy. Chciałam wiedzieć, co rzeczywiście myślą o małżeństwie mojej mamy. W takim niedużym domu jak nasz trudno było coś przede mną zataić. Na każdym kroku trafiała się okazja do podsłuchiwania i korzystałam z niej, ile tylko się dało.

Pewnego razu byłam świadkiem rozmowy państwa Emery. Ona układała bieliznę pościelową w szafie, a on jej podawał poszczególne sztuki. Pracowali tuż obok mojego pokoju i przy nieco uchylonych drzwiach - na co znalazłam sposób - istniała szansa, że posłyszę, o czym rozmawiają.

- Nie ma potrzeby martwić się na zapas - mówiła pani Emery. - Przyjdzie czas, to się dowiemy.

- Chodzi o ten nowy dom, który kupują. Ale o ile ją znam, pani Mandeville nie jest osobą, która by zapomniała o tych, co jej wiernie służyli.

- Wszystko będzie dobrze, jeżeli to będzie zależało od niej, ale...

- A dlaczego miałoby być inaczej? Przecież to ona będzie panią domu, tak czy nie?

- To prawda... Mam nadzieję, że on tego rodzaju sprawy pozostawi do jej decyzji.

- Wątpię, by kupił dom przedtem, zanim zasiądzie w parlamencie.

- Nie wiem. Niewiele brakowało, a zostałby posłem już poprzednim razem, nie pamiętasz?

Przegrał pierwszą rundę, ale może uda mu się wygrać następną. Wkrótce przecież odbędą się

wybory powszechne, na pewno tak będzie. Sądzę, że obecnie, kiedy został kandydatem na posła, taki dom jest dla niego koniecznością.

- Czy myślisz, że go wybiorą do parlamentu?

- To jest człowiek, który zawsze osiąga cel.

- Przypomnij sobie, co było ostatnim razem: skandal, który wybuchł...

Cichuteńko przybliżyłam się do drzwi. Za wszelką cenę muszę usłyszeć, co oni mówią. Co za skandal? - pytałam siebie. - Czy mama o nim wie?

- Przecież wszystko się wyjaśniło, nie pamiętasz?

- Tak jakby. On jej nie zabił, chociaż na początku wszyscy tak myśleli.

- Ale się okazało, że sama odebrała sobie życie.

- Wszystko zakończyło się po jego myśli.

- Rzeczywiście! Co też ty pleciesz. Stracił przez to fotel poselski, jak mówiono. A jemu szalenie na tym zależało.

- Kto to może wiedzieć? To był tradycyjny elektorat konserwatystów, a on należy do liberałów.

- Torysi jednak przerazili się nie na żarty. Wyglądało na to, że on wygra... ustanowi rekord.

Po raz pierwszy od prawie stu lat pozycja torysów w tym okręgu mocno się zachwiała.

- Ale do tego nie doszło.

- Nie. Tajemnicza śmierć biednej, nielubianej żony pokrzyżowała wszystko.

- Ale w końcu sprawa się wyjaśniła. Nie miał nic wspólnego z jej śmiercią.

- Wydaje mi się, że to wyszło torysom tylko na dobre. Zdołali utrzymać miejsce w parlamencie.

- Ach, z tymi twoimi torysami! Ja wolę liberałów.

- Co ty się możesz znać na tych rzeczach?

- Tyle samo co ty. Ale na razie wystarczy tej roboty. Muszę się zająć obiadem.

Cichutko odsunęłam się od drzwi.

Byłam podekscytowana, ale jednocześnie pełna niepokoju.

On już był kiedyś żonaty. Jego żona zmarła w tajemniczych okolicznościach. Pierwsza żona. A teraz moja mama miała zostać drugą małżonką.

Zastanawiałam się, co powinnam zrobić. Ostrzec ją? Ale przecież niemożliwe, by nie wiedziała o tej kryminalnej aferze. Nie przejmowała się nią. Miłość sprawiła, że miała bielmo na oczach. On ją zauroczył.

Bardzo chciałam porozmawiać z kimś na ten temat. Wiedziałam, że nie było sensu pytać o to Emerych lub służące. Oni nic nie powiedzą.

Jedyne, co mogłam zrobić, to poprosić o pomoc Pedreka. Wspólnymi siłami może dowiemy się prawdy.

Z ochotą zgodził się mi pomóc. Przepytał kamerdynera swoich rodziców, z którym był na przyjacielskiej stopie. Ten go poinformował, że jakiś czas temu Benedykt Lansdon kandydował na posła w okręgu Manorleigh, ale na krótko przed wyborami zmarła jego żona, cicha, trochę nerwowa kobieta. Samego Benedykta natomiast podejrzewano o romans z panią Grace Hume. Sugerowano, że Benedykt zamordował żonę, by się jej pozbyć. Wszystko to były wyłącznie plotki, niczego bowiem nie zdołano mu udowodnić. Wyborcy dobrze o tym wiedzieli, idąc do urn. Gdyby prasa nie "nadała rozgłosu" sprawie, Benedykt Lansdon z całą pewnością miałby miejsce w poselskich ławach. Jednakże w wyniku skandalu, jaki powstał wokół tej afery, przepadł w wyborach i stracił szansę zostania posłem. W jakiś czas później znaleziono liścik jego żony; skreśliła go na krótko przed śmiercią. Pisała w nim, że postanawia popełnić samobójstwo, ponieważ stwierdzono u niej nieuleczalną chorobę, powodującą niewyobrażalne cierpienia. W rezultacie Benedykta oczyszczono z podejrzeń, ale nadzieje na zwycięstwo przepadły.

Postanowił więc na razie zrezygnować z czynnego zajmowania się polityką.

A więc był człowiekiem o dość zagadkowej przeszłości. I ten oto mężczyzna miał poślubić moją mamę i odebrać mi ją na zawsze.

Od tego momentu sytuacja pogarszała się z dnia na dzień. Rzadziej widywałam mamę, którą pochłaniało układanie weselnych planów z Benedyktem. Wuj Peter życzył sobie, by ich ślub odbył się z wielką pompą i rozmachem.

- Ludzi przede wszystkim interesuje romantyczna strona życia - oświadczył. - I jeżeli zamierzasz na serio ubiegać się o fotel poselski, nie ma lepszej okazji niż ślub, by zainteresować wyborców swoją osobą... we właściwy sposób oczywiście.

- Cały wuj Peter - stwierdziła mama ze śmiechem; ciągle się wtedy śmiała. - Jest mi zupełnie obojętne, jaki ten ślub będzie.

Ciotka Amaryllis poparła wuja Petera. Zawsze tak postępowała.

Benedykt Lansdon tymczasem zajęty był kupowaniem domu w Manorleigh. Pojechałam tam z mamą, która chciała mi pokazać ich przyszłą siedzibę.

- Tutaj przypuszczalnie będziemy przebywać większość czasu - powiedziała. - Musimy dbać o nasz elektorat.

- A co zrobimy z naszym domem? - zapytałam.

- Chyba go sprzedamy. W Londynie zamieszkamy w domu twego... ojczyma.

Poczułam, że się robię czerwona na twarzy. Mego ojczyma - pomyślałam. Jak ja się mam do niego zwracać? Nie mogę go nazywać panem Lansdonem. Może wujkiem Benedyktem? On nie jest moim wujkiem. Ale w naszej rodzinie było wielu mężczyzn, których nazywano wujkami, chociaż nie mieli do tego żadnego prawa. Była to po prostu dość wygodna, choć niejasna forma tytułowania określonych osób. Jest to drwina z autentycznych wujków - powiedziałam Pedrekowi,

a on się ze mną całkowicie zgodził. Zdumiewało mnie, że taka błaża w gruncie rzeczy sprawa nastęrczała tyle kłopotu. Jak go powinnam nazywać? Zaczynałam skłaniać się do myśli, że chyba trzeba będzie zostać przy wujku...

Mama w dalszym ciągu udawała, że nie widzi mego zmieszania, ale rozumiała je doskonale.

- Będziemy mieli dom w Londynie i daj Boże każdemu taką wygodną i przestronną siedzibę! A poza tym rezydencję w Manorleigh. Och, Beko, będzie tak przyjemnie! - Użyła mego zdrobnienia z dzieciństwa, którym posługiwała się w chwilach czułości. - Będziesz zadowolona, zobaczysz. Dom w Manorleigh znajduje się w pobliżu niewielkiego miasteczka. Będziemy właściwie mieszkali na wsi. Polubisz to miejsce. Będziesz miała doskonałe warunki do konnej jazdy. Jest tam dużo wolnej przestrzeni. Dostaniesz ładny pokój do nauki. Panna Brown i my wszyscy łączymy z tobą duże nadzieje.

- A co z państwem Emery?

- Och, rozmawiałam... rozmawialiśmy... o tym. Mam zamiar zaproponować im, by się przenieśli z nami do Manorleigh.

Jej oświadczenie poprawiło nieco moje samopoczucie. Przynajmniej będę miała wokół siebie kilka przyjaznych osób. A poza tym wiedziałam, że martwili się o swe posady.

- Och, oni będą tacy szczęśliwi! - wykrzyknęłam. - Słyszałam ich rozmowę.

- Tak? Co mówili?

- Czują się niepewnie, ponieważ nie wiedzą, co z nimi będzie. Mają jednak nadzieję, że nie dopuścisz do tego, by stała się im krzywda. Liczą, że zadbasz o ich los.

- Oczywiście. Zaraz im to zakomunikuję. Sami zdecydują, czy pojedą z nami, czy nie. To zależy będzie wyłącznie od nich. O czym jeszcze rozmawiali?

Nie odpowiedziałam. Słyszałam tykanie wskazówek zegara odliczającego mijające

sekundy. Kusilo mnie, by wyznac jej, co mowili o jego zonie. Moglabym ja ostrzec. Ale pokusa byla krótkotrwała, a moment wahania jakby uszedł uwagi mamy.

- Och, nic takiego... nie pamietam... - odparlam z obojetną miną.

Po raz pierwszy, jak wspomnę, sklamalam jej wtedy świadomie.

Benedykt rzeczywiście nas rozdzielil.

Dziadkowie przyjechali do Londynu.

Rozczarowal mnie troche ich nabożny stosunek do Benedykta; całkowicie podbil ich serca.

Mieli dla niego nieklamany podziw i byli dumni, ze ich córka wychodzi za mąż za takiego niezwykłego człowieka.

Wiele i z nieslychanym przejęciem rozmawiano o zagadnieniach związanych z elektoratem Benedykta i o możliwościach powszechnych wyborów.

- W tej chwili szanse są dość nikłe - orzekł mój dziadek. - Na razie pozycja pana

Gladstone'a jest bardzo mocna, jezeli tylko znowu nie potknie się na sprawie Irlandii.

- To z pewnością kiedyś nastąpi - zauwazyła mama. - Ale dla nas korzystniej będzie, jezeli stanie się to później. Najpierw Benedykt musi dobrze dac się poznac jako polityk.

- Nie ulega wątpliwości, ze mu się to uda - dodala babcia z przekonaniem.

Mój kiepski nastrój od razu zwrócił uwage babci. Zaproponowala, ze się przejdzie ze mną po parku. Szybko się zorientowalam, ze pod pretekstem spaceru chciala ze mną spokojnie porozmawiac i wybadac, co mnie dręczy.

Był to jeden z tych późnojesiennych dni; mgła wisiala nisko nad ziemią, a leciutki wiaterek dmący od południowego zachodu - wilgotnawy, zostawiający lśniący blask na skórze, rozpraszał ją tylko nieznacznie. W powietrzu pachnialo jesienią, a z drzew smętnie zwisaly resztki brunatnych liści.

Kiedy mijalyśmy Serpentine, babcia zagaila:

- Odnoszę wrażenie, że się czujesz trochę... zaniedbywana. Czy nie mam racji, moja droga?

Milczałam chwilę. Ujęła mnie pod rękę.

- Nie powinnaś tak myśleć. Między tobą a twoją matką nic się nie zmieni.

- Czy to możliwe? - spytałam z naciskiem. - Przecież on nas rozdzielił.

- Polubisz go z czasem. On zastąpi ci ojca.

- Ojca mogę mieć tylko jednego.

- Moje najdroższe dziecko. Twój ojciec umarł, zanim się urodziłaś. Nigdy go nie znałaś.

- Wiem, że zginął, ratując życie ojca Pedreka. I nie chcę słyszeć o żadnym innym ojcu.

Przycisnęła silniej moje ramię.

- To jest dla ciebie zaskoczenie. Ludzie często tak reagują. Uważasz, że twoje życie się zmieni. To prawda. Zmieni się. Ale czy nie przyszło ci na myśl, że może to będzie zmiana na lepsze?

- Podobało mi się tak, jak było dotąd.

- Twoja matka jest bardzo szczęśliwa - stwierdziła babcia.

- Tak - przytaknęłam z goryczą. - To dzięki niemu.

- Ty i ona byliście dotychczas nierozłączne i bardzo się kochacie. Śmierć twego ojca sprawiła, iż tak mocno przyłgnęłyście do siebie; to było zupełnie naturalne. Wiem, że łączy was szczególna więź, której nikt i nic nie zdoła zerwać. Ale trzeba pamiętać, że twoja matka i Benedykt zawsze bardzo się ze sobą przyjaźnili, zawsze.

- Dlaczego zatem wyszła za mego ojca? Widocznie musiała go woleć od Benedykta.

- Benedykt wyjechał do Australii. Ich drogi się rozeszły. Zniknął z jej życia. Obydwoje poślubili kogoś innego - na początku.

- Tak, i mój ojciec zginął, ratując życie innego człowieka. Jego żona... zmarła również.

- Dlaczego mówisz w ten sposób, Rebeko?

- W jaki sposób?

- Jak gdyby było w tym coś dziwnego.

- Bo było rzeczywiście.

- Kto ci to powiedział?

Zacisnęłam usta. Nie miałam zamiaru zdradzić służby.

- Powiedz mi, co takiego słyszałaś - domagała się babcia.

Milczałam w dalszym ciągu.

- Proszę cię, Rebeko, powiedz mi - błagała.

- Jego żona umarła, a ludzie podejrzewali, że on ją zamordował. Podobno miał już jej dość... i dlatego nie wybrano go na posła. Dopiero później wyszło na jaw, że żona popełniła samobójstwo.

- To prawda - potwierdziła babcia. - Ludzie zawsze będą oczerniać innych, zwłaszcza jeśli są to osoby stojące wyżej od nich w społecznej hierarchii. Jest to rodzaj zazdrości.

- Niemniej ona naprawdę umarła.

- Rzeczywiście tak było.

- Wolałabym, by mama nie wychodziła za takiego człowieka.

- Rebeko, nie wolno ci wypowiadać o nim sądów, dopóki nie poznasz go bliżej.

- Znam go już dostatecznie dobrze.

- Nie, nie znasz. My nie znamy dobrze nawet naszych najbliższych. Benedykt kocha twoją matkę, jestem tego pewna, a ona kocha jego. Tyle czasu była sama. Nie próbuj zniszczyć ich szczęścia.

- Ja? Zniszczyć ich szczęście?

- Tak. Możesz to łatwo zrobić. Jeśli mama się zorientuje, że czujesz się niedobrze w nowym układzie, będzie się tym gryzła, i to źle wpłynie na ich małżeństwo.

- Nie sądzę, by dla niej istniało coś lub ktoś poza nim.

- W tej chwili twoja matka rzeczywiście może myśleć głównie o swym przyszłym życiu - o swoim szczęściu. Nie nastawiaj się wrogo do niego, Rebeko. Pozwól jej się radować. Ty też będziesz się cieszyć... za jakiś czas. Ale odgradzasz się od niego murem nieufności i uprzedzeń, a to nie doprowadzi do niczego dobrego. W przyszłości dojdiesz do wniosku, że w gruncie rzeczy twoje życie niewiele się zmieniło. To prawda, zamieszkas w innym domu. Ale czym są właściwie domy? Tylko miejscami do życia. A ty będziesz przyjeżdżała do Kornwalii; do mnie i do dziadka. Pedrek też tam będzie.

- Pedrek wyjeżdża do szkoły.

- Ale zostają wakacje. Nie myślisz chyba, iż uczęszczanie do normalnej szkoły uniemożliwi mu odwiedzanie dziadków?

- On jest bardzo bogaty, ten no...

- Benedykt. Rzeczywiście, jest teraz majątnym człowiekiem. Ale chyba nie czynisz mu z tego powodu zarzutu, co? Taka sytuacja jak twoja nie jest czymś wyjątkowym. Zdarza się niejednokrotnie. Dzieci i młodzież często reagują niechęcią, kiedy któreś z rodziców ponownie zawiera związek małżeński. Nie wolno ci wmawiać w siebie, że on jest jakimś łajdakiem. Życie nie jest bajką o Kopciuszku, z fałszywym mitem o złych i podłych macochach i ojczymach. Ty jesteś zbyt rozsądna, aby bajkę uznać za prawdę.

Zrobiło mi się lżej na sercu. Towarzystwo dziadków zawsze wpływało na mnie kojąco.

Czułam się przy nich tak dobrze i bezpiecznie. Zaczęłam powtarzać sobie w duszy: "Ich nie utracę nigdy. Oni zawsze mi pozostaną. Wystarczy do nich pojechać".

Babcia przycisnęła mocniej moje ramię.

- No, dalej - zachęcała mnie. - Mów, co ci leży na sercu.

- Ja... ja nie wiem, jak się do niego zwracać.

Zatrzymała się raptownie i spojrzała na mnie. Następnie wybuchnęła śmiechem. Ku swemu zdziwieniu roześmiałam się również.

Po chwili uspokoiła się i spoważniała.

- Ależ problem, doprawdy - powiedziała. - Jak masz go nazywać? Ojczymem? To nie brzmi zbyt fortunnie. Może po prostu ojcem?

- Nie będę go tak nazywała - oświadczyłam stanowczo. - Mój ojciec wprawdzie nie żyje, ale pozostaje moim ojcem.

Musiała zauważyć moje mocno zaciśnięte wargi.

- A więc dobrze. Nazywaj go wujem Benedyktem.

- On nie jest moim wujem.

- Jesteśmy częściowo spokrewnieni z jego rodziną... to bardzo odległe pokrewieństwo, sięgające kilku pokoleń wstecz, ale jest... możesz więc tak mówić z czystym sumieniem. Wuj Benedykt. Wuj Lansdon. A więc to cię dręczyło!

Wiedziała, że gryzłam się nie tylko tym. Ale ta rozmowa sprawiła nam obu wielką ulgę.

Doświadczyłam już nieraz, że przebywanie z babcią gwarantuje mi lepsze samopoczucie.

Mój nastrój poprawiał się z każdym dniem. Przekonałam siebie, że cokolwiek się stanie, zawsze będę miała oparcie w dziadkach. Co więcej - ogólna atmosfera w domu również się polepszyła, bo służba przestała się martwić o swoją przyszłość. Wszystkim zaproponowano przeniesienie się do Manorleigh. A ponieważ nowa siedziba miała być dużo większa od naszego obecnego domu, należało przypuszczać, że zostaną zatrudnieni nowi służący. Status państwa Emery znacznie się wówczas poprawi. Pani Emery będzie gospodynią, a jej mąż pełnoetatowym kamerdynerem. Ich niepokój zamienił się w radość, a ja doszłam do wniosku, że nie mam prawa psuć dobrego nastroju całemu otoczeniu.

Wkrótce podsłuchiłam kolejną rozmowę. Zdążyłam już nabrać w tym dużej wprawy,

ponieważ zawsze starałam się mieć oczy i uszy otwarte na to, co się wokół mnie dzieje. Jedną z przyczyn tej nieustannej czujności było niewątpliwie przepełniające mnie uczucie goryczy i rozżalenia. Ze względu na mój wiek starano się ukrywać przede mną pewne fakty. Byłam do tego przyzwyczajona, przy czym w przeszłości nie miało to dla mnie takiego znaczenia jak w tej chwili. Tym razem Jane i pani Emery rozmawiały o zbliżającym się weselu. Nie należały do wyjątków, jako że był to ulubiony temat całej służby.

Szłam na górę po schodach wyłożonych grubym dywanem, który tłumił odgłos kroków.

Drzwi do saloniku pani Emery były szczęśliwie do połowy uchylone. Pani Emery i Jane opróżniły zawartość kredensu przed przeprowadzką do Manorleigh. W tym okresie każdy z nas w jakiejś formie przygotowywał się do zmiany miejsca.

Wiedziałam, że podsłuchiwanie jest rzeczą naganną, ale w niektórych momentach przepuszczenie takiej okazji byłoby lekkomyślnością.

Musiałam wiedzieć wszystko, co tylko możliwe, o człowieku, który miał zostać mężem mojej matki. Była to dla mnie sprawa ogromnej wagi... tak jak i dla niej samej. Rozgrzeszyłam się przed sobą z tego przewinienia i bez najmniejszych skrupułów zaczęłam podsłuchiwać rozmowę w nadziei, że dowiem się czegoś ciekawego.

- Nie dziwię się - mówiła Jane. - Chodzi mi o to, jaka ona jest teraz... Mój Boże, widać, że jest w nim zakochana. Zachowuje się jak młoda dziewczyna. Musi pani przyznać, pani Emery, że on ma coś w sobie.

- To prawda, rzeczywiście tak jest - zgodziła się pani Emery.

- Mam na myśli - ciągnęła Jane - że jest to stuprocentowy mężczyzna.

- A idźże ty z tymi swoimi stuprocentowymi mężczyznami!

- Założę się, że w przyszłości zostanie premierem.

- Wolnego! Na razie nie jest jeszcze nawet posłem. Poczekamy, zobaczymy. Ludzie wciąż

pamiętają o pewnych rzeczach... a nawet jeśli nie, to znajdą się tacy, co im przypomną.

- Chodzi pani o jego pierwszą żonę. Ale przecież ta sprawa została wyjaśniona już dawno.

Ona popełniła samobójstwo.

- To prawda, tylko że ożenił się z nią dla pieniędzy. Ona, jak to się mówi, nie miała dobrze w głowie, jeśli wiesz, o czym myślę. Mówiono, że była trochę nienormalna. Po co taki mężczyzna jak on poślubia upośledzoną dziewczynę? Ale rozumiesz, tu chodziło o kopalnię złota.

- Kopalnię złota? - wyszeptała Jane.

- Źródło jego dzisiejszej fortuny. Na działce jej ojca odkryto złotodajną żyłę i pan Spryciarz dowiedział się o tym. Co zatem czyni? Żeni się z córką tego człowieka, ponieważ była jedynaczką i dziedziczyła po nim całą fortunę. W ten sposób położył rękę na złocie... Kopalnia przyniosła mu majątek.

- A może on się w niej zakochał?

- Jeżeli tak było, to raczej w złocie.

- A więc jemu nie zależy na pieniądzach pani M. On sam ma ich wystarczająco dużo.

- Och, przypuszczam, że w tym wypadku sprawa wygląda inaczej, niemniej pokazuje...

- Co pokazuje?

- Jakiego typu jest to człowiek. Konsekwentnie dąży do celu i stara się go osiągnąć, nie przebierając w środkach. Zasiądzie w Izbie Gmin, zanim zdołasz zmówić zdrowaśkę, a kiedy się już tam znajdzie, szybko będzie piąć się w górę i robić polityczną karierę.

- Jak widzę, wszystko to bardzo panią cieszy, pani Emery?

- Zawsze chciałam służyć u ważnych i znanych ludzi. Pan Emery też jest tego zdania. Coś ci powiem. Na nowym miejscu nie będzie czasu na nudę, zapamiętaj moje słowa. Ale dość już tej gadaniny. Wystarczy, panienko. W takim tempie jak teraz nigdy nie zdążymy opróżnić kredensu.

Nastąpiła cisza. Na palcach ruszyłam po schodach na górę.

Nie podobało mi się to, co usłyszałam. Benedykt ożenił się z pierwszą żoną wyłącznie dla kopalni złota, należącej do jej ojca. Ona sama natomiast zmarła później w tajemniczych okolicznościach.

Może z niego jest stuprocentowy mężczyzna, za jakiego uchodzi w oczach Jane. Ale mnie wcale się to nie podobało.

Nastał bardzo pracowity okres. Wkrótce miały się odbyć wybory uzupełniające do parlamentu. Mama, w towarzystwie Grace Hume, która na ten czas przerwała pracę w misji, pojechała do Manorleigh. Grace miała już pewne doświadczenie w tych sprawach, ponieważ w przeszłości pomagała Benedyktowi w prowadzeniu kampanii wyborczej.

Słyszałam wiele komentarzy na jej temat, jako że była bliską przyjaciółką pierwszej żony Benedykta. Prasa jednakże nie zatrąciła o tym ani słowem. Moja wiedza opierała się głównie na urywkach przyciszonych rozmów służby, jakie od czasu do czasu dobiegały do moich uszu.

Mama, jako narzeczona kandydata do poselskiego fotela, na spotkaniu z wyborcami wypadła doskonale.

Wuj Peter skomentował to następująco:

- Zawsze powtarzam, że najlepszym sposobem zdobycia głosów jest stworzenie wokół siebie aury romantyzmu.

Ja natomiast czułam się samotna, opuszczona. Miałam wrażenie, jakbym już nie miała mamy. Wszyscy byli tacy zajęci i mówili tylko o wyborach. Panna Brown z tej okazji zainicjowała cykl wykładów o angielskich premierach. Miałam po dziurki w nosie zarówno sir Roberta Peela i jego zwolenników, jak i awanturczego lorda Palmerstona.

- Jeżeli masz być członkiem rodziny polityka, musisz wiedzieć coś niecoś o ludziach, którzy rządzą naszym krajem - oświadczyła perfidnie panna Brown.

Nikt nie miał wątpliwości, że Benedykt Lansdon odniesie zwycięstwo w wyborach i

zostanie posłem, mimo iż to miejsce od ponad stu lat było w rękach torysów. Mówiono, że był niezmordowany; codziennie spotykał się z wyborcami w Manorleigh. Mama również często brała udział w tych spotkaniach.

- Ona ma tyle naturalnego wdzięku - stwierdził wuj Peter, który był świadkiem niektórych mityngów. - Jest wymarzoną żoną dla polityka... druga Helena. Żony to bardzo ważny element poselskiego gospodarstwa.

Wydawało się, że nic innego dla nich nie istnieje. Dziwił mnie mój własny stosunek do tej sprawy. Życzyłam mu przegranej, a jednocześnie czułam wyrzuty sumienia z tego powodu. Jego klęska byłaby wielkim rozczarowaniem dla wszystkich, których kochałam, a już najbardziej dla mojej mamy. Małe niepowodzenie dobrze by mu zrobiło, przekonywałam siebie obłudnie.

Wiedziałam jednak, iż nienawidzę go z głębi serca przede wszystkim dlatego, że jego pojawienie się położyło kres mej dotychczasowej szczęśliwej egzystencji.

Ku wielkiemu zadowoleniu całej rodziny odniósł upragnione zwycięstwo. Nigdy nie wątpiłam, że wygra. Zrobił już pierwszy krok. Został posłem do parlamentu z okręgu Manorleigh. Jego wygrana narobiła wiele szumu, ponieważ oznaczała klęskę torysów w tradycyjnie ich popierającym okręgu wyborczym.

Miałam okazję czytać o nim w prasie. Dziennikarze analizowali przyczyny sukcesu.

Benedykt był wykształcony, miał duże poczucie humoru i potrafił dowcipnie odpowiadać na kłopotliwe pytania. Przyznawali mu, że dobrze wypadł w kampanii wyborczej i że wydawał się mieć zalety predestynujące go do roli dobrego polityka. Był skoligacony z Martinem Hume'em, który pełnił ważne stanowisko w rządzie w administracji torysów - aczkolwiek znajdował się po przeciwległej stronie poselskich ław. Dla liberałów był to triumf. Pan Gladstone nie ukrywał zadowolenia.

Benedykt miał szczęście, że jego przeciwnikiem był mało znany w okolicy działacz

polityczny, gdy tymczasem on sam dał się poznać wyborcom już wcześniej, kiedy po raz pierwszy ubiegał się o miejsce w parlamencie. Był wówczas przekonany, że zwycięży, ale tajemnicza śmierć żony i związany z tym skandal przechylił szalę na korzyść rywala i wysiłki Benedykta skończyły się niepowodzeniem.

Teraz jednak wygrał i elektorat Manorleigh mógł sobie pogratulować wyboru posła, który zapowiadał, że będzie służyć swoim wyborcom z takim samym zapałem i energią, jaką odznaczał się podczas kampanii wyborczej.

Wuj Peter promieniał. Był niezmiernie dumny ze swego wnuka. W całej rodzinie zapanowała ogromna radość, ale nikt nie cieszył się ze zwycięstwa tak jak moja matka.

- Teraz - zapowiedziała - musimy bez zwłoki zająć się urządzaniem domu w Manorleigh.

Och, Beko, nie uważasz, że to będzie wielka przyjemność?

Czyżby? Bardzo byłam ciekawa.

Minęło Boże Narodzenie i w powietrzu czuło się już zapowiedź nadchodzącej wiosny.

Dzień ślubu zbliżał się nieubłaganie.

Starałam się usilnie odsunąć od siebie złe przeczucia. Kilkakrotnie próbowałam porozmawiać z mamą o Benedykcie. Chętnie podejmowała temat, ale nie zdradziła się z niczym, co miałyoby dla mnie istotniejsze znaczenie.

Dawniej często opowiadała o swym pobycie z moim ojcem i rodzicami Pedreka w Australii.

Tyle razy słyszałam już opowieść o małym górniczym miasteczku, w którym mieszkali, że doskonale mogłam je sobie wyobrazić: Szyby kopalni, sklep, w którym sprzedawano “mydło i powidło”, baraki służące im za mieszkania, wspólne uczyty i wesołe świętowanie, kiedy ktoś odkrył na swojej działce złotodajną żyłę. Oczami duszy widziałam poszukiwaczy złota, gdy zebrani wokół ogniska smażą na nim krwiste befsztyki. Ogień trzaskał wesoło, iskry sypały się jak deszcz, a czerwony żar rozświetlał ich rozgorączkowane, płonące niecierpliwością twarze. Prawie czułam

rozpierając ich żądzę złota.

Jak sobie wyobrażałam, ojciec mój różnił się korzystnie od innych ludzi. Był atrakcyjnym, energicznym i tryskającym energią poszukiwaczem przygód, człowiekiem, który przemierzył połowę kuli ziemskiej w pogoni za bogactwem. Matka opowiadała, że miał wesołe, niefrasobliwe usposobienie i że głęboko wierzył, iż któregoś dnia znajdzie upragnione złoto. Potrafiłam bardzo dokładnie stworzyć sobie jego obraz, który napawał mnie dumą. Jednocześnie było mi ciężko i smutno, że ominął mnie honor dorastania u jego boku i cieszenia się jego obecnością. Wreszcie chlubnym uzupełnieniem tego wizerunku była jego bohaterska śmierć dla ratowania życia przyjaciela. Dlaczego zginął? Dlaczego nie żyje? Gdyby żył, moja mama nie musiałaby wychodzić za mąż za Benedykta Lansdona.

Rozpaczliwie pragnęłam, aby wydarzyło się coś, co uniemożliwiłoby zawarcie tego małżeństwa, ale czas mijał, a każdy dzień przybliżał datę ślubu.

Starania Benedykta zostały wreszcie uwieńczone powodzeniem; udało mu się znaleźć wolny dworek. Wymagał wprawdzie gruntownego remontu, ale mama oświadczyła, że z radością przyłoży do niego rękę. Dworek pochodził z początków piętnastego wieku, ale za czasów Henryka VIII dwie niższe kondygnacje zostały przerobione. Jedynie górna część budynku zachowała w całości swój średniowieczny charakter.

Dwór sprawiał dobre wrażenie, choć naturalnie daleko mu było do Cador. Zachwyciłabym się nim bez zastrzeżeń, gdyby nie fakt, że należał do Benedykta. Do domu przylegał zaniedbany ogród, w całości otoczony murem z czerwonej cegły. Ogród bardzo mi się podobał; w tym miejscu można było stracić poczucie rzeczywistości. Mama była szalenie przejęta; wszystko, co teraz działo się w jej życiu, uważała za cudowne i godne zachwytu. Usiłowałam udawać obojętność, ale niezbyt mi to wychodziło. Manor Grange, bo tak nazywał się dworek, całkowicie opanował moją wyobraźnię. Z uwagą przysłuchiwałam się dyskusjom o średniowiecznej dachówce, pokrywającej

dach, i o zabytkowych tapetach. Głowiono się zwłaszcza nad remontem dachu. Ubytki należało bowiem uzupełnić oryginalną dachówką w dobrym stanie. Nie było to łatwe zadanie.

W dworku była długa galeria, do której mama zaczęła zbierać obrazy. Ciocia Amaryllis ofiarowała jej kilka płócien na początek, a dziadkowie polecieli jej wybrać sobie, co chce, z historycznej kolekcji zgromadzonej w Cadore. Dzieliłabym bez reszty jej entuzjazm, gdyby nie łączyła się z tym również osoba Benedykta.

Ponad galerią na poddaszu znajdowały się wielkie pokoje z pochyłym sufitem; miała w nich zamieszkać służba. Państwo Emery pojechali obejrzeć przeznaczone dla nich pomieszczenia i wrócili ogromnie zadowoleni. Stwierdzili, że bardzo się im podobają.

- Musicie się tam przenieść jeszcze przed naszym ślubem - uprzedziła mama. - Wszystko ma być gotowe do naszego powrotu. Dobrze by było, gdybyście pojechali tam tydzień wcześniej.

Pani Emery przyznała, że to doskonała myśl.

- Trzeba będzie zatrudnić więcej służby - rozmyślała głośno mama. - Koniecznie musimy się nad tym zastanowić.

Pani Emery od razu się z nią zgodziła. Promieniała dumą na myśl, że przybędzie jej podwładnych.

Ustalono, że meble, które mama pragnie zachować, zostaną przewiezione do nowej siedziby na kilka dni przed ślubem. Nasz dom zostanie wystawiony na sprzedaż, a ostatni tydzień obie z mamą spędzimy u ciotki Amaryllis i wuja Petera. Dziadkowie, którzy przyjeżdżali na ślub, także u nich mieli się zatrzymać.

Państwo Emery z radością przenieśli się do nowej siedziby; wraz z nimi pojechały Jane i Ann. Ci pierwsi bez zwłoki zaczęli poszukiwać kandydatów do pracy w naszym domu. W ich zachowaniu nastąpiła niewiarygodna zmiana, która dokonała się praktycznie w ciągu jednej nocy. Zrobili się niesłychanie ważni. Pani Emery sprawiła sobie czarną szeroką spódnicę na halce, która

szeleściła przy każdym ruchu. Zaczęła również nosić dżetowe korale i kolczyki; w jej pojęciu były to insygnia ważnego stanowiska w domu znanego polityka. Przyjęła nowy sposób bycia - władczy i surowy. Pan Emery zachowywał się podobnie. Jego służbowym strojem był teraz surdut oraz spodnie w prążki. Stanowisko osobistego kamerdynera pana Benedykta Lansdona, posła do parlamentu, to nie to samo co podręczny w niewielkim domu pani Mandeville.

Metamorfoza służby niesłychanie śmieszyła moją mamę. Zaśmiewała się do łez, widząc ich zachowanie i mnie również zarażając swoją wesołością. Zdarzały się więc momenty, kiedy czułyśmy, że jesteśmy sobie tak samo bliskie jak przedtem, nim Benedykt Lansdon wkroczył w nasze życie.

Oprócz rezydencji w Manorleigh Benedykt miał dom w Londynie. Był to wysoki elegancki budynek, wzniesiony w stylu georgiańskim, położony przy jednym z większych skwerów w mieście i wychodzący na otoczony murem, duży, ogrodowy kompleks. Przypominał siedzibę wuja Petera i ciotki Amaryllis, tylko że był oczywiście o wiele okazalszy. Przestronny hol, szeroka klatka schodowa i obszerny salon nadawały się świetnie do wytwornych przyjęć, jakie zamierzał wydawać pan poseł Lansdon. Nie wątpiłam, że będą się dobrze bawili - Benedykt już się o to postara i wie, jak to robić. Umeblowanie salonu odznaczało się wytworną prostotą: dominującymi kolorami były biel i czerwień przeplatane tu i ówdzie złotem. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek poczuję się dobrze w tym domu. Byłam przekonana, że zawsze będę tęsknić za naszym starym mieszkaniem i moim pokoikiem o połowę mniejszym od tego, który miałam zajmować tutaj. Pokój panny Brown był niewiele mniejszy od mojego. Sala lekcyjna położona na tym samym piętrze również bardzo się różniła od poprzedniego ciasnego pomieszczenia, w którym odrabiałam lekcje pod okiem guwernantki.

Panna Brown była równie zachwycona nową sytuacją co pan i pani Emery, chociaż nie demonstrowała swego zadowolenia tak otwarcie. Zastanawiałam się, czy z tej korzystnej zmiany w

naszym życiu nie cieszyłabym się tak jak oni, gdyby nie łączyła się z nią konieczność zaakceptowania Benedykta Lansdona.

Uroczysty dzień zbliżał się nieubłaganie. Służba wyjechała już do Manorleigh, a ja wraz z mamą przeprowadziłyśmy się do wuja Petera i ciotki Amaryllis. Szał przygotowań sięgnął zenitu. Nikt nie mówił o niczym innym jak tylko o ślubie.

Z Cador przyjechali dziadkowie. Pozwolono mi uczestniczyć w urządzonej z tej okazji uroczystej rodzinnej kolacji. Wuj Peter był zdania, że dzieci, które osiągnęły już w miarę rozsądny wiek, nie tylko mogą, ale nawet powinny brać udział w tego typu posiedzeniach. Przysłuchiwanie się rozmowom dorosłych wyrabia w nich ogładę towarzyską, rozwija umysłowo i dodaje pewności siebie. Muszę przyznać, że byłam oczarowana wujem Peterem. Do wszystkich odnosił się sympatycznie i był uprzejmy dla każdego, nie wyłączając dzieci. Przy nim zawsze miałam uczucie, jakbym była kimś ważnym. Nigdy nie traktował mnie z góry i nie przyjmował postawy “to nie dla dzieci”, tak typowej dla wielu dorosłych. Często zwracał się do mnie bezpośrednio, a niejednokrotnie, kiedy siedzieliśmy przy stole, rzucał mi znaczące spojrzenia; zdawało mi się wtedy, że między nami istnieje jakieś tajne porozumienie. Mówiono, że w przeszłości wuj Peter nie cieszył się reputacją uczciwego człowieka, ale to czyniło go jeszcze bardziej interesującym. Słyszałam o tym coś niecoś. Jego podejrzane interesy odstręczyły od niego wiele osób i zepchnęły na jakiś czas na margines publicznego życia. Wuj Peter był jednak człowiekiem twardym i nie przejmował się tym, co ludzie mówią. W rezultacie przetrzymał towarzyski ostracyzm i wyszedł z tej opresji bez szwanku. Tajemnicza przeszłość wuja Petera ogromnie mnie intrygowała, lecz chociaż usilnie starałam się dociec, jaki charakter miało jego przestępstwo, nikt nie chciał mi tego powiedzieć.

Dziwna rzecz, ale wuj Peter bardzo mi przypominał Benedykta. Przypuszczałam, że kiedy był w wieku swego wnuka, musiał być taki sam jak on. Obaj mieli ciemne strony w swoim

życiorysie, ale żaden z nich nie dał się zniszczyć ani pokonać. Obaj mieli w sobie coś niezniszczalnego. Nienawidziłam Benedykta. Musiałam wreszcie przyznać się przed sobą do tego uczucia. Wiedziałam jednak, że brało się ono przede wszystkim z lęku przed nim. Ponieważ jednak wuja Petera nie musiałam się obawiać, darzyłam go sympatią bez żadnych zahamowań. Nie ulegało wątpliwości, że wuj Peter cieszył się z małżeństwa wnuka; przy każdej okazji wyrażał swe zadowolenie. Wierzył też głęboko, że Benedykt wybije się jako polityk. On sam swego czasu również marzył o podobnej karierze; polityka była jedną z jego największych pasji. Niestety, głośny skandal, towarzyszący podejrzanym interesom, uniemożliwił zaspokojenie jego ambicji. Mimo to w pewien sposób nadal uczestniczył w życiu politycznym kraju za pośrednictwem zięcia, Martina Hume'a, znanego działacza politycznego. Słyszałam kiedyś zdanie: "Martin to marionetka w rękach Petera". Ciekawa byłam, czy rzeczywiście tak jest. Miałam podstawy, by w to wierzyć. A teraz znów Benedykt miał pójść w jego ślady. Jednej rzeczy byłam jednak pewna: Benedykt nigdy nie będzie niczyją marionetką.

Wuj Peter miał ogromny majątek. Równie zamożny był Benedykt. Podejrzewałam, że ich fortuny niekoniecznie powstały z uczciwej pracy.

Wiele bym dała, by móc dowiedzieć się czegoś więcej o tych sprawach. Niedobrze być dzieckiem... ludzie ukrywają przed tobą różne fakty i jedyne, co możesz zrobić, to skrzętnie zbierać wszelkie okruchy informacji i później, na ich podstawie, starać się wytworzyć sobie w miarę całościowy obraz.

Rozmowa przy stole toczyła się głównie wokół ślubu i miodowego miesiąca, który nowożeńcy zamierzali spędzić we Włoszech. Francja tym razem nie wchodziła w rachubę; mama spędzała tam miesiąc miodowy z moim ojcem. Opowiadała mi często o małym hoteliku w górach, z widokiem na morze, gdzie wówczas mieszkali.

- Na waszym miejscu nie przeciągałbym za długo pobytu za granicą - radził wuj Peter. - Nie

chcecie chyba, by ludzie z Manorleigh pomyśleli, że ich przedstawiciel zaniedbuje swój elektorat.

- Jedziemy na miesiąc - wyjaśniła mama, a widząc zaskoczenie na twarzy wuja Petera,

dodała: - To ja na to należałam.

- Rozumiesz zatem, że nie miałem wyjścia - wyjaśnił Benedykt. - Musiałem się zgodzić.

- Jestem pewien, że mieszkańcy Manorleigh podejną do tego ze zrozumieniem. Przecież miesiąc miodowy to szczególna okazja - wtrącił dziadek.

Mama uśmiechnęła się do wuja Petera.

- Zawsze powtarzasz, że ludzie uwielbiają romantyczne historie. Myślę, że rozczarowalibyśmy naszych wyborców, obdzierając się z tego nimbu.

- Może istotnie masz rację - przyznał wuj.

Kiedy po kolacji udałam się do swego pokoju, babcia poszła za mną na górę.

- Chciałam trochę z tobą porozmawiać - powiedziała. - Co zamierzasz zrobić ze sobą, kiedy oni wyjadą?

- Zostanę tutaj - odparłam.

- Czy naprawdę tego chcesz?

Zawahałam się. Czulość w jej głosie wzruszyła mnie do głębi. Poczułam dławienie w gardle i obawiałam się, że za chwilę wybuchnę płaczem.

- Nie... nie wiem - wyjąkałam.

- Tak też myślałam - uśmiechnęła się promiennie. - A może pojedziesz z nami? W drodze do Londynu rozmawialiśmy z dziadkiem, jak by to było przyjemnie, gdybyś trochę z nami pobyla.

Panna Brown pojechałaby z tobą... przecież nie ma znaczenia, czy przez ten czas będziesz w Cadór czy tutaj.

- Och, z przyjemnością.

- A więc załatwione. Ciotka Amaryllis nie będzie miała nic przeciwko temu. Ona wie, że

możesz czuć się tutaj nieco osamotniona, natomiast całkowita zmiana otoczenia... wszyscy wiemy, że kochasz Cador... nie mówiąc już o tym, że dla nas twoja obecność będzie wielkim szczęściem.

- Och, babciu! - wykrzyknęłam i rzuciłam jej się w ramiona.

Rozpłakałam się ze wzruszenia, ale ona udawała, że nie widzi moich łez.

- O tej porze roku nie ma to jak Kornwalia - dodała na zakończenie.

I pobrali się. Mama wyglądała prześlicznie w jasnowendowej sukni i kapeluszu tego samego koloru ze strusim piórem, przesłaniającym jej twarz. Benedykt prezentował się bardzo dystyngowanie. Panowała zgodna opinia, że oboje tworzą piękną parę.

Na ślubie było wiele ważnych osób. Wszyscy potem zjechali się do domu wuja Petera i ciotki Amaryllis na weselnego szampana.

Wuj Peter pozytywnie ocenił przebieg ceremonii. Uważał, że była niezwykle udana.

Natomiast moje samopoczucie znacznie się pogorszyło. Nadzieje na cud, który miał sprawić, iż małżeństwo nie dojdzie do skutku, rozwiały się jak bańka mydlana. Niebiosa odwróciły się ode mnie i nie wysłuchały gorących modlitw. Moja matka, pani Angelet Mandeville, była teraz panią Benedyktową Lansdon.

A on był moim ojczymem.

Goście zebrali się w salonie. Pocięto tort, wypito szampana i ogłoszono toasty. Nadszedł czas rozstania. Nowożeńcy zaczęli się zbierać do poślubnej podróży.

Mama poszła przebrać się do swego pokoju. Przechodząc obok mnie, powiedziała:

- Rebeko, chodź ze mną. Chcę z tobą porozmawiać.

Z radością podążyłam za nią.

Kiedy znalazłyśmy się w sypialni, odwróciła się i spojrzała na mnie uważnie. Na jej twarzy malował się niepokój.

- Och, Beko! - zaczęła. - Dużo bym dała za to, byśmy nie musiały się rozstawać.

Poczułam się ogromnie szczęśliwa, ale nie chcąc zdradzić przed nią swego wzruszenia, odparłam z udawaną obojętnością:

- Przecież wiedziałam, że nie zabierzesz mnie ze sobą w podróż poślubną.

- Będę za tobą tęsknić.

Kiwnęłam głową ze zrozumieniem.

- Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Tak się cieszę, że jedziesz z dziadkami do Kornwalii. Wiem, że wolisz być z nimi. Kochasz ich bardzo, prawda... i kochasz Cador...?

Przytaknęłam ponownie.

Objęła mnie mocno.

- Kiedy powrócę... będzie nam wszystkim tak dobrze ze sobą. Będziesz dzieliła z nami nasze życie...

Uśmiechałam się tylko i udawałam, że cieszy mnie ta zapowiedź. Nie pozostawało mi nic innego. Musiałam tak zrobić. Nie mogłam zniszczyć szczęścia, które - czułam - przepelniało po brzegi jej serce.

Stałam wraz z innymi, machając im na pożegnanie.

Babcia była tuż obok. Wzięła mnie za rękę i uściśnęła ją z całej siły.

Następnego dnia wraz z dziadkami wyruszyłam do Kornwalii.

Miesiące oczekiwania

Babcia miała rację. Wiosna jest z pewnością najpiękniejszą porą roku w Kornwalii. Od razu wrócił mi humor, kiedy tylko poczułam zapach morza. Stałam w oknie wagonu, obserwując migający przed oczami krajobraz Devon z jego czerwoną glebą i poszarpaną linią morskiego brzegu. Zanim zostawiliśmy za sobą bujną przyrodę tego hrabstwa, mknęliśmy przez kilka kilometrów wzdłuż wybrzeża, by następnie przejechać rzekę Tamar i przekroczyć granicę księstwa

Kornwalii, tej urzekającej krainy o niepowtarzalnym uroku, jakiego nie uświadczysz w całej Anglii.

Pociąg przyjechał na miejsce zgodnie z rozkładem jazdy. Na stacji powitał nas zawiadowca. Czekał już na nas także powóz z Cadour. Bardziej niż zwykle wzruszył mnie widok szarych kamiennych murów i wież zwróconych frontem do morza. Wiedziałam, że dobrze zrobiłam, przyjeżdżając tutaj.

Mój dawny pokój był dla mnie przygotowany. Podeszłam zaraz do okna, by popatrzeć na pikujące w powietrzu stada skrzeczących mew i na lekko zmarszczone południowo_zachodnim wiatrem białe grzywiaste fale.

Babcia zajrzała do mnie i rzekła:

- Cieszę się, że zdecydowałaś się przyjechać do nas - powiedziała. - Dziadek obawiał się, że może będziesz wolała zostać w Londynie.

Odwrociłam się ku niej.

- Jak widzisz, wolałam przyjechać tutaj - odparłam i obydwie wybuchnęłyśmy śmiechem.

Panna Brown również robiła wrażenie, że jest zadowolona z przyjazdu, chociaż podejrzewałam, iż z niecierpliwością wygląda chwili, kiedy wreszcie zadomowi się na dobre w swych eleganckich pokojach w Manorleigh i Londynie.

- Zmiana otoczenia ma również swoją dobrą stronę - stwierdziła. - Będzie stanowiła rodzaj pomostu między tym, co było dawniej, a tym, co cię czeka.

Tej nocy po raz pierwszy od dłuższego czasu spałam mocnym i spokojnym snem. Nie zakłócały go niejasne widziadła, jakie mnie ostatnio prześladowały. Benedykt Lansdon często pojawiał się w tych snach... jako postać dość złowroga. Nikomu nie wspominałam o tym, co mi się śniło. Wiedziałam, że powiedziano by zaraz, iż się do niego uprzedzam, i to wyłącznie z tego powodu, że nie chcę, by został moim ojczymem. I być może byłaby w tym nawet jakaś racja.

Następnego dnia przy śniadaniu babcia zagadnęła:

- Co zamierzasz dziś robić?

- Panna Brown uważa, że muszę ostro zabrać się do nauki. Ostatnio lekcje nie odbywały się zbyt regularnie i ona jest zdania, że musimy jak najszybciej nadrobić stracony czas.

Dziadek lekko się skrzywił.

- Czy to ma znaczyć, że wszystkie ranki będą zajęte nauką?

- Tak. Obawiam się, że tak.

- Czy ta zasada jest niepodważalna? - pytał dalej.

- Tak niepodważalna jak prawa starożytnych Medów i Persów - odparła babcia.

- Miałem nadzieję, że pojedziemy gdzieś razem konno - kontynuował dziadek. - Ale ponieważ rano spędzisz nad książkami, w takim razie wybierzemy się po południu.

- Powinniście odwiedzić Jacka i Marian - przypomniała babcia. - Oni będą mieli do ciebie pretensję, jeśli nie weźmiesz ze sobą Rebeki.

Jack był bratem mojej matki. Ponieważ to on miał odziedziczyć Cador, od dzieciństwa przygotowywano go do tego zadania i uczono, jak zarządzać dużym majątkiem. Jack odznaczał się taką samą uczciwością i szczerością, jaka cechowała jego ojca, i taki sam miał stosunek do pracy. Nie mieszkał z dziadkami w Cador, chociaż wiadomo było, że pewnego dnia wróci do siedziby swoich przodków. Jack wraz z żoną i pięcioletnimi bliźniętami osiadł w Dorey Manor - pięknym dworze z epoki elżbietańskiej. Byli częstymi gośćmi w Cador. Po ślubie nie chcieli zamieszkać z dziadkami, ponieważ woleli - przypuszczam, że z inicjatywy małżonki Jacka - gospodarować samodzielnie. Marian przepadała za swoją teściową, ale była typem kobiety, która w swoim domu lubiła rządzić niepodzielnie. Było to więc chyba najlepsze rozwiązanie.

Dorey Manor była rodzinną siedzibą mego dziadka i po jego ślubie stała się częścią posiadłości Cador.

- Pojedziemy do nich dziś po południu - oznajmił dziadek. - Zgadzasz się, Rebeko?

- Oczywiście! Bardzo chcę się z nimi zobaczyć.

- A więc załatwione. Powiem, by przygotowano dla ciebie Dandy'ego.

- Och, z przyjemnością!

Miałam uczucie, jakbym wróciła do domu. To była moja własna rodzina. Pamiętano o tym, co lubię, a czego nie. Przykładem mój drogi wierzchowiec Dandy, na którym zawsze jeździłam, będąc w Kornwalii. Imię zawdzięczał szczególnej dystynkcji, jaka cechowała jego zachowanie. Był piękny i jakby tego świadomy. Ruchy miał pełne gracji, a jego przywiązanie do mnie naznaczone było rodzajem pobłażliwego lekceważenia. "To prawdziwy dandys" - określił go jeden ze stajennych, i odtąd nazwa ta przylgnęła do niego na stałe.

Galopując po plaży, objeżdżając truchtem łąki, może zdołam zapomnieć na chwilę o tym, że Benedykt Lansdon odebrał mi matkę.

Babcia zwróciła się do mnie z niespodziewanym pytaniem:

- Czy pamiętasz High Tor?

- Ten piękny stary dwór? - zapytałam. - Zdaje się, że zyskał nowych właścicieli.

- Tak, Wescottów. Ale oni go jedynie wynajmowali. Sir John Persing nie pozostawił po sobie żadnej rodziny. Zarząd majątku chciał dom sprzedać... na razie jednak postanowili go wynająć. I w taki oto sposób Wescottowie trafili do High Tor. Teraz są tam już inni lokatorzy... Francuzi.

- Uciekinierzy - wyjaśnił dziadek.

- To ciekawe. Znacie ich?

- Mówimy sobie dzień dobry. Przybyli z Francji; wypędziły ich stamtąd rozruchy... A może postanowili opuścić kraj już wcześniej, widząc, na co się zanosi.

- Rozruchy?

- Tylko nie mów dziadkowi, że nie wiesz, co się działo we Francji. Będzie oburzony swoją niewiedzą.

- Tam była jakaś wojna czy coś w tym rodzaju?

- Rzeczywiście był to konflikt zbrojny z Prusakami, którzy spuścili Francuzom tęgie lanie.

Właśnie ta wojna sprowadziła w nasze strony Bourdonów.

- Czy to znaczy, że oni opuścili swą ojczyznę?

- Tak.

- Czy mają zamiar pozostać w Anglii na stałe?

Babcia wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. Na razie mieszkają w High Tor. Przypuszczam, że wynajęto im dom pod warunkiem, że w przyszłości nabędą go na własność. Myślę, że wiele będzie zależało od tego, jak rozwinie się sytuacja we Francji.

- Kim są ci Francuzi?

- Jest to małżeństwo z synem i córką.

- To bardzo interesujące. A jak odnosi się do nich miejscowa ludność?

- No cóż, tutejsi ludzie są uprzedzeni do obcych - powiedział dziadek.

- Panienska jest dość miła - stwierdziła babcia. - Na imię jej Celeste. Ma chyba jakieś szesnaście lat, prawda, Rolf?

- Coś koło tego - potwierdził dziadek.

- A młody człowiek, jej brat, bardzo dziarski... jak sądzisz, w jakim może być wieku: osiemnaście - dziewiętnaście lat?

- Przypuszczam, że tak. Zapytamy ich przy okazji. Chciałabyś ich poznać, Rebeko?

- Och, tak! Z przyjemnością. Odnoszę wrażenie, że ogólnie niewiele się tutaj zmieniło.

- No, nie. Oprócz najazdu Francuzów w zasadzie wszystko jest po staremu. Ubiegłoroczne

wiatry dały się nam nieco we znaki, poza tym rok byk wyjątkowo deszczowy, rolnicy bardzo narzekali. Pani Polhenny nadal tropi czarne owieczki w bożym stadzie, cytuje Biblię i grozi grzesznikom wiecznym potępieniem. Jej zdaniem większość z nas, oczywiście z jej chlubnym wyjątkiem, zasługuje bezwzględnie na taką karę. A Jenny Stubbs, jak była zwariowana, tak jest w dalszym ciągu.

- Czy nadal do siebie śpiewa?

Babcia skinęła głową twierdząco.

- Biedne stworzenie - powiedziała ze współczuciem.

- I wciąż żyje w przekonaniu, że będzie miała dziecko?

- Tak, wciąż, obawiam się. Ale dzięki temu jest szczęśliwa; my bardziej przejmujemy się jej losem niż ona sama.

- Zapowiada się ładny dzień - zauważył dziadek. - Już z góry cieszę się na popołudniową przejażdżkę.

Zostawiłam ich przy śniadaniowym stole, a sama poszłam na górę do swego pokoju.

W sali lekcyjnej czekała na mnie panna Brown.

Dandy był osiodłany i gotów do drogi.

- Miło, że panienka znowu do nas zawitała - przywitał mnie radośnie stajenny Jim Isaacs.

Odparłam, iż bardzo się cieszę z przyjazdu do Cador. Dalszą rozmowę przerwało nadejście dziadka.

- Cześć - powiedział. - Wszyscy gotowi? A zatem ruszamy w drogę, Rebeko.

Przyjemnie było jechać starym znajomym szlakiem, między łąkami bujnego polnego kwiecia, i wdychać powietrze przesycone balsamiczną wonią. Pachniały stokrotki, rzeżucha wodna i łąkowa oraz firletka pospolita. Ptaki zanosiły się śpiewem; wiosna była tutaj w całej pełni. Po raz kolejny utwierdziłam się w przekonaniu, że przyjazd do Kornwalii był najwłaściwszą decyzją, jaką

mogłam podjąć.

- Dokąd chcesz pojechać po wizycie w Dorey Manor? Nad morze, wrócić na wrzosowiska czy po prostu przejechać się polami?

- Wszystko mi jedno. Cieszę się, że w ogóle tu jestem.

- To jest właściwa postawa - wyraził zadowolenie dziadek.

Przyjechaliśmy do Dorey Manor. Ciotka Marian wyszła nam na spotkanie, trzymając bliźnięta za rączki.

Przywitała mnie serdecznie.

- Jack! - zawołała w głąb domu. - Chodź i zobacz, kto przyjechał.

Wuj Jack zbiegł szybko ze schodów.

- Rebeka! - Uściskał mnie czule. - Jak miło cię widzieć. Jak się miewasz?

- Doskonale, wujku. A twoje samopoczucie?

- Twój widok sprawił, że nie może być lepsze. Jak wypadł ślub?

Odparłam, że ceremonia przebiegła zgodnie z oczekiwaniami.

Bliźnięta ciągnęły mnie za spódnicę. Spojrzałam na nie. Dzieci, Jacco i Anna-Maria, były urocze. Jacco otrzymał imię po młodym człowieku, który utonął w Australii wraz z rodzicami, a Anna_Maria była skrótem dwóch imion: mojej babci - Annora - oraz matki małej - Marian. Skakały wokół mnie radośnie, ciesząc się, że przyjechałam. Anna_Maria spytała z powagą, czy wiem, że ma już cztery lata i dziewięć miesięcy i że w czerwcu będzie obchodzić swoje piąte urodziny. Następnie dodała, jak gdyby obwieszczając wielką tajemnicę: "Jacco również skończy tyle samo lat".

Wyraziłam wielkie zainteresowanie tym faktem, po czym wysłuchałam opowieści Jacco o postępach, jakie robi w jeździe konno.

Weszliśmy w głąb domu, z którego mój dziadek był bardzo dumny, a który swego czasu

popadł w zupełną ruinę. Dziadek razem z rodzicami odremontował go z wielkim pietyzmem.

Podobnie jak jego ojciec był prawnikiem, z radością jednak porzucił wyuczony zawód, by całkowicie oddać się sprawom Cador.

Jack pokazywał nam świeżo odnowioną piękną boazerię, a Marian tymczasem wniosła karafkę z winem domowej roboty. Rozmowa dotyczyła głównie spraw majątkowych oraz oczywiście ślubu i wesela. Marian ciekawa była najdrobniejszych szczegółów.

- Dla Angelet zacznij się teraz zupełnie inne życie - zauważył Jack.

- I bez wątpienia bardzo interesujące - dodała Marian.

Poczułam dobrze mi znane bolesne ukłucie w sercu. Odżyło uczucie smutku i urazy, które - wiedziałam - na długo we mnie pozostanie.

Wyjechaliśmy z Dorey Manor i zgodnie z naszym planem odbywaliśmy spacer po okolicy.

Byliśmy w tej chwili oddaleni od morza o jakieś dwa kilometry. Przed nami, na niewysokim pagórku, wznosiła się budowla z szarego kamienia.

- High Tor - oznajmił dziadek. - Prawdę mówiąc, jego nazwa niezbyt odpowiada rzeczywistości. To zaledwie małe skaliste wzniesienie, a nie wysoki szczyt.

- Niemniej silne wiatry nieźle muszą dawać się mu we znaki - zauważyłam.

- Ale jaki wspaniały widok stąd się roztacza na całą okolicę. Mury są grube i od ponad dwustu lat skutecznie przeciwstawiają się sztormom. Mogę się założyć, że wewnątrz Bourdonom jest ciepło jak w uchu.

- Jakie to przykre, kiedy się jest zmuszonym do ucieczki z własnej ojczyzny.

- Jest wyjście: zostać i odważnie stawić czoło wypadkom.

- To musi być trudna decyzja. Nie wyobrażam sobie, byś kiedykolwiek zdecydował się porzucić Cador.

- Mam nadzieję, że taka ewentualność nigdy nie zaistnieje.

- Cador bez ciebie, dziadku, nie byłoby tym, czym jest.

- Pokochałem go od pierwszej chwili, kiedy go ujrzałem. Ale do pewnego stopnia rozumiem decyzję tych ludzi. Pamiętaj, że krwawa Wielka Rewolucja Francuska to nie tak znowu odległe czasy, a obecna klęska, zadana im przez Prusaków, musiała wywołać we Francji niezłą panikę.

Jechaliśmy stępą wąską wijącą się ścieżką, kiedy w niedalekiej odległości usłyszeliśmy tętent końskich kopyt. W ślad za tym ukazała się para jeźdźców: dziewczyna około szesnastu lat i młody człowiek o kilka lat od niej starszy.

- Dzień dobry - pierwszy przywitał ich dziadek.

- Dzień dobry - odparli jednocześnie. Francuski akcent wyczuwany w tych dwu krótkich słowach wyraźnie wskazywał na ich narodowość.

- Rebeko - powiedział dziadek - to jest pan Jean Pascal Bourdon i panna Celeste Bourdon. Moja wnuczka, Rebeka Mandeville.

Dwie pary bystrych ciemnych oczu przyglądały mi się uważnie.

Dziewczyna była niebrzydka. Miała ciemne włosy i także oczy oraz oliwkową cerę.

Doskonale skrojony kostium do konnej jazdy podkreślał jej zgrabną młodzieńczą sylwetkę.

Osadziła konia na miejscu z gracją, która od razu rzuciła się w oczy. To samo można było powiedzieć o młodym człowieku. Był smukły, przystojny, miał gładkie, prawie czarne włosy i sympatyczny uśmiech.

- Czy dobrze się państwu mieszka w High Tor? - zagaił rozmowę dziadek.

- O tak... tak... bardzo dobrze, prawda, Celeste?

- Tak jest, doskonale - powtórzyła za bratem, starannie wymawiając słowa.

- To wspaniale. Moja żona zamierza zaprosić kiedyś państwa do nas na obiad - ciągnął dziadek. - Co państwo o tym sądzą?

- Byłaby to dla nas... un grand plaisir, wielka przyjemność.

- Waszych rodziców i was, zgoda?

- To naprawdę świetny pomysł - ucieszyła się dziewczyna.

A jej brat dodał:

- Tak, rzeczywiście, to doskonała myśl.

- Musimy ją szybko wprowadzić w czyn - oświadczył dziadek. - Rebeka mieszka w Londynie i nie wiemy, jak długo u nas zostanie.

- Bardzo nam będzie miło - odrzekli.

Mężczyźni uchyliłi grzecznie kapeluszy i rozjechali się w swoje strony.

- Sprawiają wrażenie bardzo sympatycznych ludzi - stwierdził dziadek.

Podzielałam jego zdanie.

- Myślę, że czas już wracać - powiedział dziadek. - Trochę za długo zabawiliśmy w Dorey.

Ale musiałaś przecież zobaczyć Jacka, Marian i bliźnięta.

W drodze powrotnej przejeżdżaliśmy obok domu pani Polhenny. Wszystkie okna były szczelnie zasłonięte. Przypomniała mi się Leah, schylona nad swoim haftem, ukryta za jedną z tych sztywnych firanek, i znowu pomyślałam o jej losie.

Babcia z zainteresowaniem wysłuchiwała relacji o spotkaniu z Bourdonami.

- Myślę, że nie należy zwlekać z ich zaproszeniem - oświadczyła.

W Cadore nie jadałam w sali lekcyjnej. Posiłki spożywałam w towarzystwie dziadków.

Oświadczyli, że widują mnie tak rzadko, że każda chwila spędzona ze mną jest dla nich bezcenna.

Panna Brown również zasiadała do stołu razem z nami.

Tego wieczoru rozmawialiśmy o Bourdonach. Babcia wysłała już list do High Tor, zapraszając Francuzów na obiad.

- Tak mi szkoda ludzi, których okoliczności zmusiły do opuszczenia własnego kraju -

powtarzała.

- Pod koniec ubiegłego stulecia w Anglii znalazło schronienie wielu uchodźców z Francji -
dodał dziadek.

Panna Brown wtrąciła się do rozmowy, dowodząc, że francuska rewolucja była strasliwym
doświadczeniem w dziejach ludzkości.

- Zajmiemy się tym tematem, kiedy skończymy historię angielskich premierów, Rebeko -
zapowiedziała i zwracając się do moich dziadków, dodała: - Uważam, że Rebeka powinna poznać
bliżej ich dzieje, ponieważ niedługo zetknie się bezpośrednio ze światem polityki.

- Wspaniały pomysł - pochwalił ją dziadek. - To muszą być bardzo zajmujące lekcje.

- Rola polityków jest taka ważna - zauważyła babcia.

- Kłopot w tym - ciągnęła panna Brown - że nie każdy nadaje się na takie stanowisko.

Nawet wybitnym jednostkom, niestety, nie brak wad, ale widocznie już tak musi być.

- Jak nam wszystkim - stwierdził filozoficznie dziadek.

- Taki Napoleon III, na przykład, na pewno ma niejedną wadę.

- Wiesz, kto to jest, Rebeko? - zapytał dziadek, który ilekroć nadarzyła się okazja, zawsze
starał się wciągnąć mnie do rozmowy.

- On był cesarzem Francuzów do wybuchu wojny z Prusami, mam rację?

- Tak. Ludzie, którzy uważają, że są predestynowani do rządzenia wyłącznie z tego
względu, iż w ich rodzinach zdarzyły się wybitne jednostki, popełniają wielki błąd. Napoleon był
tylko jeden. Niepotrzebny jest nam ani drugi, ani trzeci.

- Myślę, że w tym wypadku chodzi o nazwisko - wyraziłam swoje zdanie. - A oni mają
przecież do niego prawo.

- Jego ojcem był Ludwik Bonaparte, król Holandii, brat Napoleona Pierwszego, cesarza
Francji, a matką Hortensja Beauharnais, jego pasierbica - wyjaśniła panna Brown, która przy

każdej sposobności starała się wtłoczyć mi trochę dodatkowej wiedzy do głowy. - Od najmłodszych lat pragnął pójść w ślady swego wielkiego wuja.

- I dopiął celu. Został w końcu cesarzem - dodała babcia.

- Początkowo jednak spotykały go same niepowodzenia - kontynuował dziadek, który, podobnie jak panna Brown, żywo interesował się historią. - Jego zuchwałe próby wpływania na życie publiczne doprowadziły do tego, iż w rezultacie trafił na krótko do więzienia. Potem przebywał w Stanach Zjednoczonych, a następnie tutaj, w Anglii. Ale wybuch rewolucji w 1848 roku ponownie otworzył przed nim możliwości działania. Powrócił wtedy do Francji, gdzie został przewodniczącym Zgromadzenia Narodowego i zaczął ubiegać się o tron.

- Jego wysiłki zostały w końcu uwieńczone powodzeniem - zauważyła babcia.

- Tak, na pewien czas.

- Na całkiem długo, moim zdaniem - uzupełniłam.

- Pragnął stać się równie sławny jak jego wielki wuj, tylko że niestety nie miał jego geniuszu.

- I dokąd ten geniusz ostatecznie zaprowadził Napoleona? - spytała zaczepnie babcia.

- Na Elbę i Wyspę Świętej Heleny - wtrąciłam, pragnąc wykazać, że również dysponuję pewną historyczną wiedzą.

Panna Brown spojrzała na mnie z uznaniem.

- Wszystko potoczyłoby się dobrze - kontynuował dziadek - gdyby nie rosnące znaczenie Prus, z czym Napoleon nie chciał się pogodzić, nie doceniając jednocześnie ich potęgi. W rezultacie doprowadził do wojny z Prusami. Był przekonany, że z łatwością zdoła ich pokonać, dzięki czemu zyska sławę i umocni swą pozycję. Ale nie wziął pod uwagę zdyscyplinowania pruskiej armii. Powinien był zrozumieć, że bitwa pod Sedanem przypieczętowała ostatecznie jego los.

- I wtedy to Bourdonowie postanowili wyemigrować z Francji - wtrąciłam, pragnąc skierować rozmowę na ciekawsze dla mnie tory.

- Zaiste, duża zdolność przewidywania - mówił dalej dziadek. - Rewolucja w Paryżu...

klęska Napoleona III. W konsekwencji mamy cesarzową i jej syna w Camden House, w Chislehurst. Cesarz też tam od niedawna przebywa, tym razem jednak już nie jako więzień, lecz władca na wygnaniu.

- Jak Bourdonowie - dodałam.

Babcia uśmiechnęła się do mnie ze zrozumieniem.

- Nie powinno się poruszać tematów historycznych przy dziadku - rzekła. - Jak już raz wsiądzie na swego ulubionego konika, gotów jest mówić bez końca.

- Bo historia jest taką fascynującą dziedziną - zauważyła z uśmiechem panna Brown.

Właśnie wychodziliśmy z jadalni, kiedy posłaniec przyniósł list dla babuni.

Bourdonowie pisali, że z radością przyjmują zaproszenie na obiad.

Zjawili się punktualnie, a samo spotkanie wypadło bardzo ciekawie.

Państwo Bourdonowie byli, jak określiła to później moja babcia, typowymi Francuzami. On miał ciemne, kędzierzawe włosy i przystrzyżoną w szpic małą bródkę. Odznaczał się bardzo wytwornymi manierami. Całował ręce - nawet moje - i spoglądał na babcię z nietajonym podziwem. Pani Bourdon była przystojną kobietą, o wielkich brązowych oczach; jej wdzięk i żywotność sprawiały, iż wyglądała co najmniej dziesięć lat młodziej. Jediną jej wadą była skłonność do tycia. Miała nienaganną fryzurę, a jej bystre oczy obserwowały wszystko z wielką uwagą. Angielszczyzna gości pozostawiała wiele do życzenia, ale mnie wydawali się przez to tylko bardziej oryginalni i interesujący.

Dzieci przypominały rodziców i odznaczały się podobnymi cechami. Młody człowiek, na przykład, miał równie wykwintne maniery jak jego ojciec i wykazywał, podobną jak on,

wrażliwość na kobiece wdzięki. Córka natomiast pod względem szyku i elegancji była wierną kopia matki.

Cador, z jego historią i zabytkami, sprawiło na Bourdonach duże wrażenie. Babcia zaproponowała, że jeśli mają ochotę zwiedzić zamek, to po obiedzie gotowa jest im służyć za przewodnika. Pan Bourdon odparł, że będzie to dla niego wielki zaszczyt, a jego żona dodała, że z przyjemnością zobaczy zabytkowe wnętrza. Syn i córka powtórzyli jak echo słowa rodziców. Podczas obiadu opowiadali nam o straszliwych wydarzeniach, które zmusiły ich do opuszczenia Francji.

Dowiedziałam się, że pani Bourdon zna dość dobrze cesarzową Eugenię, a pan Bourdon należał do kręgu osób z bliskiego otoczenia Napoleona III.

- Teraz, kiedy para cesarska osiadła w Anglii, doszliśmy do wniosku, że powinniśmy pójść w ich ślady i w ten sposób zaakcentować naszą lojalność - oświadczył z wahaniem w głosie pan Bourdon.

Babcia zapytała, czy dobrze się czują w High Tor.

- Owszem... bardzo dobrze - brzmiała grzeczna odpowiedź.

- Czy macie państwo nadzieję na powrót do Francji? - zapytał dziadek.

Pan Bourdon splótł dłonie w zamyśleniu, wzruszając ramionami i kiwając głową z boku na bok.

- Może... tak. Może... nie. La Republique. - Uśmiechnął się krzywo. - Jeżeli cesarz powróci...

- Myślę, że dużo jeszcze wody upłynie, nim to się stanie - wyraził wątpliwość dziadek.

- A tymczasem przebywa na wygnaniu - dodała babcia. - Ciekawa jestem, jak się oni czują w tej sytuacji. Musi im być brak królewskiego blichtru i parady, do jakiej przywykli na francuskim dworze. Chislehurst to ciche miejsce.

- Może tego właśnie im potrzeba: ciszy i spokoju.

Zauważyłam, że Jean Pascal nie spuszcza wzroku z Jenny, pokojówki, która usługiwała do stołu. Spotkała się z jego natarczymym spojrzeniem, kiedy podawała mu półmisek z jarzynami.

Silny rumieniec wystąpił jej na policzki. Wiedziałam, że Jenny interesują młodzi mężczyźni.

Obiecałam sobie, że później ją zapytam, jakie wrażenie wywarł na niej młody Francuz.

Po obiedzie zaczęło się oprowadzanie gości po Cador.

Postanowiłam przyłączyć się do nich. Lubiłam słuchać o historii domu, zwłaszcza w relacji dziadka, który się nią pasjonował. Opisywał ją tak drobiazgowo i z takim zapałem, że babcia w obawie, iż znuży naszych gości, grzecznie sprowadziła rozmowę na inne tory.

Znaleźliśmy się w galerii, w której wisiały stare ozdobne gobeliny. Niektóre z nich liczyły około pięciuset lat. Pani Bourdon na ich widok wykrzyknęła z przejęciem.

- Cette tapisserie!... On został... jak by tu rzec... no... przerobiony, czy tak?!

- Chodzi pani o to, że poddano go renowacji. Rzeczywiście, tak jest. Był bardzo zniszczony.

Wydaje mi się, że teraz wygląda jak nowy.

- Ale... to jest bardzo dobra robota.

- Zauważyła pani?

- Moja żona... ona bardzo się tym interesuje - wyjaśnił pan Bourdon. - My też mamy parę tapisserie... bardzo dobrych... bardzo starych. Arrasów. Rozumie pani?

- Tak, oczywiście - odparła babcia. - Nie wątpię, że muszą być niezwykle piękne.

Jean Pascal, który naszym językiem władał lepiej od swoich rodziców, wyjaśnił, że wywieźli do Anglii część swej bezcennej kolekcji arrasów. Zamierzali dać je do renowacji we Francji, ale skoro tutaj jest taki znakomity fachowiec jak nasz, to chętnie z niego skorzystają.

- Gobeliny naprawiła nam dwa lata temu pewna młoda dziewczyna z sąsiedztwa - wyjaśniła

babcia. - Jak państwo zauważyli, zrobiła to fachowo. Jest zawodową krawcową, która również

doskonale haftuje. Jej wyroby cieszą się wielkim powodzeniem w Plymouth... nieźle jej za to płacą, o ile wiem.

Pani Bourdon zainteresowała się tą wiadomością.

- Mama byłaby pani ogromnie wdzięczna za adres tej hafciarki - powiedział Jean Pascal.

Babcia zamyśliła się. Zerknęła na dziadka.

- Jest to Leah - powiedziała do niego - i to trochę komplikuje sprawę. Wiesz, jaka była reakcja pani Polhenny, kiedy Leah miała u nas naprawiać gobeliny. - A zwracając się do gości, obiecała: - Porozmawiam z matką dziewczyny i zapytam ją, czy pozwoli córce popracować przez jakiś czas w High Tor. Widzicie państwo, jej matka woli, kiedy ona robi to na miejscu, w domu, a nie u klienta.

- Dobrze jej zapłacimy... - zaczął Jean Pascal.

- Proszę to mnie zostawić. Zrobię, co w mej mocy.

Na tym stanęło. Zaczęła się rozmowa o gobelinach i arrasach. Wynikało z niej wyraźnie, że Bourdonowie mają w swej kolekcji kilka bezcennych okazów, w tym jeden z Chateau Blois i drugi, który znajdował się w Chambord.

- Przewożenie ich tutaj było bardzo ryzykowne - wyjaśnił Jean Pascal - ale moja matka za nic na świecie nie chciała się z nimi rozstać. Niestety, niektóre z nich rzeczywiście uległy uszkodzeniu podczas transportu.

Kiedy się z nami zegnali, babcia zapewniła ich, że już jutro pójdzie do pani Polhenny, a potem bezzwłocznie da im znać o rezultacie swej wizyty.

Nazajutrz po południu babcia oznajmiła, że wybiera się do jaskini lwa, czyli do domu pani Polhenny. Zapytała, czy zechce jej towarzyszyć. Zgodziłam się z radością.

Poszliśmy spacerem do miasteczka, rozmawiając po drodze o Bourdonach i zastanawiając się, czy pani Polhenny zgodzi się, by Leah poszła do High Tor naprawiać gobeliny.

- Wynika z tego, że ona będzie musiała tam nocować przynajmniej przez kilka tygodni.

- A dlaczego nie może obyć się bez nocowania? Może przecież dochodzić.

- Jej zajęcie wymaga bardzo dobrego światła. Może się zdarzyć, że pofatyguje się na próżno, ponieważ w danym dniu światło będzie za słabe. Będąc na miejscu, wykorzysta każdą chwilę słońca.

- Dlaczego pani Polhenny nie chce jej od siebie puścić?

- Pani Polhenny wszędzie wietrzy zło, nawet kiedy go nie ma, i zawsze przewiduje najgorsze. Ona chce, by Leah żyła w izolacji od świata, w zaciszu własnego domu, pod czujnym okiem matki.

Doszliśmy do chaty. Szyby w oknach błyszczały, ułożona z małych kamyczków podłoga w patio lśniła czystością, a schody prowadzące na ganek były starannie wyszorowane. Zapukałyśmy do drzwi.

Nikt nam nie otwierał. Czekałyśmy, nasłuchując. Po dłuższej chwili wydało się nam, że w środku ktoś się poruszył. Babcia zawołała:

- To pani Hanson z Rebeką! Czy to ty, Leah?

Drzwi się otworzyły i na progu stanęła Leah. Była lekko zaróżowiona i chociaż sprawiała wrażenie nieco spłoszonej, wyglądała bardzo ładnie.

- Mamy nie ma w domu - oznajmiła. - Wezwano ją do Egham, na farmę. Pani Masters rodzi.

- Ach tak - odparła babcia i zapytała: - Czy możemy na chwilę wejść?

- Ależ tak, oczywiście. Proszę, niech panie wejdą do środka - zapraszała Leah.

Wprowadziła nas do saloniku. Uwagę moją zwróciły miedziane ozdoby, tak starannie wypolerowane, że prawie oślepiały swym blaskiem. Była tam też sofa z dwiema ułożonymi symetrycznie poduszczkami. Sztynno wykrochmalone, czyściutkie narzutki na oparciach krzeseł i

ochroniacze na poręczach miały zabezpieczać siedzenia przed nieczystym dotykiem ewentualnych gości.

Trwożnie przysiadłyśmy na brzeżkach fotelików.

- Czy mam powiedzieć mamie, aby przyszła do państwa, gdy wróci do domu? Nigdy nie wiadomo, jak długo poród potrwa.

- Wiesz, Leah, prawdę mówiąc, mamy sprawę do ciebie, a nie do twojej mamy - zaczęła babcia. Leah bądź co bądź miała już jakieś osiemnaście lat. Osiągnęła wiek, kiedy mogła samodzielnie podejmować decyzje. Miała jednak wyraźnie potulne usposobienie, a pani Polhenny była surową matką. - Znasz tych Francuzów?

- Tych z High Tor? - zapytała Leah.

Babcia skinęła głową twierdząco.

- Wczoraj byli u nas na obiedzie i przy okazji zobaczyli, jak wspaniale naprawiłaś nasze makaty.

- Och, pani Hanson, dla mnie to była przyjemność, a nie robota.

- Wiem o tym. Wprowadziło to do twego życia pewne urozmaicenie, nieprawdaż? Okazało się, że oni także mają piękne tkaniny. Wspominali coś o arrasach. Wiesz, co to takiego, Leah? Naturalnie, że musisz wiedzieć. Jest to najpiękniejsza odmiana gobelinów na świecie. Są bardzo stare i wymagają renowacji. Kiedy zobaczyli, jak pięknie odnowiłaś nasze gobeliny...

Leah była wyraźnie przejęta.

- Zwrócili się do mnie z prośbą, żebym ciebie zapytała, czy nie zechciałabyś wykonać podobnej pracy dla nich.

- Och, z przyjemnością bym się jej podjęła. Szczerze mówiąc, mam już dość haftowania ciągle tych samych motywów: pączków róży i motylków na spódnicach dam.

- Miałabyś pewną odmianę. I równocześnie, wyobraź sobie tylko: bierzesz do ręki rzecz,

którą wytworzono kilkaset lat temu!

- Tak, wiem o tym.

- Oni mają nadzieję, że przeniesiesz się do nich na czas swojej pracy. Potrzebne ci jest dobre oświetlenie, a codzienne dochodzenie do High Tor byłoby zbędną fatygą - wciąż tam i z powrotem.

Skinęła głową.

- Moja matka nie lubi, kiedy przebywam poza domem - powiedziała po chwili. - Nawet niechętnie zgodziła się na pobyt u państwa.

- Właśnie w tym celu przyszłam. Chcę z nią o tym porozmawiać. Obiecałam państwu Bourdonom, że to zrobię. Zapłacą ci dobrze. Myślę, że możesz im podyktować taką cenę, jaką uznasz za stosowne.

Przyglądałam jej się uważnie. Była śliczna, a teraz kiedy była taka podekscytowana, wydawała się jeszcze ładniejsza.

- Napiją się panie herbaty? - zapytała.

- Z przyjemnością - odparła babcia.

Zostałyśmy same. Rozejrzałyśmy się po niewielkim saloniku. Milczałyśmy zgodnie, ale przeczuwałam, jakie myśli chodzą po głowie mojej babci. Pokój sprawiał wrażenie martwego - nie było w nim duszy. W tym domu z pewnością nigdy nie zagościło szczęście. Za wiele w nim było pedantycznej troski o to, co w oczach jego właścicielki uchodziło za stosowne, a za mało dbałości o wygodę i stworzenie pogodnej atmosfery.

Kiedy popijałyśmy herbatę, pogryzając ciasteczka domowej roboty, do pokoju weszła sama pani Polhenny.

Wkroczyła prosto do saloniku. Była zaskoczona. Jej spojrzenie zatrzymało się przez chwilę na mnie, na skutek czego poczułam się lekko zakłopotana: czyżbym zachowywała się

niewłaściwie, a może naruszam nieskazitelnosc jej fotela obitego brązowym aksamitem?

- Pani Hanson... - zaczęła.

- Proszę mi wybaczyć to niespodziewane najście, pani Polhenny - tłumaczyła się babcia. -

Leah poczęstowała nas herbatą, a te owsiane ciasteczka pani roboty są wprost wyśmienite.

- Och - odparła, uśmiechając się pani Polhenny - cieszę się, że podjęła panie herbatą.

- Co się urodziło na farmie?

- Kolejny chłopczyk. - Twarz jej złagodniała. - Śliczny, zdrowy chłopaczek. Bardzo się cieszą. Poród trwał dość długo, ale wszystko poszło dobrze. Już ja dopilnuję, by i dalej tak było.

Zajrzę tam znowu później.

- Cieszę się, że się obyło bez komplikacji. Przyszliśmy tutaj z dość interesującą propozycją.

Wspominałyśmy już o niej Leah.

- Cóż to takiego?

- Wie pani o tym, że w High Tor mieszka rodzina francuskich emigrantów.

- Owszem, wiem.

- Leah wspaniale odnowiła nasze kilimy. Francuzi byli u nas wczoraj na obiedzie i zachwycili się jej robotą. Pragną dać jej do odnowienia także swoje gobeliny. Podobno mają bardzo cenne tkaniny, które pilnie wymagają reperacji. Chcą zatrudnić Leah.

Pani Polhenny zmarszczyła brwi.

- Leah ledwie nadąza ze stałymi zamówieniami.

- Ta praca ma inny charakter, a poza tym oni gotowi są bardzo dobrze jej za to zapłacić.

Wzmianka o pieniądzech wywołała błysk zainteresowania w oczach pani Polhenny.

- Leah musi się jednak przenieść do nich na ten czas, na tydzień, dwa, a może nawet dłużej.

Twarz pani Polhenny stężała.

- Przecież może pracować u nich, dochodząc do High Tor.

- To dość daleko... przebyć taką długą drogę dwa razy dziennie - rano i wieczór... Ale przede wszystkim chodzi o oświetlenie, o to, by wykorzystać do maksimum chwile słońca. Praca jest nader żmudna.
- Leah nie lubi przebywać poza domem.
- Nie sądzi pani, że pewne urozmaicenie dobrze jej zrobi? W High Tor będzie Leah wygodnie, a oni niewątpliwie okażą wdzięczność za to, że się podjęła tej roboty. Pani Bourdon mówiła o tkaninach z wielkim uczuciem. Widać, że jest do nich przywiązana. Proszę, niech pani o tym pomyśli, pani Polhenny.
- Myślę, że miejsce młodej dziewczyny jest w domu, przy matce.
- Ale ona przecież nie będzie daleko od pani.
- Nie mogą przywieźć gobelinów do nas, tutaj?
- To niemożliwe. Są ogromne, jak przypuszczam... i bardzo cenne.
- Niech sobie znajdą kogoś innego.
- Zachwycili się dziełem Leah. Dziewczyna ma wyjątkowe zdolności. Będzie to dla niej z korzyścią, pani Polhenny, zapewniam panią. Ich goście będą mieli okazję zobaczyć jej pracę, tak jak oni zobaczyli u nas. Nie wiadomo, co z tego może wyniknąć dla przyszłości Leah. Pewnie pani wie, że w Anglii przebywa obecnie cesarz Napoleon i cesarzowa Eugenia. Państwo Bourdonowie cieszą się przyjaźnią i życzliwością cesarskiej pary. Może Leah otrzyma zamówienie od kogoś z ich otoczenia.

Pani Polhenny zrobiła dość sceptyczną minę.

- Z tego, co słyszę, to grzeszne otoczenie.
- Och, pani Polhenny, nie może pani tak bezkrytycznie wierzyć we wszystko, co ludzie powtarzają. Myślę, że ta propozycja może otworzyć przed Leah wielkie perspektywy.
- Nie podoba mi się myśl, że moja córka będzie spędzała noce poza domem. Lubię czuć jej

obecność za ścianą swego pokoju.

- Niech pani nie odmawia tak od razu, pani Polhenny. Niech się pani zastanowi nad propozycją. Naprawianie naszych gobelinów sprawiało Leah wielką przyjemność, bo jest o wiele bardziej zajmujące, niż haftowanie ciągle tych samych motywów.

- U cudzoziemców.

- Oni są takimi samymi ludźmi jak my - wtrąciłam z oburzeniem.

Pani Polhenny spojrzała na mnie z naganą. W jej wzroku czytałam wyraźnie, że małe dziewczynki nie powinny się odzywać, kiedy się o to nie prosi.

- Zostawmy na razie tę kwestię - zaproponowała babcia. - Ale proszę się zastanowić. Leah opłaci się ten trud.

- Chcę, by wracała na noc do domu.

- To nie będzie możliwe. Ona musi mieć dobre światło do pracy, a pani wie, że u nas pogoda jest dość kapryśna. Rano może być słonecznie, a za chwilę niebo zajdzie chmurami i wtedy tylko na próżno straci czas. Poza tym do High Tor jest dość daleko. Niech pani to przemyśli. A ja porozmawiam jeszcze z panią Bourdon.

Na tym zakończyła się nasza wizyta.

W drodze powrotnej babcia powiedziała:

- Czasami odnoszę wrażenie, że pani Polhenny jest trochę niezrównowazona. Wielka szkoda, jest taką doskonałą akuszerką.

- I chyba również doskonałą gospodynią. Wszystko w jej domu jest takie uładzone, każda rzecz ma swoje miejsce. Ten porządek i czystość przynajmniej na mnie sprawiają odpychające wrażenie.

Babcia się roześmiała.

- Ja to nazywam fetyszem. Nie sądzę, by wychodziło im to na zdrowie. Ale tu chodzi o

Leah. Trudno czuć się szczęśliwym w takim domu. Biedna dziewczyna, nie jest łatwo sprostać wymaganiom takiej pedantki i perfekcjonistki jak jej matka. A sposób, w jaki ona pilnuje dziewczyny, jest doprawdy nienaturalny.

- Ona się boi, że Leah może się dopuścić czegoś... straszego.

Babcia przytaknęła i dodała:

- Mam nadzieję, że okaże trochę rozsądku. Staralam się ją przekonać. Wydaje mi się, że zauważyłam w jej oczach błysk zainteresowania, kiedy wspomniałam o pieniądzach.

- Ja także to spostrzegłam.

- Czas pokaże. Napiszę liścik do pani Bourdon i doniosę, że pani Polhenny sprzeciwia się, jak na razie, tej propozycji. Ale może, jeśli cena będzie dostatecznie kusząca...

Teraz wypadało tylko czekać.

Nadszedł list od mamy. Pisała, że jest bardzo szczęśliwa; wyrażała nadzieję, że jest mi dobrze u dziadków w Kornwalii. Do domu ciągnęła ją głównie tęsknota za mną. Cieszyła się, że mnie wkrótce zobaczy. Miała nadzieję, że zastanie mnie w Londynie, kiedy wrócą z podróży.

Pobędziemy tam kilka dni - pisała - a potem pojedziemy do Manorleigh. Będzie wspaniale. Na zakończenie dodała:

“Będziesz miała okazję pomóc nam w naszej publicznej działalności. To bardzo interesujące zajęcie i wiem, że Ci się spodoba. Och, Beko, będziemy tacy szczęśliwi... cała nasza trójka”.

A więc chciała zastać mnie w Londynie, kiedy wróci.

Pokazałam list babci.

- Jest szczęśliwa - stwierdziła babcia z uśmiechem. - To wyczuwa się z jej listu, prawda?

Nie uważasz? Powinniśmy cieszyć się jej szczęściem, Rebeko. Twoja mama zasługuje na to, by być szczęśliwa.

- Muszę być w domu, kiedy mama wróci - oświadczyłam.

- Dobrze. Odwieziemy cię z dziadkiem do Londynu. Chętnie wyrwę się stąd na parę dni.

Tak więc decyzja zapadła.

Ostatniego dnia rano przejechałam się konno, a panna Brown tymczasem pakowała nasze rzeczy. Po południu poszłam nad jezioro. Po drodze ujrzałam Jenny. Wyglądała na zadowoloną i nuciła sobie cicho, przekonana, że wkrótce znowu będzie miała dziecko.

Nie ulegało wątpliwości, że - jak twierdziła babcia - była osobą niezrównoważoną. Ale na podobne określenie, moim zdaniem, zasługiwała również pani Polhenny ogarnięta wieczną obsesją grzechu.

Jak nam jednak doniesiono, pani Polhenny połknęła haczyk w postaci wyższej zapłaty i zgodziła się na pracę córki w High Tor. Na razie Leah wykańczała bieżące zamówienia dla swych stałych klientów w Plymouth. Potem dopiero, po krótkim wypoczynku, miała się zająć renowacją bezcennych arrasów państwa Bourdonów.

Nazajutrz wyjechaliśmy do Londynu. Jak zwykle zatrzymaliśmy się u wuja Petera i ciotki Amaryllis. Mama i jej mąż mieli wrócić na drugi dzień po naszym przyjeździe.

Czułam się trochę niepewnie. Teraz dopiero uświadomiłam sobie z całą jaskrawością, jak mi było dobrze i spokojnie w Kornwalii. Podczas pobytu u dziadków zaprzętały mnie głównie takie sprawy, jak naprawa arrasów państwa Bourdonów, kaznodziejska działalność pani Polhenny czy radosny śpiew Jenny Stubbs, oczekującej na upragnione dziecko.

Ale te dni należały już do przeszłości. Teraz musiałam spojrzeć w twarz nowej ponurej rzeczywistości.

Wuj Peter tym razem wydał mi się nienaturalnie cichy. Zazwyczaj on głównie brylował w towarzystwie. Kiedy zapytałam go, jak się czuje, odparł, że nic mu nie dolega, że ma jak zwykle dużo zajęć i z niecierpliwością oczekuje powrotu nowożeńców z podróży poślubnej.

- Będziemy teraz świadkami ciekawych wydarzeń - stwierdził. - Benedykt nie jest człowiekiem, który będzie siedział z założonymi rękami.

Duma i uznanie brzmiące w jego głosie zdenerwowały mnie. Dlaczego wszyscy muszą się tak zachwycać tym człowiekiem i mają dla niego tyle respektu?

Nadszedł wreszcie wyczekiwany dzień. Przed dom zajechał powóz. Wszyscy wyszliśmy na zewnątrz, by ich powitać. Z głębi pojazdu wyłoniła się mama. Wyglądała prześlicznie, promieniała radością. Poczułam bolesny skurcz w sercu. Na poły z przykrością, a na poły z zadowoleniem skonstatowałam, że wydaje się równie szczęśliwa jak w dniu ślubu, a może nawet bardziej. Rzuciłam się jej w ramiona.

- Och, Beko, Beko - powtarzała. - Tak się za tobą stęskniłam. Tylko ciebie mi brakowało do pełnego szczęścia.

Benedykt uśmiechał się do mnie ciepło. Ujął moje ręce. Matka obserwowała nas, wyraźnie pragnąc, bym przywitała się z nim po przyjacielsku. Wiedziałam o tym i żeby nie sprawiać jej przykrości, uśmiechnęłam się do niego możliwie najbardziej sympatycznie.

Przywiozła mi w prezencie ozdobną plakietkę z porcelany do powieszenia na ścianie.

Namalowana na niej kobieca postać bardzo przypominała Madonnę della Sedia Rafaela. Widziałam kiedyś kopię tego obrazu i bardzo mi się podobał. Mama to zapamiętała.

- Śliczna rzecz - pochwaliłam.

- Razem to wybieraliśmy.

Uśmiechnęłam się do niego po raz drugi.

Po obiedzie miałam przenieść się z nimi do londyńskiej rezydencji Benedykta. Wcale jednak nie miałam na to ochoty. Nagle sobie bowiem uświadomiłam, że oto zaczyna się nowy etap w moim życiu.

Rozmowa podczas obiadu była niezwykle ożywiona. Ciotkę Amaryllis interesował głównie

przebieg podróży poślubnej we Włoszech. Natomiast wuj Peter dopytywał się o zawodowe plany Benedykta.

- Przede wszystkim musimy jak najszybciej jechać do Manorleigh - wyjaśnił Benedykt. -

Nie chcę, by moi wyborcy uważali mnie za malowanego posła.

- Czeka cię dużo zajęć, Angelet - ostrzegała mamę ciotka Amaryllis. - Wiem, jak to jest, na przykładzie naszej Heleny.

- Doskonale zdaję sobie z tego sprawę - odparła mama. - Będę musiała uczestniczyć w różnego rodzaju charytatywnych spotkaniach, organizować i otwierać wszelkiego rodzaju festyny, loterie i podobne imprezy na takie czy inne cele. Jestem na to przygotowana.

- Na pewno będzie wam się dobrze mieszkalo w Manorleigh - ciągnęła ciotka Amaryllis - i do tego macie jeszcze dom tutaj, w Londynie. Trudno o wygodniejsze rozwiązanie.

- To doprawdy dobrodziejstwo, że Manorleigh znajduje się tak blisko Londynu - stwierdził Benedykt. - Częste podróże nie dadzą się tak bardzo we znaki.

- A co by było, gdyby na przykład twój okręg wyborczy znajdował się w Kornwalii?

- Wypada mi jedynie dziękować Bogu, że tak nie jest.

Jeśli chodzi o mnie, nie miałabym nic przeciwko temu. Mogłabym wtedy przebywać większość czasu z dziadkami. Ale przecież i tak mogę ich odwiedzać... często. Muszę o tym pamiętać. Gdyby się kiedyś okazało, że mieszkanie z nim pod jednym dachem jest dla mnie nie do zniesienia - zawsze pozostają mi dziadkowie oraz bezpieczny azyl w Cadon.

Po obiedzie pojechaliśmy z mamą i jej mężem do jego domu. Dziadkowie zostali u wuja Petera i ciotki Amaryllis. Za kilka dni mieli wrócić do Kornwalii.

Kiedy przekraczaliśmy próg domostwa Benedykta, mama wzięła mnie za ramię. On trzymał ją pod rękę z drugiej strony. Ktoś postronny, widząc naszą trójkę, mógłby pomyśleć, że trudno o bardziej szczęśliwą rodzinę, a już na pewno nie przyszłoby mu do głowy, jaka burza sprzecznych

uczuć szaleje w moim sercu.

Ogrom tego domu przytłoczył mnie. Poczułam się w nim mała i zagubiona. Miałam też wrażenie, że jestem tu intruzem. Skoro tylko wkroczyłam w jego progi, doznałam takiego uczucia, jakby każdy element tej rezydencji dawał mi wyniośle do zrozumienia, jaka przypada mi w nim rola. Dom był urządony bogato i z przepychem. Rzuciły się w oczy ciężkie czerwone kotary, suto zmarszczone i ściągnięte po bokach szeroką opaską. W każdym innym domu takie zasłony z pewnością byłyby nie na miejscu, tu jednak pasowały wyjątkowo dobrze. Ściany były świeżo pomalowane na biało. Wytworne stylowe meble, pochodzące, moim zdaniem, z wczesnej epoki georgiańskiej, doskonale współgrały z ogólnym stylem tej pańskiej siedziby. Nad szeroką klatką schodową wisiał ogromny żyrandol. To na podeście najwyższej kondygnacji mama i jej nowy mąż będą witać swoich gości. Na pierwszym piętrze mieściła się także przestronna jadalnia oraz salon. Nigdy nie poczuję się dobrze w takim domu - przekonywałam siebie.

Pokój mój był duży i wysoki, z długim oknem wychodzącym na ulicę. Zdobily go zasłony z ciemnoniebieskiego aksamitu, zebrane w grube fałdy, oraz koronkowe firaneczki, które zasłaniały widok od zewnątrz. Łóżko miało niebieskie wezłowie, harmonizujące z kolorem zasłon. Podobne błękitne akcenty miał również dywan na podłodze. Był to piękny, ale niezbyt przytulny pokój, w którym trudno było o dobre samopoczucie.

Z zadowoleniem przyjąłam zapowiedź wyjazdu do Manorleigh.

Ten dom pokochałabym bez żadnych zastrzeżeń, gdyby nie fakt, iż należał do niego.

Czułam się tutaj trochę tak jak na wsi. W stajniach stały konie pod wierzch, można więc było odbywać dłuższe spacery konno. Samo Manorleigh to nieduże miasteczko; Manor Grange znajdowało się od niego stosunkowo blisko, kilka minut jazdy powozem. Panowała tu prawdziwie wiejska atmosfera.

Benedykt bardzo poważnie traktował swój okręg wyborczy i poświęcał mu wiele czasu i

uwagi. Chciał koniecznie udowodnić jego mieszkańcom, że nie mogli dokonać lepszego wyboru, i zachęcał ich, by go odwiedzali i opowiadali o swoich kłopotach.

Mama pomagała mu jak mogła, starając się usilnie stworzyć obraz idealnej żony polityka.

Prowadzili teraz niezwykle ruchliwe życie. Często wyjeżdżali na spotkania z elektoratem, rozrzuconym po licznych wsiach i miasteczkach w promieniu kilkunastu kilometrów.

- Twój ojczym pragnie, by każdy wyborca miał poczucie, że jest przedmiotem jego troski - oświadczyła mama.

Forma zwracania się do Benedykta stanowiła dla mnie nie lada kłopot. Mama chciała, bym nazywała go ojcem, ale nawet dla niej nie mogłam się na to zdobyć. Nie miałam pojęcia, jak on chciał, bym się do niego zwracała. Był zbyt inteligentny, by nie zdawać sobie sprawy, jakie uczucia do niego żywię, mimo iż mama starała się przed nim udawać, iż jestem przychylnie usposobiona. Nie należał jednak do ludzi, którzy by zaprzęтали sobie głowę takimi problemami. To tylko mama się tym dręczyła, chociaż starała się tego nie okazywać. Odpowiadało mi to, ponieważ gdyby powiedziała otwarcie, jak bardzo ją boli moje zachowanie, musiałabym je zmienić, a wcale tego nie chciałam. Teraz, z perspektywy czasu widzę, iż czerpałam z tej postawy pewnego rodzaju złośliwą satysfakcję.

Niemniej samo Manorleigh przypadło mi do gustu. Panna Brown także je polubiła.

Nadal omawiałyśmy sylwetki angielskich premierów. Obecnie uczyłam się o takich politykach, jak Disraeli i Gladstone.

- Jest oczywiście rzeczą naturalną - oświadczyła panna Brown - że wiele faktów z życia naszych współczesnych przywódców ukrywa się przed opinią publiczną. W odniesieniu do ludzi nieżyjących taka tajemnica nie jest już potrzebna: wszystkie ich sekrety i słabości wyciąga się na światło dzienne.

Często jeździłyśmy wspólnie konno, a od czasu do czasu wybierałam się na przejażdżki z

matką i jej mężem. Lubił te wyprawy. Robiły dobre wrażenie na wyborcach. Przypuszczam, że zależało mu na tym, by ludzie myśleli, iż tworzymy szczęśliwą rodzinę, i mimo swej nonszalancji zdawał sobie sprawę, że należy utrzymywać ten korzystny obraz.

Z czasem polubiłam swój pokój. Miał oprawne w ołów szyby, sufit przecięty wielką belką i z lekka spadzistą podłogę. Ale najbardziej podobał mi się widok, jaki miałam na ogród, na rozłożysty stary dąb, pod którym znajdował się słoneczny zegar i stała drewniana ławeczka. Dalej była sadzawka z kobiercem wodnych lilii oraz rzeźba greckiego boga Hermesa, wyposażonego w swe tradycyjne akcesoria: skrzydlate sandały, laskę zwieńczoną wężami i szeroki kapelusz. Kiedy spoglądałam na tę malowniczą scenerię, ogarniały mnie wielka błogość i spokój.

Z przyjemnością zapuszczałam się w wąskie alejki, między gęstwinę wysokich różanych krzewów, by w końcu spocząć chwilę na ławce pod cienistym starym dębem. Odpowiadała mi panująca tutaj kojąca cisza.

W ślad za stabilizacją naszej egzystencji w Manorleigh nastąpiło ożywienie towarzyskiego życia. Nastąpiła seria kolacji oraz tak zwanych wieczorków artystycznych, z udziałem znanych artystów, którzy urozmaicali spotkania grą na skrzypcach lub fortepianie. Zazwyczaj wiele ważnych osobistości brało w nich udział. Ja na szczęście nie miałam obowiązku w nich uczestniczyć, ale mama, wydaje się, bardzo je polubiła.

- Wiesz, Rebeko - oświadczyła pewnego dnia - mam wrażenie, że powoli zaczynam wchodzić w rolę żony dobrego polityka.

- Chciałaś chyba, mamusi, powiedzieć: dobrej żony polityka, bo sposób, w jaki to sformułowałaś, sugeruje, że chodzi nie o żonę, lecz o polityka, który jest dobry.

- A czyż nim nie jest?

- Nie sądzę, byś to miała na myśli.

- Cieszę się, że wiedza gramatyczna panny Brown nie poszła na marne. - Wydawała się

trochę zdenerwowana, jak zawsze, kiedy Benedykt - nawet wówczas, gdy nie padło jego imię - pojawiał się w naszych rozmowach.

Nie dało się jednak zaprzeczyć, że nowy styl życia bardzo jej odpowiadał.

- Uwielbiam spotkania z tymi ludźmi - wyznała. - Niektórzy z nich są wprawdzie trochę napuszeni i nadęci, ale za to potem mamy świetną okazję, by się z nich pośmiać i pożartować.

A więc tak to wyglądało. Dzieliła z nim przeżycia, od których ja byłam odcięta.

W głębi serca wiedziałam, że byłam niemądra i niesprawiedliwa. To ja z premedytacją odcinałam się od nich. Zdarzały się chwile, kiedy próbowałam zaakceptować sytuację, i czasami mi się to nawet udawało. Ale potem stare urazy znowu brały górę.

Pani Emery oświadczyła, że nie jest w stanie należycie sprostać swym nowym obowiązkom, ponieważ gotowanie zbytnio ją absorbuje.

- Oczywiście - zgodziła się mama. - Że też o tym do tej pory nie pomyślałam. Musimy koniecznie zatrudnić kucharkę.

Pani Emery z trudem ukrywała zadowolenie.

- Wydaje mi się - odezwałam się do mamy - że ona uważa, iż funkcja gospodyni domu jest ważniejsza niż kucharki, stąd ta jej satysfakcja.

- Pani Emery, rzecz jasna, będzie zarządzała całością naszego domowego gospodarstwa.

- Im bardziej my będziemy ważni, tym ważniejsza będzie i ona - zauważyłam.

- Naturalnie, że tak - przyznała mama.

Wiadomość, że nowy poseł potrzebuje kucharki, rozeszła się szybko po okolicy i niedługo potem w naszym domu pojawiła się pani Grant.

Mamie spodobała się od pierwszej chwili, a kiedy na dodatek dowiedziała się, że jej matka też była kiedyś kucharką w Manorleigh, podobnie jak i jej babka, zrozumiała, że nie mogła dokonać lepszego wyboru.

Pani Grant była sporej tuszy wesołą niewiastą o różowych policzkach i błyszczących niebieskich oczach. Miała bujne, dość nieporządnie utrzymane jasne włosy, a jej pulchna figura świadczyła, że równie chętnie oddaje się rozkoszom podniebienia, jak i gotowaniu.

- To dobrze o niej świadczy jako o kucharce - stwierdziła mama. - Trzeba lubić swoją pracę, jeżeli ma się ją właściwie wykonywać.

Pani Grant wzięła kuchnię w swoje niepodzielne władanie. Wkrótce stało się jasne, że zyskaliśmy istny skarb. Od początku pani Grant i ja poczułyśmy do siebie wielką sympatię. Szybko też zauważyła, że chętnie przebywam w ogrodzie.

Była wielce rozmowną osobą i lubiła, gdy przychodziłam do niej do kuchni. Szczególnie chętnie widziała mnie w porze, kiedy - jak mówiła - delektowała się filiżanką dobrej herbaty, pozwalając jednocześnie odpocząć swoim utrudzonym nogom.

- To jest moja największa przyjemność - wyjaśniła. - Kiedy się tak nadrepczę w ciągu dnia, wtedy chwila wytchnienia po południu jest dla mnie czystą rozkoszą.

Pewnego razu pani Grant powiedziała:

- Podoba ci się ten ogród, prawda? - Napełniła herbatą swoją i moją filiżankę. - Czy nie wydaje ci się, że on ma jakąś specyficzną atmosferę, że się różni od innych ogrodów?

- Tak, to prawda - przytaknęłam. - Rzeczywiście jest w nim coś szczególnego. Chyba stare drzewa o rozłożystych koronach nadają mu taki charakter. Mam nadzieję, że nikt nie odważy się ich ściąć.

- Ja też mam taką nadzieję. Im by się to nie podobało.

- Jakim "im"?

Skrzywiła się i wskazała na górę. Musiałam zrobić zdziwioną minę, ponieważ przybliżyła krzesło do mojego.

- Słyszałaś o domach nawiedzanych przez duchy?

Skinęłam głową twierdząco.

- W Manorleigh jest trochę inaczej. Tutaj duchy nawiedzają nie dom, lecz ogród.

- Naprawdę? Nigdy nie słyszałam, by w ogrodach straszyły duchy.

- Duchy mogą straszyć wszędzie. Niekoniecznie muszą nawiedzać domy. Odnoszę wrażenie, że ciebie coś tam ciągnie. Stale przesiadujesz pod starym dębem. Dlaczego?

- To miejsce emanuje jakimś dziwnym spokojem. Stanowi dla mnie coś w rodzaju azylu...

Kiedy tam siedzę, mam uczucie... jakbym oderwała się od rzeczywistości, znalazła się w jakimś innym świecie.

Skinęła głową.

- Zgadza się. To sprawa ducha. On zjawiał się właśnie w tym miejscu.

- Zjawiał?

- Teraz już nie ma potrzeby się pokazywać... od kiedy umarła panna Marta.

- Proszę mi opowiedzieć tę historię, pani Grant.

- To było za czasów mojej babki. Była tu kucharką. Panią domu została wtedy lady Flamstead. Babcia opowiadała, że była z niej piękna kobieta. Wyszła za mąż za właściciela tego domu, dużo od niej starszego. Jak on się nazywał?... sir Ronald, wydaje mi się.

- No i co się stało?

- Byli ze sobą bardzo szczęśliwi. Kochali się jak para gołąbków, opowiadała babcia. Cała służba ją uwielbiała. Była taka młoda i wszystkim się zachwycała i entuzjazmowała. Nie nawykła do bogatego życia. Dobrobytu i luksusu zaznała dopiero wtedy, kiedy wyszła za niego. Cieszył ją każdy drobiazg. Potem się okazało, że jest w ciąży. Babcia opowiadała, że trudno wprost opisać radość i podniecenie, jakie z tego powodu zapanowały w domu. Sir Ronald - przypuszczam, że on wcale nie był jeszcze taki stary - nie posiadał się z radości, a lady Flamstead, ta była w siódmym niebie.

- I co dalej? - pytałam zaintrygowana.

- Wszyscy bardzo się cieszyli. Robiono wspaniałe plany. Babcia opowiadała, że wydawać by się mogło, iż to oni pierwsi na świecie będą mieli dziecko. Przygotowano pokój dziecienny, zarzucono go zabawkami... A potem - lady Flamstead zmarła przy porodzie. Na świat przyszło dziecko, którego tak bardzo pragnęli, mała dziewczynka, ale matka przypłaciła życiem jej urodzenie.

- Jaka to smutna historia.

- Strasznie smutna, prawda? Trudno opisać przygnębienie, jakie zapanowało w całym domu po tej tragedii. Wszyscy mieli być tacy szczęśliwi. Widzisz, to lady Flamstead sprawiła, iż w tym domu była taka przyjemna atmosfera. Kiedy jej zabrakło, wszystko się zmieniło. Moja babka twierdziła, że sir Ronald... on nie był złym panem, ale w stosunku do ludzi zachowywał się z wielką rezerwą. Dopiero ona to zmieniła. Wszyscy ją kochali i oto teraz odeszła od nich na zawsze.

- Zostało dziecko - zauważyłam.

- Och, biedna panna Marta. Rozumiesz, on ją odtrącił. Przypuszczam, że myślał, iż gdyby nie to dziecko, to jego piękna młoda żona nadal by żyła. Zamiast niej miał pannę Martę: małą wrzeszczącą istotkę o czerwonej pomarszczonej twarzyczce. Nie chciał w ogóle na nią patrzeć. Unikał jej. Czasami tak już jest. Oczywiście nie brakowało jej niczego, miała wszystko, czego dusza zapragnie - najlepsze nianie, a później guwernantki. Była miłym stworzeniem - mówiła babcia. Lubiła przychodzić do kuchni, tak jak ty teraz. Ale wesołość nigdy już nie wróciła do tego domu, a dom bez śmiechu nie jest domem. Cóż to bowiem za dom, w którym wprowadzie roi się od służby, masz do syta jedzenia i picia, ogień w każdym kominku, abys nie marzła, i nic poza tym. Rozumiesz, o co mi chodzi.

- Dobrze rozumiem, co pani chce przez to powiedzieć, pani Grant. Kiedy zaczęło się to straszenie?

- Niech no sobie przypomnę... panna Marta miała dziesięć lat... była w twoim wieku, wydaje się, kiedy zaczęto coś podejrzewać. Wychodziła do ogrodu i siadała pod dębem na tej twojej ulubionej ławeczce. Rozmawiała... myśleliśmy, że mówi do siebie. Zmieniło się jej zachowanie. Przedtem była trudnym dzieckiem, wychowawczynie z wielkim wysiłkiem dawały sobie z nią radę. Lubiła robić na przekór, płała różne figle, wyrządzała psoty. Babcia twierdziła, że w ten sposób usiłowała zwrócić na siebie uwagę otoczenia, ponieważ myślała, że nic ojca nie obchodzi.

- Postępowanie sir Ronalda było bardzo niewłaściwe. Jak można obwiniać dziecko za śmierć matki!

- Och, on tego nie demonstrował tak otwarcie, tylko po prostu nie mógł znieść jej widoku. Przypuszczam, że jej obecność zbyt boleśnie przywodziła mu na pamięć zmarłą żonę.

- A więc dziewczynka zmieniła się, mówi pani?

- Stała się weselsza, jakby spokojniejsza, tak przynajmniej twierdziła moja babcia.

Codziennie siadywała na ławeczce i rozmawiała. Wszyscy myśleli, że coś dziwnego zaczyna się z nią dziać, że może pomieszało jej się w głowie.

- Co spowodowało taką zmianę w jej zachowaniu?

- Jednej ze służących przywidziało się, że zobaczyła w tym miejscu postać w bieli. Zapadał zmierzch. Mogły to być cienie. Dziewczyna przybiegła do domu, nieprzytomna z przerażenia. Tam natknęła się na pannę Martę, która zaczęła ją uspokajać. Powiedziała: "Nie obawiaj się. To moja matka. Jej duch przychodzi tutaj, by ze mną porozmawiać". To sporo wyjaśniło... tę zmianę w jej usposobieniu... i dlaczego tak ciągle przesiaduje w ogrodzie, pod tym dębem, a także dlaczego mówiła do siebie. Ale ona nie rozmawiała ze sobą, tylko ze swoją matką.

- A więc duch jej matki wrócił na ziemię...

- To więcej niż pewne. Nie mogła mieć w grobie spokoju; widziała, że jej dziecko jest

nieszczęśliwe. Panna Marta w stosunku do nas była również bardzo powściągliwa. Dziwna z niej była pani. Nigdy nie wyszła za mąż. Po śmierci ojca odziedziczyła cały majątek wraz z domem. Mówiono o niej, że żyła prawie jak pustelnica. Nie pozwalała dokonywać żadnych zmian w ogrodzie. Ogrodnicy wychodzili ze skóry, by ją przekonać o konieczności wycięcia tego czy tamtego, ale ona nie chciała o tym słyszeć. Dożyła późnego wieku. Moja matka pracowała wtedy w kuchni.

- Czy pani wierzy, że duch lady Flamstead naprawdę nawiedzał ten ogród?

- Moja babcia była pewna, że tak, a i inni też to potwierdzali.

- A zatem jest to miejsce, w którym mogą trafiać się różne niespodzianki?

Pani Grant przytaknęła i dalej popijała swą herbatę.

Po tej rozmowie często zaglądałam pod stary dąb. Siedziałam na ławeczce i rozmyślałam o pannie Marcie. Wczuwałam się w jej sytuację, chociaż nasze losy zupełnie nie były do siebie podobne. Ja miałam kochającą mamę, mimo iż nasze wzajemne stosunki rozluźniły się trochę w rezultacie jej ponownego zamążpójścia. Ale rozumiałam uczucia Marty. Była niepożądanym dzieckiem. Została odtrącona przez ojca, ponieważ jej przyjście na świat wiązało się z odejściem kobiety, którą bardzo kochał.

Nie była w stanie zastąpić ojcu straty ubóstwianej żony.

Pewnego dnia mama wyszła do ogrodu i spostrzegła mnie siedzącą pod dębem.

- Zauważyłam, że często tu przychodzisz - rzekła. - Podoba ci się ten zakątek, prawda?

Wydaje mi się, że polubiłaś również dom.

- Dom jest bardzo interesujący... zwłaszcza ogród... On jest zaczarowany, nawiedzany przez ducha.

Roześmiała się.

- Kto ci naopowiadał takich bajek?
- Pani Grant.
- Wiadomo, przedstawicielka starej gwardii. Moja droga Rebeko, każdy dom, który liczy więcej niż sto lat, musi mieć swego ducha.
- Wiem. Ale ten duch jest niezwykły. On jest tutaj, w tym ogrodzie.
- Wielkie nieba! Gdzie? - Mama rozejrzała się dookoła z udawaną ciekawością.
- Tu. W tym właśnie miejscu. Proszę cię, nie drwij. Jestem przekonana, że duchy nie lubią, gdy się je wyśmiewa. One bardzo poważnie traktują zadanie, które je zmusza do powrotu na ziemię.
- Widzę, że się świetnie orientujesz w sprawach nadprzyrodzonych. Tej wiedzy na pewno nie nabyłaś od panny Brown. Czy to pani Grant należy się za nią podziękowanie?
- Pozwól, że ci opowiem o tym duchu. Lady Flamstead była młodą żoną sir Ronalda. On ją uwielbiał, ale ona umarła przy urodzeniu dziecka. Sir Ronald nie mógł się przemóc, by pokochać córeczkę, która swym przyjściem na świat przyczyniła się do śmierci żony. W rezultacie to biedne małe stworzenie czuło się bardzo nieszczęśliwe. Ale pewnego dnia wyszła do ogrodu, a była w moim wieku, i usiadła na tej ławeczce. Wtedy przyszła do niej lady Flamstead, jej matka.
- Zdaje się, że wspominałaś, iż ona umarła.
- Mam na myśli jej ducha, który wrócił z zaświatów.
- Och! A więc to ona jest tym duchem!
- To nie jest żaden złośliwy duch, który pragnie kogoś skrzywdzić. Jest taki, jaka ona była za życia: dobra i miła, kochana przez wszystkich. Wróciła na ziemię tylko dlatego, że jej dziecko było nieszczęśliwe. Pani Grant twierdzi, że jej babka w to wierzyła, i że inni ludzie, którzy żyli w tym czasie, również byli o tym przekonani. Ale ty w to nie wierzysz, prawda?
- No cóż, takie legendy w miarę upływu lat mają tendencje do obrastania w rozmaite

dodatkowe wierzenia. Komuś się wydaje, że coś dostrzegł, ktoś inny doda coś do tego i już masz swego ducha.

- W tym wypadku było inaczej. Panna Marta zmieniła się od czasu, kiedy duch jej matki zaczął ją nawiedzać. Sprzeciwiała się wszelkim zmianom w ogrodzie.

- To dlatego przebywasz tutaj tak często. Spodziewasz się zobaczyć ducha?

- Nie sądzę, aby ona się mnie ukazała. Ona mnie nie zna. Ale czuję, że to miejsce ma w sobie jakiś niezwykły klimat, a kiedy na dodatek usłyszałam tę historię, zaintrygowało mnie ono jeszcze bardziej. Mamusiu, czy uważasz, że jest to możliwe?

Milczała chwilę, a potem powiedziała:

- Niektórzy ludzie uważają, że wszystko jest możliwe. Między matką a dzieckiem istnieje specjalna więź. Dziecko jest jakby częścią jej samej.

- Czy i w stosunku do mnie też masz takie uczucie?

Odwróciła się ku mnie i skinęła głową twierdząco.

Poczułam się bardzo szczęśliwa.

- Zawsze tak będę czuć, kochanie - zapewniła. - Nic tego nie zmieni.

Zaczęła mi mówić o swej miłości do mnie, że się nie zmieniła, a ja słuchałam jej słów z niewypowiedzianą radością w duszy. Zaczęłam myśleć, że może w końcu zdołam pogodzić się z faktem, iż Benedykt stał się trwałym elementem naszego życia. Nie byłam w sytuacji biednej Marty. Miałam matkę, która mnie kochała. Wszystko było naprawdę tak jak dawniej, przed jej zamążpójściem. Nic nie zdoła tego zmienić.

Minęło kilka miesięcy. Zadomowiliśmy się już na dobre w Manor Grange i życie zaczęło biec normalnym torem. Mama była całkowicie pochłonięta polityczną działalnością męża i wyraźnie polubiła nowy styl życia. Często jeździli do Londynu, ale zawsze mnie wtedy pytali, czy mam ochotę im towarzyszyć. Zazwyczaj wołałam zostać na wsi. Panna Brown twierdziła, że nie

powinnam opuszczać lekcji, ponieważ wszelkie wyjazdy wprowadzały zamęt w rozkład zajęć.

Tworzyły się zaległości, które później trzeba było nadrabiać.

Często myślałam o Kornwalii, która tak bardzo różni się od krajobrazu Manorleigh. Tutaj pola przypominały starannie dopasowane łatki na pikowanej kołdrze. Nawet drzewa w lesie wyglądały, jakby je ogrodnik regularnie przycinał. Prawie nigdy nie zdarzyło mi się spotkać powykręcanych

w

dziwaczne,

często

karykaturalne,

kształty

konarów

-
ofiar

południowo_zachodnich wiatrów, będących częstym zjawiskiem w Kornwalii. Tutaj, w rejonie Manorleigh, wioski i miasteczka koncentrowały się głównie wokół kościółków, których szpiczaste wieże górowały nad kępami zieleni. Wszędzie panowały ład, porządek i dbałość o wygodę.

Brakowało jednak fantazji i owej odrobiny szaleństwa, jaka cechowała przyrodę oraz życie i charakter mieszkańców Kornwalii.

Często przypominało mi się życie w Cador i jak zawsze w takich razach ogarniała mnie wielka tęsknota za tym niepowtarzalnym miejscem na ziemi. Dziadkowie pisywali systematycznie. Wciąż się dopytywali, kiedy do nich przyjedziemy.

Na razie taka możliwość wydawała się dość odległa. Trzeba było dbać o wyborców, a

Benedykt Lansdon, motywowany swym dalekosiężnym celem, nie szczędził wysiłków, by im się

przypodobać. Mama starała się mu pomagać z całych sił. Miałam zatem do wyboru: zostawić mamę dla dziadków lub odwrotnie. Wolałam jednak zostać z mamą, ponieważ od naszej rozmowy w ogrodzie postanowiłam zrewidować swój stosunek do ojczyzny i w miarę możliwości pozbyć się do niego dotychczasowych uprzedzeń. W głębi duszy nie byłam jednak wcale taka pewna, czy mi na tym zależy.

Nadszedł listopad. Często nawiedzała mnie myśl o Kornwalii. Jezioro Świętego Branoka, spowite jesienną mgłą, wyglądało o tej porze roku dziwnie groźnie i tajemniczo. Chętnie tam chodziłam z panną Brown, nigdy sama, ponieważ podświadomie tkwiła we mnie obawa, że może mi się przydarzyć coś złego. Zawsze więc towarzyszył mi Pedrek, mama lub moja guwernantka. Poza tym czułam się zawiedziona, ponieważ nigdy nie udało mi się usłyszeć dźwięku dzwonów, które jakoby znajdowały się na dnie jeziora. Byłam dzieckiem o bujnej wyobraźni, być może dlatego, że od wczesnego dzieciństwa dziadek karmił mnie legendami, w które obfituje historia Kornwalii. W Manorleigh ludzie byli bardziej rzeczowi i mniej skłonni do fantazjowania. Dobrze, że przynajmniej nawiedzał nasz ogród duch lady Flamstead.

Pewnego wieczoru, kiedy leżałam już w łóżku, zajrzała do mnie mama.

- Nie śpisz jeszcze? - zapytała. - To dobrze. Mam ci coś ważnego do zakomunikowania.

Usiadłam w pościeli, a ona wyciągnęła się obok mnie i ogarnęła ramieniem, tak jak to zwykła czynić dawniej.

- Pragnę cię o czymś poinformować, nim wszyscy inni się o tym dowiedzą.

Czekałam w napięciu.

- Rebeko - powiedziała - czy chciałabyś mieć małego braciszka lub siostrzyczkę?

Milczałam. Powinnam była liczyć się z taką ewentualnością, ale nigdy myśl o tym nie zagościła dłużej w mojej głowie. Byłam całkowicie zaskoczona, a w mej duszy kłębiły się sprzeczne uczucia.

- Chciałabyś tego, Beko, prawda? - zapytała po raz drugi z prośbą w głosie.

- Och! Chcesz powiedzieć, że będziesz miała dziecko?

Skinęła głową i odwróciła się ku mnie. Promieniała radością; nie miałam wątpliwości, że ona gorąco tego pragnęła.

- Zawsze mi się wydawało, że chciałabyś mieć małą siostrzyczkę. Nie miałabyś chyba jednak nic przeciwko braciszкови, prawda?

- Tak... - wyjąkałam. - Oczywiście... bardzo bym chciała.

Po tych słowach przylgnęłam do niej jeszcze mocniej.

- Wiedziałam, że będziesz zadowolona - powiedziała z radością.

Zaczęłam się zastanawiać nad nowiną. Pojawienie się dziecka pociągnie za sobą duże zmiany w naszym życiu. Ale braciszek lub siostrzyczka - owszem, całkiem mi to odpowiadało.

- Ono będzie bardzo małe - odezwałam się z zastanowieniem.

- Tylko w pierwszym okresie, tak jak my wszyscy. Jestem przekonana, że będzie to niezwykle dziecko, nie na tyle jednak nadzwyczajne, by od razu stać się dorosłym.

- Kiedy to nastąpi?

- O, jeszcze nie tak prędko. W lecie... chyba w czerwcu.

- A co on na to?

- Twój ojczym? Och! Nie posiada się z radości. Naturalnie, że chciałby, aby to był chłopiec.

Wszyscy mężczyźni pragną, by pierwszy urodził im się syn. Jestem jednak przekonana, że jeśli nawet urodzi się dziewczynka, też będzie zadowolony. Ale powiedz mi prawdę, Rebeko, cieszysz się z tego?

- Tak - odparłam z wolna. - Cieszę się.

- Bardzo jestem z tego powodu szczęśliwa.

- Ale to nie będzie moja rodzona siostra?

- Jak widzę, jesteś z góry przekonana, że to będzie dziewczynka. Wydaje mi się, że to by ci bardziej odpowiadało.

- Ja... doprawdy nie wiem.

- To dziecko będzie twoim przyrodnim bratem lub siostrą.

- Rozumiem.

- To wspaniała wiadomość, prawda? Cała rodzina bardzo się z niej ucieszy.

- Czy powiadomiłaś już dziadków?

- Jeszcze nie. Napiszę do nich jutro. Najpierw chciałam się upewnić. Och, jak to będzie cudownie! Oczywiście, później nie będę w stanie tak czynnie udzielać się publicznie jak w tej chwili. Będę głównie przesiadywała tutaj, w domu.

Wciąż tuliła mnie mocno do siebie.

Miała rację. Będzie wspaniale.

Wiadomość poszła w świat. Dziadkowie byli uszczęśliwieni. Napisali, że zamierzają przyjechać do nas na Boże Narodzenie. Wuj Peter również był zdania, że to wyjątkowo pomyślna nowina. Wyborcy lubią, gdy życie rodzinne ich reprezentantów dobrze się układa i gdy do tego dochodzą jeszcze dzieci.

Pani Emery uważała, że nie może być lepszej wiadomości. Jane i Ann, wraz z ostatnio zaangażowanymi pokojówkami, były nad wyraz przejęte perspektywą maleńkiego dziecka w domu.

Ucieszyłam się ogromnie na wiadomość, że dziadkowie wybierają się do nas na święta.

Było to nasze pierwsze Boże Narodzenie w Manor Grange. Dom przystrojono gałązkami ostrokrzewu, bluszczu i jemioly. Przyciągnięto tradycyjną świętą kłodę, by spalić ją uroczyście w wigilijny wieczór. Boże Narodzenie spędziliśmy w gronie rodziny, ale następnego dnia odbyło się wielkie przyjęcie z udziałem wielu ważnych partyjnych przyjaciół Benedykta. Pani Grant

oświadczyła wprawdzie, że pada z nóg, ale przyznała, że tak właśnie powinno być. Wyraziła wątpliwość, czy w przeszłości Manor Grange był świadkiem takich wystawnych przyjęć jak te, które zaczął urządzać jego nowy właściciel od chwili, kiedy został posłem.

“Tak długo, jak wystarcza mi czasu na popołudniową herbatkę i na odpoczynek dla spracowanych nóg, poradzę sobie” - mówiła. I radziła sobie doskonale. Dla pana i pani Emery była to okazja do wykazania się swymi walorami i zademonstrowania swej przydatności. On starał się udowodnić, że trudno o bardziej dystyngowanego kamerdynera, a ona - że pełnione przez nią stanowisko gospodyni domu nie jest pospolitą synekurą.

Rankiem w Boże Narodzenie udaliśmy się całą rodziną do kościoła. Do domu wracaliśmy na piechotę, polami. Babcia wsunęła mi rękę pod ramię, mówiąc, że bardzo ją cieszy, iż widzi mnie w lepszym nastroju. Dodała jeszcze, że to wspaniale, iż zyskam wkrótce braciszka lub siostrzyczkę. Boże Narodzenie przeszło w atmosferze spokoju i wzajemnej życzliwości. Dominował nastrój nadziei i optymizmu. Nawet Benedykt wydał mi się - no, może nie tak do końca - dość sympatyczny. Zresztą trudno go było nie podziwiać; każdego traktował uprzejmie i z kurtuazją - wszystkich tych partyjnych dygnitarzy. Miał swobodny i bezpośredni sposób bycia, odbiegający może nieco od sztywnych manier niektórych gości, ale ta otwartość czyniła go tylko bardziej wiarygodnym w oczach innych.

Troskliwie czuwał nad moją mamą, strofując ją bezustannie, iż się nadmiernie przemęcza.

Dziadków cieszyła ta dbałość zięcia o ich córkę. Byli naprawdę bardzo szczęśliwi; teraz, kiedy babcia się przekonała - a i dziadek, jak przypuszczam, również - że pogodziłam się z sytuacją, nic już nie mąciło ich spokoju.

Mama uskarżała się ze śmiechem, że wszyscy traktujemy ją jak półinwalidkę. Powinni pamiętać, że nie jest pierwszą kobietą na ziemi, która spodziewa się dziecka. Czuje się doskonale, zapewniała nas... czy wreszcie przestaniemy robić wokół jej osoby tyle szumu? “To dotyczy

również ciebie, Benedykcie” - dodała.

Wszyscy się roześmieli i tak przeszło to Boże Narodzenie w szczęściu i spokoju, nawet dla mnie... ostatnie, jakie miałam przeżyć w takim nastroju, na długie, długie lata.

Miałam wrażenie, jakbym do pewnego stopnia na nowo odzyskała mamę. Były dni, kiedy czuła się zmęczona i potrzebowała wypoczynku. Staralam się wtedy być przy niej. Bardzo lubiła, kiedy jej czytałam na głos, na przykład “Jane Eyre”, powieść, do której, zdaniem panny Brown, jeszcze nie dorosłam, ale mama była odmiennego zdania.

Ani mama, ani dziadkowie nie starali się tajić przede mną prawdy o drastycznych stronach życia, jak to czyni większość nazbyt troskliwych opiekunów. Uważali, że ponieważ życie prędzej czy później i tak ukaże mi swoje brutalne oblicze, lepiej będzie, jeśli w miarę wcześnie mnie do tego przygotowują, wyjaśniając i tłumacząc różne zjawiska.

Zdawałam sobie sprawę, że takie wychowanie uczyniło mnie przedwcześnie dojrzałą i to zarówno pod względem psychicznym, jak i umysłowym. Pedrek był podobnie wychowywany. Był to więc dla mnie najszczęśliwszy okres od chwili, kiedy się dowiedziałam, że mama po raz wtóry wychodzi za mąż.

I wtedy spadł cios.

Ojczym przebywał w tym czasie w Londynie z racji swych poselskich obowiązków. Trwały właśnie obrady parlamentu. Mama zamierzała mu towarzyszyć, ale tuż przed wyjazdem poczuła się nagle zmęczona i Benedykt wymusił na niej, by została w Manorleigh i w spokoju doszła do siebie. Bardzo się ucieszyłam.

Pamiętam, że był to pogodny marcowy dzień. W powietrzu czuło się już pierwsze oznaki wiosny. Krzewy obficie pokryły się żółtym kwieciem. Poszliśmy do ogrodu, do mojego ulubionego zakątka, i usiadliśmy na ławeczce, spoglądając na rzeźbę boga Hermesa zrywającego

się do lotu.

Rozmawialiśmy o dziecku; to był główny temat naszych rozmów w owym czasie. Kiedy następnym razem będziemy w Londynie, zapowiedziała mama, musimy poszukać w sklepach polecanej jej przez przyjaciół delikatnej bielizny dla niemowlęcia.

- Musisz mi pomóc w zakupach - oświadczyła.

Nadbiegła pokojówka. Powiedziała, że właśnie przyjechał służący z naszej londyńskiej rezydencji i pragnie porozmawiać z mamą.

- Alfred! - wykrzyknęła mama i poderwała się z miejsca przerażona.

- Błagam, niech się pani nie denerwuje - uspokajał lokaj.

Mama mu przerwała:

- Czy stało się coś złego? Pan Lansdon...

Alfreda nic nie było w stanie wytrącić z równowagi; nawet w krytycznych momentach nie tracił zwykłej godności i spokoju.

- Z panem Lansdonem wszystko w porządku, jaśnie pani. Przybywam tu z jego polecenia.

Jaśnie pan sądził, że lepiej będzie, jeśli powiadomię panią o tym osobiście, niż gdyby się miała pani dowiedzieć z innych źródeł. Tu chodzi o pana Petera Lansdona. Zachorował. Rodzina zaczęła się już zjeżdżać do domu chorego. Pan Lansdon powiedział, że jeśli czuje się pani na siłach, to dobrze by było, gdyby pani też tam przyjechała. Pan Lansdon przypuszcza, że na pewno zechce pani przyjechać.

- Wuj Peter - powiedziała mama. Spojrzała na Alfreda. - Co się stało? Czy wiesz, na co zachorował?

- Tak, jaśnie pani. Pan Peter Lansdon dostał w nocy wylewu. Jego stan określa się jako niezbyt dobry. To właśnie dlatego...

Mama mu przerwała.

- Wyjeżdżamy najbliższym pociągiem. Alfredzie, na pewno jesteś głodny. Idź do pani Emery. Ona da ci coś do zjedzenia, a my tymczasem przygotujemy się do drogi.

Wzięłam ją za rękę i razem weszliśmy do domu. Widziałam, że jest wstrząśnięta tą wiadomością.

- Wuj Peter - powtórzyła cicho. - Mam nadzieję, że nie... Spodziewam się, że wróci do zdrowia. Zawsze miałam go za takiego... niezniszczalnego, za kogoś, kogo żadna choroba się nie ima.

Zdążyliśmy na pociąg odchodzący o trzeciej trzydzieści do Londynu i prosto ze stacji pojechaliśmy do mieszkania wuja Petera. Benedykt już tam był. Czule objął mamę. Na mnie ledwie rzucił okiem.

- Miałem wyrzuty sumienia, że wysłałem do ciebie Alfreda ze smutną wiadomością. Bałem się o stan twoich nerwów, kochanie. Z drugiej strony wiedziałem jednak, że będziesz go chciała zobaczyć, tym bardziej że on pytał o ciebie.

- Jak się czuje?

Benedykt potrząsnął głową ze smutkiem.

Pojawiła się ciotka Amaryllis. Sprawiała wrażenie oszołomionej i zagubionej. Nigdy dotychczas nie widziałam jej w takim stanie. Wydawała się zupełnie nie zauważać naszej obecności.

- Ciociu Amaryllis - odezwała się mama. - Och, moja droga!...

- To stało się tak nagle. Nic mu nie dolegało, czuł się zupełnie normalnie - wyjaśniła ciotka Amaryllis. - Nie miałam pojęcia... kiedy niespodziewanie po prostu upadł i stracił przytomność. Stanęliśmy przy jego łóżku. Był bardzo zmieniony: przystojny i dystyngowany jak zawsze, ale inny. Był też bardzo blady i jakoś dziwnie nagle postarzały; w każdym razie wyglądał znacznie starzej, niż kiedy widziałam go ostatnim razem.

Popatrzyłam na ludzi zebranych wokół łoża, na jego rodzinę, na tych, których kochał najbardziej. Uderzył mnie wyraz niedowierzania malujący się na ich twarzach. On umierał i wszyscy o tym wiedzieli, ale śmierć była czymś, co w żaden sposób nie dawało się pogodzić z osobowością wuja Petera. Ale w końcu dopadła go i oto leżał teraz... on, korsarz grasujący z fantazją na szerokich oceanach życia. Potrafił grać i wygrywał, i w zasadzie karta mu stale sprzyjała. Jednakże, jak szeptano w rodzinie, ścieżki jego zwycięstw nie zawsze były proste. Tylko raz jeden noga się mu pośliznęła i w rezultacie znalazł się o krok od katastrofy. Miało to związek z popularnymi, lecz nie cieszącymi się dobrą sławą klubami, którymi zarządzał i które stanowiły zaczątek jego imponującej fortuny. Potem stał się filantropem, przeznaczając znaczną część pieniędzy, pochodzących z podejrzanych źródeł, na dobre i szczytne cele. Za przykład mogła służyć działalność misyjna jego syna, Peterkina, i synowej Frances; w ogromnej mierze wspierał ją finansowo.

Przypuszczam, że kochaliśmy go wszyscy. Był postacią kontrowersyjną, to prawda, ale był przy tym mądrym i niebanalnym człowiekiem. Wiedziałam, że moja mama przepadała za nim, podobnie jak moja babcia. Miał w gruncie rzeczy dobre serce i zawsze gotów był spieszyć z pomocą tym, którzy jej potrzebowali. Ciotka Amaryllis uwielbiała go. Nie dostrzegała jego wad, dla niej był uosobieniem samych zalet. Inni zdawali sobie sprawę z tej drugiej, gorszej strony jego natury, ale ta świadomość w niczym nie przeszkadzała im darzyć go autentyczną i wielką miłością. A teraz oto leżał na łożu śmierci.

Prasa poświęciła zmarłemu wiele miejsca. Nazywano go milionerem_filantropem. Pisano o nim same pochlebne rzeczy i nikt nie zrobił nawet najmniejszej wzmianki o tym, w jaki sposób wuj Peter doszedł do wielkiego majątku. Śmierć uświęca wszystko. Uczucie zazdrości wygasa w obliczu tragedii. Każdy pragnie być milionerem, ale martwy bogacz przestaje być obiektem zawiści. Zazdrość znika. Co więcej, ludzie często krępują się mówić źle o umarłych, zwłaszcza

jeśli odeszli niedawno. Może obawiają się, że zmarły zemści się za to, strasząc ich po nocach. “O umarłych mówi się tylko dobrze” - głosi stara łacińska maksyma i ludzie z reguły jej przestrzegają. Wspominano więc głównie dobre uczynki wuja Petera, a nie jego podejrzaną przeszłość. W pogrzebie wzięły udział nieprzeliczone tłumy. Ciotka Amaryllis była jak skamieniała z bólu. Nawet Frances, która cieszyła się ogromną popularnością ze względu na charytatywną działalność i która nigdy nie kryła negatywnej opinii o teściu, miała smutek na twarzy. Reszta rodziny bez wyjątku była bardzo przybita i przygnębiona.

Powoli zaczynałam zdawać sobie sprawę ze zmian, jakie ta śmierć pociągnęła za sobą.

W przewidzianym prawem terminie odczytano ostatnią wolę zmarłego. Nie byłam przy tym obecna, ale później zrelacjonowano mi dokładnie uroczystość otwarcia testamentu.

Służba była zadowolona. Wuj wszystkich uwzględnił w swej ostatniej woli. Jak należało się tego po nim spodziewać, nie zapomniał o nikim. Dobrze zabezpieczył ciotkę Amaryllis. Helena i Martin, Peterkin i Frances otrzymali należną im część spadku. Zostawił ogromną fortunę, ale większa jej część ulokowana była w owych osławionych klubach. Te zaś zostawiał swemu wnukowi, Benedyktowi Lansdonowi.

Komentowano ten fakt po kątach, a ja się zastanawiałam, co to wszystko ma znaczyć.

Wkrótce miałam się dowiedzieć. W stosunkach między moją matką a jej mężem nastąpiła pewna zmiana. Mama nie była już teraz tak beztrosko szczęśliwa. W gruncie rzeczy sprawiała nawet wrażenie lekko zdenerwowanej.

Widziałam ich razem spacerujących po ogrodzie. Zamiast jak zwykle śmiać się i od czasu do czasu brać się za ręce, postępowali w pewnej, niewielkiej wprawdzie, odległości od siebie, i dyskutowali zawzięcie ze zmarszczonymi brwiami i wyrazem niezadowolenia na twarzach.

Mogłabym nawet przysiąc, że się ze sobą sprzeczali.

Domyślałam się, że ich sprzeczki mają coś wspólnego ze spadkiem po wuju Peterze.

Bardzo chciałam, by mama mi powiedziała, co jest przedmiotem ich sporu. Ale oczywiście nie zrobiła tego. Z jednej strony uważała mnie za wystarczająco dojrzałą, bym mogła już czytać “Jane Eyre”, z drugiej zaś jej zdaniem byłam za małą, by wtajemniczać mnie w delikatne rodzinne sprawy.

Mama była wyraźnie zmartwiona.

Przypadkowo usłyszałam jej rozmowę z Frances. Synowa wuja Petera należała do tego rodzaju ludzi, którzy w kontakcie z masami są uprzejmi i taktowni, ale w stosunkach z poszczególnymi osobami wykazują znacznie mniej subtelności. Była jednak człowiekiem o kryształowym charakterze. Całkowicie poświęciła się czynieniu dobra. Powiedziała, że nie miała żadnych oporów przed korzystaniem z pieniędzy wuja Petera. Potrzebowała środków dla wspomnienia misji, a z jakich źródeł one pochodziły, było to jej zupełnie obojętne. Zawsze jednak znacznie krytyczniej oceniała wuja Petera niż pozostali członkowie rodziny. Akceptowała go takim, jakim był; zachowywała się jak królowa Anglii, Elżbieta, która z wdzięcznością przyjmowała w darze cenne łupy zrabowane przez korsarzy na morzach, ponieważ zasilają skarbiec królestwa, a tym samym przyczyniały się do potęgi kraju.

Logicznie rozumowała, a tylko tego można było spodziewać się po Frances.

- Benedykt powinien sprzedać kluby - przekonywała Frances. - Otrzyma za nie mnóstwo pieniędzy. Chyba nie zamierza ich zachować?

- On uważa, że taka była intencja wuja Petera - odparła mama. - Dlatego właśnie zapisał mu je w spadku.

- Nonsens. Peter kierował się wyłącznie swoim własnym interesem, zawsze tak robił.

- Niemniej...

- Ośmielam się twierdzić, że jemu to odpowiada. No cóż, mój teść lubił ryzyko i czasami balansował na jego krawędzi, ale takie postępowanie nie uchodzi politykowi.

- To właśnie powtarzam Benedyktowi.
- On myśli, że nadal będzie mógł ciągnąć zyski z podejrzanych źródeł i pomnażać swój majątek; nie ulega wątpliwości, że dla polityka pieniądze są rzeczą ważną.
- Jestem przerażona, Frances.
- Niedaleko pada jabłko od jabłoni, a Benedykt jest nieodrodnym potomkiem Petera.
- Benedykt jest wspaniały.

Wymowne milczenie, jakim Frances skwitowała tę uwagę, świadczyło dobitnie, że jest odmiennego zdania.

- Nie zapominaj - odezwała się w końcu - że kluby o mało nie skończyły mego teścia w opinii publicznej.
- Wiem, dlatego też...
- Trafiają się tacy mężczyźni. Wystarczy rzucić im jakiegokolwiek wyzwanie, a oni natychmiast gotowi są je podjąć. Przynajmniej wypływa to z ich nadmiernej pewności siebie, którą ja nazywam męską butą. Im się wydaje, że nikt nie jest w stanie ich pokonać, i koniecznie starają się dowieść tego świata.
- Ale może się to źle skończyć.
- Jego dziadek gładko ominął niebezpieczne rafy i zmarł jako człowiek ogólnie szanowany i ceniony. Tacy mężczyźni są zdania, że im więcej jest przeszkód do pokonania w życiu, tym większy ma ono urok. Nie martw się, Angel. W twoim stanie to nie jest wskazane. Dbaj o siebie i pozwól Benedyktowi działać według jego uznania. Ludzie jego pokroju zawsze spadają na cztery łapy, a ja twierdzę, że on wie, co robi.

A więc tak wyglądała prawda. Benedykt zamierza kontynuować interesy wuja Petera.

Przedsięwzięcie ryzykowne, ale - jak powiedziała Frances - taki był jego i wuja Petera sposób na życie.

Ciotka Amaryllis bardzo się postarzała. Zrobiła się apatyczna i obojętna. Straciła również dotychczasową prawdziwie młodzieńczą żywotność. Na dodatek przeziębila się i wciąż nie mogła dojść do siebie. Wydawało się, że ze śmiercią wuja Petera życie dla niej straciło wszelki sens. Przyjechali dziadkowie. Zaniepokoił ich stan mojej matki. Słyszałam, jak rozmawiali o tym między sobą.

- Ona bardzo źle wygląda - twierdziła babcia. - Znacznie gorzej niż wtedy, kiedy widzieliśmy ją ostatnio.

- Zbliża się termin rozwiązania. Może to dlatego - odparł dziadek.

- Nie... musi być jakaś inna przyczyna.

- Babciu - zapytałam. - Czy mamie coś dolega?

Jej wahanie trwało o ułamek sekundy za długo.

- Ależ nie - odrzekła po chwili. - Wszystko będzie dobrze. - Mówiła to jednak bez przekonania. - Zastanawiam się... - ciągnęła dalej i przerwała.

- Nad czym się zastanawiasz? - dopytywałam się.

- Och, nic takiego - odpowiedziała. I na tym rozmowa nasza się skończyła.

Później zrozumiałam, co wtedy miała na myśli. Dziadkowie chcieli, by mama pojechała z nimi do Kornwalii i tam urodziła dziecko. Nie przypuszczałam, by mama się na to zgodziła, ponieważ oznaczałoby to rozstanie z Benedyktem. Ale z drugiej strony między nimi coś się popsuło. Spadek ich poróżnił. Ona była przeciwna kontynuowaniu interesów wuja Petera, on zaś odwrotnie - był jak najbardziej za tym. Wiedziałam, że starała się go przekonać, by pozbył się klubów, ale on uparcie trwał przy swoim zdaniu.

Dziadek odbywał z Benedyktem długie rozmowy, a babcia, krótsze, z mamą.

- Uważam, że byłby to niezły pomysł, gdybyście, ty i twoja matka, pojechały wraz z nami do Kornwalii. Nie należy zwlekać z decyzją. Na razie twoja mama jest w stanie znieść podróż, ale

za kilka tygodni może się okazać to już niemożliwe.

- Mama nie wyjedzie ze względu na niego. Przecież nie będzie jej tam towarzyszyć.

- Masz na myśli swego ojczyma. Nie, oczywiście, że nie. Ale będzie przyjeżdżał na weekendy. Cador nie jest tak bardzo odległy od Londynu, a on przywykł do podróżowania.

- Och, babciu, mam nadzieję, że mama się zgodzi.

Babcia ścisnęła mnie za rękę.

- Musimy starać się ją przekonać. Rozumiesz, sytuacja wyglądała inaczej za życia wuja Petera. Teraz wszystko się zmieniło. Mieliśmy nadzieję, że ciotka Amaryllis zaopiekuje się nią, ale ona, biedactwo, już się do tego nie nadaje. Sama wymaga pomocy. Wiem, że twemu ojczymowi zależy, by mama miała jak najlepszą opiekę, ale ja uważam, że w takich chwilach najlepiej być wśród najbliższych. Gdyby pojechała, mogłabyś jej towarzyszyć.

- Tak - zgodziłam się chętnie. - Och, tak!

Powiedziałam o tym projekcie mamie.

- Babcia chce, byś pojechała z nimi do Kornwalii.

- Znadto się mną przejmuje.

- Jesteś przecież jej córką.

Uśmiechnęła się do mnie.

- Kornwalia - rzekła z nostalgią w głosie. - Często o niej myślę, Rebeko. Bywa, że czuję się bardzo zmęczona. Tęsknię za obecnością matki. Czy to nie jest dziecinne z mojej strony?

Sięgnęłam po jej rękę.

- Myślę, że są chwile, kiedy odczuwa się szczególnie silne pragnienie przebywania właśnie z matką, a nie z kimś innym.

- Tak mi się też wydaje. Zawsze powinnam być przy tobie, kiedy zajdzie taka potrzeba.

Powiesz mi, prawda, jeśli coś cię będzie dręczyć?

Zawahałam się przez chwilę, ale ona nie kontynuowała już tego tematu. Zrozumiałam wtedy, że zdaje sobie sprawę, jak głęboką niechęć żywie do ojczyzna. Może traktowała to jako rzecz naturalną. Nie ja jedna przecież tak reagowałam na powtórne zamążpójście swojej matki. Chciałam, by mi powiedziała, jak głęboki jest rozdźwięk między nią a jej mężem. Czasami mi się wydawało, że nie istnieje i że jest tak bardzo w nim zakochana, że cokolwiek by zrobił i tak by to nie miało żadnego wpływu na jej miłość. A jakie były jego uczucia? Skąd mogłam wiedzieć? Byłam zbyt młoda i niedoświadczona, by zrozumieć, co się dzieje.

Godzinami zastanawiano się nad tym, czy jest sens, by mama jechała do Kornwalii.

Czułam, że zaczyna się wahać.

Ze mną rozmawiała bardziej otwarcie.

- Chciałabyś pojechać do Cador, prawda, Rebeko?

Przyznałam, że owszem, chciałabym.

- Biedna Beka. Nie miałaś ostatnio zbyt słodkiego życia. Wydaje ci się, że stosunki między nami nie są już takie jak dawniej. Najpierw cię zostawiłam, a sama pojechałam w podróż poślubną - nigdy przedtem nie rozłączałyśmy się na tak długo - później zaś wciągnęłam się w polityczną działalność.

- Przecież nie mogło być inaczej - odparłam.

Skinęła głową.

- Ale ty nie byłaś tym zachwycona. Wiem, jak kochasz babcię i dziadka. Wiem, jak czcisz pamięć swego ojca. Postawiłaś go na piedestał. Nie trzeba tego robić, Beko, nie trzeba stawiać ludzi na piedestale.

Co ona miała na myśli? Czyżby odkryła, że jej idol, Benedykt, nie jest takim ideałem, za jakiego go uważała? Chyba tak. Odziedziczył podejrzaną interes wuja Petera i pomimo jej błagań i perswazji nie zamierzał się go pozbyć.

Ileż zmian w naszym życiu spowodowało odejście wuja Petera! Przyjezdni spoza Londynu nie mogli już liczyć na gościnę u ciotki Amaryllis. Zabrakło nam jego zbawczych rad, a na dodatek jego śmierć spowodowała rozdźwięk między mamą a jej nowym mężem.

Ciągnęła dalej:

- Nie ma teraz ze mnie żadnego pożytku... na niwie politycznej... i przez jakiś czas nie będzie. Ostatnio musiałam odwołać swój udział w jednej z imprez, ponieważ czułam, że nie będę w stanie dotrzeć do jej końca. Myślę, że dla wszystkich byłoby lepiej, gdybym na jakiś czas wycofała się z życia publicznego. W Kornwalii będę na pewno mniejszym ciężarem niż tutaj.

- Dla dziadków to będzie wielka radość.

- To prawda. Dla nich mogę być ciężarem. Wobec nich nie będę miała wyrzutów sumienia.

Niech ich Bóg błogosławi.

- Ciężarem? Przecież tylko ich tym uszczęśliwisz.

Zaczęłam skakać po pokoju z radości, a mama śmiała się, patrząc na mnie.

- Kiedy wyjeżdżamy? - zapytałam.

Przez cały czas obawiałam się jednak sprzeciwu z jego strony. Było widoczne, że nie podoba mu się ten pomysł. Był dla niej bardzo czuły i troskliwy i odnosiłam wrażenie, że mamę znowu zaczynają ogarniać wątpliwości, czy dobrze robi, wyjeżdżając.

Dziadkowie odbyli z nim dłuższą rozmowę. Siła perswazji mojej babci okazała się niezwykle skuteczna. Tylko ona jako matka jest w stanie zadbać o swoją córkę w takich okolicznościach - dowodziła. Ona wie najlepiej, czego jej trzeba. To bardzo proste. Zabierzemy ją do Kornwalii. Tam przygotuje się pokój dla dziecka. Doktor Wilmingham jest przyjacielem rodziny od wielu lat. To on asystował przy porodzie samej Angelet. Akuszerka, jakiej nie ma równych, mieszka tuż obok i stawia się na każde zawołanie. On chyba zdaje sobie sprawę, że nie można już liczyć na pomoc ciotki Amaryllis i że nie ma już także wuja Petera, który zawsze służył

radą w nieprzewidzianych okolicznościach. On, Benedykt, może przyjeżdżać, kiedy tylko zechce, w każdej wolnej chwili. Nie musi w ogóle uprzedzać o swoim przyjeździe. To prawda, że z Londynu do Kornwalii jest kawałek drogi, ale pociągiem jedzie się bardzo wygodnie. Weekendy ma wolne. Wystarczy więc tylko wsiąść do pociągu.

Logika babcinej argumentacji trafiła mu wreszcie do przekonania i w rezultacie obie z mamą zaczęłyśmy szykować się do wyjazdu z dziadkami do Kornwalii.

Od dłuższego już czasu nie czułam się równie szczęśliwa jak teraz. Było tak jak przed zamążpójściem mamy. Sądzę, że ten nastrój odbijał się również na mojej twarzy.

Benedykt stał na peronie i machał nam ręką na pożegnanie. Miał tak nieszczęśliwą minę, że dopóki pociąg nie ruszył, przeszywał mnie lęk, czy mama w ostatniej chwili nie zmieni decyzji.

Podczas rozstania była smutna i wtedy po raz kolejny uświadomiłam sobie, jak bardzo się oboje kochają.

Ujęłam jej rękę i przylgnęłam do niej twarzą. Mama ucałowała moją, mówiąc:

- Czas minie szybko.

- Jestem pewna, że Benedykt niedługo nas odwiedzi - pocieszała ją babcia.

Nastrój mój się poprawiał, w miarę jak pociąg nabierał szybkości. Kiedy przejechaliśmy most na rzece Tamar, byłam radosna jak ptak. Stajenny już na nas czekał. Za chwilę powóz terkotał zwawo po krętych wiejskich drogach, aż wreszcie oczom naszym ukazał się Cador. Na jego widok zawsze ogarniało mnie wzruszenie, ale nigdy tak silne jak teraz, kiedy łaskawy los oddał mi z powrotem moją matkę... nawet jeśli tylko na krótko.

Przysięgam sobie jak najlepiej wykorzystać tygodnie, w których będę ją miała dla siebie.

Myślałam o mającym się urodzić dziecku jako o dodatkowym łączniku między nami. Będziemy je razem pielęgnować.

Trzeba najpierw zaznać goryczy i cierpienia, aby zrozumieć, co to jest prawdziwe szczęście.

Podczas tej podróży miałam głębokie przekonanie, że nigdy, w całym moim życiu, nie byłam szczęśliwsza niż w tej chwili.

Jaka to była radość znaleźć się znowu w Cador! Miałam uczucie, jakbym wróciła do domu z dalekiej podróży. Nastrój mamy również znacznie się poprawił. Naturalnie, że kochała Cador, ponieważ tutaj upłynęło jej dzieciństwo opromienione miłością rodziców, a moich dziadków. Jeżeli coś mogło ukoić jej żal z powodu rozłąki z Benedyktem, to tylko ta droga rodzinna kolebka.

Przyjechaliśmy do Kornwalii z początkiem kwietnia i wiejski krajobraz wokół Cador zaczynał już przybierać wiosenne barwy. Było pięknie. Wiosna zjawiała się tu wcześniej niż w innych rejonach Anglii, nie wyłączając Londynu. Wyczuwało się ją w powietrzu. Z przyjemnością wdychałam zapach morza i wsłuchiwałam się w łagodny szum rytmicznie wznoszących się i opadających fal. Jakaż to była rozkosz! Dziadkowie byli także zadowoleni. Mieli znowu w domu ukochaną córkę.

Pierwszą czynnością babci było wezwanie pani Polhenny. Zjawiała się natychmiast.

Wydawało mi się, że się nieco postarzała od czasu, kiedy widziałam ją ostatnio. Świętoszkowaty wyraz jej twarzy bardziej się przez to uwydatnił.

Ucieszyła się, słysząc, że Cador przybędzie maleńki lokator.

- To wspaniale, pani Hanson - powiedziała z zadowoleniem. - A wydaje się, że jeszcze tak niedawno asystowałam przy narodzinach panienki Angelet.

- Dawny pokój dziecinny mojej córki zajmie teraz jej dziecko. Ogromnie się cieszymy, że jest tutaj z nami. Powiedziałam im w Londynie, pani Polhenny, że nie znajdą lepszej akuszerki niż pani.

- To bardzo uprzejmie z pani strony, pani Hanson. Pomagając dziecku przyjść na świat, wypełniam tylko wolę bożą. Tak widzę swoje zadanie na tej ziemi.

Wymieniłyśmy z babcią rozbawione spojrzenia.

- Chciałabym również zbadać panienkę Angelet... kiedy dla państwa będzie to dogodne.

- Oczywiście - odparła babcia. - Zaprowadzę panią do niej.

Babcia odprowadziła ją, a potem wróciła do mnie.

- Nadal “śpiewa Pańską pieśń w obcej krainie” - skomentowała.

- Przekonanie o własnej dobroci musi poprawiać jej samopoczucie - stwierdziłam. -

Ciekawa jestem, czy ludzie też tak o niej myślą?

- Och, pani Polhenny nie obchodzi opinia otoczenia. Nie wydaje mi się, bym kiedykolwiek spotkała bardziej zadowoloną z siebie osobę.

- Ciekawa jestem, jak ona ma na imię. Chodzi mi o to, jakie imię dano jej na chrzcie świętym?

- Ktoś mi kiedyś powiedział. Jakieś zupełnie dla niej nieodpowiednie. Zdaje się, że Violetta.

Nie ma chyba imienia mniej do niej pasującego.

- Nie ma świętej Violetty w kalendarzu, jeśli się nie mylę.

- Raczej nie, ale teraz już będzie... przynajmniej w mniemaniu pani Polhenny. Niemniej jest bardzo dobrą akuszerką i z tego względu musimy przymknąć oczy na jej drobne wady.

Wróciła pani Polhenny. Minę miała poważną.

- Wszystko w porządku, prawda? - niecierpliwie zapytała babcia.

- Owszem. - Spojrzała na mnie wymownie. Babcia skinęła głową ze zrozumieniem.

Wiedziałam, co to znaczy. Pani Polhenny chciała jej powiedzieć coś, co nie było przeznaczone dla moich uszu.

Wyszłam posłusznie z pokoju, ale nie oddaliłam się za daleko. To była moja mama i chciałam wiedzieć, jaki jest jej stan, ponieważ wyraz twarzy pani Polhenny nieco mnie zaniepokoił. Opuściłam salonik, ale nie zamknęłam drzwi do końca, tylko stanęłam za nimi, nad słuchując.

- Wydaje się dość wyczerpana, pani Hanson.

- Ma za sobą długą i męczącą podróż pociągiem z Londynu, pani Polhenny.

- Hm - chrząknęła pani Polhenny. - Szkoda, że nie przyjechała wcześniej. Powinna dużo wypoczywać.

- Będzie tu miała idealne warunki do wypoczynku. Ale nic się złego nie dzieje, prawda, pani Polhenny?

- Nie... nie... - W głosie pani Polhenny wyczuwało się lekkie wahanie. Następnie dodała: - Myślę, że jej ciąża jest bardziej zaawansowana, niż myśleliśmy. O tydzień lub nawet więcej.

- Tak pani sądzi?

- Tak sądzę. W każdym razie dobrze, że nie zwlekała z przyjazdem tutaj. Zadbamy o nią odpowiednio, proszę się nie obawiać. Pani córka znajduje się w dobrych rękach. Przy bożej pomocy wszystko pójdzie dobrze.

- Tak, pani Polhenny, naturalnie.

Gdy pani Polhenny wyszła, wróciłam do babci.

- Mama czuje się dobrze, prawda? - zapytałam.

- Naturalnie. Pani Polhenny zaleca jej tylko więcej wypoczynku. To jasne, że czuje się zmęczona po podróży. Ale tutaj odzyska siły.

- Odniosłam wrażenie, że pani Polhenny jest nieco zaniepokojona.

- Nie... wcale nie. Ona tylko chce nam udowodnić, że jest niezastąpiona. To taka jej metoda.

Roześmiałyśmy się obie naraz, po czym poszłyśmy do mamy.

- Świętobliwa pani Polhenny jest zdania, że powinnaś dużo wypoczywać - oznajmiła babcia.

Mama ze śmiechem wsparła się o poduszki.

- Z przyjemnością - odparła. - Jestem taka zmęczona.

Babcia podeszła i ucałowała ją czule.

- Tak się cieszę, że mam cię w domu - oświadczyła.

Zebraliśmy się wszyscy przy stole w jadalnym pokoju. Mama wypoczęta i ożywiona, w długiej różowej podomce, wyglądała zachwycająco. Panna Brown jadła u siebie. Posiłki mojej guwernantki zawsze stwarzały pewien problem. Dziadkowie nie chcieli, by je spożywała samotnie, a ona z pewnością czułaby się urażona, jedząc ze służbą w kuchni. Inaczej było w Manorleigh czy w naszym londyńskim domu. Tam ja i panna Brown jadłyśmy razem, ale tutaj, w domu moich dziadków, życie miało bardziej kameralny charakter. Panna Brown często wymawiała się od wspólnych posiłków pod pretekstem jakiegoś pilnego zajęcia i nie schodziła na dół do jadalni. Myślę, że czasami tak było jej wygodniej. W każdym razie tego wieczoru postanowiła jeść oddzielnie, w swoim pokoju.

Przy stole siedzieli zatem tylko dziadkowie, mama i ja.

- Przypuszczam, że Jack i Marian wpadną do nas jutro, by się z tobą zobaczyć - wyraziła nadzieję babcia. - Oni tak się cieszą z twego przyjazdu; Marian z pewnością będzie nam bardzo pomocna, ona jest taka praktyczna. A poza tym oczywiście pani Polhenny będzie tu wpadała. - Spojrzała na mnie. - Szkoda, że nie ma Pedreka. Biedny chłopak. Szkoła położyła kres jego częstym wizytom. Szybko dorasta.

- Opowiedz nam, co się tu ostatnio ciekawego wydarzyło? - prosiła mama.

- Nic nadzwyczajnego. Na prowincji, jak sama wiesz, życie płynie dość monotonicznie, wciąż tym samym utartym szlakiem.

- A co się dzieje z francuskimi emigrantami? Czy nadal mieszkają w High Tor?

- Nie. Ale dom kupili, tak jak się tego spodziewaliśmy. Teraz przypuszczalnie żałują tej decyzji. Przenieśli się gdzieś w okolice Chislehurst, gdzie nabyli jakąś posiadłość. Pysznią się swymi arystokratycznymi powiązaniem.

- Ach tak? - rzekła mama. - Tam osiedliła się cesarska para.

- Rzeczywiście. Wybrali wygnanie. Jestem przekonana, że mają piękną rezydencję. Kiedy cesarz umarł, Bourdonowie doszli do wniosku, że do ich obowiązku należy pocieszenie cesarzowej, która, nie wątpię, ma tam jakiś dwór, choćby nawet niewielki.

- Słyszałam o śmierci Napoleona - wtrąciła mama. - To stało się w styczniu, jeśli pamiętam.

Babcia skinęła głową twierdząco.

- A co z córką pani Polhenny? - zapytałam.

- Och, Leah znajduje się w tej chwili u swojej ciotki. Gdzieś w okolicach St. Ives.

- Ciotki? Co to za ciotka? Siostra pani Polhenny?

- Chyba tak.

- Nie wiedziałam, że ona ma jakąś rodzinę - odezwałam się. - Myślałam, że zstąpiła na ziemię wprost z niebios, aby zapędzać do owczarni zbłąkane owieczki.

Wszyscy się roześmieli, a dziadek dodał:

- Muszę przyznać, że rzeczywiście niełatwo jest ją sobie wyobrazić jako dziecko, które ma rodzeństwo, zwłaszcza siostrę, ani tym bardziej jako dorastającą panienkę i później młodą kobietę.

- Niewykluczone, że wtedy była normalna - zauważyła mama - i dopiero później spłynęło na nią objawienie, że ma do spełnienia misję na ziemi, tak jak na świętego Pawła w drodze do Damaszku.

- Jestem pewna, że pani Polhenny byłaby dumna z takiego porównania - stwierdziła babcia.

- Czy Leah odnowiła gobeliny w High Tor? - zapytałam.

- Tak. Spędziła tam kilka tygodni, chyba nawet cały miesiąc. Od pobytu u nich bardzo się zmieniła. Widziałam ją raz czy dwa. Wyglądała doskonale: szczęśliwa i radosna. Biedna dziewczyna, musiała być wniebowzięta, że może na jakiś czas oderwać się od swojej mamusi.

- Dlaczego tak często ludzie mający dobre serce tak innym dają się we znaki? - zadałam

filozoficzne pytanie.

- Wątpię, by rzeczywiście mieli takie dobre serce, jak sobie wyobrażają - odparła babcia - a inni wcale nie są tacy źli, jak się tym dobrym wydaje.

- Cała rzecz w tym, by nie dać się takim ludziom dręczyć - dodał dziadek.

- To nie jest takie łatwe, jeśli się jest na przykład córką takiej osoby jak pani Polhenny - odcięła się babcia i dorzuciła: - Biedna Leah.

- Cieszę się, że dobrze spędziła czas w High Tor - wtrąciłam. - A teraz jest u ciotki. Zdaje się, że ma dość dotychczasowej monotonnej egzystencji. Zapragnęła urozmaicenia.

- Dziwię się, że pani Polhenny na to pozwoliła - powiedziała mama po zastanowieniu.

- Długi czas trwało, zanim się pogodziła z tą myślą. Początkowo nawet nie chciała o tym słyszeć.

- Leah jest już dorosłą dziewczyną - zauważyła mama. - Może z wiekiem rozwinęły się u niej takie cechy, jak silna wola i ciekawość życia.

Rozmowa zesłała następnie na Poldorey. Mama chciała wiedzieć wszystko o ludziach, których pamiętała ze swego dzieciństwa.

Cudowne były wspólne chwile z mamą, takie jak te. Był to mój najszczęśliwszy dzień od czasu, kiedy usłyszałam, że wychodzi za mąż za Benedykta Lansdona.

Dni mijały szybko. Mama próbowała się buntować przeciwko przymusowemu wypoczynkowi, jaki jej narzucano zgodnie z zaleceniem pani Polhenny. Przyjechał doktor Wilmingham, który stwierdził, że stan zdrowia mamy nie budzi żadnych obaw. Jako wieloletni przyjaciel naszej rodziny, został później na obiedzie. Podzielał opinię babci co do wyjątkowych umiejętności pani Polhenny.

- Ona bywa czasami dość irytująca - stwierdził - ale trudno o lepszą akuszerkę. Jest bez

reszty oddana swojej pracy. Gdybyśmy mieli więcej takich osób, nasza działalność byłaby znacznie skuteczniejsza.

Chodziłam z mamą na krótkie spacerunki. “Ruch i świeże powietrze bardzo są wskazane - zalecał doktor Wilmingham. - Ale wysiłek należy rozkładać równomiernie”.

Spacerowałyśmy po ogrodzie, mama jednak wolała chodzić dalej, w pole. Chętnie kierowała swe kroki nad Jezioro Świętego Branoka, które szczególnie ją ciągnęło. Opowiadała mi, jak to przeczesywano dno jeziora, kiedy myślano, że się utopiłam. Opowiadała mi to już tyle razy, że znałam na pamięć każde słowo tej historii.

Czas niewiele zmienia takie miejsca. Musiało ono wtedy wyglądać tak samo jak teraz; wierzby nurzały w wodzie swe wiotkie gałęzie, a brzeg był równie grząski i bagnisty. Mama lubiła siadać na jednym z wystających głazów i obserwować gładką powierzchnię wody. Jej myśli w takich momentach wydawały się odfruwac gdzieś daleko, w odległą przeszłość.

Od czasu do czasu natykałyśmy się na Jenny Stubbs. Bywało, że śpiewała swoim dziwnym głosem, który w tajemniczej scenerii jeziora sprawiał dość niesamowite wrażenie.

Spotykając nas, Jenny mówiła:

- Dzień dobry, panienko Angelet, dzień dobry, panienko Rebeko.

Mama odpowiadała na jej pozdrowienia ze szczególną uprzejmością. Jenny wyraźnie darzyła ją wyjątkową sympatią. Na mnie nie zwracała uwagi, co było dość dziwne, zważywszy, że porwała mnie kiedyś w przekonaniu, że jestem jej córeczką.

- Dzień dobry, Jenny. Piękny dziś dzień, prawda?

Czasami Jenny przystawała i kiwała głową potakująco. Przyglądała się mamie z ciekawością. Cięża mamy była już bardzo widoczna.

Pewnego razu Jenny zauważyła:

- Widzę, że jest pani w ciąży, panienko Angel.

- Tak, Jenny.

Jenny uniosła ramiona i zachichotała.

- Ja też, panienko Angel - wskazała na siebie. - Będę miała dziewczynkę...

- Oczywiście, Jenny - potwierdziła mama.

Jenny uśmiechnęła się i zawróciła do chaty, nucąc po drodze swoim zwyczajem.

Benedykt odwiedził nas kilkakrotnie. Zawsze przyjeżdżał niespodziewanie. Pojawiał się nagle i niczym chmura rzucał cień na moje szczęście. Wydawało mi się wtedy, jakbym traciła mamę. Był typem mężczyzny, który gdziekolwiek się znalazł, wszędzie zaznaczał swą obecność.

Przy stole w jadalni on musiał być ośrodkiem ogólnego zainteresowania. Rozprawiano głównie o tym, co się dzieje w partii, kiedy należy się spodziewać następnych wyborów, i o podobnych sprawach. Niemal odnosiło się wrażenie, że wraz z nami przy stole siedzą panowie Gladstone i Disraeli.

Kiedy przyjeżdżał, on i mama ani na chwilę się nie rozstawali. Dla mnie nie było wtedy miejsca.

Pewnego razu usłyszałam, jak się skarżył:

- Jak ten czas ogromnie się dłuży! Żałuję, że pozwoliłem ci odjechać od siebie tak daleko.

Mama roześmiała się cichym, szczęśliwym śmiechem.

- To już długo nie potrwa, kochany - odparła. - A potem wrócę do domu... z dzieciątkiem.

Będzie cudownie!

Zrozumiałam, że muszę się cieszyć każdą chwilą, jaką los daje mi w darze. Moje obecne szczęście nie będzie trwało wiecznie.

Nadszedł maj. Rozwiązanie miało nastąpić za miesiąc. Pani Polhenny była już całkowicie pewna, że dziecko urodzi się wcześniej, niż pierwotnie sądzono.

- Wkrótce nie będę mogła wypuszczać się daleko od domu - stwierdziła mama.

- Może już powinnaś ograniczyć spacer - zasugerowałam.
- Chcę jeszcze raz zobaczyć jezioro.
- W obecnym stanie głązy chyba nie stanowią wygodnego siedzenia.
- Wszędzie mi jest teraz niewygodnie, Rebeko.
- Poza tym mogą być mokre.
- Przy takiej pogodzie? Przecież nie padało od tygodni. Chodźmy!
- No dobrze. Jeżeli się zmęczysz, możemy zawrócić.
- Dojdę. Chcę tam iść.
- Dlaczego to miejsce tak cię pociąga? Jest ponure i zawsze mi się wydaje, że ma w sobie coś złowieszczonego.
- Może właśnie dlatego.
- Powinni tam zainstalować barierki, by zapobiec ewentualnym wypadkom - zauważyłam.
- Zupełnie zmieniłby się charakter tego miejsca.
- Myślę, że wyszłoby mu tylko na dobre.

Potrząsnęła głową.

Usiadłyśmy na głązach nad brzegiem jeziora. Było niezwykle cicho i spokojnie.

Wreszcie mama przerwała milczenie:

- Beko, chcę z tobą porozmawiać.
- Słucham cię, mamo.
- Jesteś mi bardzo droga. Nigdy nie zapomnę dnia, w którym się urodziłaś.
- Wśród tych złotonośnych pól.
- Zmieniłaś moje życie... na stałe. Zabraniam ci myśleć, że już cię nie kocham. Nie masz nic przeciwko nowemu dziecku, prawda?
- Przeciwno? Ja już je kocham!

- Chcę, byś je kochała... bardzo kochała. To dla mnie niezwykle ważne. Ta myśl naszła na mnie tak nagle... jakbym otrzymała dar jasnowidzenia. Jezioro ma w sobie coś...

- Tak - zgodziłam się. - Rzeczywiście tak jest. A więc uważasz, że skoro jestem zazdrosna... o niego, to będę również zazdrosna o dziecko?

- Nie kocham cię mniej dlatego, że kocham także innych.

- Wiem o tym.

- A więc przestań tak myśleć.

Potrząsnęłam głową. Byłam zbyt wzruszona, by wykrztusić z siebie chociaż słowo.

Ujęła moją dłoń i umieściła na swym łonie.

- Jesteś jeszcze dzieckiem - rzekła. - Ludzie mogą uważać, że nie powinnaś wiedzieć o takich rzeczach, ale ja zawsze traktowałam cię jak dorosłą. Jesteś mną... częścią mnie. Dlatego zawsze byliśmy sobie tak bliskie, aż do momentu... przynajmniej ty tak sądziłaś. Nie myśl więcej w ten sposób, Beko. On chce, byś go kochała, równie mocno jak ja. Jego to boli, ponieważ myśli, że go nie lubisz. Czy czujesz ruchy? To dziecko, Beko... nasze dziecko... twoje, moje i jego.

Obiecuj, że zawsze będziesz je kochała, dbała o nie... troszczyła się i pilnowała...

- Oczywiście, że będę. To będzie moja siostra lub brat. Na pewno będę je kochała.

Obiecuję.

Ujęła moją dłoń i przycisnęła do ust.

- Dziękuję ci, moje kochane dziecko. Ogromnie mnie tym uszczęśliwiłaś.

Siedziałyśmy w milczeniu, spoglądając na gładką taflę jeziora. Po chwili mama raptownie się podniosła i wzięła mnie za rękę.

- Chodźmy - powiedziała. - Dziecko najdroższe, pamiętaj, zawsze...

Przebywałam z nią bezustannie. Miałam takie uczucie, jakby wielki ciężar spadł mi z ramion. Kiedy dziecko się urodzi i wrócimy do domu, on także w nim będzie. Zrobię wtedy

wszystko, co w mej mocy, by wyrzucić z serca nienawiść do niego. Zrozumiałam teraz, że wina leży po mojej stronie.

Benedykt pragnie, bym była częścią rodziny. Nie odcinał mnie od niej. To ja sama się odcięłam.

Moim gorącym życzeniem było się zmienić. Zmienię się z chwilą, gdy dziecko pojawi się na świecie.

Mama zaprzestała spacerów. Pani Polhenny odwiedzała ją codziennie. “Jestem gotowa - oświadczyła. - Czekam na pierwszy sygnał”.

Doktor Wilmingham przyjeżdżał często i zazwyczaj zostawał na obiedzie. Mama przyłączała się do nas, ale rozmowa w większym towarzystwie szybko ją męczyła.

Pedrek przyjechał na krótko do Pencarron Manor i z tej okazji kilkakrotnie wybrałam się z nim na przejażdżkę. Przypomniały nam się stosunkowo niedawne czasy, kiedy wspólne wyprawy były dla nas codziennością. Nigdy jednak nie wypuszczałam się daleko poza Cador; zależało mi, by jak najwięcej czasu spędzać z mamą.

Pewnego popołudnia po spacerze Pedrek pożegnał się ze mną i zawrócił do Pencarron, nim jeszcze dojechaliśmy do Cador. Skierowałam konia w stronę domu. Dzień był pochmurny i zanościło się na deszcz. Droga wypadła obok domu pani Polhenny. Jego przesadnie schludny wygląd: te wypucowane schody i lśniąca podłoga werandy, te okna z ciężkimi zasłonami po bokach i oślepiająca biel siatkowych firanek - zawsze prowokowały nas do żartów. Używaliśmy sobie zwłaszcza na szczelnie zasłoniętych oknach, o których mówiliśmy, że mają chronić mieszkańców tego domku od wzrokowego kontaktu z grzechem czającym się na zewnątrz.

Pani Polhenny była, jak się domyślałam, u Peggoty, w zachodnim Poldorey. Słyszałam, że wezwano ją tam dziś rano, ponieważ pani Peggoty zaczęła rodzić.

Kiedy zerknęłam w okno, dostrzegłam majaczący za firanką cień. A więc pani Polhenny

wróciła do domu. Świadczyłoby to, że pani Peggoty urodziła. Cień trwał przez chwilę i następnie znikł.

Zawahałam się. Babcia niepokoiła się trochę o panią Peggoty, ponieważ była to jej pierwsza ciąża, a miała już czterdzieści lat, trochę za późno jak na pierwsze dziecko. Dobrze byłoby się dowiedzieć, czy niemowlę jest zdrowe. Zsunęłam się z konia i przywiązałam go do krzaka, po czym podeszłam do drzwi i zapukałam.

Stałam, uśmiechając się do siebie; zastanawiałam się, jak zareaguje pani Polhenny, kiedy ją zapytam, czy odebrała już dziecko. Słyszałam od jednej ze służących, że uważała mnie za “przedwcześnie rozwiniętą osóbkę”, a jej zdaniem to wcale nie jest dobre, by dziecko w moim wieku było do tego stopnia uświadomione. Dodała jeszcze podobno, że nie może pojąć, co ci tam w Cador sobie myślą, pozwalając mi na to wszystko.

Muszę przyznać, że odczuwałam coś na kształt złośliwej satysfakcji na myśl, iż ją zaskoczę takim pytaniem. Czekałam. Nikt nie podchodził do drzwi. W domu panowała głucha cisza. Mimo to byłam przekonana, że widziałam ją w oknie, przecież nie mógł być to nikt inny, tylko pani Polhenny. Leah bowiem, jak wiadomo, przebywała u ciotki w St. Ives.

Czekałam tak dziesięć minut. Potem wsiadłam na konia i odjechałam. Byłam zaintrygowana i zaskoczona. Dałabym uciąć sobie głowę, że w domu ktoś był.

Przypomniałam sobie o tym incydencie nazajutrz rano, kiedy babcia oznajmiła przy śniadaniu, że pani Peggoty urodziła ładnego chłopczyka.

- Urodził się dziś o trzeciej nad ranem, jak powiedziała mi pani Polhenny. Mówi, że przez cały czas była przy niej i że jest zupełnie wykończona.

A więc nie było jej w domu wczorajszego popołudnia. To dziwne. Musiałam sobie wyimagować cień w oknie. Ale intuicyjnie czułam, że to nie było przywidzenie. Doprawdy kryła się za tym jakaś tajemnicza sprawa.

Nadszedł czerwiec. Pani Polhenny była - jak to określiła - w pozycji "pod bronią".

Wydawała się czymś mocno zaaferowana, co mnie dość niepokoiło. Zadawałam sobie pytanie, czy nie straciła trochę zwykłej pewności siebie.

Pewnego dnia zwierzała się babci:

- Zupełnie osłupiałam. Nigdy bym w to nie uwierzyła. Coś mnie uderzyło w jej wyglądzie - wprawne oko, rozumie pani. Wtedy zaproponowałam jej: "Jenny - powiedziałam - pozwól, że cię zbadam"... Tak jej się to spodobało, że zgodziła się bez sprzeciwu, a kiedy ją zbadałam... mówię pani, nie mogłam w to uwierzyć...

Podśluchałam tę rozmowę. Miałam wtedy szczególnie wyostrzoną czujność.

Podejrzewałam, że stan mojej mamy nie jest tak dobry, jak być powinien, i chociaż wiele mi mówiono, wciąż miałam wrażenie, że jeszcze sporo przede mną skrywają. Koniecznie chciałam poznać całą prawdę. Musiałam ją poznać. Podśluchiwałam więc bezczelnie wszystkie możliwe rozmowy, w nadziei, że się dowiem, jak się mama naprawdę czuje.

W taki oto sposób doszło do mnie, że Jenny Stubbs rzeczywiście spodziewa się dziecka.

Dla mieszkańców Poldorey była to prawdziwa sensacja. Przez długi czas praktycznie nie mówiono o niczym innym. Jak do tego doszło? Wszystkim przychodziły na myśl zeszłoroczne żniwa.

Wrzesień lub październik... do czerwca. Przypominano sobie sezonowego robotnika, który pracował w tym czasie u państwa Peggotych. Kiedy poprzednim razem Jenny zaszła w ciążę, domyślano się, że to właśnie jeden z takich przyjezdnych pracowników był ojcem jej dziecka. A niedorozwinięta Jenny tak bardzo pragnęła być matką, że przerodziło się to u niej w trwałą obsesję.

Wciąż wmawiała w siebie, że jest w ciąży. Zdaniem lokalnych mądrali, w rodzaju pani Polhenny, Jenny w końcu dopięła swego i rzeczywiście doprowadziła do poczęcia.

Postanowiła zaopiekować się dziewczyną. Nie żądała pomocy ani zapłaty. Przypuszczalnie odbyła prywatną rozmowę z Panem Bogiem, który kazał jej zainteresować się stanem Jenny i

roztoczyć nad nią opiekę.

Mama bardzo się ucieszyła, kiedy jej o tym opowiedziałyśmy.

- Wiem, jakie to cudowne uczucie wydać dziecko na świat - rzekła. - To najbardziej ekscytujące doświadczenie w życiu kobiety.

Babcia zauważyła, że kiedy Jenny po raz pierwszy urodziła córeczkę, była tak szczęśliwa, iż zrobiła się prawie normalna. Tym razem też mogło być podobnie. Dziecko mogło dodatkowo wpłynąć na stan jej umysłu.

- No cóż - powiedziała pani Polhenny. - Czeka mnie ciężka praca. Dwoje dzieci w drodze... i to w tym samym czasie. Ale Bóg doda mi sił.

- Świadomość, że Bóg z nią współpracuje, musi bardzo być krzepiąca dla pani Polhenny. W tym wypadku, wydaje się, będzie odgrywał rolę asystentki położnej - dowcipkowała babcia.

Mama się roześmiała.

- Ze wszystkiego robisz sobie żarty, mamó - stwierdziła.

Jak największy skarb przechowuję w sercu wspomnienie tych spędzonych z nią chwil.

Nigdy ich nie zapomnę.

Nadszedł oczekiwany dzień. W domu zapanowała atmosfera napięcia. Wkrótce męka się skończy. Mama będzie promienieć szczęściem, a rodzina powiększy się o nową maleńką istotkę.

Przybyła pani Polhenny.

- Ubiegłej nocy odebrałam dziecko Jenny Stubbs - oznajmiła. - Śliczną dziewczyneczkę.

Jenny jest przy niej; nie posiada się ze szczęścia.

- Kto jej dogląda? - zapytała babcia.

- Wzięłam ją do siebie, zanim rozpoczął się poród. Pomyślałam, że tak będzie najlepiej, ponieważ czeka mnie jeszcze praca przy pani Lansdon. Leah jest w domu. Pomaga mi.

- To bardzo piękny gest z pani strony, pani Polhenny.

Pani Polhenny wyprostowała się dumnie. Przybrała jeszcze bardziej godną i szlachetną minę.

- No cóż... ona już urodziła. Teraz kolej na panią Lansdon.

Później babcia powiedziała do mnie:

- Ona ma serce na właściwym miejscu mimo przesadnego wyobrażenia o własnej cnocie i wielkości. Pięknie postąpiła, biorąc do siebie Jenny.

W tym czasie wydawało się, że nie ma jeszcze żadnych powodów do niepokoju. Poród Jenny miał łatwy przebieg. Myśleliśmy, że u mamy będzie podobnie.

Pani Polhenny zjawiła się o jedenastej, ale późnym popołudniem wiedzieliśmy już, że nie jest dobrze. Posłano po doktora Wilminghama.

Przyjechał Benedykt. Nikt nie stawił się po niego na stację, ale nie zdziwił nas jego widok, ponieważ spodziewaliśmy się, że przyjedzie do Cadon na czas porodu. Chciał natychmiast iść do mamy, ale go do niej nie dopuszczono.

- Powiemy jej, że jesteś - oświadczyła babcia - i ta świadomość będzie dla niej ulgą i pociechą.

Potem zaczęły się najstraszniejsze godziny w moim życiu. Nie pamiętam ich dokładnie.

Starałam się zatrzeć je w pamięci, ponieważ nieodmiennie wywołują w moim sercu bolesny skurcz.

Do pewnego stopnia to mi się udało, gdyż teraz owe dramatyczne chwile stały się już tylko zamglonym obrazem.

Jednakże pamiętam żywo straszliwą torturę, jaką było oczekiwanie. Siedziałam z dziadkami... i z nim. Nie mógł usiedzieć na miejscu. Chodził bezustannie po pokoju, zarzucając nas gradem pytań: Jak wygląda? Dlaczego nie posłano po niego wcześniej? Powinno się przecież przedsięwziąć jakieś kroki?

Dziadek zwrócił się do niego, prosząc:

- Na miłość boską, uspokój się, Benedykcie. Wszystko będzie dobrze. Doprawdy trudno o lepszą opiekę, niż ma tutaj.

- Nie powinna wyjeżdżać. Powinna zostać w Londynie - odparł z gniewem.

- Któż to mógł przewidzieć - babcia próbowała odierać jego zarzuty. - Chcieliśmy dla niej jak najlepiej.

- Jakiś prowincjonalny lekarzyna. Stara baba...

Ogarnęło mnie oburzenie. Jak on śmiał obwiniać moich dziadków. Ale wiedziałam, podobnie jak oni, że zachowuje się tak, bo targa nim straszliwy niepokój i w ten sposób daje ujście swym obawom i żalości.

Godziny ciągnęły się nieznośnie. Miałam uczucie, że wszystkie zegary stanęły w miejscu. Czekanie... czekanie... i narastający z każdą upływającą chwilą paraliżujący lęk, a potem przerażenie.

Nie jestem w stanie długo o tym rozmyślać. Strach złapał mnie zimną dłonią za gardło; byłam zupełnie jak skamieniała. Wiedziałam, że dziadkowie i on doświadczają podobnych emocji. Przy boku czułam obecność babci. Spojrzałyśmy na siebie. Żadna z nas nie próbowała ukryć tego, co czuje. Ujęła moją rękę i ścisnęła ją mocno.

Potem wszedł doktor. Za nim pani Polhenny. Nie musieli nic mówić. Wiedzieliśmy.

Straszliwa żalość, rozpaczliwa i przejmująca, spłynęła na mnie lodowatą falą.

Świąteczna tragedia

W przeblyskach pamięci odżywają uczucia przepelniające wtedy całą naszą istotę; straszliwa rozpacz i ból, i najbardziej okrutna żalość, jakiej może zaznać człowiek. Widzę nas zebranych wokół jej łoża. Jakże inaczej wyglądała za życia! Była taka piękna. Jej bledziutka twarz tchnęła spokojem i pogodą. I wydawała się taka młoda - i taka już daleka od nas. Nie mogłam pogodzić się z myślą, że utraciłam ją na zawsze.

Nikt z nas nie spojrział nawet na dziecko. Nie mogliśmy się na to zdobyć. Przecież gdyby nie ono, nigdy by nie doszło do tragedii.

Dziadkowie zupełnie się załamali. Stanowiła ośrodek ich życia, oczko w głowie. Byli ogłuszeni straszliwym nieszczęściem tak samo jak ja. Jeśli chodzi o Benedykta, to nie wiem, czy kiedykolwiek widziałam na czyjejs twarzy równie wielką rozpacz. Gniew przeplatał się ze straszną urazą do bezlitosnego losu, który zadał mu tak okrutny cios. W tym momencie zrozumiałam, jak bardzo ją kochał. Wydaje mi się, że każdy z nas miał wtedy tylko jedno pragnienie: uciec stąd, odejść, opuścić to miejsce i zaszyć się gdzieś, w jakimś kącie, by w samotności przetrwać swój ból.

Doktor i pani Polhenny zajęli się dzieckiem. Czułam, że nie mają wielkiej nadziei na to, by wyżyło. Z jego karmieniem był poważny problem; na szczęście pani Polhenny wiedziała, jak temu zaradzić. Byliśmy zbyt ogłuszeni naszym bólem, by myśleć o innych sprawach, i doprawdy nie wiem, co byśmy wówczas bez niej poczęli.

Babcia powiedziała później, że winniśmy jej dozągoną wdzięczność. Czyniła dużo szumu, ale dzieckiem opiekowała się z całym oddaniem, gdy my tymczasem pogrążaliśmy się w rozpacz. Później trzeba będzie coś postanowić. Moim zdaniem dziecko powinno zostać w Cadore.

Wiedziałam, że babcia, kiedy przyszła już trochę do siebie po straszliwym wstrząsie, również tego chciała... podobnie jak ja. Ale początkowo sama myśl o niemowlęciu wydawała mi się nie do zniesienia. I co nam wszystkim później wydało się niewiarygodne, pani Polhenny doskonale to rozumiała. Przestała grać rolę anioła zemsty Pana Boga i była tylko rzeczową pielęgniarką, z ogromną troską zajmującą się żywą, wymagającą opieki istotą.

Z trudem dotrwaliśmy do końca tej straszliwej doby. Kiedy rano podniosłam się z łóżka, w którym prawie nie zmrużyłam oka, zrozumiałam, że mimo wszystko nadal muszę ciągnąć wóz swego życia. Moja matka umarła i nie pozostaje mi nic innego, jak pogodzić się z tym faktem. Tym

razem utraciłam ją naprawdę.

Wszyscy poruszaliśmy się jak lunatycy, a już najbardziej odrętwiały był Benedykt. Jedyne dziadek próbował zachować jaki taki spokój. On jeden myślał o następnym dniu - wszystko po to, by choć na chwilę zapomnieć o nieodwracalnej tragedii. Ustalono datę pogrzebu. Leżała tam w tej trumnie... ona, która była tak radosna, tak pełna energii - ona, najważniejsza osoba w moim życiu. Oczywiście, nie pozostałam tak całkowicie sama. Miałam jeszcze dziadków i gorąco za nich dziękowałam Bogu. No i było jeszcze dziecko. Z tego, co mówiła pani Polhenny, życie w małości ledwo się tliło. Mimo to nie chciała nikogo do niego dopuścić. "Zostawcie ją mnie... tylko na razie. Zostawcie ją".

Powierzyliśmy ją zatem trosce pani Polhenny i jak myślę, wszystkim nam sprawiło to wielką ulgę.

Nadszedł dzień pogrzebu. Nigdy go nie zapomnę... powozy, karawan, żałobnicy w wyjściowych ubraniach, zapach lilii. Ich woń prześladowała mnie przez długie lata; ilekroć gdzieś ją poczułam, ta scena natychmiast odżywała w mej pamięci.

Staliśmy wokół grobu. Benedykt, dziadkowie i ja. Trzymałam babcię za rękę i patrzyłam na niego, gdy grudki ziemi zaczęły sypać się na trumnę. Na żadnej twarzy nie widziałam nigdy tak bezbrzeżnej rozpacz. I wreszcie powrót do Cador, który stał się teraz domem żałoby.

Tak zawsze nie będzie. Nic nie trwa wiecznie, pocieszałam się.

Benedykt wyjechał następnego dnia. Odnosiło się wrażenie, jakby nie mógł dłużej znieść naszego widoku.

Kiedy powóz, mający zawieźć go na stację, zajechał przed dom, zesliśmy na dół, by się z nim pożegnać. Babcia usiłowała go pocieszać. Była głęboko poruszona jego cierpieniem.

- Zostaw na razie wszystko tak jak jest, Benedykcie - powiedziała. - Później znajdziemy jakieś wyjście, kiedy się już pozbieramy po tym ciosie. Rebeke i dziecko zatrzymamy chwilowo u

siebie.

Uderzył mnie wyraz jego twarzy, kiedy wspomniała o dziecku. Odmalowała się na niej niewysłowiona niechęć, granicząca z nienawiścią. Wiedziałam, że aby uśmierzyć nieznośny ból rozdzierający mu serce, musiał obarczyć kogoś winą za tę tragedię. Musiał go zastąpić jeszcze silniejszym uczuciem. Wiedziałam, że już teraz odczuwa niechęć do swego dziecka i że zawsze będzie sobie powtarzał: “Gdyby nie ono, Angelet żyłaby do dzisiaj”.

Odgadywałam jego myśli, ponieważ mnie również nie było obce uczucie tej samej gorzkiej niechęci. Wiedziałam, że jest ona w stanie zawładnąć bez reszty duszą człowieka i uniemożliwić obiektywne widzenie rzeczywistości. Jego uraza do dziecka dawała się łatwo porównać z moim własnym uprzedzeniem do niego. On powtarzał sobie: “Gdyby nie to dziecko, ona byłaby nadal wśród nas”, ja natomiast mówiłam: “Gdyby nie ty, Benedykcie Lansdon, miałabym mamę niepodzielnie dla siebie, tak jak wtedy, nim ty pojawiłeś się w naszym życiu”.

Wszyscy odetchnęli z ulgą, kiedy odjechał.

Dziadkowie Pedreka, Pencarronowie, udowodnili przy tej smutnej okazji po raz kolejny, że są lojalnymi i oddanymi przyjaciółmi. Ich córka, Morwenna, i moja matka debiutowały jednocześnie przed laty w londyńskim sezonie bali i zabaw. Morwenna i jej mąż towarzyszyli mym rodzicom w wyprawie do Australii. Tam ja i Pedrek przyszliśmy na świat. Byliśmy wszyscy bardzo ze sobą zżyci i czuliśmy się jak jedna rodzina.

Po odjeździe Benedykta pani Pencarron zapowiedziała babci stanowczo:

- Zabieramy was stąd, ciebie, twego męża i Rebekę do nas, do Pencarron. Chcę, byście spędzili z nami przynajmniej dwa dni.

- Ale jest dziecko, co z nim zrobić... - wahała się babcia.

Pani Pencarron posmutniała na chwilę. Szybko jednak znalazła radę:

- Dzieckiem zajmie się pani Polhenny, tak jak dotąd. Wy musicie koniecznie oderwać się od

tego smutnego miejsca i odetchnąć mniej przygnębiającą atmosferą, chociaż na krótko.

Po długich perswazjach babcia dała się w końcu namówić na kilkudniowy wyjazd do Pencarron.

Pencarronowie wychodzili wprost ze skóry, by nam pomóc otrząsnąć się ze smutnego nastroju. Niewiele to jednak dawało. Babcia niełatwo poddawała się wpływom. Razem chodziłyśmy na długie spacerunki, podczas których rozmawiałyśmy głównie o mamie.

- Mam uczucie, że ona jest wciąż z nami, Rebeko. Nie próbujmy uciekać od niej myślą.

Mówmy tak, jakby nadal była wśród nas.

Opowiedziałam jej o rozmowie, jaką miałam z mamą zaledwie kilka tygodni temu.

- Prosiła mnie, bym opiekowała się jej dzieckiem: "Pamiętaj, byś się nim opiekowała" - mówiła. Miałyby to być mój mały braciszek lub siostrzyczka. Dostyc dziwnie rozmawiała ze mną nad jeziorem.

- Była bardzo związana z tym miejscem. Miało dla niej szczególne znaczenie.

- Wiem. A teraz, kiedy myślę o naszej rozmowie, przypominam sobie każde jej słowo.

Zachowywała się tak, jakby wiedziała, że umrze.

Babcia wsunęła mi rękę pod ramię.

- Pozostało nam jej dziecko, Rebeko.

- Na początku zdawało się, że ono nikogo nie obchodzi.

- To dlatego, że...

- Że jej przyście na świat przyczyniło się do śmierci mamy.

- Biedna kruszyna. Co ona o tym wiedziała? Musimy ją kochać, Rebeko. To oczywiste, że będziemy ją kochać. Ona jest twoją siostrzyczką... moją wnuczką. Twoja matka tego by sobie życzyła, tego by po nas oczekiwała.

- A myśmy ją zostawili... już na samym początku.

- To prawda, ale wrócimy i wszystko się zmieni. To dziecko stanie się naszą pociechą i osłodą. Złagodzi nasz ból. Powiemy Pencarronom, że jutro wracamy do domu. Oni są kochani i rozumieją.

Zrozumieli i już nazajutrz byliśmy z powrotem w Cador. Powitała nas rozradowana pani Polhenny.

- Stan dziecka znacznie się poprawił - oznajmiła. - Wszystko jest na dobrej drodze.

Przetrwiała kryzys. Czuwałam nad nią dzień i noc, bo wymagała szczególnie troskliwej opieki. Był moment, kiedy już straciłam nadzieję, że ją z tego wyciągnę. Zobaczycie, jak się zmieniła.

Wrzeszczy wniebogłosy; tak jest zawsze, kiedy coś się nie podoba jaśnie pani.

Z dumą zaprowadziła nas do dzieciennego pokoju.

Miała rację. Niemowlę wyraźnie zmieniło się na korzyść. Dziewczynka przybrała na wadze, wyglądała zdrowiej. Było to zupełnie inne dziecko.

- Teraz zacznie się poprawiać bardzo szybko - zapewniła pani Polhenny. - Mówię państwu, życie tego maleństwa, bez przesady, wisiało dosłownie na włosku.

Wydaje mi się, że od tego momentu poczuliśmy się trochę lepiej. Zostało nam dziecko, o które należało dbać, troszczyć się i z myślą o nim układać plany.

Kilka dni pobytu w Pencarron okazało się mądrym posunięciem. Oddzieliły nas niejako głębokim rowem od straszliwego wstrząsu, jakim była dla nas śmierć mamy.

Po powrocie wyraźniej zdaliśmy sobie sprawę z faktu, że my również mamy życie i musimy spełnić to, co jest nam przeznaczone. Zrozumieliśmy, że podświadomie, gdzieś w najtajniejszym zakątku naszej duszy, czaiło się przekonanie, że dziecko nie wyżyje i nie będziemy mieli tej żywej pamiątki po ukochanej osobie. Zarówno doktor Wilmington, jak i pani Polhenny byli przeświadczeni, że dziecko podąży w ślad za matką. Jednak jakiś cud sprawił, że nie tylko przetrwała kryzys, ale nawet zaczęła szybko przychodzić do zdrowia. Przeżyła, by stać się naszą

radością, byśmy mogli ją kochać i rozpieszczać, tak jak mama by sobie tego życzyła i jakby tego od nas oczekiwała.

Dziecko stało się teraz osią, wokół której zaczęło się obracać nasze życie. Stopniowo, bardzo powoli co prawda, nasz żal i boleść zaczęły stawać się mniej dolegliwe.

Trzeba była urządzić chrzciny. Miała dostać na imię Belinda Mary. To był pomysł babci.

“Po prostu takie właśnie imię przyszło mi na myśl” - wyjaśniła; od tej pory Belinda stała się już całkowicie określoną osobą. Zauważyliśmy natychmiast, że jest w niej coś nieprzeciętnego; była bystrzejsza od innych dzieci i jak się nam wydawało - zupełnie niedorzecznie - potrafiła już nas rozpoznawać.

Pani Polhenny, na szczęście, nie miała w tej chwili pilniejszych zajęć i czasowo wzięła na siebie obowiązki niani. Nie ulegało wątpliwości, że dziecko wiele zawdzięcza jej fachowym umiejętnościom.

- Potrzebna nam jest niania - oświadczyła któregoś dnia babcia i pani Polhenny z nią się zgodziła.

Mniej więcej w tydzień po naszym powrocie z Pencarron zjawiała się z propozycją.

- Proponuję swoją Leah - powiedziała nam. - Nie wiem, co to jest, ale od czasu pobytu w High Tor, gdzie naprawiała te gobeliny, nie potrafi sobie znaleźć miejsca. Sądzę, że pobyt w St Ives, u mojej siostry, miał tę dobrą stronę, iż Leah zatęskniła w końcu za domem. Pragnie pobyc trochę ze mną...

Wymieniłyśmy z babcią znaczące spojrzenia. Trudno nam było uwierzyć, by Leah chciała wrócić do tej chaty, gdzie pedantyczną czystość traktowano na równi z pobożnością.

- Leah świetnie sobie radzi z niemowlętami - ciągnęła pani Polhenny. - Przyuczyła się trochę przy mnie, a poza tym ja w każdej chwili służę pomocą. Wydaje mi się, że będzie to dobre wyjście, jeśli moja córka podejmie się opieki nad maleństwem.

- Leah! - wykrzyknęła babcia ze zdziwieniem. - Przecież ona ma zawód. Jest krawcową i to wykwalifikowaną.

- Tym lepiej. Będzie dziecko obszywać. Ona to lubi.

- Rozmawiała pani z nią o tym?

- Oczywiście. I proszę mi wierzyć, że chętnie się podejmie tej pracy. Ma już dość ślęczenia nad igłą; to źle wpływa na oczy. Uważa, że powinna dać im trochę odpocząć. Zaczyna już miewać bóle głowy. A ponadto chce zostać nianią tego dziecka. Jeśli czegoś nie będzie wiedziała, ja jej poradzę. Proszę mi zaufać, naprawdę będzie dobra dla maleństwa.

- No cóż - zgodziła się babcia - jeśli Leah rzeczywiście tego chce, uważam, że nie może być lepszego wyjścia.

- Przyślę ją pani. Sama z nią pani porozmawia.

- To rozwiązałoby problem, a poza tym nianią byłby ktoś, kogo dobrze znamy. Odpowiada mi ten pomysł.

Niebawem Leah zjawiła się w Cador i w krótkim czasie zadomowiła się na dobre w dzieciennym pokoju. Dziecko natychmiast do niej przyłgnęło; była to, jak się okazało, znakomita decyzja.

Lubiliśmy Leah. Zawsze odnosiliśmy się do niej z sympatią, chociaż poprzednio mieliśmy niewiele okazji ją widywać. Ciągle przesiadywała zamknięta w chacie, a jeśli gdzieś wychodziła, to zawsze w towarzystwie matki.

Teraz sprawiała wrażenie zupełnie innej osoby, szczęśliwszej - powiedziałabym. Wcale mnie to zresztą nie zdziwiło. Była łagodna i cicha. Babcia stwierdziła, że mieliśmy dużo szczęścia, przyjmując ją do dziecka.

Leah wyrosła na prawdziwą piękność: miała długie ciemne włosy i myśłące brązowe oczy.

Była to jednak uroda chmurna i nieco tajemnicza. Dzieckiem zajmowała się z wyjątkowym

oddaniem. Babcia powiedziała kiedyś, że Leah trzymająca małą w ramionach wygląda jak renesansowe Madonny z płócien starych mistrzów. Kiedy świadomość dziecka rozwinęła się już na tyle, że zaczęła poznawać otoczenie, przede wszystkim szukała wzrokiem twarzy swej młodej opiekunki.

Skupienie uwagi na pokoju dzieciennym pomogło nam przetrwać w miarę znośnie smutek pierwszych trudnych miesięcy po śmierci mamy. Z dziadkami bezustannie rozmawialiśmy o Belindzie. Pierwszy uśmiech, pierwszy ząbek to było dla nas ważne wydarzenie. Dzięki temu szybciej odzyskaliśmy równowagę po przeżytym wstrząsie i łatwiej zaakceptowaliśmy fakt, że mamy nie ma już wśród nas.

Siedzieliśmy przy śniadaniu - ja i dziadkowie - kiedy nadeszła poczta. Między innymi był list od Benedykta. Babcia wzięła go niepewnie do ręki; widziałam, że jest zaniepokojona i nie ma odwagi go otworzyć.

- To list od Benedykta - zwróciła się do dziadka ze zbytecznym stwierdzeniem.

Skinął głową posepnie.

- Z pewnością będzie chciał zabrać dziecko. Ma do tego prawo. - Łagodnie powiedział do babci: - Otwórz ten list, Annoro. Jestem przekonany, iż doskonale zdaje sobie sprawę, że Belindzie i Rebecce nigdzie nie będzie lepiej niż u nas.

Palce jej trochę drżały, gdy otwierała kopertę, ale w miarę czytania zdenerwowanie wyraźnie ją opuszczało, na twarzy odmalowała się widoczna ulga. Obserwowałam ją chciwie przez cały czas.

- Benedykt pisze, że on odpowiada za dziecko i Rebekeę.

- Za mnie nie! - zaprotestowałam.

- Jako twój ojczym jest, w świetle prawa, twoim opiekunem i nie możemy tego negocjować - wyjaśnił dziadek.

- Nie! To wy jesteście mymi opiekunami!

Dziadek uśmiechnął się do mnie czule.

- Co jeszcze pisze? - zapytał.

- Zamierza podjąć pewne kroki, które ma zamiar przedyskutować z nami w przyszłości. Na razie, jeśli to nie jest dla nas zbyt uciążliwe, wolałby, aby dzieci zostały u nas. - Babcia się zaśmiała: - Uciążliwe, rzeczywiście!

Roześmiałam się również.

- On nas nie chce... tak jak i my nie chcemy jego.

- A więc wszystko w porządku - stwierdziła babcia.

- Benedykt daje nam w ten sposób do zrozumienia, że docenia to, co robimy - zauważył dziadek.

- Pisze, że zwróci nam poniesione koszty - czytała dalej.

- O czym on, do licha, mówi?

- Przypuszczam, że ma na myśli nianię oraz inne wydatki związane z dziećmi.

- Co za bzdura!

- Zatem wszystko zostaje bez zmian.

Ten list ogromnie nam ulżył, ale mnie dał wiele do myślenia. Nie życzyłam sobie, by mi przypomniano, że Benedykt jest moim opiekunem i ojcem Belindy. I że to on będzie miał decydujący głos w sprawach naszej przyszłości.

Podbiegłam do babci i przytuliłam się do niej.

- Zostaniemy z wami - oświadczyłam. - Nie chcę was opuszczać!

- Nic się nie martw - zapewnił mnie dziadek. - Benedykt tylko pragnie podkreślić, że pamięta o tobie. Jest zadowolony, że jesteś tutaj z nami. Na pewno nie jest w stanie zadbać o ciebie lepiej niż my, a i miejsca też nie znajdzie odpowiedniejszego niż w Cadór.

Kiedy później rozmawiałam o tym z babcią, uspokoiła mnie:

- Nie martw się. Nie będzie mu łatwo prowadzić dom w Londynie i Manorleigh bez żony.

Poświęci się całkowicie robieniu politycznej kariery. Pragnie nam tylko uzmysłowić, że zdaje sobie sprawę z odpowiedzialności za was obie, ale dobrze wie, że Belindzie nigdzie nie będzie lepiej niż u nas. Z drugiej jednak strony nie możesz zapominać, że jest jej ojcem.

- Wolałabym, żeby nim nie był - oświadczyłam.

Babcia ze smutkiem kręciła głową.

Ona również, podobnie jak ja, pragnęła, by to, co się stało, było tylko złym snem, po którym obudzimy się wszyscy szczęśliwi i beztroscy jak dawniej.

Minął rok od śmierci mamy. W ciągu tego okresu Benedykt dwukrotnie przyjeżdżał do Kornwalii. Chciał zobaczyć, jak się miewa dziecko. Byłam właśnie w dzieciennym pokoju, gdy wszedł. Belinda przyglądała mu się z obojętną miną. Leah uniosła dziewczynkę i dała mu ją na rękę. Benedykt trzymał ją ostrożnie, ale Belindzie ta zamiana wyraźnie się nie spodobała; z krzykiem zaczęła się wydzierać z jego ramion. Leah ją od niego odebrała; dziewczynka radośnie zagulgotała i od razu się uspokoiła.

- To bardzo bystre dziecko, jaśnie panie - zwróciła się do niego niania. - Będzie pan z niej dumny.

Z uwagą spojrział na dziewczynę. Ta zaczerwieniła się pod tym spojrzeniem i opuściła wzrok. Bardziej niż kiedykolwiek przypominała w tej chwili Madonnę z obrazu.

Rozmawiając później z Benedyktem, babcia opowiedziała mu o Leah.

- Ona wyjątkowo dobrze radzi sobie z Belindą - wyjaśniła. - Poza tym jest doskonale przygotowana do roli niani. Jej matka jest akuszerką i od niej, moim zdaniem, nauczyła się pielęgnować małe dzieci.

- Sprawia wrażenie kompetentnej - zauważył.

Ze mną rozmawiał krótko i wstrzemięźliwie. Z jego tonu wyraźnie wynikało, że jest świadomy mej niechęci do niego; niewykluczone, że ją też odwzajemniał.

- Rebeko, będziesz musiała za jakiś czas pójść do szkoły - oświadczył. - Twoja edukacja nie może się skończyć na wiadomościach przekazanych ci przez guwernantkę.

- Jest mi bardzo dobrze z panną Brown.

- Dobre samopoczucie nie wystarcza do zdobycia wykształcenia. Trzeba czegoś więcej.

Takie mieliśmy w stosunku do ciebie zamiary.

Miał na myśli plany, jakie on i mama robili w związku z moją osobą. A zatem ona rozmawiała z nim na ten temat.

- Może na przyszły rok - zapowiedział.

Na razie więc zostawił mnie w spokoju.

Byłam zadowolona, kiedy wreszcie wyjechał. Babcia również odetchnęła z ulgą. Myślę, że zawsze drzemała w niej obawa, że któregoś dnia przyjedzie i zabierze mnie i Belinę.

Może mi kazać jechać do szkoły, ale byłam przekonana, że nie tęskni za tym, by mieć przy sobie Belinę. Gdy spoglądał na dziecko, coś w jego spojrzeniu mówiło mi, że nadal obwinia ją za śmierć mamy.

Pedrek przyjechał na letnie wakacje do Kornwalii ze swym szkolnym kolegą, który nie życzył sobie intruza w postaci dziewczyny. Wakacje te przebiegły inaczej niż poprzednie. Pedrek był chłopcem niezwykle taktownym, zawsze starał się wczuwać w sytuację innych ludzi - tę cechę wzięł po swojej matce - wiedział więc, że przykro odczułam odtrącenie. Próbował się częściowo usprawiedliwić, ale niewiele mógł poradzić. Musiał się zajmować swym gościem. Powoli wyrastaliśmy z dzieciństwa i to był kolejny przejaw zmian zachodzących w naszym życiu.

Często chodziłam nad brzeg jeziora i rozmyślałam o mamie. Przypominałam sobie, jak

siedziałyśmy tu, gawędząc i spoglądając na gładką tafłę wody. Wspominałam, jak mnie prosiła, bym opiekowała się dzieckiem, które nosiła w swym łonie. Zwracała się do mnie tak, jakby miała przeczucie swego przyszłego losu, jakby wiedziała, że umrze.

Jeziro szczególnie ją fascynowało i często, kiedy nad nim siedziałam, odnosiłam dziwne wrażenie, jakby mama była tuż obok... jakby chciała do mnie przemówić.

Właśnie tam nad jeziorem uświadomiłam sobie istnienie Lucie.

Interesowałam się córeczką Jenny, ponieważ nikt do samego końca nie wierzył, że jej matka jest w ciąży, i nikt nie wiedział, kto jest ojcem dziecka.

Pani Polhenny wspominała o niej od czasu do czasu.

- Nie ma na świecie lepszej matki niż Jenny Stubbs - mówiła. - To jest doprawdy zadziwiające, bo przecież dziewczyna jest upośledzona na umyśle. Ale jeśli chodzi o pielęgnowanie dziecka, wszystko robi tak, jak dyktuje zdrowy rozsądek. Lucie po urodzeniu była chucherkiem, a teraz patrzcie tylko, jak wygląda - istna rzepa. Uważam, że to zasługa Jenny. Ona jest stworzona na matkę. Szkoda, że dobry Bóg poskąpił jej rozum.

Była to jedyna krytyczna uwaga skierowana w stronę Pana Boga, jaką usłyszałam z ust pani Polhenny; musiało ją to zatem rzeczywiście poruszyć.

Babcia również bardzo się dziwiła. Pani Granger, właścicielka farmy, na której Jenny pracowała, powiedziała, że dziewczyna zmieniła się nie do poznania, odkąd Lucie przysłała na świat. "Jest teraz zupełnie normalna - mówiła pani Granger - a ta Lucie... panienka Belinda na pewno nie ma lepszej opieki. Zawsze czysta, zawsze dobrze utrzymana. Pozwalam Jenny zabierać ją ze sobą do nas, na farmę. Praca na tym nie cierpi, a ja nie chcę stracić dziewczyny. Dobra z niej robotnica, a teraz, kiedy wynormalniała, tym większa z niej korzyść".

- Biedna dziewczyna sfiksowała na punkcie macierzyństwa - powiedziała babcia. - Widzisz, kilka lat temu straciła ukochaną córeczkę. Zawsze była trochę nienormalna, ale teraz, z chwilą

urodzenia drugiej dziewczynki, jej chorobliwa obsesja straciła sens. Czuje się znowu szczęśliwa. Kiedy ciebie porwała, opiekowała się tobą równie troskliwie, jak teraz opiekuje się Lucie. Wiem, że pani Polhenny i jej podobni gorszą się, że dziecko jest nieślubne, ale czyż można potępiać taki postępek, skoro tak korzystnie wpłynął na ludzkie życie?

W każdym razie interesowałam się Lucie, a i ona wyraźnie do mnie lgnęła. Prawie codziennie po południu chodziłam nad jezioro, by ją zobaczyć. Jenny wynosiła ją wtedy przed chatę i przy okazji zamieniała ze mną kilka słów.

Dziewczynka miała w tym czasie roczek; była ładniutkim dzieckiem o niebieskich oczach i ciemnych włoskach. Tuliła się do mego boku, przyglądając mi się z uwagą, po czym uśmiechała się całą buzią.

- Ona bardzo panią polubiła, panienko Rebeko - stwierdziła z zadowoleniem Jenny.

Czasami w tych wycieczkach nad jezioro towarzyszyła mi Leah i Belinda. Dziewczynki były w jednym wieku i chętnie się ze sobą bawiły. Miałam więc jednocześnie okazję do zabawnych obserwacji i porównań; Belinda, mimo iż taka mała, starała się podporządkować sobie Lucie.

Władcze cechy jej charakteru już teraz dawały znać o sobie.

Bardzo bym chciała, by dzieci częściej kontaktowały się ze sobą, ale Leah niezbyt chętnie widziała wspólne zabawy i w miarę możliwości starała się od nich wymówić. Kiedy małeństwa były razem, zauważyłam, że przygląda się im niespokojnie. Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie kieruje nią jakieś snobistyczne uprzedzenie, że Belinda, jako pochodząca z wyższej sfery, jest kimś lepszym od dziewczynki urodzonej w wiejskiej chacie.

Wspomniałam o tym babci, która zgodziła się ze mną, dodając, że uboższe warstwy były znacznie bardziej wyczułone na różnice społeczne niż my sami. My uświadamialiśmy je sobie praktycznie tylko w stosunkach ze służbą, z którą musieliśmy postępować według zasad przyjętych w naszej sferze. Była rada, że interesowałam się losem Jenny i Lucie. Sama często zaglądała do ich

chaty, by sprawdzić, czy mają dość jedzenia, drew na opał i innych rzeczy.

Im częściej widywałam Lucie, tym większą czułam do niej sympatię i z niecierpliwością wyglądałam chwili, kiedy ją znowu zobaczę.

- Jaka czeka ją przyszłość? - pytałam babcię. - Teraz, kiedy jest dzieckiem, to wszystko dobrze, ale co się z nią stanie, gdy dorośnie?

- Przypuszczam, że zostanie służącą w jakimś domu lub na farmie, tak jak jej matka.

- Ciągle mi się wydaje, że ona nie jest przeciętnym dzieckiem.

- Będziemy nad nią czuwać i w miarę możliwości postaramy się jej pomóc.

- Lucie jest bardzo inteligentna, wiesz o tym. Sądzę, że dorównuje Belindzie, tylko że ta ma bardziej przebojowy charakter.

- Czy w tym wieku można już wyrokować o cechach charakteru?

- Myślę, że tak. Mam nadzieję, że Lucie będzie się dobrze rozwijać.

- Nie martw się. Będziemy się nią opiekować.

Wiedziałam, że prędzej czy później w moim życiu musi nastąpić zmiana. Belinda skończyła dwa lata i zaraz potem posłano mnie do szkoły. Pani Brown - stwierdził Benedykt - nie jest już w stanie niczego więcej mnie nauczyć.

- Co on może o tym wiedzieć? - pytałam buntowniczo. - Moja nauka nie interesuje go nic a nic.

- Przypuszczalnie na ten temat rozmawiał z twoją mamą - uspokajała mnie babcia. - Będzie to tylko z korzyścią dla ciebie. Żyjesz tutaj, na tej odludnej prowincji, z dala od ludzi i rówieśników, więc pobyt na pensji dobrze ci zrobi.

A więc pojechałam do szkoły, której początkowo szczerze nienawidziłam. Jednakże z upływem czasu moja niechęć powoli topniała, tak że w końcu nawet dość ją polubiłam. Nie miałam kłopotów z zawieraniem przyjaźni. Byłam niezła w sporcie, trochę lepsza w nauce: pani Brown

zawdzięczałam solidne przygotowanie i ogólnie całkiem dobrze sobie radziłam.

Czas mijał szybko. Na wakacje przyjeżdżałam zawsze do Cador. Wyczekiwałam ich niecierpliwie, ale gdy minęły, z radością wracałam na pensję, do swych przyjaciółek. Sprawy takie jak: kto weźmie udział w szkolnym koncercie, z kim będę dzielić pokój oraz dokąd pojedziemy na wycieczkę, urastały do rangi wydarzeń pierwszorzędnej wagi.

Dziadkowie cieszyli się, iż dobrze radzę sobie w szkole. Chciwie czytali moje świadectwa i raporty nauczycielskie, które następnie wysyłali Benedyktowi. Byłam pewna, że nie raczył nawet do nich zajrzeć.

Na to Boże Narodzenie również przyjechałam do Cador. Pedrek z rodzicami spędzał święta u swoich dziadków w Pencarron; widywaliśmy się zatem niemal codziennie. Tym razem nie przywiózł ze sobą żadnego kolegi i nasze spotkania miały charakter taki sam jak dawniej, kiedy nikt obcy nie mącił naszej przyjaźni.

Belinda wkrótce kończyła cztery lata. Zdumiałam się, widząc, jak bardzo urosła podczas mojej nieobecności. Nabrała pewności siebie i potrafiła już swobodnie i poprawnie się wysławiać. Leah oznajmiła z dumą, że jest wyjątkowo rozwinięta jak na swój wiek i że z niecierpliwością wyczekuje Bożego Narodzenia.

Postanowiono urządzić w pierwszy dzień świąt przyjęcie na jej cześć. Zaproszono bliźnięta i kilkoro dzieci z sąsiedztwa. Przyjęcie miał uświetnić iluzjonista z Plymouth, specjalnie zaangażowany na tę okazję.

Od dawna nie widziałam babci tak zadowolonej. Wychowywanie Belindy dobrze na nią wpływało.

Przypomniałam sobie o Lucie. Jakże inaczej, jak ubożuchnie będzie wyglądać Boże Narodzenie tego dziecka.

Zapytałam o nią babcie.

- Dopilnowałam, by im niczego nie brakowało - odpowiedziała. - Dostały od nas węgiel i drewno na opał; myślę, że ty także wybierzesz się do nich z koszykiem.

- Chętnie. Kiedy?

- Moja droga, dopiero co przyjechałaś. Będzie na to czas przed samymi świętami.

- Pójdę tam jutro. Mogę już wtedy coś im zanieść.

- Widzę, że interesuje cię to dziecko?

- Tak. Przyszła na świat tak niespodziewanie, prawda? Nikt z nas nie wierzył, że Jenny naprawdę jest w ciąży. Poza tym uważam, że jest bardzo inteligentną dziewczynką. Nie mogę wprost uwierzyć, że urodziła ją Jenny.

- Och, w wielu rodzinach przychodzą na świat dzieci, które zupełnie do nich nie pasują. Ale zgadzam się z tobą, że to dziecko jest bardzo miłe.

- Porównuję ją z Belindą; ta ma wszystko, o czym marzy.

- No cóż, świat jest już tak urządzony. Społeczne podziały istnieją od zawsze i istnieć będą.

- Przypuszczam, że masz rację. Ale chciałabym im zanieść coś naprawdę dobrego.

- Zaniesiesz, już ja się o to postaram.

Nazajutrz wybrałam się do chatki Jenny. Jezioro odstręczało posępnym wyglądem. Dzień był dżdżysty i pochmurny, a wiotkie wierzbowe gałęzie i brązowozielonkawa toń majaczyły złowieszczo w szarawej mgle.

Chatka Jenny jednakże zapraszała do swego wnętrza. Było w niej czysto i przytulnie. Lucie rzuciła się ku mnie, kiedy zapukałam do drzwi. Objęła mnie za nogi i uścisnęła.

Było to serdeczne i spontaniczne przywitanie.

- Przebywałam w szkole, dlatego mnie nie było - usprawiedliwiałam się.

- Trzeba jej to wytłumaczyć - powiedziała Jenny. - Ona nie rozumie, co to szkoła.

- Dobrze, spróbuję.

Usiadłam na krześle i wzięłam dziewczynkę na kolana. Zaczęłam jej opowiadać o szkole, o bursie, w której mieszkałam, o wielkiej sali, w której się zbierałyśmy, i o nauczycielach.

Opisywałam także, jak odrabiamy lekcje przy pulpitach i jak chodzimy na długie spacery za miasto z naszymi wychowawczyniami: jedna idzie na czele grupy, ustawionej w pary, a druga z tyłu.

Opowiadałam, jak bawimy się w różne gry, jak uczymy się śpiewać i tańczyć.

Słuchała uważnie i z wniebowziętą buzią. Nie sądzę, by rozumiała chociaż połowę z tego, co mówiłam, ale przez cały czas nie spuszczała wzroku z moich warg.

Jenny ciekawiło, jak się miewa mała panienka z Cadór. Odparłam, że Belinda czuje się doskonale i z niecierpliwością wygląda Bożego Narodzenia. Zaczęłam opowiadać o planowanym dla niej kinderbalu i o tym, że z Plymouth ma przyjechać iluzjonista, ale urwałam. Było niedelikatnością z mojej strony wspominać o tym. Biednej Lucie nikt nie urządzi takiego przyjęcia.

- Co to jest iluzjonista? - zapytała Lucie.

- To taki pan, który potrafi sprawić, że przedmioty znikają, a potem odnajdują się cudownym sposobem - wyjaśniłam.

- I przyjeżdża aż z Plymouth - dodała Jenny.

Oczy Lucie rozszerzyły się z przejęcia. Bez końca rozpytywała się o niego, a ja cierpliwie odpowiadałam na wszystkie jej pytania.

A może zaprosić ją na ten bal? - zastanawiałam się. Moi dziadkowie bynajmniej nie należeli do osób zbyt rygorystycznie przestrzegających obowiązujących konwenansów. Ale jeśli Lucie - dziecko zwariowanej Jenny - otrzymałoby zaproszenie na przyjęcie, to należałoby zaprosić także pozostałe dzieci z okolicy.

Po powrocie do domu bezzwłocznie zwierzyłam się babci ze swojej gafy i swoich myśli.

- Głupio postąpiłam - wyznałam. - Nie powinnam była wspominać o zabawie, ale niestety za późno się zreflektowałam, a co gorsza, napomknęłam też o iluzjoniście... i tak to wyszło.

Babcia również, jak się okazało, miała podobne wątpliwości. Jeśli zaprosi się samą Lucie, pozostałe dzieci z okolicy na pewno poczują się dotknięte.

Po krótkim namyśle wpadła na pomysł, jak rozwiązać dylemat. Zaangażuje Jenny na ten dzień do pomocy w kuchni. Dziewczyna może wtedy zabrać ze sobą Lucie i dzięki temu dziecko weźmie udział w zabawie.

Kiedy przedstawiłam Jenny naszą propozycję, oczy jej rozbłysły radośnie. Dodałam jeszcze:

- A Lucie przyjdzie i będzie oglądać iluzjonistę wraz z innymi dziećmi.

Jenny splotła dłonie.

- Ona od wczoraj o niczym innym nie mówi, tylko o tym magiku.

Lucie zaczęła skakać do góry, kiedy jej powiedziałam, że zostaje zaproszona na dziecięcy bal do Cador. Uklękłam i objęłam ją ramionami. Ogarnęło mnie uczucie ogromnej czułości dla tego dziecka i pragnienie, by je chronić i otaczać opieką.

Trochę później przyszło mi na myśl, że przecież wszystkie dzieci będą odpowiednio wystrojone na tę okazję, a w czym przyjdzie biedna Lucie? Przecież nie ma nic oprócz ubogiego kitelka. To prawda, że będzie czysty i porządny, niemniej będzie się jaskrawo odcinał od strojów innych dzieci.

Belinda miała stertę różnych sukienek, które wisiały w szafie nie używane. Może by tak ofiarować Lucie jedną z nich? Zapytałam babcię, co o tym sądzi, a ona uznała, że to świetna myśl.

Zwróciłam się o pomoc do Leah, która na moją prośbę wyszukała dla Lucie bardzo ładną sukieneczkę. Uszyła ją swego czasu dla Belindy, ale ta już nie chciała jej nosić. Sukienka była jasnoniebieska, z kryzką przy szyi i spódniczką przybraną falbankami. Do tego dochodziła kokarda z niebieskiej wstążki przypięta w talii.

- W sam raz dla niej - orzekłam.

- Belinda nigdy nie przepadała za tą sukienką - powiedziała Leah. - Nie podobały jej się falbanki.

- Moim zdaniem sukienka jest śliczna i z pewnością Lucie się spodoba. Sądzę, że nigdy nie miała w swojej szafie czegoś równie ładnego.

Z ogromną satysfakcją ofiarowałam Lucie sukieneczkę. Nigdy przedtem nie widziałam takiej radości na twarzy dziecka. Jenny przypatrywała się tej scenie ze splecionymi rękami.

- Och, panno Rebeko - rzekła ze łzami w oczach. - Panienska okazuje nam tyle serca.

Byłam wzruszona jak rzadko. Miłość Jenny do dziecka byłaby w stanie poruszyć nawet kamień; dla niej liczyło się tylko szczęście dziewczynki. Pomyślałam, że Lucie jest biedna w porównaniu z Belindą, ale czy może być ubogi ktoś, kto otrzymuje w darze tyle miłości?

Była to radosna chwila. Teraz już mogłam opowiadać o wyczynach iluzjonisty bez żadnych skrupułów. Śmiałyśmy się i gawędziłyśmy beztrosko. Nie mogłam uwierzyć, że Jenny jest tą samą osobą, którą widywałam nucącą wśród wiejskich opłotków.

Belinda z Leah pomagały ubierać choinkę. Mała rozkazywała władcym tonem: "To ma wisieć w tym miejscu, ja tak chcę..." i tak dalej w tym stylu. Przygotowaliśmy prezenty dla wszystkich dzieci. Mieliśmy je rozdać jeszcze przed występami iluzjonisty. Postanowiłam dać Lucie lalkę. Miała długie lniane włosy i oczy, które się zamykały, gdy kładziono ją na wznak. Na choince umieszczono świece; zapłoną z nastaniem zmierzchu.

Belinda na widok świeczek wydała z siebie dziki okrzyk. Przejęta radością oświadczyła, że pragnie, aby Boże Narodzenie trwało cały rok.

Wreszcie nadeszło oczekiwane święto.

Cała rodzina z Pencarron zjechała do Cador. Mieli zostać na noc, ponieważ do ich domu był spory szmat drogi, a pogoda zapowiadała się niepewna.

Następnie przybyli Jack i Marian z bliźniętami Jacco i Anne_Smary. Wilmingtonowie z

synem i córką oraz trzema wnuczętami mieli dojechać w pierwszy dzień świąt. Zaproszono również dziewczynkę i chłopczyka zamieszkałych o milę od naszego domu.

Dziadkowie oświadczyli, że Boże Narodzenie jest przede wszystkim świętem dzieci i że to głównie ich radość powinno się mieć w ten dzień na względzie.

Jenny przysłała i przyprowadziła ze sobą Lucie. Dziewczynka wyglądała bardzo ładnie w niebieskich falbankach. Na mój widok oczy Lucie rozbłyły. Podbiegła i ujęła mnie pod kolana, jak to miała w zwyczaju. Jej przymilność zawsze chwytała mnie za serce. Czułam, że jest trochę onieśmielona i woli trzymać się mego boku.

Babcia ucałowała ją i ująwszy za rączkę, wprowadziła do sali. Byłam wstrząśnięta, widząc zachwyt, jaki odmalował się na twarzy dziecka, gdy zobaczyła wspaniale przystrojoną choinkę.

Pozostałe dzieci już były na miejscu. Belinda podeszła do Lucie i przywitała ją z wielką powagą. Rozśmieszyła mnie ta poza. Uprzedziłam ją o przyjściu Lucie i długo tłumaczyłam, że jest gospodynią przyjęcia i ma obowiązek dbać, by jej goście się dobrze bawili.

Bardzo jej ta myśl przypadła do gustu.

- To jest mój dom - poinformowała ją na samym wstępie. - Ja jestem jego panią.

Lucie skinęła głową, ale jej wzrok przez cały czas utkwiony był w choinkę. Dziadkowie z moją pomocą rozpoczęli rozdawanie prezentów. Kiedy zobaczyłam radość Lucie na widok lalki o lnianych włosach, zrobiło mi się ciepło na sercu. Potem jednak przyszło poczucie winy; mama nie żyje, a mnie jest tak radośnie. Zmówiłam krótką modlitwę w jej intencji. "Nie zapomniałam o tobie - szeptałam w duchu. - Nigdy cię nie zapomnę. Ale tak się cieszę, że mogę coś uczynić dla tego dziecka".

W tym momencie prawie fizycznie odczułam w pobliżu jej obecność. Wydawało mi się, że jest przy mnie, że dzieli moją radość, i to przeświadczenie natchnęło mnie nadzieją i otuchą.

Przyjechał iluzjonista. Kiedy ustawialiśmy krzeselka dla dzieci, usłyszałam, jak Belinda

mówi:

- Lucie, ty masz na sobie moją sukienkę. - Lucie skonsternowana spojrzała na falbanki, z których była taka dumna. - Nie dałam ci pozwolenia, byś ją nosiła. To jest moja sukienka!

Wzięłam Belinę za ramię i szepnęłam jej do ucha:

- Nie bądź niemądra. Powiedziałam ci, że masz być grzeczna dla swoich gości.

- Ale ona ma na sobie moją sukienkę. To jest moja sukienka!

- To jest jej sukienka.

- Ale taka jak moja.

- Bądź cicho, bo nie pozwolę ci oglądać występów iluzjonisty.

W odpowiedzi Belinda pokazała mi język na znak, że ma w nosie moje uwagi. Zrobiła to już nie po raz pierwszy. Surowo skarcona przysięgła nie powtórzyć więcej tego brzydkiego gestu.

Zaklinała się, że język bezwiednie wysunął jej się z warg. Zachowanie Belindy wielokrotnie budziło mój niepokój. Nawet Leah, która ją ubóstwiała, musiała przyznać, że jest “trochę trudna”.

Iluzjonista zajął swoje miejsce. Na sali zapadła cisza. Zaczęło się pokazywanie sztuczek.

Czarodziej złożył papier, przedarł go, a gdy go rozwinął, okazało się, że jest to okręt. Podrzucał do góry małe piłeczki - było ich wiele - i chwycił je w powietrzu. Wyciągał jajka z uszu i królika z kapelusza.

Dzieci były oczarowane. Sprowadzenie prestidigitatora na ten dziecięcy bal było rzeczywiście doskonałym pomysłem.

Czasami prosił któreś dziecko, by mu pomogło: a to, by pottrzymało kapelusz i przekonało się naocznie, że nic w nim nie ma, a to, by potwierdziło, że chusteczka, którą iluzjonista chowa do kieszeni, jest niebieska, a za chwilę wychodzi z niej czerwona.

- A teraz jedno z dzieci...

Zawsze była to Belinda. Jeśli któreś z maluchów usiłowało wstać i zgłosić się na ochotnika,

odpychała go brutalnie. Jakby koniecznie chciała dowieść, że wprawdzie są jej gośćmi, ale nikt inny tylko ona, jako pani tego domu, ma prawo popisywać się przed innymi.

Była bystra i inteligentna - to fakt, ale wolałabym, by od czasu do czasu pozwoliła zabłysnąć również innemu dziecku.

Przedstawienie się skończyło. Magik pokazał ostatni trik i zaczął zbierać swoje rekwizyty.

Belinda skakała wokół niego i zarzucała go pytaniami.

Jacco przechwalał się, że on również potrafi wykonać jedną z takich sztuczek. Próba niestety się nie powiodła i skończyło się na śmiechu i żartach całej widowni.

Nadszedł czas zapalania świeczek na choince. Dzieci obserwowały tę czynność z zapartym tchem. Rozjarzone światełkami drzewko przedstawiało urzekający widok.

Pedrek stanął przy mym boku.

- Dobry był ten magik, zgadzasz się?

- Owszem tak, ale ciekawi mnie, jak on to robi, że sztuczki mu wychodzą.

- Nie sądzę, by zechciał ujawnić ich tajemnicę komukolwiek.

Belinda rozglądała się wokół, rozmyślając, czym by się tu zająć. Wzrok jej padł na stojącą obok Lucie.

Zaczepiła ją agresywnie:

- Nosisz moją sukienkę.

- To moja sukienka - odcięła się Lucie. - Dostałam ją od panny Rebeki.

- Ona nie ma prawa rozdawać moich sukienek!

Już miałam zamiar zareagować na zaczepki Belindy, kiedy Pedrek zaproponował:

- Może wybierzemy się jutro na małą przejażdżkę?

- Z przyjemnością - odparłam.

Nadeszła Jenny z tacą lemoniady dla dzieci. Postawiła ją obok choinki. Lucie podbiegła do

matki, szukając u niej ratunku przed docinkami Belindy. Ta pochwyciła z choinki palącą się świeczkę i wymachując nią, pobiegła za Lucie.

- To moja sukienka! To moja sukienka! - wołała. - Jestem czarownicą. A to moja czarodziejska różdżka. Wystarczy, że cię nią dotknę, a zamienisz się w żabę. To są czary! Wszystko stało się tak nagle. Dotknęła świecą falbanek sukienki. Zamarłam, widząc, jak płomień pełzną szybko po spódnicy... Lucie w jednej chwili zamieniła się w płomienistą kulę. Usłyszałam krzyki i piski, ale nim ktokolwiek z nas podskoczył dziecku na pomoc, Jenny już przy niej była. Rzuciła się na dziewczynkę, przykryła ją swoim ciałem, rękami gasiła na niej płomień. Odepchnęła dziecko od siebie... Lucie leżała na podłodze - ogień na niej był już ugaszony, ale ubranie Jenny płonęło jak zapalka.

Wszystko to trwało zaledwie kilka sekund. Pedrek pierwszy rzucił się na ratunek. Chwycił dywan i chodnik i owinął nimi Jenny. Walczył bohatersko przez kilka chwil, nim wreszcie udało mu się zdusić płomień.

Jenny leżała nieprzytomna, jęcząc cicho. Włosy jej spłonęły i cała była straszliwie poparzona.

Babcia głośno wzywała doktora Wilminghama, ale ten już klęczał przy Jenny.

Nastąpiło istne piekło.

Lucie znajdowała się w głębokim szoku i nią przede wszystkim zajął się doktor Wilmingham. Jenny nie dało się już uratować. Poświęciła siebie, by ocalić życie swego dziecka. W taki oto sposób skończyło się Boże Narodzenie, które na zawsze zostanie w mej pamięci jako jeden z najtragiczniejszych epizodów w moim życiu.

Z ulgą się dowiedziałam, że - wbrew moim obawom - Lucie nie odniosła poważniejszych obrażeń. Jenny tak szybko zdusiła na niej ogień swym ciałem, że dziecko doznało jedynie powierzchownych oparzeń. Doktor Wilmingham opatrzył je szybko i sprawnie.

Pedrek również ucierpiał. Miał liczne rany na rękach, ale na szczęście nie były groźne.

Leah wyprowadziła Belindę z sali. Zastanawiałam się, jaki wpływ to wydarzenie będzie miało na jej psychikę. Czy zdaje sobie sprawę, że ponosi odpowiedzialność za tragiczne zajście? Spowodowała przecież śmierć Jenny, a niewiele brakowało, by Lucie również padła ofiarą jej wybryku.

Trzeba będzie poważnie porozmawiać z Belindą. W tym momencie jednak przedmiotem naszej troski była głównie Lucie. Poprosiłam, by zanesiono ją do mego łóżka, tak bym mogła być przy niej w nocy. Zastanawiałam się, co jej powiemy. Był również inny, nawet bardziej palący, problem, a mianowicie, co z nią pocniemy.

Znajdowała się teraz w głębokim szoku i bolała ją poparzona skóra. Wiedziałam, że moja obecność wpływa na nią kojąco, i cieszyło mnie, iż okazałam się na tyle przewidująca, by kazać umieścić ją w moim łóżku.

Był to dziwnie długi dzień. Lucie zaaplikowano środek uspokajający, po którym szczęśliwie zasnęła.

Na dole zebrali się dziadkowie i Pedrek wraz z rodziną. Byli też doktorostwo

Wilmingtonowie. Jack i Marian uważali, że najlepiej będzie, jeżeli zabiorą bliźnięta i odjadą.

Pozostałe dzieci również rozjechały się do domów.

- Cóż za straszliwy wypadek! - ubolewała babcia. - Bezustannie myślę o tym dziecku.

- Istny cud, że nie odniosła większych poparzeń na ciele - oświadczył doktor Wilmington.

- To zasługa tej bohaterkiej kobiety. Ale trzeba pamiętać, że takie przeżycie jest wielkim wstrząsem dla organizmu. Powinna znajdować się pod baczna obserwacją. Biedne dziecko straciło przecież matkę. Nie wiadomo, jaki to będzie miało wpływ na jej dalszy rozwój.

- Jest pytanie, co z nią teraz zrobić? - zastanawiała się babcia.

- Musimy dopilnować, by wyszła z tego bez szwanku, prawda, babciu? - pytałam.

Skinęła głową twierdząco.

- Biedne, biedne maleństwo. Tak się cieszyła, patrząc na sztuczki iluzjonisty.

- A Belinda... - zaczęłam.

Zapanowało milczenie.

Babcia odezwała się pierwsza.

- Leah jest o nią taka niespokojna.

- Niespokojna! - wykrzyknęłam. - To ona spowodowała wypadek. Co sobie wyobraża?

Jenny Stubbs straciła przez nią życie!

- Wiem - odparła babcia. - Taki wypadek jest strasznym przeżyciem dla dziecka.

- Celowo chwyciła świecę i podpaliła sukienkę Lucie.

- Dzieci nie zdają sobie sprawy z niebezpieczeństwa, jakim potrafi być ogień. Ona jest jeszcze bardzo mała, a kiedy zobaczyła te wszystkie sztuczki, prawdopodobnie wyobraziła sobie, że jest w stanie przemienić Lucie w smoka lub jakieś inne zwierzę.

- Nie należy traktować jej zbyt surowo - orzekł dziadek. - Wypadek taki jak ten może pozostawić trwałe urazy w jej psychice.

- Zdaję sobie z tego sprawę - zgodziła się babcia. - To straszna sytuacja. Popełniłam błąd, dając Lucie sukieneczkę Belindy.

- Daj spokój - dorzucił dziadek. - Nie próbujmy doszukiwać się winy u siebie. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by złagodzić skutki tragedii.

- Dobrze zrobiłaś, biorąc Lucie do siebie, Rebeko - pochwaliła mnie babcia.

- Jeśli się w nocy obudzi, nie będzie wiedziała, gdzie jest, pomyślałam więc, że najlepiej będzie...

- Tak, masz rację.

Pogrzeżyliśmy się wszyscy w zadumie - każdy myślał o Lucie i straszliwej katastrofie, jaka

spotkała nasz dom.

Leżałam obok dziecka w łóżku, szczęśliwa, że nadal śpi. Wydawała się taka mała i bezbronna. Zbierało mi się na płacz, kiedy pomyślałam, jak okrutnie obszedł się ze mną los, odbierając mi tak wcześnie ukochaną matkę, jak teraz odebrał ją Lucie. Podobieństwo naszej sytuacji sprawiło, iż poczułam się silniej z nią związana. Będę przy niej, kiedy się obudzi. Obejmę ją mocno, będę pocieszać i uspokajać.

W ten świąteczny wieczór przeżyłam coś bardzo dziwnego. Nie wiedziałam, czy jest to jawa, czy sen. Miałam wrażenie, że się obudziłam, ale później doszłam do wniosku, że nie mogło tak być, ponieważ mi się przywidziało, że w pokoju jest mama. Jak pamiętam, nie widziałam jej, ale w podświadomości czułam, że ona jest tutaj, w tej sypialni. Po prostu wiedziałam to. Nie słyszałam głosu, ale to, co mówiła, zapadło głęboko w moją pamięć. Mama zwracała się do mnie, podpowiadała, jak mam postąpić.

Leżałam w łóżku z bijącym sercem. Nieoczekiwanie ogarnęło mnie uczucie ogromnej radości, ponieważ była ze mną, ponieważ wróciła. Chciałam ją zawołać, ale nie słyszałam swego głosu.

Wiedziałam tylko, że jest przy mnie i ponagla do działania.

Rozbudziłam się całkowicie. W pokoju panowała cisza. Lucie nadal spała spokojnie przy moim boku. Kształty mebli odcinały się wyraźnie w jasnym świetle księżyca.

Wstałam z łóżka. Włożyłam szlafrok i ranne pantofle.

- Gdzie jesteś, mamu... mamusiu najdroższa, gdzie jesteś? - wyszeptalam.

Nie było odpowiedzi.

Podeszłam do okna i wyjrzałam przez nie. Powierzchnia morza migotała srebrzyście w blasku księżycowej poświaty. Wsłuchiwałam się w otaczającą mnie ciszę, przerywaną jedynie łagodnym szmerem fal rytmicznie uderzających o brzeg.

Nie mogłam wytrzymać w pokoju. Odruchowo podeszłam do wyjścia. Otworzyłam drzwi i wyjrzałam na zewnątrz. Wszędzie panował spokój. Zeszłam po głównych schodach do holu. Stała tam choinka, pośrednia przyczyna tragedii. Na niej wypalone świece, pechowy symbol nieszczęścia. Usiadłam przy choince i ukryłam twarz w dłoniach.

- Wróc - wyszeptałam. - Wróc, mamusiu. Wróciłaś... na krótko.

Kiedy tak siedziałam odrętwiała, usłyszałam naraz ciche stąpanie po schodach. Uniosłam wzrok w niecierpliwym oczekiwaniu. To babcia schodziła do westybulu.

- Rebeka? - zdziwiła się. - Wydawało mi się, że słyszę czyjeś kroki. - Co ty tu robisz?

- Nie... nie mogłam spać.

Podeszła i usiadła przy mnie. Ujęła moją rękę.

- Moje drogie dziecko - rzekła ze współczuciem. - Wiem, co czujesz.

- Tu chodzi o Lucie - powiedziałam. - Muszę coś postanowić w jej sprawie.

- Mów!

- Chcę ją wziąć. Chcę, by tu była, ale nie jako dziecko służącej. Chcę, by mieszkała razem z nami, po prostu czuję, że tak należy postąpić.

Babcia przytaknęła skinieniem głowy.

- Kochasz Lucie, prawda?

- Tak. A teraz została sama na świecie. Jaki los ją czeka? Przytułek... sierociniec? Sama myśl o tym przyprawia mnie o dreszcz przerażenia. Nie zniosłabym tego. Babciu. Przeżyłam coś niezwykłego. Tam na górze, przed chwilą... przywidziało mi się, że przyszła do mnie mama.

- Och, moje kochanie...

- Czy śniłam? Nie wiem. Wydawało mi się, że jest w pokoju, że podpowiada mi, jak powinnam postąpić.

- To twoje serce podpowiadało ci, co masz zrobić, Rebeko.

- Nie wiem. Ale faktem jest, że muszę tak zrobić. Nie dbam o to, czy ktoś mi pomoże, czy nie. Zaopiekuję się Lucie.

- Co masz na myśli mówiąc: “czy ktoś mi pomoże, czy nie”? Wiesz przecież, że ci pomożemy.

Odwrociłam się ku niej, a ona przytuliła mnie do siebie.

- Rebeko, jesteś kochanym dzieckiem i jestem z ciebie dumna. Weźmiemy Lucie do nas.

Będzie dzieliła pokój z Belindą, w pomieszczeniu dla dzieci. Belinda ma wobec niej obowiązek, nie uważasz?

- A co z Belindą, babciu?

- Jest normalnym żywym dzieckiem. Nie chciała wyrządzić jej krzywdy. Leah mówi, że przeżyła to ogromnie, zanosila się od płaczu. Dla niej to była tylko zabawa. Nie zdawała sobie sprawy, jak niebezpieczny może być ogień.

- Dziś wieczorem dostała lekcję... gorzką lekcję, ale kosztem biednej Jenny i Lucie.

- Rebeko, przynajmniej tyle możemy zrobić - powiedziała babcia - choćby przez wzgląd na Jenny, która bez chwili wahania rzuciła się na ratunek swemu dziecku, przypłacając to własnym życiem.

- Zawsze mnie rozumiałaś, babciu.

Podniosła się nagle z miejsca, jakby nie chcąc przede mną zdradzić swego wzruszenia.

- Zimno tutaj - stwierdziła. - Powinnyśmy wrócić do łóżka. A co będzie, jeśli Lucie się obudzi?

- Będę tuż obok, by ją pocieszyć. Zawsze będę przy niej, babuniu. Nigdy jej nie zostawię.

Wróciłam do Lucie - spała spokojnie. Ciągle miałam wrażenie, że w pokoju czuję obecność mojej matki... i że ona się cieszy.

Zaręczyny

Obchodziłam właśnie siedemnastą rocznicę urodzin. Od śmierci mamy minęło sześć lat.

Stale miałam w pamięci tamto Boże Narodzenie, kiedy mi się wydawało, że przyszła do mnie w nocy. Często miałam wrażenie, że czuję w pobliżu jej obecność i ta świadomość była dla mnie źródłem wielkiej pociechy.

Babcia powtarzała nieraz, że nie wolno nam oglądać się za siebie, tylko żyć myślą o przyszłości. Do pewnego stopnia nam się to udało. Zrobiłam coś dla Lucie, a i ona dla mnie również. Otoczyłam ją opieką - a potrzebowała jej szczególnie podczas pierwszych tygodni po śmierci Jenny. Świadomość tej odpowiedzialności stała się dla mnie nowym bodźcem do życia. Lucie początkowo była zdezorientowana i oszołomiona; tęskniła i płakała za Jenny. Musiałam jej zastąpić matkę. Na szczęście znalazłam już przedtem drogę do jej serca. Nie mogę sobie wyobrazić, co by się z nią stało, gdyby nie była ze mną tak zżyta. To ja stałam się teraz jej oparciem, do mnie zwracała się z każdym drobiazgiem. Jej ufność nie tylko głęboko mnie wzruszała, lecz także bardzo cieszyła. Podczas tych pierwszych tygodni nie odstępowała mnie na krok. Krzywiła się żałościwie, przejęta lękiem, kiedy się zdarzało, że musiałam ją opuścić. Babcia przychodziła mi w takich razach z pomocą, ale mówiła, że Lucie wtedy zachowywała się niespokojnie. Pozbywała się obaw dopiero z chwilą mego powrotu.

Wszyscy współczuli osieroconej dziewczynce i w miarę możliwości starali się osłodzić jej życie. Leah, która jak praktyka pokazała, świetnie radziła sobie z maluchami, zabrała ją do dzieciennego pokoju i tam stworzyła jej namiastkę domu. Cała służba, wbrew naszym obawom, przyjęła życzliwie fakt, że dziecko z wioski zostało członkiem rodziny, i również okazywała jej dużo serca.

Belinda - ku memu zdziwieniu - w dużym stopniu przyczyniła się do tego, że Lucie stosunkowo szybko przystosowała się do nowych warunków. Chętnie dzieliła się z nią zabawkami i bez protestu zaakceptowała w swym królestwie nową lokatorkę.

Sądzę, że uświadomiła sobie wreszcie, iż to ona spowodowała ten straszliwy wypadek.

Przycichła i nie zachowywała się już tak agresywnie jak dawniej. Leah była zdania, że nie należy jej wypominać, iż jest winna śmierci Jenny Stubbs, tylko przy każdej okazji tłumaczyć, czym grozi zabawa z ogniem. Dziewczyna bardzo dobrze rozumiała psychikę dziecka i to była jej ogromna zaleta jako niani. Zaskoczyła mnie tym, ponieważ doskonale pamiętam, jakie pustelnicze życie prowadziła, ślęcząc godzinami nad haftem u boku swej świętoszkowatej matki.

Kiedy nadszedł czas powrotu do szkoły, wytłumaczyłam Lucie, że nasza rozłąka jest tylko czasowa, i zapewniłam, że wkrótce znowu przyjadę do Cador. Przez ten czas zastąpi mnie babcia, a oprócz tego będzie miała przy sobie Leah i Belinę.

Przyjęła tę wiadomość ze smutną rezygnacją; wspomnienie jej zmarłej buzi nie opuszczało mnie przez cały czas jazdy pociągiem.

Kiedy dziewczynki skończyły pięć lat, przyjęto do nich guwernantkę. Panna Stringer była osobą nie tylko kompetentną i energiczną, ale także sympatyczną i wesołą. Potrafiła również wymóc na dzieciach konieczny posłuch, postępując w sposób łagodny, przy tym stanowczy. Było to szczególnie istotne w odniesieniu do tak trudnego dziecka, jakim była Belinda.

Leah oczywiście nadal sprawowała ogólny nadzór nad dziecinnym pokojem i jego małymi lokatorkami. Babcia mówiła, że z każdym dniem stawała się coraz bardziej nieodzowna.

Benedykt składał okresowe wizyty, które, moim zdaniem, traktował wyłącznie jako przykry obowiązek. Ja wolałabym, aby nasze kontakty były jak najrzadsze, ponieważ każde spotkanie z nim nieodmiennie wywoływało we mnie wspomnienie szczęśliwych chwil spędzonych u boku mamy.

Gdyby nie to fatalne, tak uważałam, zamążpójście, byłaby do dzisiaj z nami. To przez niego umarła. Byłam głęboko przekonana, że nigdy nie zdołam mu wybaczyć, iż zniszczył moje życie.

W czasie wizyt, rzecz jasna, widywał Belinę, ale wyraz jego twarzy świadczył dobitnie, że dobrze pamięta, iż mama przyplaciła życiem jej urodzenie. Żywił w stosunku do niej taką samą

niechęć jak ja do niego; dobrze więc rozumiałam jego uczucie.

Nie miałam wątpliwości, że Belinda podświadomie wyczuwa, iż ojciec jest nieprzychylnie do niej usposobiony. Była bardzo inteligentnym dzieckiem. Kiedy patrzyła na niego, w jej oczach dostrzegałam wrogi błysk. Pewnego razu, gdy po kilku zdawkowych pytaniach, jak jej idzie nauka i jakie robi postępy w jeździe konno, odwrócił się do niej plecami, zauważyłam koniuszek różowego języczka nieznacznie wysuwający się z jej warg. Z trudem powściągnęłam uśmiech. A więc nie pozbyła się tego zwyczaju. Była z niej doprawdy nieznośna dziewczynka.

Pozostawałam jeszcze ja i problem, co ze mną zrobić. Moja szkolna edukacja dobiegała końca i domyślałam się, że dorośli łamią sobie głowy nad moim dalszym losem.

Benedykt pisywał do mych dziadków od czasu do czasu i kiedy pewnego dnia zapowiedzieli mi, że pragną ze mną porozmawiać, nie miałam wątpliwości, że musi to być jakaś ważna sprawa.

Czekali na mnie na dole, w małym saloniku przylegającym do holu. Miny mieli dość niewyraźne.

- Rebeko - zagaił dziadek - jesteś już dorosłą panienką.

Zdziwiona uniosłam brwi. Z pewnością nie zaprosili mnie tutaj po to, by stwierdzić ten oczywisty fakt.

- Ukończyłaś już szkołę - dodała babcia - i chodzi teraz o to, co będziesz robić w przyszłości.

Uśmiechnęłam się do nich.

- Sądzę, że zostanę w domu, w Cadór. Mam tu wiele do roboty.

- Zastanawiamy się, co będzie dla ciebie najlepsze - powiedział dziadek, a babcia dorzuciła:

- Może istotnie nie jest to miejsce dla młodej dziewczyny. Przynajmniej twój ojczym jest takiego zdania. On uważa, że należy coś przedsięwziąć.

- Mój ojczym. A co on ma do powiedzenia? Co go to obchodzi?

- Jest twoim prawnym opiekunem, wiesz przecież o tym.

- Wcale nie jest. Wy jesteście moimi opiekunami. Zawsze byłam z wami. - Poczułam wzrastający niepokój.

Babcia to zauważyła i zaczęła mnie uspokajać.

- Musimy spojrzeć na to trzeźwym okiem, Rebeko - powiedziała. - Twój ojczym zamierza się ponownie ożenić.

- Ożenić!

- Już sześć lat minęło od śmierci twojej matki. Człowiekowi na jego stanowisku potrzebna jest żona.

- Dlatego tylko żeni się ponownie?

Babcia wzruszyła ramionami.

- Przypuszczam, że ta pani musi mu się podobać. To zupełnie naturalne, Rebeko. Sądzę, że twoja matka życzyłaby sobie dla niego takiego wyjścia. Ona bardzo go kochała, wiesz o tym, podobnie jak i on ją.

- A więc znowu zamierza się ożenić!

- Prawdopodobnie dokucza mu samotność. Potrzebuje żony... rodziny. Jego popularność jako polityka ciągle rośnie. Odpowiednia małżonka dla człowieka na jego stanowisku jest ważnym atutem. Wiem, że bardzo długo nie mógł dojść do siebie. Mam nadzieję, że dokonał dobrego wyboru i zdoła jeszcze zaznać w życiu trochę szczęścia.

- Ale co ze mną?

- On chce cię zabrać do siebie... ciebie i Belinę. Chce, byście zamieszkały z nim razem.

- A co z Lucie?

- Prawdopodobnie zostanie tutaj. Nie martw się o nią. Będziemy o nią dbali.

- Ale ja obiecałam... - zawahałam się i dodałam: - Przysięgam, że będę się nią opiekować...
zawsze.

- Domyślamy się, co czujesz. Ale myślę, że należy poczekać i zobaczyć, co będzie.

Benedykt ma tu wkrótce przyjechać.

- Nigdy nie zostawię Lucie!

- Jak powiedziałam, musimy poczekać, aż przyjedzie, i wtedy się zobaczy.

- Kim jest jego przyszła żona?

- Nie powiedział. Przypuszczalnie poznał ją w Londynie lub Manorleigh. Jestem przekonana, że miał wiele okazji, by poznać odpowiednie panie, od kiedy jako poseł znalazł się w parlamencie.

- Nie wątpię, że wybrał jak najbardziej odpowiednią osobę.

- Nie osądzaj go tak ostro, Rebeko. Naprawdę szczerze mu życzę, aby był szczęśliwy.

W domu zapanowało pełne napięcia oczekiwanie. Benedykt zapowiedział swój rychły przyjazd.

- Wyobrażam sobie, że czuje się trochę rozczarowany faktem, iż Disraeli tak długo utrzymuje się u władzy - zastanawiał się dziadek. - To trwa już pięć lat. Jednak popularność Gladstone'a wciąż rośnie. Za rok lub dwa będziemy mieli prawdopodobnie nowy rząd, ale to już nie Disraeli go utworzy.

- To właśnie jest najgorsze w polityce - zauważyła babcia. - Tyle w niej zależy od szczęścia, od tego, kto aktualnie jest u władzy. Niejednokrotnie trzeba latami czekać na sprzyjające okoliczności, a tymczasem człowiek się starzeje. Przy takim systemie nawet najzdolniejsze jednostki nie zawsze mają możliwość pokazać, co potrafią. Twierdzę, że jeśli tylko liberałowie dojdą do władzy, Benedykt z pewnością otrzyma jakieś odpowiedzialne stanowisko w rządzie, na początek choćby tylko wiceministra. To dynamiczny człowiek. Nie wątpię, że się szybko na nim

poznają. On jest jednym z tych polityków, którzy wyrabiają partii dobrą opinię.

- Hm... - chrząknął dziadek.

- Wiem, o czym myślisz... Chodzi ci o tę sprawę związaną ze śmiercią jego pierwszej żony.

Nie mieli już teraz przede mną sekretów i o wszystkim swobodnie rozmawiali w mojej obecności. Był to dowód, że uważają mnie za dorosłą. Nie było tajemnicą w rodzinie, że zanim Benedykt poślubił moją mamę, był mężem Lizzie Morley. To po niej odziedziczył kopalnię złota, która stała się załączkiem jego fortuny. Niespodziewana i tajemnicza śmierć Lizzie podkopała jego dobre imię i rzuciła na niego cień podejrzania. Po pewnym czasie wyszło na jaw, że jego żona sama odebrała sobie życie, nie mogąc znieść straszliwych cierpień powodowanych nieuleczalną chorobą. Zanim jednakże opinia publiczna dowiedziała się o tym fakcie, Benedykt, którego posądzono o jej zamordowanie, przeżył wiele trudnych chwil. W rezultacie wyszedł z tego całkowicie oczyszczony, ale takie wydarzenia zawsze mają to do siebie, że zostaje po nich jakby warstwa brudnego osadu. Ludzie szybko zapominają, jak przedstawiała się prawda, ich pamięć utrwalała jedynie mglisty obraz podejrzanej afery, jaka miała miejsce w przeszłości.

- Rzeczywiście to może być powód - zauważył dziadek.

- Odpowiednia żona i dzieci są mu potrzebne - stwierdziła babcia.

- Obawiam się, że nigdy nie zapomni Angelet. Pamiętam moment, kiedy zjawił się tutaj po raz pierwszy jako młody człowiek. Od razu się zorientowałem, że między nimi zrodziło się coś szczególnego. - Głos dziadka się załamał i babcia szybko zmieniła temat.

- Czas pokaże - powiedziała uspokajającym tonem. - Jestem pewna, że wszystko obróci się na dobre.

Czyżby? Zastanawiałam się. Miał zamiar się znowu ożenić, ponieważ dalszy rozwój jego politycznej kariery w dużej mierze zależał od tego, jak będzie wyglądało jego rodzinne życie.

Zawsze kierował się w życiu interesem. Lizzie wniosła mu w posagu kopalnię złota; moja matka

dała mu miłość, a ta nowa kobieta, Belinda i ja stworzymy mu szczęśliwy dom, zgodnie z oczekiwaniami wyborców.

Jednej rzeczy byłam pewna: nikt i nic nie rozłączy mnie z Lucie.

Ilekoć wiedziałam, że zamierza do nas przyjechać, budowałam sobie w myśli jakiś jego wizerunek - aroganckiego i butnego pana pośła, świadomego mej niechęci do niego. Wyobrażałam sobie pogardę, jaką musiał czuć dla mnie z tego powodu. Podejrzywałam, iż sądził, że każdy, kto nie darzy go uznaniem, zasługuje na miano głupca.

Kiedy jednak wreszcie się u nas zjawiał, z reguły zachowywał się inaczej niż na tym wymyślonym przeze mnie obrazie. Zbijało mnie to z tropu.

Tym razem przyjechał około podwieczorku i bez zwłoki przystąpił do rozmowy z dziadkami.

Wkrótce potem babcia zapukała do mego pokoju.

- Benedykt pragnie z tobą porozmawiać - oznajmiła. - Wydaje mi się, że jemu naprawdę zależy na tym, aby dla wszystkich było jak najlepiej.

- Jak najlepiej dla niego - zauważyłam z ironią.

- Dla wszystkich, których to dotyczy - skarciła mnie. - Zresztą najlepiej będzie, jeśli ci to sam wytłumaczy.

Zesłam na dół, do małego saloniku. Podniósł się z krzesła na mój widok i ujął mnie za rękę.

- Rebeko, jakżeż ty urosłaś.

Co on sobie wyobraża - pomyślałam - że zostanę dzieckiem do końca życia?

- Chodź, usiądź. Chcę z tobą porozmawiać.

- Tak wiem, uprzedzono mnie o tym. Zdaje się, że powinnam złożyć ci gratulacje; podobno masz zamiar się ożenić.

Zmarszczył się i spojrzął na mnie badawczo.

- Tak - potwierdził. - Ślub odbędzie się za miesiąc. - Odwrócił się ku mnie raptownie.

Nigdy dotąd nie współczułam mu tak bardzo, jak w tej chwili. Bolesny grymas wykrzywił mu usta, a w tonie głosu nie było nawet tak typowej dla niego nonszalancji. - To już prawie sześć lat, Rebeko. Ciągle o niej myślę i ani przez chwilę nie schodzi z mej pamięci. Ale... nie można żyć tylko przeszłością. Wiesz, czym była dla mnie... i wierzę głęboko, że to, co w tej chwili zamierzam ci zaproponować, byłoby zgodne z jej życzeniami. Musimy żyć swoim życiem... ty także. Znam twoje uczucia. Wiem, jak wielką łączyła was miłość. Często mi o tym opowiadała. Byłam świadkiem twoich urodzin. Kochałbym cię jak własne dziecko... gdybyś mi pozwoliła. Ale ty nigdy sobie tego nie życzyłaś, prawda? Czowałaś do mnie niechęć. Nie mam o to pretensji. Rozumiem cię całkowicie. Podejrzewam, że gdybym był na twoim miejscu, reagowałbym podobnie. Rozumiesz: obydwójce ją kochaliśmy... nieskończenie.

Nie mogłam uwierzyć, że mówił to wielki Benedykt. Byłam wzruszona do głębi duszy, ale moje nieprzyjemne uczucia do niego tak mocno we mnie tkwiły, że nawet to patetyczne wyznanie nie zdołało mnie do niego przekonać. Nie wierzyłam w szczerą deklarację. To prawda, kochał ją, ale na swój samolubny sposób. Była tylko jedna osoba, którą kochał bez zastrzeżeń, a tą osobą był on sam, Benedykt Lansdon.

- Musimy być rzeczowi, Rebeko - ciągnął dalej już zwykłym tonem, jakby żałował, że pozwolił sobie na sentymentalizm. - Takie życie, jakie obecnie prowadzę, nie jest dla mnie korzystne, a i dla ciebie również. Jesteś w tej chwili młodą damą. Nie możesz wiecznie żyć na wsi, w izolacji od świata i ludzi.

- Nie czuję się wcale wyizolowana. Jest mi dobrze u dziadków.

- Wiem. To są wspaniali ludzie, musisz jednak poznać świat. Tego życzyłaby sobie twoja matka. Musisz zacząć żyć własnym życiem, kontaktować się z ludźmi w swoim wieku. Musisz

poznać sferę, do której należysz, w której możesz spotykać właściwych ludzi.

- Właściwych? Wszystko powinno być właściwe!

Spojrzał na mnie zdziwiony.

- Co widzisz w tym złego? Oczywiście, że wszystko powinno być właściwe. Chcesz, by tak było, prawda? Proponuję ci, abyś wraz z Belindą, kiedy urządzimy się po ślubie, przyjechała do Londynu. W zasadzie jednak będziecie mieszkać w Manorleigh. To jest najbardziej... właściwa - spojrzał na mnie z uśmiechem - najbardziej... hm... należyta rezydencja. Pojedzie z wami guwernantka i niania. Wyposażenie dzieciennego pokoju przewiezie się z Cador.

- W twoich ustach brzmi to niesłychanie prosto.

- Bo to jest proste. Poza tym musisz także mieć na uwadze, że czeka cię debiut na londyńskich salonach.

- Nie mam ochoty.

- Musisz wystąpić. To byłoby...

- Właściwe?

- Konieczne... zważywszy na twoją społeczną pozycję. Powinnaś pamiętać, że jesteś moją pasierbicą. Tego się od ciebie oczekuje. Co więcej, powiem, że ci się to spodoba... nawet bardzo.

- Nie jestem tego pewna.

- Ale ja jestem. Zbyt długo żyłaś tutaj, na tym odludziu.

- Jestem tutaj szczęśliwa... w takim stopniu, w jakim mogę nią być.

- Wiem. Masz cudownych dziadków.

- Możesz zabrać Belindę, ale ja nie pojedę. Nie mogę. Mam swój powód, i to ważny.

- Jaki powód?

- Dziecko, Lucie.

- Och - powiedział. - To ta dziewczynka, którą zauważyłem w dzieciennym pokoju.

Sądziłem, że jest dzieckiem niani.

- Nie jest dzieckiem niani. Ja ją zaadoptowałam. Nigdzie bez niej nie pojedę. Nie oczekuję, że mnie zrozumiesz. Jestem nawet przekonana, że uznasz moje postępowanie co najmniej za... niewłaściwe.

- Może spróbujesz mi to wyjaśnić.

- Powiedziałaś ci już. Zaadoptowałam ją.

- Ty - młoda dziewczyna - zaadoptowałaś dziecko? To przecież zupełny nonsens!

- Moi dziadkowie są odmiennego zdania. Oni mnie rozumieją.

- Mam nadzieję, że dasz i mnie taką szansę.

Opowiedziałam mu, co się zdarzyło podczas zabawy w pamiętne Boże Narodzenie. Słuchał przejęty grozą.

- Belinda - moja córka - dopuściła się takiego czynu!

- Nie zdawała sobie sprawy, co robi. Jednakże matka dziewczynki zmarła w wyniku odniesionych poparzeń i wstrząsu. Zginęła, ratując swoje dziecko. Moim zdaniem jesteśmy teraz za nie odpowiedzialni. Belinda jest moją przyrodnią siostrą. Musiałam coś zrobić, by w jakiś sposób naprawić tę krzywdę. Wiem, że mama tego właśnie by się po mnie spodziewała.

Przytaknął.

- A jak Belinda? Jaka była jej reakcja?

- Bardzo żałowała swego czynu. Ogromnie się starała, by osierocona dziewczynka poczuła się dobrze w nowych warunkach. Nie sprzeciwiała się, gdy do pokoju dokwaterowano jej Lucie.

Przedtem była trochę do niej wrogo usposobiona i moim zdaniem pod wpływem tego właśnie nieprzyjaznego odruchu podpaliła jej sukienkę. Wiedzieliśmy, że nie zdawała sobie sprawy, czym może grozić zabawa z ogniem; później zrozumiała, że dopuściła się straszliwego czynu. Leah, jej niania, ma do niej wspaniałe podejście. Doskonale rozumie jej psychikę i daje sobie z nią radę

wcale nie gorzej od wykwalifikowanych wychowawczyń. Ale ja przysięgam sobie zająć się Lucie, ponieważ straciła matkę przez jednego z członków naszej rodziny. Będę się nią zawsze opiekować i nic nigdy nie zdoła mnie odwieść od tego przyrzeczenia.

Przyglądał mi się z uwagą. Odniosłam wrażenie - choć może się myliłam - że dostrzegam w jego oczach coś na kształt uznania.

- Nie mogłaś uczynić nic innego - odezwał się po chwili - może jednak byłoby lepiej, gdyby twoi dziadkowie wzięli na siebie odpowiedzialność za to dziecko.

- Ale ja wyszłam z tą inicjatywą. Ja tego chciałam. I to ja jestem za nią odpowiedzialna.

- Mimo to zostawiłaś ją, kiedy trzeba było wyjechać do szkoły.

- Z dziadkami... tak.

- Wobec tego teraz też może z nimi zostać.

- Ale ty zabierasz Belinę i nianię. Pokój dziecienny zostanie zlikwidowany.

- Pozostaje zatem tylko jedno wyjście: dziewczynka musi jechać z nami.

- Chcesz powiedzieć, że zgadzasz się i ją zabrać do siebie?

- A co innego mi pozostaje? Ty jedziesz do Londynu i Belinda wyjeżdża. Wobec tego dziewczynka nie może zostać sama.

Uśmiechał się do mnie tryumfalnie, ponieważ wytrącił mi z ręki ostatni argument.

- Skoro się już urządzimy - ciągnął dalej - ty z młodszymi dziećmi przyjedziesz do

Londynu. Omówię z twymi dziadkami wszystkie szczegóły. Oni aprobują mój pomysł. Lubią cię mieć przy sobie, to prawda, ale będziesz często ich odwiedzała - są przecież święta i inne okazje - tak jak robiłaś to przedtem... przedtem...

Kiwnęłam potakująco głową.

- I wierz mi, Rebeko, jest to dla ciebie najlepsze wyjście. Jestem też zdania, że powinnaś się dalej kształcić. Myślałem o tym, byś na rok lub dwa wyjechała na kontynent, gdzie podobno są

wspaniałe szkoły dla dziewcząt.

- Nie zostawię Lucie na rok, a nawet na sześć czy siedem miesięcy.

- Tak też przypuszczałem. Darujmy więc sobie tę końcówkę twojej edukacji. Kiedy się już u mnie na dobre urządzicie, pomyślimy o twojej prezentacji na dworze. Myślę, że to nastąpi gdzieś około Wielkanocy, czyli w przyszłym roku. Mamy więc przed sobą sporo czasu. Skończysz już wtedy osiemnaście lat. Jest to moim zdaniem najlepszy wiek na towarzyski debiut.

- Kiedy ślub?

- Za sześć tygodni. Przyjedziesz na uroczystość?

Potrząsnęłam przecząco głową. Zrozumiał. Lekko dotknął mego ramienia.

- Myślę, że zrozumiesz, iż to dla twego dobra, Rebeko - powiedział miękko.

Naturalnie zdawałam sobie sprawę, że wszelki protest z mojej strony jest bezużyteczny.

Babcia orzekła, że z punktu widzenia prawa on, jako ojczym, jest moim opiekunem. Zabierze Belinę, która jest jego córką, a Leah i panna Stringer pojedą z nią. Tak będzie najlepiej dla Lucie i nie pozostaje mi nic innego, jak się z tym pogodzić.

- Jestem pewien - rzekł - że stosunki między moją przyszłą żoną a tobą dobrze się ułożą.

- Mam nadzieję, że z dziećmi również.

- Nie przypuszczam, by wtrącała się w sprawy dzieci. Jest dużo młodsza ode mnie. Zresztą wydaje mi się, że musiałyście się kiedyś spotkać. Przez jakiś czas mieszkała w Kornwalii, w domu zwanym High Tor.

- High Tor?! - wykrzyknęłam. - Ależ on został kupiony przez jakichś Francuzów!

- Tak. O ile wiem, dworek jest nadal w rękach jej rodziny, tylko że obecnie oddali go w najem. Sami mieszkają bądź w Chislehurst, bądź w Londynie, gdzie również mają dom.

- A zatem to muszą być Bourdonowie.

Uśmiechnął się.

- Panna Celeste Bourdon będzie moją przyszłą żoną.

Nie posiadałam się ze zdumienia. Nie pamiętam rysów ani pana, ani pani Bourdon, ale mglisty obraz twarzy ich dzieci, Celeste i Jeana Pascala, pozostał w mej pamięci. Celeste musi być sześć czy siedem lat starsza ode mnie. Ma zatem w tej chwili jakieś dwadzieścia trzy lub dwadzieścia cztery lata. Jest więc rzeczywiście znacznie młodsza od Benedykta. A Jean Pascal, ten dziarski młody człowiek, jest mniej więcej dwa lata starszy od swojej siostry.

- Poznałem ich w Londynie - ciągnął Benedykt - i kiedy rozmowa zeszła na Kornwalię, okazało się, że oboje mamy z nią wiele wspólnego.

- Rozumiem - odparłam.

Wiadomość ta jednakże wprawiła mnie w lekki niepokój. Dlaczego w podobny sposób zareagowałam na ludzi, których spotkałam tylko przelotnie? Powinno być przecież odwrotnie, bo zazwyczaj zupełnie nieznanne osoby budzą w nas obawę.

Nastało kilka tygodni spokoju. Najpierw miał się odbyć ślub i wesele, a potem przypuszczalnie podróż poślubna. Później zaś młoda żona będzie z pewnością potrzebowała trochę czasu, by przygotować dom, nim spadnę jej na głowę z dwójką małych dzieci.

Powiedziałam babci, że trzeba koniecznie uprzedzić dziewczynki o czekającej je zmianie.

Przyznała mi rację i zdecydowała, że to ja powinnam podjąć się tego zadania.

Udałam się do dzieciennego pokoju. Miały właśnie czas wolny i były same, bez panny Stringer. Guwernantka nie wydawała mi się w tym wypadku potrzebna, ponieważ zmiana miejsca dotykała ją w najmniejszym stopniu. Dla niej nie miało znaczenia, gdzie uczy, ale dla reszty zainteresowanych ta decyzja oznaczała rozstanie z Kornwalią, miejscem ich urodzenia.

Zastanawiałam się, jaka będzie ich reakcja na wiadomość, że przenoszą się do innej części kraju i do innego domu.

U dziewczynek zastałam Leah. Belinda leżała rozciągnięta na podłodze, głowiąc się nad

układanką. Lucie klęczała przy niej i podawała jej poszczególne elementy zagadki. Leah siedziała w fotelu zajęta szyciem.

Na mój widok Lucie poderwała się z miejsca i podbiegła do mnie. Belinda nie raczyła odwrócić głowy od zgadywanki.

- Proszę usiąść - zapraszała Leah.

Lucie ujęła moją rękę i podprowadziła do krzesła. Sama stanęła obok, opierając się o mnie całym ciałem.

- Mam wam coś ważnego do zakomunikowania - oznajmiłam.

Belinda zerknęła obojętnie znad swej układanki.

- Co? - zapytała niegrzecznym tonem.

- Powiem ci, kiedy podejdziesz bliżej i usiądziesz.

Belinda nadal nie odrywała oczu od zabawki. Wyraźnie nie miała ochoty zastosować się do mego polecenia.

- W porządku. Jeśli nie chcesz słuchać, powiem o tym tylko Leah i Lucie.

- Jeśli to coś ważnego... - zaczęła.

- Belindy nie obchodzi, co mam do powiedzenia - oświadczyłam. - Zatem tylko wy dwie się o tym dowiecie. Podejdźcie do mnie bliżej.

Belinda podskoczyła.

- Oczywiście, że też chcę wiedzieć, i oczywiście, że będę słuchała.

Miała w tym czasie irytujący zwyczaj wtrącania wszędzie, gdzie się dało, słowa "oczywiście". Na dobitkę wymawiała je szczególnie wyniosłym tonem.

- Dobrze więc. Chodź i siadaj, a dowiesz się, o co chodzi. Wyjeżdżamy stąd.

- Wszyscy? - zapytała Lucie, spoglądając na mnie z obawą.

- Tak. Ty, Belinda, Leah, panna Stringer i ja.

- Dokąd? - dopytywała się natarczywie Belinda.

- Najpierw na jakiś czas do Londynu, a później do Manorleigh. Jedziemy do twego ojca, Belindo.

Przynajmniej raz zaniemówiła z wrażenia.

- Ty też jedziesz, Lucie - uspokajałam dziewczynkę. - Nic się nie zmieni prócz tego, że będziemy mieszkać w innym domu. No i nie będzie to Kornwalia. - Uścisnęłam Lucie za rękę. - Ja też tam będę. To będzie nasz dom. Oczywiście, będziemy często tutaj przyjeżdżać. Różnica zatem będzie tylko taka, że w zasadzie na stałe zamieszkamy gdzie indziej.

- Czy to wszystko? - zapytała Belinda.

- Czy to nie wystarczy?

- Oczywiście, jeśli mi się tam nie spodoba, to wyjadę.

- Zobaczymy...

- Nie lubię swego ojca - wyznała Belinda. - On nie jest sympatycznym człowiekiem i mnie też nie lubi.

- Powinnaś się starać, by cię polubił... jeśli możesz.

- Oczywiście, że mogę.

- Dobrze, będziemy czekać niecierpliwie na rezultaty twoich starań.

- Oczywiście, wszystko zależy od tego, czy będzie mi się chciało.

Zwróciłam się do Leah.

- Będzie trochę rzeczy do pakowania - stwierdziłam.

- Tak - odparła Leah. - Kiedy wyjeżdżamy?

- Jeszcze dokładnie nie wiem. Musimy czekać, aż wszystko przygotują na nasze przyjęcie.

Belinda wróciła znów do swojej układanki.

- Chcesz, bym ci pomogła? - spytała Lucie.

Belinda wzruszyła ramionami, Lucie usiadła przy niej.

Zostawiłyśmy je nad zabawką, a same przeszłyśmy do drugiego pokoju.

- Pan Lansdon się żeni - poinformowałam Leah.

- Ach, czy to dlatego...?

- Tak. Chce mieć żonę i potem zgromadzić przy sobie resztę rodziny. Takie jest moje zdanie. - Nie mogłam się powstrzymać, by nie dodać złośliwie: - To bardzo korzystnie wpłynie na jego wizerunek w oczach wyborców.

- Rozumiem.

- Zdziwisz się, kiedy ci powiem, kto będzie jego żoną. Pamiętasz Bourdonów? Naturalnie, że musisz ich pamiętać. Pracowałaś przecież dla nich w High Tor. Reperowałaś im bezcenne arrasy.

Wydawała się lekko przerażona tą wiadomością.

- Tak - ciągnęłam - to rzeczywiście niezwykle zbieg okoliczności. Pan Lansdon poznał ich w Londynie. Oni przebywają obecnie głównie w Chislehurst, o ile wiem. Czy pamiętasz panienkę Celeste?

Odwróciła się ode mnie trochę bokiem. Sprawiała wrażenie dziwnie zmieszanej. Złożyłam to na karb przygnębienia z powodu wyjazdu z Kornwalii; była to przecież jej ojczyzna. Odparła cichym głosem:

- Tak, pamiętam.

- Ona będzie jego żoną.

- Rozumiem.

- Znasz tę rodzinę lepiej niż ja. Spędziłaś tam trochę czasu.

- Owszem... kilka tygodni.

- A więc do pewnego stopnia znasz już przyszłą panią Lansdon.

- T...tak.

- Myślisz, że nasze wzajemne stosunki dobrze się ułożą? Pan Lansdon twierdzi, że żona nie będzie się wtrącać do wychowania dzieci.

- Nie, jestem pewna, że nie będzie.

- Zobaczymy. Obawiam się, że nie ma już odwrotu od tej decyzji, Leah. Pan Lansdon nalega. Przecież Belinda jest jego córką.

- Tak - potwierdziła.

Myślami błędziła gdzieś daleko. Bardzo bym chciała wiedzieć, nad czym się w tej chwili zastanawia, ale Leah zawsze była osobą taką zamkniętą w sobie... właściwie zagadkową.

Nadszedł czas naszego wyjazdu z Kornwalii.

- Dla ciebie doprawdy nie ma lepszego wyjścia, Rebeko - stwierdziła babcia. - To prawda, że będziemy za tobą bardzo tęsknić. Będzie to dla nas tym trudniejsze do zniesienia, że wyjeżdżacie wszystkie trzy. Ale obydwójce z dziadkiem zgadzamy się, że jest to dla waszego dobra i że Benedykt ma święte prawo mieć przy sobie córkę.

- My jesteśmy mu potrzebne tylko po to, aby mógł się pochwalić przed wyborcami swoją rodziną.

- Nie sądzę, aby to był jedyny powód. Postaraj się oceniać go sprawiedliwie, Rebeko. Wiele przeżył, a jednego jestem pewna: naprawdę kochał twoją matkę. Utracił ją, nie zapominaj o tym, podobnie jak ty.

- Ale teraz na jej miejsce bierze sobie kogoś innego.

- Nie sądzę, by jakakolwiek inna kobieta była mu w stanie ją zastąpić.

Wcale nie byłam tego taka pewna.

Leah, w miarę jak upływały dni, stawała się coraz niespokojniejsza. Widocznie wyjazd z Cadour musiał być dla niej głębokim przeżyciem. Chyba nigdy dotąd nie opuszczała Kornwalii.

Belinda była bardzo podekscytowana perspektywą wyjazdu. Ciągłe mówiła o wspaniałym domu w wielkim mieście, do którego się przeprowadza. Będzie w nim mieszkać ze swym bogatym i ważnym ojcem, którego wprawdzie nie lubi, ale na którego nie zamierza zwracać uwagi, tylko cieszyć się luksusową nową siedzibą.

Lucie - wiedziałam - obserwowała moje zachowanie i z niego czerpała wskazówki.

Próbowałam więc stwarzać wrażenie, że z entuzjazmem witam nową sytuację, by nie dawać jej powodu do podejrzeń, że również odczuwam niepokój.

Pomyślałam, że przyjemną stroną pobytu w Manorleigh będzie obecność państwa Emerych, Ann i Jane, którzy służyli u nas jeszcze przed ponownym zamążpójściem mojej mamy. Co więcej, ten dom pociągał mnie w szczególny sposób; czułam się z nim związana... zwłaszcza z ogrodem nawiedzonym przez duchy.

Nie da się zaprzeczyć, że chociaż nie chciałam mieszkać z Benedyktem pod jednym dachem, przyszłość rysowała się w ciekawych barwach, zwłaszcza że miałam zostać przedstawiona u dworu.

Na stację przyjechał po nas powóz. Panna Stringer, która pochodziła z Londynu, była w dobrym humorze. Nie żałowała zmiany miejsca. Niewątpliwie liczyła na to, że będzie się tu prowadzić bardziej interesujący tryb życia niż ten, jaki wiedliśmy na prowincji u moich dziadków.

Benedykt i Celeste czekali już na nas, kiedy zajechaliśmy przed dom. Benedykt zachowywał się sympatycznie i sprawiał wrażenie zadowolonego, że nas widzi. Celeste trzymała się z tyłu, dopóki gestem nie nakazał jej, by podeszła bliżej.

Zmieniła się. Kiedy ją poznałam przed laty, była kilkunastoletnią dziewczyną. Teraz stała przede mną dorosła kobieta. Była niewątpliwie atrakcyjna, chociaż trudno było o niej powiedzieć, że jest piękna lub nawet tylko ładna. Miała na sobie elegancką jasnoszarą suknię, krojem, jak przypuszczałam, z Paryża. Szyję i uszy Celeste zdobiły piękne perły; ciemne włosy upięła w

kunstowny węzeł. Poruszała się lekko i wdzięcznie.

Wystąpiła naprzód i wzięła mnie za rękę.

- Tak się cieszę, że przyjechałyście - rzekła, akcentując z francuska sylaby. - Jestem wzruszona waszym widokiem. Powinno wam tutaj być dobrze. Bardzo tego chcemy... oboje... - Uśmiechnęła się ujmująco do Benedykta.

- Tak - odparł, odwzajemniając jej uśmiech. - To jest naszym pragnieniem. A dzieci... - Spojrzał na nie. - Belinda... - Zerknęła na niego nieprzychylnie. - I... o, Lucie.

Wzięłam Lucie za rękę i wysunęłam ją przed siebie.

- Mam nadzieję, że polubicie wasz nowy dom - rzekła Celeste, wymawiając słowa tak starannie, jakby wyuczyła się ich na pamięć. Zauważyłam, że duże wrażenie wywarła na dzieciach.

Uśmiechnęła się do Leah.

- Ale my... my to się już znamy. Przybyłaś... pamiętam to dobrze.

Leah zarumieniła się, a na jej twarzy znowu pojawił się wyraz zakłopotania. Sprawiała wrażenie, jakby wspomnienie pobytu w High Tor sprawiało jej przykrość, chociaż z tego, co słyszeliśmy od pani Polhenny, Bourdonowie byli zachwyceni jej robotą.

Następnie przyszła kolej na pannę Stringer. Guwernantka zdecydowanie spodobała się Benedyktowi i jego żonie, podobnie jak oni jej.

Pokazano nam pomieszczenia dla dzieci; wszystkie znajdowały się na ostatniej kondygnacji. Pokoje urządzone były z elegancką prostotą. Miały wysokie sufity, a podłużne okna wychodziły na placyk, pośrodku którego znajdował się otoczony murem ogród. Pokoje panny Stringer i Leah także znajdowały się na tym samym piętrze. Oprócz tego urządzone tam również sypialnię dziewczynek.

Zostawiliśmy dzieci w ich pomieszczeniu, a ja z Celeste poszliśmy zobaczyć przeznaczony dla mnie pokój. Był położony na drugim piętrze.

- Domyślam się, że najpierw chciałaś sprawdzić, jak się małe... jak by to wyrazić?

- Urządzą? - podpowiedziałam.

Skinęła głową, uśmiechając się.

- To jest twój pokój.

Był przestronny i urządzone z tą wykwintną elegancją, która cechowała każdy szczegół w tym domu. Wnętrze utrzymane było w kolorach błękitnym i kremowym. Pokój miał wąskie wysokie okna z widokiem na skwerek, podobnie jak pomieszczenia dzieci.

Wsunęła mi rękę pod ramię.

- Gorąco pragnę, byś się w nim dobrze czuła - oświadczyła.

- To bardzo uprzejmie z twojej strony.

- Twój beau_p~ere...

- Mój ojczym.

- Tak, twój ojczym... on bardzo tego pragnie. Chce, byś się czuła szczęśliwa w tym domu...

- Uniosła rękę do góry i dodała z wdzięcznym uśmiechem: - A ponieważ on tego chce... to i ja również.

- To naprawdę niezwykle miłe z waszej strony. Jestem pewna, że wszystko się dobrze ułoży.

Przytaknęła.

- Zostawiam cię teraz samą. - Potarła rękę tak, jakby je myła. - A kiedy ty... pr~ete... zejdziesz na dół, dobrze? Wypijemy herbatę i porozmawiamy. Zdaje się, że twój ojczym wyraził takie życzenie.

- Dziękuję. A przy okazji: jak mam się do ciebie zwracać?

- Mam na imię Celeste. Nie nazywaj mnie macochą... nie. Jestem za młoda, by być twoją mamą... nie uważasz?

- O wiele za młoda - zapewniłam. - A więc będę cię nazywać Celeste.

- Doskonale. - Podeszła do drzwi, ale stojąc już na progu, odwróciła się i rzekła: - A więc do zobaczenia, niebawem... tak?

- Wkrótce do was zejdę.

Odeszła, a ja pomyślałam: Ona chyba rzeczywiście jest mi życzliwa. Sądzę, że ją polubię.

Tego wieczoru jadłam kolację w towarzystwie Benedykta i jego żony. Było nas tylko troje.

Dzieci leżały już w łóżkach we wspólnej sypialni. Kiedy weszłam powiedzieć Lucie dobranoc, ta zarzuciła mi ramionka na szyję i przytuliła się z całej siły.

- Będzie ci tu dobrze - wyszeptalam. - A ja mieszkam tuż pod tobą.

Wciąż przyciskała do mnie swe szczupłe ciało.

- Tutaj będzie ci tak samo jak w Cadore - zapewniałam. - A za jakiś czas wrócimy tam na dłużej.

Podeszłam do łóżka Belindy. Spojrzała na mnie spod oka.

- Dobranoc, Belindo. Śpij dobrze. - Pochyliłam się i ucałowałam ją lekko w policzek. -

Będzie ci tutaj dobrze - powtórzyłam.

Skinęła głową twierdząco i zamknęła oczy.

Obydwie dziewczynki były wyraźnie zmęczone długą podróżą. Do tego dochodził jeszcze natłok wrażeń spowodowanych zmianą miejsca.

Leah wsunęła się cichutko do pokoju.

- Zaraz zasną - wyszeptala.

Posiłek podano w małym pokoju przylegającym do imponującej jadalni, w której Benedykt przypuszczalnie podejmował swych partyjnych przyjaciół. Niewielka przytulna jadalnia tworzyła miłą, kameralny nastrój, ale ja, w obecności Benedykta, nigdy nie czułam się swobodnie.

- Dzieci, moim zdaniem, powinny pomieszkać jakiś czas w Londynie - powiedział

Benedykt, gdy podawano rybę - ale zdecydowanie lepiej im będzie w Manorleigh.

- Tak - zgodziłam się. - To znacznie dla nich korzystniejsze miejsce. Na wsi będą miały więcej swobody.

- Też jestem tego zdania.

- Są tu oczywiście parki. Pamiętam...

Przerwałam. Wiedział, że pomyślałam o mamie, a to wspomnienie było równie bolesne dla niego, jak dla mnie.

Z przestraczem uświadomiłam sobie, że Celeste odgadła sens naszej konwersacji. Poczula się dotknięta.

Pośpiesznie starałam się naprawić swój błąd.

- Mogą spacerować po parku i karmić kaczki... ale na wsi oczywiście będzie im lepiej. Będą miały okazję jeździć konno, a poza tym jest tam duży ogród, który w Manorleigh jest zachwycający.

- Ty musisz zostać w Londynie - oznajmiła Celeste. - Czeka cię tutaj... jak wy to nazywacie?

- Debiut - poddał Benedykt. - Na londyńskich salonach. Tak, Rebeka będzie musiała zostać tutaj. - Zwrócił się do mnie. - Ja... my... zdajemy sobie sprawę, że dzieci będą się czuły początkowo nieszczęśliwe bez ciebie, dopiero przecież rozstały się z dziadkami. Jest to dla nich z pewnością duże przeżycie. Pomyślałem sobie, że dobrze byłoby, gdybyś pojechała razem z nimi do Manorleigh i pobyła tam dopóty, dopóki nie przywykną do nowego miejsca. Potem wrócisz do Londynu już sama, bez dzieci.

- Sądzę, że to dobra myśl. Będą miały Leah, która dba o nie jak matka.

- Ona jest rzeczywiście dobra - stwierdziła Celeste.

- Ty już ją trochę znasz - dodałam. - Naprawiała wasze gobeliny w High Tor.

- Wkrótce przyzwyczajają się do zmiany miejsca - wyraził nadzieję Benedykt.

Pomyślałam: Tak, będą musiały. Potrzebna ci jest udana rodzina, byś się mógł nią pochwalić przed swymi wyborcami.

Zmieniono temat rozmowy. Zdawkowa, banalna konwersacja mało mnie jednak interesowała i szybko zapomniałam, o czym mówiono. Odniosłam wrażenie, że między Benedyktem a jego żoną istnieje pewne napięcie; dało mi to nieco do myślenia. Zaczęłam podejrzewać, że w tym małżeństwie nie wszystko układa się dobrze. Zastanawiałam się, co go do niego skłoniło. Widziałam, jak się zachowywał, kiedy był z moją matką. Odnosił się do niej zupełnie inaczej niż teraz do Celeste. W stosunku do obecnej żony nie zauważyłam ani śladu tamtej obsesyjnej miłości. Wręcz odwrotnie - dostrzegałam nawet pewną dozę krytycyzmu. Jeśli chodzi o nią, to nietrudno było zgadnąć, że jest w nim zakochana po uszy.

Spróbowałam ocenić go tak, jak kobiety zazwyczaj oceniają mężczyzn. Miałam do Benedykta tyle urazy i odgrodziłam się od niego taką ścianą uprzedzeń i niechęci, że nie potrafiłam zdobyć się na obiektywny osąd. Moja mama go kochała. Intuicyjnie czułam, że darzyła go większą miłością niż mego szlachetnego ojca... ale oczywiście nie miałam okazji osobiście się przekonać, jakie łączyły ich uczucia.

Benedykt był dystygowanym mężczyzną, chociaż typem urody bynajmniej nie przypominał Adonisa czy Apollina. Był wysoki i miał imponujący wygląd. Rysy twarzy, niezbyt regularne, dowodziły stanowczości i silnego charakteru. Posiadał spory majątek i był postacią znaną w liczących się kręgach społeczeństwa. Stopniowo zaczynałam dochodzić do przekonania, że znaczenie i bogactwo to nieodzowne atrybuty prawdziwie atrakcyjnego mężczyzny. Benedykt z pewnością miał obie te cechy nawet w nadmiarze.

Odnosiłam wrażenie, że nie stanowią z Celeste dobranej pary. Między nimi istniało jakieś napięcie.

Coś mi się wydaje - powiedziałam sobie w duchu - że poślubił ją dlatego, że dobrze się prezentuje na salonach i będzie okraszać swą elegancją jego wieczorny stół. Stanowi istotny atut w politycznej karierze. Wziął ją sobie za żonę i bez wielkich starań zyskał rodzinę: Belinę, mnie, a nawet Lucie.

Byłoby ciekawie uważniej przyjrzeć się ich pożyciu i zgłębić, na czym polega problem.

Gardziłam sobą za taką postawę, ale nie mogłam zdusić w sobie uczucia pewnej satysfakcji.

Przecież to on zrujnował moje życie, z jakiej racji jego droga ma się słać różami?

Morwenna Cartwright zaprosiła mnie do swego domu, który znajdował się w niedużej odległości od rezydencji Benedykta. Powitała mnie serdecznie.

Lubiłam matkę Pedreka. Miała w sobie dużo ciepła i łagodności, a w dodatku w przeszłości była serdeczną przyjaciółką mojej mamy. Swego czasu przeżywały wspólnie wiele różnych przygód.

- Ogromnie się cieszę, że znów cię widzę, Rebeko - powiedziała, witając mnie. - To wspaniale, że przyjechałaś do Londynu, aczkolwiek muszę przyznać, że twój debiut spędza mi sen z powiek. To ja mam się nim zająć.

- Bardzo jestem rada, że to właśnie ty się podjęłaś tego zadania.

Roześmiała się. W jej głosie wyczułam nutę powątpiewania.

- Helena znacznie lepiej nadaje się do tego celu jako żona wybitnego polityka i posła. Ona wprowadzała w świat twoją mamę i mnie, wiesz o tym.

- Tak, wiem. Mama często o tym wspominała.

Z matką Pedreka znacznie łatwiej rozmawiało mi się o mamie niż nawet z babcią. Kiedy ją wspominałyśmy, żadna z nas nie usiłowała ukryć swego wzruszenia, podczas gdy z babcią było inaczej: obie czyniłyśmy nadludzkie wysiłki, by nie okazać bólu.

- Jakże ja się bałam. Wprost umierałam z przerażenia, nie tyle z powodu samej prezentacji...

ta trwała kilka sekund: jedynie krótki dyg i zdwojona uwaga, by nie nadepnąć na tren i nie potknąć się u stóp Jej Królewskiej Mości. Możesz sobie wyobrazić, jaka by zapanowała konsternacja. Było to jednak mało prawdopodobne. Przerazała mnie myśl o występie na londyńskich salonach. Chodziło głównie o te wszystkie bale i zabawy; okropnie się lękałam, że nie będę miała powodzenia. Umierałam z lęku. Twoja mama nie przejmowała się tak jak ja. Ale ona wtedy nie musiała...

Słyszałam tę opowieść już wiele razy. Rozmawianie o tym z Morwenną teraz nie wywoływało jakoś bolesnego skurczu w moim sercu. Miałam wrażenie, jakby mama siedziała z nami w saloniku Cartwrightów i to dawało mi przyjemne uczucie bezpieczeństwa i spokoju.

- Helena trochę się starzeje, chociaż jest nadal pełna werwy, a Martin, jak zwykle, żyje głównie polityką, w której odgrywa ważną rolę. Ona nam oczywiście pomoże, nie podejmuje się jednak wziąć tego zadania wyłącznie na swoje barki.

- A co ja mam robić?

- Najpierw będziesz musiała uczęszczać przez jakiś czas na lekcje tańca i śpiewu. Jej Królewska Mość bardzo się tym interesuje.

- Słyszałam, że odsunęła się od ludzi.

- To prawda, wiecie życie samotnicy od kilku lat... od śmierci księcia, ale konwenanse są nadal przestrzegane.

- Mama często opowiadała mi o madame Dupr~e, która w rzeczywistości nazywała się panna Dapry i która podobno wyciskała z was siódme poty.

- I o mojej legendarnej niezdarności. Byłam najbardziej niepojętną uczennicą, jaką kiedykolwiek miała.

- Mama nie oceniała tego w ten sposób; mówiła, że twoje niepowodzenia wynikały z niewłaściwego nastawienia.

- Była mądrą kobietą.

Po chwili milczenia odezwała się Morwenna:

- Z łatwością dasz sobie radę. Ważne jest, by się zbytnio nie przejmować. Mnie zawsze prześladowała świadomość, że moi rodzice liczą na to, iż zrobię “dobrą partię” - co jest, nie ukrywajmy, głównym celem całej tej imprezy - i bałam się, że ich zawiodę. Twoja mama nie podchodziła do tego tak poważnie, ponieważ jej rodzice mieli inny stosunek do życia; im zależało tylko na tym, by Angel była szczęśliwa. Moim oczywiście też... niemniej wiązali z moją osobą pewne nadzieje.

Nagle się zatrwożyłam.

- Rzecz jasna, że tego właśnie będzie oczekiwał ode mnie mój ojczym.

- Ale twoi dziadkowie...

- Nie ich miałam na myśli. I dziadek, i babcia też mają głównie na względzie moje szczęście, tak jak poprzednio mojej mamy, ale on... na to właśnie będzie liczył. “Pasierbica Benedykta Lansdona, pośła z okręgu Manorleigh, zaręczyła się z księciem..., hrabią..., wicehrabią...”. Nie sądzę, by zadowolił go zwykły tytuł sir.

- Nie powinnaś tak myśleć. Po prostu przejdź przez to i zobacz, jak się skończy. Jeśli spotkasz kogoś, kto okaże się księciem, hrabią lub wicehrabią... no cóż, tak długo, jak będziecie się kochali, jego tytuł nie będzie miał żadnego znaczenia.

Wybuchnęłam śmiechem.

- Ale dla Benedykta będzie to miało znaczenie!

- Przecież chodzi o twoje szczęście. Tylko ono jest ważne.

- Nie znasz go, Morwenno.

- Myślę, że znam. - Milczała chwilę, potem dodała: - On bardzo kochał twoją mamę... i ona jego. Nigdy nikogo nie kochała tak mocno. Żadnego mężczyzny.

- Kochała mego ojca - zaprotestowałam. - Był wspaniałym człowiekiem.

Skinęła głową twierdząco.

- Justin i ja mamy powody, by czuć dla niego dozgonną wdzięczność. Nigdy nie zapomnimy, co dla nas zrobił. Wiesz, że poświęcił życie, by ratować Justina.

- Był dobrym człowiekiem... bohaterskim mężczyzną... ojcem, z którego mogę być dumna.

Przytaknęła ponownie.

- Ale pamiętaj, nie zawsze kocha się ludzi wyłącznie dla ich szlachetnych cech. To nie wystarczy. Widzisz, między twoją mamą a Benedyktem już coś zaszło dawno temu, przed laty. Poznali się w Kornwalii i ta znajomość stała się zalążkiem przyszłego uczucia. Uważam, że byli doskonałym małżeństwem. I pomyśleć, że ich szczęście przerwało dziecko, którego oboje tak pragnęli. A miało stać się dla nich dodatkowym źródłem radości i jeszcze silniej związać ich ze sobą.

Siedziałyśmy i płakałyśmy cicho, i to wspólne odczuwanie koło nasze cierpienia i pozwalało łatwiej znieść ból wskrzeszony wspomnieniami.

Morwenna wyciągnęła do mnie rękę.

- Musimy żyć dalej, Rebeko - powiedziała. - On jest twoim ojczymem i chce się tobą opiekować.

- Nie, to nieprawda. Chce mieć rodzinę, ponieważ to pozytywnie wpływa na jego wizerunek w oczach wyborców.

- Nie... nie. Chce cię mieć przy sobie. Jesteś jej córką i przez to samo osobą bliską jego sercu.

- Jestem córką innego mężczyzny. To może go ode mnie odstręczać.

- Nie... nie. Postaraj się przełamać, spróbuj go zrozumieć, polubić.

- Jak można polubić kogoś na siłę?

- Wystarczy nie hodować w sobie niechęci, nie doszukiwać się tylko złych stron, lecz starać się dojrzeć również zalety.

Potrząsnęłam głową.

- Gdzie? - zapytałam.

- On pragnie pokochać ciebie i Belindę. Pomóż mu!

- Ciekawa jestem, co by powiedział na pomysł takiej pomocy z naszej strony. Roześmiałyby mi się w nos. Nie potrzebuje wsparcia, bo uważa siebie za wszechmocnego.

- Nie jest szczęśliwy, Rebeko.

Spojrzałam na nią bacznie.

- Masz na myśli jego nowe małżeństwo?

- Celeste jest miłą dziewczyną. Myślę, że jest w nim bardzo zakochana.

- Poślubił ją, ponieważ uważa, że dobrze się prezentuje na salonach.

- Moim zdaniem, nadal nie może się pogodzić ze śmiercią twojej matki. Myślę, że to jej cień stanął... między nimi. Twoja mama na pewno by tego nie chciała. Ona go kochała. Pragnęłaby jego szczęścia. Benedykt także ma swoje problemy, z którymi musi się zmagać, tak jak i ty, Rebeko. Powinniście pomóc sobie nawzajem. Och, moja droga, ale co ja właściwie plotę! Wymądrzam się na temat, o którym praktycznie niewiele wiem. To nie jest zbyt mądre z mojej strony. Pedrek wkrótce będzie miał przerwę w zajęciach i przyjedzie do domu. Ucieszy się, że jesteś w Londynie.

- To wspaniała wiadomość! Brakowało mi jego obecności w Kornwalii.

- Ale rozumiesz, szkoła to rzecz ważna.

- Co zamierza robić w przyszłości?

- Jeszcze nie wiem. Może wstąpi na uniwersytet. Z drugiej strony pociąga go biznes. Jego dziadek naturalnie marzy, by Pedrek osiadł w Kornwalii i przejął po nim kopalnię. Ojciec z kolei

jest zdania, że dobrze mu zrobi, jeśli przez jakiś czas popracuje w londyńskim biurze. Na razie to tylko plany.

- Wspaniale, że tu będzie.

- Będziesz go widywała... często, przypuszczam. Ale nas oczywiście czeka mnóstwo zajęć.

Będziemy miały pełne ręce roboty. Trzeba pomyśleć o sukni, w jakiej wystąpisz na dworze królewskim, następnie o lekcjach etykiety... tańca. Moja droga Rebeko, od dziś nie będziesz miała wolnej chwili. Musisz być dobrze przygotowana na ten uroczysty moment, kiedy staniesz przed obliczem królowej i będziesz musiała wykonać ceremonialny dyg - pamiętaj: swobodnie, bez najmniejszego wahania - który otworzy przed tobą drzwi najwykwintniejszych londyńskich salonów.

Zaczęły się przygotowania. Jakieś dwadzieścia lat temu moja mama przeżywała podobne emocje. Morwenna powiedziała mi, że prezentacja u dworu nosi obecnie mniej surowy charakter niż za czasów księcia małżonka. Sito cenzury, oceniające pozycję społeczną rodzin, z których wywodzą się debiutantki i sponsorujące je osoby, było wówczas bardzo gęste. Delikwentki musiały stać dostatecznie wysoko w szlacheckiej hierarchii, by móc spojrzeć w oblicze Jej Królewskiej Mości.

Czas mijał szybko i zbliżała się Wielkanoc. Pedrek przyjechał do domu na przerwę semestralną. Ogromnie się ucieszyłam z jego przyjazdu. Madame Dupr~e nie udzielała już lekcji etykiety i tańca. Jej następczynią była madame Perrotte, kobieta w średnim wieku, o czarnych włosach i niezdrowej cerze. Wyrażała się precyzyjnie, ale w sposób bardzo sztuczny i afektowany. W tańcu występowała w roli mego partnera, co niestety odzierało tę przyjemność z dreszczyku emocji. Niemniej bardzo lubiłam te lekcje. Uczyłam się również śpiewu. Mój głos naturalnie nie dorównywał talentowi Jenny Lind, jednak, zdaniem madame Perrotte, był całkiem znośny.

Lekcje odbywały się w domu Cartwrightów, ponieważ Morwenna była moją wprowadzającą.

Przyjazd Pedreka wywołał wielką radość w domu. Jego rodzice byli z niego bardzo dumni i uważali, że mają wspaniałego syna. Podzielałam ich zdanie. Pedrek był osobą, która budziła zaufanie. Nabierało się przekonania, że potrafi mądrze pokierować swoim losem. Był rzeczowy i nie miał zwyczaju oddawać się nierealnym marzeniom. Cechowała go także duża kultura osobista, takt i nienaganne maniery. Do każdego bez wyjątku odnosił się grzecznie i uprzejmie.

Lekcje tańca stały się teraz o wiele przyjemniejsze, ponieważ moim partnerem był obecnie Pedrek zamiast madame Perrotte, która siedziała przy fortepianie i brzdąkała melodię, a my w jej rytm obracaliśmy się wokół salonu. Miejsca do tańca było sporo, bo większość mebli z tej okazji została zepchnięta pod ścianę. Madame Perrotte, jednym okiem zerkając na klawiaturę, a drugim na nas, wykrzykiwała raz po raz: “Non... non, bardziej esprit... s'il vous pla~it. Teraz dobrze, dobrze... ach, za wolno... za szybko... och... och, ma foi”. Bardzo nas bawiły te lekcje. Tryskaliśmy humorem i radością życia, z trudem usiłując pohamować rozsadzającą nas nieprzepartą chęć do śmiechu.

Potem przyszła kolej na przymierzanie sukni, w której miałam wystąpić na dworze. W myśl etykiety musiałam wykonać przed królową głęboki ceremonialny ukłon. Wprost trudno było uwierzyć, ile trudu kosztowało opanowanie tego jednego małego gestu. A trzeba go wykonać bezbłędnie - ostrzegała madame Perrotte; jeden fałszywy krok, jedno potknięcie i debiutantce nie pozostaje nic innego, jak wycofać się ze wstydem.

Nabijaliśmy się z Pedrekiem z tego ceremoniału, a ja ponadto popisywałam się swymi umiejętnościami przed dziećmi. Pokazywałam im, jak trzeba dygać przed królową, jak się śpiewa i tańczy. Słuchały zafascynowane i oklaskiwały mnie gorąco, kiedy imitowałam płąsy z Pedrekiem w salonie Cartwrightów. Naśladowały mnie, ćwiczyły dygi i odgrywały scenę prezentacji na

królewskim dworze. Belinda zawsze pragnęła grać rolę królowej, rozśmieszając nas do łez swymi władczymi manierami.

Co do ojczyma - to jeśli życzył sobie dla mnie księcia lub hrabiego, aby podeprzeć swą pozycję korzystnymi koneksjami, nie czułam się zobowiązana zadośćuczynić jego pragnieniu... nawet gdybym mogła. Nie domagałam się, by dostąpić zaszczytu przedstawienia królowej, i niewiele mnie obchodziło, czy dyg wyjdzie mi dobrze, czy źle.

Jeszcze trzy tygodnie dzieliły mnie od wielkiego dnia i Benedykt orzekł, że czas najwyższy, by dzieci pojechały do Manorleigh. Powiedział, że powinnam pobyć tam z nimi tydzień lub dwa, a potem wrócić do Londynu. Nabiorę siły i odpocznę przed czekającą mnie wielką próbą; będę miała jeszcze ponad tydzień dla siebie na ostateczne przygotowania.

Zarówno Helena, jak i Morwenna przyznały, że jest to niezły pomysł. W ślad za tym poszły czyny.

Dzieci były bardzo przejęte. Jechały na wieś do wielkiego dworu.

- Ale on jest mniejszy niż Cador, czy tak? - zapytała Belinda.

- Nie, raczej nie - przyznałam. - Lecz jest dostatecznie obszerny. Będziecie miały tam okazję ćwiczyć na padoku, a to naprawdę wielka przyjemność.

- Jedziesz z nami? - upewniała się Lucie.

- Owszem... lecz tylko na kilka tygodni. Później muszę wrócić do Londynu. Nie przeniosę się jednak zbyt daleko i często będę was odwiedzać. Będzie bardzo wesoło.

Przyjazd do Manorleigh był wzruszającym przeżyciem. Wiedziałam, że tak będzie, i przygotowałam się na to psychicznie. Pan i pani Emery czekali na nas przy wejściu, sztywni i dystyngowani, jak przystało na kamerdynera i gospodynię domu bardzo ważnej osobistości.

Przynajmniej tych dwoje ludzi tutaj nie miało powodu czuć niechęci do Benedykta.

Po pierwszych chwilach powitania pani Emery zrzuciła z siebie etykietalny gorset. Pod tą czarną szeleszczącą halką i dżetową biżuterią biło dobre i wrażliwe serce.

- Cieszę się, że znowu widzę panienkę - powiedziała do mnie, kiedy wszyscy się już rozmieścili i mogliśmy spokojnie zamienić kilka słów. - Mam nadzieję, że teraz częściej będziemy panienkę oglądać. Pan Emery i ja często panienkę wspominamy.

- Dobrze się wam tu wiedzie, pani Emery?

- O tak, panno Rebeko. Pan... jest bardzo grzeczny. Nie należy do tych, którzy się wtrącają w sprawy domu. Jest człowiekiem, przy którym warto trwać. Nie wytrzymałabym u niego, gdyby było inaczej. On dobrze wie, że jeśli chodzi o prowadzenie gospodarstwa, to najlepiej jest zostawić nam wolną rękę. I tak robi. Jak panienka wie, to wspaniały stary dwór.

Była zadowolona z przyjazdu dzieci.

- Nic tak nie ożywia starego domu, takiego jak nasz, jak właśnie dzieci - ciągnęła dalej. -

Pokoje dziecinne zarastają kurzem. Leah jest spokojną osobą; będzie głównie przebywać w dziecinnych pokojach. Panna Stringer... no cóż, z guwernantkami jest zawsze pewien problem.

- Myślę, że zechce, by posiłki przynoszono jej do pokoju.

- Tak będzie najlepiej.

Pani Emery byka dobrze obznajomiona z regułami, jakie rządziły domami takimi jak ten, i bardzo dbała o to, by przestrzegano obowiązujących w naszej sferze form i obyczajów.

Zwabiona śmiechem dobiegającym z dziecięcego pokoju, postanowiłam zobaczyć, co robią dziewczynki. Zastałam tam również Leah. Sprawiała wrażenie o wiele mniej napiętej niż w Londynie.

- Podoba ci się tutaj, Leah? - zapytałam.

- Tak, panienko - odparła. - Lubię wieś. Dzieciom będzie tutaj o wiele lepiej. Szybko nabiorą zdrowszej cery.

- Nie są wcale takie blade.

- Panienska wie, o co mi chodzi.

Tak - pomyślałam. - To znaczy, że ty wolisz być tutaj. Dobrze. Cieszyło mnie, że jest zadowolona.

Panna Stringer była mniej zachwycona. Z żalem opuszczała Londyn. Pocieszała się myślą, że Manorleigh nie jest tak odległe od stolicy jak Kornwalia. Nie wątpiłam, że powetuje sobie monotonię wiejskiego życia okresowymi wypadami do ulubionego miasta.

Wynikało z tego, że na ogół wszyscy byli mniej lub więcej zadowoleni.

Pani Emery oświadczyła, że przygotowała dla mnie dawny pokój. Mówiąc to, spoglądała na mnie pytająco.

- Przypuszczałam, że chyba panienska tego by sobie życzyła. Jeśli nie, to dam paniencie pokój w innej części domu.

Wiedziałam, co miała na myśli. To był pokój, który zajmowałam, gdy żyła mama. Wiązało się z nim wiele wspomnień, które być może odżyją teraz ze zdwojoną siłą.

To, że ja pamiętałam mamę, było oczywiście całkiem naturalne. Jednakże od jej śmierci minęło już sześć lat i byłam przekonana, że ludzie tacy jak pani Emery już dawno o niej zapomnieli. Ale jak się okazało, byłam w błędzie.

Odparłam, że wolę zostać w swym dawnym pokoju.

Pierwsza noc w Manorleigh była dla mnie dużym przeżyciem. W pewnym momencie pomyślałam nawet tchórzliwie, że może byłoby lepiej wybrać inny pokój. Siedziałam dłuższy czas przy oknie, spoglądając na sadzawkę, nad którą Hermes w blasku księżyca zrywał się do lotu.

Widziałam także pod drzewem ławeczkę, na której siadywałam z mamą. Przypomniałam sobie, jak nad jeziorem prosiła mnie, bym się opiekowała jej nie narodzonym dzieciątkiem... jakby przeczuwała, co ją spotka.

Noc miałam niespokojną. Prześladowały mnie sny o mamie. Śniło mi się, że siedzę na ławeczce w ogrodzie i że ona do mnie przyszła.

Powinłam była spodziewać się nawrotu wspomnień po przyjeździe do tego domu, ale jak mądrze radziła mi babcia, nie mogę ciągle żyć przeszłością; muszę skupić się na dniu dzisiejszym. Tyle się wydarzyło od śmierci mamy. Wciąż powtarzałam sobie, to już sześć lat, jak od nas odeszła. Jednak każdy najmniejszy szczegół w tym domu przypominał mi o niej, tak że czasami odnosiłam wrażenie, jakby go nigdy nie opuściła.

Nie ulegało wątpliwości, że dzieci pokochały Manorleigh. Ku memu zadowoleniu szybko przystosowały się do nowych warunków. Leah też czuła się tutaj znacznie lepiej. Było widać, że to miejsce bardziej jej odpowiada.

Dziewczynki entuzjasmowały się jazdą na kucykach. Codziennie jeden ze stajennych prowadził je na padok, gdzie używały sobie do woli. Była to przyjemność, jakiej nie mogły mieć w Londynie.

Jak informował stajenny Tomas, obie robiły w tym sporcie duże postępy. Ogromnie mnie to cieszyło. Zauważyłam też dużą zmianę w Lucie. Nie trzymała się już tak kurczowo mego boku, jednak wiedziałam, że jestem dla niej najważniejszą osobą na świecie. Zrobiła się bardziej niezależna i potrafiła przeciwstawić się Belindzie. Były do siebie niewątpliwie mocno przywiązane, chociaż sprzeczały się ze sobą od czasu do czasu, zwłaszcza gdy Belinda próbowała wykazać swoją wyższość jako córka znanego polityka. Ogólnie biorąc, było im ze sobą bardzo dobrze.

Jedna rzecz trochę mnie martwiła, a mianowicie niechęć Belindy do ojca. Rozumiałam doskonale urazę, jaką on do niej czuł. Należał do mężczyzn, którzy nie potrafią zrozumieć psychiki dziecka, a przy tym stale miał w pamięci, że matka Belindy przypłaciła życiem jej urodzenie. Im częściej go widywałam, tym bardziej sobie uświadamiałam, jak wielką pustkę w jego życiu

spowodowało jej odejście.

Powinnam była mu współczuć. Przecież przeżywałam jej śmierć nie mniej niż on. Ale nie mogłam mu darować, że jego związek z mamą zniszczył moje dzieciństwo.

Mama i on zajmowali apartamenty na drugim piętrze. W przeszłości rzadko tam zaglądałam, ponieważ było to ich wspólne mieszkanie. W jego skład wchodziły dwa najpiękniejsze pokoje w całym domu: sypialnia z przylegającą do niej garderobą oraz salonik. Jak pamiętam, całość utrzymana była w biało_niebieskiej tonacji.

Ogarnęło mnie pragnienie, aby zobaczyć te pomieszczenia. Poszłam tam nazajutrz po przyjeździe. Kiedy jednak ujęłam za klamkę, stwierdziłam, że drzwi od apartamentu są zamknięte.

Pośpieszyłam do saloniku pani Emery. Wiedziałam, że ją tam zastanę, była to bowiem jej tradycyjna pora herbaty. Siedziała zwykle przy kominku i czytała na przemian “Lornę Doone” lub “East Lynne”, * oczywiście jeśli od tego czasu nie zmieniła zwyczaju. Pamiętam, że dawniej czytała jedynie te dwie książki. Kiedy skończyła jedną, zaczynała drugą, i tak w kółko. Całe jej zainteresowanie literaturą sprowadzało się do tych dwóch powieści. Jak twierdziła, zupełnie jej to wystarczało, a ponadto lubiła z góry wiedzieć, jakie są dalsze losy bohaterów.

`pp

Powieści popularne w drugiej połowie XIX wieku. Ich autorami byli: R.D. Blackmore oraz Henry Wood.

`pp

Zapukałam. Z głębi pokoju dobiegło mnie władcze: “wejść!”. Myślała najwidoczniej, że to ktoś ze służby zakłóca jej spokój i odrywa uwagę od pasjonujących przygód Jana Ridda lub lady Isabel.

Twarz jej złagodniała na mój widok.

- Proszę, niech pani wejdzie, panienko Rebeko. Właśnie czekam, aż się woda w czajniku

zagotuje.

Odłożyła na bok "Lornę Doone" i spojrzała na mnie spoza okularów.

- Przeszkadzam pani w odpoczynku, pani Emery - zaczęłam.

- Ależ nie... nic podobnego. Czy panienka sobie czegoś życzy?

- Widzi pani, chodzi o te pokoje na piętrze... Chciałam tam wejść, ale drzwi są zamknięte na klucz.

- Ach tak! Chciała panienka tam wejść?

- Owszem... chciałam.

Podniosła się i podeszła do szuflady, z której wyjęła pęk kluczy.

- Pójdę z panienką - oświadczyła.

- Dlaczego drzwi są zamknięte? Czy jest jakiś powód?

- Owszem, jest. Sama nie ośmieliłabym się podjąć takiej decyzji.

Zabrzmiało to dość tajemniczo, ale tymczasem znalazłyśmy się przed wejściem do apartamentu. Pani Emery otworzyła drzwi. Weszłam do środka.

Wrażenie było wstrząsające. Pokój wyglądał dokładnie tak jak za życia mamy. Dookoła pełno było jej rzeczy... na toaletce lustro w emaliowanej oprawie, z wytłoczonymi na odwrotnej stronie jej inicjałami, wraz z kompletem szczotek do włosów. Spojrzałam na podwójne małżeńskie łoże, które dzieliła z Benedyktem, i na wielką białą szafę ze złożonymi klamkami. Podeszłam i otworzyłam ją na oścież, wiedząc, że znajdę tam jej ubrania... tak jak je zostawiła przed laty.

Odwróciłam się i spojrzałam na panią Emery. Stała obok z wilgotnymi oczami, kiwając głową.

- To na jego rozkaz - wyjaśniła. - On tak kazał. Nikt nie ma prawa wchodzić do tego pokoju poza mną... Ja zaś wchodzę tu tylko po to, aby go odkurzyć. Osobiście to robię. Reszcie domowników wstęp jest zabroniony. Ilekroć pan przyjeżdża do Manorleigh, zamyka się w tym

pokoju i przesiaduje w nim godzinami. Przyznam się panience, że mi się to wcale nie podoba. Jest w tym coś nienormalnego.

Wyczułam, że chętnie by już opuściła pokój.

- Pan nie życzy sobie, by ktoś tu w ogóle wchodził - mówiła dalej. - Nawet mnie widzi niechętnie. Ale ktoś musi utrzymywać porządek i tylko z tego względu toleruje moją obecność.

Wyszliśmy z pokoju. Pani Emery starannie zamknęła za nami drzwi i przekręciła klucz w zamku. Po powrocie do saloniku włożyła klucz do szuflady, na jego stałe miejsce.

- Będę zaszczycona, jeżeli panienka wypije ze mną herbatę. Zaraz będzie gotowa.

Odparłam, że będzie to dla mnie wielka przyjemność.

Czekała, aż się woda zagotuje, po czym zdjęła czajnik z płytki w palenisku kominka i zaparzyła herbatę.

- Poczekajmy, aż trochę naciągnie - powiedziała i usiadła.

- Tak jest od czasu, odkąd... - zaczęła. - Widzi panienka, on bardzo ją kochał.

- Ja również ją kochałam - uprzytomniłam jej.

- Wiem o tym. Pani mamusia to była naprawdę kochana pani. Tyle miała w sobie miłości; została po niej wielka pustka. Czasami sobie myślę, że ta ziemską miłość nadal ją tu trzyma i nie pozwala odejść tak do końca. On marzył o niej od wielu lat. Tylko na niej mu zależało. To było widać. Prawdziwa tragedia, że kiedy wreszcie mogli się połączyć, tak krótko było im dane cieszyć się sobą.

- Była szczęśliwa w małżeństwie z moim ojcem.

Pani Emery przytaknęła.

- Moim zdaniem byłoby lepiej, gdyby coś zmienił w tym pokoju, pozbył się jej ubrań.

Zapamiętywanie się w bólu do niczego dobrego nie prowadzi. Nie przywoła jej z powrotem do życia, chociaż...

- Chociaż co, pani Emery?

- Ten dwór liczy już kilkaset lat. To pobudza ludzką wyobraźnię i sprzyja powstawaniu różnych przesądów i zabobonów. Po tych wielkich pokojach snują się tajemnicze cienie, deski podłóg skrzypią czasami, jakby ktoś po nich stąpał. Prymitywne dziewczuchy, jakimi są służące, zaczynają zmyślać i fantazjować. Wie panienska, co mam na myśli?

- Wydaje im się, że w tym domu straszy?

- Tak, to mam na myśli. Widzi pani, wszyscy znają historię o lady Flamstead i jej córce, pannie Marcie, która tu mieszkała przed laty... Mówi się, że lady Flamstead tutaj straszy.

- Słyszałam tę historię. Ona zmarła, wydając na świat dziecko.

Pani Emery spojrzała na mnie ze smutkiem.

- Widzi panienska, historia się powtarza. Pani matka też umarła, wydając na świat Belinę.

- Moja mama w najmniejszym stopniu nie przypominała lady Flamstead, a Belinda z tego, co wiem, również nie przypomina panny Marty. Ona kochała swoją matkę. Jak na razie, wydaje się, Belinda kocha tylko siebie.

- Dzieci takie są... ale mówię panience, wolałabym, aby pokoje zostały uprzątnięte. Rzeczy pani mamy powinno się stąd zabrać. Tylko że pan nigdy się na to nie zgodzi. Może przebywanie w tym pokoju przynosi mu ulgę. Kto to wie? Wydaje się, jakby nie chciał przyjąć do wiadomości faktu, że ona umarła, i wciąż usiłuje udawać, że żyje.

- Och, pani Emery, jakie to wszystko smutne!

- Takie już jest życie, panienko. Bóg wyznaczył nam taki, a nie inny los; i musimy się z tym pogodzić.

Kiwnęłam głową na znak, że się z nią zgadzam.

- Ale to nie jest w porządku, zwłaszcza od kiedy ponownie się ożenił.

- Jeżeli kochał ją tak bardzo, dlaczego to zrobił?

- Mężczyzna potrzebuje kobiety, takie jest moje zdanie. A on w tych sprawach nie różni się od innych. Jeśli nie ma się tego, kogo się pragnie, bierze się to, co się ma pod ręką. Żal mi nowej pani Lansdon. Dziwna pani. Nigdy nie przepadałam za cudzoziemcami. Ta śmieszna mowa i wymachiwanie rękami - to takie nienaturalne! Świata poza nim nie widzi, co do tego nie ma wątpliwości. Ożenił się z nią, prawda? Po co w takim razie brał z nią ślub, skoro większość czasu spędza w tym pokoju, rozpamiętując smętnie, co dawno minęło i nie wróci?

- Czy ona o tym wie?

- Biedactwo, myślę, że tak. Przyjeżdżają tu oboje prawie co tydzień. Niemożliwe, by nie wiedziała, że mąż godzinami przesiaduje w tym pokoju, i myślę, że zaczyna mieć już tego dość.

- Ale przecież musi mieć dla niej jakieś uczucie...

- Jego niełatwo rozszyfrować. Dla każdego było oczywiste, że bardzo kochał mamę panienki i że ona też go kochała. Ale obecna pani Lansdon... no cóż, jest młoda - o wiele młodsza od niego - i niebrzydka, jeśli ktoś lubi taki cudzoziemski typ, bo ja to nie bardzo. A poza tym, ile ona czasu spędza przed lustrem! Jak się stroi, jak dba o siebie, o swoje włosy, urodę i w ogóle... Nie zdziwiłabym się wcale, gdyby przy jakiejś okazji ta miła koteczka nie pokazała nagle ostrych pazurków. No i ma tę swoją francuską służącą, Yvette czy jak jej tam. To cudzoziemskie imię... Niektórzy służący utrzymują, że ona zagięła na niego parol, pomagając mu w pracy z wyborcami... i oczywiście, jak mówi Jim Fedder, ten ze stajni... proszę wybaczyć mi to wyrażenie, panienko, ale wiadomo, co on ma na myśli... otóż Jim Fedder powiedział, że ona jest apetycznym kąskiem, typem kobiety, której niewielu mężczyzn potrafi się oprzeć, jeśli panienka rozumie, o co mi chodzi.

- Owszem, pani Emery.

- Muszę przyznać, że bardzo szybko odkryła pani tajemnicę tego pokoju. Pani miała pełne prawo do niego wejść. Panienka jest panią tego domu, by tak rzec, pod nieobecność pana lub jej. Ale jestem zdania, że to nie jest normalna sytuacja. Powiedziałam to już panu Emery'emu i gotowa

jestem nawet powtórzyć panu Lansdonowi, gdyby nadarzyła się okazja. Nie należy dopuszczać, by z domu na takim poziomie jak ten wychodziły na świat jakieś dziwne plotki i przypuszczenia...

Służba jest tylko służbą. Niektórzy już zaczynają mówić, że ona nie może zaznać spokoju w grobie, ponieważ on wciąż tak wariuje. Jeszcze trochę, a zobaczą jej ducha pod tym dębem i powiedzą, że powtarza się historia z lady Flamstead.

- Rozumiem, co pani ma na myśli, pani Emery - zgodziłam się. - To rzeczywiście nie jest zdrowa sytuacja.

Siedziała z filozoficzną miną, kiwając głową. Po chwili zapytała:

- Nalać panience jeszcze herbaty?

- Nie, dziękuję. Pójdę już. Mam coś do zrobienia. Miło mi się z panią rozmawiało.

Zostawiłam ją i wyszłam. Chciałam to sobie wszystko przemyśleć na osobności.

Miałam już pewność, że zanim wyjadę z Manorleigh, dzieci będą się czuły w nim jak w domu. Miały przy sobie osoby tak bliskie im i oddane jak Leah i panna Stringer. Polubiły również panią Emery, a za Ann i Jane wprost przepadały. Ja także starałam się im poświęcać wszystkie swoje wolne chwile.

Siedziałam właśnie u dzieci, kiedy pojawiła się Jane z drugim śniadaniem na tacy; składało się z mleka i biszkoptów. Jane bardzo lubiła obie dziewczynki, a i one ją również. Pokojówka czekała, aż skończą jeść, by nie fatygować się po raz drugi na górę po puste kubki i talerze.

Leah też z nami była i tak we trójkę rozmawiałyśmy przez chwilę... o pogodzie, jak pamiętam. Przy okazji zrobiłam uwagę, że mam wrażenie, iż wszyscy czują się chyba tutaj dobrze, i spytałam Jane, czy żałuje, że musiała opuścić Londyn.

- Bardzo przyjemnie się pracowało u pani Mandeville - wyznała. - To nie był duży dom i nie taki wygodny. Ale ona sama była ogromnie sympatyczna. Tu jest inaczej, jednak to zaszczyt pracować w takim wielkim i wytwornym domu.

- Którego właścicielem w dodatku jest członek parlamentu - zauważyłam z ironią.
 - Pan Lansdon to prawdziwy pan... i praca u niego ma znaczenie, takie jest moje zdanie.
 - Życie upływa tu dość monotonnie, Jane.
 - Tylko wtedy, kiedy pana nie ma. Kiedy jest w domu, ciągle odbywają się przyjęcia, goście dosłownie nie wychodzą od nas, a są między nimi i tacy, o których czyta się w gazetach. Rzadko bywa tak spokojnie jak teraz, w czasie pobytu panienki. Ani razu przez ten czas nie było przyjęcia...
 - A czy zdarza się, że biesiadnicy zostają tu na dłużej?
 - O tak... przyjeżdżają przyjaciele pana. A poza tym również bywa towarzystwo pani Lansdon.
 - Masz na myśli państwa Bourdonów?
 - Niech pani sobie wyobrazi, że oni nas nie odwiedzają. Za to pan Jean Pascal, przeciwnie - on jest tutaj częstym gościem.
 - Ach, to brat pani Lansdon. To on tu bywa?
 - Tak, często przyjeżdża w odwiedziny. - Zarumieniła się lekko i zachichotała.
- Przypomniało mi się spotkanie z nim przed laty w Cador. Mimo że byłam dzieckiem, już wtedy zauważyłam, że młody Francuz wykazuje duże zainteresowanie ładnymi dziewczętami.
- To zupełnie zrozumiałe, panienko... on jest przecież bratem pani.
 - Tak, to całkiem naturalne - przyznałam.
- Leah od kilku dni nie czuła się dobrze. Próbowałam ją namówić, by poszła poradzić się lekarza.
- Nie potrzeba, panienko. Nic mi nie jest - powiedziała tonem nie znoszącym sprzeciwu. - To przypuszczalnie skutek zmiany klimatu.
 - Rzeczywiście, jest różnica między powietrzem w Londynie a w Manorleigh - zgodziłam

się. - Ale tutejszy klimat jest bardziej zbliżony do kornwalijskiego.

- Och, nie, panienko. Nic nie dorówna Kornwalii.

Wydawała się trochę zmęczona. Oświadczyła, że źle spała ostatniej nocy.

- Połóż się na godzinę lub dwie - poradziłam jej. - To ci dobrze zrobi.

W końcu uległa namowom, a ja, by zapewnić jej spokój, zabrałam dzieci do ogrodu.

Stałam przy sadzawce z rzeźbą Hermesa, obserwując leniwie tańczące nad wodą komary i dziewczynki bawiące się czerwoną piłką. W pewnym momencie zdałam sobie sprawę, że nie jesteśmy same.

Szybko podniosłam oczy. W pobliżu stał mężczyzna i przyglądał się nam z uwagą.

Przybysz uśmiechał się. Miał najbardziej czarujący uśmiech, jaki widziałam kiedykolwiek; serdeczny, przyjazny, a zarazem lekko filuterny. Zdjął kapelusz i skłonił się nisko. Dzieci zaprzestały zabawy i stanęły, przypatrując mu się w milczeniu.

- Co za urocza grupka - odezwał się. - Proszę mi wybaczyć, że przeszkodziłem w zabawie.

O ile się nie mylę, mam przed sobą pannę Reбекę Mandeville.

- Zgadł pan.

- A jedna z tych czarujących dziewczątek to przypuszczalnie panna Belinda Lansdon.

- To o mnie! - wykrzyknęła Belinda.

- Jak myślisz, co by powiedziała panna Stringer, gdyby cię słyszała w tej chwili? - zapytałam.

- Nie krzycz - podpowiedziała Lucie. - Panna Stringer zawsze ci to powtarza. Masz zwyczaj bardzo głośno mówić, Belindo.

- Ludzi interesuje to, co chcę powiedzieć - butnie zapewniła Belinda.

- Zapominasz o dobrych manierach - skarciłam ją. - I założę się, że panna Stringer powiedziałaby także: "Wyrażaj się poprawnie". Powinnaś powiedzieć: "To ja nią jestem", a nie:

“to o mnie”.

- Jakkolwiek by mówić i tak chodzi o moją osobę. - Podeszła do nieznanego i wyciągnęła rękę. - Jestem Belinda - przedstawiła się.

- Domyślam się - odparł.

- Szuka pan z pewnością pana Lansdona - powiedziałam. - Niestety nie ma go, jest w Londynie.

- Czyżby? Wobec tego muszę się zadowolić towarzystwem jego uroczej rodziny.

- Pan wie, kim my jesteśmy - zauważyłam. - Proszę się zatem przedstawić.

- Proszę mi wybaczyć ten nietakt. Jestem pod takim wrażeniem naszego spotkania, że zupełnie zapomniałem o dobrych manierach. Nazywam się Oliver Gerson. Jestem współpracownikiem pani ojczyma.

- Przypuszczam, że sprowadziła pana tutaj jakaś pilna sprawa.

- To także, ale teraz przede wszystkim interesuje mnie towarzystwo jego rodziny. Dzień jest piękny i słoneczny, a wszystkie trzy panie ogromnie sympatyczne.

Wydawał mi się trochę nazbyt uprzejmy; typowy światowiec, bez zająknięcia prawiący gładkie komplementy. Pytanie tylko, jak dalece są one szczerze. Musiałam mu jednak oddać sprawiedliwość i przyznać, że robił to z wielkim wdziękiem, który kazał zapominać o obłudzie.

Zapytał, czy może się do nas przyłączyć. Lucie podeszła i przytuliła się do mnie. Belinda rozciągnęła się na trawie i wpatrywała się w przybysza z nie ukrywanym zainteresowaniem.

Gerson spoglądał na nią dobrotliwie.

- Widzę, że panienka Belinda bez przerwy taksuje mnie wzrokiem - zauważył.

- Co to znaczy? - zapytała.

- To, że przyglądasz mi się z uwagą. Zastanawiam się, czy pasuję do twego schematu.

Była trochę zaskoczona, ale i zadowolona, że stała się obiektem jego zainteresowania.

- Proszę nam o sobie opowiedzieć! - zażądała.

- Jak już wspomniałem, jestem współpracownikiem twego ojca. Wspólnie prowadzimy interesy. Ja jednak nigdy nie dążyłem do tego, by zostać posłem. - A zwracając się do mnie, zapytał: - Czy to prawda, panno Rebeko, że wkrótce zostanie pani przedstawiona królowej?

- Ja też umiem dygać! - wykrzyknęła Belinda i zerwawszy się na nogi, wykonała przed nim ceremonialny ukłon.

- Bravo! - zawołał. - Co za szkoda, że nie możesz również wystąpić na dworze.

- Małych dziewcząt nie przedstawia się monarchini.

- Na szczęście małe dziewczynki po pewnym czasie wyrastają na dorosłe panienki.

- Ale muszą długo czekać. Mnie to się wydaje, że całe wieki.

- Czas biegnie szybko, prawda, panno Rebeko?

Zgodziłam się z nim, że zanim się obejrzymy, przyjdzie czas na Belindę i Lucie.

- My już teraz wiemy, jak się zachować - zapewniła Lucie.

- Niedawno przyjechałyście z Kornwalii, mam rację? - zapytał.

- Bardzo dużo pan o nas wie.

- Interesuje mnie rodzina Benedykta. Zamierzacie mu pomagać, aby utrzymał się na swoim stanowisku?

- Ja mu pomogę, jeśli tylko będzie mi się chciało - zapewniła Belinda.

- Jest z ciebie, jak widzę, chimeryczna osóbką.

Belinda przysunęła się do niego bokiem i położyła mu rękę na kolanach.

- Co to znaczy "chimeryczna"? - zapytała.

- Zmienność nastrojów, fantazje, kaprysy... działanie pod wpływem chwili czy odruchu...

Czy tak by to pani określiła, panno Rebeko?

- Wydaje mi się, że to właściwa definicja.

Spojrzał na mnie z powagą.

- Mam nadzieję spotkać panią już po ceremonii na dworze królewskim.

- Będzie pan w Londynie?

- Jeśli mam być szczery, to tak. Bardzo pragnąłem poznać panią, od kiedy się dowiedziałem, że opuszcza pani daleką Kornwalię i przenosi się do domu Benedykta.

- Słyszał pan o tym?

- Pani ojczym jest bardzo dumny ze swojej pasierbicy i nie może doczekać się momentu, kiedy wprowadzi ją w wielki świat.

- Zna go pan dobrze?

- Owszem, razem pracujemy.

- Prawda! Wspominał pan już o tym.

- Czy jeździ pan konno? - zapytała Belinda.

- Przyjechałem tutaj na koniu. Mój rumak jest w tej chwili w stajni pod fachową opieką waszego świetnego stajennego.

- A my mamy kucyki, prawda, Lucie? - oznajmiła Belinda.

Lucie przytaknęła.

- Chce pan zobaczyć, jak skaczemy? - zaproponowała Belinda. - Bierzemy całkiem wysokie przeszkody.

- Och, doprawdy, Belindo - rzekłam ze śmiechem. - Pan Gerson z pewnością bardzo się śpieszy.

- Mam czas - uśmiechnął się do Belindy. - O niczym innym nie marzę w tej chwili, tylko o tym, by zobaczyć, jak panna Belinda wykonuje skoki na swym kucyku.

- Zaczeka pan, aż się przebierzemy w kostiumy do konnej jazdy? - spytała Belinda z przejęciem.

- Będę czekał aż do skończenia świata.

- Pan się tak zabawnie wyraża. Chodź, Lucie! - Ponownie zwróciła się do niego: - Proszę tu na nas zaczekać i nigdzie nie odchodzić.

- Żadna siła nie odciągnie mnie z tego miejsca.

Odbiegła, a ja spojrzałam na niego zdziwiona. W odpowiedzi uśmiechnął się do mnie na pół przepraszająco.

- Rozbroiła mnie ich chęć popisania się swymi umiejętnościami - usprawiedliwił się. - Z panny Belindy jest bystra dziewczynka.

- Chwilami mam wrażenie, że nawet aż za bardzo.

- Ta druga jest również przemiła. Ona jest przybłądą... czy to prawda?

- O tym się nie mówi.

- Proszę mi wybaczyć. Jestem bliskim przyjacielem Benedykta i znam sprawę. Od dawna pragnąłem poznać jego rodzinę i jest to dla mnie ważna chwila.

- Dziwi mnie, że pan nie wiedział o tym, iż jest w Londynie.

Miał zwyczaj unosić jedną brew, kiedy się uśmiechał.

- Nie pogniewa się pani? Oczywiście, że wiedziałem. Czekałem na sposobność, by poznać bliżej jego pasierbicę, jeszcze nim zadebiutuje po prezentacji na salonach.

- Dlaczego panu na tym tak zależało?

- Pomyślałem sobie, że będzie to znacznie zabawniejsze. Na wieczorkach, przyjęciach i temu podobnych towarzyskich imprezach trudno jest swobodnie porozmawiać. Chciałem poznać panią w mniej oficjalnych okolicznościach. Proszę mi wybaczyć mój tupet.

- Jest pan przynajmniej szczery i doprawdy nie ma za co przepraszać.

- Muszę przyznać, że rzadko zdarza mi się spędzić takie miłe popołudnie.

Zachowywał się w tak ujmujący sposób, że prawie gotowa byłam mu uwierzyć. Jego

obecność w każdym razie dodała kolorytu monotonna wlokącym się godzinom.

Pojawiły się dziewczynki, zarumienione i podniecone.

- Czy musimy brać ze sobą stajennego? - zapytała Lucie.

- Myślę, że tak. Zobaczmy, kto w tej chwili jest w stajniach.

- Niepotrzebny nam stajenny - stwierdziła niecierpliwie Belinda. - Możemy się już bez niego obejść. Doskonale radzimy sobie same. Stajenni są dla małych dziewczynek.

- Wiem, że szybko zostawiacie za sobą dzieciństwo i jesteście bardzo doświadczone, ale nie wolno wam ruszać się bez stajennego i musimy się trzymać tej zasady.

- To bzdura! - zaprotestowała Belinda.

- Nie bądź apodyktyczna, Belindo! - skarciłam ją. - Inaczej pan Gerson pomyśli, że jesteś krnąbrna i nieposłuszna.

- Naprawdę pan tak pomyśli? - zapytała. - Rzeczywiście taka jestem?

- Odpowiadam: tak i jeszcze raz tak. Wierzysz mi?

Zaczęła podskakiwać wokół niego.

- To pan jest krnąbrny. To pan jest krnąbrny - podśpiewywała.

- Czyżby te czyste dziecięce oczy potrafiły czytać w mojej duszy?

Było jasne, że pan Gerson oczarował Belindę. Obawiałam się, że gotowa jest popełnić jakieś głupstwo, byle wyrzeć na nim wrażenie.

Staliśmy obok siebie na padoku, przyglądając się, jak dziewczynki biorą przeszkody pod czujnym okiem Jima Taylora.

- Cóż za wdzięczna domowa scenka! - zachwycił się Oliver Gerson. - Nie pamiętam równie uroczego popołudnia.

Po popisach odprowadziłam dzieci do domu.

- Leah będzie się niepokoić, że was tak długo nie ma - przekonywałam je.

- Och, ona ma znowu tę swoją idiotyczną migrenę - pogardliwie zauważyła Belinda.

- Jak pan widzi, panna Belinda Lansdon nie ma zbyt sympatycznego charakteru - zwróciłam się do Olivera Gersona.

- Panna Belinda Lansdon jest młodą damą o zdecydowanych poglądach - odparł - których nie waha się wyrażać otwarcie.

Nie wszedł do domu. Powiedział, że musi wracać do Londynu. Czekają go tam podobno pilne zajęcia.

Kiedy odjechał, Lucie zauważyła:

- Belinda bardzo go polubiła... a ja myślę, że on polubił ciebie.

- On należy do osób, które sprawiają wrażenie bardzo sympatycznych i życzliwie usposobionych do ludzi... - odparłam - ale to są tylko pozory. W rzeczywistości może być zupełnie odwrotnie: ma do nich niechęć i antypatię.

- To się nazywa obłuda - orzekła Lucie.

- Bardzo często - sprostowałam - nazywamy to wdziękiem.

Nadszedł czas powrotu do Londynu. Dzieci żegnały mnie z żalem, ale wiedziałam, że czują się już dobrze w Manor Grange, tak że z łatwością zniosą moją nieobecność. W ciągu tych kilku ostatnich tygodni stary dwór stał się dla nich prawdziwym domem. Bez wątpienia pobyt na wsi bardziej im odpowiadał niż mieszkanie we wspaniałej londyńskiej rezydencji.

Morwenna na mnie czekała. Pozostało jeszcze wiele rzeczy do zrobienia - oświadczyła - a czasu miałyśmy już niewiele. Trzeba przymierzyć suknię i przekonać się, czy nie należy wprowadzić jakichś poprawek. Co więcej - do końca miały trwać lekcje z madame Perrotte, która trochę się niepokoiła o mój ukłon przed królową.

Minął niezwykle pracowity tydzień i wreszcie nadeszła długo oczekiwana chwila.

Wyruszyłam powozem w towarzystwie mych opiekunek: Morwenny i Heleny,

odprowadzana, jak zwykle w takich razach, nachalnymi spojrzeniami ciekawskich przechodniów, co było dla mnie prawdziwą gehenną. W końcu jednak znalazłyśmy się na królewskich salonach, gdzie Jej Królewska Mość przyjmowała debiutantki. Była to osoba małego wzrostu o posępnym spojrzeniu i jakby nieobecna duchem. Wprawiała nas tym w zakłopotanie, traciłyśmy pewność siebie.

Sama ceremonia trwała krótko. Debiutantka podchodziła, dygała, całowała pulchną rączkę ozdobioną pierścieniami i przez ułamek sekundy spoglądała w smutną starą twarz. Następnie ostrożnie się cofała, tak by nie stracić równowagi, mając głowę ozdobioną trzema wielkimi piórami, i żeby, broń Boże, nie nadepnąć na tren liczący prawie trzy metry długości. W głębi duszy śmieszyły mnie te wszystkie długotrwałe wysiłki, których efektem był ten jeden krótki dyg przed dostojnym obliczem. Ale cel został osiągnięty. Przeżyłam całą tę mękę i zostałam przyjęta w poczet wykwintnego londyńskiego towarzystwa.

Skwapliwie zdjęłam z siebie pióra - były równie kłopotliwe jak tren sukni - i zasiadłszy w głębokim fotelu, powiedziałam z westchnieniem ulgi: "Dzięki Bogu już po wszystkim".

Morwenna również była zadowolona.

- Dobrze pamiętam swój towarzyski debiut... - zaczęła.

- Ja także - wtrąciła Helena.

- Przez cały ten okres żyłam w stałym napięciu - ciągnęła Morwenna. - Czułam, że mi się nie powiedzie.

- Miałam podobne uczucie - przyznała Helena.

- A mimo to - uprzytomniłam im - wyszłyście obie szczęśliwie za mąż, a to jest przecież zasadniczy cel tych wszystkich zabiegów.

- Głównym celem tej imprezy - powiedziała Helena - jest umożliwienie dziewczętom zrobienia tak zwanej dobrej partii. Nasze małżeństwa są udane, ale według kryteriów przyjętych w

naszym środowisku nie zrobiłyśmy kariery. Martin nie był w ogóle znany, kiedy za niego wychodziłam.

Znałam ich historię. Spotkała go na okręcie w drodze do Australii, dokąd płynęła z moimi pradziadkami. Martin jechał z zamiarem napisania książki o przestępcach. Po powrocie do Anglii wuj Peter zajął się swoim zięciem i tak nim pokierował, że dziś jest sławnym i cenionym politykiem.

- Justin też nie był uważany za dobrą partię - dodała Morwenna. - Jest tylko po prostu dobrym mężem.

- Moim zdaniem dobry mąż więcej znaczy niż tak zwana dobra partia w oczach świata - stwierdziłam.

- Widzisz, jaka mądra kobieta wyrosła z naszej małej Rebeki - powiedziała z uznaniem Helena. - Będę się modlić, byś dostała dobrego męża i zaznała szczęścia w życiu.

Wszystkie byłyśmy zadowolone, że mamy już za sobą ten ciężki okres. Jednocześnie każda z nas zdawała sobie sprawę, że to dopiero początek drogi: przed nami towarzyski sezon, a więc zabawy, przyjęcia, zaproszenia, przepych i obawa - nieodłączne elementy tego ważnego londyńskiego wydarzenia.

Ojczym będzie mnie obserwował. To on przecież ponosił koszty wprowadzenia swej pasierbicy na arystokratyczne salony. Przez jego dom w Londynie zawsze przewijało się wielu ludzi - oczywiście i w Manorleigh także - ale przyjęcia organizowano głównie z myślą o politycznych korzyściach. Teraz będzie je urządzał na cześć córki swej drugiej żony. Bez wątplenia względy polityczne również będą brane pod uwagę; wśród gości na pewno nie zabraknie osób z jego bliskiego otoczenia. Ale oficjalnie wydawane będą dla mnie. Czego oczekiwał w zamian za to? Chciał ujrzeć w rubryce towarzyskiej wzmianki typu: "Panna Rebeka Mandeville, pasierbica pana Benedykta Lansdona... debiutantka sezonu...", "Panna Rebeka Mandeville ma zaszczyt

ogłosić swe zaręczyny z księciem... markizem... Należy przypomnieć, że jest ona pasierbicą pana Benedykta Lansdona...". Taki też był wuj Peter. Jego wnuk odziedziczył po nim talent do autoreklamy. Mama zawsze śmiała się i mówiła, że Benedykt jest nieodrodnym potomkiem starego Lansdona. No cóż, jeżeli oczekiwał, że będę błyszczała na wykwintnych londyńskich salonach i odwdzięczę mu się zrobieniem świetnej partii, to się obawiałam, że spotka go gorzki zawód.

Benedykt postanowił wydać dla mnie bal w swej londyńskiej rezydencji na rozpoczęcie towarzyskiego sezonu. W ślad za tą decyzją poszły odpowiednie przygotowania. Celeste w miarę możliwości starała się mi pomóc. Musiałam przyznać, że odnosiła się do mnie z dużą życzliwością. Przed balem przyszła do mego pokoju, by fachowym okiem ocenić mój wygląd.

Przyprowadziła ze sobą służącą Yvette.

Miałam na sobie kreację z szyfonu w odcieniu lawendy. Celeste zadecydowała o wyborze materiału.

- Chcę, by wszyscy się pytali: "Kto to jest ta piękność? Jej kreacja jest doprawdy charmante". Chcę, by Benedykt był z ciebie dumny - powiedziała.

- On mnie prawie nie dostrzega.

Wzruszyła ramionami z rezygnacją. Miałam wrażenie, jakby tym gestem chciała powiedzieć, że i w stosunku do niej zachowuje się podobnie.

Szczebiocząc, uwijała się wokół mnie wraz z Yvette, która pracowicie upinała moje włosy.

Muszę przyznać, że końcowy efekt zabiegów był zadziwiający. Byłam zupełnie odmieniona. Bardziej interesująca... to prawda, ale jednocześnie starsza... mniej naturalna. Osoba, która spoglądała na mnie z lustra, zupełnie nie przypominała dawnej Rebeki.

I teraz oto stałam na górnym podejściu wielkich schodów, pod ogromnym żyrandolem, między Benedyktem a Celeste, którzy witali gości. Usłyszałam wiele komplementów dotyczących mego wyglądu. Wywoływały one pełen satysfakcji uśmiech na twarzy Celeste.

Zaczynałam lubić Celeste i gdzieś na dnie serca czułam nawet dla niej coś na kształt litości.

Nie jest szczęśliwa - to rzucało się w oczy - a osobą, z powodu której cierpiała, był Benedykt. Ich małżeństwo nie stanowiło udanego związku. Było widać, że jej nie kocha. On kochał moją matkę i nikt, żadna inna kobieta, nie mogła mu jej zastąpić. Rozumiałam stan jego uczuć, ale z drugiej strony uważałam, że w tej sytuacji nie miał prawa poślubiać tej młodej kobiety. Wiedział przecież, że nie będzie w stanie dać jej miłości, której miała prawo żądać. Jego serce należało do innej, chociaż ta inna już dawno leżała w grobie. Była to rzeczywiście, jak słusznie zauważyła pani Emery, nienormalna sytuacja.

Mój karnet tego wieczoru zapełnił się do ostatniego miejsca. Oszczędzona mi została katorga oczekiwania, o której wspominały Morwenna i Helena. Opisywały, jak cierpiały, siedząc pod ścianą i modląc się, by ktoś... ktokolwiek: najstarszy, najbardziej niezdarny mężczyzna na sali... poprosił je do tańca, gdyż nawet taki tancerz był lepszy niż żaden.

Miałam szczęście, ponieważ na balu miałam trzech znajomych mężczyzn. Zazwyczaj na początku sezonu większość młodych ludzi jeszcze się nie znała.

Najpierw tańczyłam z młodym politykiem, któremu przedstawił mnie mój ojczym. W tym wypadku bardzo mi się przydały instrukcje madame Perrotte. Idąc za jej radą, udawało mi się jednocześnie prowadzić grzeczną konwersację i koncentrować uwagę na ruchach swoich stóp.

Mój partner oświadczył, iż jest ogromnie zadowolony z tego, że mnie poznał. Chwalił też ojczyma, który jego zdaniem jest wspaniałym człowiekiem. Rozmowę przeplatały uwagi o sytuacji w parlamencie oraz o różnicy między panami Gladstone'em i Disraelim. Pierwszy był wyraźnym faworytem mego tancerza; było to całkiem naturalne, ponieważ należał do tej samej partii co Benedykt. Staralam się inteligentnie odpowiadać na pytania, ale odetchnęłam z ulgą, kiedy wreszcie muzyka przestała grać i młody człowiek odprowadził mnie na miejsce. Ledwo jednak Morwenna z Heleną wzięły mnie między siebie, natychmiast zjawił się następny kandydat do

tańca.

Poznałam go od razu; był to ten sam mężczyzna, którego spotkałam w ogrodzie w

Manorleigh. Oliver Gerson.

- Czy mogę mieć honor zaprosić panią do tańca? - zapytał, kłaniając się nam wszystkim uprzejmie. - Mam zaszczyt znać już pannę Mandeville. Spotkaliśmy się w Manorleigh.

- Ależ tak, oczywiście - odparła Morwenna. - Wydaje mi się, że gdzieś już pana spotkałam.

Pan Gerson, jeżeli się nie mylę?

- Jakie to miłe, że raczyła pani zapamiętać moje nazwisko. Ja zaś, przypuszczalnie, mam zaszczyt rozmawiać z panią Cartwright i panią Hume, żoną wielkiego Martina Hume'a.

- Tylko że pan stoi po drugiej stronie politycznej barykady, o ile mi wiadomo - zauważyła Helena.

Wzruszył ramionami.

- Chociaż jestem wielkim przyjacielem pana Benedykta Lansdona i z zainteresowaniem śledzę jego występy na parlamentarnej scenie, to obce mi są wszelkie polityczne aspiracje. W wyborach oddaję głos na tę partię, która w danej chwili prowadzi, moim zdaniem, najlepszą dla kraju politykę.

- Jest to niewątpliwie racjonalne podejście - odparła, śmiejąc się Helena. - A teraz, jak rozumiem, zaprasza pan pannę Mandeville do tańca.

Uśmiechnął się do mnie.

- Czy mogę dostąpić tego zaszczytu?

- Ależ naturalnie!

Weszliśmy na parkiet.

- Wygląda pani zachwycająco.

- Swój wygląd w dużej mierze zawdzięczam pani Lansdon i jej francuskiej służącej.

- Znacznie więcej zawdzięcza pani matce naturze, która panią stworzyła.

Wybuchnęłam śmiechem.

- Czyżbym powiedział coś zabawnego? - zapytał.

- Rozbawił mnie pan. Jak pan to robi? Komplementy wychodzą z pana ust tak gładko, jakby pan naprawdę wierzył w to, co mówi.

- Dlatego, że płyną ze szczerego serca i nie ma w nich obłudy.

- Wobec tego nie pozostaje mi nic innego, jak za nie podziękować.

Roześmiał się.

- Bardzo mile wspominam nasze spotkanie w ogrodzie w Manorleigh.

- Tak... było rzeczywiście zabawne.

- Jak się miewa to żywe srebro, panna Belinda, i cokolwiek pochmurna Lucie?

- Czują się doskonale i nadal przebywają w Manorleigh. Pan Lansdon jest zdania, że tam mają najlepiej.

- Panna Belinda zrobiła na mnie duże wrażenie.

- Pan na niej również.

- Doprawdy?

- Niech pan sobie zanadto nie pochlebia. Belindzie podobają się wszyscy, którzy okazują jej zainteresowanie.

- Postaram się znaleźć jakąś sposobność, by znowu odwiedzić Manorleigh. Ale najpierw muszę się upewnić, że pani też tam będzie. Przypuszczam, że od czasu do czasu będzie tam pani przyjeżdżać.

- Zostanę w Londynie do końca sezonu, jak przypuszczam.

- Mam nadzieję, że będę miał sposobność częściej panią widywać w tym okresie.

- Czy pan ma nadmiar wolnego czasu, by spędzać go na takich błahych rozrywkach, jak

bale i wieczorki dla debiutantek?

- Nie uważam przebywania w towarzystwie interesujących osób za stratę czasu.

- Ale takie imprezy jak dzisiejsza...

- Jeżeli los obdarza mnie taką chwilą jak obecna, niczego więcej od niego nie wymagam.

- Pan wie o mnie bardzo dużo. Proszę się zrewanżować i opowiedzieć mi coś o sobie.

- Dziadek Benedykta Lansdona był moim dobroczyńcą. Byłem, można by rzec, jego protegowanym. Mój ojciec znał go dobrze i Peter zawsze się mną interesował. Powiedział o mnie, że mam w sobie żywotność... że przypominam mu jego samego. To jest zawsze punkt na korzyść protegowanego, jeśli ma cechy zbliżone do swego protektora. To dobrze rokuje dla tego pierwszego.

- Czy mi się wydaje, że słyszę w pańskim głosie nutkę cynizmu? - zapytałam.

- Niewykluczone. Prawda może czasami tak właśnie brzmieć. Ale ludzie zazwyczaj mają największy podziw dla siebie samych i dlatego ktoś stworzony na nasze podobieństwo najczęściej zyskuje uznania w naszych oczach.

- Chyba ma pan rację. A więc wuj Peter był o panu pozytywnego zdania?

- Jak najbardziej. Pani go lubiła, jak widzę.

- Nie można go było nie lubić. Był takim nietuzinkowym człowiekiem; mądry, o szerokich horyzontach. Ale u podstaw jego charakteru leżała przede wszystkim dobroć... i wyrozumiałość.

- Grzesznicy znacznie łatwiej zyskują rozgrzeszenie w oczach jednostek dalekich od doskonałości. Nie zetknęła się z tym pani w życiu?

- Tak... chyba tak. A więc był pan przyjacielem wuja Petera i on wziął pana pod swoje skrzydła.

- Nigdy nie kojarzył mi się z ptakiem ani z niebieskim wysłannikiem, jedynymi stworzeniami, które, o ile mi wiadomo, mają skrzydła. Można powiedzieć, że się mną interesował,

udzielał mi rad i wskazówek, dzielił się ze mną swą wiedzą i doświadczeniem. W końcu zrobił ze mnie biznesmena.

- Nie przypuszczam, żeby miał z tym jakieś trudności.

- I kto teraz mówi komplementy?

- Mówię szczerze, co myślę. Jest coś... - przerwałam.

- Co pani chciała powiedzieć? - zapytał.

- Pan sprawia wrażenie bardzo sprytnego człowieka.

- Sprytny? Sposstrzegawczy, przenikliwy, z intuicją - to brzmi bardzo pochlebnie. Ale czy sprytni ludzie nie są przypadkiem czasami zbyt przebiegli, samolubni, nie mają wyłącznie na względzie własnego interesu?

- Możliwe, że często tak jest. Z pewnością jednak każdy by sobie życzył mieć takie cechy, o jakich pan mówi.

- A zatem dziękuję pani.

Muzyka się skończyła.

- Niestety - powiedział z żalem. - Muszę oddać panią w ręce aniołów stróżów. Na szczęście wieczór dopiero się zaczął. Będzie jeszcze inna okazja.

- Sądzę, że tak.

- Pani karnecik jest na pewno zapełniony do ostatniego miejsca, mam rację?

- Rzeczywiście zamówiono u mnie wiele tańców... Bądź co bądź jest to bal wydany na moją cześć przez mego ojczyma i goście czują się w obowiązku prosić mnie do tańca... a ja z kolei muszę zatańczyć z niektórymi jego przyjaciółmi.

Skrzywił się.

- Będę czatował na następną okazję, a ponieważ jestem sposstrzegawczy, przenikliwy i mam intuicję, może pani być pewna, że podskoczę we właściwej chwili, by skorzystać z szansy.

Roześmiałam się. To było bardzo inspirujące spotkanie.

- Jesteś zadowolona? - zapytała Morwenna. - Wyglądasz na bardzo rozbawioną.

- On jest bardzo zabawny.

- I wyjątkowo przystojny - zauważyła Helena. - Och, nadchodzi sir Toby Dorien. Będziesz chyba musiała z nim zatańczyć. To bardzo ważna osobistość, kolega Benedykta. Martin go dobrze zna.

Jakże inaczej tańczyło się z sir Tobym. Był kiepskim tancerzem; często się potykał i raz czy dwa nastąpił mi dotkliwie na palce. Madame Perrotte wyposażyła mnie na taką okoliczność w odpowiednie rady, dzięki którym moje stopy nie wyszły z tej bolesnej próby tak obolałe, jak należałoby się spodziewać. Rozmawiał głównie o polityce i o wszystkich znanych współczesnych politykach. Odetchnęłam z ulgą, kiedy taniec się skończył; ciężka to była powinność.

Zdążyłam wrócić na miejsce, kiedy zaraz podszedł do nas następny młody człowiek.

Wydawało mi się, jakbym go już gdzieś widziała; ciemny, średniego wzrostu, dość przystojny.

Przez chwilę łamałam sobie głowę nad zagadką, kiedy Helena rozwiązała ją jednym zdaniem:

- Dobry wieczór, panie Bourdon. Nie wątpiłam, że spotkam pana tutaj dziś wieczór.

Skłonił się przed nami głęboko.

- Przenigdy nie pozwoliłbym sobie przepuścić takiej okazji.

- Zna pan pannę Mandeville? Powinien pan...

- O tak. Spotkaliśmy się dawno temu w Kornwalii. Dobrze pamiętam to spotkanie.

- Ja również - odparłam.

Ujął moją rękę i pocałował.

- Jest mi naprawdę bardzo przyjemnie słyszeć te słowa - oświadczył. - Była pani wtedy małą dziewczynką. Wiedziałem, że wyrośnie pani na piękną kobietę.

- Myślę, że chcecie zatańczyć - zasugerowała Helena. - Poradziłam Rebecce, aby zostawiła na wszelki wypadek kilka wolnych miejsc w swoim karneciku. Przy takich okazjach jak ta jest to absolutnie konieczne.

- I to ja właśnie trafiłem w to puste miejsce. Szczęściarzem ze mnie. Panno Mandeville, czy mogę dostąpić tego zaszczytu?

- Oczywiście - odparłam.

Był doskonałym tancerzem. Żaden mężczyzna, z którym tańczyłam tego wieczoru, nie mógł się z nim równać. Sterował mną po parkiecie w taki sposób, że wystarczyło jedynie poddawać się ruchom jego ramienia. Byłam rozluźniona, swobodna i rozkoszowałam się przyjemnością wirowania w jego objęciach. Madame Perrotte powiedziała mi kiedyś: "Zdarzają się partnerzy, z którymi tańcząc, nie musisz myśleć o następnym kroku. Stopy same cię unoszą. Skorzystaj wtedy z okazji i ciesz się tańcem. To nie zdarza się często".

Takiego właśnie wymarzonego tancerza miałam w tej chwili.

- Słyszałem, że mieszkasz teraz w Londynie - od Celeste - zagaił rozmowę.

- Często odwiedzasz siostrę?

- To zależy. Jeżeli jestem w Londynie, zazwyczaj do niej wpadam. Mamy w Londynie dom... pied_~a_terre. Ale głównie przebywam w Chislehurst lub we Francji.

- Nigdzie nie mieszkasz na stałe?

- Zasadniczo mieszkam w Chislehurst ze swymi rodzicami. Obecnie panuje tam bardzo przygnębiająca atmosfera. Słyszałaś pewnie o synu cesarskiej pary... cesarzewiczu?

Jego pytanie wprowadziło mnie w zakłopotanie.

- Zginął na wojnie - wyjaśniał dalej. - Znana ci jest sprawa zatargu między Brytyjczykami a Zulusami?

- Wiele się o tym mówiło, ale jeśli się nie mylę, nastał już pokój?

- Tak. Zulusi zostali pokonani i teraz zwracają się do Brytyjczyków o protekcję. Chcą się im poddać. Pragną, by to potężne mocarstwo wzięło ich pod swą opiekę. Jak na razie, nic z tego nie wychodzi. Władze wcale się nie kwapią brać na swoje barki nową odpowiedzialność. Obecnie panuje rozbieżność poglądów w tej kwestii i konflikt w Zululandzie trwa nadal. Podczas zamieszek zabito cesarzewicza, który służył w brytyjskiej armii. Możesz sobie wyobrazić, jaka żałoba zapanowała w Chislehurst po tej stracie.

Skinęłam głową ze zrozumieniem.

- Cesarzowa... pozbawiona tronu, straciła męża, a teraz syna. Przeżyła ciężkie chwile. Ci z nas, którzy wraz z nią przebywają na wygnaniu, robią wszystko, co w ich mocy, by ją pocieszyć. Ten przydługi wstęp wyjaśni ci, dlaczego nie widzieliśmy się tyle czasu. Ale teraz mam nadzieję widywać cię już znacznie częściej.

- Będiesz chyba od czasu do czasu odwiedzał swoją siostrę?

- Teraz będzie to dla mnie podwójna przyjemność, ponieważ ty i ona mieszkanie pod jednym dachem.

- A więc masz dom w Londynie?

- Jak już powiedziałem... nieduży... takie pied_~a_terre.

- A co z High Tor?

- Należy do moich rodziców. Kupili tę posiadłość w okresie, kiedy uważali, że już tam zostaną na stałe. Później jednak zdecydowali się przenieść do Chislehurst, gdzie również kupili dom. Ale nadal są właścicielami High Tor.

- A wasze cenne gobeliny, czy wciąż tam są?

- Zostały zabrane do Chislehurst. Wiesz coś o nich?

- Słyszałam co nieco. Wymagały naprawy i Leah Polhenny, za namową mojej babci, podjęła się tego zadania. Znając jej umiejętności, wyobrażam sobie, że wyszły spod jej igły jak

nowe. Teraz Leah pracuje u nas jako opiekunka do dzieci.

Milczał przez chwilę, zmarszczywszy brwi, jakby próbował coś sobie przypomnieć.

- Rzeczywiście, odnawiała nam arrasy w High Tor. Pamiętam, że moja matka nie miała dość słów uznania dla jej roboty. A więc znasz ją dobrze.

- Nikt nie jest w stanie tak naprawdę rozgryźć Leah. Nawet ja nie mogę powiedzieć, że ją tak do końca rozumiem. Wszyscy znają jej matkę, ponieważ jest akuszerką i asystowała przy narodzinach wielu mieszkańców Poldorey.

- Aha! A więc panna jest tutaj, a moi rodzice pyszną się jej robotą w Chislehurst.

Doprawdy nie jestem w stanie wyrazić, jak bardzo się cieszę, że ciebie spotkałem. Mam nadzieję, że i ty również jesteś zadowolona z odnowienia naszej znajomości.

- Jak na razie - odparłam - jest bardzo przyjemnie.

- Dlaczego mówisz: jak na razie? Czy podejrzewasz, że w przyszłości nasze stosunki się pogorszą?

- Nie o to mi chodzi. Jestem pewna, że następne spotkania będą równie miłe.

- Jesteśmy teraz ze sobą spowinowaceni... do pewnego stopnia. Moja siostra poślubiła twego ojczyma.

- Powiedzmy: powiązani.

- Będziemy się często widywać. Będę wyglądał tych spotkań z wielką niecierpliwością.

Żałowałam, kiedy taniec dobiegł końca. Cudownie się z nim tańczyło. Jean Pascal odprowadził mnie na miejsce. Ku swej radości ujrzałam tam Pedreka.

Jean Pascal został jeszcze z nami, gawędząc przez chwilę, a Pedrek tłumaczył się ze swego spóźnienia: zawinił pociąg.

- Lepiej późno niż wcale - zauważyła Morwenna. - O ile wiem, Rebeka zostawiła wolne miejsce w karneciku na taniec przed kolacją. Ja tak poradziłam, ponieważ wiedziałam, że będziesz

chciał towarzyszyć jej przy stole.

- Jak ci leci? - zapytał Pedrek.

- Tak jak się można było spodziewać.

- Mówisz tonem, jakbyś się tym nudziła.

- Nigdy nie miałam złudzeń, że będzie to bardzo denerwujące doświadczenie... Ze strasznych opowieści twojej matki i ciotki Heleny wiedziałam, że takie imprezy zawsze łączą się z dużym napięciem. Czy jakiś mężczyzna poprosi mnie do tańca? Czy ktoś w ogóle raczy ze mną zatańczyć? Na pewno nie będę miała powodzenia, będę siała pietruszkę.

- Ciebie to nigdy nie spotka.

- Może nie w domu ojczyma, gdzie byłoby nietaktem nie zatańczyć ze mną. Jak na razie wyszłam z tej opresji z lekko okaleczonymi palcami u nóg, ale moja duma nie została naruszona.

Z Pedrekiem rozmawiało się tak łatwo i swobodnie. Byliśmy przecież przyjaciółmi od kolebki. A taniec przed kolacją, który tańczyłam z nim, należał do najprzyjemniejszych momentów całego wieczoru.

Nie chodziło nawet o to, jak tańczył: dobrze czy źle. Nie dorównywał mistrzostwu Jeana Pascala, ale był za to Pedrekiem, moim drogim przyjacielem, w którego towarzystwie czułam się tak swobodnie, jak z nikim innym.

- Nie widziałem cię szmat czasu - odezwał się Pedrek. - Mam jednak nadzieję, że nie zawsze będzie tak jak teraz.

- Jakie masz plany?

- Za miesiąc rozpoczynam studia w Mining Engineering College koło St Austell. W przyszłości przejmę kopalnię Pencarron. Dziadek uważa, że powinienem skończyć tę uczelnię, bo jest jedną z najlepszych w południowo-zachodniej Anglii.

- To świetnie. Jestem przekonana, że twoi dziadkowie bardzo się z tego ucieszą. Będiesz

blisko nich.

- Studia trwają dwa lata i mają szeroki zakres. Kiedy je ukończę, będę dobrze przygotowany do kierowania kopalnią. Obecnie - twierdzi dziadek - należy iść z postępem i orientować się w najnowszych osiągnięciach techniki. Uczelnia daje taką wiedzę. Ale porozmawiamy o tym dłużej przy kolacji. Rebeko, poszukajmy stolika na dwie osoby. Nie chcę, by ktoś nam przeszkadzał.

- To zapowiada się interesująco.

- Mam nadzieję, że też to tak ocenisz. Przepraszam cię... chyba pomyliłem takt.

- Owszem. Madame Perrotte nie darowałaby ci tego.

- Zauważyłem, z jaką gracją tańczy ten Francuz.

- Rzeczywiście Jean Pascal jest świetnym tancerzem.

- Niewielu może się poszczycić takimi umiejętnościami.

- Tak mówisz, jakbyś mu zazdrościł. Przecież wiesz, że nie tylko taniec liczy się w życiu.

- Kamień spadł mi z serca.

- Och, Pedrek, co się z tobą dzieje? Nie jesteś dzisiaj sobą.

- Zmieniłem się na lepsze czy na gorsze?

Zawahałam się przez moment, nim odparłam:

- Powiem ci przy kolacji. Popatrz! Goście już do niej zasiadają. Czy nie uważasz, że powinniśmy zająć się twoją matką i ciotką Heleną?

- Niech się same sobą zajmą. Zresztą przypuszczam, że przysiądą się do innych przyzwoitek.

- Widzę, że dołączyły do mego ojczyma i jego żony.

- Chodźmy, poszukajmy miejsca na dwoje!

Znaleźliśmy taki stolik częściowo ukryty za donicą z ogromną paprocią.

- Wygląda zachęcająco - orzekł Pedrek. - Ty usiądź tutaj, a ja pójdę i przyniosę coś do

jedzenia.

Powrócił z łososiem, którego dziś rano dostarczono do kuchni. Na każdym stoliku, w kubałku z lodem, mroziła się butelka szampana. Usiedliśmy naprzeciwko siebie.

- Muszę przyznać, że twój ojczym potrafi urządzać stylowe przyjęcia.

- Umiejętność niezbędna w jego zawodzie, jest przecież posłem, na dodatek bardzo ambitnym.

- Dowiódł już tego, wyróżniając się działalnością w parlamencie.

- Zachowywanie pozorów na zewnątrz... utrzymywanie stosunków z właściwymi ludźmi... pociąganie za odpowiednie sznurki, zabieganie o popularność.

- To ostatnie może mieć czasami nieobliczalne skutki.

- Mam na myśli starania o swój korzystny wizerunek w oczach opinii publicznej.

- To już co innego. Ale dosyć o polityce. Nie zamierzam nigdy zajmować się polityką. Czy to ci odpowiada?

- Pytasz mnie, co myślę o twojej decyzji, by nie mieszać się do polityki?

- Tak, właśnie o to mi chodzi.

- Nie sądzę, byś nadawał się na polityka. Jesteś na to za uczciwy... - Uniósł brwi, a ja

ciągnęłam dalej: - Uważam, że jesteś zbyt prawdomówny. Politycy zawsze muszą brać pod uwagę gusty swoich wyborców. Wuj Peter ciągle to powtarzał. On sam byłby doskonałym politykiem.

Wszyscy bardzo go lubiliśmy, ale trzeba powiedzieć bez ogródek, że był z niego niezły manipulator... manipulował nie tylko rzeczami, ale i ludźmi. Zobacz tylko, jak wykreował Martina Hume'a. Uważam, że nie powinno się urabiać innych na własną modłę. Człowiek powinien sam siebie kształtować, swoją własną pracą i wysiłkiem.

- Domagasz się doskonałości w bardzo niedoskonałym świecie. Ale skończmy już z polityką. Chcę porozmawiać teraz o sobie... i o tobie.

- No to mów, czekam.

- Zawsze byliśmy przyjaciółmi - zaczął z wolna. - Czy to nie cudowne, że obydwójce przyszlismy na świat w takim niezwykłym miejscu... wśród złotodajnych pól Australii? Czy nie uważasz, że te okoliczności sprawiają, iż nasza przyjaźń ma wyjątkowy charakter?

- Owszem, ale my już to wszystko wiemy, Pedrek. Czy o tym chciałeś ze mną mówić?

- Będę mógł się ożenić nie wcześniej niż za dwa lata, aż ukończę studia. Co ty o tym myślisz?

- A co ja mogę mieć wspólnego z twoim małżeństwem?

- Powinno cię to obchodzić, ponieważ chcę, aby było ono również twoim.

Roześmiałam się uszczęśliwiona.

- Przez moment myślałam, że chcesz mi się przyznać, iż padłeś ofiarą jakiejś powabnej syreny.

- Oczarowała mnie najbardziej zachwycająca syrena, jaką można sobie wyobrazić.

Wpadłem w jej sidła już w chwili urodzenia.

- Pedrek, ty mówisz o mnie! To takie nieoczekiwane!

- Nie żartuj, Rebeko. Mówię najzupełniej poważnie. Dla mnie istnieje tylko jedna syrena.

Zawsze wiedziałem, że ty nią będziesz. To było z góry przesądzone, że pewnego dnia będziemy razem... zawsze.

- Nigdy przedtem nie napomknąłeś o tym ani słowem.

- Uważałem, że nie nadszedł jeszcze właściwy moment. Wierzyłem, że między nami coś jest... coś, o czym ty wiesz równie dobrze jak ja, że to jest... nieuchronne.

- Nie było to wcale takie oczywiste.

- Ale tak jest.

- A więc to są oświadczenia?

- Coś w tym rodzaju.

- Co masz na myśli, mówiąc “coś w tym rodzaju”? Oświadczasz mi się czy nie?

- Pragnę, byś została moją narzeczoną.

Uśmiechnęłam się do niego i wyciągnęłam rękę przez stolik, by dotknąć jego dłoni.

- Jestem taka z siebie dumna - oświadczyłam. - Niewiele dziewcząt ma szczęście zaręczyć się już w pierwszym dniu towarzyskiego sezonu...

- Nie w tym rzecz.

- Jeszcze nie skończyłam. Chcę powiedzieć: zaręczyć się z Pedrekiem Cartwrightem.

Dlatego właśnie te oświadczenia są takie niezwykle, ponieważ to ty mi się oświadczyłeś, Pedrek.

- Jest to najszczęśliwszy dzień w moim życiu - powiedział z powagą.

- W moim również. Czy rodziny będą zadowolone z naszej decyzji?

- Moja mama bardzo się ucieszy. Nie jestem tylko pewny reakcji twego ojczyma. - Zamyślił się, zmarszczywszy brwi.

- Co cię gnębi, Pedrek? - zapytałam.

- On wydał ten bal dla ciebie, ponieważ pragnie, byś zrobiła dobrą partię.

- Zrobię świetną partię dokładnie od dziś za dwa lata.

- Bądźmy rzeczowi, Rebeko. Nie zrobisz wielkiej partii, wychodząc za mnie. Inżynier górnik, właściciel zaledwie jednej kopalni w dalekiej Kornwalii.

- To doskonale prosperująca kopalnia. Ale nawet gdyby to był stary szmelc, jak nazywają tam wyeksploatowaną kopalnię, i tak nie miałoby to dla mnie znaczenia, bylebyś ty był jej dodatkiem.

- Och, Rebeko, będzie wspaniale... my dwoje... nie mogę się doczekać! Ogarnia mnie pokusa, by porzucić myśl o dalszych studiach. Podejmę pracę w biurze ojca i nie będziemy czekać ze ślubem.

- Musisz być rozsądny, Pedrek. Mamy przed sobą cudowną perspektywę. Dwa lata... miną szybko, a przez ten czas będziemy żyli nadzieją na nasze przyszłe szczęście. I tak powiedzą, że jesteśmy za młodzi na małżeństwo. Dla kobiet to nie ma znaczenia... osiemnaście lat to wiek, w którym można już wstąpić w związek małżeński. Ale mężczyzna powinien być starszy. Powinniśmy kierować się rozsądkiem, Pedrek.
- Tak, obawiam się, że nic innego nam nie pozostaje.
- Zawsze trzeba postępować rozsądnie. Wstąpisz do college'u i będziesz studiował, wiedząc, że ja czekam na ciebie... marzę o dniu... i to pomoże ci pokonać zwycięsko wszystkie trudności. Potem odbędzie się szampańskie wesele w Cadór. Moi dziadkowie będą uszczęśliwieni, a ja na zawsze pozbędę się swego ojczyma.
- Nigdy go nie lubiłaś.
- Chyba obwiniam go za to, że zniszczył moje dzieciństwo. Gdyby nie wkroczył w nasze życie, moja mama żyłaby do dziś. Wciąż nie mogę uwolnić się od tej myśli.
- Uważam, że nie powinnaś obciążać go za to winą. Ale zgadzam się z tobą, że jest bardzo ambitnym człowiekiem. Pierwszą żonę poślubił przecież dla kopalni złota. Pieniądze bardzo się dla niego liczą... pieniądze i sława.
- Jemu się marzy kariera Disraelego lub Gladstone'a. Chciałby w przyszłości sięgnąć po tekę premiera.
- Przypuszczalnie mu się to uda.
- Jednocześnie tak się składa, że to mój ojczym i dziadkowie twierdzą, iż jako taki jest moim prawnym opiekunem. Nie chcę żadnego opiekuna. Tę rolę w razie potrzeby z powodzeniem mogą odgrywać moi dziadkowie.
- Pomyślmy logicznie. O ile wiem, jest twoim prawnym opiekunem do chwili ukończenia przez ciebie dwudziestu jeden lat lub ewentualnego wyjścia za mąż. Przeczuję, że nie wyrazi

zgody na nasze małżeństwo. W najlepszym wypadku będzie nalegał, byśmy zaczekali, dopóki nie uzyskasz pełnoletności.

- Sądziś, że mógłby... gdybym tego chciała, a dziadkowie również wyrazili zgodę? Jestem więcej niż pewna, że oni bardzo się ucieszą.

- Przypuszczam, że ojczym może do tego nie dopuścić.

- Za trzy lata ukończę dwadzieścia jeden lat i w świetle prawa będę już pełnoletnia.

- Kiedy skończę studia, oboje będziemy mieli po dwadzieścia lat. Wtedy się pobierzemy i nikomu o tym nie powiemy, dopóki nie będzie po fakcie.

Roześmiałam się.

- Fantastyczny pomysł!

- Ale tymczasem - ciągnął dalej Pedrek - nie wspominajmy nikomu o naszych planach... na razie. Zostawmy tę nowinę na później.

- W porządku. Będzie to nasz sekret!

Pochwycił moją rękę i uściśnął mocno. Następnie wznieśliśmy kieliszki i wypiliśmy za wspaniałą przyszłość, jaka - wierzyliśmy - rysuje się przed nami.

Był to mój pierwszy wielki bal i cieszyłam się każdą jego chwilą. Czułam się, jakby mnie ktoś na sto koni wsadził. Zareczyłam się z Pedrekiem, po kryjomu co prawda, ale dodawało to tylko pikanterii całej sprawie.

Wybiegłam myślą w przód, poza owe następne dwa lata. Miną szybko, opromienione nadzieją, że kiedy nadejdzie ich kres, zostanę żoną Pedreka. Może będziemy mieli dom na wrzosowisku. Kochałam wrzosowiska, a w dodatku nie będę wtedy daleko od Cadór. Dziadkowie Pedreka też będą blisko nas. Będziemy mieli dziesięcioro dzieci, tak kochających i oddanych jak Lucie. To był kolejny problem, który wymagał rozwiązania. Nie wszyscy kandydaci na mężów zgodziliby się zaakceptować Lucie i przyjąć ją do swego domu, ja zaś za nic się z nią nie rozłączę.

Uważałam ją za swoje własne dziecko i mój przyszły mąż musiałby ją traktować podobnie jak ja.

Pedrek od razu to zrozumiał.

Takie szczęśliwe zakończenie powinien mieć każdy romans, a mój z Pedrekiem trwał już od lat. Byliśmy sobie przeznaczeni od momentu, kiedy to po raz pierwszy ujrzeliśmy światło dnia na spalonych słońcem złotonośnych polach Australii.

Moje obecne życie było teraz jednym pasmem wesołości i rozrywek. Sezon towarzyski kwitł w całej pełni. Trwała nieustająca seria zabaw, bali i wieczorków, urządzanych dla debiutantek przez zapobiegliwe matki oraz sponsorujące je damy z towarzystwa. Fakt, że Benedykt był moim ojczymem, sprawiał, iż zaproszenia sypały się jak z rogu obfitości.

Przez następne kilka tygodni często widywałam się z Pedrekiem. Bywał na tych przyjęciach jako przystojny syn jednej z wprowadzających dam. Może nie liczył się tak wysoko w hierarchii społecznej, ponieważ nie miał arystokratycznych korzeni, ale jego dziadek był znaną postacią wśród właścicieli kopalń. Poza tym posiadał duży majątek, a pieniądze równoważyły zazwyczaj dobre urodzenie na towarzyskiej szali.

Spotykaliśmy się w parku, dokąd często wybierałam się z Morwenną. Wtedy i jej syn mógł się z nami przechadzać, nie naruszając dobrych obyczajów i nie narażając na szwank mego dobrego imienia.

Wyjazd Pedreka do college'u położył kres tej długiej idylli. Obiecał, że co tydzień będzie do mnie pisywał, i kazał mi przyrzec, iż będę robić to samo. Przysięgam, że odpowiem na każdy list. Poczulałam się samotna po jego wyjeździe, ale nie miałam czasu na nudę. Bezustannie odbywały się bale i rauty, na których często spotykałam Olivera Gersona i Jeana Pascala Bourdona. Ten ostatni, jako szczytujący się koneksjami z przebywającą na wygnaniu w Chislehurst rodziną cesarza Francji, był mile widzianą postacią na londyńskich salonach. Wspólnota interesów

natomiast, łącząca Olivera Gersona z moim ojczymem, zapewniała mu wstęp, jeśli nie na wszystkie, to przynajmniej na większość tego rodzaju imprez.

Lubiłam ich towarzystwo. Obaj byli interesujący, dowcipni i w pewnym sensie zabawni. Co więcej - obydwaj adorowali mnie otwarcie, a ja byłam zbyt próżna, by nie odczuwać z tego powodu satysfakcji.

Jean Pascal był wspaniałym partnerem do tańca. Uwielbiałam tańczyć i dzięki wysiłkom madame Perrotte, kiedy wirowałam w jego objęciach, miałam świadomość, że również tańczę bardzo dobrze. Często nawet słyszałam komplementy, że zgraną i elegancką parę tworzymy na parkiecie.

Przy okazji dowiedziałam się nieco więcej o tych dwóch mężczyznach. Jean Pascal zajął się importem win i w związku z tym - wyjaśnił - regularnie jeździł do Francji.

- Muszę robić coś konkretnego, rozumiesz - przekonywał. - Nie mogę przetańczyć całego życia.

Posądzałam go o wyrachowanie. Byłam przeświadczona, że w gruncie rzeczy jest chłodnym realistą i cynikiem. Nie tracił nadziei na przywrócenie we Francji monarchii i na stały powrót do ojczyzny. Zamieszkałby wówczas, jak dawniej, w starym zamku Bourdonów i żyłby na stopie, do jakiej przywykł pod rządami dobrych przyjaciół swej rodziny: cesarza Napoleona III i cesarzowej Eugonii.

- Czy myślisz, że twoje nadzieje ziszczą się kiedykolwiek? - zapytałam.

Wzruszył ramionami.

- Są czynione pewne kroki w tym kierunku. Problemem jest stanowisko rządu. Nie może się zdecydować. Waha się to w tę, to w tamtą stronę. Nasza tragedia zaczęła się w chwili wybuchu tej przeklętej rewolucji. Gdybyśmy wtedy utrzymali monarchię, dziś wszystko wyglądałoby inaczej.

- Ale to się zdarzyło sto lat temu!

- I od tej pory nie widać żadnej poprawy. Mieliśmy Napoleona. Znaczenie Francji zaczęło wzrastać, ale teraz... ci komunardzi... Nigdy nie tracę nadziei... i wobec tego jeżdżę do Francji. Przywożę wino. Wyrządzam Anglii wielką przysługę, bo francuskie wina są najlepsze na świecie.

- Niemcy by się z tobą nie zgodzili.

- Ach, Niemcy - strzelił z pogardą palcami.

- Oni was pokonali, nie zapominaj o tym - wytknęłam mu złośliwie.

- Okazaliśmy się głupcami. Nie wierzyliśmy w ich potęgę. Kiedy weszli, obrócili kraj w ruinę.

- W rezultacie wyrosła w Europie nowa potęga: Niemcy.

- Tragedia. Ale niewykluczone, że pewnego dnia wrócimy na scenę, by odegrać rolę, do jakiej predestynowała nas historia.

- Masz na myśli francuską arystokrację?

- I wtedy zobaczysz, co będzie!

- Jesteś związany z Anglią. Masz w niej krewnych. Twoja siostra poślubiła deputowanego do naszego parlamentu.

Skinął twierdząco głową.

- To prawda; bardzo korzystny mariaż.

- Dla twojej siostry?

- Tak, dla mojej siostry.

Zastanawiałam się, czy dostrzega smutek na twarzy Celeste. Moim zdaniem nie interesowało go to zbytnio. Siostra dobrze wyszła za mąż, ponieważ Benedykt Lansdon był bogatym człowiekiem i obiecującym politykiem, który miał wszelkie dane po temu, żeby zrobić błyskotliwą karierę.

Jean Pascal wyznał mi także, że zamierza się we Francji ożenić. Jego wybranka była

członkiem zdetronizowanej królewskiej rodziny. W chwili obecnej nie liczyła się zbytnio, ale w wypadku przywrócenia monarchii akcje Jeana Pascala przez to małżeństwo znacznie poszłyby w górę. Zwlekał ze ślubem, gdyż sytuacja była zbyt niepewna. Nie powiedział mi wprawdzie tego wyraźnie, ale ze swoich planów nie czynił tajemnicy.

Towarzystwo tego Francuza bawiło mnie. Jednocześnie jednak pewne jego cechy budziły moją nieufność i swego rodzaju obawę. Żenował mnie zwłaszcza wzrok, jakim na mnie spoglądał; na mnie oraz na niektóre inne kobiety. Dostrzegałam w nim coś niepokojącego i - byłam już na tyle dorosła, by to rozumieć - również pożądanie. Nie miałam wątpliwości, że jest bardzo zmysłowym mężczyzną. Domyśliłam się tego, kiedy sobie przypominałam, w jaki sposób obserwował co ładniejsze pokojówki. W rozmowie ze mną pozwalał sobie także na jakieś aluzje, ale udawałam, że nie wiem, o co mu chodzi. Jako dobry znawca kobiecej psychiki wiedział, że doskonale rozumiem, co ma na myśli.

Nie starał się ukrywać lekceważenia, z jakim odnosił się do mojej dziewczęcej naiwności i braku miłosnego doświadczenia. Miałam tego świadomość, ponieważ często dawał mi do zrozumienia, że gotów jest służyć mi za przewodnika po tej nie znanej mi krainie rozkoszy. Wydawało mi się, że dość wyraźnie daję mu odczuć, iż nie mam ochoty, by to on właśnie wprowadzał mnie w arkana miłosnej sztuki. Ale był tak przekonany o swej nieograniczonej mądrości, że uważał, iż wie lepiej, co dla mnie jest dobre.

Sytuacja była intrygująca i powiększała moją tęsknotę za Pedrekiem. Jego nieobecność kompensowały mi jedynie nadchodzące co tydzień listy. Mimo to czas w towarzystwie Jeana Pascala upływał mi szybko i przyjemnie.

Pozostawał jeszcze Oliver Gerson. Był wesoły, dowcipny i pełen wdzięku, ale nie wszędzie był zapraszany. Myślę, że niektóre, co bardziej wybredne arystokratyczne mamy uważały go za niezbyt godnego tego zaszczytu. Spotykałam go często, a on nie ukrywał, że lubi przebywać w

moim towarzystwie.

Zachowując w tajemnicy fakt, że jestem zaręczona z Pedrekiem, przyjmowałam zaproszenia na bale, rauty i wieczorki bez obawy, iż będę siała pietruszkę, co było zmorą Morwenny i Heleny. Cieszyłam się i weseliłam w stopniu, w jakim to było możliwe, nie mając Pedreka przy boku.

Tak mijały miesiące i stopniowo zbliżał się koniec towarzyskiego sezonu.

Benedykt z żoną postanowili udać się na jakiś czas do Manorleigh. I ja oczywiście pojechałam z nimi.

Duch w ogrodzie

Wspaniale było wrócić do Manorleigh po dłuższej nieobecności. Wspomnienia o matce nadciągnęły znowu z dawną siłą. Nie mogłam zapomnieć o zamkniętych pokojach, w których wszystko od jej śmierci pozostało nie ruszone. W domu tym panowała bardziej kameralna atmosfera, której zdecydowanie brakowało londyńskiej rezydencji.

W Londynie na przykład spacerowałam z Morwenną i Heleną po parku, robiłam z nimi zakupy oraz odwiedzałam znajomych. Bywało, że kiedy obradował parlament, nie oglądałam Benedykta całymi dniami. Celeste miała swoich przyjaciół; żony posłów często się ze sobą spotykały. Ale w Manor Grange sytuacja przedstawiała się inaczej. Tutaj wszyscy, chcąc nie chcąc, musieli obcować ze sobą i to mnie trochę deprymowało.

Dzieci ogromnie się ucieszyły z mego powrotu. Pierwsze kilka dni praktycznie się z nimi nie rozstawałam. Spędzałam głównie czas w dzieciennym pokoju, a one opowiadały mi z przejęciem o wszystkim, co zdarzyło się w Manorleigh podczas mojej nieobecności.

Poczyły duże postępy w jeździe konno. Stwierdziłam to na własne oczy, kiedy poszłam z nimi na padok. Jeździły już teraz tak dobrze, że pozwalano im wypuszczać się dalej, poza jego teren, pod opieką chłopca stajennego. Obydwie bardzo kochały swoje kucyki.

Leah wyglądała znacznie lepiej niż w Londynie. Spytałam ją, czy nadal miewa swoje dokuczliwe migreny.

- Teraz już rzadziej, dziękuję, panno Rebeko - odparła. - Mam nadzieję, że bawiła się pani dobrze w Londynie.

- O tak! - odrzekłam. - Pan Cartwright musiał niestety wyjechać. Jest w Kornwalii, gdzie studiuje inżynierię górniczą. Zobaczę się z nim, kiedy przyjedzie w odwiedziny do swych dziadków.

- Czy my również pojedziemy niedługo do Kornwalii?

- Dziadkowie marzą o tym.

- Dzieci bardzo dobrze się tam czują.

- Myślę, że i ty również chętnie byś odwiedziła rodzinny dom.

Twarz Leah miała nieprzenikniony wyraz. Kochała Kornwalię, ale ta miłość nie obejmowała jej matki. Z tego, co wiedziałam, pani Polhenny nadal pracowała jako akuszerka.

Babcia pisała, że kupiła sobie rower na drewnianych kołach i metalowych obręczach - nazywano go starym gruchotem - i jeździła na nim pod górę i w dół, do domów swoich pacjentów. Jak na kobietę w jej wieku była to duża odwaga. Podejrzywałam, że załatwiła już z Panem Bogiem, iż będzie nad nią czuwał.

Nie dziwiło mnie, że Leah, która przez tyle lat żyła w cieniu swej świętoszkowatej matki, chętnie opuściła rodzinny dom i nie paliła się wcale do tego, by znowu w nim się znaleźć.

Z chwilą przyjazdu do Manorleigh zaczął się dla nas pracowity okres. Benedykt był gościem w domu. Bezustannie objeżdżał swój rozległy okręg wyborczy i uczestniczył w różnego rodzaju zebraniach i konferencjach ze swoim elektoratem. Przyjmował wyborców również u siebie w Manorleigh w specjalnie wyznaczone dni i wysłuchiwał ich próśb i zażaleń. Audiencje odbywały się obok holu w niewielkim pokoiku, który nazywaliśmy "gabinetem lekarskim".

Wszyscy do pewnego stopnia zostaliśmy wciągnięci w jego parlamentarną działalność.

Jeżeli zdarzył się petent, a Benedykta nie było w domu, zastępowała go Celeste. Musiała wówczas uprzejmie i uważnie wysłuchać gościa, usprawiedliwić nieobecność pana domu, a po jego powrocie przedstawić mu problem, jaki zgłosił wyborca.

Pewnego razu pod nieobecność Benedykta, który wyjechał na kilka dni, do Manor Grange przyszedł jeden z farmerów. Interesowało go prawo do ścieżki, którą ludzie samowolnie wydeptali przez jego pole i zniszczyli mu zasiewy.

Celeste również nie było, a więc zabrałam petenta do “gabinetu lekarskiego” i wysłuchałam cierpliwie jego skargi.

Wychowana w Cadour, w lot się zorientowałam, w czym tkwi problem.

- Przypominam sobie, że mieliśmy podobną sprawę w Kornwalii - wyjaśniłam. - W tamtej sytuacji farmer postawił płot, zostawiając wolną ścieżkę do przejścia. Robotnicy zrobili to raz dwa i nikt już nie deptał pola.

- Myślałem już o tym, ale jest to wydatek.

- To się opłaci - zapewniłam go. - Widzi pan, istnieje prawo, zgodnie z którym nie wolno zabraniać przejścia.

- Właśnie w tym rzecz - powiedział. - Zastanawiałem się, czy pan Lansdon jest w stanie mi coś pomóc w tej sprawie.

- Prawo jest prawem i dopóki nie ulegnie zmianie, należy go przestrzegać.

- Dziękuję, że mnie pani wysłuchała. Pani jest, zdaje się, jego pasierbicą.

- Tak jest.

- O wiele lepiej rozmawia się z panią niż z tą cudzoziemką.

- Ma pan na myśli panią Lansdon?

- Ona rozumie tylko część z tego, co się do niej mówi. Z panią jest inaczej. Pani jest bardzo

rozsądna.

- To dlatego, że wychowałam się na wsi, w posiadłości moich dziadków.

- O tym właśnie mówię. Pani się zna na przedmiocie. Przyjemnie się z panią rozmawia.

Po kilku dniach Benedykt wrócił do domu. Spotkał farmera, który opowiedział mu o swej wizycie w Manor Grange i o rozmowie ze mną. Nie miał przy tym podobno dość słów uznania dla bystrości i inteligencji jego pasierbicy.

Nadal, ilekroć to było możliwe, starałam się unikać Benedykta. Stosunki między nami pozostawały niezmiennie chłodne i powściągliwe; czułam się przy nim skrepowana. Belinda w obecności ojca również była onieśmielona. Moim zdaniem to on był za to odpowiedzialny. Nie mógł na nią patrzeć. Rzecz dziwna: o wiele lepiej znosił towarzystwo Lucie, z którą nic go nie wiązało. Lucie była ładna i grzeczna i nie rozdzierała nie zagojonej rany spowodowanej śmiercią mojej mamy. Belinda natomiast pozostała mu jako namiastka Angelet i tego nie mógł jej wybaczyć. To nie było w porządku. Belinda była niewątpliwie trudnym dzieckiem i stwarzała wiele problemów wychowawczych, ale akurat w tym wypadku nie ponosiła żadnej winy.

- Dowiedziałem się, że urzędowałaś ostatnio w “gabinecie lekarskim” - zaczepił mnie.

- Nikogo innego nie było.

- Nie powinni przychodzić, kiedy mnie nie ma. Na takie wizyty wyznaczyłem specjalny dzień.

- Farmer widocznie o tym zapomniał.

- Sprawiałaś na nim duże wrażenie.

- Problem dotyczył prawa do przejścia... podobny przypadek mieliśmy swego czasu w Kornwalii.

- Powiedział, że przyjemnie jest rozmawiać z kimś, kto zna się na takich sprawach.

- Bardzo mi to pochlebia.

- Dziękuję ci, Rebeko.

- Przypadek zdarzył, że akurat byłam w domu, a ponieważ ty i Celeste byliście nieobecni, więc was zastąpiłam - odparłam.

Niechęć do niego wciąż we mnie tkwiła. Nie chciałam, by pomyślał sobie, że podjęłam się tego zadania powodowana chęcią oddania mu przysługi.

Odeszłam pośpiesznie. Miałam nadzieję, że farmer był taktowny i nie wspomniał mu o tym, iż woli rozmawiać ze mną niż z Celeste.

Zaczynałam coraz bardziej współczuć Celeste. Ich małżeństwo było jedną wielką pomyłką.

Wiedziałam również, że ojczym ponosi za to winę.

Niewiele się tym przejmował. Mógł pochwalić się żoną, a jego stanowisko wymagało, aby miał rodzinę. Celeste świetnie odgrywała swoją rolę. Była doskonałą panią domu, a przy tym ładną i tak wytworną, że sam jej wygląd wystarczył, by zaspokoić jego próżność. Tego właśnie potrzebował. Czy kiedykolwiek przemknęło mu przez myśl, że nie zadowala jej rola, którą jej wyznaczył: marionetki, służącej do realizacji jego ambitnych celów? Czy nie pomyślał, że jej zależy przede wszystkim na tym, by mieć kochającego męża? Znałam już życie na tyle, by wiedzieć, że jest spragniona miłości. Byłam przekonana, że ma naturę namiętą i zmysłową, która wymaga miłosnego zaspokojenia. Było okrucieństwem z jego strony wziąć ją za żonę, jeżeli nie zamierzał zbliżyć się do niej, ponieważ wciąż opłakiwał jej poprzedniczkę.

W tym domu nie działało się dobrze; był naznaczony piętnem tragedii. Ale może tak mi się tylko wydawało, może zanadto puściłam wodze fantazji? Mogło tak być, ponieważ wiedziałam, jak głębokie uczucie łączyło jego i moją matkę. Była to miłość tak wielka, że nawet śmierć nie zdołała zerwać łączącej ich więzi. Co się stało w tym cichym pokoju za zamkniętymi drzwiami? Jej szczotki leżały na toalecie, jej suknie wisiały w szafie. Czy to możliwe, żeby ona tam do niego przychodziła? Raz i mnie się przywidziało, że do mnie przyszła. Gdy dwoje ludzi łączy podobnie

wielką miłość, wtedy być może pierwsza osoba, która odchodzi z tego świata, zostawia jakąś cząstkę siebie w tej, która zostaje na ziemi; wówczas takiego związku nawet śmierć nie jest w stanie rozerwać.

Ale biedna Celeste była osobą z krwi i kości. Ciepła, zmysłowa, pożądana... niechciana, sprowadzona tu tylko po to, aby usatysfakcjonować wyborców, którym mąż zawdzięczał fotel w parlamencie. Na tym właśnie polegało zło przenikające mury tego domu. Bardziej widoczne niż w Londynie, ponieważ wydawało się, że w tym pomieszczeniu za zamkniętymi drzwiami pokutuje duch mojej mamy.

Pewnego dnia, będąc w swoim pokoju, zastanawiałam się, czy nie przejechać się konno.

Zanim się jednak przebrałam w odpowiedni strój, usiadłam na chwilę przy oknie i spojrzałam na ławeczkę pod dębem w ogrodzie, gdzie zmarła lady Flamstead rzekomo ukazywała się swej nieznannej córce.

W pewnej chwili ktoś delikatnie zapukał do drzwi. Odwróciłam się szybko. Byłam w takim nastroju, że nie zdziwiłabym się wcale, gdybym w drzwiach ujrzała ducha mamy.

Drzwi otworzyły się z wolna i do pokoju weszła Celeste.

- Miałam nadzieję, że cię tutaj zastanę, Rebeko - powiedziała. - Wychodzisz?

- Tak, ale to nie ma znaczenia. Zamierzałam wybrać się na przejażdżkę konno.

- Chodzi o panią Carston_ \$browne. Ona mnie przeraża. Jest w tej chwili w saloniku. Mówi tak szybko i niewyraźnie, że zupełnie nie jestem w stanie jej zrozumieć.

- Ach, to ta dama, co tak ofiarnie działa na charytatywnej niwie. Czego ona chce?

- Mówi coś o festynie na cele dobroczynne... zdaje się, że chodzi jej o widowisko.

Wspomniałam jej, że chyba jesteś w tej chwili w domu i te sprawy bardzo cię interesują.

- Celeste!

- Wybacz mi... jestem w rozpaczy.

- Dobrze, zejść na dół, do salonu - przyrzekłam.

Pani Carston_ \$browne, duża, dobrotliwa i łagodna kobieta przywitała mnie z westchnieniem ulgi. Już po raz drugi w tym tygodniu przekonałam się, że pasierbica pośła jest osobą chętniej widzianą niż jego żona.

- Och, panno Mandeville... dzień dobry. Jak to dobrze, że panią zastałam.

- Dzień dobry, pani Carston_ \$browne. Miło, że raczyła nas pani odwiedzić. Obawiam się, że pana Lansdona nie ma w domu.

- Szczerze mówiąc, nie o niego mi chodzi. Wyobrażam sobie, że jest bardzo zajęty, a ponadto nie jest to męska sprawa, tylko nas, kobiet... żywe obrazy, rozumie pani.

- Ale ja dopiero przyjechałam.

- Tak, wiem. Rozumiem, że ważne jest reprezentowanie naszego okręgu w Westminsterze i nie oczekujemy, by nasz poseł stale tutaj przebywał. Ale tu chodzi o imprezę, którą zaplanowaliśmy już jakiś czas temu. Odbywa się ona co roku i pomyślałam, że warto by było wciągnąć panią do współpracy. Zamierzamy przedstawić epizody z okresu młodości naszej królowej. Mija właśnie czterdziesta rocznica jej wstąpienia na tron. Doszliśmy do wniosku, że dobrze będzie z tej okazji przedstawić scenę jej koronacji. Tableau vivant - żywy obraz - rozumie pani. Niektóre osoby wypadają znacznie lepiej w niemych scenach. Zbieramy ubiory... wszystko, co można przerobić na kostiumy z epoki.

- Rozumiem - odparłam. - Nie bardzo się orientuję, czy mamy jakieś stroje. Spróbuję coś znaleźć.

- Pragniemy również zaangażować do tego dziewczynki. Widownia zazwyczaj wspaniale reaguje na dzieci. Mają tyle naturalnego wdzięku. Córeczka pana pośła koniecznie musi wziąć w tym udział... a i ta druga, zaadoptowana dziewczynka również.

- Ma pani na myśli wystąpienie w obrazie?

- Oczywiście. Zamierzamy najpierw pokazać scenę, w której oznajmiają Wiktorii, że została królową... W tym celu budzą ją ze snu wczesnym rankiem. W następnych obrazach przedstawimy jej koronację i ślub. Zorganizowanie tego widowiska będzie wymagało wiele pracy i zachodu, ale mamy nadzieję, że uzyskamy spory dochód. Dziewczynki mogą na przykład wystąpić w scenie zaślubin jako służki królowej.

- Jestem przekonana, że bardzo im się to spodoba.

- Zazwyczaj tego rodzaju przedstawienia cieszą się dużym powodzeniem. Dochód przeznaczamy na kościół. Wielką troską wielebnego Whyte'a w tej chwili jest stan dachu. Twierdzi, że lepiej naprawić go teraz, ponieważ za jakiś czas będzie nas kosztować znacznie drożej.

- Jak się udała ostatnia loteria?

- Doskonale.

- Jestem pewna, że pani Lansdon jest bardzo przykro, iż nie mogła paniom w niej pomóc.

Musiała niestety wyjechać.

Pani Carston_ \$browne podziękowała Celeste chłodnym skinieniem głowy.

- To było nec~esaire dla mnie być w tym czasie w Londynie - tłumaczyła się Celeste. - Czy pani wie, że Rebeka została przedstawiona królowej i zadebiutowała w towarzystwie?

- Tak, czytujemy prasę.

- Czy pisano o tym? - zapytałam.

- Tak, zamieszczono notatkę w miejscowej gazecie. Jako o pasierbicy naszego posła...

- Rozumiem.

- Mam nadzieję, panno Mandeville, że wymyśli pani odpowiednie stroje dla dzieci.

- Pani Lansdon się tym zajmie. I pomoże w doborze odpowiednich kostiumów. Ona się zna doskonale na takich rzeczach.

- Doprawdy? - W głosie pani Carston_ \$browne zabrzmiało lekkie niedowierzenie.

- Tak jest. Pani Lansdon ma doskonały gust i nikt lepiej od niej nie wie, co jest odpowiednie na jaką okazję.

- Taka pomoc z pewnością bardzo nam się przyda.

- Czy mogę panie oczekiwać jutro rano o dziesiątej trzydzieści w Firs? Musimy omówić sprawy organizacyjne.

Spojrzałam na Celeste, która wyglądała jak spłoszony ptak.

- Wydaje mi się, że to odpowiednia pora - zgodziłam się.

Pani Carston_Browne podniosła się z krzesła. Pióra u jej kapelusza zatrzepotały. Wsparta na parasolu przyglądała się nam przez chwilę: mnie z widocznym uznaniem, Celeste - z dość podejrzliwą miną.

Odprowadziłam ją do powozu, który już czekał na nią przed frontowymi drzwiami.

- Bardzo się cieszę, że panią zastałam w domu, panno Mandeville - oświadczyła, żegnając się ze mną.

Stałam jeszcze przez chwilę na progu, słuchając chrzęstu końskich kopyt na żwirowej alei.

Myślałam: Co się ze mną dzieje? Wciągają mnie w działalność na jego korzyść. Przy najbliższej okazji wyjadę do Kornwalii. Nie życzyłam sobie żadnej zmiany w naszych stosunkach.

Wspomnienie śmierci mamy nadal odzywało się we mnie gorzkim i bolesnym echem. Z drugiej strony żal mi było Celeste. Starła się zastąpić mu moją matkę, ale jej wysiłki z góry skazane były na niepowodzenie.

Zbliżyła się i wzięła mnie pod rękę.

- Dziękuję ci, Rebeko - powiedziała z wdzięcznością.

Jej słowa sprawiły, że poczułam się trochę lepiej.

Przygotowanie widowiska trwało dwa tygodnie. Impreza miała się odbyć pierwszego

września. Lucie cieszyła się niezmiernie, że weźmie w niej udział. Belinda była również przejęta,

ale próbowała udawać, że niewiele ją to interesuje.

Celeste zrobiła przegląd swoich materiałów i zaprojektowała stosowne kreacje. Leah je uszyła i w ten sposób małe służki monarchini otrzymały dwie wdzięczne sukieneczki.

Celeste świetnie nadawałaby się do roli królowej. Miała zbliżone do niej warunki fizyczne.

Była niskiego wzrostu, tylko może nieco za szczupła i zbyt elegancka jak na pulchną, przysadzistą Wiktorię. Ponadto widzowie z pewnością nie byliby zadowoleni, gdyby cudzoziemka przedstawiała w widowisku ich królową.

Benedykt otrzymał zadanie oficjalnego otwarcia imprezy. Poszczególne sceny oddzielały półgodzinne przerwy, tak by był czas na przygotowanie następnego obrazu. Przy okazji zorganizowano również kiermasz: ustawiono stragany, na których sprzedawano przeróżne wyroby, ciasta, domowy dżem, wiejskie smakołyki oraz kwiaty. Towarzyszyły temu tradycyjne ludowe rozrywki, między innymi na przykład studnie życzeń z wędkami. Szczęściarz, któremu udało się złapać na wędkę sztuczną rybę, otrzymywał nagrodę. W zasadzie był to typowy jarmark, dodatkowo urozmaicony w tym roku żywymi obrazami.

Obie z Celeste przebywałyśmy głównie za kulisami, pomagając aranżować poszczególne obrazy. Belinda, niesłuchanie podekscytowana, nie mogła ustać w miejscu. Lucie również była bardzo przejęta. Miały identyczne stroje: satynowe sukieneczki ozdobione koronką, a na głowie wianeczki z bladofiołkowych anemonów; wyglądały prześlicznie.

Pierwsza scena ogromnie się podobała. Przedstawiała królową w porannym stroju, przyjmującą w swym prywatnym apartamencie arcybiskupa Canterbury i lorda Chamberlaina.

Dygnitarze oznajmiają jej, że właśnie została królową. Był to rzeczywiście niezwykle widowiskowy obrazek: lord Chamberlain całuje rękę Wiktorii, a stojący obok arcybiskup pochyla się, by uczynić to samo. Scena koronacji wypadła jeszcze efektowniej. Najgoręcej jednak oklaskiwano obrazek przedstawiający ślub: królową i jej małżonka otaczają służki, a pośród nich

Belinda i Lucie, które ze względu na stanowisko Benedykta uplasowano szczególnie korzystnie.

Rozległy się gromkie oklaski. Kurtyna opadła i niemy obraz ożył. Aktorzy wystąpili naprzód, z wdziękiem kłaniając się publiczności.

Oczy Belindy płonęły. Wiedziałam, ile ją kosztowało trwanie w nieruchomej pozycji.

Wydawało się, że nie wytrzyma i lada chwila podskoczy do góry.

Uśmiechała się, kłaniała i machała ręką do oczarowanej jej wdziękiem publiczności.

Przez cały wieczór nie mówiła o niczym innym, tylko o swoim występie. Wszyscy

wybuchnęliśmy śmiechem, kiedy wyznała:

- Lękałam się, że wrogowie [“wrogowie” (enemy) wymawia się jak “anemony”] spadną mi z głowy. Niewiele brakowało, a Lucie by spadły naprawdę.

- To są anemony, a nie wrogowie - sprostowała Lucie.

Belinda nigdy nie miała zwyczaju przyznawać się do błędu.

- Ja miałam na głowie wianek z wrogów - oświadczyła stanowczo.

Oczy dziewczynek błyszczały z przejęcia jak gwiazdy, kiedy wieczorem mówiłam im dobranoc.

- Na scenie występują aktorki - powiedziała Belinda. - Kiedy dorosnę, zostanę aktorką.

Marzenie Belindy, by zostać aktorką, trwało kilka tygodni. Szczególnie lubiła się przebierać. Pewnego razu zastałam ją w mej sypialni, kiedy przymierzała kapelusz i żakiet.

Rozśmieszyła mnie ta maskarada. Belinda koniecznie chciała zejść do kuchni w tym przebraniu i pokazać się służbie. Pozwoliłam jej na to.

- Jestem panna Rebeka Mandeville - oznajmiła wyniośle, tonem, którego nigdy nie ośmielałabym się używać w stosunku do kogokolwiek. - Jestem świeżo upieczoną debiutantką.

Ubawiła wszystkich niesłychanie.

Pani Emery, królująca za stołem - była to właśnie pora herbaty - orzekła, że Belinda jest

urodzoną aktorką. Pokojówka Jane zaczęła klaskać w ręce, a pozostali poszli za jej przykładem.

Belinda stała pośrodku, kłaniając się i posyłając im ręką całusy. Następnie wybiegła z kuchni.

- To prawdziwa mała dama - stwierdziła pani Emery. - Trzeba jednak mieć na nią oko, bo gotowa zrobić jakiś kawał... i pociągnąć za sobą Lucie.

Leah, która obserwowała tę małą scenkę, z trudem ukrywała dumę, w jaką wbiły ją występy podopiecznej. Od dawna domyślałam się, że Belinda jest jej ulubienicą. Wyraźnie imponowała jej nieprzeciętna inteligencja dziewczynki, wyróżniająca ją spośród otoczenia. Do tego dochodził fakt, że Belinda była córką pana domu, podczas kiedy Lucie przygarniętą sierotą, którą ja w dość osobliwy sposób zaadoptowałam za zgodą mych tolerancyjnych dziadków.

Podejrzewałam, że Lucie też zdaje sobie z tego sprawę. Muszę się starać, by utwierdzić ją w przekonaniu, że jest dla mnie równie ważna jak moja przyrodnia siostra, Belinda.

Sukces odniesiony w kuchni, gdzie z takim powodzeniem mnie naśladowała, natchnął

Belindę kolejnym pomysłem. Oznajmiła nam, że ona i Lucie zamierzają przedstawić tableau, przy czym będzie to obraz nie tylko żywy, ale i mówiony. Nakazała, by wszyscy udali się do kuchni i tam na nie czekali.

Bardzo byłam później zadowolona, że nie było z nami Celeste. Pojechała odwiedzić żonę administratora. Takie wizyty należały do obowiązków, które spełniała sumiennie, acz bez specjalnego entuzjazmu.

Tym razem jednak wyszło to na dobre.

Służba zanosila się od śmiechu, kiedy sadowiliśmy się w krzesłach. Pani Emery w szeleszczącej halce i falbaniastej spódnicy, z rękami skrzyżowanymi na kolanach zajęła miejsce obok mnie. Leah i panna Stringer zasiadły z drugiej strony.

Zadrżałam z niepokoju, kiedy poprzebierane dziewczynki wbiegły do kuchni. Belinda miała na głowie cylinder i surdut, najwyraźniej wyciągnięte z szafy Benedykta. Wyglądała w tym stroju

groteskowo. Zastanawiałam się, jak się ta zabawa rozwinie i czy nie należałoby już teraz położyć kres tej niestosownej maskaradzie, rozgrywającej się na oczach całej służby.

Lucie natomiast, z włosami upiętymi wysoko na głowie, zupełnie nie przypominała siebie.

Przebrała się w elegancką suknię Celeste, która wlokła się za nią po podłodze i wisiała na jej małej figurce jak worek.

Zapanowało milczenie.

- Jestem posłem do parlamentu - zaczęła przemówienie Belinda. - I musicie robić, co wam każę... Mam wielki dom w Londynie, na który nie byłoby stać nikogo z was. Mam tam świetną służbę... i przyjmuję ważnych gości. Odwiedza mnie premier i czasami królowa... jeśli ją zaproszę.

- Lucie wystąpiła naprzód. - Odejdź! - rozkazała jej Belinda. - Nie chcę cię. Nic do ciebie nie czuję. Lubię matkę Belindy. Spotykam się z nią w zamkniętym pokoju. Dlatego cię nie chcę.

Panna Stringer z wrażenia aż uniosła się w krześle. Leah zrobiła się blada jak papier. Pani Emery wpatrywała się w Belindę z otwartymi ustami. Usłyszałam też, jak Jane robi półgłosem jakieś uwagi.

Przerażenie ogarnęło mnie na myśl, co ona dalej powie.

Wstałam i podeszłam do Belindy.

- Zdejmij natychmiast z siebie te rzeczy - rozkazałam. - Macie położyć ubrania z powrotem tam, skąd je wzięłyście. Nie wolno wam nigdy, ale to nigdy zabierać ubrań z cudzych szaf. Macie dość różnych strojów do przebierania. Możecie się przebierać do woli, ale tylko w swoje rzeczy.

Belinda spoglądała na mnie wyzywająco.

- To było dobre przedstawienie! - wykrzyknęła z płaczem. - Prawdziwa historia, taka jak ślub królowej.

- To nie była prawdziwa historia - odparłam ostro - tylko niemądry żart. A teraz natychmiast zdejmij ubranie. Leah...

Leah rzuciła się naprzód. Panna Stringer uczyniła to samo. Pierwsza ujęła za rękę Belindę, druga Lucie i opuściły kuchnię.

Zapanowała cisza. Odwróciłam się i podążyłam w ślad za nimi.

Postanowiłam porozmawiać z panią Emery na gruncie prywatnym, w jej saloniku.

- Taka jest właśnie cała panna Belinda - stwierdziła pani Emery. - Nikt nie może przewidzieć, co jej wpadnie do głowy. Trzeba jej pilnować. Wszędzie wtyka swój nos.

- Skąd ona wie o tym pokoju?

- A skąd one wszystko wiedzą? Dzieci mają długie uszy, a panna Belinda ma szczególnie wyostrzony słuch. Wszystko ją interesuje. A co to jest to? A co tamto? Poza tym rozmawia z pokojówkami. Nie jestem w stanie zapobiec plotkom. W mojej obecności nie ośmielają się plotkować, ale niech się tylko odwrócę na chwilę, zaraz zaczynają mleć ozorami.

- Co za szczęście, że pani Lansdon nie była przy tym obecna.

- To prawda. Byłaby to bardzo nieprzyjemna sytuacja.

- Pani Emery, jak pani myśli, od kogo Belinda mogła się o tym dowiedzieć?

Pani Emery potrząsnęła głową.

- Służba zawsze doskonale się orientuje, co się dzieje w domu. Nie sposób coś przed nią ukryć. Nawet drobne szczegóły nie uchodzą ich uwagi... Wiemy, jaki był stosunek pana do pani mamusi, a jaki jest teraz do obecnej francuskiej żony. On ubóstwiał pani matkę. Tworzyli jedność... obydwój. Cały dom o tym wiedział, a kiedy ona odeszła, pan się załamał. I wtedy kazał zamknąć ten pokój.

- Nie podoba mi się to, pani Emery.

- Nie tylko pani, panno Rebeko. Nie da się zapobiec rozmowom na ten temat. Już się słyszy, że jej duch przebywa w tym pokoju. Pan zabronił wchodzić tam komukolwiek, poza mną. Jeżeli mam być szczerą, to nie byłabym w stanie namówić nikogo, by przekroczył jego próg... a już w

pojedynkę w żadnym razie. Wydaje mi się, że gdyby otworzyć pokój, wynieść meble i zmienić go trochę... to znacznie poprawiłoby atmosferę. On sobie zrobił z tego pokoju coś w rodzaju świątyni. A ludzie, jak to ludzie, zaczynają sobie wyobrażać Bóg wie co, kiedy w domu dzieją się takie rzeczy.

- Ma pani rację, pani Emery. A jaka jest na to rada?

- To wszystko zależy od pana. Gdyby chociaż próbował o niej zapomnieć, starał się być prawdziwym mężem dla obecnej pani Lansdon... rozumie pani, o co mi chodzi.

- Doskonale rozumiem, co pani ma na myśli.

- Gdyby ktoś zechciał mu powiedzieć...

Spojrzała na mnie i wzruszyła ramionami.

- Moim zdaniem, pani jest jedyną osobą, która by się mogła tego podjąć. Ale zdaję sobie sprawę, jakie są wasze wzajemne stosunki. Nie ma między wami takiej miłości, jaka powinna być między ojcem a córką.

Pomyślałam, że nic się nie ukryje przed naszą służbą. Oni dobrze wiedzą, co w trawie piszczy. Orientują się, że Celeste jest bez pamięci zakochana w swoim mężu, który odtrąca jej miłość, ponieważ wciąż nie może zapomnieć swej poprzedniej żony. Wiedzą, że z jej pokoju zrobił sanktuarium, w którym spędza noce i do którego obecna pani Lansdon nie ma dostępu.

- Zobaczymy, co czas przyniesie - stwierdziłam filozoficznie. - Może w przyszłości przy jakiejś nadarzającej się okazji uda mi się poruszyć ten temat.

Skinęła głową twierdząco.

- Zamknięty pokój utrwała niezdrową atmosferę domu. Zawsze takie było moje zdanie i tak będę twierdzić nadal. Nie podoba mi się to, panno Rebeko, naprawdę mi się nie podoba.

Zgodziłam się z nią. Mnie się również nie podobało.

Belinda po tym wydarzeniu straciła humor. Prawie się do mnie nie odzywała, a panna

Stringer żaliła się, że zrobiła się jeszcze bardziej krnąbrna i nieposłuszna.

Lucie również była zawstydzona. Jako wrażliwa dziewczynka gnębiła się myślą, że sprawiła mi przykrość.

Starałam się jej to wytłumaczyć.

- Nie gniewam się na ciebie - wyjaśniałam. - Chcę tylko, byś zrozumiała, że brzydki jest przedrzeźniać ludzi. Nie ma nic zdrożnego w tym, by grać królową czy arcybiskupa Canterbury i lorda Chamberlaina; są od nas daleko i minęło już wiele lat od tego historycznego wydarzenia, kiedy rankiem oznajmili młodej Wiktorii, że została królową Anglii. Podobnie oddaliła się w czasie jej koronacja i ślub. Co innego natomiast jest złośliwe przedrzeźnianie osób z najbliższego otoczenia. Wyrządza się im przez to wielką przykrość... i tu już żarty się kończą.

Moje uwagi trafiły Lucie do przekonania. Okazała głęboką skruchę.

Minęło kilka dni, zanim główna winowajczyni odzyskała swoją dawną buńczuczność. W rozmowie z panną Stringer wyraziłam nadzieję, że Belinda zaniechała wreszcie swych maskaradowych pomysłów.

- To była przemijająca fantazja - odparła panna Stringer - zrodzona pod wpływem pomysłu pani Carston_ \$browne i jej żywych obrazów.

Zgodziłam się z jej opinią.

Pewnego dnia przyłączyłam się do dzieci, które bawiły się w ogrodzie pod okiem Leah.

Wkrótce nadbiegła zadyszana służąca.

- Panno Rebeko, ten nowy pomocnik ogrodnika ścina dąb.

- To niemożliwe! - wykrzyknęłam. - To za duże drzewo, by go można było zwalić za jednym zamachem.

Przeszłam przez trawnik do miejsca przy sadzawce, na które z okna tak często spoglądałam.

Chłopiec jedynie przycinał gałęzie.

- Kto ci to kazał robić? - zapytałam.

- Nikt, panienko. Pomyślałem, że warto by trochę przeświecić drzewo. Ma takie gęste konary.

- Nie wolno dotykać tego dębu!

Służąca, która przebiegła z wiadomością, wyjaśniła:

- Duchy tego nie lubią.

Chłopak gapił się na drzewo z otwartymi ustami.

- Z tym dębem związana jest stara legenda - wytłumaczyłam mu. - Niech sobie spokojnie rośnie. Oczywiście, jeżeli pan Camps uważa, że drzewo wymaga takich pielęgnacyjnych zabiegów, niech nas przedtem o tym uprzedzi. Ale na razie proszę drzewo zostawić w spokoju.

- Za nic na świecie nie odważyłabym się tknąć tego dębu - wyznała służąca. - Co za szczęście, panno Rebeko, że udało mi się temu zapobiec. Inaczej, Bóg wie, jakie byłyby skutki tego czynu.

- Czy dąb jest zaczarowany? - zapytała Lucie.

- Wiąże się z nim pewna historia.

- Jaka historia? - dopytywała się Belinda.

- Opowiadano mi ją kiedyś, ale zapomniałam.

- Duchy nie lubią, gdy się o nich zapomina - zauważyła Belinda. - Wstają z grobu i straszą ludzi, żeby im o sobie przypomnieć.

- To nie było nic ważnego - rzekłam i aby odwrócić ich uwagę, zaproponowałam: -

Dziewczynki, czy macie ochotę na małą przejażdżkę konno?

Nadszedł listopad - mglisty, jesienny. Dzień tak się skurczył, że zaraz po czwartej robiło się ciemno.

Od momentu, w którym chłopiec ogrodnika zrobił zamach na stary dąb, wydawało się,

jakby miejscowe duchy stały się aktywniejsze. Jedna ze służących przysięgała, że widziała cień w oknie zamkniętego pokoju. Przybiegła do domu z przeraźliwym krzykiem. Niektóre dziewczyny za żadne skarby nie wyszłyby do ogrodu po zmierzchu, a już z całą pewnością nie w okolice starego dębu.

Mnie również w pewnym stopniu udzielił się ten nastrój. Często w nocy podchodziłam do okna i spoglądałam w kierunku drzewa z mimowolną nadzieją, że ujrzę tam lady Flamstead lub jej córkę... a może nawet - a dużo bym za to dała - moją matkę.

Przypomniało mi się, co pani Emery mówiła o zamkniętym pokoju. Trudno jest zapobiec tego rodzaju psychozie szerzącej się wśród młodych służących, jeżeli mieszka się w domu takim jak ten. Przepaja go atmosfera nieszczęścia wytworzona przez męża, który nie kocha świeżo poślubionej młodej żony, tylko wciąż oplakuje zmarłą poprzedniczkę. Rozumiałam jego obsesję, ponieważ ja również byłam w jej szponach. Tak jak on nie mogłam zapomnieć mamy. A mimo to nie przestawałam obwinać Benedykta. Być może dlatego, że mieszkałam w domu, w którym cienie przeszłości przenikały czas teraźniejszy, i że oboje jednakowo buntowaliśmy się przeciwko rzeczywistości, wciąż cofając się myślą do dni, kiedy ona była wśród nas.

Zastanawiałam się, czy powinnam porozmawiać z ojczymem o zamkniętych drzwiach. Ale jak to zrobić? Z pewnością nie zechce mnie wysłuchać. Znajduje w tym pokoju ulgę, obcuje tam z cieniem zmarłej. Mnie też się kiedyś przywidziało, że mama do mnie przyszła. Z pewnością jej duch przychodził do niego i starał się go pocieszyć, jeżeli coś takiego było możliwe.

Celeste w rozmowie ze mną poruszyła kiedyś drażliwy temat. Powiedziała, że służba jest przekonana, iż dom nawiedzają duchy.

- Przypuszczam, że w takim starym domu jak ten - zauważyłam - który był świadkiem narodzin i śmierci wielu pokoleń, łatwo jest o przekonanie, że w jego murach żyje jakaś cząstka tych istnień.

- A jaka to historia łączy się z dębem?

- Dotyczy ona kobiety, która tu mieszkała przed wielu laty. Miała dużo starszego od siebie męża, który ją ubóstwiał. Niestety chciało, że zmarła, wydając dziecko na świat. Była to dziewczynka. Podobno - jak twierdzi miejscowa ludność - przychodziła po śmierci do dziecka, którego nie dane jej było ujrzeć za życia. Miała się ukazywać swej córeczce pod tym właśnie starym dębem.

- Czy to był łagodny duch?

- Tak, bardzo łagodny.

- A co się stało z jej córką?

- Umarła. Wszyscy, których dotyczy ta historia, już dawno nie żyją. Musieli umrzeć, zanim stali się duchami.

- I ona zmarła przy porodzie? Tak jak...

- Tak - odparłam - ale takie wypadki wcale nie należą do rzadkości.

Przytaknęła.

- Rozumiem. Tylko dlaczego duch lady Flamstead zaczął straszyć właśnie teraz?

- Ponieważ ostatnie wydarzenia przypomniały ludziom o niej. Służba jest przekonana, że pomocnik ogrodnika, przycinając gałęzie dębu, zakłócił spokój duchów. Uważają, że one w ten sposób przestrzegają śmiałków, by nie wazyli się tykać ich sanktuarium.

- Ach, więc to tak!

- Rozmowy o duchach dodają ich życiu pikanterii. Zdaniem mojej babci, ludzie, których egzystencja jest mało urozmaicona, starają się ją ubarwić tworamii własnej wyobraźni. Historie o duchach dostarczają im właśnie takiej małej rozrywki.

- Rozumiem. Szczęk łańcuchów zostanie nam zatem oszczędzony.

- Jeżeli chodzi o lady Flamstead i jej córkę, nie ma mowy o żadnych łańcuchach. Nigdy ich

nie miały... ich życie było przyjemne i mało skomplikowane.

W kilka dni po tej rozmowie Celeste zemdlła w ogrodzie. Stało się to na szczęście w obecności Lucie, która znajdowała się w pobliżu. Natychmiast pobiegła do domu z wiadomością. Byłam właśnie w holu i pierwsza się o tym dowiedziałam.

- Ciocia Celeste - oznajmiła Lucie zdyszczanym głosem. - Upadła na ziemię i leży.

- Gdzie?

- Koło sadzawki.

- Biegnij, zawołaj panią Emery lub kogokolwiek innego - poleciłam jej i pośpieszyłam do ogrodu.

Celeste, zemdlona, leżała na ziemi blada jak płótno. Uklękałam przy niej.

Uniosłam ją do pozycji siedzącej i przytrzymałam głowę. Z ulgą spostrzegłam, że jej twarz powoli zaczyna nabierać zdrowszego wyglądu. Rozejrzała się bojaźliwie.

- Wszystko w porządku, Celeste - odezwałam się uspokajająco. - Zdaje się, że na chwilę straciłaś przytomność. Może zimno tak na ciebie podziało.

Drżała na całym ciele.

- Widziałam ją - wyszeptła. - To prawda... ona tam była... pod tym drzewem.

Wstrząsnęłam się. Co jej chodzi po głowie? Czy już Celeste zaczyna widzieć duchy?

- Zaniemiemy cię do domu - oświadczyłam.

- Ona tam była - upierała się Celeste - widziałam ją wyraźnie.

Nadeszła pani Emery.

- Och, pani Emery - powiedziałam. - Pani Lansdon zemdlła. Myślę, że powodem była nagła różnica temperatur. Wyszła z ciepłego pokoju do ogrodu na zimne powietrze i zrobiło jej się niedobrze. - Gorączkowo szukałam jakiegoś racjonalnego wytłumaczenia nagłego zasłabnięcia Celeste. Nie podobało mi się mówienie o duchach.

- Wnieśmy ją do domu, szybko! - rzeczowo poleciła pani Emery.

- Zanieśmy ją do jej pokoju - dodałam. - Sądzę, że kieliszek koniaku dobrze zrobi pani Lansdon.

Podniosła się już na nogi, ale dreszcze nadal wstrząsały jej ciałem. Odwróciła głowę i spojrzała przez ramię na ławeczkę pod dębem.

- Dygoczesz jak w febrze - stwierdziłam. - Chodź! Idziemy do domu.

Zaprowadziłyśmy Celeste do sypialni.

- Trzeba panią położyć do łóżka! - poleciła pani Emery. - Pójdę i każę przynieść koniak.

Przyślę też jedną z dziewcząt, by zajęła się ogniem na kominku. Prawie już wygasł.

Celeste leżała na łóżku. Ujęła moją rękę i uścisnęła ją mocno.

- Nie odchodź - poprosiła.

- Nie bój się. Nie odejdę. Zostanę tutaj. Nie rozmawiaj teraz, Celeste. Zaczekaj, aż przyniosą ci koniak. Zobaczysz, że od razu poczujesz się lepiej.

Wyciągnęła się na pościeli. Nadal miała dreszcze.

Nadeszła pani Emery z Ann.

- Popraw ogień na kominku, Ann! - rozkazała. - Pani Lansdon trochę źle się czuje. A oto i brandy, panno Rebeko.

- Dziękuję, pani Emery.

- Czy mam nalać, panienko?

- Tak, proszę.

Nalała kieliszek napoju i dała mi do rąk. Celeste uniosła się na poduszkach i wypiała alkohol małymi łykami. Ogień na kominku buzował już jasnym płomieniem.

- Myślę, że pani Lansdon potrzebny jest teraz spokój - zasugerowałam.

Celeste spojrzała na mnie z prośbą w oczach. Zrozumiałam, że chce, abym została przy niej.

Skinęłam głową uspokajająco. Pani Emery i Ann wyszły cichutko, zamykając za sobą drzwi.

- Rebeko - zwróciła się do mnie. - Widziałam ją. Ona tam była... patrzyła na mnie. Mówiła mi, że to jest jej dom i że nie ma tu dla mnie miejsca.

- Czy to znaczy... że... duch przemówił do ciebie?

- Nie, nie... nie było żadnych słów... ale taki był tego sens.

- Celeste, tam nie było nikogo. Tobie się to przywidziało.

- Ale widziałam przecież na własne oczy... ona tam była.

- Ona?

- Wyszła z zamkniętego pokoju. Przyszła w to miejsce, w którym pojawiają się duchy.

- Celeste, to wszystko nie ma sensu. Tam nikogo nie było. Lucie była niedaleko.

Zauważyła, jak upadasz. Nie wspominała, żeby widziała kogoś jeszcze.

- Ona przyszła do mnie... widziałam ją wyraźnie. Najpierw miała odwróconą głowę... ale od razu się domyśliłam, kto to jest. Była w jasnoniebieskim płaszczu z narzutką obramowaną białym futerkiem... i niebieskim kapeluszu podobnie przyozdobionym na brzegach... trochę już niemodnym.

Niebieski płaszcz z narzutką przyozdobioną futrem... Widywałam mamę w takim okryciu. I miała do tego również odpowiedni kapelusz. Nosiła go tutaj, pamiętam to dobrze. Oczyma duszy zobaczyłam, jak spaceruje pod drzewami, śmiejąc się i opowiadając o maleństwie, które ma się narodzić - o moim braciszku lub siostrzyczce.

Splotłam z całej siły ręce, które lekko mi drżały.

- Przywidziało ci się, Celeste - powtórzyłam bez przekonania.

- Nic podobnego. W żadnym wypadku. Nie myślałam o niej. Myślami byłam daleko stąd, kiedy nagle... zobaczyłam jakiś ruch pod drzewami... ujrzałam kobiecą postać w niebieskim płaszczu. Siedziała na ławeczce... i wiem, kim była... nieraz czułam jej obecność w tym domu. Są

tu apartamenty, w których mieszkała... ten zamknięty pokój... a teraz przyszła do ogrodu, by dołączyć do innych duchów.

- Wszystko to twoja fantazja, Celeste.

- Nie, na pewno nie.

- To tylko wytwór rozgorączkowanej wyobraźni.

Spojrzała na mnie.

- Mojej wyobraźni... - wyjąkała.

- Tak, myślisz o niej i dlatego ci się przywidziała.

- Widziałam ją - zaprzeczyła stanowczo.

- Celeste, tak dalej być nie może, wiesz o tym. Może powinnaś wyjechać na jakiś czas.

- Nie mogę.

- Dlaczego nie? Możesz pojechać ze mną do Kornwalii. Pojedź tam ze mną na przykład na Boże Narodzenie. Moi dziadkowie z radością powitają cię w Cador. Zabierzemy dzieci.

- Benedykt... on nie może jechać.

- Wobec tego pojedziemy bez Benedykta.

- Nie mogę, Rebeko.

- Dobrze by ci to zrobiło.

- Nie. Jestem mu potrzebna... tutaj. Muszę bywać na przyjęciach. To obowiązek żony posła.

- Za wiele przywiązujesz wagi do obowiązków, a za mało do... do... - Czekala, a ja

dokończyłam niezręcznie: - Do... do rodzinnego życia. Powinnaś wyjechać. Może wtedy zatęskni za tobą i wreszcie sobie uzmysłowi, ile dla niego robisz.

Milczała. Następnie odwróciła się ku mnie raptownie; po dygocie jej ramion domyśliłam się, że płacze.

- Co mam robić? - zapytała. - On mnie nie kocha!

- Kocha cię. Ożenił się z tobą.

- Ożenił się, ponieważ potrzebował żony. Od posłów wymaga się, by mieli rodziny. Jeżeli chcą zajść wyżej, potrzebna im jest żona... odpowiednia żona. Ale niestety, Rebeko, ja nią nie jestem. Twoja matka, tak, ona była dla niego odpowiednią żoną.

- Przestań tak myśleć. Jesteś bardzo odpowiednia. Wspaniale prezentujesz się na przyjęciach. Zawsze jesteś elegancka. Wszyscy cię podziwiają.

- Ale on, kiedy patrzy na mnie, myśli o innej.

Nic na to nie odparłam.

- Czy była bardzo ładna? - zapytała.

- Nie wiem. To była moja matka. Nigdy o niej nie myślałam w ten sposób: ładna czy nie.

Dla mnie była doskonałością, ponieważ była moją mamą.

- Dla niego była doskonałością i nikt nigdy mu jej nie zastąpi. Czy wierzysz w to, że tęsknota za umarłymi jest w stanie ściągnąć ich z powrotem na ziemię do tych, którzy nie potrafią się bez nich obejść?

- Nie! - zaprzeczyłam.

- Twoja matka musiała być wspaniałą kobietą.

- Dla mnie była.

- I dla niego też.

- Dla niego też, ale przedtem każde z nich poślubiło kogoś innego.

- Tak, wiem: ożenił się z jakąś dziewczyną w Australii. Wniosła mu w posagu kopalnię złota.

- Moja mama wyszła najpierw za mego ojca. Był bardzo przystojny i pełen wdzięku, istny Herkules lub Apollo... przy czym lepszy, ponieważ miał jeszcze dobre serce. Oddał życie za swego przyjaciela.

- Wiem. Słyszałam o tym.

- Moja mama go kochała, nawet bardzo - oświadczyłam z naciskiem. - Ale to już stara historia, Celeste. Należy do przeszłości. Teraz liczy się tylko dzień dzisiejszy.

- Ja go nic nie obchodzę, Rebeko.

- Musisz go obchodzić. Ożenił się z tobą. Jesteś jego żoną.

- Ciekawa jestem, czy kochał swą pierwszą żonę?

- To jest zupełnie co innego.

- Dlaczego: co innego?

- Takie mam przekonanie.

- Tak bardzo go kocham miłością od pierwszego wejrzenia. Nikt nie sprawił na mnie równie wielkiego wrażenia. Wydał mi się najwspanialszym mężczyzną, jakiego spotkałam w życiu. Kiedy zaproponował mi małżeństwo, nie wierzyłam własnemu szczęściu. Wydawało mi się, że śnię. Pobraliśmy się, ale ja nic go nie obchodzę. On pragnie tylko jej. Marzy o niej. Słyszałam, jak wymawia we śnie jej imię. Wyciągnął ją z grobu, ponieważ nie może bez niej żyć. Ona tu jest, tutaj, w tym domu. I ma już dość przebywania w izolacji. Opuściła zamknięty pokój, by dołączyć do innych duchów w ogrodzie.

- Och, Celeste, nie wolno ci tak myśleć! Benedykt potrzebuje czasu... czasu, by dojść do siebie.

- Ona już nie żyje od dawna. Od czasu urodzenia Belindy.

- Z pewnością by nie chciała, byś cierpiała tak, jak cierpisz w tej chwili. Była osobą o złotym sercu. Gdyby miała wstać z grobu, to tylko po to, by ci pomóc, a nie, by zadać ból.

Nie wiedziałam, jakiego argumentu użyć, by ją pocieszyć. Nienawidziłam w tej chwili Benedykta. Przez niego tak się gryzła. Był samolubny i okrutny. Poślubił ją, ponieważ potrzebował żony, by mu pomagała w robieniu politycznej kariery. Podobnie przedtem dla pieniędzy poślubił

Lizzie Morley. Jedynie moją mamę kochał naprawdę. Co do tego nie było wątpliwości i Bóg lub Los zemścił się na nim. Utracił jedyną istotę, na której mu zależało, a nie robił nic, by dać odrobinę szczęścia kobiecie, z którą się związał dla własnych egoistycznych celów.

Jest potworem - pomyślałam i jeszcze bardziej zapiekłam się w swej pogardzie i nienawiści do niego.

- Zobaczysz, wszystko się jeszcze ułoży, Celeste. Będzie dobrze - powiedziałam.

Potrząsnęła głową.

- Proszę Boga, aby jego serce zwróciło się ku mnie - odparła. - Leżę czasami tutaj, czekając... czekając... Ty tego nie potrafisz zrozumieć, Rebeko.

- Wydaje mi się, że potrafię - odrzekłam. - Teraz jednak powinnaś odpocząć. Sądysz, że uda ci się zasnąć?

- Jestem bardzo zmęczona - przyznała.

- Powiem pani Emery, by ci przysłano małą kolację. Jeśli chcesz, mogę zjeść u ciebie również swoją. Potem postaraj się zasnąć. Rano poczujesz się lepiej.

- Zemdlałam po raz pierwszy w życiu - przyznała. - To dziwne uczucie, kiedy czujesz, że ziemia usuwa ci się spod nóg.

- Ludzie często mdleją z różnych powodów. Nie ma to żadnych ubocznych skutków dla zdrowia. Może się źle poczułaś i nagle zmiana temperatur...

- Ale ja widziałam...

- Niewykluczone, że była to tylko lekka mgiełka w powietrzu.

- To nie była mgiełka. Widziałam ją wyraźnie.

- Skąd mogłaś wiedzieć, kto to jest?

- Wiedziałam.

- Ludziom często się coś przywiduje. Zobaczą na przykład cień, ale im się wydaje, że widzą

coś innego; zaczynają się zastanawiać, co to może być, i wyobraźnia idzie w ruch. Podziałyśmy rozmowy o duchach. Przypuśćmy jednak, że spostrzegłaś ducha. Może ducha lady Flamstead lub panny Marty.

- Wiem, kto to był. Instynkt mi podpowiedział.

- Czy chcesz coś zjeść?

- Nie zdołam przełknąć ani kęsa, nie dzisiaj.

- Myślisz, że będziesz spała?

- Może.

Wstałam i pocałowałam ją.

- Tak się cieszę, że jesteś tu z nami, Rebeko - rzekła. - Zastanawiałam się wielokrotnie, jaki będzie twój stosunek do mnie... do kobiety, która zajęła miejsce twojej matki.

- Ani przez moment nie myślałam w taki sposób. Tyle już czasu minęło od śmierci mamy. -

Uśmiechnęłam się. - Jeśli byłabym ci potrzebna... później... gdybyś nie mogła zasnąć, a przyjdzie ci ochota na rozmowę, zadzwoń i daj mi znać przez służącą. Przyjdę i posiedzę z tobą.

- Dziękuję. Tak mnie pocieszyłaś... jeśli to w ogóle jest możliwe.

- Pewnego dnia wszystko się ułoży i przekonasz się, że miałam rację.

Uśmiechnęła się słabo. Wyglądała już trochę lepiej. Wydawała mi się bardzo młoda ze śladami łez na rękach i słabym rumieńcem na policzkach.

Byłam rada, kiedy wreszcie zostałam sama. Chciałam spokojnie zebrać myśli. Wstrząsnęła mną rozmowa z Celeste. Chociaż uparcie odrzucałam twierdzenie, że widziała ducha, niemniej opis stroju dał mi dużo do myślenia. Celeste, szczególnie wyczulona na punkcie ubioru, z pewnością na niego zwróciła baczniejszą uwagę, niż zrobiłby to ktokolwiek inny na jej miejscu, mniej zainteresowany zewnętrznym wyglądem. Dlatego tak uparcie podkreślała szczegóły stroju rzekomej zjawy.

Ciągle miałam przed oczyma obraz mamy przechadzającej się po ogrodzie w niebieskim płaszczu i dobranym do niego kapeluszu: wymykające się spod nakrycia głowy kosmyki włosów mieszały się z białym futerkiem ozdabiającym jego rąbek.

Celeste opisała zjawę bardzo dokładnie.

To było niemożliwe. Gdyby duch mamy rzeczywiście powrócił na ziemię, nie ukazałby się biednej Celeste, lecz mnie lub ojczymowi, a już na pewno nie po to, aby napędzić jej strachu.

Przypomniał mi się moment, kiedy mi się wydawało, że czuję jej obecność w pokoju. Nie widziałam jej. Nie słyszałam jej głosu. Miałam po prostu pewność, że jest w pobliżu. Byłam w owym czasie niezmiernie zdenerwowana i zatroskana o Lucie i jej przyszły los.

W takim stanie łatwo o halucynacje. Ale ja nigdy mamy nie zobaczyłam, natomiast Celeste dowodziła z uporem, że widziała ją tak blisko, iż mogła opisać dokładnie, w co była ubrana.

Nie poprosiła mnie już do siebie tego wieczora, ale zanim udałam się na spoczynek, poszłam jeszcze do jej sypialni, by sprawdzić, jak się czuje. Spała spokojnie.

Przez całą noc wierciłam się i przewracałam na łóżku, a o piątej nad ranem rozbudziłam się na dobre.

Usiadłam w pościeli i wyszeptałam do siebie: "Nie wierzę w to". Jednakże ubranie nie mogło być zmyślane! Moja mama swego czasu rzeczywiście miała takie okrycie. Czy to możliwe, by ktoś znalazł płaszcz i kapelusz, włożył je na siebie i zaczął się w miejscu rzekomo nawiedzonym przez duchy?

Nie mogłam odpędzić od siebie tej myśli.

Wstałam wcześnie. Myślałam sporo nad tym, jak należy dalej postąpić. Trzeba będzie poradzić się pani Emery. Postanowiłam podzielić się z nią podejrzeniami. Znałam ją na tyle, że wiedziałam, iż ich nie zlekceważy.

Przede wszystkim jednak poszłam zobaczyć, jak miewa się Celeste.

Wyglądała na wyczerpaną i zmęczoną. Ucieszyłam się, kiedy powiedziała, że zamierza zostać w łóżku przynajmniej do południa. Stwierdziła, iż czuje się słaba.

Poinformowałam ją, że poleciłam przysłać jej do pokoju lekkie śniadanie; chciałam, by je razem ze mną spożyła. Radziłam jej, by się potem trochę zdrzemnęła. Obiecałam wstąpić do niej za jakiś czas, by sprawdzić, czy już jej się polepszyło.

Pani Emery była kobietą ściśle przestrzegającą ustalonego porządku dnia. Bardzo wierzyła w zbawienne skutki dobrej herbaty, którą miała zwyczaj pić po raz pierwszy rano o jedenastej, a potem po południu.

Pomyślałam, że najlepiej będzie złożyć jej wizytę właśnie podczas porannej przerwy.

Zawsze witała mnie z radością. Oczywiście panią domu była Celeste, ale odkąd dorosłam, pani Emery traktowała mnie na równi z nią. Obcokrajowców ceniła znacznie mniej niż swoich rodaków. Byłam więc dla niej równie ważna - a może nawet ważniejsza - niż żona Benedykta.

- Pragnę z panią pomówić, pani Emery - oznajmiłam na wstępie.

Na jej twarzy odmalowało się wyraźne zadowolenie.

- Jest to dla mnie wielki zaszczyt, panno Rebeko.

- Dziękuję.

- Nie mogła panienka przyjść w bardziej odpowiedniej porze. Właśnie jest czas na herbatę.

Zaraz ją przygotuję.

- Dziękuję. Z przyjemnością się napiję.

Nie zdradziłam powodu, jaki mnie do niej sprowadza, dopóki z należyтым namaszczeniem nie odprawiła rytuału parzenia herbaty. Obserwowałam jej krzątanie. Wielokrotnie słyszałam, jak pouczała służbę: "Najpierw wyparzyć czajniczek gorącą wodą, następnie wytrzeć go do sucha i dopiero potem nasypać herbaty... po łyżeczce na osobę i jedna łyżeczka na dodatek. Na koniec zalać liście wrzątkiem, zamieszać i zostawić na pięć minut, by naciągnęła - ani sekundy dłużej, ani

sekundy krócej”.

Herbatę podała w filiżankach, które wyciągała tylko na specjalne okazje. To wyróżnienie mile połechtало moją próżność.

- Pani Emery - zaczęłam - z niepokojem myślę o wczorajszym wypadku.

- Och, pani Lansdon, tak... była rzeczywiście wstrząśnięta.

- Czy pani wie, co mogło być przyczyną jej omdlenia?

- Nie mam pojęcia. Właśnie się zastanawiałam. Ale moje przypuszczenie jest raczej mało prawdopodobne. Przyszło mi do głowy, że może jest w ciąży.

- O nie, nie sędzę. Twierdzi, że zobaczyła coś pod tym dębem.

- Miłosierdzia, panno Rebeko. Tylko nie ducha!

- Pani Lansdon jest przekonana, że widziała ducha na tej ławeczce, gdzie straszy.

- Wielki Boże! No i co dalej?

- Opisała mi, w co był ubrany. Pamiętam, że moja matka miała takie okrycie.

Pani Emery spoglądała na mnie z otwartymi ustami.

- Tak - powtórzyłam. - Ona jest przekonana, że ukazał jej się duch mojej mamy.

- Ale...

- Pani rozumie...

- Tak, dobrze rozumiem. Chcąc nie chcąc, pewne rzeczy obijają się człowiekowi o uszy.

Och, jakże inaczej tu było za życia pani kochanej mamusi. Wtedy to był naprawdę szczęśliwy dom.

- Musimy się starać, by znowu zapanowała tutaj radosna atmosfera, pani Emery.

- Zważywszy na pana i na ten zamknięty pokój... oraz na nią, nie będzie to łatwe zadanie, nie sądzi panienka?

- Musiało jej się coś przywidzieć. Nie ma najlepszego samopoczucia.

Pani Emery przytaknęła skinieniem głowy.

- Biedna pani. Czasami jest mi jej naprawdę żal.

- Zgadza się, ale nie wydaje mi się, żeby jej się przywidział duch. Przypuszczam, że rzeczywiście zobaczyła kogoś pod drzewem. Ten ktoś miał na sobie ubranie mojej mamy.

- Miłosierny Boże!

- Może się mylę, ale taki szczegółowy opis stroju rzekomego ducha nasuwa mi podejrzenie, że ktoś w tym domu płata złośliwe figle.

Pani Emery kiwała głową w zamyśleniu.

- Pani regularnie zagląda do tego pokoju i wszyscy o tym wiedzą. Myślę, że ktoś wszedł do pani saloniku, wykradł klucz i zabrał ubranie z szafy mojej mamy.

- Tamte drzwi są zamknięte i tylko ja mam do nich klucz.

- Zawsze trzyma go pani w tym samym miejscu?

- Tak, zawsze.

- Może ktoś podpatrzył, gdzie go pani chowa?

- Ale w jaki sposób by tego dokonał?

- Domyślam się. Pani salonik... ten pokój... stoi otworem. Pani nigdy nie zamyka go na klucz, prawda?

Potrząsnęła głową.

- Ktoś mógł tu wejść, kiedy pani była zajęta. Znalazł klucz, wziął go, otworzył zamknięty pokój i zabrał ubranie. Następnie zamknął drzwi i z powrotem położył klucz na swoje miejsce.

Istnieje taka ewentualność.

- Nikt by się na to nie odważył.

- Jest tu kilka odważnych osób, pani Emery.

- Ale po co? Na co to komu potrzebne?

- Dla kawału.

- Myśli pani, że ktoś zrobił kawał tylko po to, aby śmiertelnie przestraszyć tę biedulkę?

- Niewątpliwie tak i zamierzam właśnie znaleźć tego kogoś. Czy klucz jest teraz u pani?

Wstała z krzesła i podeszła do szuflady. Otworzyła ją i triumfalnie podniosła rękę z kluczem.

- Mam prośbę, niech pani pójdzie teraz ze mną do zamkniętego pokoju - zwróciłam się do niej. - Chcę się przekonać, czy płaszcz wisi na swoim miejscu. Jeśli tak, a myślę, że powinien, ponieważ mama chodziła w nim aż do wyjazdu z Manorleigh, będziemy miały dowód, że zjawą, jaką pani Lansdon ujrzała pod dębem, jest jedynie wytworem jej fantazji. Ale ponieważ to stało się wczoraj, kawalarz nie zdążył jeszcze, jak przypuszczam, włożyć go z powrotem do szafy.

- Klucz jest na swoim miejscu, więc ten, kto go wykradł, musiał go bardzo szybko zwrócić.

W każdej chwili mogłam przecież tu wejść i nakryć winowajcę.

- Jeżeli ubranie wciąż tam wisi, będzie to dla nas dowód, że wizja pani Lansdon miała przypuszczalnie nadprzyrodzony charakter. A jeżeli ktoś zrobił brzydki dowcip, okrycie musi nadal być u żartownisia.

- Nie mogę uwierzyć, że ktoś chciałby zadawać sobie tyle trudu, by ją przestraszyć. I ryzykować, że go przyłapię na gorącym uczynku.

- Niektórzy ludzie lubią płatać figle. Lubią także ryzykowne sytuacje. W każdym razie wiemy już, od czego zacząć rozwiązywanie zagadki. Chodźmy najpierw sprawdzić, czy ubranie znajduje się w szafie.

Pani Emery podniosła się posłusznie i obydwie pośpieszyłyśmy do dawnego pokoju mamy.

Nawet w takim momencie jak ten, przestępując jego próg, nie mogłam się oprzeć głębokiemu wzruszeniu. Wyglądał tak jak za dawnych czasów. Znowu poczułam się małą dziewczynką, pławiącą się w bezpiecznym ciepłe matczynej miłości, mimo niechęci, jaką już wtedy żywiłam do ojczyma.

Widok jej rzeczy wytrącił mnie z równowagi, ale przyszyliśmy tu przecież w ściśle określonym celu.

Podeszłam do szafy. Wisiały tam jej ubrania, jednak niebieskiego płaszcza wśród nich nie było. Wyciągnęłam rękę i między tweedowym kostiumem a strojem do konnej jazdy odkryłam pusty wieszak.

Odrzuciłam się i spojrzałam na panią Emery.

- Myślę, że ktoś się tu dostał i wykradł te rzeczy.

- To niemożliwe! - wykrzyknęła pani Emery. - Trzymam klucz u siebie w szufladzie przez cały czas. Tylko ja, oprócz pana, mam wstęp do tego pokoju. Tylko my dwoje mamy do niego klucz.

- A może ktoś ukradł jego klucz?

- To mało prawdopodobne; nosi go przy łańcuszku od zegarka, z którym się nie rozstaje, poza tym już od ponad tygodnia przebywa poza domem.

Zamknęła drzwi i wróciłyśmy do saloniku.

Kiedy siedziałyśmy w fotelach, pani Emery zauważyła:

- Przecież nikt nie wie, że okrycie wisiało w tamtej szafie.

- To prawda - zgodziłam się. - Ale ja wiem, że moja matka wyjątkowo lubiła ten płaszcz i nosiła go tutaj do ostatka. Pani zawsze, jak przypuszczam, trzyma klucz w tym samym miejscu w szufladzie. Czy może go pani schować teraz gdzie indziej?

- Dlaczego nie.

- Jeżeli ktoś chciałby go znowu wykraść, nie będzie mógł go znaleźć. Sądzę, że ten, kto wykradł płaszcz, zechce go włożyć z powrotem do szafy. Może go również zatrzymać, żeby powtórzyć kawał z duchami.

- Dostaję dreszczy, kiedy panią słucham, panno Rebeko. Doprawdy nie wiem, czy nie

wolałabym, aby to był prawdziwy duch, a nie jakiś tajemniczy spiskowiec.

- Zamierzam odnaleźć ubranie, pani Emery. Mam wrażenie, że jest ukryte gdzieś w tym domu i jeśli je odnajdę, dowiem się, kto zrobił brzydki dowcip pani Lansdon.

- Mogłoby się to skończyć źle, gdyby tak na przykład była w ciąży...

- Pani Emery, niech pani strzeże klucza... bardzo proszę. Niech go pani położy w innym miejscu, tak by nikt oprócz pani nie wiedział, gdzie jest. Nie chcę, by ktokolwiek wchodził do tamtego pokoju, dopóki nie rozwiążę zagadki.

- Zrobię tak, jak pani każe, panno Rebeko. Też jestem ciekawa, kto spłatał tego głupiego figla. Jeśli zrobiła to któraś z dziewczyn, nie posłuży już ona u mnie długo, zapewniam panią.

Zaraz po rozstaniu z panią Emery udałam się do sali lekcyjnej. Belinda i Lucie siedziały przy stole z panną Stringer.

- Dzień dobry, panno Mandeville - przywitała mnie panna Stringer. - Ma pani do mnie jakąś sprawę?

- Nie... nie. Jak idzie nauka? - zapytałam.

- Och! - Wbiła wzrok w sufit. - Zgodnie z oczekiwaniami.

- Mamy właśnie lekcję historii - oznajmiła Lucie.

- Bardzo się cieszę.

- Uczymy się o Wilhelmie Zdobywcy, który najechał nasze ziemie i zabił króla Harolda pod Hastings. Rządził w XI wieku.

- Bardzo zajmująca lekcja. Belinda jest dzisiaj jakoś dziwnie milcząca. Dobrze się czujesz, Belindo?

Skinęła głową.

- Podziękuj pannie Rebecce za zainteresowanie i grzecznie odpowiadaj na pytania - upomniała ją panna Stringer.

- Nic mi nie dolega, dziękuję - burknęła Belinda.

- Sądziłam, że może chcesz wiedzieć, jak się czuje twoja macocha - rzekłam.

Nie podniosła oczu.

- Jak się dziś czuje pani Lansdon? - zapytała panna Stringer.

- Odpoczywa. Miała wczoraj przykrą przygodę.

- Słyszałam, że zasłabła w ogrodzie. Mam nadzieję, że nic sobie nie zrobiła, upadając.

- Nie było o to trudno - odparłam. - Na szczęście upadła na miękki grunt. Ale przeżyła ogromny szok.

Przyglądałam się szafom. Pełno w nich było książek i szkolnych przyborów. O żadnych ubraniach w tym miejscu nie mogło być mowy. Panna Stringer natychmiast by je odkryła.

- A więc dobrze! Zostawiam was teraz Wilhelmowi Zdobywcy - powiedziałam i wyszłam.

Nie chciałam stanąć do rozgrywki z Belindą, nie mając żadnych dowodów jej winy.

Wolałam też nie rozmawiać z Lucie, która mogła być z nią w zмовie. Łudziłam się, że tak nie jest, ale wiedziałam od panny Stringer, a także z własnych obserwacji, że Belinda często żąda od niej udziału w zabawach, w których ona, Belinda, grała pierwsze skrzypce.

Tuż ponad salą lekcyjną znajdował się strych. Dzieci często się na nim bawiły. Służył jednocześnie za magazyn, w którym składowano kufry i wszelkie inne niepotrzebne sprzęty.

Trudno było znaleźć idealniejsze miejsce, jeśli chciało się coś ukryć.

Na poddasze wchodziło się po kilku krętych schodach. Weszłam po nich na górę.

Dach miał kształt spadzisty. Na jego krańcach było tak nisko, że nie sposób się było wyprostować. Stały tutaj wsparte o ścianę stare obrazy, a także niepotrzebne meble. W jednym końcu strychu znajdowały się trzy wielkie kufry. Zauważyłam, że jeden jest nie domknięty; podniosłam wieko.

Poszłam nadspodziewanie łatwym tropem. Na wierzchu, na stosie innych ubrań,

zobaczyłam niebieski płaszcz i kapelusz. Moje podejrzenia znalazły potwierdzenie. Obok stał wygodny fotel. Zasiadłam w nim i zaczęłam odtwarzać w myśli przebieg wypadków. Mój umysł oczywiście zaprzętała głównie Belinda; ciekawiło mnie również, co sama teraz odczuwa. Niepokoiła mnie. Zastanawiałam się, jak moja mama, gdyby żyła, postępowałaby z takim dzieckiem? Kochałaby je tak jak mnie, to pewne. Czasami jednak rodziło się we mnie podejrzenie, że w naturze Belindy, oprócz naturalnej u dziecka skłonności do psot i figlów, leżał jakiś sadystyczny rys. Przypomnił mi się niefortunny pomysł z przebraniem, w który wciągnęła Lucie. Był wyjątkowo złośliwy. Jego celem było zadanie bólu. Wydawało się nienaturalne, że ona - moja siostra - zachowywała się w ten sposób.

Próbowałam ją jakoś przed sobą usprawiedliwić. To z kolei nasunęło mi na myśl...

Benedykta Lansdona. Jego stosunek do niej na pewno nie był właściwy. Wydawał się w ogóle nie pamiętać, że jest jego córką. Mama pragnęłaby, aby darzył ją uczuciem. Jej samej nie było przeznaczone wychowywać swoje dziecko. Tym bardziej by pragnęła, żeby on kochał Belindę za nią i za siebie. A on był wyniosły i obojętny. Może nie starał się za bardzo. Nie potrafił zapomnieć Belindzie, że mama przypłaciła życiem jej urodzenie, chociaż przecież nie było w tym winy dziecka.

Słyszałam o podobnych wypadkach i za każdym razem buntowałam się przeciwko takiej karygodnej postawie ze strony rodzica.

Czując się odtrącona przez ojca, zwróciła się do Leah, u niej szukała wsparcia i miłości, tak potrzebnej wszystkim dzieciom. To dlatego starała się wyróżnić, wybić ponad otoczenie, pokazać, jaka jest zdolna, jak góruje nad innymi.

Nie mogę się na nią gniewać. Muszę starać się ją zrozumieć. Jest przecież tylko dzieckiem, zagubionym dzieckiem.

Wiedziałam, że wcześniej czy później zjawi się na poddaszu, bo będzie się chciała upewnić,

czy ubranie nadal tam jest. Mogła się domyślić, że ją podejrzewam, ponieważ była nad wiek rozwinięta, a z natury bystra i przebiegła.

Czekałam na poddaszu ponad godzinę. Wiedziałam, że gdy lekcje się skończą, zechce przyjść na górę.

Rachuby mnie nie zawiodły.

Zebrałam się w sobie, kiedy usłyszałam ciche stąpanie po schodach prowadzących na poddasze.

- Wejdz, Belindo - odezwałam się. - Pragnę z tobą porozmawiać.

Spoglądała na mnie zaskoczona. Byłam zadowolona ze swojej wytrwałości, miałam bowiem pewne obawy, że moja wizyta w sali lekcyjnej wzbudziła jej podejrzenie. Mogła zacząć się domyślać, że ją rozszyfrowałam, i w rezultacie postanowi wstrzymać się na razie od przyjścia na górę.

- Co ty tu robisz? - zapytała mnie ostro.

- To bardzo niegrzeczne pytanie, nie uważasz?

Zauważyłam lęk na jej twarzy.

- Czego chcesz? - powtórzyła mniej pewnie.

- Chcę, byś podeszła do kufra i wyjęła z niego to, co leży na wierzchu.

- Dlaczego?

- Masz mi to pokazać i wytłumaczyć, w jaki sposób te rzeczy tam się znalazły.

- A skąd ja mogę wiedzieć?

- Zaraz się o tym przekonamy.

Wstałam, wzięłam ją za rękę i podprowadziłam do kufra.

- A teraz go otwórz! - rozkazałam.

- Dlaczego?

- Otwórz go!

Spełniła moje polecenie.

- Ty położyłaś tutaj te rzeczy - oświadczyłam.

- Nie.

Pominałam jej kłamstwo milczeniem.

- Jak się dostałaś do zamkniętego pokoju? - pytałam dalej.

Uśmiechnęła się chytrze. Widocznie pomyślała, że okazała się bardzo sprytną osobą, i rozpierało ją z tego powodu uczucie dumy. Ale się nie odezwała.

Głośno odczytywałam jej myśli:

- To ty wykradłaś klucz z saloniku pani Emery. Wiedziałaś o tym, ponieważ ona dwa razy w tygodniu sprząta zamknięty pokój. Wiedziałaś, o jakiej porze możesz tam wejść nie zauważona.

Wśliznęłaś się doń cichcem i zabrałaś z szuflady klucz.

Spoglądała na mnie zaskoczona.

- Lucie zmyśla.

- Lucie wiedziała...?

- Tylko trochę - odparła.

- A jakie było zadanie Lucie?

- Żadne. Lucie nigdy o niczym nie myśli. Jest za głupia.

- Dobrze. No więc kiedy już wykradłaś klucz, zabrałaś ubranie. Wiedziałaś, że tam wisi i że należało do twojej matki. Twoja mama bardzo by się zasmuciła, gdyby wiedziała, że dopuściłaś się takiego brzydkiego czynu. Belindo, czy nie rozumiesz, że sprawiasz ludziom przykrość?

- Mnie ludzie też robią przykrość.

- Kto ci robi przykrość?

Milczała.

- Leah jest dla ciebie dobra i czuła. Panna Stringer także. Lucie cię kocha tak jak i pani Emery. A ja, czy kiedykolwiek byłam dla ciebie niedobra?

Na krótką chwilę twarz jej się zmieniła. Nie była już taka wyzywająca i zuchwała.

Wyglądała teraz jak mała przerażona dziewczynka.

- On mnie nienawidzi - wyjąkała. - On mnie nienawidzi, ponieważ... ponieważ przeze mnie mama umarła.

- Kto ci opowiada takie rzeczy?

Spojrzała na mnie pogardliwie.

- Wszyscy wiedzą. Ty też. Tylko udajesz, że nie wiesz.

- Och, Belindo - westchnęłam. - To nie jest wcale tak, jak mówisz. To nie była twoja wina.

Wiele matek umiera przy porodzie i nikt nie wini za to dzieci.

- On mnie wini - odparła.

Miałam ochotę objąć ją i przycisnąć do serca. Chciałam powiedzieć: "Jesteśmy siostrami, Belindo. Pochodzimy wprawdzie z innych ojców, ale matkę miałyśmy wspólną. Łączy nas szczególna więź. Dlaczego mi nic nie mówisz, nie powiesz, co ci leży na sercu?"

- Ty też go nie lubisz - upierała się.

- Belindo...

- Tylko nie chcesz się do tego przyznać. Ja tego nie ukrywam. Nienawidzę go.

Ogarnęła mnie rozpacz. Zastanawiałam się, co mam jej odpowiedzieć. Było prawdą, że Benedykt unikał córki, był w stosunku do niej chłodny, nie potrafił jej polubić. Przede wszystkim zaś winił ją za to, że swym przyjściem na świat spowodowała śmierć ukochanej żony.

Żałowałam, że nie byłam jeszcze na tyle dorosła, mądra i doświadczona, bym mogła służyć temu dziecku radą i pociechą.

W tym momencie jednak myślałam głównie o przykrości, jaką wyrządziła Celeste.

- Co ci przyszło do głowy, żeby przestraszyć macochę właśnie w taki sposób? - zapytałam.

Przybrała znów zuchwały i wyzywający wyraz twarzy. Rysy dziecka stwardniały, zniknęła owa miękkość i tęsknota, jaka przez sekundę rozświetliła jej wzrok. Naprzeciwko mnie stała Belinda, mała spryciara, która wiedziała, jak się zemścić na tych, co jej zadawali ból.

Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

- Płaszcz był taki obszerny - rzekła. - Musiałam bardzo uważać. - Roześmiała się niemal histerycznie. - O mało się nie przewróciłam. Z kapeluszem nie było kłopotu, ale musiałam go mocno nacisnąć na uszy. Przez cały czas siedziałam przycupnięta.

- Celeste zemdląca - przypominałam jej. - Na szczęście upadek nie był groźny, bo upadła na miękkie podłoże. Mogło się to jednak skończyć dla niej tragicznie.

- Dobrze jej tak! Po co wychodziła za ojca. Nie miała prawa wychodzić za niego za męża.

Nie życzyłam sobie mieć macochy.

- W życiu jest wiele spraw, których nie jesteś jeszcze w stanie zrozumieć. Pojmiesz je dopiero, kiedy dorośniesz. Celeste niczemu nie jest winna. Stara się, jak może, by wszystko było jak najlepiej.

- Ona nie potrafi nawet mówić dobrze po angielsku.

- Myślę, że w porównaniu z twoją francuszczyzną jej angielski wypada całkiem nieźle. Czy nie dręczą cię wyrzuty sumienia, że przez twój głupi kawał mogło jej się coś stać?

Przyglądała mi się uporczywie. Jej wzrok nie wyrażał żadnych uczuć.

Potrząsnęła głową.

- Świetnie mi to wyszło - stwierdziła z zadowoleniem. - Wzięła mnie za prawdziwego ducha.

- Zabrakło ci jednak sprytu.

- Lucie mnie zdradziła.

- Lucie nic mi nie powiedziała. Przyznaj się, jaką ona miała w tym rolę.

- Żadną. Nie mogła mieć. Brakuje jej sprytu. Ona by tylko zepsuła. Wiedziała jedynie o moim zamiarze, to wszystko. I ona ci powiedziała. Inaczej... w jaki sposób byś to odkryła?

- Znam cię, Belindo. Od razu przyszło mi do głowy, że ty maczałeś w tym palce.

- W jaki sposób?

- Po pierwsze - ubranie. Domyśliłam się, skąd je wzięłaś. Przejrzałam z panią Emery rzeczy w szafie mamy i stwierdziłam, że brak w niej niebieskiego płaszcza. Wynikał z tego prosty wniosek, że ktoś go wziął. Słuchaj, Belindo, pragnę z tobą porozmawiać poważnie.

- Co masz zamiar zrobić? Powiedzieć jemu... memu ojcu?

Potrząsnęłam przecząco głową.

- Masz pójść do swej macochy i przeprosić za przykrość, jaką jej wyrządziłaś. Masz też przysiąc, że nigdy więcej nie dopuścisz się podobnego uczynku. Czy nie rozumiesz, jaką wstrętną rzeczą jest celowe zadawanie ludziom bólu?

- Przebrałam się tylko za ducha. To wszystko.

- Powiedziałaś ci już przedtem...

Zauważyłam koniuszek języka wysuwający się z jej warg.

- Belindo, posłuchaj, co ci mówię. Zależy ci chyba na ludzkiej sympatii i uznaniu, prawda?

- Leah mnie lubi.

- Leah opiekuje się tobą od chwili urodzenia. Ona kocha ciebie i Lucie, jakbyście były jej własnymi dziećmi.

- Ale mnie kocha bardziej.

- Kocha was obie. Jeśli będziesz miła dla ludzi, oni odwzajemnią ci się tym samym. Wierz mi, samopoczucie twoje znacznie się wtedy poprawi. Wyrządzanie ludziom przykrych kawałów, zwłaszcza tym, którzy nie zrobili ci nic złego, nie przynosi chluby.

Pod wpływem odruchu objęłam ją, a ona ku memu zdziwieniu i radości odwzajemniła mój uścisk. Trwałyśmy tak objęte przez kilka minut. Spojrzałam jej w twarz. Po jej policzkach płynęły łzy niekłamanego żalu.

- Zapamiętaj na zawsze, Belindo - powiedziałam - że jesteśmy siostrami, ty i ja. Los zabrał nam matkę. Ja ją pamiętam i bardzo ją kochałam. Była dla mnie wszystkim. Nie wolno nam jednak zapominać, że twój ojciec także bardzo ją kochał. Przedwczesna śmierć mamy przepoiła jego serce goryczą i bólem. I wciąż nie może jej zapomnieć. Obydwe musimy mu pomóc, Belindo, a pomagając jemu, pomożemy i sobie. Obiecuj mi, że będziesz częściej ze mną rozmawiała. Jeżeli będziesz miała jakiś problem, przyjdź do mnie i powiedz, co cię dręczy. Zgoda?

Spojrzała na mnie z powagą i skinęła głową.

Następnie zarzuciła mi ręce na szyję, a ja poczułam się tak szczęśliwa, jak nie czułam się od dłuższego czasu. Dokonałam pierwszego wyłomu. Zaczynałam torować sobie drogę do serca tego dziwnego dziecka, które było moją siostrą.

- A więc rozumiemy się już, Belindo. Jesteśmy przyjaciółkami, czy tak?

Przytaknęła ponownie.

- Mamy jeszcze tylko jedną rzecz do załatwienia - mówiłam dalej. - Musimy teraz pójść do twojej macochy.

Wzdrygnęła się.

- To jest konieczne - nalegałam. - Ona się bardzo przelękała. Jest przekonana, że zobaczyła ducha.

Dawna Belinda znowu wzięła górę. Ledwie dostrzegalny uśmiech triumfu przemknął jej po twarzy.

- Wszędzie się będzie teraz dopatrywać widma. To wspomnienie będzie ją stale prześladowało.

Dziewczynka skinęła głową ze zrozumieniem, ale jej oczy rozbłyły na myśl o

możliwościach przeprowadzania następnych eksperymentów z duchami. Zrozumiałam, jak przedwcześnie były moje nadzieje, że zdołam zmienić charakter Belindy, że dotarłam do lepszych pokładów jej duszy.

- Musimy ją uspokoić - oświadczyłam stanowczo. - Musimy powiedzieć jej prawdę.

Idziemy do niej bezzwłocznie. Opowiemy jej wszystko dokładnie, a ty poprosisz ją o przebaczenie.

To był głupi, dziecięcy psikus, którego teraz bardzo żałujesz. Nie myślałaś, że możesz zrobić jej przez to krzywdę.

- Nie mam ochoty tam iść.

- Często musimy robić w życiu rzeczy, których nie chcemy. Poproszę panią Emery, aby schowała okrycie do szafy, tam gdzie jest jego miejsce. Będzie rada, kiedy się dowie, że to nie była żadna zjawy, jedynie mała dziewczynka, która dla kawału przebrała się za ducha.

Mina Belindy wskazywała wyraźnie, że nie podoba jej się ten pomysł.

- Chodź! - nakazałam. - Skończmy już raz z tą sprawą.

Na razie włożyłam płaszcz i kapelusz z powrotem do kufra, a sama wzięłam Belindę za rękę i zaprowadziłam do pokoju Celeste.

Celeste siedziała przy oknie w szlafroku.

- Belinda pragnie ci coś wyznać - powiedziałam.

Zrobiła zdziwioną minę. Popchnęłam ku niej Belindę.

Belinda wyrecytowała przeprosiny śpiewnym głosem, jakby powtarzała wyuczoną lekcję:

- To ja wzięłam okrycie z szafy, która jest w zamkniętym pokoju. Udałam się z nim do ogrodu, a kiedy usłyszałam twoje kroki, włożyłam płaszcz na siebie. Zrobiłam to dla zabawy.

Przykro mi, że cię przestraszyłam. Bardzo cię za to przepraszam.

Na twarzy Celeste odmalowała się wyraźna ulga.

Od siebie dodałam jeszcze:

- Belindzie jest naprawdę przykro. Przebacz jej ten niemądry figiel. Ona traktowała to jedynie jako dobrą zabawę. Wiesz, jak lubi się przebierać i występować, od kiedy zagrała w tableaux vivants.

- Och - wyrzekła Celeste słabym głosem. - Ro... rozumiem.

- Belinda cię bardzo, bardzo przeprasza za ten głupi żart.

Celeste uśmiechnęła się do niej.

- Rozumiem - rzekła. - To był tylko taki kawał, czy tak? Zachowałam się niemądrze.

Belinda przytaknęła skinieniem głowy. Objęłam ją ramieniem, ale tym razem przyjęła mój uścisk obojętnie. Nie próbowała mnie jednak odtrącić.

- Czy zamierzasz pojechać konno po południu? - zapytałam.

- Owszem.

- Razem z Lucie? Świetnie. Pojadę z wami. Możesz już iść.

Wybiegła z pokoju z wyraźną ulgą.

- Belindzie jest naprawdę przykro - odezwałam się do Celeste.

- Ona mnie nie znosi... tak mi się wydaje.

- Nie. Jest tylko przestraszona, zagubiona. Byłoby dobrze, gdyby jej ojciec zechciał poświęcić dziecku nieco więcej uwagi. Ona tego bardzo potrzebuje. Moim zdaniem, ona go uwielbia... - przerwałam. - Ale sama rozumiesz...

- Tak, rozumiem - odparła Celeste.

Obydwie miały podobny problem.

Nie mogłam powstrzymać się od uczucia swoistego zadowolenia. Ten wypadek sprawił, iż bardziej zbliżyłyśmy się z Belindą. Muszę się starać, by ten stan utrzymać. Dziecko - a była przecież tylko dzieckiem, chociaż czasami zapominaliśmy o tym - pragnęło miłości. Stąd ta jej

nieustanna chęć wykazania się, poszukiwanie poklasku i uznania. Gdyby tylko Benedykt zechciał podjąć wysiłek, by zapomnieć o swym dojmującym żalu. Gdyby zechciał okazać trochę więcej uwagi żyjącym!

Poszukiwanie skarbu

Wrócił Benedykt. Boże Narodzenie było za progiem. Miałam nadzieję, że uda mi się pojechać z dziećmi na święta do Kornwalii, ale wyszło inaczej. Okres ten w Manorleigh był ważnym wydarzeniem. Oprócz zwykłych, przewidzianych tradycją uroczystości planowano wydać w Manor Grange z tej okazji kilka wystawnych przyjęć. Z okręgu poselskiego Benedykta zaproszono ludzi, którzy pomagali mu w parlamentarnej działalności. Benedykt życzył sobie, aby jego rodzina była razem w czasie świąt, jak się powszechnie przyjęło.

Dla mnie jednak ta decyzja stanowiła przykrą niespodziankę. Pragnęłam zobaczyć swoich dziadków i spotkać się z Pedrekiem, który wraz z rodzicami również wybierał się na święta do Kornwalii. Wiedziałam, że jak zwykle będą w tym okresie częstymi gośćmi w Cador.

Z tego powodu byłam bardzo nieszczęśliwa, pocieszałam się jedynie myślą, że czas mija szybko i że nasze przyszłe Boże Narodzenie będzie już wyglądać inaczej; zaczniemy wtedy planować nasz ślub. A więc cierpliwości i jeszcze raz cierpliwości!

Panna Stringer wybierała się na święta do swojej rodziny w Cotswolds; zamierzała tam spędzić trzy tygodnie. Dla dzieci oznaczało to przerwę w nauce.

- Hura! - wykrzyknęła Belinda. Lucie jej zawtórowała i obydwie na znak radości zaczęły tańczyć wokół sali lekcyjnej, skandując: "Nie będzie lekcji przez trzy tygodnie".

- Nie cieszcie się zbyt. Przed świętami w domu jest zawsze dużo do roboty i nie dadzą wam próżnować - ostudziłam ich zapał.

Święta miały być tradycyjne. Westybul przyozdobiono gałązkami ostrokrzewu, bluszczem i wawrzynem. Nie zabrakło pęczków jemioli ani popularnej dekoracji, zwanej "krzaczkami Bożego

Narodzenia”. Wykonano je z dwóch drewnianych obręczy, włożonych jedna w drugą, tak że tworzyły razem kształt kuli. Taką okrągłą ramę oplatano następnie gałązkami z drzew, które nie tracą liści na zimę. Owe kuliste dekoracje zawieszano potem u krokwi sufitu. Spełniały takie samo zadanie jak jemioła, tak że przyjęło się je nawet nazywać “krzaczkami pocałunków”.

Belinda była bardzo przejęta zbliżającymi się świętami. Wraz z Lucie pomagała przy dekorowaniu wnętrza domu oraz innej, równie ważnej czynności, jaką było mieszanie puddingów. Kucharka, pani Grant, obwieściła, że zgodnie ze starym zwyczajem każdy domownik, niezależnie od pozycji, ma obowiązek zamieszać chociaż jeden raz.

Mieszaliśmy więc wszyscy - prócz Benedykta. Nie mogłam sobie wyobrazić, by ktoś zdobył się na odwagę zaproponować mu coś podobnego.

Smakowity zapach gotujących się puddingów wypełnił kuchnię. Wszyscy domownicy zeszli na dół do pralni, by zobaczyć, jak stygną w miedzianych formach. Pani Emery oświadczyła, że cały dom musi wziąć udział w ceremonii ich kosztowania, nie wyłączając dzieci. Uroczystość była rzeczywiście podniosła; pani Grant niczym kapłanka w jakiejś świątyni dawała każdemu do spróbowania po kawałku treściwej zawartości różnorodnych mis. Wszyscy stwierdziliśmy zgodnie, że ich smak był wyborny.

Następnie przystąpiono do wypiekania babeczek z bakaliowym nadzieniem oraz świątecznego tortu, na którego wierzchu umieszczono na grubej warstwie białego lukru niebieskie napisy: “Wesołych Świąt” i “Boże Błogosław Temu Domowi”. Tak udekorowane ciasto ustawiono na stole pośrodku kuchni, by wszyscy mogli przez jakiś czas napaść oczy jego widokiem. Cała ta świąteczna krzątanina była i zupełnie zwyczajna, i jednocześnie niezmiernie ekscytująca. Cieszyłam się, widząc Belindę tryskającą radością życia. Od dawna nie widziałam jej tak wesołej. Jeszcze bardziej radowały mnie jej widoczne starania, żebym była z niej zadowolona. Powiedziałam Celeste, iż niewykluczone, że ten przykry dla niej incydent z rzekomym duchem

może się okazać punktem zwrotnym.

- Wydaje mi się, że bardzo się do siebie zbliżyliśmy - stwierdziłam. - Ona zazwyczaj jest arogancka i zuchwała. Ale to tylko pozory; za tym odstręczającym zachowaniem kryje się przemożne pragnienie uczucia i czułości.

Celeste przychyliła się do mego zdania.

- Ona uwielbia swojego ojca - powiedziałam - wiem o tym. Ogromnie przeżywa jego obojętność. Gdyby okazał jej trochę więcej zainteresowania, jestem przekonana, że zmieniłaby się na lepsze.

- Robi wrażenie, że bardziej lubi Lucie niż ją.

- Chyba dlatego, że Lucie jest znacznie sympatyczniejsza od Belindy.

- Pewnie tak, ale Belinda jest jego córką.

- Może kiedyś któraś z nas będzie miała okazję uświadomić mu jego błąd...

- Może - westchnęła Celeste.

Otrzymałam listy z Kornwalii. Pedrek spełnił obietnicę i pisał do mnie raz na tydzień. Ja również odpowiadałam mu regularnie. Wiedziałam więc o wszystkim, co się dzieje w Kornwalii. Studia w Mining College szły mu dobrze. Pracował ciężko, lecz z powodu nawału zajęć łatwiej znosił rozłąkę. Starłam się, aby moje listy były w miarę możliwości zabawne i wesołe. Opisywałam w nich swoje życie w Londynie i Manorleigh, a także najnowsze wydarzenia polityczne. Dzieliłam się z nim swymi refleksjami na ten temat, jako stojący dość blisko tego świata, a jednocześnie bezstronny obserwator.

Na dzień przed Bożym Narodzeniem otrzymałam stertę korespondencji z Kornwalii, a także prezenty od bliskich mi tam osób. Był wśród nich naszyjnik z ametystów od moich dziadków oraz złota bransoletka od Pedreka.

Zachowałam list, który do niej dołączył. Pedrek pisał:

“Najdroższa Rebeko!

Ile bym dał za to, żebyśmy mogli być razem. Przez cały czas żyłem nadzieją, że przyjedziesz na Boże Narodzenie do Kornwalii. Wszyscy inni też się łudzili. Muszę Ci się do czegoś przyznać. Powiedziałem im o nas. Nie mogłem dłużej dusić w sobie tej tajemnicy.

Rozmawiali o Tobie i żalowali, że Ciebie nie ma... i tak to jakoś wyszło.

Przyrzekliśmy sobie, że im nic nie powiemy, i powinienem czekać do chwili, kiedy będziemy mogli wspólnie obwieścić im tę nowinę. Ale gdybyś mogła widzieć ich radość, na pewno nie miałabyś mi za złe, że nie dotrzymałem słowa. Moja mama i Twoja babcia padły sobie w objęcia, a moi dziadkowie o mało się nie rozplakali z ogromu szczęścia. Powtarzali jeden przez drugiego, że w głębi duszy zawsze tego pragnęli i modlili się, aby ich marzenia się ziściły. A mój dziadek zapowiedział, że nikt w całej Kornwalii nie miał i mieć nie będzie równie wspaniałego wesela, jakie on planuje nam wyprawić.

Zgodzili się jednak, iż bardzo mądrze zrobiliśmy, postanawiając poczekać ze ślubem, dopóki nie ukończę studiów. Mówią, że obydwójce jesteśmy jeszcze bardzo młodzi i musimy dojrzeć do tego ważnego kroku. W tym wypadku nie zgadzam się z nimi. Przekazuję Ci tylko ich opinię; a ja pragnę jedynie, aby dni mijały jak najszybciej.

Och, Rebeko! Byłoby cudownie, gdybyś mogła tu być. Boże Narodzenie miałoby wtedy dla mnie zupełnie inny urok. Twój dziadkowie mówią, że na pewno wybierzesz się do Cador na wiosnę, ale to bardzo odległy termin. Wiem jednak, że zobaczymy się prędzej czy później i że muszę uzbroić się w odpowiednią dozę cierpliwości. Jedynym sposobem, aby się nie dać tęsknocie, jest powtarzanie sobie, że jesteśmy już zaręczeni i że potem nic i nigdy nas nie rozdzieli.

Kocham Ciebie dziś, jutro i na wieki.

Pedrek”

A oto list babci:

“Moja kochana Rebeko!

Pedrek właśnie nam powiedział o Waszych planach. Natychmiast zasiadam do pisania, żeby Ci donieść, jak bardzo ta wiadomość uszczęśliwiła mnie i Twego dziadka. Pedrek czuje się trochę winny. Powiedział, że wspólnie zdecydowaliście zachować na razie tę wiadomość w tajemnicy. Chciałaś poczekać, dopóki on nie ukończy studiów... lub będzie tuż przed ich końcem. Nie miej do niego pretensji. Zdradził się z tym mimo woli. Był taki szczęśliwy i pragnął się z nami podzielić swoim szczęściem.

Och, gdybyś mogła być teraz z nami!

Twój dziadek twierdzi, że o niczym lepszym dla Ciebie nie marzył, i ja zgadzam się z nim całkowicie. Trzeba było Ci widzieć Pencarronów. To para kochanych sentymentalnych staruszków. Jak wiesz, Pedrek i jego matka są osiłą, wokół której obraca się całe ich życie. Dla nich rodzina jest wszystkim.

Cieszą się też ogromnie, że Pedrek w przyszłości przejmie ich kopalnię. Wszystko to razem sprawiło, że szczęście ich nie ma granic.

Wypiliśmy Twoje zdrowie i bezustannie o Tobie rozmawialiśmy. Pani Pencarron już zaczyna planować, w co się ubierze na Wasze wesele, jako babcia pana młodego, a pan Pencarron się zastanawia, komu powierzyć zaszczyt przygotowania wspaniałego wesela, jakie planuje Wam wyprawić. Jeśli chodzi o reakcję rodziców Pedreka, to Morwenna jest wniebowzięta, podobnie Justin. Morwenna mówi, że nasze rodziny łączą bliskie i silne więzy i opowiada o chwili Waszych narodzin w Australii, w okazałym domu Twojego ojczyma, w tym ponurym górniczym miasteczku. Z czułością wspomina też wielką przyjaźń, jaka łączyła ją z Twoją drogą mamą. Och, Rebeko, nie wątpię, że Twoja matka również niezmiernie cieszyłaby się z tej wiadomości. Dla niej liczyło się przede wszystkim Twoje szczęście... tak jak i dla nas. Pedrek to naprawdę dobry chłopak i wszyscy bardzo go kochamy. To wspaniała nowina!

A teraz garść informacji z naszego lokalnego podwórka. Życie w Poldorey toczy się zwykłym torem. Pani Arkwright urodziła bliźnięta... zgodnie z przewidywaniem naszej nieomyłnej pani Polhenny. Jeden z kutrów rybackich Joego Gartha zatonął podczas ostatniego sztormu. Cała załoga, dzięki Bogu, ocalała, ale utrata łodzi to wielka strata. Komuś się przesłyszało, że niedawno biły dzwony na dzień Jeziora Świętego Branoka. Ale takie wieści, jak sama wiesz, rozchodzą się od czasu do czasu. Pani Yoe i panna Heathers pokłóciły się jak zwykle o to, która z nich ma dostąpić przywileju dekoracji kościoła na święta. Pani Polhenny nadal spełnia obowiązek, do którego powołał ją Pan Bóg, z wielkim pożytkiem dla mieszkańców naszej okolicy. Bezustannie objeżdża ją wzdłuż i wszerz na swym starym gruchocie. Uśmiełabyś się, gdybyś ją zobaczyła. Ona autentycznie ubarwia życie w Poldorey. Koniecznie musisz przyjechać na wiosnę. To naprawdę najlepsza pora. Ale mieć Cię tutaj na święta byłoby wielkim szczęściem - zwłaszcza teraz, kiedy Pedrek zdradził nam Waszą słodką tajemnicę. Wszystkich nas napełniła ona niewypowiedzianą radością.

Ściskamy Cię najserdeczniej

Twoi kochający

i bardzo za Tobą stęsknieni,

dziadkowie”

Były to kochane, serdeczne listy. Włożyłam je do srebrnej szkatułki, którą kiedyś dostałam od mamy, i umieściłam w podręcznej szufladzie, ponieważ wiedziałam, że jeszcze nieraz będę chciała do nich zajrzeć.

Na kilka dni przed świętami przyjechał Oliver Gerson. Byłam zaskoczona. Słyszałam, że jeden ze współpracowników Benedykta został zaproszony do Manor Grange na Boże Narodzenie, ale nie było wzmianki o Oliverze.

Byłam z dziewczynkami na przejażdżce. Ostatnio często robiłam z nimi wycieczki konno.

Panna Stringer wyjechała już na święta i dzięki temu mogłam teraz spędzać z nimi więcej czasu niż zwykle. Wróciwszy z przejażdżki, kiedy znajdowałyśmy się już na podjeździe, ujrzałam stojący przed domem powóz. Pan Emery od drzwi pouczał służbę, dokąd ma wnieść bagaże gościa.

Mężczyzna odwrócił się i wtedy go poznałam.

- Pan Gerson! - wykrzyknęłam.

Zdziwiła mnie reakcja Belindy. Zeskoczyła z kucyka i podbiegła do Olivera. Stała naprzeciw niego z uniesioną głową i uśmiechem na twarzy.

Wziął rączkę Belindy i ucałował ją uroczyście.

- Miło cię znowu zobaczyć - oświadczył.

Następnie podszedł do mnie i ujmując moją dłoń, złożył na niej równie wytworny pocałunek. Spojrzał na Lucie. Dziewczynka sama wyciągnęła rączkę, którą ucałował w ten sam sposób. Rzadko stykałam się z kimś, kto miał tak wytworne maniery.

- Czekałem niecierpliwie na tę radosną chwilę - powiedział, spoglądając na mnie. - Muszę wyznać, że się trochę obawiałem, iż nie będzie was na święta w Manorleigh.

- Zostajemy! - wykrzyknęła Belinda, podskakując.

- Ależ to będzie frajda - powiedział. - Boże Narodzenie na wsi, w najbardziej sympatycznym towarzystwie, jakie można sobie wyobrazić. - Uśmiechnął się do nas ujmująco.

- Jak długo zamierzasz tu zostać? - spytała Belinda.

- To zależy od mego gospodarza.

- Czy ten gospodarz to mój ojciec? - spytała niezbyt roztropnie Belinda.

- Tak jest. To on.

- Może wejdziemy do domu - zaproponowałam.

Chłopiec stajenny odebrał od nas konie i wszyscy weszliśmy do holu. Zaraz u progu natknęliśmy się na Benedykta, który właśnie schodził ze schodów.

- Jesteś już - przywitał Gersona. - Miło cię widzieć. Służba ci wskaże pokój. Czeka już na ciebie.

- Jestem ci wdzięczny za zaproszenie. Damy przywitały mnie tak miło, że natychmiast poczułem się jak w domu.

- Ach tak... - z roztargnieniem powiedział mój ojczym. - Bagaze zanosą na górę do twego pokoju. Miałaś dobrą podróż?

- Owszem, bardzo dobrą, dziękuję.

- Chciałbym z tobą porozmawiać przed kolacją.

- Jestem do twojej dyspozycji.

- Świetnie. - Przeszedł z Oliverem Gersonem przez hol. Na nas ledwie rzucił okiem. Spojrzałam na Belindę. Oczy jej błyszczały.

- To wspaniale - rzekła. - Nie cieszysz się, Lucie? On spędzi z nami Boże Narodzenie.

- Jest bardzo sympatyczny - stwierdziła Lucie.

- Oczywiście, że jest sympatyczny. To najmiłszy człowiek, jakiego znam.

- Jeszcze nie miałaś okazji go dobrze poznać - próbowałam ostudzić jej zapał.

- Znam go! Lubię go. Cieszę się, że tu jest.

Przeskoczyła trzy stopnie naraz.

Spojrzałam na Lucie i roześmiałam się.

- Nie ma wątpliwości, że Belinda darzy go wielką sympatią - skonstatowałam.

- Często o nim mówi. Twierdzi, że przypomina jej jednego z tych legendarnych rycerzy, którzy gotowi byli ryzykować życie, byleby tylko zdobyć względy królewskiej córki.

- Miejmy nadzieję, że się nie myli - odparłam.

Kiedy teraz, z perspektywy czasu, wspominam tamto Boże Narodzenie, muszę przyznać, że kojarzy mi się przede wszystkim z osobą Olivera Gersona. Wiele czasu poświęcał dzieciom i ten

gest, moim zdaniem, bardzo ładnie o nim świadczył. Wydawał się rozumieć psychikę Belindy, która w jego towarzystwie zmieniała się nie do poznania. Nigdy przedtem nie widziałam, by ktoś wpływał na nią równie korzystnie. Stała się dzieckiem normalnym, tryskającym energią i radością życia. Utwierdziło mnie to jeszcze raz w przekonaniu, iż ogromnie łaknęła uznania i sympatii otoczenia, a jej krnąbrność i zmienne nastroje były jedynie sposobem ściągnięcia na siebie uwagi. Zmiana, która w niej nastąpiła obecnie, była nadzwyczajna.

Oliver Gerson wiele godzin spędzał w towarzystwie Benedykta. Przypuszczałam, że głównie w tym celu zaproszono go na święta do Manor Grange.

Oświadczył mi, że jest prawą ręką mego ojczyma.

- Domyślam się, że łączą was wspólne interesy - rzekłam. - To chodzi o kluby, prawda?

- Owszem, o nie też, ale i o inne sprawy. Jak wiesz, pracowałem dla dziadka twego ojczyma.

- Ach tak... wują Petera.

- Był wspaniałym człowiekiem. Bystry, wykształcony i przebiegły jak lis.

- Czy dobrze się z nim pracowało?

- Wspaniale! To była wielka przygoda.

- Dotkliwie odczuwamy w rodzinie jego brak, chociaż wszyscy wiemy, że interesy, które prowadził, miały dość podejrzany charakter. Czy to dotyczy tej samej działalności?

- Ci, którzy się oburzają, po prostu zazdroszczą innym sukcesu. Kluby zaspokajają potrzebę określonego gatunku rozrywki dla pewnej kategorii ludzi. Skoro są jednostki, które pragną uprawiać hazard, dlaczego im tego zabraniać. Jeżeli chcą tracić pieniądze, to ich sprawa.

- Ale, o ile wiem, uprawia się w nich nie tylko hazard.

Wzruszył ramionami.

- Nikogo się tam nie ciągnie na siłę. Uczęszczają do nich z własnej woli. Kluby są

całkowicie legalne. Funkcjonują zgodnie z prawem.

- Wuj Peter swego czasu ubiegał się o mandat poselski, ale skandal, jaki wybuchł w związku z tymi klubami, pokrzyżował mu plany i zrujnował jego polityczną karierę.

- Wiem o tym. To było już dawno. Normy moralności zmieniły się od czasów śmierci księcia małżonka. Gdyby się to zdarzyło dzisiaj, sprawy przedstawiałyby się zupełnie inaczej.

Książę tak wysoko ustawił moralną poprzeczkę.

- Ale czy na tym nie traci dobre imię mego ojczyma?

- Myślę, że on wie, co robi.

- Pamiętam, że moja mama była zdenerwowana, kiedy się dowiedziała, że ojczym odziedziczył te kluby. Namawiała go, by je sprzedał.

- Benedykt jest człowiekiem czynu i nie mógłby z nich zrezygnować. Myślisz, że łatwo odrzucić pokusę dalszego pomnażania swego i tak ogromnego majątku?

- Sądzę, że bardzo łatwo. Ma przecież wystarczająco dużo pieniędzy.

- Nie jesteś w stanie zrozumieć psychiki człowieka, który jest stworzony na biznesmena.

- Myślę, że na pierwszym miejscu należy stawiać szczęście rodziny.

Położył mi rękę na dłoni.

- "O mądry sędzio, jakże cię uwielbiam" - zacytował Szekspira.

- Nie jestem Porcją, ale wydaje mi się, że to jest jasne. Moja mama ogromnie się przejmowała. To było na krótko przed jej śmiercią.

Urwałam raptownie. Próbowałam go obwinać za to, co się stało. Starłam się w siebie wmówić, że jego nienasycona żądza bogactwa doprowadziła moją mamę do takiej depresji, że w krytycznej chwili zabrakło jej sił do walki o życie.

Kompletny absurd! Ta sprawa nie miała nic wspólnego z jej śmiercią.

- Rozumiesz - ciągnął Oliver Gerson - Benedykt ma zmysł do interesów. O ile wiem, w

Australii też mu szło całkiem nieźle, jeszcze zanim wszedł w posiadanie kopalni złota. Czy zatrudniał siłę roboczą?

- Tak. Mama opowiadała o tym wielokrotnie. Trafił na złotonośną żyłę, ale złota nie było tak wiele, by mógł zrobić na nim majątek. Był jednak w stanie pozwolić sobie na wynajmowanie ludzi do pracy na swojej działce. Wielu górników zrezygnowało z poszukiwań na własną rękę i wolało zatrudniać się u innych, byleby tylko zapewnić sobie stały dochód.

- Rozumiesz teraz, co miałem na myśli, mówiąc o jego umiejętności robienia interesów. Nie można oczekiwać od takich ludzi, że będą unikać trudności i ryzyka w imię spokojnego życia. Tego typu ludziom nie zależy na spokoju. Oni szukają coraz to nowych przygód, wrażeń i podniet.

- A ty... czy też masz zmysł do interesów?

- Naturalnie. Tylko że ja nie miałem takiego szczęścia jak twój ojczym... na razie.

- No cóż, nie wątpię, że i tobie fortuna dopisze któregoś dnia.

- Nie muszę cię zapewniać, że gorąco tego pragnę. Ale nie lękaj się o stan jego interesów.

Zapewniam cię, że twój ojczym wie, jak sterować naszym statkiem, by nie wpadł na niebezpieczne rafy.

- Masz dla niego, jak widzę, wielki podziw.

- Gdybyś z nim pracowała, podzielałabyś mój pogląd.

Czas wolny od narad z moim ojczymem Oliver spędzał przeważnie w towarzystwie moim i dzieci. Z dnia na dzień zyskiwał coraz większe uznanie w oczach dziewczynek, które za nim przepadały. Traktował je z całą powagą i nigdy nie dał odczuć, że zniża się do ich poziomu. Przeciwnie - odnosił się do nich jak do dorosłych, inteligentnych osób, ponieważ za takie je w istocie uważał.

Często robiliśmy wspólne wycieczki konno. Jeszcze nie widziałam Belindy tak szczęśliwej.

Miałam już teraz niezbitą pewność, że jest z niej całkowicie normalne, zdrowe psychicznie

dziecko, którego charakter w pewnym okresie uległ spaczeniu na skutek obojętności - a nawet niechęci - jej dziwnego ojca.

Z radością powitałam w niej zmianę i sama zachęcałam Olivera Gersona, by dotrzymywał nam towarzystwa. Ale on nie potrzebował żadnej zachęty. Zorientowałam się, że jego talent zabawiania otoczenia nie ustępuje - jak sam się do tego przyznał - umiejętności robienia interesów.

Bezustannie żartował i dowcipkował, pobudzając dziewczynki do wybuchów niepohamowanego śmiechu, w którym wyrażała się nade wszystko radość samego istnienia.

Gerson był pełen pomysłów i urozmaicał nam czas na wycieczkach, wymyślając różne gry i zagadki, które rozbudzały dziecięcą wyobraźnię. Wyprawy z nim były bardzo przyjemne.

- Punkt dla tej, która pierwsza zobaczy krzak ostrokrzewu, a na nim przynajmniej z dziesięć owoców.

Zachichotały.

- O, widzę! - wykrzyknęła Lucie.

- To nie jest ostrokrzew, prawda, panie Gerson? - upewniała się Belinda.

- Nie, to jakiś inny gatunek, nie ostrokrzew. Gdyby tu była wasza guwernantka, toby nam powiedziała, jak on się nazywa.

- Lepiej, że jej tu nie ma, bo korzysta z każdej okazji, by nas pouczać.

- No cóż, przykro mi, Lucie, pomyliłaś się, to nie jest ostrokrzew. Spróbuj jeszcze raz!

Potem były zawody: kto pierwszy zobaczy siwego konia.

Do radości ze wspólnych przejażdżek doszedł więc jeszcze element współzawodnictwa, entuzjastycznie przyjęty przez obie dziewczynki.

Wszyscy wiedzieliśmy, jaki jest program pierwszego dnia świąt. Najpierw rano pojedziemy do kościoła, a potem przyjdą kolędnicy z życzeniami. Zostaną poczęstowani gorącym ponczem oraz babeczkami z bakaliowym nadzieniem. Głównym punktem dnia będzie tradycyjny obiad z

wieloma daniami serwowanymi ze szczególnym pietyzmem. Weźmie w nim udział kilkoro zaproszonych gości. Dzieci zasiądą przy osobnym stole, w wydzielonym miejscu jadalni, pod nadzorem Leah.

Dorośli, jak to zwykle bywa po obfitym posiłku, poczują się wkrótce trochę senni. Po jakimś czasie rozmowa przy stole stanie się chaotyczna i bezładna, a niektórzy goście zaczną nawet podsypiać. O piątej podadzą herbatę, a wieczorem odbędzie się przyjęcie z zimnym bufetem. Potem część osób, które zostają na noc, uda się na spoczynek do swoich pokojów, a reszta rozjedzie się do domów. Dzieciom, z okazji świąt, rozluźni się nieco dyscyplinę - pójdą spać dopiero o dziewiątej.

- Ileż takie święta kosztują zachodu i wysiłków, a miną jak błyskawica - zauważył Oliver Gerson. - Obawiam się, że nasza dwójka będzie sobie łamać głowę, co ze sobą zrobić w czasie, gdy dorośli udadzą się na popołudniową sjęstę. Powinniśmy wymyślić im jakieś zajęcie o tej porze.

- Świetny pomysł! W Cadore jest inaczej. Tam nikt się nigdy nie nudzi.

- Musimy znaleźć jakiś sposób. Pomyślałem o poszukiwaniu skarbu.

- Jak? Gdzie?

- Zabawę trzeba urządzić w ogrodzie.

- A jeśli będzie padał śnieg lub deszcz?

- Wówczas odwołamy imprezę albo pomyślimy o innych zajęciach w domu.

- Jak będzie przebiegało poszukiwanie skarbu?

- Idąc po śladach... tropach, trzeba będzie dojść do kryjówki, w której będzie karteczka z krótkim wierszykiem wskazującym następny schowek. Myślę, że sześć karteczek wystarczy.

- A kto ułoży wierszyki?

- My. Potrzebna mi też będzie twoja pomoc w znalezieniu odpowiednich kryjówek w ogrodzie.

- Wspaniały pomysł!

- Jasne, przecież ja jestem jego autorem!

Roześmieliśmy się oboje.

- Ile będzie dzieci? - zapytał Oliver.

- Sześcioro... może siedmioro. Dwoje pociech naszego administratora, trzy latorośle niezmordowanych pomocników Benedykta oraz nasze dziewczynki.

- Idealna liczba. Oczywiście zwycięzca otrzyma nagrodę; musi być koniecznie jakiś cel, dla którego warto się starać.

- Co to będzie?

- Pójdziemy dzisiaj do wsi i kupimy wielkie pudło czekoladek. Wielkie i ozdobne, jak przystało na prawdziwą nagrodę.

- Jestem pewna, że pomysł ogromnie się dzieciom spodoba.

- Uwolni je od przymusowej nudy świątecznego popołudnia, kiedy trzeba być cicho, ponieważ goście odpoczywają po obiedzie.

- A ty nie będziesz zbyt senny, by kierować tą zabawą?

- Ja? Ani przez moment. Myślę, że ty też nie.

- Cieszę się, że przyszedł ci do głowy taki pomysł. Dla dzieci będzie to wielka atrakcja. Będą miały bardzo urozmaicone Boże Narodzenie.

- A zatem do roboty! Najpierw tropy. My także musimy się gdzieś ukryć. Co myślisz o letnim domku? W środku jest ciepło, kiedy się zamknie drzwi. Dzieciom nie przyjdzie do głowy nas tam szukać.

- Dobrze. Czy chcesz jeszcze coś dodać?

- Musimy się zabrać pilnie do roboty. Po południu idziemy do wioski po nagrodę.

Bardzo nam było wesoło w letnim domku. Śmieliśmy się przez cały czas. Wspólnie

ułożyliśmy sześć prostych dwuwierszy i ukryliśmy je w odpowiednich zakątkach ogrodu.

Następnie poszliśmy do wsi i kupiliśmy wielkie pudło czekoladek, przewiązane czerwoną wstążką.

Kiedy wróciliśmy, zastaliśmy Lucie i Belindę w ogrodzie. Przybiegły do nas pędem.

Belinda schwyciła Olivera Gersona za ramię.

- Gdzie byliście? - dopytywała się natarczywie.

- Och - odparł Oliver, przybierając tajemniczą minę. - Na razie to wielka tajemnica.

- Co za tajemnica? A to, co to jest?

Przyłożył palec do ust i uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo.

Lucie uwiesiła się na moim ramieniu.

- Co to jest, Rebeko? - zapytała prosząco.

- To - oznajmił Oliver, podnosząc do góry pudło - to jest nagroda.

- Jaka nagroda?! Co za nagroda?! - wykrzykiwała piskliwie Belinda.

- Jak sądzisz, możemy im o tym powiedzieć? - zapytał mnie Oliver.

- Myślę, że tak - rozsądziłam. - Chyba czas, by się o tym dowiedziały.

Belinda, zaintrygowana do najwyższego stopnia, podskakiwała do góry jak piłka, nie będąc w stanie pohamować gorączkowej ciekawości.

- W dzień Bożego Narodzenia, po obiedzie - wyjaśnił Oliver - odbędzie się poszukiwanie skarbu.

- Skarbu? Jakiego skarbu?

- Panna Rebeka i ja wymyśliliśmy dla was zabawę.

- Dla nas?! - wykrzyknęła Lucie przejęta nie mniej od Belindy.

- Dla was i dla wszystkich dzieci, które będą tutaj gościć z okazji świąt. Musicie się przygotować na ostrą konkurencję, ponieważ nie tylko wy będziecie brały udział w zawodach.

- Mów! - rozkazała Belinda.

- To, jak wam już powiedziałem, jest nagroda, czyli skarb. Zwycięzcą zostanie ten, kto pierwszy odnajdzie wszystkie tropy. Damy wam jeden na początek. Są to karteczki ze wskazówkami napisanymi wierszem. Pozostałe pięć karteczek musicie odszukać już same; są ukryte w ogrodzie. Kiedy odnajdziecie wszystkie papierki, wręczycie je nam... to jest pannie Rebecce i mnie. Będziemy czekać na zwycięzcę w letnim domku. Kiedy któreś z dzieci szukających skarbu: ona lub może on, dostarczy nam sześć karteczek, otrzyma skarb.

- Co za wspaniała zabawa! - zachwyciła się Belinda. - Nikt na świecie nie potrafi wymyślić takich cudownych gier jak pan, panie Gerson.

- To dla mnie wielka przyjemność, że mogę sprawić ci radość, panno Belindo.

- A mnie? - zapytała Lucie.

- Tobie także, panno Lucie... i naturalnie również pannie Rebecce... oraz wszystkim, którzy razem z nami będą świętować Boże Narodzenie.

- Kiedy otrzymamy karteczki ze wskazówkami? - zapytała Belinda.

- Dopiero kiedy zbiorą się wszystkie dzieci. Gra musi być uczciwa, rozumiesz.

Do końca dnia nie rozmawiały już o niczym innym. Pomysł z poszukiwaniem skarbu całkowicie opanował ich wyobraźnię.

- Teraz wypada się tylko modlić o dobrą pogodę - zauważyłam. - Będą bardzo zawiedzione, jeżeli śnieg lub deszcz pokrzyżuje plany i uniemożliwi poszukiwanie skarbu.

Dzień Bożego Narodzenia wstał bezdeszczowy, chociaż chmurny i posępny. Powietrze przesycone było wilgocią, ale mieliśmy nadzieję, że deszczu nie będzie. Było też względnie ciepło. Zgodnie z tradycją udaliśmy się wszyscy rankiem do kościoła, a gdy z niego wróciliśmy, przed domem czekali już na nas kolędnicy. Odśpiewali: "Pierwsze Boże Narodzenie", "Bluszcz i ostrokrzew", "Dwanaście dni Bożego Narodzenia" oraz "Wszyscy wierni". Zawsze ogarniało mnie wzruszenie, ilekroć słuchałam moich ulubionych, pięknych kolęd.

Po wykonaniu programu kolędnicy zebrali się w holu, gdzie mój ojczym wygłosił do nich krótkie przemówienie, dziękując za piękny występ. Następnie poczęstowano śpiewaków gorącym ponczem i babeczkami z bakaliowym nadzieniem. Roznosiły je dzieci pod kierunkiem Celeste. Następnie zasiedliśmy do obiadu. Dzieci oddzielnie wraz z Leah, a dorośli przy dużym dębowym stole, ustawionym pośrodku holu. Było bardzo dużo śmiechu. Obserwowałam swego ojczyma urzędującego na poczesnym miejscu u szczytu stołu; był taki ujmujący i uprzejmy dla gości, że mimo woli cisnęło mi się na usta pytanie: Dlaczego nie jest równie miły dla rodziny? Celeste siedząca naprzeciw niego, na drugim krańcu, zachowywała się, jak przystało na panią tak wytwornego domu. Ja miałam miejsce obok Olivera Gersona. Podejrzewałam, że to on wyszedł z inicjatywą, ale nie miałam nic przeciwko temu. Wiedziałam, że nie będę się przy nim nudzić, lecz spędzę czas na dowcipnej i interesującej rozmowie.

Od czasu do czasu zerkał w kierunku małego stołu. W pewnej chwili jego oczy napotkały pytający wzrok Belindy. Uniósł rękę w uspokajającym geście. Odpowiedziała mu promiennym uśmiechem. Poczułam do niego wielką wdzięczność. To dzięki niemu Belinda ma takie radosne i szczęśliwe święta.

Jakże różnił się od mego ojczyma! Ten był tak zaprzątnięty realizacją swych ambitnych celów, że nie starczało mu już czasu dla własnej rodziny.

- Mam wrażenie, że po południu pogoda nam dopisze - powiedziałam do sąsiada.

- Musi. W przeciwnym razie trzeba będzie wymyślić jakąś inną zabawę.

- Pogoda musi się utrzymać. Belinda i Lucie żyją tylko myślą o niej. Od kiedy dowiedziały się o zawodach, nie mówią o niczym innym. Nawet radość z gwiazdkowych prezentów zeszła na drugi plan.

Obiad ciągnął się w nieskończoność; wreszcie wszyscy wstali od stołu.

Zaproszone dzieci wiedziały już o planowanej zabawie i z niecierpliwością czekały na jej

rozpoczęcie.

- Z dziećmi jest zawsze problem podczas świąt - przyznała pani Emery. - Są pobudzone i przeszkadzają gościom w odpoczynku, a nie bardzo wiadomo, czym je zająć. To dobrze, że możemy się ich pozbyć z domu, choćby tylko na krótko. Pan Gerson świetnie sobie z nimi radzi.

Byłby doskonałym ojcem, świadczy o tym jego stosunek do naszych dziewczynek.

Kiedy dzieci się zebrały, Oliver wręczył im pierwszą karteczkę ze wskazówką.

- Z panną Rebeką będziemy na was czekać w letnim domku - zakomunikował. - Kto pierwszy dostarczy nam wszystkie sześć wskazówek, otrzyma w nagrodę tajemniczy skarb. Oto on.

- Podniósł pudełko przewiązane czerwoną wstążką.

- Potrzebujemy sześć małych świstków papieru, takich jak ten oto. A teraz czekajcie na sygnał. Gotowi? Do biegu, start!

W drodze do letniego domku podzieliłam się z nim wątpliwością.

- Czy nie uważasz, że Belinda i Lucie mają w tej grze przewagę nad pozostałymi dziećmi?

To nie jest uczciwe. One znają ogród na wylot, podczas gdy reszta dzieci niezbyt dobrze się w nim orientuje.

- Życie, niestety, już takie jest. Jedni mają lepszy, drudzy gorszy start - odparł. - Nie da się tego uniknąć.

- Wydaje mi się także, że niektóre dzieci jeszcze do tej zabawy nie dorosły. Na przykład taki William Arlott.

- Widzisz więc: jeden jest taki, drugi inny.

W domku znajdowały się dwa krzesełka; usiedliśmy i czekaliśmy na zwycięzcę.

- Jak sądzisz, długo będziemy czekać? - zastanawiałam się.

- Nie. Wskazówki są bardzo proste. Zwycięzca zjawi się lada moment, nie obawiaj się.

- Belinda rozpaczliwie pragnie wygrać.

- Mam nadzieję, że jej się to uda. Biedne dziecko.
- Widzę, że ją lubisz. Wyczuwam to w twoim głosie.
- Jest interesująca, a także inteligentna, i to wybitnie. Nie sprawia jednak wrażenia szczęśliwej, mam rację?
- Owszem. Często też bywa trudna.

Kiwnął ze zrozumieniem głową.

- Ale - ciągnęłam - ostatnio zmieniła się na lepsze; głównie dzięki tobie.
- Myślę, że brakuje jej rodzicielskiej miłości.
- Tak, to prawda. Los dziewczynki jest bardzo smutny. Najważniejszą osobą w życiu dziecka jest matka, a ona ją straciła, ledwie otworzyła oczy na świat.
- No, a Leah?
- Biorąc pod uwagę okoliczności, trudno sobie wymarzyć lepszą nianię dla Belindy. Nikt inny nie zrobiłby dla niej tyle, co ona. Ale mam wrażenie, że ona za bardzo jej pobbąza. Czasami martwię się o Lucie, ponieważ Leah wyraźnie Belindę faworyzuje...
- Lucie jest przyjaźnie nastawiona do ludzi, prawda? Czy ją to nie boli?

- Nie wiem. Dzieci w niektórych sprawach są skryte. Nie zawsze chcą się zdradzić ze swymi myślami i uczuciami. Belinda stale jej przypomina, że to ona jest córką pana domu. Lucie przyszła na świat w tajemniczych okolicznościach. Jej matka była trochę upośledzona na umyśle i na dodatek nikt nie wie, kto jest jej ojcem.

- A najdziwniejsze ze wszystkiego, że ty ją adoptowałaś.

- W rzeczywistości adoptowali ją moi dziadkowie. Miałam wtedy niecałe jedenaście lat.

Tkwiło we mnie jakieś takie przekonanie, że muszę się nią zaopiekować. Nie mogłabym tego zrobić oczywiście bez zgody dziadków. Oni są tacy dobrzy i tak mnie rozumieją! Gdyby mój ojczym nie zgodził się, bym ją zabrała ze sobą, Lucie zostałyby w Cadore pod ich opieką. Na

szczęście nie wyraził sprzeciwu i Lucie przyjechała z nami do Londynu... i jest od tej pory.

- Obiektywnie rzecz biorąc, gdyby któraś z nich miała cierpieć z powodu braku poczucia bezpieczeństwa, powinna nią być raczej Lucie, nie Belinda.

- Lucie z pogodą przyjmuje swoją gorszą pozycję. Trafiła do naszej rodziny w sposób niespotykany, przy czym mnie uważa za kogoś w rodzaju matki - siostry. Ja jestem dla niej łącznikiem z naszą rodziną. Nie mam co do tego wątpliwości. Ona i Belinda są jak dwie siostry. Oczywiście, zdarzają się między nimi sprzeczki, to jest nieuchronne. Czasami nawet dochodzi do kłótni, ale ogólnie rzecz biorąc, są do siebie bardzo przywiązane.

Ujął moją rękę i uścisnął ją mocno.

- Myślę, że zrobiłaś piękny uczynek, biorąc to dziecko pod swoją opiekę - oświadczył.

- Coś we mnie kazało mi tak postąpić, wspomniałam ci już o tym.

- Chyba tak rzeczywiście musiało być.

- Nigdy nie żałowałam tego kroku.

- A jeżeli wyjdiesz za mąż?

- Wyjdę za mąż tylko pod warunkiem, że mój przyszły mąż zaakceptuje Lucie.

Uśmiechnęłam się, myśląc o Pedreku, który zawsze mnie rozumiał. Myślami wybiegłam w przyszłość. Będzie nam ze sobą bardzo dobrze. On wie, że czuję się odpowiedzialna za los Lucie, i nie będzie to stanowiło dla niego jakiegoś problemu. Na pewno byłoby odwrotnie, gdybym zamierzała poślubić kogoś innego.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Oliver puścił moją rękę, którą ciągle trzymał w swej dłoni. W drzwiach stanęła Belinda.

- Znalazłaś już wszystkie karteczki i przychodzisz po nagrodę, czy tak? - zapytał Oliver.

Potrząsnęła głową. Sprawiała wrażenie, jakby za chwilę miała wybuchnąć płaczem.

- Znalazłam już pięć karteczek - oznajmiła. - Nie mogę znaleźć ostatniej. Szukałam

wszędzie. Lada chwila, a Lucie ją znajdzie. Jest już na tropie. Ja muszę mieć ten skarb! On się mnie należy! To jest mój dom!

- To nie ma nic do rzeczy - upomniałam ją. - To jest gra, a w każdej grze obowiązują uczciwe reguły. Musisz z godnością pogodzić się z przegraną.

Oliver Gerson wyciągnął rękę, a ona podeszła i oparła się o niego. Otworzył jej zaciśniętą piąstkę i wyjął z niej pomięty świstek papieru.

- To jest ostatni, jaki znalazłam - oświadczyła łamiącym się głosem. - Przeszukałam już wszystkie miejsca.

- Co głosi napis na piątej karteczce? - zapytał, po czym przeczytał na głos:

“W pobliżu wody szukać masz, @ gdzie uskrzydłony i dostojny stoi Grek @”.

Ujął ją za ramiona, a ona z napięciem obserwowała jego wargi.

- Nie skupiłaś się należycie - stwierdził. - Wiesz, gdzie jest woda, prawda?

Potrząsnęła głową.

- Kto jest tym dostojnym Grekiem?

- Nie... nie wiem.

- Wiesz. Kto ma skrzydła u pięt?

Spoglądała na niego z zakłopotaną miną.

- Gdzie rosną wodne lilie?

- W sadzawce.

- A więc to jest woda; a co stoi przy niej? Posąg, prawda?

Oczy rozszerzyły jej się z radości.

- A zatem wiesz już, gdzie szukać. Idź więc... i znajdź!

Kiedy wybiegła, powiedziała zdumiona:

- To nie jest uczciwe. Ty jej praktycznie podpowiedziałeś, gdzie znajduje się ostatnia

wskazówka.

- Wiem o tym.

- Jest to nie w porządku w stosunku do innych dzieci.

- One się o tym nie dowiedzą.

- Ale... panie Gerson.

- Czy nie mogłabyś się zwracać do mnie po imieniu: Oliver? Naprawdę dostojne imię.

Oliver Goldsmith, Oliver Cromwell, Oliver Gerson.

- Zbaczasz z tematu. Popełniłeś oszustwo!

- Musiałem.

Belinda wtargnęła z impetem do naszego schronienia, dumnie wymachując sześcioma świstkami papieru.

- Znalazłam je! Znalazłam je! Zdobyłam skarb!

Wyjął karteczki z jej ręki.

- Są wszystkie - stwierdził. - Przybyłaś pierwsza. Zdobyłaś skarb. A teraz musimy zawołać resztę dzieci i ogłosić, że skarb został znaleziony. Będą świadkami wręczenia nagrody.

Wyszliśmy przed domek. Wciąż nie mogłam się otrząsnąć z uczucia niesmaku, jaki spowodował jego postępek.

- Poszukiwacze skarbu, uwaga! - zawołał Oliver. - Skarb został znaleziony. Wszystkie dzieci proszone są o przybycie do letniego domku.

Belinda podskakiwała z radości. Nadbiegła Lucie.

- Już go prawie miałam - oznajmiła zadyszana. - Już byłam na tropie ostatniego wierszyka.

Nadeszła reszta dzieci.

Oliver Gerson uniósł pudełko przewiązaną czerwoną wstążką wysoko nad głową i wykrzyknął:

- Poszukiwanie skończone! Zwycięzcą jest Belinda. Panno Belindo Lansdon, skarb jest twoją własnością!

Uroczyście wręczył jej bombonierkę. Twarz dziewczynki zajaśniała radością. Przekazała pudełko Lucie. Przez moment odniosłam wrażenie, jakby zamierzała jej oddać swój skarb. Ale Belinda chciała jedynie oswobodzić ręce. Objęła Olivera Gersona i serdecznie uścisnęła. Kiedy się nad nią pochylił, gorąco go ucałowała.

Następnie odebrała pudełko od Lucie i mocno przycisnęła ją do piersi.

Nigdy przedtem nie widziałam wyrazu takiego szczęścia na jej twarzączce. Oliver Gerson sprawił, że Belinda przeżyła najpiękniejsze Boże Narodzenie w swoim życiu.

Stan euforii jeszcze przez długi czas nie opuszczał Belindy. Czekoladki już dawno zostały zjedzone. Jedynym śladem pozostało pamiątkowe pudełko z czerwonymi wstążkami w środku, widniejące na poczesnym miejscu w dzieciennym pokoju, a dziewczynka wciąż przeżywała chwilę swego triumfu. Często łapałam ją na tym, jak kierowała rozmarzony wzrok na pozostałości po słodkim trofeum.

Oliver Gerson był jej idolem. Nie robiła wrażenia, że odczuwa jakiegokolwiek wyrzuty sumienia z tego powodu, iż jej zwycięstwo miało wątpliwy charakter. Zdobyła skarb i tylko to się dla niej liczyło. Oliver Gerson wprowadził jej trochę dopomógł, ale przez to jeszcze bardziej stał się bliski jej sercu. W jej oczach był uosobieniem rycerskiej doskonałości.

Już nazajutrz miałam okazję porozmawiać z Oliverem o wczorajszej zabawie. Podszedł do mnie w ogrodzie.

- Widzę, że patrzysz na mnie z naganą w oczach. Ciągłe myślisz o tym incydencie? - zapytał.

- Tak - przyznałam.

- Chodźmy do letniego domku, tam porozmawiamy. Nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Gdy usiedliśmy, zagaił:

- Zgadzam się, że nie była to uczciwa gra; odbyła się niezgodnie z zasadami etyki. Ale szkoda mi dziewczynki. Ona mnie interesuje. Odnoszę wrażenie, że bardzo cierpi.
- Brakuje jej normalnego, szczęśliwego dzieciństwa... i kochających rodziców.
- Straciła matkę w momencie, gdy przyszła na świat, a ojciec nie może jej darować, że żona przyplącała to życiem. Nie pierwszy raz tak się zdarza.
- Postępuje niesprawiedliwie wobec dziecka. Czasami wręcz nienawidzę go za krzywdę, jaką wyrządza Belindzie.
- Benedykt nie ponosi za to winy. Po prostu pragnie zapomnieć, a ona wcale mu w tym nie pomaga.
- Przecież tragedia wydarzyła się już dawno.
- Wiem. Nic nie jesteśmy w stanie poradzić, jeśli chodzi o niego, ale możemy pomóc dziecku i to właśnie starałem się zrobić.
- I udaje ci się to znakomicie. Dzięki twym staraniom dziewczynka jest teraz szczęśliwa. Nie może jednak wzrastać w przekonaniu, że aby osiągnąć upragniony cel, trzeba się uciekać do nieuczciwych sposobów.
- W życiu to jest rzeczą nagminną.
- Może i tak, niemniej fakt ten jest godny ubolewania. W każdym razie dziecka nie wolno wychowywać w taki sposób. Wyrabia się w nim wówczas przeświadczenie, że tylko oszustwo prowadzi do sukcesu.
- Jesteś, jak widzę, osobą z zasadami.
- Nie w tym rzecz. Mamy do czynienia z wrażliwą dziecięcą umysłowością. Jesteś idolem Belindy i ona wzoruje się na tobie. Wszystko, co robisz, znajduje aprobatę w jej oczach. Po prostu wydaje mi się - nieistotne, co ty o tym sądzisz - że niewłaściwe jest takie postępowanie.

- Przepraszam cię pokornie, myślę jednak, że w niektórych sytuacjach trzeba ominąć zasady w imię dobra dziecka.
- Dobro dziecka! Każde z tych dzieci cieszyłoby się z wygranej. To była gra, sprawdzian, zawody... i jednemu z nich dopomogłeś do zwycięstwa.
- Daję ci słowo, że nigdy więcej nie popełnię takiego głupstwa; w dodatku gdybym wiedział, że taka będzie twoja reakcja, na pewno bym tego nie zrobił. Ale ona tak rozpaczliwie pragnęła wygrać, a biedactwo ma przecież swoje problemy, więc pomyślałem, że trzeba jej pomóc odnieść mały triumf.
- Jesteś bardzo dobry. Być może wyolbrzymiam incydent, który nie ma wielkiego znaczenia.
- Rozumiem twoje zastrzeżenia. Oczywiście, w tym wypadku ty masz rację, nie ja, ale współczucie dla dziecka wzięło u mnie górę.
- Wiele zrobiłeś, by pomóc Belindzie, i jestem ci za to bardzo wdzięczna. Przeżyła najpiękniejsze Boże Narodzenie, jakie miała dotychczas. Nie wspominajmy o tym więcej. Mam wrażenie, że jestem za surowa.
- Nie jesteś do tego zdolna. Jesteś taka miła i dobra... i taka wspaniała pod każdym względem.
- Poczułam się trochę nieswojo, ponieważ przysunął swoje krzesło bliżej mojego.
- Rebeko - mówił dalej. - Od dłuższego czasu próbuję ci coś powiedzieć.
- Próbujesz?
- Czekałem tylko na odpowiednią chwilę. Obawiałem się, że wybiorę niewłaściwy moment i wszystko popsuję przedwczesnym wyznaniem.
- Co chcesz mi powiedzieć?
- Jeszcze się nie domyśliłaś? Wiesz chyba, co do ciebie czuję.

Odsunęłam się nieco, nie spuszczać z niego badawczego wzroku. Uśmiechnął się do mnie z czułością.

- Kocham cię, Rebeko - wyznał. - Pokochałem cię od pierwszej chwili, w której cię ujrzałem. Wiedziałem od razu, że to jest to. Nawiązała się między nami nić wzajemnej sympatii. Twoja słodycz i serce dla dzieci, twój stosunek do Belindy i zajęcie się Lucie. Wszystko to dowodzi, że jesteś niezwykłą osobą. Żyję nadzieją i marzeniem. Widzę nas razem... wszystkich. Nie musisz mieć żadnych obaw co do tego, Rebeko. Kocham cię i pragnę, byś została moją żoną.

- Przestań, proszę - przerwałam mu. - Twoje oświadczenia pochlebiają mi i czuję się nimi zaszczycona. Bardzo cię cenię. Ale nie mogę za ciebie wyjść.

- Za wcześnie wystąpiłem z propozycją. Tego się właśnie obawiałem. Wybacz mi, Rebeko. Niech nadal wszystko zostanie między nami tak, jak było. Przemyśl moje słowa, później o tym porozmawiamy.

- Nie, Oliverze, to nie ma sensu. Chcę być z tobą szczerą. Jestem już zaręczona z kimś innym.

Spojrzał na mnie skonsternowany.

- Na razie trzymamy to w tajemnicy. Zaręczyny nie nastąpiły tak całkiem nieoczekiwanie.

Znam mego narzeczonego od niemowlęctwa i w jakimś sensie nasz przyszły związek był z góry przesądzony. Zaręczyliśmy się dość niedawno, na początku towarzyskiego sezonu. Rozumiesz zatem...

- Tak - odparł spokojnie. - Rozumiem.

- Przykro mi, Oliverze. Lubię cię i cenię za to, co uczyniłeś dla Belindy. Nigdy ci tego nie zapomnę.

- Widocznie za dużo oczekiwałem.

Potrząsnęłam głową.

- Gdybym była wolna, gdyby sytuacja nie była taka, jaka jest...
- To nieodwołalne, prawda?
- Tak.
- I ty kochasz tego mężczyznę?
- Jak najbardziej.
- Bez żadnych zastrzeżeń?
- Tak, bez żadnych zastrzeżeń.
- A jednak trzymacie to w tajemnicy? Czyżby twoja rodzina była niechętna waszej decyzji?
- Och nie! Ona aprobeuje ją całkowicie.
- Może twój ojczym?
- Och, nie... on nie. On o niczym nie wie. Jego zdanie się dla mnie nie liczy, ponieważ nie traktuję go jako rodzinę. Mam na myśli dziadków, którzy mnie wychowali, i rodzinę mego narzeczonego. Nasze rody od dawna się przyjaźnią i wszyscy ich członkowie bardzo się cieszą z naszych zaręczyn.

- Więc wszyscy o tym wiedzą oprócz ojczyma?

Skinęłam głową twierdząco.

- Jeszcze przez rok musimy zachować tajemnicę, potem ogłosimy to oficjalnie.

Ujął moją rękę i ucałował ją.

- A więc nie pozostaje mi nic innego, jak tylko życzyć ci szczęścia. Zasługujesz na nie w całej pełni.

- Dziękuję ci, Oliverze. Ładnie z twojej strony, że przyjąłeś to z takim zrozumieniem.

Drzwi do letniego domku otworzyły się raptownie. Pojawiły się w nich Belinda i Lucie.

- Szukałyśmy was wszędzie, gdzie tylko można - odezwała się Belinda z pretensją w głosie.

- Prawda, Lucie?

- Obeszliśmy wokół całego ogród i w końcu Belinda powiedziała: "A może są w letnim domku? Może układają nowe wierszyki do kolejnej zabawy w poszukiwanie skarbu?"

- Nie - odparł Oliver. - Nic z tych rzeczy. Jedna taka zabawa w święto wystarczy. Co za dużo, to niezdrowo. Ot, po prostu ucinamy sobie z panną Rebeką małą pogawędkę.

- Wygląda to raczej na poważną rozmowę - stwierdziła Belinda. - Kiedy wybierzemy się pojeździć konno?

- Możemy jechać nawet zaraz - oświadczył Oliver. I zwracając się do mnie, zapytał: - A co ty o tym myślisz?

- Zgoda - odparłam.

- Czego będziemy szukać tym razem? - dopytywała się Belinda. - Ostatnio szukałyśmy brązowych koni.

- Tym razem będziemy szukać czarnych - oznajmił Oliver. - Konie takiej maści rzadko się trafiają.

- Czarne konie, czarne konie - podśpiewywała Belinda. - Znajdę czarnego konia. Chodźmy! Szkoda czasu.

Podeszła do Olivera i wzięła go pod ramię.

Wieczorem tego samego dnia Belinda zapukała do mego pokoju. Była to pora, kiedy dziewczynki szykowały się już do łóżek. Za chwilę dostaną mleko i biszkopty, umyją zęby i pójdą spać. Była już rozebrana, w szlafrocisku i kapciach. Jej wizyta zaskoczyła mnie, ale myśl, że pragnie zobaczyć się ze mną przed snem, sprawiła mi dużą przyjemność. Nasze stosunki znacznie się polepszyły i bardzo mnie to cieszyło.

- Jak miło z twojej strony, że zajrzałaś do mnie przed nocą, Belindo - odezwałam się. -

Widzę, że już jesteś gotowa do snu.

- Leah zaraz nam przyniesie mleko.

- Czy masz mi coś do powiedzenia?

Milczała przez kilka sekund, po czym wybuchnęła:

- Wychodzisz za mąż za Olivera, prawda?

- Nie - odparłam.

- Wydaje mi się, że zamierza ci się oświadczyć. On cię bardzo lubi.

- Skąd takie przypuszczenie?

- Widzę, jak na ciebie patrzy i jak się uśmiecha, kiedy mówi o tobie. Ciągłe o tobie mówi.

- Nic nie uchodzi twej uwagi, Belindo.

- Wiem coś o tych sprawach i jestem pewna, że chce cię poślubić. Ja chcę, abyś za niego wyszła.

- Dlaczego?

- Ponieważ wtedy zamieszkałabym z wami. Wyprowadzilibyśmy się stąd i przenieśli do jego domu. Ty, ja, Lucie i Oliver. Bawilibyśmy się wciąż w różne gry i poszukiwanie skarbu.

- Życie nie składa się tylko z zabawy i poszukiwania skarbów, wiesz o tym dobrze.

- Z nim jest zawsze tak wesoło. Myślę, że byłaby to cudowna sprawa. Nas czworo... naturalnie Leah także zabralibyśmy ze sobą.

- Zanim zaczniesz snuć dalsze plany, Belindo, pragnę cię uprzedzić, że nie wyjdę za niego za mąż.

- On się tobie oświadczy.

- Do małżeństwa potrzebna jest zgoda dwojga ludzi.

- Oliver cię poprosi. Byłam przekonana, że on się tobie oświadcza w tym letnim domku.

Powinnyśmy poczekać i nie wchodzić. Potem sama byś nam o tym powiedziała.

- Posłuchaj, Belindo. Wiem, że go bardzo lubisz i przyjemnie by ci było, gdyby został

twoim szwagrem, ale życie nie jest takie proste, jak sobie wyobrażasz. Nie zawsze możemy mieć

to, co chcemy, zwłaszcza jeżeli jeszcze inne osoby wchodzi w grę. Nie wyjdę za niego za męża.

- Dlaczego?

- Po prostu nie chcę i już.

- Każda chce mieć męża, kiedy się starzeje.

- A ty skąd o tym wiesz?

- Słyszę różne rozmowy. Powinnaś wyjść za męża, póki jeszcze jesteś młoda.

- Nie muszę. I nie mam zamiaru poślubić pana Gersona.

- Ale on chce ciebie poślubić.

- Skąd ta pewność?

- Wiem i już.

- Jesteś bardzo mądra wobec tego.

- Chyba nie zamierzasz wyjść za męża za kogoś innego, co?

Moje wahanie trwało ułamek sekundy, ale Belindzie to wystarczyło. Była bardzo spostrzegawcza.

- Wydaje mi się, że taki właśnie masz zamiar! - rzuciła oskarżycielskim tonem.

- Posłuchaj, Belindo, nie masz pojęcia o tych sprawach. Nie poślubię pana Gersona.

- Ale dlaczego nie? To byłoby wspaniałe! Jeżeli tego nie zrobisz, popsujesz wszystko.

Bylibyśmy wtedy wszyscy razem. Byłoby nam tak dobrze.

Sprawiała wrażenie, jakby miała za chwilę wybuchnąć płaczem. Objęłam ją ramionami.

- Rzeczywistość nie zawsze układa się według ludzkich wyobrażeń. Ludzie żenią się i wychodzą za męża, ponieważ wierzą, że natrafili na tę jedną, jedyną wybraną osobę, z którą pragną przejść przez życie w szczęściu i harmonii. Zrozumiesz to pewnego dnia. A teraz idź i wypij mleko. Wystygnie ci.

Na jej twarzy odmalował się gniew i uraza. Z hardą i wrogą miną wybiegła z pokoju.

Powiedziałam do siebie: "Jakże naiwna byłam, myśląc, że się zmieniła. Ona chce, by wszystko było według jej życzenia - nawet moje małżeństwo".

Koszmar

Do Kornwalii wyjechałyśmy dopiero pod koniec maja. Listy od Pedreka nadchodziły regularnie, ale, rzecz jasna, nie mogły mi jego zastąpić. Opuszczałam więc Manorleigh z radością w duszy. Belinda i Lucie również niezmiernie się cieszyły na myśl o wyjeździe. Najmniej entuzjazmu przejawiała tylko panna Stringer. Co do Leah, to trudno się było zorientować w jej uczuciach. Byłam pewna, że chętnie zobaczy znów swą rodzinną miejscowość, ale z drugiej strony perspektywa częstego widywania matki, moim zdaniem, niezbyt ją pociągała.

Boże Narodzenie minęło i życie ponownie weszło w swoje stare koleiny. Belinda wydawała się radośniejsza niż kiedykolwiek. Pani Emery zauważyła:

- Jest znacznie bardziej zrównoważona. Wyraźnie się zmieniła. Nie jest już taka kapryśna i posępna jak przedtem. Dawniej bezustannie szukała zwady i za wszelką cenę starała się dać odczuć otoczeniu swoją wyższość.

Była to prawda.

Oliver Gerson często pojawiał się w Manorleigh. Przyjeżdżał zazwyczaj podczas obecności Benedykta, z którym odbywał wielogodzinne rozmowy. Przeważnie udawało mu się jednak wykroić trochę czasu dla nas. Wybieraliśmy się wówczas razem na przejażdżkę. Jak zawsze był życzliwy i uczynny, ale często przyłapywałam go, jak ukradkiem posyłał w moim kierunku smutne spojrzenia. Mimo to nigdy nie usiłował nawiązywać do małżeńskiej propozycji. Przypuszczalnie wyczekiwał stosownej chwili.

Niezmiernie okazywał Belindzie sympatię, a ona rozkwitała w jego towarzystwie. Co więcej, wizyta Olivera miała jeszcze tę dobrą stronę, że wesoły nastrój Belindy utrzymywał się jeszcze długo po jego wyjeździe. Nie miałam wątpliwości, że żyje myślą o jego następnej bytności.

Kiedy po raz pierwszy wspomniałam jej, że jedziemy do Kornwalii, podejrzewałam, że będzie się opierać. Mało bowiem było prawdopodobne, że Oliver tam nas odwiedzi. Przez pewien czas rzeczywiście odnosiłam wrażenie, że się waha. Ale wkrótce myśl, że znowu znajdzie się w Cadore, przejęła ją takim samym entuzjazmem jak Lucie.

Odetchnęłam z ulgą. Pomimo korzystnej ostatnio zmiany w usposobieniu Belindy dobrze znałam jej naturę i skłonność do zmiennych nastrojów. Nie chciałam, aby zły humor dziewczynki zakłócił moją radość z pobytu w rodzinnych stronach.

Cudownie było znaleźć się na miejscu i ujrzeć oczekujących na stacji dziadków i Pedreka.

Pochwyciły mnie kochające ramiona, wszyscy mówili jednocześnie:

- Wspaniale, że wreszcie przyjechałaś... Świetnie wyglądasz... Liczyliśmy dni do waszego przyjazdu, a Lucie... i Belinda... jak one urosły... Wszyscy w Poldorey wiedzą, że przyjeżdżacie...

Zajęliśmy miejsca w powozie. Siedzący przy mnie Pedrek ścisnął moją rękę, jakby się obawiał, że mu ucieknę. Belinda i Lucie rozmawiały z przejęciem; ożyły dawne wspomnienia. Czy Petal jeszcze jest? A Snowdrop też?

- Tak, są i czekają na swoje małe amazonki.

- O, morze! - wykrzyknęła Lucie. - Nic się nie zmieniło!

- Czyżbyś przypuszczała, że zmieni kolor, stanie się czarne, czerwone lub może fioletowe?

- kpiła Belinda.

- Nie, ale to cudownie znowu je zobaczyć!

- O, popatrz, Cadore na horyzoncie!

Rzeczywiście widać było zamek. Wyłonił się majestatyczny i dostojny. Jak zawsze po dłuższej nieobecności poczułam na ten znajomy widok dreszcz wzruszenia; wiedziałam, że w starych, przyjaznych murach będzie mi dobrze i bezpiecznie.

Dziadkowie uśmiechali się z zadowoleniem.

- Pencarronowie również pragnęli wyjechać wam na powitanie, ale nie chcieli, aby pierwszego dnia było nas za dużo. Przyjadą jutro.

- To cudownie! - stwierdziłam. - Och, jak dobrze znaleźć się znowu w Cador.

- O ile wiem, nie nudziłaś się w Londynie i Manorleigh - zauważyła babcia.

- Niemniej przyjazd do was jest najwspanialszą rzeczą.

- W Boże Narodzenie bawiliśmy się w poszukiwanie skarbu - zakomunikowała Belinda.

- Świetna zabawa! Możemy coś takiego zorganizować tutaj.

- Och, to nie będzie to samo. Tamtą zabawę wymyślił pan Gerson. Napisał wierszyki na karteczkach, które potem musiałyśmy odnajdywać. Ja wygrałam, prawda, Lucie?

- Ubiegłaś mnie o cztery sekundy - przypomniała Lucie.

- Zabawa rzeczywiście musiała być fascynująca - potwierdziła babcia.

- To było najciekawsze poszukiwanie skarbu, jakie można sobie wyobrazić - stwierdziła z nostalgią Belinda.

I tak oto znowu byłam w Cador. Miałam uczucie, jakbym wróciła do domu. Przepełniała mnie radość. Często będę się widywała z Pedrekiem!

Powiedział mi, że regularnie na każdą sobotę i niedzielę przyjeżdża do dziadków, ale z uwagi na mój przyjazd wystarał się jeszcze dodatkowo o kilka wolnych dni.

Myślę, że od śmierci mamy nie czułam się tak szczęśliwa. Udałam się do swego pokoju i usiadłam przy oknie, spoglądając na morze. Lucie i Belinda natychmiast pobiegły do stajni, żeby się przekonać, czy Petal i Snowdrop rzeczywiście są tam nadal.

Do pokoju weszła babcia.

- Może potrzebna ci pomoc w rozpakowywaniu rzeczy?

- Nie, dziękuję, dam sobie radę - zapewniłam.

Podeszła do mnie do okna. Wstałam i obydwie uściskałyśmy się serdecznie.

- Ten czas tak się nam dłużył, Rebeko - poskarżyła się.

- Ja też za wami tęskniłam. Gdyby to było możliwe, przyleciałabym do was na skrzydłach.

- A teraz... ty i Pedrek. Będzie wspaniale!

- Tak, wiem.

- Pencarronowie ogromnie się cieszą. Znasz ich, wiesz, co czują.

- Tak, to para kochanych staruszków.

- Jesteśmy ze sobą bardzo zzyci, może nawet bardziej niż niejedna rodzina.

- Zawsze się tak czuliśmy, chociaż nią nie jesteśmy.

- Teraz będziemy już naprawdę rodziną. Pedrek powiedział, że jeżeli przyłoży się do nauki i szczęśliwie zda końcowe egzaminy, będzie już właściwie przygotowany do samodzielnego życia.

Stary Jos Pencarron zauważył wprawdzie, że on sam nie ma żadnych dyplomów, a mimo to od tylu lat zarządza kopalnią i to z dobrym skutkiem, ale w obecnych czasach dobrze jest mieć jakiś papierek. Kiedy wyjdiesz za mąż, będziesz mieszkała blisko... ta świadomość ogromnie nas cieszy, mnie i dziadka.

Rozległo się pukanie.

- Proszę wejść! - zawołała babcia.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wsunęła się dziewczyna. Nie mogła mieć więcej niż szesnaście lat. Miała bardzo ciemne, prawie czarne włosy, piękne ciemne oczy i oliwkową cerę. Mogłabym łatwo wziąć ją za cudzoziemkę, gdybym nie wiedziała, że w Kornwalii ten typ urody nie należy do rzadkości. Mówiono, że to skutek hiszpańskiej inwazji na wybrzeża Kornwalii. Po druzgocącym zwycięstwie nad Wielką Hiszpańską Armadą wielu marynarzy z rozbitych nieprzyjacielskich okrętów przedostało się na ląd. Duża ich liczba została w Kornwalii na stałe, wprowadzając przez swe związki z miejscowymi dziewczętami domieszkę hiszpańskiej krwi do celtyckiego dziedzictwa. Dziewczyna była niezwykle atrakcyjna; jej uroda miała bardzo

pociągający i zmysłowy charakter.

Stała w pozie pełnej wyczekiwania, spoglądając na mój bagaż.

- To jest Madge - przedstawiła ją babcia. - Jest u nas od miesiąca. Pomaga w kuchni.

- Przysłano mnie, jaśnie pani, bym pomogła rozpakować się panience Rebecce.

- Dziękuję - odparłam ze śmiechem. - Nie potrzeba mi żadnej pomocy, sama się rozpakuję.

Mimo to nie ruszała się z miejsca, wyraźnie ociągając się z wyjściem.

- Nie ma sprawy, Madge - rzekła babcia. - Idź i powiedz na dole, że panna Rebeka sama sobie poradzi.

Dygnęła lekko i wyraźnie zawiedziona opuściła pokój.

- Jaką oryginalną urodę ma ta dziewczyna - powiedziałam do babci.

- Bardzo się stara, przynajmniej takie robi wrażenie. Jest nam ogromnie wdzięczna, że ją przyjęliśmy.

- Powiedziałaś, że pracuje u was dopiero od miesiąca.

- Tak. Pochodzi z okolic Land's End. Pani Fellows słyszała o niej i stwierdziła, że może się przydać jako pomoc w kuchni. Po odejściu Ady, która wyszła za mąż, zabrakło jednej pary rąk. W ten sposób trafiła do nas.

- Gdzie była przedtem? Wygląda na bardzo młodą.

- Pochodzi z wielodzietnej rodziny. Ma siedmioro rodzeństwa, a ona jest najstarsza z całej ósemki. Jej ojciec jest jednym z tych fanatycznych głosicieli Pisma Świętego. Takich, co to wygłaszają kazania o ogniu piekielnym i gniewie Pana.

- Podobnych typów sporo jest w Kornwalii.

- Interpretują Biblię na swój sposób. W gruncie rzeczy są to sadyści, którzy pragną zemsty na wszystkich grzesznikach, a za takich uważają oczywiście ludzi o odmiennych niż oni poglądach.

Gdyby takie jednostki miały możliwość nami rządzić, nie obyłoby się bez stosów. Palono by ludzi

żywcem, tak jak za czasów Krwawej Marii na Bodmin Moor.

- A co z tą dziewczyną?

- Ojciec wyrzucił ją z domu.

- Co takiego zrobiła?

- Żartowała z pastuchem i słyszano, jak śmiała się w niedzielę. Podobno też przyłapano ją na rozmowie z nim, a może zresztą jeszcze i na czymś innym. W każdym razie musiała opuścić dom. Biedne dziecko. Siostra pani Fellows zaopiekowała się dziewczyną i zaczęła szukać dla niej jakiegoś kąta. W ten sposób trafiła do nas.

- Ileż tacy ludzie stwarzają problemów! Ale cieszę się, że Madge znalazła dla siebie miejsce w waszym domu.

- Będziesz miała okazję nieraz ją widzieć. To dziewczyna, która lubi przyciągać ludzką uwagę. Porozmawiamy o tym później. Teraz muszę pójść na dół i zobaczyć, co się tam dzieje. Wkrótce zasiądziemy do kolacji. Będziesz mogła wcześniej się położyć.

Po wyjściu babci rozpakowałam się, umyłam i przebrałam po podróży. Następnie zesłam do jadalni. Cała rodzina była już w komplecie. Dzieci, świeżo umyte i uczesane, siedziały na swoich miejscach przy stole, czekając, aż podadzą posiłek.

Pedrek miał miejsce obok mnie. Rozmawialiśmy z ożywieniem. Opowiadał mi o swoich studiach i życiu w college'u. Cieszył się, że jego uczelnia znajduje się niedaleko. Studiował w St Austell, skąd na każdy weekend przyjeżdżał do Pencarron. Dzięki temu będziemy mogli teraz często się widywać.

Był to bardzo szczęśliwy wieczór, a kiedy się skończył, z radością sobie uświadomiłam, że jest początkiem dalszych takich spotkań. Cudownie było znaleźć się znowu w Cadorn.

Przebywałam u siebie nie dłużej niż pięć minut, kiedy rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju weszła babcia. Taki się już przyjął zwyczaj; po każdej mojej dłuższej nieobecności

nieodmiennie przychodziła do mnie przed nocą pierwszego dnia na - jak to zwykła nazywać - "małe pogaduszki".

- Opowiedz mi teraz, babciu - poprosiłam, kiedy zasiadła w fotelu - co się tu nowego zdarzyło.

- Zacznę od najgorszego - powiedziała. - W kopalni Pencarron był wypadek. Dla Josiaha jest to ogromny cios. Największą jego troską było zawsze bezpieczeństwo górników; jego kopalnia słynęła ze znikomej liczby katastrof dzięki dobremu systemowi zabezpieczeń i dbałości o stan bezpieczeństwa kopalni. I chociaż wypadek nie pociągnął za sobą tylu ofiar, ile, mógł, pan Pencarron bardzo się nim przejął.

- To straszne. Pedrek nic o tym nie wspomniał.

- Postanowiliśmy nic ci nie mówić... w dniu przyjazdu. Zresztą nawet nie było po temu okazji. Wypadek zdarzył się sześć tygodni temu. Nastąpiło tąpnięcie. Udało się wydostać większość ludzi na powierzchnię, ale jeden górnik doznał ciężkich obrażeń, Jack Kellaway. To była tragedia.

- Jakie to straszne. Czy był żonaty?

- Tak i miał jedno dziecko: dziewczynkę ośmio- czy dziewięcioletnią. Mary - Mary Kellaway - jego biedna żona, o mało nie oszalała z rozpaczy. Josiah przeżył to okropnie. Pamiętam dzień, w którym wiadomość o tym do nas dotarła. Katastrofa nastąpiła podczas nocnej szychty. Ale najokropniejsza rzecz stała się dopiero potem. Jack Kellaway odniósł tak ciężkie obrażenia, że nie było mowy, by mógł wrócić do pracy. Nie chodził, jedynie czołgał się po podłodze. Nie było dla niego naprawdę żadnej nadziei. Dla tego dobrego męża i ojca świadomość kalectwa była nie do zniesienia. Nie mógł pogodzić się z myślą, że jest ciężarem dla rodziny. Pewnego dnia, kiedy został sam, podpalił dom i podciął sobie gardło. Ze względu na ubezpieczenie chciał stworzyć pozory, że zginął w pożarze. Myślał, że żonie i dziecku będzie się bez niego lżej żyło. Pech chciał, że jacyś

robotnicy rolni przechodzili w tym czasie obok chaty. Zobaczyli ogień i znaleźli ciało biednego Jacka. Bardzo smutna sprawa. Chata została doszczętnie zniszczona. Plan nieszczęsnego zakończył się fiaskiem.

- Co za straszliwa historia!

- Josiah zamierza zaopiekować się Mary Kellaway i jej dzieckiem. Dziewczynka również ma na imię Mary. Chce im wybudować nowy dom. Tymczasem jednak trzeba było zapewnić sierotom jakikolwiek dach nad głową, przynajmniej na razie. Nie było nic wolnego, z wyjątkiem starej chaty nad jeziorem, należącej do Jenny Stubbs.

- A więc ta kobieta tam teraz mieszka?

Babcia skinęła głową.

Jest to ta sama chatka, w której Lucie spędziła pierwsze lata swego życia. Kiedyś ja również jako dziecko przebywałam tam przez krótki czas, kiedy Jenny Stubbs mnie porwała. Zawsze odnosiłam wrażenie, że miejsce to otacza jakaś dziwna aura. Na pewno nie sprzyjała ona rychłej poprawie samopoczucia biednej wdowy, złamanej przebytą tragedią. Podzieliłam się z babcią swymi wątpliwościami.

- Myślę, że cieszy się, iż ma dach nad głową i trochę spokoju. Nic innego nie było. Wydaje się, że się już tam trochę zadomowiła. Och, wiem, miejsce jest trochę dziwne. Z powodu tego jeziora, naprawdę... to nie ma nic wspólnego z chatą. Zwykły domek, taki jak wszystkie inne wokół. Winę za to w dużej mierze ponosi stara legenda o zatopionym klasztorze i jego dzwonach.

- Wielu ludzi nadal w nią wierzy.

- Kornwalijczycy, niestety, są bardzo zabobonni.

- Mama miała do jeziora szczególny sentyment.

- Wiem.

Umilkłyśmy. Jej postać odżyła w naszej pamięci. Odezwałam się pierwsza:

- Czy nadal ludzie mówią, że dzwony na dnie zaczynają bić, kiedy zbliża się nieszczęście?
 - Oczywiście. Mówili i mówią. Rzecz w tym, że o dzwonach przypominają sobie po fakcie, kiedy już nastąpiła katastrofa.
 - Czy jeszcze się coś wydarzyło, babciu?
 - Jedna z łodzi rybackich zatonięła podczas sztormu. Huragany w tym roku były wyjątkowo gwałtowne.
 - Innymi słowy - seria nieszczęść.
 - Sztormy to rzecz zwykła. Pani Jones urodziła dwojaczki, a Flora Grey spodziewa się dziecka.
 - Widzę, że pani Polhenny nie może narzekać na brak zajęcia. Jak ona się miewa?
 - Nadal pełni pożyteczną służbę w miarę swoich sił. Na pewno uda ci się ją zobaczyć jadącą na rowerze. Wprawdzie wytrzęsie się na nim co niemiara, lecz dzięki niemu szybciej i łatwiej dociera do pacjentów. I, jak powtarza przy każdym spotkaniu, wypełnia wolę bożą. Spełnia swój obowiązek. A teraz, dla odmiany, powiedz mi coś o sobie. Wiem, że sezon towarzyski był udany. No i zaręczyłaś się.
 - Tego się po dziewczętach oczekuje. Ale ponieważ zaręczyny trzymamy na razie w tajemnicy, sława z ich powodu mnie omija.
- Babcia się roześmiała.
- To jest cudowne. Ziściły się nasze największe marzenia.
 - Nie wiedziałam, że o tym marzyliście.
 - Uważaliśmy, że nie mamy prawa się wtrącać. Małżeństwo jest sprawą dwóch zainteresowanych stron.
 - Miło jednak wiedzieć, że nasza decyzja spotkała się z rodzinną aprobatą.
 - Czy powiadomiłaś o tym ojczyma?

- A czy powinnam?

- Jest twoim opiekunem i powinien wiedzieć.

- Czy sądzisz, że on może się na to nie zgodzić?

Milczała, a ja zaczerwieniłam się z oburzenia. Ale zaraz roześmiałam się wesoło.

- Przyjmie wiadomość obojętnie - zapewniłam ją. - Jego to nie obchodzi, jest całkowicie pochłonięty swą polityczną karierą.

- Ale pokrył pokaźne koszty twego debiutu.

- Kierował się wyłącznie interesem. Pewno chciał, bym złapała jakiegoś arystokratę, kogoś, kim mógłby się chlubić. "Rebeka Mandeville, pasierbica wybijającego się polityka, Benedykta Lansdona, wychodzi za księcia takiego a takiego..."

- Taki był wuj Peter. On zawsze zwracał uwagę na takie rzeczy. Lubił ogniskować na sobie ludzkie zainteresowanie. Benedykt jest jego nieodrodnym wnukiem. Niewykluczone, że i on również kieruje się podobnymi intencjami.

Spojrzałam babci śmiało w oczy.

- Niechby tylko spróbował się nam przeciwstawić!

Uśmiechnęła się do mnie.

- Nie obawiaj się. Już my go przekonamy.

Tupnęłam nogą ze złością.

- Przecież to nie jest jego sprawa!

- Może mieć inne zdanie.

- Nie zgadzam się na to, babuniu.

- Przestańmy dyskutować o czymś, czego jeszcze w ogóle nie było.

- Myślę, że mieliśmy rację, utrzymując wiadomość o zaręczynach w tajemnicy. Poczekamy z nią aż do dnia mego ślubu z Pedrekiem.

Nie odpowiedziała. Wiedziałam, że później przekonsultuje to z moim dziadkiem.

Zmieniła temat rozmowy.

- Dzieci wyglądają dobrze - stwierdziła rzeczowo.

- Leah okazała się idealną opiekunką. Ciągłe im coś szyje. Sukieneczki dziewczynek są ozdobione pięknym haftem. Nie rozstaje się z igłą. Myślę, że jest zadowolona z życia. Chociaż w gruncie rzeczy nie wiadomo, co Leah naprawdę myśli.

- Chyba się cieszy z przyjazdu do Kornwalii, przecież tutaj jest jej rodzinny dom.

- Wydaje mi się, że przeżywała jakiś trudny okres, zanim postanowiła stąd uciec.

- Bardzo się zmieniła od czasu, kiedy zaczęła pracować w High Tor. Musiała być zaskoczona wiadomością, że w jakiś sposób służy tej samej rodzinie. Kto mógł przewidzieć, że Benedykt poślubi Celeste Bourdon?

- Rzeczywiście było to dość zaskakujące. Sądzę, że zbliżyło ich do siebie powiązanie z Kornwalią.

- Cieszę się, że się ponownie ożenił. Wszyscy wiemy, jaka wielka miłość łączyła go z Angelet. Byli dla siebie stworzeni. Wiem, że boleśnie przeżył jej śmierć. Z przyjemnością myślę, że znowu się ustabilizował.

- Wcale się nie ustabilizował.

Opowiedziałam jej o zamkniętym pokoju, o smutku Celeste oraz o napiętych stosunkach między nim a Belindą.

- Belinda doskonale zdaje sobie z tego sprawę - oświadczyłam. - Nie jest to dobre. Ale ostatnio zmieniła się na lepsze. Panna Stringer jest dla niej serdeczna, nie mówiąc już o Leah, która ją rozpieszcza. Uważam, że nawet za dużo jej pozwala, a dziewczynka wykorzystuje pobłażliwość niani. Cieszy mnie również lepszy stosunek Belindy do mnie. Wydaje się, że darzy mnie teraz większym uczuciem. Lucie w tym wypadku jest wielką pomocą.

- Droga Lucie. Rozumując logicznie, ona właśnie powinna mieć różne kompleksy.
- Wie o swoim pochodzeniu. Pomyślałam, że najlepiej będzie, jeśli dowie się o tym ode mnie, a nie przez osoby trzecie. Belinda wywęszy wszystko, a nie chciałabym, żeby wyśmiewała się z Lucie z powodu jej niskiego urodzenia. Łączy je wielka przyjaźń, ale wiesz, jakie są dzieci. Lucie wie, że ona, sierota bez domu, dzięki mnie znalazła się w naszej rodzinie. Nie wie natomiast, że jej matka była trochę upośledzona na umyśle, a ojciec jest nieznany. Powiedziałam Lucie, że ojciec nie żyje - co może jest prawdą - oraz że jej matka, którą dobrze znaliśmy, mieszkała niedaleko Cadór. Wydaje się, że w dostatecznym stopniu zaspokoiliam jej ciekawość.
- Przypuszczam, że nigdy nie żałowałaś, iż nalegałaś na przyjęcie jej do naszej rodziny.
- Musiałam tak zrobić, babciu. To był jakiś wewnętrzny przymus.
- Jesteś dobrą, kochaną dziewczyną, Rebeko. Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, ile dla nas znaczysz.
- Widzę, babuniu, że robisz się sentymentalna.
- Dobrze, już dobrze, więcej nie będę. Opowiedz mi o Belindzie.
- Boże Narodzenie przebiegło w miłej atmosferze. Mieliśmy gościa - przyjaciela ojczyma, który, tak się składa, jest jednocześnie jego współnikiem w interesach. Zaproszono go na święta do Manor Grange. Taki typowy czaruś, uprzedzająco grzeczny dla każdego. Światowiec, jak wy nazywacie takich dżentelmenów. Darzy Belinę szczególną sympatią, a ona za nim przepada.
- Dziecko wymaga przede wszystkim czułości, wyjątkowej czułości.
- Gdyby Benedykt miał tego świadomość! Myślę, że jej właśnie tego głównie brakuje. Przecież jest jej ojcem! Zauważyłam, że odwraca wzrok, by na nią nie patrzeć... i ona zdaje sobie z tego sprawę. I dlatego jest taka agresywna; za wszelką cenę stara się zwrócić na siebie uwagę otoczenia, udowodnić, że jest lepsza od innych.
- A jak się zachowuje Lucie?

- Lucie ma promienne usposobienie. Godzi się z rzeczywistością. Dobrze wie, że Belinda jest córką pana domu, a ona sierotą, przygarniętą przez nas z łaski.

- Kochane z niej dziecko.

Zgodziłam się z babcią.

- Poza tym jest świetną towarzyszką dla Belindy - dodałam.

- A więc tym lepiej. Ale co zrobić, by polepszyć stosunki między Belindą a jej ojcem? W jaki sposób wykazać, że niewłaściwie postępuje? Czyż nie widzi, że wyrządza swojej córce wielką krzywdę?

- Moim zdaniem jest to ponad jego siły. Tam jest smutno, babuniu. Lepiej się czuję w Manorleigh, zwłaszcza kiedy jego nie ma, przebywa w Londynie. Celeste zazwyczaj też jedzie razem z nim, tak że cieszymy się całkowitą swobodą.

- Jak się miewa pani Emery?

- Zrobiła się niezwykle dostojna. Pan Emery także. Nabrał bardzo wytwornych manier.

Obydwoje zresztą zachowują się ogromnie dystygowanie. Jestem w dobrych stosunkach z panią Emery. Często zaprasza mnie do siebie na herbatę i częstuje najlepszym gatunkiem darjeeling, który, jak mówi, kupuje przy ulicy Strand w Londynie. Podaje ją tylko wybranym osobom, a ja mam zaszczyt być jedną z nich.

- Dobra kobieta. Cieszę się, że masz ją przy sobie. Ale robi się późno, moja droga, i czas, byś już poszła spać. Zobaczymy się jutro i pojutrze... i znowu następnego dnia i tak przez wiele dni, długo, długo. Śpij dobrze na starym miejscu, a raniem powrócimy do naszej rozmowy. Dobranoc, kochanie!

- Dobranoc, kochana babuniu!

Bosko było poczuć się znowu w domu.

Po kilku dniach zadomowiłam się w Cador już na dobre; miałam wrażenie, jakbym nigdy z

niego nie wyjeżdżała. Jak dawniej, zaczęłam robić spacery do miasteczka. Pierwszą osobą, jaką napotkałam w Poldorey, był Gerry Fish: pchał przez miasto taczki, tak jak to robił przed nim jego ojciec, stary Tom Fish. Gerry powitał mnie okrzykiem:

- Dzień dobry, panno Rebeko. Jak się panienka miewa? Na jak długo zawitała pani do nas, ślicznotko?!

Stara panna Grant, właścicielka sklepu z włóczkami, wyszła aż na próg, aby mnie pozdrowić. Prowadziła ten sklep jeszcze w czasach, kiedy moja mama była dziewczyną, i nadal go prowadzi, mimo że jej powykręcane reumatyzmem palce nie są już w stanie utrzymać drutów. Spotkałam młodych Trenarthów; od starego Pennylega przejęli gospodę "Godło Rybaka" i ku niezadowoleniu niektórych jego bywalców zaczęli zaprowadzać nowe porządki.

Wszyscy wyrażali radość ze spotkania ze mną.

Przystanęłam na chwilę, by porozmawiać z rybakami, naprawiającymi swoje sieci.

Opowiedzieli mi szczegółowo o sztormie, w czasie którego zatonął jeden z kutrów.

Przyjemnie było stwierdzić, że podczas mej nieobecności życie w tym zakątku świata nie uległo wielkiej zmianie.

Pencarronowie przybyli następnego dnia po naszym przyjeździe. Powitanie było niezwykle radosne. Obydwoje traktowali mnie tak, jakbym należała już do ich rodziny. Miałam zostać żoną ich wnuka i pragnęli dać mi do zrozumienia, jacy są z tego powodu szczęśliwi.

Babcia uprzedziła mnie, żebym nie pytała o katastrofę w kopalni.

- Josiah przejął się nią ogromnie - przypomniała. - Sam bez wątpienia powie ci o tym później... on albo Pedrek. A ty nie podejmuj tego tematu. Niech się cieszy ze spotkania z tobą.

To był szczęśliwy dzień. Pedreka nie było z nami, ale miał przyjechać do dziadków na koniec tygodnia. Ustalono, że w sobotę ja przyjadę do Pencarron.

- Będzie to dla niego przyjemna niespodzianka - oświadczyła babcia Pedreka; uwielbiała

wnuka.

Spędziłam w Pencarron niezapomniany weekend, a w niedzielę Pedrek przyjechał ze mną do Cador. Czekало nas wiele podobnych dni.

Jeździliśmy z Pedrekiem konno po okolicy i rozmawialiśmy głównie o naszej przyszłości.

Zdecydowaliśmy, że nie zamieszkamy w Pencarron. Postanowiliśmy kupić jakiś dom, gdyby jednak nie udało się znaleźć odpowiedniego, wybudujemy nowy.

Na snuciu planów mijały nam szczęśliwe godziny.

- Wybierzemy miejsce bliżej morza czy na wrzosowiskach? - zastanawiał się Pedrek.

- Może gdzieś pośrodku?

- To byłoby najlepsze.

- Pedrek, cieszysz się? - pytałam go raz po raz.

- Ogromnie. Ale czy cię nie denerwuje, że musimy jeszcze czekać tak długo?

Przyznałam mu rację; rzeczywiście mamy prawo czuć się sfrustrowani tą zwłoką.

- A mówią, że właśnie oczekiwanie jest najprzyjemniejsze.

- W naszym przypadku będzie odwrotnie: radość z realizacji celu będzie większa niż oczekiwanie.

- Och, tak, na pewno! - odparłam żarliwie.

Z zadowoleniem stwierdziłam, że Belinda dobrze się czuje w Kornwalii. Zastanawiałam się, jak zareaguje, kiedy się dowie, że nie ma co liczyć na przyjazd Olivera Gersona. Jej uwielbienie dla tego człowieka graniczyło z obsesją. Być może przesadzałam w ocenie. Obecnie również mnie okazywała wiele dowodów przywiązania. Bardzo się tym cieszyłam. Pławiłam się w ciepłych promieniach uczucia obydwu dziewczynek, miłości Pedreka oraz moich i jego dziadków. Doszłam do wniosku, że chociaż straciłam nieodżałowaną mamę, są jednak w moim życiu wartości, za które winnam być wdzięczna losowi.

Leah zabrała dzieci do Poldorey i po drodze odwiedziła swoją matkę. Dziewczynki były zafascynowane panią Polhenny. Tarzały się ze śmiechu, opisując, jak jechała na słynnym gruchocie.

- Wyglądała na nim tak śmiesznie! - wykrzykiwała piskliwym głosem Belinda.
- Wydawało się, że za chwilę z niego spadnie - dodała Lucie.
- Czy urządziła wam specjalny pokaz jazdy? - zapytałam.
- Poszliśmy do niej z wizytą, ale nikogo w domu nie było. Zawracaliśmy już, kiedy nadjechała... - Śmiały się histerycznie.
- I o czym z wami rozmawiała?
- Kazała nam wejść do środka i usiąść w saloniku - relacjonowała Lucie.
- Wszędzie wisiało pełno obrazów. Jezus na krzyżu...
- I inny, z jagniątkiem na rękach.
- I ktoś z mnóstwem strzał utkwionych w ciele. Zapytała Leah, czy nasze dusze są zbawione.
- I co ona na to?
- Odparła, że opiekuje się nami we właściwy i słuszny sposób - poinformowała Lucie.
- Pani Polhenny przez cały czas mi się przyglądała - dodała Belinda.

Tak się śmiały, że nie były w stanie wykrztusić z siebie ani jednego słowa więcej.

Powtórzyłam później babci rozmowę z dziewczynkami.

- Szalenie je ta wizyta rozśmieszyła - dodałam.
- Cieszę się, że tak się stało. Bałam się, że im się nie spodoba, i będą chciały wyjść stamtąd jak najszybciej.
- Tak się śmiały, jakby oglądały jakieś komiczne przedstawienie.
- Rada jestem, że pani Polhenny przypadła im do gustu. Jestem pewna, że Leah chciałaby

od czasu do czasu odwiedzić matkę i jeżeli one chętnie będą z nią chodzić, tym dla niej lepiej.

- Może to odwróci uwagę pani Polhenny od Leah, nie uważasz?

- Owszem. Też jestem tego zdania.

Nowa służąca, Madge, często przychodziła do dzieci. Bardzo lubiły jej towarzystwo. Często ją widywałam z dziewczynkami w ogrodzie warzywnym, dokąd wysyłano ją po jarzyny. Z radością słuchałam wybuchów ich perlistego śmiechu. Babcia również zwróciła na to uwagę.

- Madge jest młoda i wesoła - stwierdziła. - Nie widzę powodu, dlaczego by nie miała trochę odciążyć Leah.

- Chodzi ci o to, by Leah mogła od czasu do czasu wyjść i odwiedzić matkę?

Babcia się skrzywiła.

- Nie. Ale by miała trochę czasu dla siebie. Poza tym to dobrze zrobi Madge. Ona sama jest jeszcze prawie dzieckiem, a żyje w oderwaniu od rodziny.

Gorąco pragnęłam, by dziewczynki dobrze się czuły w Kornwalii. Serce mi rosło, gdy obserwowałam ich radosny nastrój i zadowolone miny.

Zorientowałam się, że chodzą nad Jezioro Świętego Branoka. Często o tym rozmawiały.

Podobały im się także wrzosowiska; gdy szłyśmy razem na spacer, zawsze prowadziły mnie do jednego z tych dwóch miejsc.

Okolica trzęsła się od złowróżbnych wieści. Opowiadano, że widziano białe zające i czarne psy, i to nie tylko w kopalni Pencarron, ale także w starym nieczynnym wyrobisku, znajdującym się na wrzosowiskach.

Zauważyłam, że Belindę szczególnie interesują wszelkie historie o katastrofach. Chętnie powtarzała zasłyszane przesady i zabobony. Lucie także to robiła. Oczy ich rozszerzały się z przejęcia, kiedy opowiadały sobie o obdarzonych tajemniczą mocą ludzikach, rzekomo zamieszkujących kopalnie. Duszki sprowadzały nieszczęścia na górników, którzy się im w jakiś

sposób narazili. To samo odnosiło się do rybaków. Wierzono powszechnie, że jeśli ktoś poważy się złamać zwyczaje przodków, nieuchronnie ściągnie na siebie gniew mściwych skrzatów.

Nad jeziorem dziewczynki zawarły bliższą znajomość z małą Mary Kellaway: wychodziła ze starej chatki Jenny, aby z nimi porozmawiać.

Było to dziwnie wyglądające dziecko; miała długie proste włosy i smutne spojrzenie.

Musiała mocno przeżyć tragedię, jaka spotkała jej rodzinę.

Odkryłam, że Mary opowiada dziewczynkom o zajęcach, psach i tajemniczych ludzikach, zamieszkujących kornwalijskie kopalnie.

- Mamy dowód, do czego ludziki są zdolne - zawyrokowała ostatecznie Belinda. - Pan

Kellaway widocznie czymś je rozgniewał i na nim się zemściły: sprawiły, że ziemia w kopalni się zapadła i przygniotła go.

- To bzdura! - odparłam.

- Skąd wiesz? - naskoczyła na mnie Belinda. - Ciebie przy tym nie było.

- Ponieważ takie rzeczy się nie zdarzają. Katastrofa była wynikiem awarii systemu bezpieczeństwa kopalni.

- Mary mówi...

- Nie należy rozmawiać o tym z Mary. Ona powinna raczej starać się zapomnieć o nieszczęściu.

- Jak może zapomnieć, skoro jej dom się spalił?

- Wkrótce będzie miała nowy.

- Ale zapomnieć nie można...

Trafiła w samo sedno. Zapomnieć nie można.

Babcię ucieszyła wiadomość, że dziewczynki zaprzyjaźniły się z Mary.

- Zaprosiłabym ją do nas, żeby się z nimi bawiła, ale wiesz, jaka jest służba. Zaraz zaczęliby

mówić, że skoro ona przychodzi, wobec tego dlaczego nie zaprasza się innych dzieci.

- Wydaje mi się, iż dziewczynki dlatego tak chętnie się z nią bawią, że mieszka nad jeziorem. Wolałabym, by wybrały sobie inne miejsce spotkań, ale chata stoi tuż nad brzegiem wody.

Obydwie opowiedziały mi historię o bezbożnych mnichach, którzy mimo ostrzeżeń niebios nie przestawali naruszać boskich praw i w rezultacie Bóg zesłał na nich potop.

- Tak jak w przypowieści o Noem - zauważyła Lucie.

- Głupia jesteś, wcale nie było tak - wtrąciła się Belinda. - To było dawno temu. Ale byli już mnisi oraz inne rzeczy, których nie było w czasach Noego.

- Skąd o tym wiesz? - dopytywała się Lucie.

- Wiem. Dla nich nie było arki i wszyscy się potopili. Oni nadal są na dnie jeziora, ponieważ źli ludzie niekoniecznie muszą umrzeć. Pędzą nędzny żywot w brudnych odmętach. A dzwony biją wtedy, kiedy ma się wydarzyć coś złego. Chciałabym je kiedyś usłyszeć.

- Nie chcesz chyba, by przytrafiło się jakieś nieszczęście? - zapytałam.

- Mnie to nie obchodzi.

- Dopóty, dopóki nie dotknie ciebie - odparowałam ze śmiechem.

Często słyszałam, gdy rozprawiały o dzwonach, i odnosiłam wrażenie, że przyczyną, dla której tak często chodzą nad brzeg jeziora, jest bardziej nadzieja, że usłyszą ich głos, niż chęć zabawy z Mary.

Utarł się zwyczaj, że przychodziłam wieczorem do ich sypialni przed zaśnięciem, żeby im życzyć dobrej nocy.

Łóżeczka dziewczynek stały przy ścianie po przeciwległych stronach. Leah powiedziała, że zazwyczaj już po zgaszeniu światła rozmawiają ze sobą jeszcze przez jakiś czas, zanim zasną.

Pomyślałam, że musi im być dobrze razem, i po raz kolejny pogratulowałam sobie, iż udało mi się

wprowadzić Lucie do naszej rodziny i zapewnić jej dobry dom. Ta decyzja okazała się dobrodziejstwem nie tylko dla niej, ale również dla Belindy.

Kiedy pewnego wieczoru weszłam do sypialni dziewczynek, usłyszałam Belindę mówiącą:

“Musiało tam panować wielkie napięcie; przeszukiwali dno jeziora po to, aby odnaleźć utopioną Rebekeę, a zamiast niej znaleźli ciało mordercy”.

Byłam zaskoczona, że znają tę historię. Ale nic nie powiedziałam. Belinda musiała się jednak domyślić, że usłyszałam jej słowa - dobrze wiedziała, iż nie pochwalilibym tematu rozmowy - ponieważ zaraz dodała, że Petal trzeba nazajutrz zaprowadzić do kowala. Tom Grimes zgodził się zabrać je ze sobą, aby zobaczyć, jak się konia podkuwa.

Wyszłam z pokoju, zastanawiając się, od kogo zdobyły informacje. Wiedziałam, że ludzie długo przechowują w pamięci wspomnienia dramatycznych wydarzeń, i nie da się uniknąć, by dzieci kiedyś się o nich nie dowiedziały.

Była to jedna z sobót, które obecnie stały się dla nas wielkim świętem. Pedrek przyjechał na koniu do Cador. Mieliśmy się wybrać razem na przejażdżkę.

- Dlaczego nie możemy jechać z wami? - dopytywała się urażona Belinda.

- Ponieważ mają sobie wiele do powiedzenia - wyjaśniła babcia.

- Nie mam nic przeciwko temu, by posłuchać, o czym rozmawiają - odparła Belinda, co przyjęliśmy gromkim śmiechem.

Była trochę naburmuszona, kiedy wyjeżdżaliśmy; Lucie też dawała do zrozumienia, że jej się to nie podoba. Ale dla mnie i Pedreka był to początek kolejnego szczęśliwego dnia.

Między nami istniała taka harmonia, że nawet niekoniecznie musieliśmy ze sobą rozmawiać. Rozumieliśmy się bez słów. Napawało mnie to uczuciem niezwyklej błogości. W tych dniach jeszcze bardziej zbliżyłam się do Pedreka; czułam się z nim związana niemal tak samo jak z mamą, i to doznanie wprawiało mnie w radosny nastrój.

Smieliśmy się przez cały czas, często bez żadnej przyczyny - z samego szczęścia po prostu.

Najbanalniejsze na świecie rzeczy wydawały się nam niezwykle ciekawe i zabawne. I tyle jeszcze mieliśmy przed sobą planów.

Pedrek mi przypomniał, że od kiedy rozpoczął studia, minął już prawie rok.

- Połowa drogi za nami. Pomyśl tylko, Rebeko.

- Wydaje mi się, że wiek upłynął od naszych zaręczyn.

- Mam podobne wrażenie, a jednak to dopiero połowa. Czasami mi się wydaje, że dłużej nie wytrzymam czekania. Dochodzę do takiego stanu, że gotów jestem cię porwać.

- Nie musiałbyś - odparłam. - Dałabym ci się uprowadzić bez protestu.

- A zatem, dlaczego tego nie robimy?

- Co z twoją nauką?

Zamyślił się.

- Wiele się jeszcze muszę nauczyć.

- Musisz więc studiować dalej. Wiem, że nie zniosłbyś myśli, iż świadomie, z własnej woli, nie zdobyłeś niezbędnych wiadomości. Im więcej będziesz wiedział, tym bardziej prawdopodobne, że zdołasz zapobiec wypadkom takim...

- Też tak myślę. Mam sporo wiedzy o rodzajach gruntu. Uczę się wielu rzeczy, o których mój dziadek ma zaledwie mgliste wyobrażenie.

- Musimy być cierpliwi jeszcze przez rok.

- Nie widzę przeszkód, dlaczego nie mielibyśmy już teraz zacząć się rozglądać za domem.

Kupno i urządzenie zajmie nam dużo czasu. Czy nie byłoby cudownie, gdybyśmy wszystko mieli gotowe przed ślubem. Możemy sobie skrócić czas oczekiwania przygotowaniem na ten wielki dzień naszej przyszłej siedziby.

- Ciekawy pomysł. Zastanawiam się, co by na to powiedział twój dziadek.

- Mój projekt z pewnością mu się spodoba. A i babci też, jestem pewien.

- Będzie nam się wydawać, że już w nim prawie mieszkamy.

- Powiem ci, co zrobimy. Zaczniemy szukać. W następnym tygodniu na serio zabierzemy się do poszukiwań. Co o tym myślisz?

- Wspaniale!

- Nasz dom musi się znajdować niedaleko kopalni.

- Zdaje się, że będziemy musieli sami go zbudować.

- Tak, gdzieś między siedzibą jednych i drugich dziadków. Żadna ze stron nie może czuć się pokrzywdzona.

- Jeżeli dom stanie w połowie drogi od każdej rodziny, usatysfakcjonuje ich to z pewnością.

Zaczniemy rozglądać się od zaraz.

Szukanie domu dodatkowo urozmaiciło nam ten piękny dzień.

Zatrzymaliśmy się w gospodzie - uroczej, starej karczmie "Pod Głową Króla". Na zniszczonym szyldzie widniał wizerunek Karola II. Władca miał na nim dość posępną minę, mimo pewnej lubieżności w spojrzeniu, i ufryzowaną perukę. Weszliśmy do sali jadalnej z belkowanym sufitem, szybami oprawnymi w ołów i wielkim płonącym kominkiem. Wokół otworu paleniska wisiała końska uprząż, migocąca w blasku ognia mosiężnymi ozdobami.

Piliśmy cydr z cynowych kufli i jedliśmy grzanki z serem wyjęte prosto z pieca.

Rozmawialiśmy o naszym przyszłym domu. Jego materialny kształt powoli wyłaniał się z mojej wyobraźni: hol, szeroka klatka schodowa, pokoje na górze. W pewnym momencie przyłapałam się na tym, że tworzę w myślach siedzibę pośrednią między Cador a Pencarron Manor.

- Widzę, że nie chciałabyś domu w wiktoriańskim stylu - zauważył Pedrek. - Podobają ci się stare siedziby.

- A wiesz - rzekłam - jest mi zupełnie obojętne, z jakiego będzie okresu, ważne tylko,

byśmy mieszkali w nim we dwoje.

W powrotnej drodze pilnie rozglądaliśmy się za miejscem odpowiadającym mniej więcej naszym wyobrażeniom i każde poddawaliśmy krytycznej ocenie.

- Tutaj jest za duża otwarta przestrzeń; wyobraź sobie podmuchy południowo_zachodnich wiatrów.

- Nie za wielkie odludzie?

- Będzie przecież służba. I Lucie. Och, Pedrek, a co z Belindą?

- Również może zamieszkać z nami.

- Będzie musiała zostać ze swoim ojcem. On jej nie odda. Musi zachować rodzinę.

- Może z nami mieszkać.

- Nie wyobrażam sobie, jak Belinda i Lucie się rozstaną.

- Czy aż tak się kochają?

- Niezupełnie. Myślę, że przyzwyczały się już do tego, że razem wzrastają. Oczywiście sprzeczą się jak wszystkie dzieci, ale wydaje mi się, że nie chciałyby się rozstać.

- Przywykną.

- Ciekawa jestem, co powie ojczym, mój prawny opiekun?

- Wkrótce ja nim będę.

- Nie podoba mi się rozmowa o opiekunach. Wolę myśleć, że sama za siebie odpowiadam.

Jest jednak pewien problem: prawdopodobnie będę musiała mieć jego zgodę.

- Najpierw się pobierzemy, a dopiero potem powiadomimy go o ślubie.

Zgodziliśmy się, że jest to dobry pomysł. Ale trudno było przewidzieć, jak dziewczynki przyjmą wiadomość, że będą musiały się rozłączyć.

Będą wtedy o rok starsze. Czasami zachowywały się tak roztropnie, że zapomniałam, iż nie są jeszcze dorosłe. Przypuszczam, że większość dzieci zdaje sobie sprawę, co się wokół nich

dzieje. Mają umysł bystry i przenikliwy. Brakuje im jedynie doświadczenia, a to nabywa się z latami.

Pedrek wrócił ze mną do Cadór.

Dziewczynki wybiegły nam naprzeciw i rzuciły mi się w ramiona. Belinda pierwsza, Lucie za nią. Serdeczne powitanie rozczuliło mnie.

- Jeździłyśmy konno po południu. Następnie poszłyśmy z Leah na spacer, nad jezioro.

- Nie wątpię, że tam byliście - zauważyłam. I zwróciłam się do Pedreka: - Jest to ulubione miejsce ich spacerów.

- Nic dziwnego. Ma w sobie coś tajemniczego.

- Łączące się z nim legendy... dzwony i mnisi... - powiedziałam.

- I inne rzeczy - dodała Belinda.

- Jakie inne rzeczy? - zapytałam.

- Inne rzeczy - powtórzyła, uśmiechając się tajemniczo.

Babcia weszła do pokoju.

- Wróciliście już. To dobrze. Mieliście przyjemny dzień?

Zapewniliśmy ją, że spędziliśmy go wspaniale.

Pedrek został na kolacji, którą w niedzielę, ze względu na niego, podawano nieco wcześniej, by zbyt późno nie wracał do Pencarron.

Opowiedzieliśmy dziadkom o szukaniu działki, na której ewentualnie mógłby stanąć nasz przyszły dom.

- No i co? Znaleźliście coś odpowiedniego?

- Na razie nie. Będziemy szukać w przyszłym tygodniu, prawda, Pedrek?

- Skoro już mówimy o domu - wtrącił się dziadek - dziś po południu spotkałem lokatorów z High Tor. Wyprowadzają się.

- Czyżby? Po tylu latach?

- Tak. Ich syn wraca z Niemiec. Mieszkał tam jakiś czas. Twierdzi, że marzy mu się dom w Dorset i... zapomniałem, jak się nazywają.

- Stenningowie - przypomniała babcia.

- Tak. Otóż Stenning powiedział, że kupują dom gdzieś w Dorset, ponieważ chcą mieszkać blisko syna. Wynajmowali High Tor, bo nie chcieli wiązać sobie rąk kupnem, dopóki ich syn nie wróci z zagranicy.

- To znaczy, że High Tor będzie do wynajęcia albo do sprzedania - zauważyła babcia, spoglądając na mnie znacząco.

Zerknęłam na Pedreka.

- High Tor - powiedziałam półgłosem. - Ładny dworek.

- I staroświecki - dodał Pedrek.

- No cóż - powiedziała babcia. - To jest myśl. Sądzę, że zanim Stenningowie ostatecznie się z niego wyprowadzą, upłynie jakiś czas, ale - jak już powiedziałam - można się nad tym zastanowić.

High Tor opanował całkowicie moje myśli. W następną sobotę, jak postanowiliśmy tydzień temu, wybraliśmy się tam z Pedrekiem. Dom wydał mi się inny niż dawniej. Przypuszczam, iż ewentualność, że będzie to nasza przyszła siedziba, wpłynęła na zmianę mojej oceny.

- Jak sądzisz - zapytał Pedrek - czy wypada złożyć wizytę Stenningom?

- A dlaczego nie? Mogą nas nie znać, ale dobrze wiedzą, kim jesteśmy.

- Wobec tego idziemy! - zdecydował Pedrek.

Wjechaliśmy przez sklepioną bramę na brukowany dziedziniec i zatrzymaliśmy się przed dębowymi drzwiami nabijanymi gęsto żelaznymi ćwiekami.

Na progu stanął służący. Pedrek zapytał, czy ktoś z państwa jest w domu.

Pojawiła się pani Stenning. Była trochę zdziwiona, ale przyjęła nas bardzo gościnnie.

Wprowadziła do salonu i prosiła, byśmy usiedli. Wyjaśniliśmy, że dowiedzieliśmy się, iż podobno zamierzają opuścić High Tor i osiedlić się w Dorset. Jesteśmy zainteresowani tym domem, ponieważ za rok planujemy się pobrać.

Otworzyła szeroko oczy i stwierdziła:

- To świetny pomysł. Nie powiem jednak państwu, czy właściciele zechcą go sprzedać, czy wynająć, nie zdołałam się dowiedzieć. Państwo prawdopodobnie ich znają.

- Bardzo dobrze - odparłam. - Mój ojczym jest ożeniony z panną Celestą Bourdon.

- Prawda. To bardzo interesujące. Wkrótce wyjeżdżamy z High Tor. Na razie wynajmiemy dom w Dorchester. Będziemy tam mieszkać, dopóki nie uda się nam znaleźć czegoś, co odpowiada naszym wymaganiom. Ten dworek jest bardzo ładny. Z żalem go opuszczamy. Większość mebli należy do nas, Bourdonowie również zostawili kilka sztuk. Państwo z pewnością zechcą umeblować się po swojemu. Mają państwo ochotę obejrzeć dom?

Zwiedzanie dworku pod kierunkiem pani Stenning trwało całą godzinę. Dowiedzieliśmy się wielu ciekawych rzeczy. Budynek pochodził z końca szesnastego lub początków siedemnastego wieku. Szczególnie podobały mi się zwieńczenia i frontony, skrzydłowe okna oraz szyby oprawne w ołów.

Nadszedł pan Stenning, który, jak się okazało, doskonale znał się na architekturze.

Powiedział nam, że jego zdaniem styl budynku wskazuje na okres działalności znakomitego Inigo Jonesa, na którym wzorowały się całe plejady angielskich architektów.

- Jones spędził jakiś czas we Włoszech, gdzie studiował budownictwo. Dlatego w naszej architekturze z tego okresu spotyka się często elementy włoskiego stylu.

Architektura domu nie fascynowała mnie aż tak bardzo. Rozpatrywałam go głównie pod kątem przydatności na naszą ewentualną siedzibę.

Państwo Stenningowie nalegali, byśmy zostali u nich na podwieczorku. Chętnie skorzystaliśmy z zaproszenia. Piliśmy herbatę w uroczym, z polotem zaprojektowanym salonie o skrzydłowych oknach. High Tor był naprawdę pięknym domem.

Rozmawialiśmy o nim nieprzerwanie i nie mogliśmy się doczekać chwili, kiedy wrócimy do Cador i opowiemy dziadkom o rezultacie naszej wizyty.

Byli podekscytowani tak samo jak my.

- Jest to wymarzony dom dla was - stwierdził dziadek. - Przypuszczam, że już się wkrótce dowiemy, co Bourdonowie zamierzają z nim zrobić.

High Tor stał się naszą obsesją. O niczym innym nie potrafiliśmy rozmawiać.

W kilka dni po wizycie u Stenningów otrzymaliśmy od nich list, w którym pisali, że gdyby przyszła nam kiedyś ochota obejrzeć dworek lub dowiedzieć się o nim czegoś więcej, w każdej chwili są do naszej dyspozycji. I w miarę swoich możliwości postarają się również zaspokoić naszą ciekawość.

Skorzystaliśmy z zaproszenia przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Zakomunikowali nam, że nieco zmienili plany i wyprowadzają się kilka tygodni wcześniej, niż pierwotnie zamierzali. Za dziesięć dni dom w High Tor będzie już pusty.

Zaproponowali, że podadzą nam adres Bourdonów w Chislehurst. Możemy go również otrzymać od ich córki, obecnej pani Lansdon.

Pencarronowie przyjechali do Cador na kolację. Dziadkowie moi i Pedreka wymienili poglądy na temat ewentualnego kupna High Tor. Moi dziadkowie mieli bardziej romantyczne nastawienie do życia niż praktyczny pan Pencarron. "Musimy mieć pewność, że nie kupujemy ruiny" - oświadczył stanowczo dziadek Pedreka.

Pedrek odparł, że dom, który od kilkuset lat z powodzeniem opiera się wichurom i deszczom, z pewnością wytrzyma jeszcze następne stulecia. Ale pan Pencarron powiedział, że

wolałby solidny, nowoczesny dom.

- My mamy inne podejście - wtrąciła się moja babcia. - To pewnie dlatego, że wychowaliśmy się w Cador. W tych murach przyszło na świat, żyło i umarło wiele pokoleń. I ta świadomość sprawia, że życie w zamku owiane jest pewnym romantyzmem.

- Niemniej - nalegał pan Pencarron - należy najpierw dobrze sprawdzić rzeczywisty stan budynku.

- Nie powinno być z tym żadnych trudności - zapewnił mój dziadek.

Oboje z Pedrekiem wiedzieliśmy, że pragniemy mieć właśnie ten dom, a nie inny. Jeszcze raz objechaliśmy go ze wszystkich stron. Nasze konne wyprawy nieodmiennie zmierzały w jego kierunku. Siadaliśmy w polu, skąd mogliśmy obserwować jego szare zwieńczenia, i marzyliśmy o dniu, w którym stanie się naszą własnością.

Pedrek napisał list do Bourdonów i otrzymał od nich odpowiedź.

Jeszcze dokładnie nie wiedzieli, co z nim zrobić, ale obiecali, że się szybko zdecydują.

Westchnęliśmy tylko i postanowiliśmy nadal łudzić się nadzieją, że High Tor będzie naszym przyszłym domem.

Właśnie skończyliśmy obiad. Był to jeden z tych leniwie wlokących się dni tygodnia, w ciągu których żyłam myślą o zbliżającym się weekendzie. Dzieci wybrały się na przejażdżkę konno pod opieką jednego ze stajennych chłopców. Zostałam z babcią, która chciała pokazać mi coś w ogrodzie. Kiedy wychodziłyśmy z domu, służąca zameldowała, że mamy gościa.

Byłam zaskoczona i przejęta, dowiedziawszy się, że jest to Jean Pascal Bourdon. Ujął rękę babci i ucałował ją szarmancko. Następnie podobnie przywitał się ze mną.

- Co za miłe spotkanie - zagaił. - Postanowiłem wstąpić i złożyć przemiłym paniom wyrazy uszanowania. Mam zamiar zabawić przez jakiś czas w Kornwalii. Bardzo się cieszę, że panie widzę. Panna Rebeka wygląda świetnie...

- Czy jadł pan obiad? - zapytała babcia.

- Dziękuję, jestem już po obiedzie.

- Wobec tego zapraszam do środka. Napije się pan wina lub może kawy?

- Z przyjemnością napiję się kawy.

Kiedy znaleźliśmy się w salonie, podeszłam do dzwonka i pociągnęłam za sznur. Na wezwanie stawiała się Madge. Zauważyłam, że Jean Pascal obrzuca ją uważnym spojrzeniem.

Pamiętałam o tym jego dawnym nawyku. Dziewczęta typu Madge doskonale zdawały sobie sprawę z zainteresowania, jakie budzą w mężczyznach. Wydawała się tym nieco urażona; spytała z powagą:

- Słucham, jaśnie pani.

- Proszę podać kawę, Madge.

- Tak jest, jaśnie pani - oddaliła się, dygnawszy lekko.

- Spodziewam się, że szanowne panie domyślają się, co mnie tutaj sprowadza - odezwał się Jean Pascal. - Przyjechałem w sprawie High Tor.

- Wiesz, że nas ta sprawa interesuje.

- Tak. Pragnę zauważyć, że nic nie zaskoczyło mnie bardziej niż wiadomość, że to właśnie państwo zamierzają go kupić.

- Nie ma w tym żadnej tajemnicy. Rebeka i Pedrek Cartwright szukają dla siebie domu.

Uniósł brwi ze zdziwienia, więc babcia pośpieszyła z wyjaśnieniem:

- Zamierzają się pobrać w przyszłym roku.

- Wobec tego zechciej przyjąć moje serdeczne gratulacje. - Spojrzał na mnie tak, jakby perspektywa mego małżeństwa wydawała mu się co najmniej zabawna.

- Bardzo ci dziękuję - odparłam.

- To dosyć nieoczekiwana wiadomość.

- Dla nas nie była specjalnym zaskoczeniem - wyjaśniła babcia. - Pedrek i Rebeka

przyjaźnią się od lat.

Skinął twierdząco głową.

- Stenningowie wkrótce się wyprowadzają - oświadczył.

- Czy zatrzymałeś się tam... w High Tor.

Uśmiechnął się.

- Tak. Miejsca nie brakuje, bo dom jest duży, jak sama wiesz. Mamy do omówienia pewne sprawy. Część mebli jest nasza, ale większość umeblowania należy do lokatorów.

Podano kawę. Znowu zauważyłam, że zainteresowała go Madge, i pomyślałam sobie: On już ma taką naturę. Nie przejdzie obojętnie obok żadnej kobiety. Jak bardzo różni się od Pedreka!

Kiedy Jean Pascal się ożeni, jego żona będzie żyła w nieustannej niepewności, czy jej nie zdradza.

Piliśmy kawę i rozmawialiśmy o domu.

- Moja rodzina przeżywa w tej chwili okres niepewności co do dalszego losu - powiedział. -

Wyjeżdżają z Chislehurst.

- Och - zauważyłam obojętnie. - Czy zamierzają wrócić do Kornwalii?

Milczał przez chwilę. Zdradziłam się przed nim, że mi zależy na High Tor. Pan Pencarron powiedziałby, że jest to wielka nieroztropność ze strony potencjalnego nabywcy.

Uśmiechnął się do mnie i mówił dalej:

- Nie. Tutaj nie wrócą. Cesarzowa ma w Chislehurst niewielką świątę, do której należy moja rodzina. Rodzice wchodzili w skład cesarskiego dworu jeszcze dawniej, we Francji, przed klęską. Cesarzowa wiele przecierpiała na wygnaniu... najpierw straciła męża, a obecnie, po śmierci syna w wojnie z Zulusami, wciąż nie może dojść do równowagi. Ma awersję do Chislehurst. Pragnie się przeprowadzić. Przenosi się do Farnborough. Moi rodzice zamierzają pojechać wraz z nią.

- A więc nie do Kornwalii - rzekłam półgłosem.

- Nie, nie. To byłoby za daleko. Przeprowadzają się do Farnborough.

- A co będzie z High Tor? - wtrąciła się babcia.

Uśmiechnął się do nas uprzejmie.

- Jestem przekonany, że będą się go chcieli pozbyć.

Wymieniłyśmy z babcią triumfujące spojrzenia.

- Kiedy wystawiacie go na sprzedaż?

- Jeżeli państwu odpowiada, możemy dać wam prawo pierwokupu.

- Dziękuję - odrzekła babcia. - Tego właśnie oczekiwaliśmy.

- Jesteśmy wszak przyjaciółmi, prawda?

- Jestem pewna, że mój mąż i państwo Pencarronowie będą chcieli obejrzeć dom.

- Ależ naturalnie. Kiedy państwo Stenningowie wyjadą, wrócimy do tego tematu.

- Świetnie! - ucieszyła się babcia. - Może jeszcze kawy?

- Tak, chętnie. Jest doskonała.

Podeszłam i wzięłam od niego filiżankę. Uśmiechnął się do mnie. Jakaś sekretna myśl czaiła się w jego oczach.

- Kiedy planujecie się pobrać?

- Och, jeszcze nie teraz, dopiero za jakiś czas. Pan Cartwright jest na razie w college'u.

Studia ukończy mniej więcej za rok.

- A kiedy skończy... będzie to szczęśliwy dzień.

- Och, tak...

- Miło mi myśleć, że mój dawny dom przejdzie w wasze ręce.

Kiedy odjechał, babcia spojrzała na mnie, oczy jej błyszczały.

- Nie przypuszczam, by wystąpiły jakieś trudności - wyraziła nadzieję. - Twój dziadek i ja pragniemy dać wam ten dom w ślubnym prezencie. Jest jednak mały szkopuł, ponieważ

Pencarronowie chcą zrobić to samo.

- Szczęściarze z nas. Dobrze zdajemy sobie z tego sprawę, babciu. Ile na świecie jest takich narzeczeńskich par, którym wspaniałomyślni dziadkowie chcą podarować w ich wielkim dniu najpiękniejsze domostwo, jakie można sobie wymarzyć? I na dodatek spierają się, kto z nich ma dostąpić tego zaszczytu!

- Wszyscy jesteśmy tacy szczęśliwi - powiedziała uroczyście. - Będziemy mieli was wtedy blisko siebie do końca życia.

O niczym innym nie mówiliśmy, jak tylko o domu. Następnej niedzieli babcia zaprosiła Jeana Pascala na obiad. Zaproszono też państwa Stenningów, którzy opowiadali o zbliżającej się przeprowadzce. Przyjechał również Pedrek ze swymi dziadkami.

- Mam nadzieję, że znajdziecie państwo odpowiednią siedzibę w Dorchester - zwróciła się babcia do Stenningów. - Słyszałam, że jest to piękne miasteczko.

- Będziemy tam bliżej morza. A byliśmy tacy szczęśliwi w Kornwalii, prawda, Filipie?

Pan Stenning zgodził się, że rzeczywiście mieszkało im się bardzo dobrze.

Podczas obiadu bezustannie wymienialiśmy spojrzenia z Pedrekiem. Teraz, kiedy mieliśmy już dom na widoku, wizja małżeństwa stała się konkretniejsza.

Po obiedzie, gdy piliśmy kawę w salonie, Jean Pascal wdał się w rozmowę ze mną i Pedrekiem.

- Zamieszkały dom trudno ocenić. Powinniście przyjechać i obejrzeć go dokładnie po wyjeździe państwa Stenningów.

- Jakie meble należą do państwa? - zapytałam.

- Te większe, cięższe, jak na przykład łóżko z baldachimem. Moi rodzice pragnęli zabrać je ze sobą do Chislehurst, ale jest bardzo stare i lękano się, że nie wytrzyma przeprowadzki.

Postanowili je więc zostawić. Są też jakieś dwa ciężkie kredensy. W sumie niewiele mebli.

Umówimy się na oględziny, kiedy dom będzie pusty.

- Doskonała myśl.

Po wyjeździe gości, już tylko w rodzinnym gronie, kontynuowaliśmy rozmowę o domu.

Uzgodniono, że nasi dziadkowie kupią go po połowie i że będzie to ich wspólny prezent.

- Ależ z nas szczęściarze! - cieszyłam się.

- Dajemy wam tylko to, na co zasługujecie, nic więcej, moi drodzy - powiedziała pani

Pencarron. - Ale pamiętajcie, nie kupimy go, jeżeli się okaże, że nie jest w dobrym stanie. Jestem

trochę uprzedzona do starych rezydencji. Są tacy, którzy uważają, że jeden lub dwa historyczne

duchy równoważą przeciekający dach i rozsypujące się ściany. Mnie to nie odpowiada.

- Może trzeba będzie dokonać jakiegoś remontu - zastanawiała się babcia.

- Weźmiemy fachowca, który oceni jego stan.

- Skoro tylko Stenningowie się wyprowadzą, poddamy budynek szczegółowym oględzinom

- zakończyła rozmowę babcia.

Na przełomie następnego tygodnia wyszłam po południu z domu z zamiarem przejechania

się konno. Kiedy wyjeżdżałam ze stajni, spotkałam Jeana Pascala.

- Cześć! - przywitał mnie. - Wiem, że często o tej porze wypuszczasz się na samotne

wycieczki. Postanowiłem więc wyjechać ci na spotkanie.

- Dlaczego, czy coś się wydarzyło? - spytałam z niepokojem.

- Nic ponad to, że się spotkaliśmy.

- Myślałam, że przywozisz jakieś wieści.

- Jeżeli mam być szczery, kierowała mną tylko chęć zobaczenia się z tobą.

- Ponieważ...

- Ponieważ wydawało mi się, że jest to dobry pomysł. Wiem, że wybierasz się na spacer. Co

powiesz na moje towarzystwo? Porozmawiamy sobie podczas przejażdżki.

- A więc jest coś. Czy to dotyczy domu?

- Ten temat długo można wałkować. Ale są przecież także inne, nie mniej zajmujące wątki.

- Na przykład jakie?

- Po prostu ogólna rozmowa. Lubię niewymuszoną, spontaniczną konwersację.

- Jak ją sobie wyobrażasz?

- Niech sobie płynie... niech toczy się w sposób naturalny.

- Gdzie pojedziemy?

- W żadnym razie nie do High Tor. Wiem, że tam jeździsz. To znaczy przejeżdżasz tamtą stroną. Pani Stenning mówi, że często widuje cię w pobliżu.

Zrobiło mi się trochę głupio, że moje dziecinne zafascynowanie posiadłością nie uszło ich uwagi.

- Mam nadzieję, że pomyślnie przebrniemy przez wszystkie formalności - wyraziłam przekonanie.

- Powinienem ją podzielać, bo to będzie twój nowy dom.

- Pan Pencarron wyraził życzenie, żeby budynek został oceniony przez rzeczoznawcę.

Spodziewam się, że nie będziesz miał nic przeciwko temu.

- Nie, nie. Podziwiam go. Słusznie zdecydował. Kto wie, stary dwór może lada chwila się zawalić.

- Jestem pewna, że coś takiego się nie zdarzy.

- Ja również. Ale pan Pencarron jest człowiekiem praktycznym, on nie przychodzi i nie mówi: "To jest ładny dom. Kupię go dla mego wnuka i jego przyszłej żony". Właśnie to w nim podziwiam, ten zmysł człowieka interesu. On nie kupi kota w worku.

- Jak widzę, uważasz to za wielką zaletę.

- Bo świadczy o życiowej mądrości. Romans, och, bardzo piękna rzecz, ale człowiek

mądry, realista, stwierdza, że owszem, tak, ale tylko wtedy, kiedy trwa... podczas gdy dom musi być jak opoka... pierwsze silniejsze uderzenie wiatru nie może go zmieść.

- Cieszę się, że nie masz nic przeciwko temu, by pan Pencarron zasięgnął rady fachowca.

Obawiałam się, że możesz poczuć się dotknięty.

- Naturalnie, że nie. Ja go rozumiem. Ja w ogóle wiele rozumiem.

- Nie wątpię, iż jesteś mądrym człowiekiem.

Spięłam konia ostrogami. Przejechaliśmy przez pole krótkim galopem. Popatrzyliśmy w dół na morze.

- Czy miewasz chwile tęsknoty za Francją? - zapytałam.

Wzruszył ramionami.

- Stale tam jeżdżę. To mi wystarcza. Gdyby to była dawniejsza Francja... o, wtedy bym tam został. Ale nie teraz... ci komunardzi... Gambetta ze swymi republikanami... oni zniszczyli dawną Francję. Ale przecież nie będziemy mówić o polityce, o naszych niekompetentnych rządach. Moją ojczyzną jest teraz Anglia. Tak jak dla wielu innych Francuzów stała się dla nas Francją. Nudzi mnie ten temat. Nie mam ochoty o nim mówić.

- Mnie on interesuje, podobnie jak sprawy mojego kraju. Kiedy jestem w Londynie...

- Prawda, ty siedzisz w samym centrum polityki. W domu twego ojczyma i mojej siostry.

Ale będziesz musiała się tego wszystkiego wyrzec. Będziesz prowadziła życie dziedziczki starego wiejskiego dworu. Takiego dokonałaś wyboru. Chciałbym z tobą o tym porozmawiać. Poszukajmy jakiejś przytulnej gospody. Pozwolimy koniom odpocząć, a sami pogadamy nad kuflem cydru. Co ty na to?

- Z przyjemnością. Jestem pewna, że mi wiele powiesz o High Tor.

Wybrana przez niego gospoda okazała się tą samą, w której nie tak dawno byłam z

Pedrekiem. Szyld nad drzwiami przedstawiał wizerunek głowy "wesołego monarchy" o ciemnej

cerze i zmysłowych rysach.

- Jestem przekonany, że cydr w gospodzie pochodzi z doskonałej winnicy.

Zajęliśmy miejsca w salce, w której okna miały szyby oprawne w ołów i ściany zawieszono końską uprzężą, migoczącą miedzianymi ozdobami. Cydr przyniosła dorodna dziewczyna, która na krótką chwilę przykuła uwagę Jeana Pascala.

- Ha! - zauważył. - Stary angielski pub... charakterystyczna cecha krajobrazu angielskiej wsi.

- I bardzo przyjemna.

- Zgadza się. - Podniósł kufel. - Jak wiele innych rzeczy w tym kraju, zwłaszcza kobiety, z panną Rebeką Mandeville na czele.

- Dziękuję - odparłam zimno. - Państwo Stenningowie wyprowadzają się pod koniec tygodnia, jeśli się nie mylę?

Uśmiechnął się.

- A ty wciąż, jak widzę, o High Tor. Tylko dom zaprzęta twoje myśli.

- Nie mogę zaprzeczyć.

- Postrzegasz w tej chwili rzeczywistość wyłącznie przez pryzmat miłości.

- Skąd o tym wiesz?

- Ponieważ wiem, co to znaczy być młodym i zakochanym. A wy obydwójce jesteście młodzi, a ty zakochana w szczęśliwcu Pedreku.

- Myślę, że obydwójce mamy szczęście.

- Sądzę, że przede wszystkim on jest szczęściarzem.

Spoglądał na mnie ciepłym wzrokiem. Pomyślałam: Ma już taką naturę, że z każdą musi flirtować, nawet z kobietą, o której wie, że wkrótce wychodzi za mąż. Sposób, w jaki spogląda na kobiety, jest jednym z jego wypróbowanych, uwodzicielskich chwytów. Powinnam potraktować

wyzwanie jako dobrą zabawę. Muszę przyznać, że rzeczywiście mnie to bawiło. Siedzieliśmy przecież nad wysmienitym cydrem w najlepszej salce uroczej gospody. Obok, w sąsiednim pomieszczeniu, krzatali się właściciele zajazdu. Sytuacja przedstawiałaby się inaczej, gdybym była z nim sam na sam. W tej chwili czułam się całkowicie bezpieczna. Nic mi nie groziło.

Postawił kufel na stole i pochylił się ku mnie.

- Powiedz mi - zaczął - czy miałaś kochanka przed tym pocziwcem Pedrekiem?

Splonęłam krwistym rumieńcem.

- Co masz na myśli?

Rozłożył ręce i uniósł ramiona. Jak większość jego rodaków i rodaczek - zauważyłam to na przykładzie jego siostry, Celeste - gestykulował, kiedy mówił.

- Mam na myśli, czy Pedrek jest twoim pierwszym mężczyzną? - Roześmiał się raptownie. -

A teraz na pewno nazwiesz mnie impertynentem?

- Czytasz w moich myślach - odparłam.

Podniosłam się z krzesła, ale on wyciągnął rękę i powstrzymał mnie.

- Usiądź, proszę cię. Jesteś jeszcze bardzo młoda, panno Rebeko, i dlatego zamykasz oczy na wiele zjawisk, jakie występują na świecie. Niedobrze jest zamykać oczy. Jeżeli ktoś chce przeżyć dobrze i mądrze, mieć udane małżeństwo i rozumieć wszystko, co się dzieje wokół niego, musi wiedzieć, jak się w tym świecie poruszać.

- Myślałam, że będziemy rozmawiali o domu. Nie mam ochoty...

- Wiem. Nie chcesz spojrzeć prawdzie w oczy. Pragniesz tworzyć miłe, ładne obrazki i naklejać je na obraz rzeczywistości, karmiąc się przy tym złudzeniem. Są osoby, które żyją złudzeniami przez całe życie. Czy chcesz być jedną z nich?

- Może na tym polega tajemnica szczęścia?

- Szczęście? Czy można czuć się szczęśliwym, zamykając oczy na rzeczywistość?

- Nie wiem, jaki jest cel tej rozmowy, ale nie uważam za konieczne, byśmy ją kontynuowali.

- Jesteś jeszcze trochę... dziecinna, przyznajesz?

- Musisz zatem nudzić się w moim towarzystwie i dlatego pozwól, że cię pożegnaj. Nie musisz ze mną wychodzić. Mogę być dziecinna, ale potrafię wrócić sama do domu. Samotna jazda to dla mnie nic nowego.

- Jesteś bardzo ładna, kiedy się gniewasz.

Odwrociłam się niecierpliwie.

- Boisz się mnie słuchać - rzucił oskarżycielskim tonem.

- A to z jakiego niby powodu?

- Ponieważ boisz się słuchać prawdy.

- Nie obawiam się, zapewniam cię, ale twoje pytania są dla mnie obraźliwe.

- Chodzi ci o kochankę? Bardzo cię przepraszam. Wiem, że jesteś dziewicą i masz zamiar nią pozostać aż do nocy poślubnej. To urocze. Wiem. Ja jedynie chciałem dać ci do zrozumienia, że drobne przedmałżeńskie doświadczenie może czasami być bardzo przydatne.

- Nie rozumiem, dlaczego rozmawiasz ze mną w ten sposób.

Zmienił swe zachowanie i nagle spokorniał.

- Jestem głupi - stwierdził samokrytycznie. - To dlatego. Niewykluczone, że jestem trochę zazdrosny o pana Pedreka.

Miałam nadzieję, że nuta sarkazmu w moim głosie była dostatecznie czytelna, kiedy odparłam:

- Wracamy zatem do znanych metod. Oskarżasz mnie, że swoim romantyzmem usiłuję zamazywać prawdę, odpowiadam ci więc na to: Nie wierzę ani trochę twoim słowom. Używasz tych samych frazesów, stosujesz te same sentymentalne gierki wobec każdej kobiety, z którą zdarza

ci się rozmawiać w danej chwili. To nic nie znaczy. Rozmowa z tobą jest próżna.

- Masz rację. Ale tak się składa, że w tym wypadku jestem szczery.

- A więc przyznajesz, że ty, który tak cenisz prawdę, i uważasz, iż należy ją wszystkim objawiać, często się z nią rozmijasz?

Ponowne wzruszenie ramion i rozłożenie rąk.

- We Francji - rzekł - ojciec młodego człowieka załatwia mu kochankę, zazwyczaj starszą, wytworną, światową damę. Ona wprowadza go w świat i uczy, jak się w nim poruszać, tak że kiedy nadchodzi czas ożenku, jest już człowiekiem dobrze znającym przyjęte zwyczaje, a nie żadnym gauche.[niezdara] Rozumiesz?

- Słyszałam o tym, ale my nie żyjemy we Francji. Wydaje mi się, że w naszym kraju panuje inny kodeks moralny.

- Nie zgadzam się z tezą, że Anglicy stanowią uosobienie samych cnót, natomiast my, Francuzi, jesteśmy do gruntu zdemoralizowani.

- Czy mamy wszczynać nacjonalistyczny spór?

- W żadnym wypadku. Tu jest wiele rzeczy, które mi się bardzo podobają, ale wśród twoich ziomeków często zdarzają się mali hipokryci. Pozują na cnotliwych, podczas gdy w rzeczywistości wcale nimi nie są. Jestem zdania, że trochę przedmałżeńskiego doświadczenia przyda się nam wszystkim. Jesteśmy wtedy dobrze przygotowani do tej wielkiej życiowej przygody, jaką jest małżeństwo. Potrafimy sobie radzić z małymi kryzysami, jakie pojawiają się nawet w najlepszych stadłach. We wszelkich przedsięwzięciach doświadczenie jest wartością, która liczy się na wagę złota.

- Czyżbyś sugerował, że ja... że powinnam starać się zdobyć takie doświadczenie?

- Nie odważyłbym się podsuwać ci podobnej myśli. Właściwie chciałbym cię jak najmocniej przeprosić za to, że poruszyłem ten temat.

- Wybaczam ci i nie mówmy o tym więcej.

- Czy mogę ci dolać?

- Nie, dziękuję. Właściwie powinnam wracać. Mam jeszcze trochę roboty w domu.

Skłonił głowę.

- Przede wszystkim chcę jeszcze raz usłyszeć z twoich ust, że mi naprawdę przebaczasz.

- Przeprosiłeś mnie już. Wybaczam ci.

- Zachowałem się bardzo niemądrze.

- Myślałam, że jesteś mądry właśnie dzięki swemu tak zachwalanemu doświadczeniu. Nie wątpię, że jest ono imponujące.

Spoglądał na mnie takim żalonym i pokornym wzrokiem, że nie mogłam powstrzymać się od śmiechu.

- Tak o wiele lepiej! - wykrzyknął. - Teraz wierzę, że mi naprawdę wybaczyłaś. Widzisz: zachwyciłaś mnie. Twoja świeżość, uroda, twój stosunek do życia. Nie myśl, że nie podziwiam twojej niewinności, tej atmosfery czystości...

- Proszę, przestań. Posuwasz się za daleko. Mogę być niewinna i nieświadoma spraw, w których ty jesteś biegły, ale znam się na pochlebstwach. A twoje pochlebstwo było szyte bardzo grubymi nićmi.

- A więc jestem głupi, prawda?

- Słuchaj! Tobie się wydaje, że mnie rozumiesz. Ja ciebie również rozgryżłam. Jesteś kobieciarzem. Nie ma kobiety, obok której potrafiłbyś przejść obojętnie. Starasz się uwieść każdą, jaką się da. Nie przepuścisz żadnej służącej. Mówi się, że u młodych mężczyzn to rzecz zwykła. To mnie nie obchodzi, byleby tylko oszczędzili mi swoich dwuznacznych spojrzeń.

Roześmiał się całkiem sympatycznie.

- Zostałem należycie ukarany - odparł. - Teraz widzę, jakim byłem głupcem.

- Każdemu się to może przytrafić.

- A więc zostajemy przyjaciółmi.

- Oczywiście. Ale proszę, w przyszłości nigdy więcej nie rozmawiaj ze mną w ten sposób.

Potrząsnął głową na znak zapewnienia.

- A teraz, na przypieczerowanie naszej zgody, po jeszcze jednym kufelku, dobrze?

- Mam już dosyć, dziękuję.

- Tylko łyceczek, inaczej pomyślę sobie, że twoje przebaczenie jest tylko pozorne.

Przyniesiono cydr. Wznieśliśmy kufle.

- Teraz już wiem na pewno, że jesteśmy prawdziwymi przyjaciółmi - oświadczył. -

Możemy zacząć rozmawiać o High Tor. Kiedy Stenningowie się wyprowadzą, przyjedziesz z panem Pedrekiem, a ja pokażę wam wszystko, co zechcecie obejrzeć.

- Dziękuję. O to właśnie nam chodzi.

Zaczęliśmy mówić o High Tor. Następnie rozmowa zesła na szczytkowy cesarski dwór w Chislehurst i członków francuskiej arystokracji, którzy od czasu do czasu składają wizyty cesarzowej.

Potrafił być ogromnie zabawny i miał duży dar naśladowania innych osób. Było to bardzo śmieszne, zwłaszcza kiedy imitował swoich sztywnych, dobrze urodzonych ziomków oraz... kobiety.

Śmiałam się bezustannie, a moja spontaniczna reakcja sprawiała mu wyraźną przyjemność.

Nie mogłam zrozumieć, co go skłoniło do podjęcia poprzedniego tematu. Wierzyłam jednak, że zdołałam mu uzmysłwić, jaki błąd popełnił.

W rezultacie spędziłam całkiem miłe popołudnie.

Państwo Stenningowie przesunęli termin wyprowadzki o tydzień, ale w końcu wyjechali na dobre. We wtorek rano Jean Pascal przysłał mi wiadomość do Cadore.

Prosił pana Pencarrona o przybycie dziś o trzeciej po południu do High Tor, aby wyjaśnić kilka punktów, które ten chciał z nim omówić. Pytał mnie, czy nie zechciałabym się do nich przyłączyć. Odpowiedziałam przez posłańca, że zrobię to z ochotą.

Dziewczynki były świadkiem przybycia posłańca i dopytywały się, co miało na celu.

- To wiadomość od pana Bourdona - wyjaśniłam.

- Z High Tor? - zapytała Belinda.

- Tak.

- Jedziesz tam dziś po południu?

- Ja też chciałabym z tobą pojechać - wyraziła ochotę Lucie.

- Nie dzisiaj. Może innym razem. Kiedy dom będzie naszą własnością, często będę was tam zabierać. Zacznie się kupowanie mebli, urządzenie pokojów i inne rzeczy. Będzie to wielka przyjemność.

- Doskonale - zgodziła się Lucie.

Nie mogłam doczekać się chwili wyjazdu i zaraz po obiedzie wyruszyłam do High Tor.

Na miejscu nie było żadnego stajennego chłopca, sama więc zaprowadziłam konia do stajni, a potem poszłam w kierunku domu. Pociągnęłam za dzwonek. Jego dźwięk rozległ się echem po pustych pokojach. Drzwi otworzył mi Jean Pascal.

- Cześć! - przywitał mnie. - Cieszę się, że przyjechałaś.

- Czy pan Pencarron już jest?

- Jeszcze nie, ale wejdź do środka.

Weszliśmy do holu.

- Bez mebli sprawia wrażenie dużo większego - zauważyłam.

- Łatwiej ci się teraz zorientować, jak w przyszłości poustawiasz swoje meble.

- A ten stół? - zapytałam. - Zabieracie go czy sprzedajecie, a może należy do wyposażenia

domu?

- To się jeszcze okaże. Są jeszcze inne meble. Może chcesz je zobaczyć i ewentualnie zostawić dla siebie? Możemy pójść je obejrzeć.

- O której godzinie pan Pencarron zapowiedział swój przyjazd?

- Nie określił dokładnie czasu. Powiedział, że to zależy od jakiejś sprawy w kopalni. -

Zauważywszy moje niespokojne spojrzenie, podszedł do drzwi wejściowych i otworzył je. -

Zostawię drzwi uchylone, tak by mógł wejść w każdej chwili. Chodźmy na pierwsze piętro i rzuć okiem na tę wazę.

Zatrzymał się na podeście, bym mogła dokładnie obejrzeć antyczne arcydzieło.

- Piękna rzecz, musisz przyznać - powiedział z dumą.

- Tak, jest rzeczywiście śliczna. Trzeba będzie coś postawić na jej miejsce.

Skierowaliśmy się do galerii.

- Powinnaś zacząć zbierać obrazy do kolekcji - poradził.

- Sądzę, że moi dziadkowie przekażą mi kilka rodzinnych portretów. Wiem, że mają ich dużo.

- Dasz początek dynastii.

Roześmiałam się, a on tymczasem prowadził mnie po schodach na górę. Otworzył szeroko drzwi do jednego z pomieszczeń. Zasłony wciąż wisiały w oknach, a na środku pokoju królowało wielkie łoże z baldachimem.

- Klejnot rodzinny Bourdonów - wyjaśnił.

- Ogromny mebel.

- Aksamitne kotary są trochę podniszczone. Włos na tkaninie wytarł się z wiekiem.

- Zabierzecie je przypuszczalnie ze sobą.

- Nie sądzę, by moja mama chciała się go pozbyć.

Usiadł na łożu i nagłym ruchem pochwycił mnie za rękę tak silnie, że zanim zdałam sobie sprawę z tego, co się dzieje, siedziałam już obok niego.

Musiałam mieć mocno przerażoną minę, ponieważ zapytał:

- Jesteś trochę zdenerwowana, prawda?

- Nie - skłamałam. - Nie ma przecież do tego powodu.

- No cóż, może. Oto jesteś sama w domu z mężczyzną, o którym wiesz, że nie grzeszy cnotą. Nigdy przecież nie robił przed tobą tajemnicy z tego faktu, prawda?

Usiłowałam wstać, ale siłą mnie przytrzymał.

- W niektórych sprawach jesteś małą idiotką, Rebeko - stwierdził. - Mimo to uwielbiam cię.

- Pan Pencarron będzie tu lada chwila. Czy nie sądzisz, że zachowujesz się trochę dziwnie?

Przeprosiłam go uprzednio za swoją impertynencję, a ja ci wybaczyłam.

- Bardzo nie lubię przeproszać.

- Nikt nie lubi, ale czasami trzeba to robić. Nie ma innego wyjścia. Proszę cię, przestań więc zachowywać się w taki głupi sposób.

W odpowiedzi złapał mnie i przycisnął mocno do siebie. Pochylił głowę i pocałował mnie w usta.

Przestraszyłam się nie na żarty. Usiłowałam się wyrwać z jego ramion, ale był silniejszy ode mnie.

- Czas najwyższy, byś straciła nieco swej niewinności, Rebeko - oświadczył.

- Ty... ty potworze!

- Tak, jestem potworem, zgadzam się. Wcale nie żartowałem wtedy w gospodzie, kiedy się na mnie obraziłaś. Mówiłem jak najbardziej poważnie. Czas już, by ktoś dał ci lekcję.

- Nie chcę od ciebie lekcji!

- Tu właśnie się mylisz. Potrzebujesz lekcji... od kogoś tak ujmującego, doświadczonego i

wyrozumiałego jak Jean Pascal Bourdon.

- Jesteś śmieszny!

- Wolno ci tak myśleć, staroświecka panno. Nie trzymaj się konwenansów, Rebeko. Choć raz pozwól sobie zrobić to, na co masz ochotę, co podpowiada ci instynkt.

- Mój instynkt nakazuje, bym dała ci w twarz.

- Spróbuj - powiedział, przytrzymując mi rękę.

- Jak ci się wydaje? Co ty robisz?

- Dobrze wiesz, co robię.

- Obawiam się, że nie.

- To znaczy, że nie potrafisz trzeźwo myśleć. Powiedziałem ci już, czego ci trzeba. Musisz poznać świat. Powinnaś coś przeżyć, nim skazesz się do końca życia na nudną egzystencję na wsi.

- Jesteś chyba szalony!

- Troszeczkę... w tym momencie. Jesteś taka rozkosznie niewinna. Lubię cię. Pragnę cię od dłuższego czasu. Czekałem tylko na sposobność, aby ci pokazać, jakie wesołe może być życie, jeżeli przestaniesz być pruderyjna. Pofolguj sobie! Odrzuć swoje zasady. To się opłaci. Takie doświadczenie na pewno ci się przyda. Pozwól sobie przeżyć - nazwijmy to - małą przygodę, zapamiętać się w rozkoszy. A potem z obrazem tych chwil w pamięci osiędziesz... na swej nudnej wsi.

- Czy naprawdę myślisz, że chciałabym zabawiać się z tobą w ten sposób? Chyba postradałeś zmysły. Jesteś rozpustnikiem, który o niczym innym nie myśli, tylko o uwodzeniu kobiet. Jesteś na dodatek tak zarozumiały, że wydaje ci się, iż wystarczy, byś okazał odrobinę zainteresowania kobiecie, a ta natychmiast padnie omdlała z wrażenia u twoich stóp.

- Myślę, że gdybyśmy oboje zostali przyjaciółmi, prawdziwymi przyjaciółmi, stwierdziłabyś, że jest to całkiem przyjemne przeżycie.

- Zabierz ode mnie ręce!

- Nie mogę. Pokusa jest zbyt silna.

- Nie chcę cię więcej widzieć. Nigdy, słyszysz?!

- Nie bądź taka zasadnicza. Zapewniam cię, że to będzie twoje najradośniejsze, najbardziej porywające doświadczenie.

- Kiedy nadejdzie pan Pencarron... - zaczęłam.

Roześmiał się.

- A więc jesteś aż tak naiwna, że wierzysz, iż pan Pencarron rzeczywiście przyjedzie?

Odebrało mi mowę z wrażenia na myśl o konsekwencji tego wyznania.

- Widzę, że ta wiadomość poraziła cię - stwierdził, uśmiechając się cynicznie. - Oczywiście, że nie przyjedzie. On nic nie wie o tym małym rendez_vous. Nikt nie musi wiedzieć. No chodź, moja słodka Rebeko, bądź rozsądną dziewczynką.

Strach musiał dodać mi energii. Zdołałam podnieść się z łóżka, ale on wciąż mnie trzymał.

Uniosłam kolano i uderzyłam nim z całej siły. Wydał okrzyk wściekłości i opuścił ręce. W sekundę znalazłam się przy drzwiach. Pobiełam przez galerię, ale on był tuż za mną. Dotarłam do szczytu schodów i stanęłam, dysząc ciężko. Ktoś znajdował się na dole w holu. Była to Belinda.

Usłyszałam swój głos:

- Belindo...

- To ty, Rebeko? - Stała, przyglądając mi się uważnie. Uświadomiłam sobie w tej chwili, że zgubiłam kapelusz, że włosy opadają mi na twarz i że mam rozpiętą bluzkę. - Rebeko... wyglądasz... - zaczęła.

Ujrzała Jeana Pascala. Nastąpiła długa chwila milczenia. Jean Pascal pierwszy odzyskał równowagę.

- Witaj, panno Belindo - powiedział. - Czy przybywasz odwiedzić biednego samotnika?

- Tak - odparła. - Wybrałyśmy się na przejażdżkę konno. Lucie też tu jest, na zewnątrz, ze Stubbsem. Rzekłam do niej: “Jedźmy do High Tor. Tam jest Rebeka. Zrobimy jej niespodziankę...”

Zeszłam wolno ze schodów.

- Cieszę się, że przyjechałaś, Belindo - powiedziałam.

- Twoja fryzura jest w nieładzie.

- Czyżby?

- Tak. A gdzie podziłaś kapelusz?

- Och, rzeczywiście. Musiałam go gdzieś położyć.

- Oglądaliśmy dom - wyjaśnił Jean Pascal. - Rozmawialiśmy, co począć z meblami.

- Aha - odparła domyślnie Belinda. Jej badawczy wzrok skierował się teraz na Jeana Pascala. - To dlatego Rebeka wygląda tak nieporządnie.

W tym momencie do holu weszła Lucie.

- Cześć, Rebeko! - zawołała. - Przyjechałyśmy po ciebie.

Powiedziałam do siebie w duchu: “Dzięki Bogu, że taka zbawcza myśl przyszła wam do głowy. Nie chcę więcej oglądać tego potwora, nigdy w życiu”.

Jean Pascal spoglądał na mnie z uśmiechem, w którym kryła się lekka ironia.

- Chyba powinienem ci zdradzić, gdzie zostawiłaś swój kapelusz - powiedział. - W sypialni, która przylega do galerii. Pójdę i ci go przyniosę.

Zeszłam wolno ze schodów. Belinda nie spuszczała ze mnie wzroku. Zastanawiałam się, co ona sobie myśli.

- Nie masz nam za złe, że przyjechałyśmy po ciebie, co? - zapytała.

- Nie... nie, dobrze, że przyjechałyście.

- Czy możemy obejrzeć dom? - zapytała Lucie.

- Myślę, że czas już wracać.

- Tylko rzucimy okiem - prosiła Belinda.

Jean Pascal schodził z moim kapeluszem w rękę. Wręczył mi go z lekkim ukłonem.

Wydawał się zupełnie nie zmieszany.

- Chciałybyśmy obejrzeć dom - zwróciła się do niego Belinda. - Tak tu śmiesznie bez mebli... tylko na króciutko. - Zawołała nagle głośno: - Hej! Słuchaj! Tu jest echo - zauważyła. -

Przywodzi na myśl duchy i inne podobne rzeczy.

- Ale wiesz, to dlatego, że tu prawie nie ma mebli - zauważyła Lucie.

- Chodźcie - zapraszał je Jean Pascal. - Oprowadzę was. Pójdzie pani z nami, panno Rebeko?

Miałam ochotę krzyknąć: "Nie, chcę jak najszybciej opuścić ten dom! Nie chcę cię więcej oglądać na oczy! Przez ciebie High Tor stracił dla mnie cały urok". Ale co miałam robić?

Musiałam zachowywać się, jak gdyby nigdy nic.

W myślach miałam zupełny zamęt. Oglądając wraz z nimi pokoje, zadawałam sobie pytanie, jak powinnam postąpić. Zastanawiałam się, czy nie powiedzieć o tym babci. Jaka będzie jej reakcja? Nie, nie mogę tego zrobić. Na pewno powie dziadkowi. Czy powinnam poinformować o tym Pedreka? Jak on się zachowa?

Sytuacja była bardzo niezręczna.

Powtarzałam sobie: "Na razie nic nie muszę robić. Muszę wszystko przemyśleć. Nie mogę znaleźć się z nim sam na sam. Nie odezwę się do niego słowem, jeżeli nie będę do tego zmuszona.

W przyszłości może się to okazać kłopotliwe, ponieważ jest bratem żony mego ojczyma. Co więcej - jego rodzina posiada dom, który stał się obiektem moich marzeń".

Przede wszystkim okazałam się głupia, że mu zaufałam. Powinnam pamiętać, że kiedy byliśmy w gospodzie, próbował namówić mnie do grzechu. A ponieważ ja z oburzeniem odrzuciłam jego propozycję, usiłował zdobyć mnie siłą. Nie da się ukryć, że rzeczywiście okazałam

się taka naiwna i niedoświadczona, za jaką mnie uważał. To właśnie było takie upokarzające.

Zastawił na mnie pułapkę, w którą wpadłam z własnej woli.

Byłam przekonana, że gdyby sprawa się wydała, tłumaczyłby się, iż przyszłam do niego dobrowolnie, sprowokowałam go, a następnie ogarnięta przerażeniem oskarżyłam, że chciał mnie zgwałcić. Często tak postępowano w podobnych wypadkach. Mężczyźni jego pokroju właśnie w ten sposób starali się usprawiedliwić. Byli to osobnicy bez skrupułów i zasad. Moi dziadkowie i Pedrek uwierzą mi, ale nie brakuje ludzi, którzy lubią podawać w wątpliwość prawdziwą wersję i gotowi są potępić nie winowajcę, lecz ofiarę.

Mnie na szczęście udało się uciec... dzięki Belindzie i Lucie.

Zrobiło mi się niedobrze, kiedy weszliśmy do sypialni, w której stało rodzinne łoże Bourdonów z baldachimem. Myślałam, że ta katorga nigdy się nie skończy.

Jean Pascal stał na dziedzińcu, kiedy dosiadałyśmy koni. Nie patrzyłam na niego.

- To było niezwykle interesujące popołudnie - rzekł. - Szkoda, że się tak szybko skończyło.

Mówiąc to, uśmiechnął się do mnie cynicznie. Zawróciłam konia bez słowa. Wjeżdżając na dziedziniec w Cador ze Stubbsem i dziewczynkami, wciąż jeszcze dziękowałam Bogu, że pomógł mi się wyrwać z lubieżnych łap Jeana Pascala.

Mój upojny sen o szczęściu zakłóciło złowrogie widmo grzechu. Dom w High Tor przestał być dla mnie tym, czym był dawniej. Czułam się nieszczęśliwa. Nie wiedziałam, jak powinnam postąpić.

Gdybym zwierzyła się bliskim z tego, co się stało, zostałyby zerwane nasze stosunki z rodziną Bourdonów. Dla mnie i Celeste sytuacja stałaby się wówczas bardzo niezręczna. Ciekawa też byłam, co by powiedział Benedykt, gdyby ta sprawa doszła do jego uszu.

Mogłam sobie wyobrazić lekceważący uśmiech Jeana Pascala, gdyby kiedykolwiek

czyniono mu zarzuty. “Przecież to tylko mała zabawa, lekki flirt. Rebeka zgodziła się mnie odwiedzić w pustym mieszkaniu, no i rzecz jasna pomyślałem sobie...”

Czy oni by uwierzyli, że sytuacja przedstawiała się zupełnie odwrotnie?

Wciąż jeszcze wahałam się, jak powinnam postąpić, kiedy straszliwy cios, który spadł na nas niczym grom z jasnego nieba, wyparł z mojej głowy jakiegokolwiek inne myśli.

Było to w następny piątek, o godzinie szóstej wieczorem. Siedząc samotnie w pokoju, nadal analizowałam obrzydliwą przygodę, kiedy do drzwi zapukała Leah. Miała bardzo zaniepokojoną minę. Domyśliłam się, że musiało wydarzyć się coś złego.

- Co się stało, Leah? - zapytałam z niepokojem.

- Chodzi o panienkę Belindę. Zniknęła...

- Zniknęła? A zatem gdzie...?

Leah potrząsnęła głową.

- Nie wiem. Lucie mówi, że poszła zanieść coś Mary Kellaway. Lucie radziła jej, by poczekała z tym do rana, ale ona odparła, że chce iść teraz. Mówiły o jakiejś książce.

- I dotąd nie wróciła?

Leah potrząsnęła głową przecząco.

- Wobec tego trzeba ją zacząć szukać.

Podeszłam do drzwi i zaczęłam schodzić ze schodów. W holu napotkałam babcię.

- Belinda zniknęła! - poinformowałam ją.

- Co takiego?! - wykrzyknęła przerażona babcia.

- Leah mówi, że wyszła dokądś i dotychczas nie wróciła.

- Wyszła sama... o tej porze?

- Nie wiedziałam, że wyszła z domu - tłumaczyła się Leah. - Nigdy bym jej nie pozwoliła wyjść samej. Lucie mówi...

- Gdzie jest Lucie?

- Lucie! - zawołałam. - Lucie!

Usłyszałam głos Lucie na szczycie schodów.

- Chodź tu szybko, Lucie.

Podeszła. Była zadyszana i wyglądała na przelęknioną.

- Dokąd poszła Belinda?

- Do Mary, zanieść jej książkę.

- O tej porze?

- Radziłam jej, by poczekała do jutra, ale nie chciała.

- Kiedy wyszła?

- Jakąs godzinę temu. Było około piątej.

- Trzeba pójść do wsi po ludzi. Musimy ją zacząć szukać - postanowiła babcia. - Musimy też powiadomić pana Hansona.

W tym momencie do pokoju wpadła Belinda. Podbiegła do mnie i rzuciła się w moje ramiona. Sukienkę miała w strzępach, a twarz i ręce umazane krwią i ziemią.

- Och, Rebeko! - wykrzyknęła. - To było straszne! Tak mnie przeraził. Był straszny...

straszny... odmieniony. Nie wiedziałam, co mam robić. Kopałam... i krzyczałam... ale nikt nie przyszedł mi na pomoc, a on mnie trzymał z całej siły... nie byłam w stanie się wyrwać.

- Kto? Kto?! - krzyknęłam.

Zobaczyłam, że babcia blednie na twarzy, przejęta grozą.

Zwróciłam się do Belindy:

- Uspokój się, już jest dobrze. Jestem przy tobie... wszyscy jesteście przy tobie. Nic ci nie grozi. Nie musisz się niczego obawiać. Powiedz tylko, co się stało.

- Chciałam zanieść Mary książkę. Obiecałam uczynić to rano, ale zmieniłam zdanie i

postanowiłam zanieść dzisiaj. To było w pobliżu jeziora. Panowała cisza i spokój. I wtedy zobaczyłam jego. Powiedział “cześć” i dodał, że jestem małą miłą dziewczynką i że on lubi takie małe miłe dziewczynki. Na początku wszystko było dobrze, nic się nie działo. Ale potem popchnął mnie nagle, tak że upadłam i znalazłam się na ziemi.

Zrobiło mi się niedobrze. Ukryła twarzyczkę na moim ramieniu.

- On wyglądał tak dziwnie, Rebeko. Wydawał mi się zupełnie obcy, jakbym go widziała po raz pierwszy w życiu. Usiłował zedrzeć ze mnie sukienkę. Leżałam na ziemi, a on szarpał mnie za spódnicę. Porwał ją całkiem...

Pogładziłam ją po włosach. Powtarzałam uspokajająco:

- Już dobrze. Już wszystko dobrze.

- Wtedy go uderzyłam. Uderzyłam tak mocno, jak tylko mogłam. I poderwałam się z ziemi, i uciekłam... Biegłam przez całą drogę do domu.

Nadszedł dziadek. Twarz miał pobladałą. Nigdy nie widziałam go tak rozgniewanego.

- Czy ty znasz tego mężczyznę, Belindo? - zapytał.

Skinęła głową twierdząco, ale taki szloch wstrząsał jej ciałem, że nie mogła wykrztusić słowa.

- Kto to był? - pytał dalej z naciskiem.

- To był... Pedrek - wyznała.

Kiedy roztrząsam w pamięci to wydarzenie, wydaje mi się ono ciągiem koszmarnych snów, od których desperacko starałam się uwolnić. Nie było jednak od nich ucieczki. Musiałam stawić czoło straszliwej sytuacji w całej jej jaskrawości i grozie. Wiedziałam także, iż nie mogę jej nie uznać.

Nie mogłam uwierzyć, że Pedrek mógł być zdolny do takiego czynu. Jak mógł on, zawsze taki uprzejmy i delikatny, taki taktowny w obcowaniu z ludźmi, zachować się w podobny sposób?

Nie mogłam tego w żaden sposób pojąć. A jednak na własne oczy widziałam dowody jego postępu. Na własne uszy słyszałam straszną relację Belindy z tego, co ją spotkało nad jeziorem. Widziałam obłądny strach w jej oczach.

Przesiedziałam z dziadkami całą noc, wciąż od nowa rozpatrując tragiczne wydarzenie.

Powtarzałam ciągle:

- Nie mogę w to uwierzyć, nie mogę.

Babcia mówiła to samo:

- Ja również nie mogę. Ale dziecko jest takie pewne swego. Skąd mogłaby wiedzieć o takich sprawach? W jaki sposób, skoro nigdy nie doświadczyła czegoś podobnego? A może on był chwilowo niepoczytalny?

- Nie, nie! - krzyczałam. - Nie Pedrek!

Pomyślałam o swej niedawnej przygodzie z Jeanem Pascalem. Prawdę mówiąc, kiedy Belinda opowiadała o swym przeżyciu, od razu przyszedł mi na myśl on, ale kiedy wymieniła imię Pedreka, poczułam się tak, jakby odleciała ode mnie wszelka radość życia. Myślę, że to był najstraszniejszy moment, jaki kiedykolwiek zdarzyło mi się przeżyć.

Jakże ta noc się nam dłużyła, ale wiedzieliśmy, że i tak nie uda się nam zasnąć.

Siedzieliśmy więc, wciąż roztrząsając te same fakty i starając się przekonać siebie nawzajem, że zajście musi być wynikiem jakiegoś strasznego nieporozumienia.

Co należało obecnie uczynić? Nie mogliśmy indagować dalej Belindy. Była na pół przytomna po tym, co przeżyła. Leah zaaplikowała jej niewielką dawkę środka uspokajającego, który miała w swojej apteczce. Przynajmniej - orzekła - dziecko będzie po nim spało. Była zupełnie wytrącona z równowagi i bez przerwy płakała.

Siedzieliśmy więc we trójkę, usiłując w siebie wmówić, że to nie może być prawda, że jest to tylko zły sen, z którego się nagle obudzimy.

Leah zabrała Belinę na noc do swego pokoju. Powiedziała, że dziewczynka może się obudzić i wtedy to straszne doświadczenie odżyje w niej ze zdwojoną siłą. Leah chciała być wtedy przy niej, uspokoić ją i zapewnić, że nic jej już więcej nie grozi.

Wreszcie nadszedł ranek - ale nie przyniósł spodziewanej ulgi.

Wszyscy czekaliśmy niecierpliwie na przybycie Pedreka. W sobotę przyjeżdżał zazwyczaj do Cadór rano, około dziesiątej.

Jak on się teraz zachowa? Wiedział, że Belinda uciekła i opowie nam o całym zajściu ze szczegółami. Może nie przyjedzie w ogóle.

Przyjechał, wjechał do stajni, jakby nic się nie stało. Wszedł do domu. Dziadkowie i ja czekaliśmy na niego w holu.

Wszyscy wstaliśmy, kiedy pojawił się w drzwiach.

Nic w jego zachowaniu nie wskazywało, że wie, iż ta sobota jest inna niż wszystkie poprzednie, kiedy przybywał z coraz nowymi planami co do naszej wspólnej przyszłości.

- Rebeko! - wykrzyknął i uśmiechnął się do nas wszystkich serdecznie. Następnie przyjrzał się nam zdziwiony. - Czy coś się stało?

- Wejźmy do saloniku - zaproponował dziadek. - Musimy porozmawiać.

Zaskoczony poszedł za nim. Dziadek starannie zamknął za nami drzwi.

- Usiądź! - nakazał.

Wciąż nie mogąc ochłonąć ze zdziwienia, Pedrek posłusznie wykonał polecenie. Miałam wrażenie, że nie utrzymam się na nogach, takie silne wstrząsały mną dreszcze.

- O co chodzi? - zapytał Pedrek.

- Belinda - zaczął dziadek.

- Coś jej się stało? Czy jest chora?

- Pedrek, czy ty naprawdę nie wiesz, co jej się przydarzyło?

Zmarszczył brwi. Potrząsnął głową.

- Wczoraj wieczorem przybiegła do domu w strasznym stanie. Nad jeziorem spotkała mężczyznę, który ją napastował.

- Och, mój Boże!

- Udało jej się wyrwać i uciec... na czas. Biedne dziecko jest zupełnie wytrącone z równowagi. Bóg raczy wiedzieć, jaki to będzie miało wpływ na jej psychikę.

- Co za straszna rzecz...

- Ona wie, kto to był.

- Kto?

Nastąpiła chwila ciszy, po czym dziadek oznajmił surowym głosem:

- To ty... Pedrek.

- Co?!

- Lepiej opowiedz nam dokładnie, jak to było.

- Nie rozumiem...

- Przybiegła i powiedziała nam, że zaczepiłeś ją nad jeziorem... Jeziorem Świętego

Branoka. Wyznała, że powaliłeś ją na ziemię, podarłeś na niej ubranie i powiedziałeś, że lubisz takie małe dziewczynki jak ona.

- To szaleństwo!

Wszyscy utkwiliśmy w nim wzrok. Zwrócił się do mnie.

- Rebeko, ty chyba w to nie wierzysz... prawda?

Milczałam. Nie miałam odwagi na niego spojrzeć. Zakryłam po prostu twarz rękami.

Postąpił krok w moim kierunku, ale dziadek zagroził mu drogę.

- To bardzo poważna sprawa - ostrzegł. - Nie wiem, co się stało, co na ciebie naszło, ale lepiej jest, byś wyznał nam szczerze całą prawdę. Możemy...

- Jak pan śmie! - wykrzyknął Pedrek. - Jak pan śmie mi sugerować!

- Dziecko oświadczyło, że to byłeś ty.

- Przyprowadźcie ją tutaj. Niech stanie przede mną. Ona kłamie.

Do rozmowy wtrąciła się babcia.

- Nie możemy narażać jej po raz drugi na taki wstrząs. Jest w straszliwym stanie. Była oszalała z przerażenia. Trudno to opisać. Każdy, kto ją wtedy widział, zrozumie, że nie możemy pozwolić na taką konfrontację.

- Nie mogę pojąć, jak możecie chociaż przez moment pomyśleć...

- Posłuchaj, Pedrek - odezwał się dziadek. - Nie mamy zamiaru nadmiernie rozdmuchiwać tego incydentu. Bóg wie, że sprawa jest i tak dostatecznie obrzydliwa. Czy to był... czy to był po prostu jakiś moment szaleństwa?

- Oświadczam wam, że to nie byłem ja.

Dziadkowie spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

- Jeżeli sprawa wyjdzie na jaw - kontynuował dziadek - dla naszych rodzin będzie to katastrofa. Nie mogę zrozumieć, Pedrek. Jesteś ostatnią osobą...

- Jak wam mogło przyjść na myśl... Rebeko?!

Spoglądał na mnie. Rozpaczliwie starałam się myśleć o tym Pedreku, którego znałam do tej pory, ale nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że jego twarz przeobraża się i zaczyna przypominać oblicze bestii. Zrozumiałam, że w gruncie rzeczy nie wiem nic o mężczyznach ani o sposobach ich postępowania. Ostatnio Jeanowi Pascalowi dałam się wystrychnąć na dudka. Stwierdził, że jestem dziecięco naiwna i że nie znam w ogóle świata. Byłam szczerą i ufna i nie miałam żadnego wyobrażenia o tajemnych męskich żądzach. Myślałam, że znam Pedreka, tak jak znałam innych ludzi, ale czy nie byłam zbyt łatwowierna i nie szłam na lep gładkich słów? Nie próbowałam poznać dokładnie ich wnętrza. Zaledwie kilka dni temu moja niewinność i nieświadomość

wciągnęła mnie w sytuację, która mogła zostawić trwałe urazy w mojej psychice... i nie mogłam spojrzeć Pedrekowi w oczy. Bałam się, co mogę w nich ujrzeć.

Dziadek ciągnął dalej:

- Czy byłeś ubiegłej nocy w tych stronach?

- Mój Boże! - mówił gorączkowo Pedrek. - Czy to jakieś śledztwo? Oczywiście, jak zwykle przyjechałem do domu na weekend.

- A zatem byłeś z rodziną... - twarz dziadka rozjaśniła się. - Przeważnie, jak wiem, zjawiasz się w Pencarron Manor około szóstej, zgadza się?

- Tak, ale...

Poczułam, że nogi uginają się pode mną, jakby były z waty.

- Ale ubiegłego wieczoru nie przyjechałeś o zwykłej godzinie? - indagował dziadek.

- Nie. Przed wyjazdem poszedłem jeszcze odwiedzić przyjaciela. I dlatego się spóźniłem.

- A o której godzinie przyjechałeś do domu?

- Musiało być jakieś wpół do ósmej.

W pokoju zapadła straszliwa cisza.

- A więc... przyjechałeś znacznie później niż zwykle?

- Tak, około półtorej godziny.

Wiedziałałam, co w tej chwili pomyśleli dziadkowie. Było po szóstej, kiedy Belinda przybiegła do domu znad jeziora.

- A więc spóźniłeś się, ponieważ odwiedzałeś przyjaciela. Przykro mi, Pedrek, ale czy twój kolega może potwierdzić, że rzeczywiście byłeś u niego?

Pedrek wpadał w coraz większe rozdrażnienie. Czy to był gniew z powodu poczucia winy?

- Ta rozmowa zamieniła się w dochodzenie. Czuję się, jakbym siedział na ławie oskarżonych. Czy mam dostarczyć alibi?

- To bardzo poważny zarzut. Byłoby w interesie nas wszystkich, gdybyś mógł się z niego wytłumaczyć... całkowicie.

- Nic o tym nie wiem. Dziewczynka jest w błędzie. Musiała mnie pomylić z kimś innym.

- Nie ma innego wyjścia, Pedrek. Jeżeli twój przyjaciel potwierdzi, że w tym czasie byłeś z nim, będzie to oczywisty dowód, iż nie było cię wtedy nad jeziorem. Nie mogłeś być w dwóch miejscach jednocześnie.

- Nie byłem u niego. Nie zastałem go w domu.

- A więc nie widziałeś się z nim i przyjechałeś do domu później...

- Tak, ponieważ to, że do niego wstąpiłem, opóźniło mój przyjazd do Pencarron.

Wszyscy siedzieliśmy w milczeniu, porażeni znaczeniem tych słów.

- Więc to tak! - wykrzyknął. - Oskarża się mnie o przestępstwo, prawda? Rebeko, jak mogłaś uwierzyć, że jestem zdolny do czegoś podobnego?

- Nie mogę w to uwierzyć, Pedrek, nie mogę.

Chciał do mnie podejść, ale się cofnęłam, a babcia wtrąciła:

- Wszyscy jesteśmy szalenie zdenerwowani. Myślę, że w tej chwili nic nie mamy już do zrobienia. Belindzie - na szczęście - udało się uciec i uniknąć straszliwego przeżycia, które mogło ją okaleczyć psychicznie na całe życie. Zrozum, Pedrek, musimy to wszystko przemyśleć. Może, kiedy dziecko dojdzie trochę do siebie po szoku, uda się nam wydobyć z niej coś więcej. Ale, szczerze mówiąc, w danym momencie nie odważyłabym się zadać jej żadnego pytania.

- Myślę, Pedrek, że będzie lepiej, jeżeli nas teraz opuścisz - dodał dziadek. - Musimy mieć czas, by się nad wszystkim zastanowić.

Na te słowa gwałtownie się odwrócił i wyszedł. Przez okno widziałam, jak podąża w kierunku stajni. Coś mi powiedziało, że Pedrek, którego znałam do tej pory, zniknął już z mego życia.

Wciąż rozmawialiśmy o tym incydencie. Leah bardzo się niepokoiła o Belinę.

Powiedziała, że jest cicha i zamyślona. Wzięła dziewczynkę do swego pokoju, ponieważ dręczyły ją koszmarne sny i Leah chciała być u jej boku, aby ją w razie potrzeby uspokoić.

- Powinniśmy być niezmiernie wdzięczni Leah - stwierdziła babcia. - Żadna matka nie wykazałaby większej troski o dziecko niż ona, niania.

Próbowaliśmy ostrożnie zadawać małej pytania, ale ilekroć próbowaliśmy coś z niej wydobyć, Belinda odsuwała się od nas, a na jej twarzy pojawiał się wyraz lęku.

- Musimy uważać, żeby nie dostała na tym tle jakichś fobii - powiedziała babcia. - Ona jest jeszcze taka mała, a dzieci są bardzo wrażliwe. Takie przeżycie to straszny wstrząs dla dziecka.

- Babuniu - rzekłam z przekonaniem - nie wierzę, by Pedrek był zdolny do takiego czynu.

Potrząsnęła głową.

- Ludzie są zdolni do różnych rzeczy. Nikt nie może tak do końca zrozumieć drugiego człowieka.

Nie byliśmy w stanie myśleć o niczym innym, jak tylko o incydencie nad jeziorem.

Wstrząsające zajście całkowicie zaprzętało nasze umysły. Trzeba było podjąć jakąś decyzję, wiedzieliśmy o tym.

Nie mogłam jeść, nic mi nie przechodziło przez gardło. Nie mogłam spać. Dziadkowie byli zgnębieni nie mniej ode mnie.

Tego wieczoru, kiedy położyłam się do łóżka, chociaż z góry wiedziałam, że nie zasnę, do mego pokoju zapukała babcia.

- Domyślałam się, że jeszcze nie śpisz - wyjaśniła. Zebrała fałdy szlafroka i usiadła przy łóżku.

- Musimy coś uczynić, Rebeko. Taka sytuacja jak w tej chwili nie może trwać dłużej.

- Jestem tego samego zdania - odparłam. - Ale co począć?

- Uważamy, że Belinda powinna stąd wyjechać. Leah mówi, że ona bezustannie opowiada o jeziorze, o tym, jak przeszukiwano jego dno, kiedy myślano, że się utopiłaś. Wie też, że zamiast ciebie wyłowiono ciało mordercy.
- Skąd ona zna te opowieści?
- Ludzie mówią. Nie myślą o tym, że dzieci ich słuchają. Wiesz, że z jeziorem związane jest pewne wierzenie. Do dzieci dochodzi jego zniekształcona wersja. Jednakże, moim zdaniem, Belinda powinna stąd wyjechać i chociaż myśl o tym napawa mnie rozpaczą - uważam, że ty także powinnaś zrobić to samo.
- Wyjechać stąd? - powtórzyłam.
- Tak. Do Londynu lub Manorleigh, gdzie będzie inne otoczenie nie związane z tym okropnym wydarzeniem. Leah uważa, że Belinda nie powinna więcej chodzić nad jezioro. Nie wyobrażam sobie, żeby ją tam ciągnęło, czasami jednak takie przeżycie może mieć dziwny skutek, a chodzi o to, aby jak najszybciej zerwała ze wszystkim, co może jej przypominać straszliwą przygodę. W odmiennych warunkach życia, w Londynie lub Manorleigh, Belinda szybko o niej zapomni. Jest jeszcze dzieckiem. Jeżeli zostanie tutaj, nic nie zdoła wymazać przykrych wspomnień z jej pamięci.
- Uważam, że masz rację, babciu.
- A ty, moja droga? Co będzie z tobą i Pedrekiem?
- Nie wierzę...
- Bo nie chcesz, ale jednocześnie ten drugi głos w tobie podsuwa ci zastrzeżenia. Powiedz mi prawdę, Rebeko. Wiesz, że możesz mi zaufać.
- Tak, wydaje mi się, że masz rację.
- Skinęła głową potakująco.
- Sądzę, że wyjazd stąd na jakiś czas dobrze ci zrobi. Bardzo kochałaś Pedreka. Wiem, jak

się czujesz. A teraz targają tobą wątpliwości. Próbujesz wmówić w siebie, że nie wierzysz, ale w głębi serca wcale nie jesteś tego pewna.

- Nie wiem.

- Czas ci pomoże. Jeżeli zostaniesz tutaj, możesz zrobić krok, którego będziesz żałowała do końca życia.

- Na przykład co? - zapytałam.

Wzruszyła ramionami.

- Możesz dojść do przekonania, że wierzysz w jego niewinność. Możesz wyjść za niego za mąż i potem odkryć rzeczy, o jakich ci się nie śniło. Z drugiej strony możesz z nim zerwać i przez całe życie żałować tej decyzji. Wracaj do Londynu lub Manorleigh. Zapytaj swego serca, czy mocno kochasz Pedreka. Postaraj się śmiało stawić czoło tej trudnej sytuacji. Nie uciekaj przed wątpliwościami, nie rób uników. Zorientuj się, jak bardzo Pedrek jest ci drogi. Zabierz ze sobą Belindę. Opiekuj się nią. Ona potrzebuje pomocy tak samo jak ty, moje kochanie.

Objęła mnie mocno.

- Wszystko układało się tak cudownie - powiedziałam żałośnie. - Był dom... - wstrząsnęłam się.

High Tor już nigdy nie będzie dla mnie tym, czym był. Zawsze będę pamiętać odrażającą scenę z Jeanem Pascalem. On skalał ten dom - ale Pedrek zniszczył moje szczęście.

Wiedziałam, że babcia ma rację: nie mogłam tu dłużej zostać, musiałam wyjechać.

Była też jeszcze inna przyczyna, dla której czułam, że powinnam opuścić Cador.

Uświadomiłam to sobie po rozmowie z Leah.

Babcia i ja rozmawiałyśmy z nią o Belindzie. Babcia zapytała, czy jej zdaniem jest szansa, aby dziewczynka zapomniała o wstrząsającym incydencie.

Leah stała wyprostowana z zaciśniętymi pięściami.

- Czy ona kiedykolwiek o nim zapomni? - powtórzyła z mocą. - Och, jaśnie pani, och, panienko Rebeko!... czasami mam uczucie, że gdybym mogła, zabiłabym tego człowieka z zimną krwią.

- Leah - wyszeptałam, do głębi wstrząśnięta jej wyznaniem.

- Tak jest, panienko Rebeko, tak właśnie myślę. Co on zrobił naszemu dziecku? Widzę w jej oczach obłądny lęk. Ona jęczy przez sen. Czasami coś wykrzykuje. Sporo czasu minie, zanim się z tego otrząśnie. Mężczyźni... oni... szkoda, że ich święta ziemia nosi. Jeżeli go zobaczę, nie rękę za siebie.

- Nie wolno ci tak mówić, Leah - skarciła ją babcia. - To przecież może być pomyłka.

Strach mógł przesłonić Belindzie obraz przestępcy, nie zdołała przyjrzeć mu się dokładnie.

Leah spojrzała na babcię, jakby była niespełna rozumu.

- Dziewczynka go widziała - odparła stanowczo. - Mężczyźni... oni wcale nie są tacy, za jakich chcą uchodzić. Są podli. Myślą jedynie o sobie, o zaspokojeniu swej chwilowej zachcianki.

Ofiary nie obchodzą ich wcale. Naginają je do swej woli, a potem odrzucają jak zużytą rzecz.

Nigdy nie widziałam jej tak wzburzonej.

- Droga Leah - powiedziała babcia - tak wspaniale umiesz postępować z Belindą. Na pewno znajdziesz sposób, by jej pomóc zapomnieć. Trzeba się z nią obchodzić bardzo ostrożnie.

Leah pozostała nieugięta.

- Nie dopuszczę, aby ją przesłuchiowano, brano w krzyżowy ogień pytań. Ona musi szybko przyjść do siebie... to jest jedyne wyjście.

- Leah ma rację - przytaknęła babcia.

Dziewczyna skinęła głową. Jej oczy płonęły dziką nienawiścią. Nagle dotarła do mnie straszliwa prawda: nie żartowała, kiedy mówiła, że jest gotowa zabić Pedreka.

Babcia stwierdziła później:

- Leah jest taka zawzięta. To prawda, że opiekuje się Belindą od urodzenia i przywiązała się do niej jak do własnego dziecka. Przewiduję, że może z tego wyniknąć nie lada kłopot. Mam nadzieję, że wieść o wydarzeniu nie rozniesie się po okolicy. Josiah by tego nie przeżył.

- To nie może być prawda, babciu. Serce mi to mówi.

- Mam podobne przekonanie. Znamy przecież Pedreka od tylu lat i nigdy nie sprawiał na mnie wrażenia człowieka obłudnego. A jednak, gdyby to miała być prawda... trzeba mieć na uwadze i inne dzieci, żeby je uchronić.

- Jestem przekonana, że to jakieś nieporozumienie.

- Zgadzasz się z tobą. Nie możemy działać pochopnie. Twój dziadek uważa, że powinniśmy poczekać kilka dni, zanim podejmiemy jakieś kroki.

- Czekać? Co zyskamy, czekając?

Ale wiedziałam, że wyjazd jest koniecznością. Mnie on także był potrzebny.

Wysłałam list do Pedreka. Kilkakrotnie darłam na strzępy to, co napisałam, nim wreszcie skleciłam następujące zdania:

“Drogi Pedreku!

Wracam do Londynu. Nie mogę tu dłużej zostać. Od tego tragicznego wydarzenia nie mogę dojść do siebie, czuję się niezmiernie nieszczęśliwa. Wiem, że Twoje samopoczucie też nie jest najlepsze. W tej chwili jestem tak oszołomiona, że nie wiem, co mam powiedzieć. Dziadkowie uważają, że powinnam wyjechać na jakiś czas. Nie chcę w to uwierzyć. Usiłuję nie tracić zaufania do Ciebie. Czasami myślę, jakie to absurdalne, ale potem... przychodzą chwile... i znów jestem pełna wątpliwości.

Postaraj się mnie zrozumieć. Daj mi trochę czasu.

Rebeka”

Pedrek odpisał:

“Droga Rebeko!

Widzę, że zwątpiłaś we mnie. Nie mogę zrozumieć, jak to jest możliwe, że mogłaś posądzić mnie o podobny czyn. Myślałem, że mnie kochasz. Widzę teraz, że się myliłem. Okazuje się, że mimo tylu lat znajomości nie znasz mnie w ogóle, jeżeli mogłaś choć przez moment uwierzyć, że mógłbym napastować dziecko. Jest to okrutne kłamstwo, wysrane z palca. Ale Ty wolisz wierzyć innym niż mnie.

Pedrek”

Rozpłakałam się nad listem. Ogarnęło mnie przemożne pragnienie zobaczenia się z nim, by mu powiedzieć, że niezależnie od tego, co uczynił, kocham go nadal.

Ale nie mogłam tego zrobić. Wiedziałam, że nigdy już nie będę miała do niego bezgranicznego zaufania, że zawsze będę się dopatrywać jakichś podejrzanych oznak w jego zachowaniu. Pomyślałam o słabościach mężczyzn. Nie należało stawiać ich na piedestał i traktować jak pełnych cnót szlachetnych rycerzy. Byli jak najdalsi od tego ideału. Rzecz zastanawiająca: często przychodził mi teraz na myśl Benedykt Lansdon. Pamiętałam miłość, jaka go łączyła z moją mamą, byłam jej świadkiem, a przecież jego pierwsze małżeństwo było podyktowane zwykłym wyrachowaniem. Zależało mu na kopalni złota, którą dziedziczyła żona. Moja mama wiedziała o tym i przebaczyła mu.

Ta sytuacja była jednak zupełnie odmienna. Ujrzałam Pedreka w innym świetle. Kiedy myślałam o nim, jego nieskalany dotychczas wizerunek przyćmiewała żądza, jaką dostrzegałam w oczach Jeana Pascala. W mojej wyobraźni obaj stopili się w jedno.

Na razie nie dojrzałam jeszcze do tego, by podjąć jakąkolwiek decyzję. W towarzystwie Belindy, Lucie, Leah i panny Stringer wyjechałam do Londynu.

Im dalej pociąg uwoził nas od Cadore, tym bardziej potęgował się mój żal, że go opuszczam.

Marzyłam, by móc tam wrócić. Myślę, że gdybym miała okazję zobaczyć Pedreka, bez wahania

zapewniłabym go, że nie wierzę w jego winę, uważam to za jakąś fatalną pomyłkę. Teraz, kiedy byłam od niego daleko, wydawało mi się niemożliwością, że mógł popełnić taki wstrętny czyn. Spojrzałam na Belinę. Błada, z zamkniętymi oczami, siedziała wsparta na poduszkach siedzenia. Lucie była trochę zalekwniona. Powiedzieliśmy jej, że Belinda nie czuje się dobrze, trzeba więc uważać, by jej nie denerwować.

Panna Stringer nic nie wiedziała, co zaszło. Obawiałam się, że będzie nalegać, by otwarcie oskarżyć Pedreka. Mogłam sobie wyobrazić, jaki byłby jej werdykt.

Leah była jeszcze bardziej opiekuńcza niż zwykle. Dziewczyna dosłownie nie spuszczała oczu z Belindy. Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie wyrzuciła sobie, iż nie zdołała dopilnować dziewczynki, na skutek czego udało jej się wymknąć z domu o późnej porze i pójść do Mary Kellaway.

Chciałam Belindzie powiedzieć, że nie winię jej za to. Wiedzieliśmy wszyscy, jaka potrafi być uparta. Jeżeli miała kaprys, by wyjść i odwiedzić Mary, na pewno znalazłaby sposób, żeby postawić na swoim.

I tak dojechaliśmy do Londynu.

Benedykt był w domu. Nie znał przyczyny naszego powrotu. Nie poinformowaliśmy go o tym. Powiedziałam babci: “Nie ma potrzeby zaprzętać sobie tym głowy. On i tak nie zauważy, czy jesteśmy, czy nie”.

Powóz już na nas czekał. Wkrótce zajechaliśmy przed dom, w którym nigdy nie czułam się u siebie. Byłam załamana. Jedynym moim marzeniem było wsiąść do następnego pociągu i wrócić do Kornwalii.

Nastrój Belindy poprawił się nieco, kiedy przekroczyliśmy progi domu. Dziadkowie mieli rację. Natychmiastowy wyjazd z Cador był dla niej jedynym wyjściem.

Miałam sporo zajęcia: chciałam się rozpakować sama, bez pomocy służby, potem nakarmić

dzieci i urządzić je na miejscu.

Zauważyłam, że Belinda zjada wszystko, co przed nią stawiają. Sprawiała wrażenie ogromnie zmęczonej. Oddałam ją w ręce Leah, która miała położyć dzieci do łóżek.

Celeste ucieszyła się z mego przyjazdu. Przywiodła mi jednak na myśl Jeana Pascala, mimo iż groza, jaką przeżyłam w sypialni w High Tor, była niczym w porównaniu z późniejszą tragedią.

Zaczęłam się zastanawiać - jak to często bywa w takich razach - nad sprawami, które w zestawieniu z większym nieszczęściem wydają się mało istotne, a mianowicie, co stanie się z dworem w High Tor.

Przypomni mi się niedawny szczęśliwy okres, kiedy marzyliśmy z Pedrekiem o dniu, w którym się do niego wprowadzimy.

Kolację zjadłam z Benedyktem i Celeste. Rozmawialiśmy głównie o Kornwalii i o mych dziadkach. Benedykt zawsze żywo interesował się Kornwalią, chociaż temat ten z reguły wprawiał go w smętny nastrój. Przypominał mu moją matkę. Poznał ją właśnie tam, w Kornwalii, kiedy była jeszcze dzieckiem. Ilekroć o tym mówił, tracił humor i stawał się melancholijny. Podejrzewałam, że Celeste dobrze wie, co jest tego przyczyną.

Wstałam od stołu z zamiarem bezzwłocznego udania się na górę, do siebie. Domyślałam się, że Celeste ma ochotę ze mną pogawędzić, ale dziś wieczór nie zniósłabym żadnej rozmowy. Jean Pascal nie schodził mi z myśli - bądź co bądź był przecież jej bratem - a ja pragnęłam ten przykry incydent jak najszybciej wymazać z pamięci, jeżeli to było możliwe. Uzmysłowiłam sobie, że czasami będzie tu przychodził z wizytą i że powinnam wtedy starać się go unikać.

Miałam do rozwiązania tyle nieprzyjemnych spraw, że jedynym moim pragnieniem było zastanowić się nad nimi w samotności.

- Podejrzewam, że musisz być bardzo zmęczona - powiedziała Celeste. - Porozmawiamy rano.

Byłam jej wdzięczna za to zrozumienie. Kiedy, idąc na górę, mijalam gabinet pana domu, drzwi znenacka się otworzyły i w progu stanął Benedykt.

- Rebeko - zwrócił się do mnie. - Chciałbym zamienić z tobą kilka słów, jeśli można?

Weszłam z nim do gabinetu. Benedykt zamknął za nami drzwi.

Przez chwilę przyglądał mi się zagadkowym wzrokiem, po czym zapytał:

- Coś się stało, mam rację?

Zawahałam się.

- Belinda nie czuje się dobrze.

- Zdażyłem to zauważyć. A ty? Ty również nie wyglądasz nadzwyczajnie.

- Czyżby?

- Zrobiłaś taką zdziwioną minę.

- Och, jestem zaskoczona, że zwróciłeś na to uwagę.

- Owszem, zwróciłem. - Roześmiał się. - Chciałbym, żebyś nie miała żadnych problemów.

- Dziękuję ci.

- Nie jestem szczególnie wylewny, wcale to jednak nie znaczy, że nic mnie nie obchodzi.

- Doprawdy?

- Tak. Chciałbym... - wzruszył ramionami - pragnę, żebyś wiedziała, iż jeżeli jest coś...

- Coś?

- Coś, w czym mógłbym ci być pomocny...

- Nie potrzebuję pomocy, dziękuję. Czuję się dobrze.

- To w porządku. Ale miej to na uwadze. Pragnieniem twojej matki było, byśmy zostali przyjaciółmi. Zawsze bardzo tego chciała.

Byłam zaskoczona. Spoglądał na mnie niemal prosząco.

Ciągnął dalej:

- Chcę po prostu, byś wiedziała, że jeżeli mogę ci się w czymś przydać, to jestem do twojej dyspozycji.

Przez chwilę zapomniałam o swoim nieszczęściu. Co, na Boga, stało się z tym człowiekiem? Prawda, w marcu były wybory, a pan Gladstone - jego bohater - jest obecnie premierem. Niewykluczone, że Benedykt ma obecnie szansę na jakieś wysokie stanowisko w rządzie. Widocznie ta perspektywa usposobiła go tak życzliwie do świata, że gotów jest przygarnąć do serca wszystkich ludzi. Nawet zwrócił uwagę na mnie... i Belinę.

Minął tydzień, a moja gorycz i rozpacz nie zmniejszyły się ani trochę. Godzinami siedziałam sama w pokoju, pogrążona w ponurych rozmyślaniach. Powinnam zostać w Kornwalii. Ale Belinda musiała wyjechać, a wraz z nią ja i Lucie. Ta ostatnia była pod moją opieką. Benedykt nie miał w stosunku do niej żadnych zobowiązań. Musiałam z nią jechać. Jednakże moje serce pozostało w Kornwalii przy Pedreku. Chciałam do niego napisać i powiedzieć mu, że cokolwiek zrobił, nie ma to dla mnie żadnego znaczenia. Ale tak się tylko mówi. Wszystkie inne przestępstwa byłyby łatwiejsze do zniesienia. Gdyby był złodziejem, nawet gdyby kogoś zabił... ale historia z Beliną była taka odrażająca, że sama myśl o niej przyprawiała o dreszcz zgrozy.

Miałam rozmowę z Celeste, która również stała przed niełatwym dylematem.

- Coś ci dolega, widzę to. Nie chcesz się z tego zwierzyć? - powiedziała.

Potrząsnęłam głową.

- Jakaś sprawa sercowa?

Przytaknęłam.

- Ktoś z Kornwalii. To musi być Pedrek Cartwright, wyjątkowo ujmujący, młody człowiek.

Coś się między wami popsuło, prawda?

- Tak - odparłam. - Coś się popsuło.

- Moja biedna Rebeko. A ty go kochasz?

- Tak.

- Jakie to smutne. Życie jest okrutne, nieprawdą? Kochać i zostać odtrąconym... okropne.

Milczałam, myśląc o Pedreku. W tym wypadku ja byłam stroną, która zerwała.

Powiedzieliśmy sobie, że nasza miłość będzie trwać wiecznie, a ona nie wytrzymała nawet pierwszej poważniejszej próby.

- Przynajmniej - ciągnęła Celeste - w porę się zorientowałaś. Nie tak jak...

Ta uwaga oderwała moje myśli od własnych problemów. Pomyślałam o jej przeżyciach.

- Wiem, że to zbyt bolesne, aby dzielić się tym teraz - mówiła Celeste. - Jeszcze jest za wcześnie. Czas wprawdzie nie likwiduje bólu, ale w miarę jego upływu łatwiej jest się zwierzać. A ty także cierpisz...

Wyciągnęłam rękę i dotknęłam jej dłoni.

- Czasami się zastanawiam, jak ja to dłużej zniosę - kontynuowała. - Już wolę, kiedy go nie ma. Wtedy mogę oszukiwać się... troszeczkę. Ale kiedy jest w domu i tak wyraźnie mi okazuje...

Dlaczego się ze mną ożenił? Stale zadaję sobie to pytanie.

- Musiał się w tobie zakochać, inaczej nigdy by się na to nie zdobył.

- Uczynił to - jak wy mówicie - bez myśli...

- Pod wpływem chwili. Och, nie sądzę, by w takich sprawach kierował się odruchem.

Musiał być przekonany, że będzie wam ze sobą dobrze.

- Może. Na początku... rzeczywiście tak myślałam, ale on ma obsesję na punkcie zmarłej żony. Wciąż nie może o niej zapomnieć.

- Czy nadal chodzi do zamkniętego pokoju?

Skinęła głową.

- A ja smutna i opuszczona czekam na męża, który mnie nie chce.

- Moja biedna Celeste!

- Potrzebuję miłości, Rebeko. Nie należę do kobiet, które potrafią pogodzić się z samotnością.

- Może z czasem...

- Z czasem? Tyle już lat minęło od jej śmierci, a nadal jest z nim. Odnosi się wrażenie, jakby wciąż była obecna w tym domu. Nie wiem, jak długo wytrzymam taką sytuację... -

Popatrzyła gdzieś w dal, przed siebie. - Mogłabym sobie wziąć kochanka lub odebrać sobie życie, a na nim i tak by to nie zrobiło wrażenia.

- Och, Celeste, proszę cię, nie mów w ten sposób.

- Widzisz... ja go kocham. Ja go pragnę, tak jak on pragnie swej zmarłej żony. Błądzimy obydwójce w labiryncie, szukając wyjścia, którego nie ma.

- Może je w końcu znajdziecie.

- Może - odparła. - Ale to słowo nie nastraja mnie optymistycznie.

- Nie jest dobrze tak mocno kochać. Łatwo się można narazić na ból.

Skinęła głową.

- Musiał cię kochać, skoro się z tobą ożenił - twierdziłam dalej uparcie.

- Potrzebował żony. Kogoś, kto by zabawiał jego gości. To bardzo pomaga w politycznej karierze. Traktuje mnie instrumentalnie, tak jak pierwszą żonę. Wiemy wszyscy, że ożenił się z nią dla pieniędzy.

- Myślę, że jednak zależy mu na tobie. Ale widzisz, darzył moją matkę szczególnym uczuciem i po prostu nie może jej zapomnieć.

- Ona wciąż przebywa tutaj, w tym domu.

- Wiem, ta trzecia, która jest duchem.

A mnie i Pedreka rozdzielił widok małej dziewczynki, szukającej ratunku w moich ramionach, dziewczynki... o oczach dzikich z przerażenia, w poszarpanej sukience... tak jak z

pewnością obsesja Benedykta na punkcie mej matki położyła się cieniem między nim a Celeste.

Chyba dobrze się stało, że od razu zdecydowałam się wyjechać. Nigdy nie byłibyśmy szczęśliwi ze świadomością tego widma. Odżywałoby w mej pamięci w różnych momentach do końca życia.

Z ulgą przyjąłam wiadomość o wyjeździe do Manorleigh.

Pani Emery była wstrząśnięta moim wyglądem.

- Wielki Boże, panno Rebeko! - wykrzyknęła. - Jaka panienka blada... i czy mi się wydaje, straciła panienka również na wadze. Tak, na pewno, a przecież już przedtem wyglądała panienka jak tyczka do fasoli. Nie służy panience Kornwalia, jak widać. No cóż, zobaczymy, co się da zrobić. Postaramy się przywrócić rumieńce tym bladym policzkom i trochę panienkę podtuczyć.

Usiadłam przy oknie i popatrzyłam na posąg uskrzydłonego Hermesa w dole przy sadzawce i na zaczarowaną ławeczkę pod dębem. Gdyby tu była mama, powiedziałałaby mi, jak postąpić.

Odwiedził nas Oliver Gerson. Nasza trójka przywitała go z radością. Był jednym z tych, których samo pojawienie się wystarcza, aby rozproszyć smętny nastrój. Wyraził radość z naszego ponownego spotkania. Wyczałował nas po rękach. Belinda na jego widok jakby zapomniała o swym niedawnym tragicznym przejściu. Obskakiwała go radośnie dookoła. Reakcja Lucie niewiele odbiegała od zachowania Belindy.

- Miło was znowu oglądać - oświadczył Oliver. - Cieszę się niezmiernie z tego spotkania, a wzruszeniem napawa mnie fakt, że podzielacie moje uczucia.

- Dlaczego nie przyjechałeś do Kornwalii? - dopytywała się Belinda.

- Trzymały mnie obowiązki. Jestem człowiekiem pracy.

- Wiem - odparła Belinda. - Pracujesz dla mego ojca.

- Jestem z tego bardzo zadowolony, ponieważ mam okazję widywać od czasu do czasu jego przemiłą rodzinę.

Jego oczy napotkały mój wzrok. Uśmiechnął się do mnie ciepło.

- Zastanawiałem się, kiedy wrócisz z tej swojej Kornwalii - powiedział.

- Byłyśmy tam długo - rzekła Lucie. - A potem Belinda się rozchorowała.

- Och, mój Boże! - Zaniepokojony zwrócił się do Belindy.

- Czuję się już dobrze - zapewniła go. - Co będziemy teraz robić?

- Najpierw mam naradę z twoim ojcem. Później będę miał wolną godzinę, może dwie.

Wyberzemy się na przejażdżkę... jak przedtem, zanim mnie porzuciłyście.

- Nie porzuciłyśmy cię - zaprotestowała Belinda. - Tylko musiałyśmy jechać do Kornwalii.

- I cieszycie się teraz, że jesteście z powrotem?

Belinda, jak to ona, podskoczyła radośnie i przytaknęła.

- Jak się to mówi, wszystko dobre, co się dobrze kończy. A teraz jeżeli Jej Wysokość

pozwoli - tu skłonił się wytwornie przed Belindą, która pokraśniała z zadowolenia - wrócę do

swoich obowiązków. Później pojedziemy na wycieczkę wszyscy, jak jesteśmy: panna Rebeka,

Belinda i Lucie, a ja będę waszym przewodnikiem.

- Pośpiesz się! - rozkazała Belinda.

Skłonił się jeszcze niżej.

- Twe życzenie, królowo, jest dla mnie rozkazem.

Nikt nie potrafił jej tak czarować jak on. Często zjawiał się w Manorleigh, a ona każdego

dnia wyglądała jego odwiedzin. Wydawała się już zupełnie nie pamiętać o swej przygodzie w

Kornwalii i znowu stała się sobą.

Miał rację, kiedy zapowiadał, że będzie częstym gościem. Kiedy go dłużej nie było, Belinda

wpadała w zły humor i stawiała się nie do wytrzymania. Leah z anielską cierpliwością znosiła jej

zmiennie nastroje. Była wprost niewiarygodnie oddana dziewczynce. Niewątpliwie była również

przywiązana do Lucie; ta zresztą miała pogodniejsze usposobienie i zawsze starała się

usprawiedliwić Belindę.

Często robiliśmy konne wyprawy do Manorleigh, a towarzystwo Olivera Gersona wpływało dobrze nawet na mnie. Stale organizował jakieś konkursy, sprawdziany dobrej jazdy czy umiejętności obserwacyjnych. Przykuwały uwagę dziewczynek, sprawiając, iż każda wyprawa stawała się wielką przygodą. Rozwijał w nich również instynkt współzawodnictwa, przez co zyskał uznanie w oczach nauczycielki, panny Stringer. Ona także nie zdołała się oprzeć zniewalającemu urokowi tego człowieka.

Pewnego dnia odkryliśmy gospodę, nad której drzwiami był skrzypiący szyld. Widniał na nim napis "Pod Wieszającym Sędzią". Tytuł zaintrygował dociekliwą Belindę.

- Co to znaczy? Czy to dlatego, że on tam wisi?

- O nie, nie - zaprzeczył Gerson. - Tu chodzi o sędziego, który skazywał na śmierć przez powieszenie.

Oczy Belindy płonęły z ciekawości.

- Wejźmy do środka - zapraszał. - Napijemy się czegoś orzeźwiającego.

Nie bardzo byłam pewna, czy należy wprowadzać dzieci do takiego miejsca, ale on ujął mnie za ramię uspokajającym ruchem.

- Będą zachwycone - wyszeptał. - To będzie dla nich coś nowego. Dopilnuję, aby wszystko było w porządku.

Wszędzie, gdziekolwiek się pojawiał, roztaczał swój niepowtarzalny urok. Porozmawiał na stronie z żoną właściciela gospody. Ta skinęła głową porozumiewawczo i wprowadziła nas do małego saloniku, w którym sufit przecinały dębowe belki i w którym unosił się nieuchwytny nastrój podniecającej przygody.

Dzieciom przyniesiono rozcieńczony cydr i wszyscy zasiedliśmy do picia. Ani Belinda, ani Lucie nigdy nie były w takim lokalu. Oczy miały okrągłe jak spodki z wrażenia i nie ulegało

wątpliwości, że wizyta w gospodzie jest dla nich wielką sensacją.

Belinda koniecznie chciała dowiedzieć się czegoś więcej o wieszającym sędzim. Aby zaspokoić jej ciekawość, Oliver opowiedział historię księcia Monmouth, syna Karola II z nieprawego łoża. Młody książę uważał, że ma większe prawo do tronu niż brat króla, James. Wywołał bunt i starł się z Jamesem w bitwie pod Segmoor, gdzie poniósł klęskę. Ludzie Monmoutha zostali pojmani i doprowadzeni przed oblicze okrutnego sędziego, który wszystkich kazał powiesić. Sam Monmouth również został stracony.

- Cała zachodnia Anglia roi się od szubienic - dodał Oliver, a dziewczynki słuchały go z zapartym tchem.

Pomyślałam sobie: Przepadają za opowieściami grozy. Może je usprawiedliwiać tylko dziecienny wiek, kiedy nie jest się w stanie objąć rozumem prawdziwej istoty zjawiska.

- Ty znasz fantastyczne historie - pochwaliła Olivera Belinda.

Po powrocie do domu opowiedziały pannie Stringer o sędzim, który wieszał, i o buncie Monmoutha. Była ogromnie zadowolona.

- Bardzo to dla nich pouczające - stwierdziła. - Dobra lekcja historii. Zachwycający człowiek z tego pana Gersona.

Prześladowały mnie sny o Pedreku. Wciąż stawała mi przed oczami jego twarz, ciemniejąca pod wpływem słów, gdy mówiliśmy o swoich podejrzeniach. Każdego ranka budziłam się z myślą o nim, a jego wspomnienie jak cień towarzyszyło mi w ciągu dnia.

Powiedziałam sobie: Muszę go zobaczyć. Muszę mu powiedzieć, że nie straciłam wiary w niego, że cokolwiek zrobił, kocham go nadal.

Miałam głębokie przekonanie, że musiała zajść jakaś fatalna pomyłka.

Napiszę do niego. Poproszę, aby mi przebaczył, że w niego zwątpiłam. Ale nie napisałam.

Między mną a tym listem majaczyła twarz Belindy wykrzywiona przerażeniem, jej rozszerzone,

niewinne oczy, których wyraz świadczył dobitnie, że niezupełnie rozumie, co ją spotkało.

Kiedy się tak miotalam, wahająca i niepewna, otrzymałam list od babci.

“Moja droga Rebeko!

Mam nadzieję, że doszłaś już trochę do siebie. Myślę, że dobrze zrobiłaś, wyjeżdżając od razu z Cadór - w każdym razie dla Belindy nie było innego wyjścia. Co do nas - jesteśmy smutni i niepokieszeni. Pedrek opuszcza Kornwalię. Myślę, że jest to rzeczywiście najlepsze rozwiązanie.

Wszyscy musimy starać się spojrzeć z dystansu na straszliwe wydarzenie, zobaczyć je we właściwych proporcjach.

Pedrek wyjeżdża do Australii, do Walii Południowej, gdzie odkryto złoża cyny. Jest tam pilne zapotrzebowanie na inżynierów górników. Pedrek wprawdzie nie ukończył jeszcze studiów, ale posiadał już niezbędny zasób wiedzy; poza tym jego dziadek ma w świecie górniczym szerokie stosunki, które mogą mu pomóc. On musi wyjechać. Sytuacja dla nas wszystkich po tym, co się wydarzyło, zrobiła się nie do zniesienia. Wyjeżdża lada dzień; kiedy wróci, nie wiadomo.

Pencarronowie są bardzo przygnębieni. Nie orientują się w niczym. Podejrzewają, że nastąpiła jakaś sprzeczka między Tobą a Pedrekiem i bardzo się tym martwią.

Dziadek i ja czujemy się nieswojo. Nie możemy się zdobyć, aby podzielić się z nimi naszymi wiadomościami. Obawiam się, że mogłyby zabić jego babkę. Co by zrobił Josiah, wprost trudno mi sobie wyobrazić. Oboje ubóstwiają Pedreka. Zastanawialiśmy się też, czy ze swej strony nie powinniśmy przedsięwziąć jakichś kroków w tej sprawie, czy nie jest to naszym obowiązkiem.

Potworna historia. A gdyby spotkało to jakieś inne dziecko... Tak naprawdę, nie jesteśmy w stanie w to wszystko uwierzyć. Jak powiedziałam do Twego dziadka, przypuścmy nawet, że zdarzyła mu się chwila słabości, przecież drogo już za nią zapłacił.

Jest taki załamany, taki straszliwie smutny i w jakiś sposób nawet niezbyt przytomny. Taka paskudna sprawa i domyślam się, kochanie moje, jak bardzo cierpisz. Najlepiej, jeśli będziesz od

tego z dala.

Zobaczmy, co czas przyniesie. Nie pogrążaj się zbyt w rozpacz. Da Bóg, pewnego dnia wszystko się wyjaśni. Nadal jestem zdania, że wyjazd stąd był dla Ciebie najlepszym wyjściem. I on również powinien zrobić to samo.

Zastanawiam się tylko, czy postąpiliśmy właściwie...”

List wypadł mi z rąk. Wyjeżdżał. Do Australii. Tak jak dawniej moi rodzice w poszukiwaniu złota. Tam moja prababcia spotkała swe tragiczne przeznaczenie, a teraz znów Pedrek wyrusza ich śladem. Pojechał szukać ciny, oderwać się od wszystkiego i skończyć z sytuacją, która stała się nie do zniesienia.

Kto by uwierzył, że w tak krótkim czasie czyjeś życie może się tak dramatycznie zmienić? Powinnam była do niego napisać, tak jak zamierzałam. Powinnam była powiedzieć mu, że go kocham i że będę go kochać, niezależnie od tego, co się stało.

Ale teraz było już za późno.

Myśl o Pedreku nie przestawała mnie prześladować. Gdzie teraz przebywa? Czy już wyjechał z Kornwalii? Oczami wyobraźni widziałam rozdzierającą serce scenę jego pożegnania z dziadkami. Zjawiła się u mnie Morwenna. Była bardzo zdenerwowana.

- Co to wszystko znaczy? Co się wydarzyło między tobą a Pedrekiem? - pytała natarczywie.

- Postanowiliśmy się nie pobierać... chwilowo.

- Dlaczego? Byliście tacy szczęśliwi, tak wyczekiwaliście daty ślubu! Dlaczego? Przecież prawie mieliście dom!

- Wiem, ale to się zmieniło. Uświadomiliśmy sobie, że popełniliśmy błąd i że byłoby ryzykownie... hm... śpieszyć się ze ślubem.

- Trudno w to uwierzyć.

Spojrzałam na nią smutnie. Nie mogłam wyjawić jej prawdy. Nie mogłam zdradzić się

przed nią, jak bardzo sama jestem z tego powodu zrozpaczona i nieszczęśliwa. Ona i jego ojciec załamaliby się zupełnie, gdyby się dowiedzieli, co było przyczyną naszego rozstania.

Pozostawiłam ich zatem w przekonaniu, że to ja okazałam się niestała w uczuciach. Nie mieściło im się w głowie, żeby Pedrek zmienił zamiar.

A teraz wyjeżdżał do Australii... kraju swego i mego urodzenia. Dostrzegłam lęk w oczach Morwenny. Zmienił się jej stosunek do mnie: stała się chłodna i powściągliwa. Mimo to musiałam milczeć. Okropny incydent nad jeziorem miał wielokierunkowy niszczycielski zasięg.

Pani Emery stwierdziła ze zdziwieniem:

- Nie mogę zrozumieć, co się stało z panią Cartwright. Zupełnie jej nie poznaję!

Przypuszczam, że to dlatego, iż musi się rozstać z synem, który wyjeżdża do Australii.

- Też tak myślę - odparłam.

Spojrzała na mnie i wzruszyła ramionami. Cała służba wiedziała, że między mną a Pedrekiem wszystko układało się dobrze, i tu nagle się dowiadują, że już tak nie jest.

- Każdy robi, jak uważa za stosowne - zawyrokowała ostatecznie pani Emery. - Nie są to nasze sprawy i nikogo nie powinny obchodzić. - Spojrzała na mnie prawie czule. - A panienka musi trochę bardziej zadbać o siebie. Nie chcemy, aby nam panienka chorowała.

- Postaram się - obiecałam.

Wyobrażałam sobie, jak intrygowała ich ta sprawa, jak ją roztrząsali podczas posiłków przy kuchennym stole i jak zastanawiali się nad przyczynami mojej bladości.

Chwilami ogarniała mnie przemożna chęć, by rzucić wszystko, wyjść z domu, wsiąść do pociągu jadącego do Kornwalii i jeszcze raz zobaczyć Pedreka. Prosić go, by został, nie wyjeżdżał... i powiedzieć, że niezależnie od tego, co zrobił, pragnę być razem z nim.

Ale czyby na to przystał? Na pewno by sobie nie życzył takich słów, jak "niezależnie od tego, co zrobił". Żądałby, bym uwierzyła w jego niewinność bez żadnych zastrzeżeń.

Instynktownie wiedziałam, że taki właśnie byłby jego warunek.

Kochałam Pedreka. Teraz zrozumiałam, jak bardzo. Ale nie byłam już niedoświadczoną dziewczyną. W sypialni Bourdonów w High Tor odkryłam, co to żądza, i wiedziałam, że mężczyźni zmieniają się, kiedy nimi owładnie. Nauczyłam się, że trzeba czasu, aby poznać ludzi, i teraz zadawałam sobie pytanie, czy naprawdę dobrze znałam Pedreka. Czy dogłębnie poznałam jego naturę?

Prawdę mówiąc, nie byłam tego pewna. A Pedrek oczekiwał ode mnie bezwzględnej wiary w jego niewinność.

Nie było wyjścia z tej sytuacji. Wahałam się, a on tymczasem wyruszy w drogę do Australii.

Tam będzie się starał zapomnieć o mnie... a ja muszę się starać zapomnieć o nim.

Szantaż

W domu panowała atmosfera podniecenia. Często chodziłam na rozmowę do saloniku pani Emery. Stopniowo zasmakowałam w tych spotkaniach. Siedziałyśmy, gawędząc o drobnych sprawach domu i popijając herbatę w filiżankach z jej odświętnego serwisu.

Pani Emery doskonale wiedziała o wszystkim, co dzieje się w szerokim świecie.

Pewnego razu zauważyła:

- Pan Lansdon jest ostatnio wyjątkowo zajęty. Emery i ja bardzo interesujemy się polityką... i obydwójce trzymamy za niego kciuki.

- Och, dlaczego?

- W rządzie trwają przetasowania. A ponieważ jego partia jest obecnie przy władzy... kto wie? Myślę, że pan Lansdon ma szansę na jakieś wysokie stanowisko. Emery sądzi, że przypadnie mu teka ministra spraw wewnętrznych.

- Czy pan Emery uważa, że pan Gladstone utrzyma dotychczasową pozycję?

- O tak! Konserwatyści, od kiedy pan Disraeli owdowiał, stracili na znaczeniu. Myślę, że mężczyzna musi mieć przy swym boku kobietę, która go wspiera.

- Nie przywiązywałabym do tego aż takiej wagi. Disraeli dokonał kilku istotnych posunięć już po śmierci żony. Niewykluczone, że właśnie dlatego oddał się tak bez reszty polityce. W tym okresie sprawił przecież, że zyskaliśmy kontrolę nad Kanałem Sueskim, a Jej Wysokość ogłoszono cesarzką Indii. Zdołał także zapobiec wojnie z Rosją i na dodatek do Brytyjskiego Imperium przyłączył Cypr. Osiągnął to po jej śmierci.

- To prawda, ale od tej pory nigdy już nie zaznał szczęścia, a mężczyźnie potrzebna jest rodzina i szczęśliwy dom. A pan Lansdon... - Potrząsnęła głową ze smutkiem.

Pomyślałam: Oni wszystko o nas wiedzą. Orientują się, że Benedykt nie kocha Celeste i nadal oplakuje moją matkę. Wiedzą, że ja, po powrocie z Kornwalii, chodzę smutna i zmartwiona, bo zerwałam z Pedrekiem. Wiedzą o dręczących nas kłopotach i dyskutują o nich z przejęciem, kiedy zbiorą się przy kuchennym stole na posiłek. Nie dotyczy to pani Emery, dam głowę, że z pewnością nie pozwala w swojej obecności na takie rozmowy. Mówi o nich tylko z panem Emerym, kiedy są sami w czterech ścianach swego mieszkania. Ale służba umiera z ciekawości i wszędzie stara się wściubić swój nos. Czyha na każdą okazję, byle się czegoś dowiedzieć. Obserwują nasze życie, każdy na swoją rękę, a potem wymieniają między sobą spostrzeżenia. I na koniec niewątpliwie wyciągają z nich bałamutne wnioski.

- Niedobrze jest żyć przeszłością - zauważyła filozoficznie pani Emery. - Pani droga mamusia leży w grobie i my wszyscy wspominamy ją z wielkim żalem. Gdyby żyła, sytuacja w tym domu wyglądałaby zupełnie inaczej. Obecna pani Lansdon... stara się, nie można powiedzieć. Też miałby z niej dobrą żonę... gdyby jej pozwolił. Ale on nadal ogląda się wstecz.

- Może za jakiś czas...

- Czas leczy wszystkie rany. Nie ma sensu ciągle rozdrapywać ran, panno Rebeko. Zawsze

to powtarzam. Ale dla pana Lansdona teka ministra będzie rzeczywiście wielkim sukcesem.

Będziemy się bardzo z tego cieszyć z Emerym.

- Tak - odparłam - życzę...

Spojrzała na mnie wyczekująco, ale nie dokończyłam zdania.

Pani Emery milczała. Była kobietą rozumną i domyślną i sądzę, że dobro naszej rodziny rzeczywiście leżało jej na sercu. Naprawdę chciała, aby Benedykt Lansdon awansował i miał udane życie, zarówno rodzinne, jak i zawodowe. Życzyła mi szczerze, bym zapomniała o Pedreku i zaznała szczęścia z innym, odpowiednim mężczyzną. Ich wspólnym pragnieniem było zarządzać, ze swoich dolnych rejonów, domem, w którym panuje powodzenie i harmonia, ponieważ im samym również dawało to satysfakcję.

Benedykt przebywał w Londynie. Celeste pojechała razem z nim. Oliver Gerson odwiedzał nas kilkakrotnie, ale jego wizyty nie trwały długo. Poinformował mnie, iż pan Lansdon jest tak zajęty pracą w parlamencie, że wszystkie sprawy związane z prowadzeniem interesów jemu zostawił.

Cieszyłam się, słysząc głośny śmiech Belindy. Dziewczynka naprawdę wydawała się już nie pamiętać o wstrząsającym przeżyciu. Leah powiedziała, że nie wspomina o nim więcej, że śpi spokojnie i znowu jest taka jak dawniej.

Kiedy weszłam do dziecinnego pokoju, jak zwykle, aby powiedzieć dziewczynkom dobranoc, niespodziewanie zarzuciła mi ramiona na szyję i uściskała z całej siły.

- Kocham cię, moja droga siostrze Rebeko!

Bardzo mnie wzruszył ten nagły objaw przywiązania. Podobna wylewność u Belindy była wielką rzadkością.

Podeszłam do łóżeczka Lucie. Również mnie uściskała. Ale ona czyniła to często.

- Ja też cię kocham, Rebeko - oświadczyła.

Ogromnie mnie ta ich serdeczność podniosła na duchu.

Stało się to w kilka dni później, wczesnym popołudniem, a więc w porze, kiedy w domu zamierała wszelka krzątanina. Pani Emery poszła do swego pokoju, by - jak mówiła - rozprostować na kilka minut nogi. Nie wiedziałam, co porabia pan Emery - przypuszczalnie drzemał w swej sypialni. W całym domu było cicho i sennie.

Kiedy idąc na górę, mijałam zamknięty pokój, wydało mi się, że z wewnątrz dochodzą jakieś odgłosy. Podeszłam bliżej i z uchem przy drzwiach stałam kilka chwil, nasłuchując z napięciem.

Poczułam mrowienie na plecach. Benedykt był w Londynie, pani Emery w swoim pokoju, a przecież dałabym głowę, że ktoś jest za zamkniętymi drzwiami.

Ten pokój był wyłącznie własnością mojej matki: znajdowały się tam jej szczotki, lustro, ubrania... wszystko tak, jak je zostawiła. Musiałam się przesłyszeć. Stałam cicho, nie ruszając się z miejsca i uważnie nasłuchując. Za chwilę znowu doszedł do mnie jakiś cichy odgłos.

Drżałam na całym ciele. Czy to możliwe, by zmarli wstawali z grobu? Raz rzeczywiście doznałam uczucia, że moja matka przyszła do mnie z zaświatów. Było to wtedy, kiedy mi się przywidziało, że chce, bym zaopiekowała się Lucie. Fantazja? Urojenie? Zawsze odznaczałam się żywą wyobraźnią. Intrygowała mnie historia lady Flamstead. Podobno przychodziła pocieszać swoje dziecko, którego nie dane jej było ujrzeć. Może rzeczywiście prawdą jest, co mówią ludzie, że jeśli ktoś, szczególnie ukochany, odchodzi z tego świata, to ci, których zostawił, ściągają go swoją tęsknotą z powrotem na ziemię. Moja matka zostawiła Benedykta i mnie. Widziałam, jak bardzo go kochała, a dopóki za niego nie wyszła, ja stanowiłam cel jej istnienia.

Różne myśli przebiegały mi przez głowę, kiedy tak stałam przed drzwiami jej pokoju, drżąc na całym ciele z podniecenia i obawy.

Ujęłam za klamkę i nacisnęłam ją ostrożnie. Drzwi były zamknięte. Jednak... wewnątrz

niewątpliwie ktoś był.

Trwałam nieruchomo przez kilka sekund, po czym, stąpając, jak można najciszej, zesłam do pokoju pani Emery.

Zapukałam delikatnie. Przez dłuższą chwilę nie było odpowiedzi. Dopiero po jakimś czasie usłyszałam jej zaspany głos:

- Kto tam?

Weszłam do środka. Pani Emery drzemała przy kominku. Spojrzała na mnie zaskoczona.

- Przykro mi, że przeszkadzam pani w odpoczynku, ale wydaje mi się, że w zamkniętym pokoju ktoś jest.

Wciąż walczyła ze snem. Jeszcze niezupełnie ocknęła się z drzemki.

- W zamkniętym pokoju - powtórzyła.

- Tak. Wyraźnie słyszałam, że ktoś jest w środku.

Powoli wracała do rzeczywistości.

- Och, nie, panno Rebeko. Musiało się panience wydawać. To niemożliwe, przecież pana Lansdona nie ma. Chyba że wrócił niespodziewanie, ale nic o tym nie wiemy.

- Raczej w to nie wierzę. Czy pani ma swój klucz?

Z przestachem na twarzy rzuciła się do szuflady; otworzyła ją i triumfalnie pokazała mi klucz.

- Wobec tego może tam być tylko pan Lansdon. Kiedy jednak chciałam otworzyć drzwi, okazało się, że są zamknięte.

- Ale nie rozmawiała z nim pani, prawda? Nie lubi takich rzeczy. Nie życzy sobie, aby mu wtedy przeszkadzać.

- Nie, nie rozmawiałam. Starłam się zachowywać cicho. Nie chce mi się wierzyć, żeby to był on.

- Pójdę do pokoju pana i zobaczę, czy są tam jego rzeczy. Tylko że byłoby słycać, gdyby wrócił. Nie obyłoby się bez zamieszania zwykłego w takiej sytuacji. Słycać by też było turkot zajeżdżającego powozu.

- Chodźmy więc niezwłocznie, pani Emery. Proszę wziąć ze sobą swój klucz. Może się ktoś włamał do pokoju.

Posępnie skinęła głową. Najpierw jednak udałyśmy się do apartamentów Benedykta. Nic nie wskazywało na jego powrót.

Pani Emery była wyraźnie zdenerwowana.

- Muszę się upewnić, że w środku nikogo nie ma, pani Emery - oświadczyłam.

- W porządku, panno Rebeko.

Poszłyśmy do pokoju mamy. Pani Emery przekręciła klucz w zamku i otworzyła drzwi. To, co zobaczyłam, odebrało mi oddech z wrażenia. Przy małym biurczku, pod oknem, siedział Oliver Gerson. U jego stóp stało blaszane pudło, z którego wyjmował jakieś papiery. Czytał je, przeglądał i odkładał z powrotem.

Podniósł się z miejsca i spoglądał na nas zaskoczony.

- A więc - wyjąkałam - to pan...

- Panna Rebeka... - wyglądał na skonsternowanego. Odniosłam nawet wrażenie, że nieco pobladł pod opalenizną. Ale trwało to moment.

- Co pan tu robi? Tu nikt nie ma prawa wchodzić. Jak się pan tu dostał? - pytałam.

Uśmiechnął się do mnie. Był już całkowicie opanowany, uwodzicielski i niefrasobliwy jak zawsze. Włożył rękę do kieszeni i pokazał mi klucz.

- Ale do tego pokoju są tylko dwa klucze. Jeden ma pani Emery.

- A ja mam drugi - poinformował.

- Pana Lansdona? A więc on go panu dał?

- Przysłał mnie tutaj po niektóre ważne dokumenty.

- Dokumenty... - powtórzyłam. - To jest przecież dawny pokój mojej matki.

- Trzyma tu swoje papiery... te szczególnie poufne. Prosił mnie, bym je odszukał i przywiózł do Londynu.

- Och! - wykrztusiłam, czując, jak opada ze mnie dotychczasowe napięcie.

Na twarzy pani Emery odmalowała się widoczna ulga.

- Wygląda pani na ogromnie przerażoną - zauważył Oliver. - Czyżby wzięła mnie pani za ducha?

- Pan Lansdon kazał zamknąć ten pokój - odparła pani Emery. - Nie życzy sobie, by wchodził tu ktoś obcy... oprócz mnie, która mam za zadanie utrzymywać porządek. Dziwię się, dlaczego nas nie uprzedził o pańskiej wizycie.

- Nie uważał, aby to było konieczne. Wie, że moja obecność tutaj nie wywoła niczyjego zdziwienia. Prawdę mówiąc, nie mam już tu nic do roboty; znalazłem to, czego szukałem.

- Czy ma pan ze sobą jakiś bagaż, panie Gerson? - dopytywała się pani Emery. - Przygotuję panu pokój...

- To zbyteczne. Przyjechałem tylko na kilka godzin. Miałem odszukać dokumenty i zawieźć je do Londynu. Są pilnie potrzebne.

- Każę panu przygotować coś do zjedzenia. Zdąży się pan nieco posilić przed wyjazdem.

- Wpadłem przedtem do gospody na piwo i sandwicza. Spieszyło mi się.

- Jak się pan dostał do domu?

- Tylne drzwi były otwarte, a ponieważ nikogo po drodze nie spotkałem, od razu zabrałem się do pracy. Wiedziałem, gdzie mam szukać potrzebnych dokumentów.

- Mam jednak nadzieję, że da się pan skusić na filiżankę herbaty... lub coś innego?

- Bardzo to miło z pani strony, pani Emery. Pani tak się troszczy o wygodę wszystkich.

Mówiłem już panu Lansdonowi, jaki ma skarb. Ale niestety, spieszę się. Muszę czym prędzej wracać do Londynu.

Pospiesznie wkładał do teczki jakieś papiery.

- Znalazłeś to, czego szukałeś? - zapytałam.

- Tak jest. Wszystko.

- Wyjeżdżasz zaraz?

- Bardzo żałuję, ale muszę. Pan Lansdon bywa czasami bardzo niecierpliwy.

- Belinda będzie niepocieszona.

Przyłożył palec do ust.

- Cicho, sza. Ani słowa o mojej bytności. W przeciwnym razie czeka mnie niezła reprimenda podczas następnej wizyty, która spodziewam się, wkrótce nastąpi.

Uśmiechnął się do mnie ciepło.

- Bardzo chciałbym zostać, ale niestety muszę już iść. Przepraszam, że napędziłem wam strachu.

- Zaparzenie herbaty nie potrwa długo - nalegała pani Emery. - Czajnik cały czas jest na ogniu w moim pokoju.

- Pani Emery, jest pani istnym aniołem miłosierdzia i nieocenionym skarbem, lecz obowiązek przede wszystkim.

Zamknął teczkę. Wyszliśmy z pokoju. Oliver przekręcił klucz w zamku i wsadził go do kieszeni.

- Au revoir - rzucił na pożegnanie, i już go nie było.

- Po tym wszystkim filiżanka herbaty dobrze nam robi - powiedziała pani Emery. - Ale mnie pani przestraszyła, panno Rebeko.

- Ciarki przechodziły mi po grzbiecie, kiedy słyszałam wewnątrz szelesty.

- Wyobrażam sobie. Dobrze, że to nie trafiło na którąś ze służących. Daję głowę, że dostałaby ataku hysterii.

- Cieszę się, że się wszystko wyjaśniło.

Przeszliśmy do jej saloniku.

- Cóż to za sympatyczny młodzieniec z tego pana Gersona - odezwała się pani Emery, obserwując bacznie, jakie wrażenie zrobią na mnie jej słowa. - Stale pogodny i uśmiechnięty. Do każdego odnosi się uprzejmie, czy to będzie zwykły lokajczyk, czy ktoś z nas. A dzieci za nim przepadają.

- Tak - zgodziłam się. - Zwłaszcza Belinda.

- Biedna dziecina! Po powrocie naprawdę wyglądała na chorą. - Spojrzała na mnie bacznie i dodała: - Myślę, że on się w paniencie kocha.

Lekki uśmiech błędził po jej wargach. Domyśliłam się, iż jest przekonana, że Oliver Gerson może być dobrym lekarstwem na moje sercowe zmartwienia.

Mniej więcej w tydzień po tym wydarzeniu Benedykt wrócił do Manorleigh. Towarzyszył mu Oliver Gerson.

Nie minęło więcej niż dwadzieścia minut od ich przybycia, kiedy doszło do awantury.

Benedykt siedział u siebie w gabinecie, a dzieci odrabiały zadania w sali lekcyjnej. Belinda była ogromnie przejęta wizytą Olivera. Spodziewała się, że, jak zwykle, zaproponuje nam wspólny spacer konno.

Szłam po schodach na górę, kiedy z gabinetu Benedykta dobiegły mnie podniesione głosy.

Przystanęłam. Usłyszałam głos ojczyma:

- Wynoś się! Wynoś się natychmiast! Wynoś się z tego domu!

Stałam nieruchomo. Dreszcz przerażenia przebiegł mi po plecach. Przez chwilę myślałam, że w ten sposób odzywa się do Celeste.

Doszła do mnie odpowiedź Olivera Gersona.

- Nie sądz, że mozesz do mnie mówić takim tonem. Za dużo o tobie wiem!

- Nie dbam o to, co ty wiesz. Tutaj jesteś skończony. Rozumiesz to? Wynoś się!

- Posłuchaj - perswadował Oliver Gerson. - Nie mozesz tego zrobić. Ostrzegam cię. Niech ci się nie wydaje, że się mnie tak łatwo pozbędziesz. Nie mozesz sobie na to pozwolić, panie Benedykcie Lansdon. Powtarzam ci jeszcze raz, za dużo o tobie wiem.

- Nie obchodzi mnie, co wiesz. Nie chcę cię tutaj więcej widzieć! Zwariowałaś chyba, myśląc, że szantaż jest na mnie dobrą metodą.

- Nie bądź taki ważny i wyniosły. Nie stawiaj się przede mną. Moje oczekiwania nie są wygórowane. Ślub... a po ślubie twój współnik. Ty też wyjdiesz na tym nie najgorzej. W ten sposób uwolnisz się od podejrzanego interesu, który psuje twój publiczny wizerunek, wiesz o tym dobrze. Nie chcesz chyba, żeby się dowiedziano o niektórych twoich sprawkach. Na przykład takich jak "Diabeł w Koronie", co? Do czego to podobne... pan Benedykt Lansdon właścicielem najbardziej podejrzanego klubu w mieście. No, no, bądź rozsądny.

- Nie zezwolę mojej pasierbicy, by wyszła za ciebie, choćbyś mi groził nie wiem jak.

Nie byłam w stanie się poruszyć, nawet gdybym chciała. Rozmawiali o mnie. Starłam się zapanować nad sobą. Musiałam koniecznie się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Miało to dla mnie znaczenie.

- Poza tym - ciągnął ojczym - gdyby Rebeka wiedziała, co za typ z ciebie, nie miałbyś u niej najmniejszej szansy.

- Zna mnie dostatecznie dobrze.

- Ale przyznajesz, że z nią o tym nie rozmawiałeś.

- Powtarzam ci, jest to tylko kwestia czasu. Wkrótce się z nią dogadam. Nie będziesz miał wtedy nic do powiedzenia. Zastanów się nad tym!

- Mówię ci, że nigdy się na to nie zgodzę!

- Decyzja chyba należy do niej?

- Jestem jej prawnym opiekunem. Nie zezwolę na to. Nie wątpię, że potrafisz grać rolę czarującego amanta i jeśli ci się nie uda z Rebeką, zwrócisz oczy na Belindę. Długo na nią poczekaś. Ale wybij to sobie z głowy! Nie wejdiesz do rodziny. Za dużo wiem o tobie, a teraz, kiedy jeszcze na dodatek usiłujesz mnie szantażować... powtarzam ci po raz ostatni, między nami wszystko skończone!

- Nie możesz tego zrobić, Lansdon. Pomyśl o konsekwencjach. To oznacza koniec politycznych ambicji twego dziadka. Czy jego przykład niczego cię nie nauczył? Ta sprawa z "Diabłem w Koronie". To cholerny szkopał.

- Jak... jak ty...?

- Jak ja to odkryłem? Nie ma znaczenia, ważne, że odkryłem. Przemyśl to sobie!

Zalecałbym ci większą ostrożność. Byłoby dla ciebie lepiej, gdybyś zgodził się zostać moim teściem. Zdajesz sobie sprawę, co będzie, kiedy pewne fakty wyjdą na światło dzienne?

- Wynoś się z mego domu!

- Czy sądzisz, że możesz się mnie pozbyć w ten sposób? A co z moją umową?

- To sprawa dla adwokatów.

- Niech ci się nie wydaje, że odejdę potulnie jak baranek.

- Nie dbam o to, jak odejdiesz, byleś odszedł jak najprędzej.

- Jeszcze nie koniec sprawy, Benedykcie Lansdonie.

- Ale koniec naszej współpracy, Oliverze Gersonie.

Wiedziałałam, że drzwi się za chwilę otworzą, więc pomknęłam czym prędzej na górę.

Stałam na podeście, spoglądając w dół. Zobaczyłam, jak Oliver Gerson szybko zbiega po stopniach do wyjścia.

Wciąż tam tkwiłam oszołomiona, kiedy Benedykt wszedł na schody. Zobaczył mnie.

- Rebeka? - odezwał się zdziwiony. Z tonu jego głosu wywnioskowałam, że się domyśla, iż słyszałam rozmowę z Oliverem Gersonem. - Podśluchiwałaś?

- Nie da się zaprzeczyć.

- Wejdz do mego gabinetu - nakazał. - Czas, abyśmy wreszcie porozmawiali ze sobą.

Poszłam za nim. Zatrzęsnał drzwi i stanął, przyglądając mi się uważnie.

Po dłuższej chwili powiedział:

- Usiądź. Co z naszej rozmowy doszło do twoich uszu?

- Usłyszałam, że ci grozi, chce zostać twoim wspólnikiem... i coś o małżeństwie ze mną.

- Nie mogłabyś przecież wyjść za kogoś takiego jak on - mówił Benedykt. - Czy

kiedykolwiek byłabyś w stanie zakochać się w takim typie?

Zaczerwieniłam się.

- Nie, nigdy. W żadnym wypadku!

- Dzięki Bogu. Nie mógłbym się na to zgodzić. Spędzałaś sporo czasu w jego towarzystwie.

Te przejażdżki konno z dziećmi... te nadskakiwania.

- Czy ty... to zauważyłaś?

- Oczywiście, że zauważyłam.

- Zaskakujesz mnie. Byłam przekonana, że w ogóle nie zwracasz na nas uwagi.

- Belinda jest moją córką. Ty jesteś moją pasierbicą. Oddano mi ciebie pod opiekę.

Oczywiście, że nie jesteś mi obojętna. Wyrzucam sobie, że wprowadziłem go w progi tego domu.

- O ile wiem, jest twoim bliskim współpracownikiem. Miał pełne prawo tu bywać.

- Domyślam się teraz, dlaczego okazywał ci tyle względów.

- Chce być twoim wspólnikiem. Przypuszczalnie uważa, że małżeństwo ze mną pomoże mu osiągnąć cel.

- To prawda.
- Prosił o moją rękę już jakiś czas temu, ale odmówiłam.
- Jest tak pewny siebie, iż sądzi, że za jakiś czas zmienisz zdanie.
- Przeliczył się w swych rachubach.
- Cieszę się z tego. Ma dość ujmujący sposób bycia, chociaż jego ogłada jest powierzchowna. Szkoda, że się dopiero teraz na nim poznałem. Kiedy mu oświadczyłem, że nigdy nie wyrażę zgody na małżeństwo z tobą, myślę, że puściły mu nerwy. Zrozumiał, że jego misternie skonstruowany plan spalił na panewce i postanowił mnie zaszantażować. Słyszałaś to. Pojęłaś chyba, o co chodzi, zwłaszcza że dotyczy twojej osoby.
- Jestem wstrząśnięta. Doprawdy nie wiem, co o tym wszystkim sądzić.
- Nie domyślałaś się, dlaczego tak tobie nadskakuje?
- Najbardziej mnie zadziwia, iż nie uszło to twojej uwagi?
- Czy myślisz, że jestem ślepy?
- W stosunku do swojej rodziny... tak. Wiem, że w innych sprawach jesteś bardzo bystry.
- Twoje dobro zawsze leżało mi na sercu. Zostałaś powierzona mojej opiece przez - tu zająknął się lekko - przez twoją matkę. Potraktowałem zobowiązanie jako święty obowiązek. Wiem, że, począwszy od dnia naszego ślubu, powzięłaś do mnie głęboką niechęć. Próbowałem cię zrozumieć. Ona mi to wyjaśniła. Powiedziała, iż dlatego, że wzrastałaś bez ojca, że byliście tylko we dwie, stałyście się sobie szczególnie bliskie. Nie chciałaś żadnych zmian w tym układzie. Nigdy się ze sobą nie zaprzyjaźniliśmy, prawda? A potem... ona umarła.

Odwrócił się, a ja powiedziałam:

- Wiem, dla mnie to przecież był także ogromny cios.
- Tylko ona liczyła się dla mnie w życiu.

Skinęłam głową ze zrozumieniem.

- Między nami istniała wrogość. Ja naprawdę tego nie chciałem...

- Teraz zdaję sobie z tego sprawę.

Widziałam przed sobą zupełnie innego człowieka. Okazał wrażliwość, o którą go nigdy nie posądzałam. Może był surowym i bezwzględny osobnikiem, ale miał swoje słabe miejsca, a ponadto kochał moją matkę i potrzebował jej. Potrzebował jej szczególnie teraz, w tej chwili.

Poczułam się smutna i opuszczona. Straciłam ją tak samo jak on. Potem pomyślałam, że mogłabym być szczęśliwa z Pedrekiem, a obecnie straciłam także jego.

Benedykt mówił dalej:

- Postarajmy się pomóc sobie nawzajem - ty i ja, zamiast... - Milczał przez chwilę, a następnie wrócił do przerwanej wątku: - Między mną a twoją matką było tylko jedno nieporozumienie. Dotyczyło ono tych klubów. Była bardzo niezadowolona, że dziadek zostawił mi je w spadku. Chciała, bym się ich pozbył. Powinienem był wtedy posłuchać jej rady. Tylko ten jedyny raz mieliśmy odmienne zdanie. Ona знаła mego dziadka. Uwielbiał ryzyko. Wszyscy twierdzili zgodnie, że jestem do niego podobny. Ale myślę, że nie we wszystkim. Powinienem był jej posłuchać. Powinienem się ich pozbyć już dawno.

- Słyszałam coś na ten temat - powiedziałam. - Czy chodzi o "Diabła w Koronie"?

- Tak. Rozwazałem możliwość kupna tego lokalu. Gerson jest przekonany, że go kupię.

Jemu się wydaje, że wie wszystko o moich interesach, ale wcale tak nie jest. Zachodzę w głowę, skąd ma tyle danych o stanie mojego majątku.

Olśniła mnie nagła myśl.

- Czy trzymasz swoje dokumenty w tym zamkniętym pomieszczeniu? - zapytałam.

- Tak - odparł.

- A więc nie jest to wyłącznie świątynia dumania. Sądziłam, że kazałeś zamknąć pokój, ponieważ...

- Tak było rzeczywiście - przyznał. - Ale potem doszedłem do wniosku, że może być także niezłą kryjówką do przechowywania ważnych dokumentów.

Rozbawiło mnie to wyznanie, chociaż wcale mi nie było do śmiechu. Oto cały Benedykt - pomyślałam. - Boleść i cierpienie nie mącą jego umysłu ani nie przytępiają zdolności praktycznego rozumowania. Urządził tę świątynię, by czcić w niej pamięć ukochanej żony, a jednocześnie traktował ją jako skrytkę na poufne dokumenty. Wydawało mi się, że widzę twarz mojej mamy, pobłażliwie uśmiechniętą i słyszę, jak szepcze: "Tak, to prawda, ale Benedykt już taki jest".

- Chowasz tutaj te swoje poufne papiery - zauważyłam - a mimo to pozwalasz, by Gerson miał do nich dostęp.

Spojrzał na mnie zaskoczony.

- Nie, nigdy! - zaprzeczył.

- On tu przecież był, w tym zamkniętym pokoju!

- Kiedy?

- Nie tak dawno. Przechodząc, usłyszałam w środku jakiś szelest i poszłam do pani Emery po klucz, aby sprawdzić, co tam się dzieje. Kiedy otworzyłyśmy pokój, okazało się, że był w nim Gerson. Przeglądał jakieś papiery z pudła, które stało przed nim, przy biurku. Tłumaczył, że ty dałaś mu klucz do pokoju.

Na twarzy Benedykta malowało się niedowierzenie.

- Widocznie musiał wykraść klucz pani Emery.

- Nie, jej klucz był na miejscu. Właśnie tym kluczem otworzyłyśmy pokój. Zamknął się od środka.

- Trudno mi w to uwierzyć. Ja swój klucz noszę zawsze przy sobie, przy łańcuszku od zegarka, na kółeczku.

- Ale jednak nie był to klucz pani Emery. Ten leżał u niej w szufladzie.

- Jestem zdumiony, Rebeko. Trudno mi pojąć, jak to się mogło stać. Są tylko dwa klucze.

- Jeżeli jeden z nich dostał się na jakiś czas w jego ręce, łatwo mógł dorobić drugi egzemplarz.

- To jest odpowiedź. Musiał go wykraść przy jakiejś okazji.

- Wielce prawdopodobne.

- I mówisz, że przeglądał papiery...

- Czy swoje pogroźki może wprowadzić w życie?

Potrząsnął głową.

- Wiesz już teraz tyle, że muszę wyjawić ci resztę. Kluby, które założył mój dziadek i których był przez wiele lat właścicielem, przyniosły mu ogromne pieniądze. Był bardzo zdolnym człowiekiem i nie unikał ryzyka. Przeciwnie, życie bez ryzyka wydawało mu się nudne i nieciekawe. Lubił to, co robił. Niektórzy mówią, że był z niego kawał łajdaka, ale mimo to wielu ludzi go kochało. Wiedziałem, że się różnimy. Nie mam jego klasy. Odziedziczyłem niektóre jego cechy, ale nie wszystkie. Wiesz, że sięgam wysoko. Zaspokojenie ambicji jest dla mnie ważniejsze niż majątek, który pochodzi z wątpliwych źródeł. Od jakiegoś czasu próbuję pozbyć się klubów i skoncentrować się głównie na polityce. Wiesz, że dorobiłem się na kopalni złota w Australii. Nadal mam w niej niewielki udział. Pieniądze nie stanowią dla mnie problemu. Podniecał mnie głównie sposób ich pomnażania. Teraz staram się iść za radą, którą ona mi dała... przed laty. Pozbędę się udziału w tych klubach. Gerson o tym nie wie. Pracował dla mnie przez jakiś czas. Jest bardzo ambitnym facetem. Chce zdobyć prawo do udziału w mych przedsiębiorstwach jako wspólnik... to już słyszałaś.

- W jakim stopniu jego groźby są w stanie ci zaszkodzić?

- "Diabeł w Koronie", który zamierzałem początkowo nabyć, jest czymś więcej niż zwykłym nocnym klubem. Prowadzi się w nim dość nieciekawą działalność. Podejrzewam, że jest

meliną handlarzy narkotyków. To właśnie wpłynęło na moją decyzję, by się z transakcji wycofać.

- A więc na razie nie jesteś jeszcze wplątany w żadną podejrzaną aferę?

- Nie, i nie zamierzam dać się wplątać. Nie kupię "Diabła w Koronie".

- A zatem groźby Olivera Gersona trafią na jałowy grunt. Nie będzie mógł wyciągnąć przeciwko tobie żadnych kompromitujących faktów?

- No cóż, zawsze może przypomnieć ludziom o mych powiązaniach z klubami, chociaż sprawa już nieaktualna.

- A to by ci zaszkodziło?

- Niewykluczone. Gdybym otrzymał tekę ministra.

- Uważasz więc, że będzie rozsądniej wycofać się z interesu?

- Powinienem był posłuchać przed laty rady twojej matki. Ale przede wszystkim cieszę się, że nic cię z nim nie łączy.

- Nigdy nie miałam zamiaru wychodzić za niego za męża, ale gdyby tak było...

- Rozumiem - odparł ze słabym uśmiechem - nie posłuchałabyś mojej prośby.

Przewidywałem twoją reakcję i tym bardziej się teraz cieszę, że udało mi się uniknąć z tobą konfliktu.

- Ale gdybym postanowiła wstąpić w związek małżeński...

Uśmiechnął się szeroko.

- Moja rada nie miałaby dla ciebie znaczenia. Nie wzięłabyś jej pod uwagę.

- Uważam, że decyzja w takiej sprawie należy tylko do mnie.

- Gdyby jednak twój wybór padł na tak nieodpowiednią osobę jak Oliver Gerson, zrobiłbym wszystko, co w mej mocy, by nie dopuścić do małżeństwa. Sądzę, że w tym wypadku twoja matka podzielałaby moje zdanie. Chciałbym...

Spoglądałam na niego, czekając, co jeszcze powie.

- Chciałbym - kontynuował - dowiedzieć się, w jaki sposób Oliver Gerson zdobył klucz.

Nie jestem w stanie wyrazić, jak bardzo jestem zadowolony, że nic cię z nim nie łączy. Nic nie mogłoby mnie bardziej ucieszyć.

Mówił poważnie. Byłam zaskoczona. Stało się to punktem zwrotnym w naszych stosunkach.

Zaginiona

Leah przebywała z dziećmi w ogrodzie. Właśnie zamierzałam się do nich przyłączyć, kiedy przyniesiono telegram.

Zerknęłam na nazwisko i zobaczyłam, że jest adresowany do Leah. Natychmiast pośpieszyłam do niej. Z lękiem wzięła papier z moich rąk. Palce jej drżały. Jak większość osób, które otrzymują telegramy, przeczuwała, że jest zwiastunem złej wieści.

Rzuciła wzrokiem na jego treść i spojrzała na mnie.

- Czy stało się coś złego, Leah? - zapytałam.

Belinda podbiegła i wyjęła depeszę z jej rąk.

“Twoja matka jest bardzo chora - przeczytała. - Pragnie się z tobą zobaczyć. Przyjedź, jeśli możesz”.

Wyrwałam jej telegram. Belinda dobrze go odcyfrowała.

- Och, Leah - rzekłam ze współczuciem. - Musisz natychmiast do niej jechać.

Leah rozejrzała się wokół oszołomiona.

- Ale jakże ja mogę? Dzieci...

- Oczywiście, że możesz. Czy nie uważasz, że jest to twój obowiązek? Ona chce ciebie zobaczyć.

Leah skinęła głową w milczeniu.

- Zdasz na wieczorny pociąg - przekonywałam. - Rano będziesz już w Kornwalii. Ktoś na

pewno wyjedzie po ciebie na stację. Nie martw się. Damy sobie radę.

Wahała się jeszcze, ale w końcu przyznała, że rzeczywiście powinna jechać.

Przez cały czas myślałam o pani Polhenny... chorej. Zastanawiałam się, co jej się mogło stać. Ostatnim razem, kiedy babcia wspominała o niej w liście, wszystko było w porządku.

W kilka dni później otrzymałam wiadomość od babci.

“Jesteśmy bardzo wstrząśnięci śmiercią pani Polhenny - pisała. - Była tak nierozzerwalnie związana z naszą okolicą. Trudno nam sobie wyobrazić, że nie zobaczymy jej już nigdy więcej.

Wracała do domu od jednej ze swoich położnic, kiedy koło jej starego gruchota zawadziło o jakiś kamień. Musiał być niezłych rozmiarów. Na nieszczęście wypadek wydarzył się na szczycie pagórka Goonhilly, który, jak wiesz, jest bardzo stromy. Stoczyła się z niego z łoskotem i rozbiła sobie czaszkę. W ciężkim stanie zabrano ją do szpitala w Plymouth. Przesłano do mnie gońca z wiadomością, że pragnie się ze mną widzieć... i to pilnie. Miała mi podobno coś ważnego do zakomunikowania. Wysłano już po Leah. Prawie jej nie poznałam. Cała była w bandażach, nie przypominała tej pani Polhenny, którą wszyscy znaliśmy. Leżała przede mną stara, wątła kobieta. Zgodnie z życzeniem, które jakoś udało jej się wyartykułować, zostawiono mnie z nią sam na sam. Zdziwiłam się, że się zgodzono, ale przypuszczalnie jej stan był na tyle ciężki, iż nie miało to już większego znaczenia. Dziwne, Rebeko, ale ona sprawiała wrażenie autentycznie wylęknionej. Pamiętasz, jak zwykliśmy mawiać, że pani Polhenny ma już zapewnione miejsce w niebie? Zawsze była taka moralna, pamiętasz, zawsze za pan brat z Panem Bogiem. Powtarzaliśmy, że na pewno zasiądzie w Niebiańskim Chórze. Aż tu naraz... strach i przerażenie. Nie miałam wątpliwości, że drży przed tym, co ją czeka po śmierci.

Wyciągnęła do mnie rękę. Ujęłam ją. Dłoń miała zimną i wilgotną. Była bardzo słaba, ale jeszcze leciutkim uściskiem palców dała mi do zrozumienia, że chce, bym przy niej została.

Powtarzała w kółko: “Pragnę... pragnę... pragnę...”. Odpowiadałam jej łagodnie: “Tak, pani

Polhenny, jestem tutaj. Czego pani sobie życzy? Słucham panią”. “Muszę... muszę...”. Nie byłam w stanie zrozumieć, o co jej chodzi, ale widziałam, że chce mi przekazać coś ważnego. Potem jednak zaczęła jakoś dziwnie gulgotać. Przelękniona, wezwałam pielęgniarkę. Przyszedł lekarz. Wyprosilili mnie z pokoju. To był już koniec i nigdy się nie dowiedziałam, dlaczego tak jej zależało, by się ze mną zobaczyć przed śmiercią. Zostałam jeszcze jakiś czas w szpitalu i czekałam. Po dłuższej chwili wyszli, by mi oznajmić, że pani Polhenny właśnie zakończyła życie.

Muszę Ci powiedzieć, że jest to dla nas wszystkich ogromny wstrząs. Byliśmy przekonani, że ona nigdy nie umrze. Wierzyliśmy, że ciągle będzie się telepać na swoim starym gruchocie po pagórkach: w górę i w dół, nawet kiedy nas już zabraknie. Och, jakże ja nienawidzę takich zmian! Pytasz, co u nas słyszeć? Ciągle myślimy o Tobie. Pedrek przybił już do Walii Południowej. Jego dziadkowie bardzo za nim tęsknią. Mówią, że pozostanie tam jakieś dwa lata. Ile bym dała za to, aby wszystko ułożyło się inaczej”.

Z trudem doczytałam list do końca. To straszliwe wydarzenie nad jeziorem zrujnowało życie nie tylko moje i Pedreka, ale również tych wszystkich, którzy nas kochali.

Leah wróciła z Kornwalii. Trudno się było domyślić, co czuje. Zawsze była skryta. Nie zdążyła zobaczyć matki żywej. Musiała jednak zostać tam jeszcze jakiś czas, by zlikwidować dom, sprzedać meble i załatwić wiele innych spraw. Dziadkowie bardzo jej pomagali i na okres pobytu zaoferowali gościnę w Cador.

Dzieci ogromnie się ucieszyły z jej powrotu. Belinda była trochę bez humoru, ponieważ Oliver nagle wyjechał z Manorleigh. Ciekawa byłam, jak by się zachowała, gdyby wiedziała, że nie zobaczy go już więcej. Odwiedzał nas nieregularnie, więc jego przedłużająca się nieobecność nie wzbudzała na razie jej podejrzeń, a ja postanowiłam niczego nie mówić. Sądziłam, że im więcej czasu upłynie, tym łatwiej zniesie wiadomość o zerwaniu stosunków.

A potem przyjechał Tom Marner.

Powiedział nam o nim Benedykt. Od naszej ostatniej rozmowy, kiedy ukazał mi się od innej strony, zaczęło się między nami rodzić coś na kształt przyjaźni. Było to tak, jakby usunięto dzielącą nas wysoką barierę. Ale pozostały jeszcze inne.

Siedzieliśmy przy obiedzie. Było nas troje: Benedykt, Celeste i ja.

- Pragnę was poinformować, że przyjeżdża Tom Marner - oznajmił Benedykt. - Jest już w drodze.

Domyślałam się, że Celeste, podobnie jak ja, nie ma pojęcia, kim jest ten pan.

- To sympatyczny człowiek - ciągnął Benedykt - chociaż trochę mu brakuje obycia. Ot, coś w rodzaju nie oszlifowanego diamentu. Niemniej można mieć do niego bezwzględne zaufanie.

Kupił ode mnie kopalnię złota.

- I tu przyjeżdża? - W głosie Celeste zabrzmiał lekki niepokój.

- Jeżeli jest sympatyczny, miło będzie go poznać - wtrąciłam.

- Myślę, że go polubicie. Jest wesoły, uczciwy, bezpośredni i bezkompromisowy.

- Wiem - odparłam. - Złote serce pod szorstką powłoką.

- Doskonale to ujęłaś.

Miał trochę zakłopotaną minę, jak zawsze, kiedy była mowa o kopalni. Domyślał się, i słusznie, że przywodzi mi na myśl sposób, w jaki wszedł w jej posiadanie.

- Nie pozbyłem się jej tak całkowicie - wyjaśnił. - Nadal mam w niej niewielki udział.

- A więc w zasadzie pan Marner przybywa w interesach - zauważyłam.

- Właściwie tak. Jest kilka spraw, które pragnę omówić z nim osobiście.

- Czy zatrzyma się w Manorleigh czy w Londynie? - zapytała Celeste.

- Sądzę, że najpierw pobędzie jakiś czas w Manorleigh. Potem może pojedziemy do Londynu. Spędzi tu z nami prawdopodobnie kilka tygodni.

- Postaramy się, aby wszystko było gotowe na jego przyjazd - obiecała Celeste, po czym

rozmowa zeszła na inne tory.

Wiadomość o przyjeździe Australijczyka okazała się bardzo przydatna, kiedy Belinda po raz kolejny poruszyła temat Olivera Gersona.

- To śmieszne - stwierdziła nachmurzona. - Odjechał bez pożegnania. Nie powiedział "do widzenia" i wieki minęły od czasu, kiedy był ostatni raz.

- Nic nie szkodzi, będziemy mieli innego gościa.

- Kto to taki?

- Ktoś z australijskiej głuszy.

- Co to jest głusza?

- To odludne tereny położone daleko od skupisk ludzkich.

- Czy będzie pomalowany w czerwone i niebieskie pasy i będzie miał pióra we włosach?

- Tak malują się Indianie Ameryki Północnej - pouczyła ją Lucie z wyższością. - On jest Australijczykiem.

- Co ty możesz o tym wiedzieć?

- Na pewno więcej niż ty.

- Tylko bez kłótni! - zmitygowałam je. - Pamiętajcie: obie macie być grzeczne dla pana Marnera.

- Jak on wygląda?

- Nie mam pojęcia. Nie widziałam go. Jest właścicielem kopalni złota.

- Musi zatem być bardzo bogaty - stwierdziła z nabożnym szacunkiem Belinda. - Za złoto można dostać dużo pieniędzy.

- Czy zjeżdża na dół, do kopalni? - dopytywała się Lucie.

- Nie wiem.

- Musi - wyjaśniła pogardliwie Belinda. - Złoto wydobywa się spod ziemi. A kto je będzie

kopał, kiedy on tu przyjedzie?

- Myślę, że ma ludzi, którzy się tym zajmą.

- Och! - westchnęła z podziwem Belinda.

- Opowiedz nam coś o Australii - poprosiła przymilnie Lucie.

- Nie pamiętam zbyt wiele. Byłam małym dzieckiem, kiedy stamtąd wyjechałam.

Uwielbiały słuchać tej opowieści, chociaż nieraz im ją już opowiadałam. Opisywałam, jak moi rodzice pojechali do Australii, gdzie zamieszkali w górniczym miasteczku, w małej prymitywnej chacie. Opowiadałam im, jak przyszłam na świat w domu ojca Belindy, jedynym budynku w tym mieście, który nadawał się do tego, by urodzić w nim dziecko.

Temat Australii stale od tej pory powracał w naszych rozmowach, a zapowiedź przyjazdu Toma Marnera wprawiła cały dom w nastrój niecierpliwego oczekiwania.

Barwne porównanie Benedykta do nie oszlifowanego diamentu kazało się domyślać osobnika zachowującego się dość obcesowo i nie zwracającego zbyt wiele uwagi ani na strój, ani na maniery. Innymi słowy - całkowite przeciwieństwo Olivera Gersona. Ciekawa byłam reakcji Belindy. Miałam nadzieję, że australijski przybysz odwróci jej myśli od Olivera; ciągle go ostatnio wspominała i z utęsknieniem wyczekiwała dnia, kiedy pojawi się w Manorleigh.

Belinda znajdowała się pod takim urokiem Gersona, jego sposobu bycia i galanterii, iż mało było prawdopodobne, by Australijczyk zyskał łaskę w jej oczach. Z kolei trudno było oczekiwać, że nie oszlifowany diament będzie zabiegał o względy trudnego dziecka.

Później przybył on sam: bardzo wysoki i opalony na brąz. Miał jasne, niebieskie oczy, które stale mrużył, jakby chciał chronić je przed słońcem, nawet tu, w naszym klimacie. Pałace promienie zostawiły również ślad na jego płowych włosach, które zrobiły się zupełnie popielate. Myślę, że dziewczynki były nieco rozczarowane jego wyglądem. Spodziewały się zobaczyć typowego górnika, w rodzaju tych, którzy pracowali w kopalniach cyny w Kornwalii. Tymczasem

stał przed nimi sympatycznie wyglądający mężczyzna, w eleganckim granatowym garniturze, którego kolor jeszcze bardziej uwydatniał ogorzały wygląd.

- To moja żona - przedstawił Benedykt Celeste.

Uścisnął jej rękę.

- Wiele słyszałem o pani. Miło mi panią poznać.

- A to moja pasierbica.

Potrząsnął energicznie moją dłoń.

- A to pozostała część rodziny...

Dziewczynki zbliżyły się i wyciągnęły rączki na powitanie.

- Jak idą sprawy? - zapytał Benedykt.

Tom Marner przymrużył oko i przyłożył palec do nosa. Dzieci, które obserwowały go uważnie, wyraźnie się zaciekawily.

- Nie wyglądasz na górnika - stwierdziła bezceremonialnie Belinda.

- To dlatego, że wystroiłem się jak lalka za sześć pensów. Chciałem na was zrobić wrażenie. Powinnyście mnie zobaczyć w roboczym kombinezonie. - Mrugnął okiem do Belindy.

Dziewczynka zachichotała. Nie ulegało wątpliwości, że poczuli do siebie sympatię. Bardzo mnie to ucieszyło. Miałam nadzieję, że przestanie myśleć o Oliverze Gersonie.

I tak się też stało. Przyjazd Toma Marnera okazał się prawdziwym dobrodziejstwem.

Określenie "nie oszlifowany diament" pasowało do niego jak rzadko. Emanował dobrocią, a z jego pogodnych oczu wyzierała uczciwość i szlachetność. Miał wesołe usposobienie i bezustannie się śmiał, miał też bardzo bezpośredni sposób bycia i do wszystkich bez wyjątku odnosił się z niewymuszoną życzliwością.

Pani Emery zwierzyła mi się w sekrecie, że wprawdzie nie uważa go za gościa, którym taki dom jak nasz może się poszczycić, niemniej nie da się zaprzeczyć, iż jest wyjątkowo

sympatycznym człowiekiem. Jest wdzięczny za wszystko, co się dla niego robi, i okazuje to w sposób wyjątkowo ujmujący. Dla każdego ma przyjemny uśmiech i miłe słowo.

- Chyba nie zdaje sobie sprawy z różnicy między panienką Belindą a służącymi. Pomocnicę domową nazwał kurczątkiem, a pewnego dnia słyszałam, że w podobny sposób zwrócił się do panienci Belindy.

- Dzieci go lubią - stwierdziłam. - A poza tym ładnie z jego strony, że poświęca im tyle czasu.

- Tak, on rzeczywiście wydaje się je bardzo lubić.

Panna Stringer wyraziła obawę, czy obecność Toma Marnera nie wpłynie negatywnie na maniery i angielszczyznę dziewczynek. Mówiły teraz "dobra", a rzeczy określały słowem "morowe".

Odparłam, że moim zdaniem nie będzie tak źle, jak się jej wydaje.

Bez wątpienia jego przyjazd przyczynił się do polepszenia atmosfery w domu. Słyszałam, jak śmieją się głośno z Benedyktem. Celeste określiła go jako niekłopotliwego gościa. Często jeździł z nami konno. Był świetnym jeźdźcem. Ogromnie tym zaimponował Belindzie, dla której stał się prawdziwym idolem. "W australijskiej głuszy koński grzbiet jest twoim domem" - wytłumaczył im. Był też niesłychanie zręczny. Potrafił wiązać kunsztowne węzły i robić lassa. Nauczył dzieci zarzucać pętlę wokół drzew i godzinami trenował z nimi tę sztukę. "Nie o drzewa tu wszakże chodzi - zastrzegł. - W ten sposób łapiemy bydło... lub złodziei, którzy przychodzą cię obrabować".

W krótkim czasie podbił serca wszystkich domowników.

Sporo czasu spędzał w gabinecie Benedykta, podobnie jak dawniej Oliver Gerson. Udało mu się też, stwierdziłam, zastąpić tego ostatniego w sercu Belindy: coraz rzadziej wymieniała jego imię.

Szybko zdążyliśmy zauważyć, że Tom Marnier bardzo polubił towarzystwo dziewczynek.

Ilekoć szły do ogrodu, z reguły podążał za nimi. Leah była wniebowzięta. Zmieniła się od śmierci matki, ale nie mogłam dociec, do jakiego stopnia odczuła jej stratę. Odnosiłam wrażenie, że nigdy nie darzyły się wielkim uczuciem. Nie wyobrażałam sobie nikogo, kto mógłby kochać panią Polhenny. W gruncie rzeczy podejrzewałam zawsze, że Leah opuściła rodzinny dom dlatego, że chciała się od niej wreszcie uwolnić. Całkowicie ją rozumiałam.

Wolałabym, aby Leah była bardziej komunikatywna i mniej skryta. Jej prawdziwe myśli były dla nas tajemnicą. Próbowaliśmy raz czy dwa namówić ją na zwierzenia, ale nigdy nie udało mi się nic od niej wydobyć. Jej oddanie dla dzieci przechodziło wszelkie wyobrażenia - zwłaszcza dla Belindy. Znała skomplikowaną naturę dziewczynki i radziła sobie z nią lepiej niż ktokolwiek z nas. Nawet ona wydawała się rozkwitać w towarzystwie Toma Marniera. Kilkakrotnie słyszałam, jak śmieje się serdecznie, ulegając beztroskiej wesołości, jaką zarażał całe otoczenie.

Celeste w jego towarzystwie była też jakby mniej napięta i swobodniejsza. W sumie jego pobyt pozytywnie wpłynął na ogólną atmosferę domu.

Czasami dobiegał mnie jego okrzyk "Coo_eee!", który rozlegał się echem po wszystkich pokojach. Słyszając ten zew, Belinda lub Lucie odpowiadały podobnym zawołaniem i ochoczo wybiegały mu naprzeciw. Wiedziały, że jest to zapowiedź kolejnej atrakcji; jakiejś zajmującej opowieści z australijskiego bezludzia lub propozycji wycieczki konno w jego wesołym towarzystwie.

Kochał przyrodę i często podkreślał miłość i przywiązanie, jakie żywił do swej dalekiej ojczyzny.

Chętnie opowiadał historie o pierwszych transportach ze skazańcami, jakie płynęły z Anglii do Australii: "Statki pełne więźniów, wszystkich, którzy mieli na sumieniu jakieś małe przestępstwo... bądź w ogóle byli niewinni". Mówił o cierpieniach, jakie znosili skazańcy podczas

długiej monotonnej podróży przez ocean. Jak ustawiono ich w szeregu na pokładzie, kiedy wreszcie przybili do wybrzeży zalanego słońcem lądu. Na czas odbywania kary byli niewolnikami i darmową siłą roboczą dla właścicieli farm i plantatorów, którzy przebierali w nich jak w ulegąłkach. Opisywał dziewczynkom, jak wygląda złoty ciernisty janowiec, eukaliptusowe drzewa i krzewy różowca. Opowiadał o tamtejszych ptakach - szaroczerwonym grzebieniastym kakadu, zwanym galash, i olbrzymim australijskim zimorodku, kukaburra, wydającym charakterystyczny śmiech, dla którego zyskał nazwę osła.

Często słyszeliśmy okrzyki naśladujące kukaburra.

- To dobre zawołanie na wypadek, gdyby dzieci się gdzieś zawieruszyły - zauważyła panna Stringer - lub zaszyły w odległych zakątkach ogrodu.

Doceniała również wątki historyczne, które przewijały się w opowieściach Toma Marnera.

A więc nawet ona pogodziła się w końcu z jego pobyt w naszym domu.

Wszystkie rozmowy o Australii, rzecz jasna, ciągle przywodziły mi na myśl Pedreka.

Ciekawa byłam, co on porabia na tym odległym kontynencie i czy o mnie myśli. Na pewno ma do mnie żal, że w niego zwątpiłam. W głębi serca moja wiara trwała nienaruszona... niemniej gdzieś tam, w zakamarku mej duszy, wciąż czaiła się bolesna wątpliwość.

Do końca życia - myślałam - będę za nim tęsknić, będę w niego wierzyć, lecz czy ta niepewność nigdy mnie już nie opuści?

Ale coś mi podpowiadało, że jeżeli nawet wydarzenie nad jeziorem było prawdą, to gdybym go rzeczywiście kochała, nigdy bym go w krytycznej chwili nie odstąpiła. Czyż sens miłości nie polega na zrozumieniu i wybaczeniu? Jak się to mówi?: "W chorobie i zdrowiu". Jeżeli to była choroba, ja go w niej opuściłam. Nie było mnie przy nim, gdy potrzebował wsparcia i miłości.

Ale strach i przerażenie Pedreka było tak wielkie, że ogarnęły mnie wątpliwości. Nie byłam

w stanie uwierzyć jego słowom. “Wierzę, wierzę!” - chciałam wykrzyknąć, lecz drzemiąca na dnie serca przeklęta niepewność wciąż odżywała na nowo.

Jakież smutne jest życie. Weźmy przykład Celeste; nie ma w niej krzty wesołości. Dlaczego życie musi być takie skomplikowane, a nie łatwe i proste, jak wtedy, kiedy obcuje się z ludźmi w rodzaju Toma Marnera?

Lubiłam być sama ze swymi myślami - choć z pewnością nie należały do najweselszych.

Czasami byłam o krok od decyzji, by napisać do Pedreka, błagać go, by wrócił i by wszystko powróciło do dawnego stanu. Z całej duszy pragnęłam, abyśmy znowu byli razem i wspólnie, jak niegdyś, snuli plany na przyszłość.

W głębi serca wiedziałam jednak, że nie jest to możliwe. Zawsze między nami będzie tkwiło wspomnienie tamtych chwil. Myślę, że incydent z Jeanem Pascalem - który miłosiernie od tamtego czasu nie odwiedził swej siostry - uwrażliwił mnie na przeżycia osoby postawionej w podobnej sytuacji. Nigdy nie zapomnę grozy na twarzy Belindy, jej przerażenia i strachu.

Dzieci, zafascynowane Tomem Marnerem, mniej mnie teraz absorbowały. Mogłam częściej korzystać z samotności, której w moim obecnym stanie ducha byłam bardzo złakniona. Od czasu do czasu wybierałam się konno na dłuższe spacerunki po okolicy. Spokój wiejskiego krajobrazu kołował moje zbolące serce, chociaż Pedrek wciąż nie schodził mi z myśli. Byłam głęboko przeświadczona, że już do końca życia będzie włókł się za mną cień tragedii, jaką było dla mnie nasze rozstanie.

Pewnego popołudnia, podczas jednej z takich przejażdżek, zapędziłam się w pobliże gospody “Pod Wieszającym Sędzią”. Wracając do domu, zatrzymałam konia, aby na nią popatrzeć. Przypomniały mi się chwile, jakie spędziłam w tym uroczym miejscu z Oliverem Gersonem i dziećmi. Pamiętałam, z jakim przejęciem i radością piły rozcieńczony cydr z prawdziwych cynowych kufli.

Gdy podjechałam bliżej, zauważyłam wychodzącą z gospody parę. Udawali się w kierunku

stajni.

Przyjrzałam się im dokładniej. Ku swemu zdziwieniu rozpoznałam Olivera Gersona i Celeste. Ogarnął mnie lęk. Celeste... spotyka się z Oliverem Gersonem... w sekrecie. Co to może znaczyć? Wiedziałam, że nie była szczęśliwa w małżeństwie, że mąż ją zaniedbuje... ale Oliver Gerson?!

Czułam, że jeżeli się spotkam z nimi oko w oko, będzie to dla nas wszystkich żenujące. Zawróciłam więc szybko konia i odjechałam w przeciwnym kierunku. Przez resztę dnia intrygowała mnie myśl, co to spotkanie mogło znaczyć.

Przewidywałam poważne komplikacje w przyszłości, gdyby się okazało, że moje obawy są uzasadnione. Czyżby szukała ukojenia w pozamałżeńskich stosunkach? Gdyby tak istotnie było, któż mógłby się bardziej nadawać na pocieszyciela niż ten ujmujący młody mężczyzna, który ogromnie współczuł żonie swego wroga? Tych dwoje wiele łączyło; przede wszystkim wspólna uraza do Benedykta. Obydwoje mieli prawo uważać, że źle ich traktował, i było bardzo prawdopodobne, że pałają chęcią zemsty.

Ale co mnie to właściwie obchodzi? - przekonywałam siebie. To sprawa mego ojczyma. Niech sam rozwiązuje swoje problemy.

Jednakże w ciągu ostatnich kilku tygodni w naszych stosunkach nastąpiła pewna zmiana. Miałam dojmujące uczucie, że duch mamy znajduje się w pobliżu i prosi mnie, bym nie żywiła do niego niechęci, bym mu pomogła.

Skąd takie dziwne przekonanie? Jego źródłem przypuszczalnie był szczególny nastrój domu, przenikniętego atmosferą tajemnicy i tragedii. Mówiło się przecież powszechnie, że jest nawiedzany przez ducha, który w pewnej mierze przypominał moją matkę.

Benedykt i ja byliśmy osobami, które ona wyjątkowo mocno kochała. Prześladowało mnie uczucie, że istnieją więzy, których nawet śmierć nie jest w stanie zerwać.

Najgorętszym pragnieniem mamy było, żebyśmy, ja i Benedykt, zostali parą przyjaciół.

Myślałam dużo o Celeste i Oliverze Gersonie. Słyszałam, jak próbował szantażować mego ojczyrna, i nie miałam złudzeń, że jest to pozbawiony skrupułów awanturnik. Czy Celeste wiedziała o tym? A może i ona uległa wyjątkowemu urokowi tego mężczyzny? Odrzucona przez Benedykta, cierpiała i współczująca serdeczność Olivera była z pewnością balsamem dla jej zboląłego serca.

Postanowiłam z nią porozmawiać.

Zaproponowałam, aby przyszła do mego pokoju, ponieważ pragnę jej coś pokazać. Kiedy jednak zapukała do mych drzwi, nieoczekiwanie zmieniłam decyzję. Postanowiłam od razu, bez żadnych ogródek, przejść do właściwego tematu.

- Celeste - zaczęłam - wiem, że to nie moja sprawa, ale ostatnio przejeżdżałam koło gospody "Pod Wieszającym Sędzią"...

Widać było, że jest nieprzyjemnie zaskoczona. Zbladła, po czym zarumieniła się po same uszy.

- Widziałaś...

- Tak. Widziałam, jak wychodziłaś z niej z Oliverem Gersonem.

Nic na to nie odrzekła.

- Wiesz oczywiście, że Benedykt zabronił mu przekraczać progi swego domu?

Skinęła głową.

- Celeste, proszę, wybac mi - zaczęłam - ale...

- Wiem, co masz na myśli. Jesteś jednak w błędzie. Spotkałam się z nim, ponieważ... wiesz, że opuścił dom w pośpiechu.

Przytaknęłam.

- Znalazł jakieś koronkowe serwetki w swym sakwojazu... kilka drobiazgów. Wyjaśnił, że

zagarnął je niechcący, kiedy pakował swoje rzeczy. Myślał, że przedstawiają większą wartość, i postanowił je zwrócić.

- I zwrócił? Czy rzeczywiście są takie cenne?

- Nie mam pojęcia. Nigdy ich przedtem nie widziałam. W ogóle nie wiedziałam, że zginęły.

Po prostu odniosłam je z powrotem do pokoju, który zajmował. Chyba nie myślisz...

- Raczej nie. Ale widzisz, Benedykt miał z nim gwałtowną sprzeczkę.

- Benedykt nigdy ze mną nie rozmawia o takich sprawach. Pan Gerson poinformował mnie, że zaszło nieporozumienie. Nie chciał, aby Benedykt wiedział, że się z nim spotkałam, a innego wyjścia nie widział, aby mi zwrócić makatki.

- To niebezpieczny facet, musisz wiedzieć - powiedziałam.

- Niebezpieczny?

- Oni się ze sobą pokłócili. Byłam pewna, że już nigdy nie odważy się pojawić w pobliżu tego domu.

- Skarżył się, że został bardzo źle potraktowany.

- I ty uwierzyłaś w jego wersję?

Wzruszyła ramionami.

Nie wiedziałam, do jakiego stopnia mogę być z nią szczera. Ogarnęła mnie obawa, że zapuszczam się na niebezpieczne wody. Benedykt rozmawiał ze mną w chwili wzburzenia i gniewu, po sprzeczce z Oliverem Gersonem, ponieważ wiedział, że podsłuchałam część rozmowy. Z jej strzępków bez trudu mogłam sobie złożyć cały obraz. Wie, że potrafię dochować dyskrecji. Może powiedziałam za dużo.

- Nie sądzę, byś mądrze robiła, spotykając się z nim - zakończyłam kulawo.

- Ładnie z twojej strony, że martwisz się o mnie, Rebeko. Jestem w porządku. Nigdy nie wezmę sobie kochanka, jeśli o to ci chodzi. Kocham Benedykta. Zawsze go kochałam. Kocham

tylko jego jednego. Chciałabym, żeby między nami było inaczej. Jestem głupia, wiem o tym, ale tak jest. On jest jedynym mężczyzną, na którym mi zależy. A nie jest łatwo żyć z kimś, kto tak ostentacyjnie okazuje, że mnie nie kocha.

- Droga Celeste, wybacz mi!

- Nie mam ci nic do wybaczenia. Cieszę się, że jesteś tutaj. Ogromnie mi pomogłaś.

Czasami czuję się taka nieszczęśliwa, Rebeko.

- Zawsze chętnie cię wysłucham.

- Rozmowa rzeczywiście przynosi ulgę - przyznała. - Ty to rozumiesz.

- Tak, rozumiem. Miałam na myśli, byś mi wybaczyła, iż cię podejrzewałam...

- Chodzi ci o Olivera Gersona?

- Obawiam się, że to niebezpieczny gość - powtórzyłam raz jeszcze wymijająco.

Herbatka w saloniku pani Emery była zawsze interesującym wydarzeniem w mej codziennej egzystencji. Nic nie uchodziło jej czujnej uwagi. Domyśliłam się, że jest czymś bardzo przejęta.

Napełniła aromatycznym płynem odświeżone filiżanki.

- Wielki Boże, panno Rebeko, pan Marner to niesamowity gość! Wszędzie go pełno. I ta jego piosenka o kangurach, i inne rzeczy. Człowiek ma wrażenie, że znajduje się gdzieś na australijskim bezludziu. Nie można go nie polubić. Dla każdego ma uśmiech, niezależnie od tego, kim ten ktoś jest. A jednocześnie, proszę zwrócić uwagę, nie jest człowiekiem, który w moim pojęciu może być uważany za prawdziwego dżentelmena.

- Zależy, co pani przez to rozumie, pani Emery.

- Prawdziwego pana od razu poznam. Całe życie przepracowałam u takich ludzi. A on lubi błaznować. Nasza panienka Belinda mówi, że jego oczy przypominają dwa słońca.

- Ona podchodzi do ludzi bardzo emocjonalnie... zwłaszcza do mężczyzn.

- Będzie z niej numer, gdy dorośnie, już to widzę.

- Niektóre dzieci już takie są. Jeśli kogoś lubią, stawiają go zaraz na piedestał.

Cieszyło mnie, że jej uwielbienie dla Olivera Gersona powoli zaczyna przygasać. Tom Marner skutecznie wypierał go z jej serca.

- Z przyjemnością słucham, jak się śmieją i weselą - dodała. - Może jeszcze herbaty, panienko?

- Chętnie, pani Emery. Jest wyborna!

Skinęła głową wyraźnie uradowana moją pochwałą.

- Czy zauważyła pani zmianę u Leah?

- Leah? - spytałam z ciekawością.

- Dawniej zawsze wyglądała jak kupka nieszczęścia. Sprawiała wrażenie, jakby na swoich barkach dźwigała kłopoty całego świata. Teraz wyraźnie się zmieniła. Śmieje się razem z dziećmi i z tym Tomem Marnerem. Czy panienka wie, że któregoś dnia usłyszałam, jak śpiewa?

- Co... Leah?

- Nie wierzyłam własnym uszom. Przedtem stale chodziła z taką strapioną miną, jakby wybierała się na pogrzeb. Zrobiła się też rozmowniejsza, a zawsze była milczkiem.

- Cieszy mnie, że pan Marner, jak z tego wynika, zyskał sobie ogólną przychylność.

- Zdaje się, że wkrótce nas opuści.

- Obawiam się, że tak. Ależ to będzie płacz w dzieciennych pokojach!

- Panienka Belinda będzie niepokieszona, a i Leah także. A przy okazji: zanoszą się na zmiany na górze, korzystne zmiany. Na pewno w rządzie nastąpią przetasowania. Tak to określił pan Emery. Wydaje się, że taki będzie koniec bezustannych parlamentarnych debat.

- Ma pani na myśli zmiany w składzie Rady Ministrów?

- Emery jest doskonale zorientowany w tych sprawach. Zawsze mu powtarzam, że minął się

z powołaniem. Sam powinien uprawiać politykę. On uważa, że zmiany mogą się okazać dla naszego pana bardzo korzystne.

- Dla pana Lansdona?

- A dla kogóż by innego? I nie tylko Emery jest tego zdania. Gazety też o tym piszą. Emery zbiera i przechowuje wszystkie wycinki na ten temat. Chciałby, żeby pan Lansdon objął Ministerstwo Spraw Zagranicznych, ale obawia się, że tam, niestety, wszystko zostanie po staremu. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych też byłoby niezłe lub Ministerstwo Wojny... tak twierdzi Emery.

- Jak widzę, wasze ambicje sięgają bardzo wysoko - zażartowałam.

- Emery jest bardzo ambitnym człowiekiem.

Nie mogłam powstrzymać się od uśmiechu. Trudno było zareagować inaczej, widząc, z jaką radością ci ludzie pławią się w blasku cudzej chwały.

- Ja z Emerym trzymamy kciuki za naszego pana.

Nie przestawałam się uśmiechać. Rozmowa z panią Emery była równie krzepiąca jak jej herbata.

Kiedy przechodziłam obok gabinetu Benedykta, nagle drzwi się otworzyły i on sam w nich stanął; spoglądał na mnie z uśmiechem.

- Rebeko, możesz poświęcić mi małą chwilę?

- Ależ oczywiście.

- Wejdz wobec tego.

Weszłam, a on wskazał mi krzesło. Usiadłam. Sam zajął miejsce za biurkiem. Siedzieliśmy naprzeciwko siebie, spoglądając jedno na drugie.

- Doszedłem do wniosku, że moim obowiązkiem jest poinformować cię o tym - odezwał się po chwili. - Definitywnie skończyłem z klubami. Wszystkie formalności mam już za sobą.

- Musi to być dla ciebie wielka ulga.

- Tak, to prawda. Historia z “Diabłem w Koronie” ostatecznie przeważała szalę. Żałuję tylko, że nie uczyniłem tego wcześniej.

- Słyszałam, że masz szansę na tekę ministra?

- Możliwość - przyznał. - Na razie jedynie się o tym napomyka, ale jest prawie pewne, że taka szansa rzeczywiście się pojawi.

- Życzę powodzenia!

- Dziękuję.

- Państwo Emery z niecierpliwością czekają, kiedy awansujesz.

Uśmiechnął się.

- Twoje wiadomości, jak się domyślam, pochodzą właśnie z tego źródła.

- Oni są bardzo lojalni.

Przytaknął.

- W tym zawodzie lojalność jest szczególnie potrzebna.

- Wszędzie jest konieczna.

- Uważałem, że powinienem powiedzieć ci o klubach, ponieważ ostatnio trochę o nich rozmawialiśmy. Twoja mama z pewnością by sobie tego życzyła.

Milczeliśmy przez chwilę.

Po chwili Benedykt się odezwał:

- Skoro już tak sobie rozmawiamy, nie wiesz przypadkiem, czy Gerson nie kręcił się gdzieś w pobliżu?

W myśli przemknęła mi scena, kiedy zobaczyłam go wychodzącego z Celeste z gospody “Pod Wieszającym Sędzią”.

- W pobliżu domu... nie, nie wydaje mi się.

- To dobrze. Nie udało mi się dowiedzieć, skąd zdobył klucz do zamkniętego pokoju. A powinienem wiedzieć. Ogromnie mnie to intryguje. Obawiam się jednak, że nigdy nie zdołam wyjaśnić tej zagadki. Taki incydent wstrząsa człowiekiem. Zawsze byłem bardzo ostrożny.

- Tak - przyznałam. - To rzeczywiście zagadkowa historia.

Podniosłam się z miejsca. Wyczerpaliśmy temat, a nasze wzajemne stosunki w dalszym ciągu cechowało pewne skrępowanie.

- Cieszę się, że pozbyłeś się klubów - powiedziałam. - Jestem pewna, że wyjdzie ci to na dobre.

Skinął głową.

- Przypuszczałem, że zainteresuje cię ta sprawa.

Skierowałam się do drzwi. Benedykt jeszcze mnie zatrzymał:

- Nie powinnaś tak ciągle przesiadywać na wsi. Powinnaś wyjechać do Londynu, bawić się, bywać. Przecież w tym celu zadebiutowałaś w towarzystwie.

- Wolę mieszkać na wsi.

- Nie będziesz tego potem żałować?

Wzruszyłam ramionami.

- Czy coś się stało? - zapytał.

- Stało się... - powtórzyłam głupekowato.

- Jesteś ostatnio taka milcząca, zamknięta w sobie, pogrążona w myślach, czy mam rację?

- Wszystko jest w porządku.

- Jeśli mógłbym ci być w czymś pomocny...

Potrząsnęłam głową.

- Naprawdę uważam, że popełniasz błąd, odcinając się od towarzystwa, tak jak obecnie. Co się stało z Morwenną Cartwright? Przecież ona miała wprowadzić cię w świat?

- W swoim czasie to zrobiła.
- Ale życie nie czeka, zdajesz sobie z tego sprawę?
- Zatem trzeba mnie będzie znowu lansować.
- Zamykanie się na wsi nie jest dla ciebie wskazane.
- Zapewniam cię, że wszystko jest w porządku.
- Jeżeli tak sobie życzysz...
- Tak.
- Jesteś pewna, że nic ci nie dolega? Że w niczym nie mogę ci pomóc?
- Dziękuję, w niczym.

Przyglądał mi się z uwagą. Bardzo się starał, by nasze wzajemne stosunki dobrze się układały. Wmawiał w siebie, że powinien postępować w ten sposób przez pamięć na moją matkę. Sprzedał teraz kluby, ponieważ ona sobie kiedyś tego życzyła. Nie. To nie z tego powodu! Chciał zostać ministrem, a na tym stanowisku musiał być poza podejrzeniem, iż prowadzi nieuczciwe interesy. Nie powinnam zapominać, że chowa swoje poufne dokumenty w pokoju, który zamienił w świątynię poświęconą jej pamięci.

Przy całym swym sentymentalizmie Benedykt zawsze był człowiekiem praktycznym i trzeźwo patrzącym na życie.

Wyszłam i zamknęłam drzwi.

Benedykt wyjechał do Londynu, ale tym razem bez Celeste, która postanowiła zostać w domu.

Ostatnio była jakaś dziwnie cicha, a mnie wciąż intrygowała myśl, czy nadal widuje się z Oliverem Gersonem. Odczuwałam wyrzuty sumienia: kiedy bowiem Benedykt zapytał mnie, czy przypadkiem nie widziałam w pobliżu domu Olivera Gersona, skłamałam świadomie. Czyż mogłam postąpić inaczej? Byłoby to równoznaczne z poddaniem mu myśli, że Olivera i Celeste

łączy jakiś intymny związek.

Był późny ranek, gdy w moim pokoju zjawiała się pani Emery. Po jej minie od razu poznałam, że przychodzi z niedobłą nowiną.

- Co się stało?! - wykrzyknęłam.

- Chodzi o panią Lansdon.

- Co z nią? - zapytałam z lękiem.

- Nie ma jej w pokoju. Pościel w łóżku jest nietknięta. Dowodzi to, że nie spędziła tej nocy u siebie.

- Może pojechała do Londynu?

Pani Emery potrząsnęła głową przecząco.

- Wszystkie jej rzeczy są na miejscu.

- Twierdzi pani, że wyszła i nic ze sobą nie wzięła?

- Na to wygląda, panno Rebeko.

- Zajrzę do jej pokoju.

Udałam się do ich sypialni. W pokoju panował porządek. Służąca przygotowała łóżko do snu, jak zwykle każdego wieczora. Nie naruszona pościel świadczyła jednak, że nikt w nim ostatniej nocy nie spał.

Skonsternowana odwróciłam się do pani Emery.

- Widocznie musiała wyjść wczorajszej nocy z domu - zastanawiała się głośno ochmistrzyni.

- Wyjść? Dokąd?

- Nie mam pojęcia - odparła. - Mogła pójść dokądkolwiek.

- Co wzięła ze sobą?

- Nic, jak zdążyłam się zorientować. Należy spytać Yvette. Od lat jest jej osobistą

pokojówką, powinna więc wiedzieć, co się dzieje.

- Przyslijcie ją tu do mnie, natychmiast.

Nadeszła Yvette.

- Kiedy ostatni raz widziałaś panią Lansdon? - zapytałam.

- Wczoraj wieczorem, panienko.

- Czy masz jakieś wyobrażenie, gdzie twoja pani mogłaby się w tej chwili znajdować?

Yvette zrobiła bezradną minę.

- Pani zazwyczaj wzywa mnie, kiedy chce, aby ją uczesać... czekam, dopóki na mnie nie zadzwoni. Dziś rano... nie zadzwoniła. Sądziłam, że mnie nie potrzebuje.

- Czy wczoraj czuła się dobrze?

- Była może nieco bardziej milcząca. Ale przecież często taka bywa.

- Może wspominała, że ma się z kimś spotkać?

- Nie, panienko. Nic takiego nie mówiła.

- Czy to ty przynosisz jej pierwsze śniadanie? Herbatę, czekoladę, kawę?

- Jeżeli mi poleci, to tak. Jeżeli nie, to wychodzę. Ona lubi niekiedy pospać sobie dłużej.

- Przejrzyj jej ubrania, Yvette, i powiedz mi, jeśli czegoś brakuje.

Podeszła do komody i szafy. Otworzyła szuflady.

- Nie, niczego. Wszystko jest. Z wyjątkiem szarej aksamitnej sukni, którą wieczorem miała na sobie.

- A więc tylko tego brakuje?

- Tak, panienko, a także szarych pantofli, które do niej nosi.

- A jej płaszcz?

- Pani do tej sukni nosi również stosowny płaszcz. Ten też tu jest. Część swoich rzeczy pani oddała w ubiegłym tygodniu ludziom ze wsi. Miała taki zwyczaj. Niczego innego poza tym nie

brakuje.

- A torebka?

- Pani kupiła sobie ostatnio piękną torebkę z krokodyłowej skóry. Też jest tutaj.

- Jak z tego wynika, wyszła z domu tylko w sukni, którą miała na sobie.

- Może wyszła na spacer.

- Wieczorem? Czy ona lubiła przechadzać się wieczorami?

- Non, non, non - zaprzeczyła Yvette z całą stanowczością.

Odesłałam Yvette, a po jej wyjściu zwróciłam się do pani Emery:

- To bardzo zagadkowa sprawa. Ciekawe, gdzie ona może się podziewać?

Pani Emery potrząsnęła smętnie głową.

- Co tu teraz począć? - zastanawiałam się.

- Może poszła na spacer, upadła i zraniła się... i nie może wrócić o własnych siłach. Tak, to najbardziej prawdopodobne.

- Trzeba polecić panu Emery'emu, aby zebrał ludzi. Niech przystąpią do poszukiwań. Nie mogła przecież zbytnio oddalić się od domu. Yvette mówi wprawdzie, że nie miała zwyczaju spacerować wieczorem, ale nigdy nic nie wiadomo. Może akurat ogarnęła ją taka chęć. Musimy bezzwłocznie zacząć ją szukać.

Odnalazłyśmy pana Emery'ego, który natychmiast przystąpił do działania. Pomagał mu Tom Marner. Okazał się niezwykle sprawny. Poszukiwania w sąsiedztwie domu nie przyniosły jednak żadnych rezultatów. Postanowiono więc zbadać dalsze tereny.

Poranek mijał, a wciąż nie było śladu Celeste. Nie można już było zwlekać dłużej; trzeba było powiadomić o tym fakcie Benedykta. Wysłano depezę do Londynu informującą go o zaginięciu żony.

Siedziałam w pokoju pani Emery. Była bardzo zdenerwowana.

- Służba będzie plotkować - narzekała. - To się natychmiast rozniesie. Och, Boże, gdzie ona może być? Oby tylko wróciła. Emery ogromnie się martwi. Dla prasy taka informacja jest wielką gratką. Dziennikarze rzucą się na to zachłannie, przewiduje. Szanse pana Lansdona na ministerialną tekę mogą się z tego powodu znacznie zmniejszyć. Tak przedstawia się sytuacja, panno Rebeko. Bardzo mi się to wszystko nie podoba.
- Nie dziwię się. Mnie także.
- Ona po prostu zniknęła. Nic ze sobą, jak widać, nie wzięła. Wyszła z domu tak, jak stała, w jednej sukni. Byłoby lepiej, gdyby zabrała ze sobą jakieś rzeczy.
- Dlaczego?
- Wówczas byłoby wiadomo, że odeszła z własnej woli. A jak się sprawa przedstawia w tej chwili?
- Pani Emery, co pani ma na myśli?
- Myślę, że nie wyjdzie to naszemu panu na dobre. Gdyby go zostawiła dla kogoś innego... no cóż, nie byłoby to przyjemne, ale w takim wypadku on nie ponosi żadnej winy... chociaż gazety na pewno będą chciały dorobić jakąś legendę. Widzi panienka, zniknięcie pani Lansdon nie mogło nastąpić w mniej odpowiednim momencie.
- Ostatnim razem...
- Tak, wiem wszystko. Wtedy ubiegał się o mandat poselski z okręgu Manorleigh. Jego żona zmarła w tajemniczych okolicznościach. Podejrzewano, że on spowodował jej śmierć. W rezultacie stracił szanse na fotel w parlamencie.
- Pamiętam, że mi się coś obilo o uszy...
- Jeżeli wokół tego zaginięcia wybuchnie jakiś skandal, prasa znowu wywlecze zamierzchłe sprawy na światło dzienne. Bezlitośnie zaczną grzebać w przeszłości.
- Pani Emery, ona musi być gdzieś niedaleko. Nie uciekłyby od niego... w samej tylko

sukni.

- Nie mogę tego wszystkiego zrozumieć.

- Ani ja.

- Mam przeczucie, że nie opuściła domu z własnej woli - kontynuowała pani Emery.

- W takim razie jak?

- Gdyby odeszła nocą i zabrała ze sobą walizkę z rzeczami, wtedy miałoby to jakiś sens.

Ale zniknęła bez niczego. Szczegółowo przeszukano ogród i najbliższą okolicę, a mimo to nie natrafiono na żaden ślad.

- Nie wiem, jak to sobie wytłumaczyć - zadumałam się.

- Jestem przerażona - wyznała pani Emery.

Miałam takie samo uczucie.

Przyjechał Benedykt. Właściwie dopiero po jego przyjeździe uzmysłowiliśmy sobie całą powagę tego wydarzenia. Przepytał każdego z nas, ale nie dowiedział się niczego ponad to, o czym już wszyscy wiedzieli. Nie było wątpliwości, że Celeste opuściła dom ubiegłego wieczoru, tak jak stała. Poszukiwania przeniosły się na dalsze okolice, ale i one nie przyniosły żadnego rezultatu.

Wiedzieliśmy już, że lada chwila wiadomość o zaginięciu Celeste pojawi się w prasie.

Jakoż nadeszła, i to szybciej, niż się spodziewaliśmy.

“Zaginięcie żony

znanego polityka

Prześladowany złowrogim fatum Benedykt Lansdon ponownie stał się ośrodkiem tajemniczej afery. Jego żona, Celeste Lansdon, zniknęła z rezydencji w Manorleigh, który jest jego okręgiem wyborczym. Ponieważ, jak się okazuje, pani domu opuściła dom, nie zabierając ze sobą żadnych osobistych drobiazgów, powstaje alarmujące pytanie: co jej się mogło przydarzyć. Należy przypomnieć, że pierwsza żona Benedykta Lansdona zmarła w trakcie jego pierwszej i zakończonej

niewypowiedzianym powodzeniem w walce o mandat poselski z tego samego okręgu Manorleigh. Krążyły wówczas pogłoski, iż pan Lansdon mógł być zainteresowany jej śmiercią. Jednakże, jak się później okazało, podejrzania były całkowicie bezpodstawne. Pierwsza pani Lansdon cierpiała na nieuleczalną chorobę, która doprowadziła ją do samobójstwa. Pechowy pan Lansdon przebywa obecnie w swej podlondyńskiej rezydencji, gdzie prowadzi się szeroko zakrojone poszukiwania. Jest nadzieja, że tajemnica zniknięcia pani Lansdon wkrótce się wyjaśni.”

W całym domu zapanowała ponura cisza. Służba porozumiewała się szeptem.

Wyobrażałam sobie ich rozmowy. Widziałam podekscytowanie na twarzach, przytłumione oczywiście troską i niepokojem, którego jednakże nie byli w stanie ukryć. Oczekiwali wstrząsających wydarzeń. Ciekawa byłam, ilu z nich zdawało sobie sprawę z napiętych stosunków, jakie panowały między panem domu a jego małżonką.

Intrygowało mnie również, co się ujawni, kiedy prasa zacznie indagować służbę, zawsze będącą najbardziej baczny obserwatores naszego życia. Co policji uda się od nich wyciągnąć?

Wyobrażałam sobie pytania... i odpowiedzi.

Tom Marner okazał się istnym dobrodziejstwem w tym trudnym czasie. Zdjął nam z głowy troskę o dzieci. Zabierał je na wycieczki i często przesiadywał z nimi w dziecięcym pokoju.

Słyszałam ich śmiech, brzmiący dziwnie nedorzecznie w smętnym i ogarniętym lękiem domu.

Czuliśmy się wszyscy bezradni. Co dalej robić? Co się stało z Celeste? Byleby tylko wróciła i powiedziała, że wszystko w porządku. Obyśmy tylko mogli poznać prawdę! Sytuacja stawała się nie do wytrzymania. Celeste najzwyczajniej zginęła bez śladu.

Minęło kilka dni. Okolica trzęsła się od plotek i domysłów. Wezwano policję. Długo rozmawiali z Benedyktem. Zadali kilka pytań domownikom, nie wyłączając mnie. Czy widziałam ją tego wieczoru, kiedy zniknęła? Czy uderzyło mnie coś szczególnego w jej zachowaniu?

- Nie - odparłam. - Nie zauważyłam nic szczególnego.

- Czy pani Lansdon nie wydawała się przygnębiona, zalękniona? Czy może wspominała o jakichś groźbach?

- Z całą pewnością o niczym takim nie mówiła.

Pytania policji przeraziły mnie. Oni wyraźnie sugerowali zbrodnię.

- Czy знаła pani jakiś powód, dla którego mogła tak nagle opuścić dom?

Nie znałam. Nie przepadała specjalnie za spacerami. Jak zwykle, powiedziałyśmy sobie tego wieczora “dobranoc” i udałyśmy się każda do swego pokoju.

- Która to mogła być godzina?

- Około dziewiątej.

- Czy ktoś ją potem jeszcze widział?

- Nie przypuszczam.

Policja wzięła w krzyżowy ogień pytań Yvette. Ten wieczór niczym nie różnił się od innych

- oświadczyła pokojówka.

- Czy była jakaś przyczyna, dla której pani Lansdon mogła opuścić dom swego męża?

Nic o tym nie wiedziała.

Domyślałam się, że policja nie wyklucza możliwości morderstwa.

Do Manorleigh przyjechał Jean Pascal. Gdyby nie ta straszliwa tragedia, która pomniejszyła rozmiary wszystkich innych problemów, spotkanie z nim byłoby dla mnie niezwykle przykrym przeżyciem.

Wyglądał na oszołomionego i zgnębionego. Rozmawiał długo z Benedyktem w gabinecie, a kiedy z niego wyszedł, był blady i ogromnie poruszony. Powiedział nam, że jego rodzice bardzo się martwią zniknięciem Celeste. Ich stan zdrowia nie pozwala im, niestety, na podjęcie trudów podróży i on zaraz do nich wraca. Będzie jednakże pozostawał z nami w stałym kontakcie.

Przed wyjazdem zamienił ze mną kilka słów.

- Nie myśl o mnie źle - zwrócił się do mnie prosząco. - Żałuję swego postępku. Jest mi naprawdę przykro, Rebeko. Źle cię osądziłem. Wielokrotnie chciałem do was przyjechać, ale nie byłem pewien, jak mnie powitasz.

- Obawiam się, że nie spotkałbyś się z miłym przyjęciem.

- Tak się też domyślałem. To straszna historia. Nie widywaliśmy się ostatnio zbyt często, ale ona była... jest... moją siostrą.

- Skoro tylko czegoś się dowiemy, natychmiast damy ci znać.

Zmarszczył brwi.

- Czy wszystko było w porządku między... nimi?

- Co masz na myśli?

- No cóż, zniknęła w dość tajemniczy sposób.

- Pana Lansdona nie było tutaj, kiedy to się stało - odparłam. - Był w Londynie. Wysłaliśmy po niego telegram.

- Rozumiem.

- Możesz być pewien - powtórzyłam raz jeszcze - że natychmiast damy ci znać, cokolwiek się wydarzy.

- Dziękuję.

Odetchnęłam z ulgą, kiedy odjechał.

Minął tydzień. W gazetach roiło się od spekulacji.

“Gdzie jest pani Lansdon”? - były w oczy nagłówki. Mogłam się domyślać, jakim echem zniknięcie Celeste odbiło się w całym kraju.

Babcia pisała w liście: “Bezpośrednie zetknięcie się z tą tragedią musi być dla Ciebie bardzo stresujące. Może udałoby Ci się wyrwać z Manorleigh na jakiś czas i przyjechać do nas do Kornwalii”.

Wstrząsnęłam się na samą myśl o tym. Z Kornwalią łączyło się zbyt wiele wspomnień. Ciągłe coś by mi przypominało Pedreka... no i nastąpiłoby nieuchronne spotkanie z jego dziadkami. Byłam zadowolona, że nie mieszkam w Londynie, ponieważ mogłam uniknąć kontaktu z Morwenną i Justinem Cartwrightami. Byłam przekonana, że winią mnie za zerwanie naszych zaręczyn. Przecież dlatego właśnie Pedrek wyjechał na drugi koniec świata. Nie mogłam znieść myśli, że spotkam się z nią lub nim oko w oko. Nigdy nie zdobyłabym się na to, aby wyjaśnić im prawdziwy powód naszego zerwania. A w Cador gorycz wspomnień byłaby jeszcze bardziej dojmująca.

Poza tym musiałam być tu, na miejscu. Z jakiejś nieuświadomionej przyczyny wydawało mi się, że mogę być potrzebna Benedyktowi.

Nie potrafiłam sobie wytłumaczyć, skąd się u mnie wzięła tego rodzaju potrzeba. Zawsze traktowałam go jak wroga. Rozumiałam sens zawołanych domysłów i aluzji, jakie krążyły wokół. Był bezwzględny i ambitny człowiekiem, a jego żona zniknęła bez wieści. Dlaczego? Czy miał jakieś plany, w których nie było dla niej miejsca?

Jeden z dziennikarzy przycisnął do muru Yvette, oplątując ją siecią misternych pytań. W ich wyniku odkrył, że małżeństwo nie było udane.

Gazety donosiły: "Nigdy nie miał czasu dla żony, oświadczyła jej osobista pokojówka. Pani Lansdon bardzo się tym gryzła. Często płakała. Były chwile, kiedy wydawała się bliska desperacji..."

Yvette ogarnęło przerażenie, kiedy przeczytała te dziennikarskie rewelacje. Domyśliłam się, że na skutek niezbyt poprawnej angielszczyzny niechętnie powiedziała więcej, niż było jej intencją.

- Ja tego nie powiedziałam... nie powiedziałam - płakała. - On mnie naciskał, doprowadził do tego, że powiedziałam coś, czego wcale nie chciałam powiedzieć...

Biedna Yvette. Nie zamierzała rzucać podejrzania na męża swojej pani. Ale oczywiście

dziennikarscy szakale rzucili się na tę kość. Zaroilo się od perfidnych spekulacji. Jeden z brukowców zamieścił artykuł o Benedykcie.

“Poseł z okręgu Manorleigh nie ma szczęścia w miłości, a ściślej biorąc, do małżeństwa.

Jego pierwsza żona, Lizzie, po której odziedziczył miliony w postaci kopalni złota, popełniła samobójstwo. Jego druga żona zmarła przy porodzie, a obecnie trzecia małżonka, Celeste, zniknęła bez wieści. Ale jest nadzieja, że w tym wypadku sprawa skończy się pomyślnie. Policja kontynuuje poszukiwania i wyraża przekonanie, że wkrótce rozwikła zagadkę”.

Minął tydzień, a o Celeste wciąż nie było żadnych wiadomości. Policja szukała jej bezustannie. Emery przyniósł wiadomość, że przekopują Three Acre Field w pobliżu padoka. Podobno ziemia w tym miejscu wygląda, jakby ją świeżo wzruszono.

Były to okropne chwile. Bałam się, że odkryją tam zwłoki Celeste. Nic nie odkryto i przez następne kilka dni panował spokój.

Doniesienia o zniknięciu Celeste zostały wyparte przez wydarzenia polityczne. Pierwsze łamy gazet zajęły teraz informacje o przetasowaniach w rządzie, które uznano za priorytetowe. Nie sądzę, by kogokolwiek w tej sytuacji zaskoczył fakt, że Benedykt nie zostanie członkiem gabinetu. Wiadomość o tym przyniosła poranna prasa.

“Polityk, którego żona zniknęła w tajemniczych okolicznościach, nie otrzyma ministerialnej teki. Poseł Benedykt Lansdon, murowany kandydat na jedno z wysokich stanowisk w rządzie, nie uzyskał wymaganego poparcia. Policja daje do zrozumienia, że wkrótce rozwikła zagadkę zaginięcia jego żony”.

Z jakim subtelnym okrucieństwem łączyli jego polityczną klęskę z zaginięciem Celeste.

Wszyscy wiedzieliśmy, że tragiczne wydarzenie zniweczyło jego nadzieje na dalszą polityczną karierę, ale podkreślanie tego faktu nie wydawało się stosowne. Było to jakby wydanie werdyktu przez sąd, iż Benedykt zabił swoją żonę, co prasa niedwuznacznie sugerowała.

Benedykt zgarnął gazety i zamknął się w swoim gabinecie. Zrobiło mi się smutno na myśl, że będzie czytał te okrutne słowa, i kierowana odruchem współczucia postanowiłam pójść do niego. Zapukałam.

- Proszę wejść - usłyszałam.

Weszłam. Siedział przy biurku wpatrzony w rozpostarte przed nim płachty gazet.

- Przykro mi - powiedziałam.

Wiedział, co mam na myśli, ponieważ odparł:

- To było do przewidzenia.

Zbliżyłam się i przycupnęłam na krześle naprzeciwko niego.

- Taki stan nie może trwać w nieskończoność - wyraziłam przekonanie. - Na pewno wkrótce się czegoś dowiemy.

Wzruszył ramionami.

- Benedykcie... czy nie masz nic przeciwko temu, że będę się tak do ciebie zwracać? Po imieniu. Nie mogę cię przecież nazywać panem Lansdonem...

Uśmiechnął się kwaśno.

- Robienie z tego problemu w obecnej sytuacji byłoby co najmniej dziwne. Nie przejdzie ci przez usta słowo "ojciec" lub "ojczym"... zawsze to rozumiałem. Nazywaj mnie Benedyktem.

Dlaczego nie? Dzięki temu będziemy mogli się zaprzyjaźnić. Możliwe, że to była jedna z przyczyn, dla których nie potrafiłaś mnie zaakceptować. Nie wiedziałaś, jak mnie nazywać.

Roześmiał się, ale w tym śmiechu nie było wesołości. Wiedziałam, że jest ogromnie zdenerwowany i przybity.

- Co teraz będzie? - zapytałam.

- Nie jestem w stanie odpowiedzieć ci na to pytanie. Gdzie ona może być, Rebeko? Czy masz jakiś pomysł?

- Gdzie mogła pójść... tak jak stała? Przecież niczego nie zabrała ze sobą... bez torebki...

nie ma pieniędzy.

- Wygląda na to, że coś się jej przydarzyło. Policja jest zdania, że ona nie żyje, Rebeko.

- Skąd taka pewność?

- Słyszałaś przecież. Przekopali Three Acre Field. Po co to robili? Spodziewali się, że może znajdą jej ciało.

- Och, nie!

- Jestem pewien, że podejrzewają morderstwo.

W podobnej sytuacji znajdował się już niegdyś, przed laty, w związku z aferą wokół śmierci swej pierwszej żony, która zmarła w wyniku przedawkowania laudanum. Był więc szczególnie uwrażliwiony na wszelkie aluzje i dwuznaczniki, a z drugiej strony wystawiony na zdwojone podejrzenia.

- Ale kto... - zaczęłam.

- W takiej sytuacji podejrzenie zawsze pada przede wszystkim na męża.

- W jaki sposób mógłbyś tego dokonać? Przecież ciebie tu nie było. W tym czasie przebywałeś w Londynie.

- A cóż by to była dla mnie za trudność przyjechać tutaj po kryjomu, wśliznąć się cichcem do naszej sypialni, wziąć poduszkę, przycisnąć do jej twarzy, a następnie pozbyć się ciała.

Patrzyłam na niego osłupiała z przerażenia.

- Nie zrobiłem tego, Rebeko. Nie miałem najmniejszego pojęcia, że zniknęła. O jej zaginięciu dowiedziałem się dopiero z waszej depechy. Czy mi wierzysz?

- Oczywiście, że ci wierzę.

- Wydaje mi się, że mówisz prawdę.

- Nie rozumiem, jak mogłeś myśleć choć przez chwilę, że mam co do tego wątpliwości!

- Dziękuję. To bardzo smutna sprawa. Czym to się skończy?
- Może ona wróci?
- Myślisz, że tak będzie?
- Tak, myślę, że tak. Ona wróci.
- Ale... dlaczego? Nie ma w tym wszystkim żadnego sensu ani powodu.
- Tak to zawsze wygląda na początku, dopóki niczego nie wiemy. Dopiero potem się okazuje, że jednak jakaś przyczyna była.
- Ciągle o tym myślę, wciąż i wciąż bez końca, stale od nowa. Rozważam możliwe rozwiązania, ale nie znajduję żadnego, dostatecznie przekonującego, by uwierzyć. Och, to jest bardzo przykry temat, niemniej ja za to ponoszę winę, Rebeko. Jestem winien w takim samym stopniu, jakbym rzeczywiście udusił ją poduszką.
- Przestań mówić w ten sposób. To nieprawda!
- Wiesz, że to prawda. Wiesz, że ją unieszczęśliwiłem, tak czy nie?
- Tak.
- Czy ona się tobie zwierzała?
- Niekiedy.
- Widzisz, cokolwiek zrobiła, ja ponoszę za to odpowiedzialność. Powinienem się był bardziej starać.
- Trudno się zmusić do miłości.
- Nigdy nie powinienem był brać ją za żonę, ale łudziłem się, że nasze małżeństwo nie będzie w końcu takie złe. Głupotą było z mojej strony próbować zastąpić Angelet inną kobietą.
- Żadnej by się to nie udało. Mogłeś jednak zaznać przy Celeste trochę szczęścia. Kochała cię bezgranicznie.
- Była zbyt wymagająca. Może gdyby nie żądała aż tyle, nasze pożycie byłoby lepsze. Ale

to nie jest żadne wytłumaczenie. Już przedtem przeżyłem coś podobnego, Rebeko. Gdyby się okazało, że zabiłem ją swoją obojętnością, swoją miłością do Angelet... niełatwo przyszłoby mi dalej żyć z tą świadomością. Dlaczego los jest taki okrutny? Wydawało mi się, że osiągnąłem w życiu wszystko, do czego usilnie dążyłem. Obydwoje chcieliśmy dziecka - Angelet bardzo go pragnęła - i w jednej chwili wszystko zostało mi odebrane. Dlaczego? I to dla... Belindy. Ale dlaczego ja ci to mówię?

- Ponieważ jesteśmy teraz przyjaciółmi, ponieważ mogę cię już nazywać Benedyktem.

Słaby uśmiech przemknął po jego twarzy.

- Powiedz mi, co się z tobą dzieje, Rebeko? - powiedział po chwili. - Widzę, że coś cię dręczy. Zauważyłem to już... przed tym wszystkim.

- Zauważyłeś?

- Dawno chciałem cię o to zapytać. Ale oboje zachowywaliśmy się wobec siebie tak powściągliwie, prawda? Nie było między nami nawet cienia sympatii, nie mówiąc o przyjaźni. Byliśmy jak dwaj wrogowie gotowi skoczyć sobie do gardeł z lada powodu.

- Tak - przyznałam. - Tak rzeczywiście było.

- Pozwoliłem sobie otworzyć przed tobą serce - powiedział. - A teraz kolej na ciebie.

Musisz mi wyznać, co cię trapi.

- Jestem bardzo nieszczęśliwa.

- Jakaś sercowa sprawa, czy tak?

- Tak.

- Moje biedne dziecko, jak ci mogę pomóc?

- Nikt nie może mi pomóc.

- Możesz mi wyjaśnić, o co chodzi?

Zawahałam się.

- Jeżeli mi nie powiesz - kontynuował - będę uważał, że nasza zażyłość, którą tak sobie cenię, nie jest prawdziwą przyjaźnią.

- Nie sędzę, byś aprobował mój wybór. Chciałeś, bym zrobiła świetną partię, ponieważ jestem twoją pasierbicą.

- Ja...

- Przecież sfinansowałeś mój kosztowny towarzyski sezon w Londynie.

- A więc wtedy to się stało, tak? Jakiś obłudny, młody człowiek?

- To nie było tak. Sądziłam, że będziesz się przeciwstawiał memu małżeństwu. Myślałam, że dlatego zainwestowałeś we mnie tyle pieniędzy, bo chciałeś, abym wyszła za jakiegoś księcia lub innego utytułowanego kawalera.

- Jedyne, czego pragnąłem dla ciebie, to twego szczęścia. Twojej matce na tym by głównie zależało.

- Mieliśmy się pobrać.

- Ty i...?

- Pedrek... Pedrek Cartwright.

- Ach, ten sympatyczny młody człowiek. Zawsze mnie interesował, ponieważ urodził się w moim domu. Pamiętam to dobrze. Co się stało?

Milczałam przez dłuższą chwilę. Nie bardzo miałam ochotę się z tego zwierzać.

- Powiedz mi - nalegał. - Trudno mi uwierzyć, żeby zachował się nieodpowiednio. Co to było, Rebeko?

- Trudno jest... trudno jest mówić o tym.

- A jednak mi opowiedz.

Zaczęłam opowiadać. Opisałam okropną scenę, kiedy Belinda przybiegła do nas ze straszliwą nowiną. Benedykt słuchał oniemiały ze zdziwienia.

Kiedy skończyłam, odezwał się:

- Nie wierzę w to.
- Wszystkim nam trudno było w to uwierzyć.
- I to dziecko... Belinda... ona wam to tak przedstawiła?
- Była wyczerpana, bez tchu. Gdybyś był przy tym, gdybyś widział...
- Czy spotkałaś się jeszcze po tym fakcie z Pedrekiem?
- Przyjechał następnego dnia rano, jakby nic się nie stało...
- I co powiedział?
- Zaprzeczył wszystkiemu.
- A ty uwierzyłaś Belindzie, a nie jemu?
- Gdybyś zobaczył ją płaczącą i udręczoną, w podartej sukience...
- I ona powiedziała, że to się stało nad Jeziorem Świętego Branoka? To dosyć znamienne
szczegóły.
- Tak się składa, że miejsce jest dość odludne.

Spoglądał gdzieś w dal przed siebie.

- Dobrze to pamiętam - chwilę trwał w zamyśleniu, głęboko się nad czymś zastanawiając,
po czym zapytał: - A nie przyszło ci na myśl, że Belinda mogła skłamać?

- Wspomniałam już, jak wyglądała. Była zupełnie nieprzytomna. Wszystko przemawiało za
tym, że ją molestowano.

- Dosyć dziwna historia. Na długo przed twoim urodzeniem, kiedy twoja matka była jeszcze
dzieckiem, a ja niewiele starszy od niej, miało miejsce podobne wydarzenie. Też nad Jeziorem
Świętego Branoka. Dlatego wydaje mi się to trochę podejrzane. Pewien morderca, skazany na
śmierć za gwałt i zamordowanie małej dziewczynki, uciekł z więzienia. Nigdy nikomu o tym nie
wspomniałem. Ale mówię teraz tobie, Rebeko, ponieważ sądzę, że ma to pewien związek z obecną

sprawą. A więc, kiedy twoja matka była małą dziewczynką, znalazła się oko w oko z tym mordercą właśnie nad Jeziorem Świętego Branoka.

Odebrało mi oddech z wrażenia.

Benedykt mówił dalej:

- Na szczęście zjawiłem się na czas. Rzuciłem się na niego. Mężczyzna upadł i uderzył głową o głaz. Poniósł śmierć na miejscu. Byliśmy młodzi, przerażeni i nie wiedzieliśmy, co robić. Byliśmy wstrząśnięci, oszołomieni. To spadło na nas tak niespodziewanie. Zaciągnęliśmy ciało nad jezioro i zepchnęliśmy do wody. Wiem, że to brzmi niesamowicie... sensacyjnie. O takich wypadkach jak ten czyta się czasem w gazetach, ale one przydarzają się zawsze komuś innemu, nigdy nam. Zachowaliśmy go w tajemnicy, twoja matka i ja... To długa historia. Być może właśnie to wydarzenie tak nas scementowało. Z całą pewnością wywarło również wpływ na nasze dalsze życie. Ale też z tego powodu się rozstaliśmy. Czy potrafisz to zrozumieć? Ten wypadek, rozdzielając nas, związał jednocześnie twoją matkę i mnie nierozzerwalną nicią. Trzeba to przeżyć, aby zrozumieć. Ale wróćmy do obecnej sytuacji. Czy nie wydaje ci się dziwne, że podobna przygoda przytrafiła się Belindzie?

- Tak - odparłam. - Ale miejsce, gdzie jej się to przydarzyło, jest zupełnym pustkowiem. Z wyjątkiem jednej małej chatki w pobliżu nie ma żadnego domostwa. Tam łatwo o tego typu wypadek.

- A może jest to tylko wymysł dziecka obdarzonego niezwykłą wyobraźnią? Mogła od kogoś usłyszeć tę historię i odegrała sztukę na wzór tamtego scenariusza?

- Tylko że jej wygląd... jej sukienka... no i nie wiedziała o wypadku. A gdyby nawet tak było, nie rozumiałaby w pełni, na czym polegała jego groza.

Milczał przez chwilę, po czym się odezwał:

- Chciałbym ci dać jedną radę. Posłuchasz jej?

- Słucham uważnie.

- Pedrek jest w tej chwili w Australii, prawda? Twoja niewiara tak go dotknęła i uraziła, że nie było innej rady, jak zerwać zaręczyny. W rezultacie wyjechał z kraju. Czy jest tak, jak mówię?

- Tak - odparłam.

- Idź teraz do swego pokoju i napisz do niego list. Poproś go, aby wrócił. Powiedz mu, że czujesz się bez niego ogromnie nieszczęśliwa, że jest ci smutno i źle. A tak przecież jest, prawda?

- Tak, ale...

- Czy chcesz żałować tego do końca życia? Kochasz go, tak czy nie? Przecież wiem, że go kochasz. Wiem, że byliście ze sobą bardzo zżyci, że miłość między wami nie wybuchła nagle, ale rozwijała się stopniowo, z latami. Wasza miłość ma głębokie korzenie i ty go naprawdę kochasz. Wiem o tym. Będziecie doskonałym małżeństwem, jestem o tym przekonany. Kiedy trafia się szansa na udane życie, nie wolno nam wypuszczać jej z rąk. Nie możesz zaprzepaścić waszej miłości.

- Wiem dobrze, że już nigdy nie zaznam szczęścia, ale wiem także, że zawsze będzie stał przede mną obraz Belindy biegnącej bez tchu od strony jeziora... z tym straszliwym przerażeniem na twarzy, oraz przejmująca groza tej sceny.

- Napisz do niego. Wyznaj, że popełniłaś błąd. Nie lękaj się przyznać do tego, ponieważ mocno wierzę, że tak właśnie jest. Powiedz mu, że pragniesz, aby wrócił, że nie wątpisz w jego niewinność. I że bez niego nie wyobrażasz sobie przyszłości. Napisz do niego, napisz jeszcze dzisiaj.

- Może najpierw to przemyślę.

Podniósł się z fotela i podszedł do mnie. Wstałam również. Staliśmy teraz naprzeciwko siebie. Twarz miał poważną.

- Uwierz mi. Mam rację - perswadował. - Wiem, jakim darzysz go uczuciem. Nikt inny ci

go nie zastąpi. Staraj się go odzyskać, Rebeko. Niektórzy z nas popełniają niewybaczalne błędy, za które później pokutują całe życie. Napisz mu, jak bardzo go kochasz. Nie mów tylko, że będziesz go kochała niezależnie od tego, co zrobił. Napisz, że mu wierzysz bez zastrzeżeń, że mu ufasz. Powiedz, że jesteś głęboko przekonana o jego niewinności i wiesz, że nie popełnił przestępstwa, o które go posądzono. Błagaj, aby wrócił do kraju.

- Ale... ja nie jestem pewna...

- Gwarantuję ci, że będziesz miała tę pewność. Sądzę, że zdołam ci udowodnić, iż mam rację, ale przede wszystkim musisz wysłać do niego list, i to bez zwłoki. Już wiem, w jaki sposób mogę ci pomóc. Dlatego też radzę ci nie zwlekać. Tego właśnie życzyłaby sobie twoja matka. Pomyśl o niej. Jeżeli jest tam u góry i patrzy na ciebie, będzie bolała, że zmarnowałaś swoją życiową szansę. Ona bardzo pragnęła twego szczęścia. Tak cię kochała! Rebeko, musimy żyć bez niej. Przekonajmy się, czy potrafimy stać się dla siebie oparciem w codziennych samotnych zmaganiach. Już w tej chwili wydajesz mi się nieco weselsza.

- Bo sama myśl, że napiszę do Pedreka, wprowadziła mnie w lepszy nastrój.

- A więc idź - idź i pisz!

Nie znałam człowieka, który by potrafił przeprowadzać wszystko po swojej myśli tak jak Benedykt. Rozumiałam teraz, dlaczego właśnie on jeden, spośród wszystkich poszukiwaczy przygód, którzy pojechali do Australii w pogoni za złotem, znalazł ten drogocenny kruszec. Benedykt zawsze osiągał cel, jaki sobie postawił. Mógł być bezwzględny, ale tylko wówczas, gdy było to konieczne do osiągnięcia zamierzonego celu. Potrafił narzucać swoje zdanie innym w taki sposób, że przyjmowali je za własne.

Pomimo dramatu, jaki niczym czarna chmura zawisł nad naszym domem - zwłaszcza nad Benedyktem - zdobył się na to, aby zainteresować się moim problemem. Jemu zawdzięczałam, że po raz pierwszy od chwili, kiedy Belinda przybiegła do nas ze straszliwą wieścią znad Jeziora

Świętego Branoka, było mi na duszy lekko i radośnie.

Benedykt potrafił mnie przekonać. Pedrek był niewinny. Trzeba tylko wyjaśnić, dlaczego wplątano go w tę sprawę.

Usiadłam i zaczęłam pisać:

“Najdroższy Pedreku!

Kocham Cię. Taka jestem bez Ciebie nieszczęśliwa. Wszystko stało się tak nagle. Nie byłam w stanie wówczas, tak od razu, stawić czoła tej dramatycznej sytuacji, ale teraz nie mam już żadnych wątpliwości, że jesteś niewinny. Wierzę w to głęboko. Zawsze wierzyłam. Wiem, że wynikło jakieś wielkie nieporozumienie, które się za jakiś czas wyjaśni. Chcę, abyś wrócił. Proszę, uwierz mi. Wspólnie będziemy się zmagać z tym, co przyniesie nam los. Jestem głęboko przekonana, że nam się to uda, tak jak mam pewność, że nie popełniłeś czynu, o jaki Cię posądzono. Udowodnimy to w swoim czasie, ale na razie... ufam Ci i wierzę w twoją niewinność.

Poza tym mamy jeszcze siebie.

A więc proszę, wróć do mnie!

Twoja, zawsze Ci wierna,

Rebeka”

Być może ton listu był nieco histeryczny. Być może nie oddawał w pełni emocji, jakie przepełniały moją duszę. Ale był szczery. To zasługa Benedykta. To on sprawił, że uświadomiłam sobie stan swoich uczuć. To dzięki niemu odzyskałam wiarę w Pedreka.

List został wysłany.

Czy Pedrek wróci? Czy przebaczy mi, że w niego zwątpiłam?

Tak jak miałam pewność, że nie popełnił przestępstwa, o które go posądzono, tak wiedziałam, że wróci.

- Czy już napisałaś do Pedreka? - spytał mnie Benedykt.

- Tak.

- Napisałaś, że mu ufasz?

- Tak właśnie mu napisałam.

Uśmiechnął się.

- Wejdz, proszę, do mego gabinetu.

Weszłam z nim do pokoju. Zadzwoił po służącą, a kiedy się zjawiała, rozkazał:

- Idź i sprowadź do mnie panienkę Belinę.

- Dobrze, jaśnie panie. Powiem Leah, by ją tu przyprowadziła.

- Nie ma potrzeby fatygować Leah. Ona sama tu trafi.

Po chwili zjawiała się Belinda. Widać było, że jest lekko zaniepokojona. Spoglądała podejrzliwie i z buntowniczym wyrazem w oczach, który, jak zauważyłam, pojawiał się zawsze w obecności Benedykta.

- Zamknij drzwi i podejdz bliżej! - polecił Benedykt.

Z ociąganiem spełniła polecenie.

- A teraz - oświadczył - porozmawiamy trochę. Przypomnij sobie dzień, w którym znalazłaś się sama nad Jeziorem Świętego Branoka.

Zaczerwieniła się jak piwonia.

- Ja... ja nie powinnam tego wspominać. Mnie to szkodzi. Muszę o tym zapomnieć!

- Zapomnisz o tym później. W tej chwili musisz to sobie właśnie przypomnieć. Masz mi opowiedzieć dokładnie, co się stało, ale mów tylko prawdę.

- To jest dla mnie niewskazane, powinnam o tym zapomnieć.

- Ale ja chcę wiedzieć!

Bała się go. Widziałam to po jej minie. Zrobiło mi się jej żal. Wciąż pamiętał, że przyjscie na świat dziecka zabrało mu ukochaną żonę, i nie mógł jej tego wybaczyć.

- No, mów! - nalegał. - Porozmawiamy, dobrze? Skończmy z tą sprawą raz na zawsze.
- To był Pedrek - oświadczyła.
- Zaczniemy od początku. Dlaczego poszłaś nad jezioro? Przecież nie wolno ci było o tej porze wychodzić samej z domu, wiedziałaś o tym?
- Poszłam zanieść książkę Mary Kellaway.
- Czy widziałaś się z nią?
- Nie, jego pierwszego spotkałam.
- A co się stało z książką?
- Nie... nie wiem. On się wtedy na mnie rzucił.
- Czy Mary Kellaway opowiadała ci o tym, jak dawno temu, kiedy przeszukiwano dno jeziora, znaleziono w nim ciało zbrodniarza?
- Nie, to była...
- A zatem nie Mary Kellaway. Wobec tego ktoś inny?
- Mary Kellaway opowiadała nam o dzwonach na dnie jeziora oraz o ludzikach w kopalni, duchach i takie tam różne historie.
- Rozumiem. A więc kto opowiedział wam o zbrodniarzu?
- To była Madge.
- Madge?
- Służąca w Cador - wyjaśniłam. - Ona często przebywała z dziewczynkami.
- A więc Madge opowiedziała wam o mordercy, czy tak?
- Tak. - Uśmiechnęła się lekko, zapomniawszy na chwilę o strachu. - Zbrodniarz leżał w jeziorze bardzo długo.
- Czy opowiedziała ci, kogo on zamordował?
- Tak, małą dziewczynkę... no może nie taką znów małą. Miała jakieś osiem lub dziewięć

lat.

- Tyle co ty. Czy powiedziała ci, co zrobił tej dziewczynce?

Milczała.

- Powiedziała ci, prawda?

- Madge prosiła, aby o tym nie rozpowiadać. Powiedziała, że jesteśmy jeszcze za małe, żeby to zrozumieć.

- Ale ty jesteś bystra i rozumiałaś.

Pochlebilo jej to stwierdzenie.

- O tak - odparła z dumą. - Zrozumiałam.

- Nie lubisz Pedreka Cartwrighta, prawda?

- Jest mi obojętny.

- Żądam szczerzej odpowiedzi. Dlaczego wyszłaś z domu tego wieczoru, Belindo? Gdzie jest książka, którą miałaś zanieść swojej przyjaciółce? Co się z nią stało?

- Nie... nie wiem.

- Nie wiesz, ponieważ nie miałaś ze sobą żadnej książki. A Pedreka wcale nad jeziorem nie było, mam rację?

- Był, był! Zaatakował mnie... tak jak tamten morderca, ale ja zdołałam uciec.

- Dlaczego, Belindo?

- Nie chciałam, żeby ze mną to zrobiono, to chyba oczywiste.

- Mam na myśli, dlaczego tak postąpiłaś?

- Ja nic nie zrobiłam. Ja tylko uciekłam.

- Nie ma sensu już dłużej kłamać, Belindo. Poszłaś nad jezioro. Podarłaś na sobie sukienkę.

Pomazałaś sobie twarz ziemią. Nawet się podrapałaś. To była gra, prawda, a ty bardzo lubisz bawić się w teatr. To była dobra zabawa, a kiedy wszyscy się zamartwiali z powodu twojej nieobecności,

wróciłaś i wymyśliłaś straszliwe kłamstwo.

- Nie zrobiłam tego! Nie zrobiłam! Nienawidzę cię! Ty też mnie nienawidzisz. Zawsze mnie nienawidziłeś. Uważasz, że zabiłam swoją matkę. Ja nie chciałam. Ja jej nie zabiłam. Ja nie prosiłam się na świat!

Ogarnęło mnie współczucie. Postąpiłam krok w jej kierunku, ale Benedykt dał mi znak, bym się cofnęła.

- Nie winię cię, Belindo - odezwał się łagodnie. - Nigdy cię nie winiłem. Pragnę, abyśmy zostali parą dobrych przyjaciół. Postarajmy się nimi być, dobrze?

Przestała płakać i spojrzała na niego.

- Pomożemy sobie nawzajem. Ja pomogę tobie, a ty mnie. Twojej mamie byłoby bardzo smutno, gdyby wiedziała, że nie żyjemy w przyjaźni.

Milczała. Zbliżył się i przyklęknął przy niej.

- Wyznaj mi prawdę, Belindo - powiedział prosząco. - Szczerze, do końca. Nie spotka cię za to żadna kara. Domyślałam się, że miałaś ważny powód, by zainscenizować taki spektakl.

Kochasz Rebeke, prawda?

Przytaknęła energicznie.

- Pragniesz jej szczęścia, prawda?

Przytaknęła ponownie. Następnie wybuchnęła:

- Zrobiłam to dlatego... dlatego...

- Tak, tak?

- Zrobiłam to dla niej.

- Dla Rebeki?

Jeszcze raz skinęła twierdząco głową.

- Ona miała wyjść za niego za męża. Nie chciałam, aby go poślubiła. Chciałam, aby wyszła

za Olivera. Zamieszkalibyśmy wtedy wszyscy razem w jego domu. Miałaby znacznie przyjemniejsze życie...

- Rozumiem. A więc zrobiłaś to, ponieważ uważałaś, że lepiej od Rebeki wiesz, co jest dla niej dobre? Rozumiesz chyba, że nie dorostałaś jeszcze do tego, aby decydować za innych ludzi.

- Wiedziałałam, że byłoby wspaniale, gdybyśmy mieszkali razem. Co... co masz zamiar ze mną zrobić?

Podeszłam do niej i ujęłam ją za rękę.

- Nienawidzisz mnie? - zapytała.

Potrząsnęłam głową przecząco.

- On odjechał, prawda? Odjechał do Australii.

- Tak.

- A ty nie chciałaś, aby odjeżdżał? Nienawidzisz mnie!

- Nie. Teraz rozumiem. Ale to, co zrobiłaś, jest podłością. Nigdy więcej nie wolno ci dopuścić się czegoś podobnego.

- To była tylko gra.

- Gra, która zadała ból wielu ludziom.

- Ja to zrobiłam dla ciebie!

- Wiedziałaś jednak dobrze, że robisz źle, prawda?

Znowu zaczęła płakać.

- Ale - mówiłam dalej - na pewno czujesz się teraz lepiej, kiedy już wszystko nam powiedziałaś. Wyznanie grzechów zawsze przynosi ulgę. Masz już czyste sumienie.

- Przepraszam cię, Rebeko. Z Oliverem byłoby nam wszystkim tak wesoło. On by się z tobą ożenił. Wcale nas teraz nie odwiedza.

- Jest za to pan Marner. Lubisz go przecież, przyznaj się.

- Tylko że on wraca do Australii.

- Jeszcze nieprędko. - Zwróciłam się do Benedykta: - Myślę, że już mogę odprowadzić Belindę do Leah. Opowiem jej, co się stało.

Niespodziewanie zarzuciła mi ramiona na szyję.

- Ja to zrobiłam ze względu na ciebie - powtórzyła raz jeszcze.

- Tak jak i dla siebie. Wiem.

- I dla Lucie także. Ona go lubiła.

- Rozumiem. A teraz postarajmy się wszyscy zapomnieć o tym nieszczęsnym wydarzeniu.

Ale obiecaj mi, że nigdy więcej nie zrobisz czegoś podobnego.

Potrząsnęła głową i przytuliła się do mnie.

- Chodź - powiedziałam. - Idziemy!

Nie podniosła oczu na Benedykta, wychodząc. Zaprowadziłam ją do Leah.

- Mieliśmy trochę denerwującą rozmowę - wyjaśniłam. - Myślę, że Belinda czuje potrzebę zostania z tobą sama. Wszystko ci opowie. Ja to uczynię później. Na razie jednak postaraj się ją uspokoić.

Leah nie trzeba było wiele tłumaczyć. Czule objęła dziecko.

Wróciłam do gabinetu Benedykta. Czekał na mnie.

- Jak na to wpadłeś? - zapytałam.

- Belinda jest dziwnym dzieckiem. Jest moją córką, ale mimo to w niczym nie przypomina ani mnie, ani swojej matki. To jakiś odmieniec. Nieraz z okna gabinetu obserwowałem ją i Lucie w ogrodzie. Lucie jest znacznie sympatyczniejsza. Od Belindy coś mnie odpycha.

- Traktowałeś ją jak powietrze.

- Nie mogłem zapomnieć. Gdyby miała inny charakter.

- Postępowałeś bardzo niewłaściwie, utrwałałeś w niej przekonanie, że ponosi winę za

śmierć swej matki. Wiem, że nie należy to do odosobnionych przypadków, ale taki stosunek do dziecka jest niedopuszczalny.

- Wiem. Jestem winien. Lecz jest w niej coś, co mnie do niej zraza. Celeste opowiadała mi, że wzięła suknię matki i udawała ducha. Objawia dość dziwne skłonności.

- To przez ciebie. Ty wyrobiłeś w niej poczucie winy.

- Dużo popełniłem w życiu błędów. Ale ona przeprowadziła swój zamysł z taką premedytacją. Wykradła klucz z szuflady pani Emery, aby zdobyć ubranie... nie zrobiła tego spontanicznie, pod wpływem chwili, jak to zazwyczaj bywa u dzieci, którym głupie pomysły nagle strzelają do głowy. Zaplanowała go na zimno, obmyśliwszy dokładnie każdy szczegół. Wiedziała, że spowoduje wielkie zdenerwowanie w domu, i domyślałem się - chociaż to był wciąż tylko domysł - że i tym razem jest to jakaś kolejna intryga z jej strony. Ona jest przebiegła.

- Ma dostatecznie dużo sprytu, by nas wszystkich wyprowadzić w pole.

- Ty dałaś się zwieść niezwykle łatwo.

- Dlatego, że takie z niej jeszcze dziecko. Nigdy nie przypuszczałam, że zna historię o mordercy.

- Głupi ludzie opowiadają dzieciom takie bajdy. Najpierw służąca. Możesz sobie wyobrazić, jak ten wypadek wyglądał w jej wydaniu. Potem zaś mała dziewczynka, której ojca przywaliła ziemia w kopalni. Belinę fascynują katastrofy, legendy, dzwony na dnie jeziora. Rozpustna Madge deprawowała dziecinne umysły. One tego w pełni nie rozumiały, ale sam fakt wystarczył, aby rozpalic wyobraźnię dziecka, takiego jak Belinda, i zainspirować do nowej intrygi.

- Czuję zamęt w głowie.

- Rozumiesz teraz, dlaczego nalegałem, abyś napisała list do Pedreka? Nie chciałem, byś go wysłała potem, kiedy prawda będzie już znana. Chciałem, aby list doszedł do jego rąk wcześniej, by wiedział, że mu ufasz, że wierzysz w jego niewinność. Chciałem, byś go o tym zapewniła, byś

wyznała, jak mocno go kochasz.

- Nie wiem, co mam ci powiedzieć. Jestem szczęśliwa, chociaż...

- No cóż, cieszę się, że mroczny horyzont nad naszym domem przynajmniej trochę się rozjaśnił. To również poprawiło moje samopoczucie. Wierz mi, żal ścisnął mi serce, kiedy widziałem cię taką smutną.

Ujął moje ręce i uścisnął mocno.

- Nie wiem, co mam ci powiedzieć - powtórzyłam raz jeszcze.

- Wobec tego nie mów nic. Porozmawiamy, tyle mamy sobie przecież do powiedzenia...
później.

Diabeł w koronie

Uczucie radosnego podniecenia przeplatało się w mym sercu z poważną obawą. Nad tym domem duchów wisiała groźna chmura. Nic jej nie rozproszy, dopóki Celeste się nie odnajdzie. Ale jeden cud już się dokonał - a były nim moje nowe stosunki z ojczymem. Całe me jestestwo przepełniała teraz tkliwa wdzięczność za sposób, w jaki dopomógł do rozplątania zawikłanej sprawy.

On, ten człowiek, który zawsze zajmował marginesowe miejsce w moim życiu, wtargnął w nie nagle z całym impetem i jednym pociągnięciem usunął wszystkie przeszkody stojące na drodze do mego szczęścia. Siłę i pewność miał zawsze, ale tym razem wykazał jeszcze wyjątkową przenikliwość. Kiedy mu opowiedziałam, co się wydarzyło nad jeziorem, od razu wpadł na właściwy trop i po mistrzowsku doprowadził do rozwiązania zagadki.

Bardzo mi zależało na tym, bym teraz ja, z kolei, mogła coś dla niego uczynić.

Napisałam długą epistołę do Pedreka, relacjonując, w jaki sposób dowiedzieliśmy się, jak to rzeczywiście było. Przedtem jednak, idąc za radą Benedykta, upewniłam się, czy doszedł do niego list, w którym prosiłam go o powrót do kraju.

Następnie napisałam do swych dziadków, do Pencarronów oraz do Morwenny i Justina.

Powiedziałam im wszystko to, co napisałam Pedrekowi, zanim prawda wyszła na jaw. A więc, że mu ufam i mam nadzieję, iż mi przebaczy ten chwilowy brak wiary w niego. Napisałam, że czekam na list z Australii z nadzieją, iż usłyszę słowa zapewnienia, że jego uczucie dla mnie pozostało nie zmienione.

Wiedziałam, z jaką radością przyjmą tę wiadomość. Będziemy wreszcie mogli żyć jak dawniej, razem, w harmonii i zgodzie.

Prosiłam ich wszystkich, by nie czuli żalu do Belindy. Bądź co bądź jest jeszcze tylko dzieckiem i na dodatek półsierotą. Straciła matkę, nim ją poznała, i ta tragedia zostawiła ślad w jej psychice. Wszyscy musimy starać się być dla niej wyrozumiali.

“Rozmawiałam z Benedyktem - pisałam. - On pragnie dołożyć wszelkich starań, byśmy stworzyli zgodną i szczęśliwą rodzinę. Obecnie jednak jest straszliwie zgryziony i zaniepokojony tajemniczym zniknięciem żony. Ale jestem głęboko przekonana, że ta zagadka wkrótce się wyjaśni”.

Zastanawiałam się, jak długo będzie szedł mój list do Pedreka i kiedy mogę się spodziewać od niego odpowiedzi. List miał do przebycia długą drogę - na drugi koniec świata.

Tymczasem czekałam w napięciu. Nie wątpiłam, że Pedrek wróci do mnie. Wracając, dałby dowód, że nie wierzy, bym go posądzała o ten okropny czyn. Wyrządziłam mu ogromną krzywdę i z tego powodu bardzo musiał cierpieć. Czy tak gorzkie doświadczenie nie pozostawi w nim trwałego urazu?

Dziadkowie odpisali, że szalenie się cieszą z tej wiadomości. Oni wszystko doskonale rozumieli. Nie potępiali bez reszty Belindy, pomimo zamętu, jaki jej wybryk spowodował w naszym życiu.

“Nie możemy zapominać, że jest tylko dzieckiem - pisała babcia. - Jestem pewna, że

kierowały nią jak najlepsze intencje. Uważała, że tak będzie lepiej dla niej i dla Ciebie. W swej dziecięcej naiwności wyobrażała sobie, że może zastąpić Pana Boga i kierować Twoim życiem. Ale ile jej wybryk kosztował biednego Pedreka! Miejmy nadzieję, że szybko wróci do kraju i że będziecie obydwoje znowu szczęśliwi”.

A wszystko to zawdzięczam Benedyktowi. Gdyby nie jego perswazja, nie zdobyłabym się na wysłanie listu do Pedreka. I tylko on mógł zmusić Belinę do wyjawienia prawdy.

Z całego serca pragnęłam mu teraz pomóc.

Przez jakiś czas dręczyły mnie wyrzuty sumienia, ponieważ mu nie wspomniałam, że widziałam Celeste i Olivera Gersona wychodzących razem z gospody “Pod Wieszającym Sędzią”.

Czy to mogło mieć jakieś znaczenie?

Skąd mogłam wiedzieć? Jednak w sprawie takiej jak ta, ważny jest każdy najmniejszy szczegół. Może on właśnie stanowi kluczowy element łamigłówki, nad której rozwiązaniem biedzimy się już tyle czasu?

Nie mogłam się zdecydować, by poruszyć z Benedyktem temat Olivera. Nienawidził tego człowieka i wyrzucił go ze swego domu. Nie można było mu się dziwić, ponieważ tamten usiłował go szantażować. Przyszło mi też w pewnej chwili na myśl, czy przypadkiem Gerson nie jest odpowiedzialny za niektóre napastliwe artykuły w prasie. Wyobrażałam sobie, jak się cieszył, że może dostarczyć obciążających Benedykta informacji. Byłam pewna, że zacierał ręce z radości, widząc, w jakich opałach znajduje się obecnie jego wróg.

Wersja, że Celeste nie żyje, jakoś nie trafiła mi do przekonania. Pewnego ranka przebudziłam się z uczuciem, jakbym doznała nagłego olśnienia. Miałam sen. Śniło mi się, że widzę Olivera Gersona uśmiechającego się złośliwie i słyszę jego ostrzegawcze słowa: “Nie myśl, że puszcę ci to płazem!”. Miałam głębokie przekonanie, że on może rzucić pewne światło na sprawę tajemniczego zaginięcia Celeste.

Oliver Gerson nigdy nie przyjdzie z pomocą Benedyktowi, ale może ja zdołam go do tego nakłonić? Zawsze był w stosunku do mnie uprzedzająco grzeczny i pełen kurtuazji. Oczywiście, nie robił tego bezinteresownie. Stanowię dobrą partię. Pragnął poślubić pasierbicę swego pryncypała, ponieważ zależało mu na tym, by zostać jego współnikiem. To go motywowało. Większość dziewcząt na pewno byłaby zachwycona, gdyby zechciał im nadskakiwać; nie posiadałyby się z radości na myśl o perspektywie wyjścia za niego za mąż.

Czy Gerson rzeczywiście był takim łajdakiem? Przecież Benedykt, żeniąc się ze swoją pierwszą żoną, też kierował się wyrachowaniem; wносиła mu w posagu rentowną kopalnię złota. Z wiekiem człowiek coraz bardziej uświadamia sobie, jak bardzo natura ludzka jest złożona i skomplikowana.

Oliver był taki dobry dla dzieci, tyle okazywał im serca, rozweselał je, bawił się z nimi w różne gry, żartował. Obydwie go uwielbiały - zarówno Lucie, jak i Belinda. Belinda jednakże była bardziej żywiołowa w swych uczuciach. Jeśli kochała - to z całego serca, jeśli nienawidziła - to z całej duszy. Dlatego kiedy dla Lucie Oliver był tylko sympatycznym panem Gersonem, Belindzie wydawał się prawie Bogiem.

Dobrze byłoby się z nim spotkać. Ale jak? Nie wiedziałam, gdzie mieszka. Przypuszczałam, że nadal jest związany z osławionymi klubami. Zajmował w nich przecież ważne stanowisko. Zarządzał nimi z ramienia Benedykta, jako jego prawa ręka. A teraz, kiedy Benedykt je sprzedał, z pewnością pracuje dla nowych właścicieli.

Znałam nazwy niektórych lokali: "Zielone Światelko", "Żółty Kanarek", "Szarada" oraz "Diabeł w Koronie". Ten ostatni nigdy nie był własnością Benedykta.

Mogłam odnaleźć te kluby. Wiedziałam, że wszystkie znajdują się w dzielnicy West End w Londynie. Nie było to trudne zadanie. Natychmiast kiedy ta myśl zaświtała mi w głowie, postanowiłam wcielić ją w życie.

Już dawno nie czułam się tak radosna i szczęśliwa jak teraz. Nie wątpiłam, że wkrótce otrzymam wiadomość od Pedreka. Zawdzięczałam to Benedyktowi. On mi poradził, co mam robić. Ta rada była nie tylko najlepsza, ale także, jak dowiódł tego później, zawierała prawdę. Dzięki niemu mam szansę odzyskać swoje szczęście i tym bardziej zależało mi teraz na tym, by mu się odwdzięczyć.

Przypuśćmy, że Oliver Gerson wie, gdzie znajduje się Celeste. Przemknęło mi nawet przez głowę, że ona mogła z nim uciec. Może uciekli razem do jakiegoś innego kraju? Spróbuję to wyjaśnić. Pracownicy klubów powinni o tym wiedzieć.

Pojadę do Londynu. Pojadę pod pretekstem, że muszę zobaczyć się z Morwenną. Matka Pedreka nie posiadała się z radości, że prawda wyszła na jaw, a jej ukochany syn został oczyszczony z ohydneho podejrzenia.

Na wieść o tym, że wybieram się do Londynu, w normalnej sytuacji dzieci obskoczyłyby mnie z błaganiami, bym je ze sobą zabrała. Lucie chciała jechać ze mną, ale odparłam, że mam wiele spraw do załatwienia i że krótko tam zabawię. Natomiast Belinda nie przejawiała żadnej ochoty, aby mi towarzyszyć. Od chwili przyznania się do winy bardzo się zmieniła: stała się cicha i łagodna.

Leah zapewniła mnie, że mimo trudnej sytuacji w domu mogę wyjechać spokojna o dzieci, zajmie się nimi; przy tym szczególną uwagę zwróci na Belindę. "Świadomość kłamstwa bardzo ją gryzła, panno Rebeko" - wyjaśniła Leah i dodała, starając się usprawiedliwić swą ulubienicę: "Ona chciała dobrze".

- Tak - odparłam. - Droga do piekła też jest wybrukowana dobrymi chęciami.

- Szkoda mi małej. Cierpi przez swojego ojca. Ją to bardzo boli, panienska wie o tym. I on właśnie zmusił ją do wyjawienia prawdy. Dziecko śmiertelnie się go boi.

- W tym wypadku akurat jej strach wyszedł nam wszystkim na dobre.

- Niech się panienka nie martwi. Już ja się nią zaopiekuję.

- Nie wątpię, Leah.

Uśmiechnęła się do mnie. Przypomniałam sobie uwagę pani Emery o zmianie, jaka nastąpiła w jej usposobieniu. Nie chodziła już z taką pogrzebową miną. Biedna Leah. Rzeczywiście wyglądała ostatnio na bardziej zadowoloną. Jakież ważne znaczenie dla dziecka ma postawa rodziców. Weźmy na przykład Belinę. Niechęć okazywana jej przez ojca prowokowała ją do niegrzecznych zachowań. A Leah? Jakżeż wyglądało jej życie w lśniącym czystością domku, w którym królowała świętoszkowata pani Polhenny...? Nic dziwnego, że była taka skryta... taka nieprzystępna.

Obecnie jednak sprawiała wrażenie zupełnie innej osoby. Emanowała z niej jakaś dziwna, niespotykana u niej miękkość i życzliwość i to nie tylko w odniesieniu do Belindy, ale do wszystkich ludzi.

Morwenna była uszczęśliwiona, gdy się dowiedziała, że zamierzam zatrzymać się u nich na tydzień lub nawet dłużej. Kiedy więc nadszedł ustalony dzień, wsiadłam do pociągu i pojechałam do Londynu.

Rodzice Pedreka przywitali mnie bardzo serdecznie. Chłód, jaki istniał między nami w ostatnich miesiącach, ulotnił się bez śladu.

Morwenna gorąco mnie ucałowała.

- Dziękuję ci za list - powiedziała - zwłaszcza za ten, który wysłałaś do Pedreka... poprzednio.

Uśmiechnęłam się. Jak wiele miałam Benedyktowi do zawdzięczenia!

- Mam przecucie, że wkrótce wróci do domu - stwierdziła Morwenna.

Przyszedł Justin. Uściskał mnie również. Było to radosne spotkanie. W zasadzie przez cały wieczór rozmawialiśmy wyłącznie o Pedreku. Pisał, że Australia bardzo mu się podoba, ale

Morwenna czuła, że tęskni za Kornwalią.

- Jego dziadek jest taki szczęśliwy, że go wkrótce zobaczy - dodała.

- Czy napisał, że wraca?

- Nie mieliśmy od niego jeszcze żadnej wiadomości, ale wróci... nie ulega wątpliwości, że wróci.

Modliłam się, żeby wrócił i wybaczył mi małoduszne wątpliwości. Zastanawiałam się, czy rana, jaką mu zadałam, nie jest zbyt głęboka. Czas wprawdzie leczy najcięższe urazy, ale bolesna blizna po nich może zostać na całe życie. Takie myśli wprawiały mnie w przygnębienie.

Nie rozmawialiśmy zbyt wiele o zagadkowym zniknięciu Celeste i konsekwencjach tego faktu dla politycznej kariery Benedykta. Ale tkwiła ona w podświadomości, rzucając cień na naszą radość z powodu oczyszczenia Pedreka z ohydneho zarzutu.

- Przypuszczam, że będziesz chciała, korzystając z okazji, iż jesteś w Londynie, poczynić tu jakieś zakupy - zauważyła Morwenna.

- Tak myślę.

- Niestety, nie zawsze będę ci mogła dotrzymać towarzystwa. Mam kilka ważnych spotkań, w których muszę wziąć udział. Zgodziłam się na nie, zanim się dowiedziałam o twoim przyjeździe.

- Nie szkodzi, sama się nawet szybciej z nimi uporam.

Ciekawa byłam, jakie zrobiliby miny, gdyby wiedzieli, że zamierzam nazajutrz odwiedzić klub "Żółty Kanarek".

Przedpołudnie następnego dnia spędziłam z Morwenną. Justin, jak zwykle, udał się rano do swojej firmy, która zajmowała się dystrybucją cyny w całym kraju. Eksportował ją również na kontynent.

Po południu Morwenna poszła na umówione spotkanie. Miała wyrzuty, że zostawia mnie samą, i gorąco mnie za to przeproszała. Powiedziałam jej, żeby się tym nie przejmowała, na pewno

nie będę się nudzić.

Dzień był jasny i słoneczny. Zaraz po wyjściu Morwenny poszłam w jej ślady. Zawołałam dorożkę i kazałam się zawieźć do "Zółtego Kanarka". Dorożkarz zrobił zdziwioną minę. Był zaskoczony, że młoda, przyzwoicie wyglądająca dziewczyna udaje się pod taki adres i na dodatek o tak niezwyklej porze.

Zatrzymaliśmy się w dość wąskiej bocznej uliczce przed budynkiem, którego wejście zdobił model żółtego kanarka. Nie było wątpliwości, że trafiłam we właściwe miejsce.

Wyskoczyłam z dorożki i podeszłam do drzwi. Pociągnęłam za dzwonek. Po kilku minutach odsunęła się kłapa wizjera i para czujnych oczu spojrzała na mnie badawczo.

- Słucham - odezwał się męski głos.

- Czy mogę mówić z kierownikiem? - zapytałam.

- Klub jest zamknięty.

- Wiem. Ale chodzi mi o kilka informacji.

- Jest pani z prasy?

- Nie. Jestem przyjaciółką pana Olivera Gersona.

Zdawało mi się, że dźwięk tego nazwiska zrobił na cerberze pewne wrażenie. Mężczyzna milczał przez chwilę, po czym rzekł:

- Mogę mu przekazać, że pani o niego pytała.

- Kiedy go mogę zastać?

- Nie potrafię odpowiedzieć. Pojawia się i znika. Proszę chwilkę poczekać.

Otworzył drzwi. Weszłam do małego ciemnego przedpokoju. Wąskie schody wiodły z niego na górę.

- Czy pan Gerson się pani spodziewa?

- Nie. Ale muszę się z nim zobaczyć. Mam pilną sprawę.

Przyglądał mi się dłuższą chwilę, jakby się zastanawiając, co o mnie sądzić.

- Coś pani poradzę - odezwał się w końcu. - O tej porze pan Gerson przebywa zazwyczaj w "Zielonym Świąteczku". Tak, tam przypuszczalnie powinna go pani zastać.

- "Zielone Świąteczko"? Gdzie to jest?

- Niedaleko. Kilka ulic stąd. Wszystkie kluby położone są dość blisko siebie. Jest to dzielnica rozrywkowa, rozumie pani. Powiem pani, jak się tam dostać. Bardzo prosto. Najpierw należy skręcić w prawo, następnie dojdzie pani do końca ulicy i przejdzie na drugą stronę do Lowry Street. "Zielone Świąteczko" znajduje się po prawej stronie. Trudno go przeoczyć, ponieważ znakiem rozpoznawczym jest zielone światełko przy drzwiach.

- Tak jak waszym żółty kanarek.

- Tak jest... bardzo możliwe, że o tej porze spotka tam pani pana Gersona.

Podziękowałam mężczyźnie i wyszłam na ulicę. Dobrze wytłumaczył mi drogę, bo bez trudu odnalazłam klub, o który mi chodziło.

Drzwi były otwarte, więc weszłam do środka. Podobnie jak w "Żółtym Kanarku" wejście stanowił nieduży ciemny przedpokój oraz wąska klatka schodowa. Z bocznych drzwi wyjrzała kobieta.

- Dzień dobry - odezwałam się.

- Dzień dobry. Czym mogę służyć?

- Szukam pana Olivera Gersona. Czy go tutaj zastałam?

- Pani godność?

- Panna Mandeville.

- Mogę zapytać, co panią do niego sprowadza?

- To sprawa osobista.

Przyglądała mi się podejrzliwie.

- Niestety, nie ma go.

Ogarnęło mnie uczucie przykrego rozczarowania.

- Czy może mi pani powiedzieć, gdzie mogę go znaleźć?

- Niestety, nie mogę tego zrobić, ale jeżeli mi pani zostawi swoje nazwisko i adres, przekażę mu wiadomość.

- Mieszkam u przyjaciół i nie zabawię długo w Londynie. Czy nie zechciałaby mi pani powiedzieć, że go poszukuję w bardzo pilnej sprawie?

Niespodziewanie usłyszałam:

- Co widzę? Cóż za niespodzianka! Rebeka!

Ze schodów schodził Oliver Gerson.

- Wszystko w porządku, Emily - zwrócił się do dziewczyny. - Ta młoda dama jest moją przyjaciółką.

- Och! - wykrzyknęłam radośnie. - Jakże się cieszę, że cię odnalazłam.

- Cieszę się nie mniej od ciebie. Moja radość jest tym większa, iż jak się orientuję, pragnęłaś się ze mną zobaczyć.

- Przypuszczałam, że nadal zajmujesz się tymi klubami.

- Tak. Nowi właściciele zaproponowali mi, abym został i nadal nimi zarządzał. Zgodziłem się, ale postawiłem warunki. W tym miejscu jednak nie wypada przyjmować takiej damy jak ty. Za rogiem jest herbaciarnia. Tam będziemy mogli porozmawiać swobodnie. Mam nadzieję, że usłyszę, czemu zawdzięczam twoje odwiedziny.

Wyszliśmy z "Zielonego Świątełka" i doszliśmy do końca ulicy. Po drodze Gerson zasypywał mnie komplementami. Mówił, że doskonale wyglądam i że jestem piękna jak zawsze - nie, nawet piękniejsza.

Znałam dobrze jego uwodzicielskie metody i nie wierzyłam w ani jedno jego słowo. Ale

musiałam przyznać, że jego komplementy sprawiają mi przyjemność i czułam - tak jak zawsze - że łatwo się z nim będzie rozmawiało.

Przeszliśmy na drugą stronę drogi. Na następnej ulicy znajdował się mały lokalik. Stoliczki stały dość daleko od siebie. Była właśnie pora herbaty, lecz tłoku wielkiego nie było.

- Dzień dobry, panie Gerson. Stolik na dwoje?

- Tak, tylko w mniej widocznym miejscu, Marianne.

- Wiem, sir.

Uśmiechnęła się filuternie i obdarzyła mnie znaczącym, ale życzliwym spojrzeniem.

Stolik znajdował się w ustronnej alkwie.

- Doskonale - pochwalił ją Oliver. - Podaj nam herbatę i kilka twoich pysznych bułeczek z rodzynkami i bitą śmietaną.

Spojrzała na niego niemal z czułością, a ja pomyślałam: Może z niego jest rzeczywiście kawał łajdaka i szantażysty, lecz umie być miły dla ludzi. Wie, czym komu sprawić przyjemność.

Belindzie... Lucie... i nawet tej kobiecie z herbaciarni.

Kelnerce, która przyniosła herbatę, podziękował z czarującym uśmiechem. Dziewczyna, jak zauważyłam, obsługiwała go z widoczną przyjemnością.

- Rebeko, teraz mi powiedz, co cię do mnie sprowadza? - zapytał.

- Czy wiesz coś o losie Celeste Lansdon?

Uśmiechnął się kpiąco.

- Wiem, że jest przyczyną nie lada zamieszania. To tajemnica poliszynela. Biedny pan Lansdon. Jego sytuacja jest nie do pozazdroszczenia, nie ulega najmniejszej wątpliwości.

- Nienawidzisz go, prawda?

Wzruszył ramionami.

- Miałem już go dość.

- Bardzo przeżywa.
- Niewiele mu to zaszkodzi. To kot, który spada na cztery łapy. Przekonasz się. Za jakiś czas znowu pójdzie do góry.
- Stracił szansę na ministerialną tekę.
- No cóż, już raz poniósł podobną klęskę, nie dostał się do parlamentu przez samobójczą śmierć pierwszej żony. A mimo to odbił się od dna i konsekwentnie wciąż piał się w górę. Ale z tego składa się życie - w każdym razie życie człowieka takiego jak on. Raz jest na dole, raz na górze. A umiejętność podnoszenia się po ciosie cechuje każdą silną indywidualność.
- Wydaje się, jakbyś radował się z jego nieszczęścia.
- Chyba nie oczekujesz ode mnie, że z tego powodu nałożę sobie worek pokutny na głowę i posypię włosy popiołem.
- Nie, ale mógłbyś okazać trochę współczucia.
- Niestety, nie wszyscy mamy takie dobre serca jak ty, Rebeko.
- Czy wiesz coś może o zniknięciu Celeste?
- Skąd ci przyszła do głowy taka myśl?
- Widziałam cię raz w jej towarzystwie. Wychodziliście z gospody "Pod Wieszającym Sędzią".
- Nie dostrzegłem cię wtedy. Bardzo żałuję.
- A więc widzisz... wiem, że się z nią spotykałeś.
- Biedna dziewczyna. Nie traktował jej dobrze, zgadzasz się? Zaniedbywał ją. Była bardzo nieszczęśliwa. Są granice ludzkiej wytrzymałości. Cóż za smakowity kąsek dla prasy, zwłaszcza w zestawieniu z dawniejszą historią. Miał szczęście, że się w odpowiednim czasie pozbył tych klubów.
- Ale ty w nich zostałeś i pracujesz.

- Moja droga Rebeko. Nie kandyduję na stanowisko ministra. Dopóki jestem w zgodzie z prawem i nie naruszam przepisów, nikt się do mnie nie przyczepi i mogę sobie żyć cicho i spokojnie.

- Zakładając, że nie uciekasz się do małego... szantażu?

Przez chwilę milczał zaskoczony, a ja kontynuowałam:

- Słyszałam waszą rozmowę. Chciałeś zostać jego współnikiem przez małżeństwo ze mną.

Czy pamiętasz?

- Ten, kto podsłuchuje, nie zawsze jest w stanie uchwycić treść całej rozmowy. Małżeństwo z tobą nie byłoby dla mnie żadną dolegliwością. Ale muszę przyznać, że zależało mi też na tym, aby wejść do rodziny Benedykta Lansdona. Uważałem, że będzie to dla mnie korzystne, zwłaszcza że dama, o którą chodziło, jest jedną z najbardziej czarujących, jakie miałem okazję spotkać kiedykolwiek.

- Na twoim miejscu darowałabym sobie komplementy.

- Mówię prawdę. Bardzo cię lubię. Odpowiada mi twoje usposobienie i charakter. Okazałaś dużą odwagę, przychodząc do tych lokali... chociaż pora nie jest jeszcze późna. Przyzwoite damy nie odwiedzają takich miejsc.

- Zdawałam sobie z tego sprawę. Ale musisz wiedzieć, że Benedykt bardzo przeżył - i nadal ogromnie przeżywa - tę sytuację.

- Domyślałam się, że przechodzi ciężkie chwile. Czy aż tak bardzo cię obchodzi? O ile wiem, dawniej nie darzyłaś go specjalną sympatią.

- To się zmieniło. Oddał mi wielką przysługę. Teraz ja pragnę mu pomóc w miarę swoich możliwości.

- Oddał ci przysługę... tobie?

- Tak. Pomógł wyjaśnić pewne nieporozumienie między mną a człowiekiem, za którego

mam nadzieję wyjść za mąż.

- A tym szczęśliwym mężczyzną jest...? - Poruszyłam się niecierpliwie, a on kontynuował: -

Chcę powiedzieć, że facet jest szczęściarzem... największym szczęściarzem na ziemi. Czy to Pedrek Cartwright?

- Tak.

- I Benedykt ci pomógł? Jaki miał w tym interes?

- Żadnego. Nie umiesz tego zrozumieć. On nie potrafi uwolnić się od ciężaru wspomnień... zapomnieć o śmierci mej matki. Ale teraz usilnie się o to stara. On i ja...

- Niezwykłe wzruszające - zauważył z odcieniem cynizmu w głosie.

Uniosłam się na krzesło.

- Widzę, że nasza rozmowa nie ma sensu.

- Ależ jesteś w błędzie. Posłuchaj mnie. Chcę ci pomóc.

- Naprawdę? Mówisz poważnie?

- Jak najbardziej. Z całego serca.

- Przyznaję, że jesteś czarującym mężczyzną, obawiam się jednak, że to tylko pozory, i nie wiem, czy mogę ci zaufać.

- Możesz być pewna, że zrobię wszystko, co w mej mocy, żeby ci przyjść z pomocą. - Na jego twarzy malowała się taka powaga, że zaczęłam wierzyć, iż mówi prawdę. - Opowiedz mi o Pedreku - poprosił.

Zdziwiłam się swoją gotowością do zwierzeń. Zaczęłam opowiadać o dramatycznym zajściu nad Jeziorem Świętego Branoka. Opisałam intrygę, jaką ukuła Belinda, by poróżnić mnie z Pedrekiem i zburzyć nasze szczęście. Nigdy nie zdołalibyśmy dowiedzieć się prawdy i odzyskać siebie, gdyby nie Benedykt, zakończyłam.

- Co to za dziecko! Co to za mała dzikuska! Bardzo ją lubię, wiesz o tym.

- Ona ciebie również. W gruncie rzeczy ze względu na ciebie dopuściła się niegodziwego czynu.

- Dziewczynka ma niezwykłą wyobraźnię. Niemniej ten szalony postępek niemile mnie zaskoczył, nawet jeżeli zrobiła to z myślą o mnie.

Nagle podejrzenie zaświtało mi w głowie.

- Czy przypadkiem nie ona pomogła ci zdobyć klucz do zamkniętego pokoju? - zapytałam.

Uśmiechnął się zaczepnie.

- Oczywiście, że ona - odpowiedziałam sobie. - Że też mi to wcześniej nie przyszło na myśl.

Wykradła klucz pani Emery, prawda?

Uśmiechał się w dalszym ciągu bez słowa.

- I wręczyła go tobie. Ty dałeś sobie dorobić drugi egzemplarz, a ona potem odniosła oryginał z powrotem na miejsce.

- Brzmi to dość prawdopodobnie.

- Jak mogłeś dopuścić się czegoś takiego! Posłużyłeś się dzieckiem, by zdobyć wolny dostęp do zakazanego pokoju.

- To małe stworzenie jest mi bardzo oddane. Musiałem przejrzeć dokumenty, wiesz o tym.

Musiałem się upewnić co do niektórych faktów.

- I dowiedziałeś się o rozmowach na temat kupna "Diabła w Koronie".

- Ależ bystra z ciebie osóbka. Nie muszę wobec tego wyjaśniać ci, jak było, ponieważ znasz już całą prawdę. O tak, Belinda bardzo mi pomogła!

- Nie jest zbyt stała w uczuciach - stwierdziłam nie bez pewnej złośliwości. - Teraz przeniosła swoją sympatię na innego mężczyznę. Jest to Australijczyk, właściciel kopalni złota, który obecnie gości w naszym domu. Opowiada dzieciom fascynujące historie o życiu w australijskim buszu i, jak się wydaje, wyparł cię już na dobre z jej serca.

- No cóż, może to i lepiej. Mówisz, że Benedykt odkrył prawdę? Co go do tego skłoniło?

- Współczucie. Chciał mnie widzieć szczęśliwą.

- Wygląda na to, że postanowił otworzyć nowy rozdział w swoim życiu.

- Wszyscy w jakimś momencie podejmujemy takie decyzje. Tak właśnie być powinno.

Więcej się zyskuje, pomagając ludziom niż mszcząc się na nich za drobne lub większe afronty. Czy mi pomożesz?

- Jak widzę, masz pewność, że jestem w to wmieszany, prawda?

- Słyszałam, jak mówiłeś, że się na nim zemścisz.

- Nie jestem już od niego zależny.

- I masz satysfakcję, że i tym razem mu się nie powiodło. Nie znalazł się w rządzie.

- Czy bardzo jest przybity?

- To ty powiedziałaś, że potrafi odważnie stawić czoło klęskom. Tak właśnie jest i teraz.

Ale on się zmienił. Gdyby tylko można było rozwikłać tę zagadkę, może zaznałby jeszcze trochę szczęścia.

- Jeżeli da się ją pomyślnie rozwikłać. Słyszałem, że przekopują teren wokół domu.

Skinęłam głową twierdząco.

- Wydawało się, jakby tam ziemia została świeżo wzruszona. Policja uchwyciła się tej nitki.

- I nic nie odkryto?

- Nie. Ja osobiście nie wierzę, że ona nie żyje. Och, żeby tylko wróciła!

- Czy myślisz, że gdyby wróciła, żyliby razem długo i szczęśliwie?

- Myślę, że gdyby dołożył trochę starań... i gdyby ona się też bardziej postarała - mogliby.

Powiedziałam ci już, że on się zmienił.

Ujął moją rękę leżącą na stole i uściśnął ją.

- Jesteś bardzo miłą dziewczyną, Rebeko - stwierdził. - Byłbym szczęśliwy, gdyby moje

marzenia się ziściły.

- Nigdy bym za ciebie nie wyszła. Zawsze w moim życiu był...

- Szczęściarz Pedrek.

- Jak dotąd, szczęście niezbyt mu dopisywało. Kiedy - i jeżeli - powróci, postaram się sprawić, aby go zastał.

- Coraz bardziej mu zazdroszczę. Czy wiesz, że naprawdę chciałbym ci pomóc?

- Rozumiesz teraz, dlaczego chciałam spotkać się z tobą. Pomyślałam sobie, że ponieważ widywałeś się z Celeste, może coś wiesz o jej losie.

- Gdzie się zatrzymałaś?

- U Cartwrightów.

- W domu rodziców szczęściarza Pedreka. Jak długo zamierzasz zostać w Londynie?

- Około tygodnia.

- Przyjechałaś do Londynu, by rozpocząć poszukiwania na własną rękę. Pragniesz rozwikłać zagadkę zniknięcia Celeste i robisz to dla Benedykta. W ten sposób chcesz odwdzińczyć mu się za to, co dla ciebie uczynił. Postanowił rozpocząć nowe życie i zostać kochającym mężem i ojcem. Przygarnie do serca krnąbrną Belinę i wspólnie stworzycie pokazową, szczęśliwą rodzinę.

- Proszę cię, nie śmieję się ze mnie.

- Wcale się nie śmieję. Jestem pełen podziwu. To dla ciebie ważna sprawa, prawda?

- Bardzo ważna.

- Okazałaś się bardzo szlachetnym człowiekiem, decydując się na taką detektywistyczną wyprawę. Zrobię wszystko co w mej mocy, aby ci pomóc.

- W jaki sposób? Masz jakieś możliwości?

- Kto wie?

- Muszę już iść. Czas na mnie.

- Jesteś rozczarowana?

- Nie miałam wielkiej nadziei. Po prostu chciałam się dowiedzieć, czy ci się z czegoś nie zwierzyła.

Spoglądał na mnie z uśmiechem znad swojej filiżanki.

- Dziękuję za herbatę - rzekłam - i za to, że zechciałeś mnie wysłuchać.

- Ureguluję rachunek z Marianne, a potem poszukamy dorożki i odwiozę cię do domu. -

Milczał przez moment, po czym rzekł z uśmiechem: - Nie obawiaj się. Nie będę próbował łamać zakazów ani ci się naprzykrzać.

Wyszliśmy na ulicę i za chwilę jechaliśmy już w stronę domu Cartwrightów.

- Mam wrażenie, że czujesz się nieco zawiedziona - zauważył. - A tak mi zależy, aby przyjść ci z pomocą.

- Wierzę, że byś to zrobił, gdybyś mógł - odparłam z przekonaniem.

- Widzę, że mimo wszystko nie uważasz mnie za zupełnego łajdaka.

- Nie.

- Szantaż? Posługiwanie się nieczystymi metodami dla zdobycia majątku...

- Odkryłam, że wielu ludzi, którzy w niektórych sprawach postępują bez skrupułów, w innych okazują się całkiem przyzwoici.

- Twój pogląd na ludzką naturę jest godny podziwu. Chciałbym, abyś przy nim została.

Przez jakiś czas jechaliśmy w milczeniu. Pierwszy przerwał ciszę Oliver:

- Jesteśmy już na miejscu. Nie będę wysiadał z dorożki. Myślę, że wolałabyś, aby nie widziano cię w moim towarzystwie.

- Chodzi o to, że...

Podniósł dłoń do góry.

- Rozumiem doskonale. Poczekam, aż wejdiesz do środka, i dopiero wtedy dyskretnie się

oddalę.

- Jesteś taki uprzejmy i domyślny.

Ucałował moją dłoń.

- Au revoir, słodka Rebeko.

Weszłam do domu.

W dwa dni później otrzymałam od niego liścik. Nie przyszedł pocztą, tylko został wrzucony do domowej skrzynki na listy. Byłam sama w domu i ucieszyłam się, że nie będę się przed nikim musiała tłumaczyć, kto jest nadawcą.

Oliver prosił mnie, bym się z nim spotkała tego dnia o trzeciej po południu w klubie “Diabeł w Koronie”.

Byłam zaskoczona wyznaczonym miejscem, ale zdusiłam w sobie niepokój, gdy pomyślałam, że może dowiem się czegoś o losie Celeste.

Z lękiem zatrzymałam się przed wskazanym budynkiem. Znajdował się dość blisko znanych mi już lokali “Żółtego Kanarka” i “Zielonego Świąteczka” i wyglądem niewiele się od nich różnił. Był to wysoki odrapany budynek, na którego ścianie widniało godło klubu - diabeł z kopytem i rogami oraz koroną na głowie.

Zauważyłam wielką mosiężną kołatkę z ornamentem u góry. Kiedy się jej bliżej przyjrzałam, zobaczyłam, że wyobraża ona głowę diabła w koronie.

Zapukałam. Za chwilę drzwi się otworzyły i stanął w nich Oliver Gerson.

- Wiedziałem, że będziesz punktualna - przywitał mnie. - Proszę, wejdź do środka.

Weszłam do małego pokoju, w którym nie było żadnych mebli. Otworzył drzwi i powiódł mnie do następnego pomieszczenia. Podobnie jak poprzedni i ten pokój był pozbawiony sprzętów.

Zaczynałam czuć się nieswojo. Oliver musiał zauważyć mój niepokój, ponieważ wyjaśnił:

- Mam powód, dla którego zaprosiłem cię właśnie tutaj. Przepraszam. To nie jest zbyt

ciekawym dom, prawda? Jest kompletnie opuszczony. Praktycznie nic w nim nie ma. Ten lokal kupiono dopiero niedawno. W tej chwili pracujemy nad projektem jego renowacji.

- Dlaczego kazałeś mi przyjść właśnie tutaj?

- Zaraz ci to wyjaśnię. Widzę, że jesteś niespokojna. Przestań się obawiać. Jesteś przy mnie zupełnie bezpieczna. Zobaczysz, że w końcu będziesz zadowolona, że tu przyszłaś.

- To jest... bardzo dziwne miejsce.

- Masz na myśli tego diabła na drzwiach? On ma wywoływać dreszczyk emocji u naszych klientów.

Ujął mnie za ramię. Cofnęłam się instynktownie. Przypomniałam sobie przygodę z Jeanem Pascalem i zastanawiałam się teraz, czy nie dałam się głupio wciągnąć w kolejną pułapkę.

- Może porozmawiamy gdzie indziej - zaproponowałam. - Na przykład w tej herbaciarni, gdzie przedtem?

Potrząsnął głową.

- Nie ma potrzeby. Nie musisz się mnie obawiać. Wiem, że jestem hultajem, a nawet awanturnikiem. Udało mi się osiągnąć dość znaczną pozycję w życiu, ale droga, jaką wybrałem, nie zawsze była prosta i uczciwa. Dziadek Benedykta potrzebował mnie. Doceniał moje zdolności i potrafił je wykorzystać. Za jego życia miałem dość odpowiedzialne stanowisko. Zdołałem je utrzymać po jego śmierci, kiedy kluby przeszły na własność Benedykta.

- To wszystko wiem... i że sam swoje stanowisko podważyłeś. Z pewnością nie postąpiłeś mądrze.

- Ale on i tak nie był w stanie mi zaszkodzić. Byłem za mocny. Jednakże to nie ma nic do rzeczy. Dla nas on już nie istnieje, podczas gdy ja nadal tu jestem. Ale rozmowa o tym jest tylko marnowaniem czasu. Chcesz wiedzieć, dlaczego cię tu sprowadziłem?

- Mam nadzieję, że powiesz mi coś o Celeste.

- Chcę cię przygotować... nie chcę, aby to był dla ciebie zbyt wielki wstrząs. Widziałas nas, jak wychodziliśmy z gospody "Pod Wieszającym Sędzią". Tak, spotykałem się z nią. Nie... nie w tym celu, co myślisz. To nie był żaden romans. Było mi jej żal. Nie jestem w gruncie rzeczy złym człowiekiem. W najgorszym osobniku tli się iskierka dobra. Współczuję każdemu, kto cierpi, a ona z pewnością zasługiwała na współczucie. Zwierzała mi się. Czuła potrzebę rozmowy z kimś, kto jest jej życzliwy... i rozsądny oraz potrafi zrozumieć sytuację. Tak więc rozmawialiśmy... i od czasu do czasu spotykaliśmy się. Potem... Benedykt zagroził, że mnie zniszczy. Wpadłem we wściekłość. Nie pozbędzie się mnie tak łatwo. Byli jeszcze inni ludzie, których to w jakiś sposób dotyczyło. Ci ludzie znali moją wartość. Przypomniałem sobie zamierzchną aferę z czasów, kiedy po raz pierwszy starał się o wybór na posła i przegrał. Przyczyną, jak wiesz, był skandal spowodowany tajemniczą śmiercią jego żony. Byłem wściekły. Za wszelką cenę pragnąłem się na nim zemścić. To stało się moją obsesją.

- Mów dalej.

- Postanowiłem pokrzyżować jego ambitne plany. Wiedziałem, jak bardzo mu zależy, by zostać ministrem. Doszedłem do wniosku, że dobrze byłoby powtórzyć stary scenariusz: wywołać podobny skandal.

- A więc ty to uknułeś...

- Miała zniknąć. Nie uciec, ale zniknąć. Ucieczka nie wywołałaby takiego rozgłosu. Ale przypuśćmy, że znika... tak jak stoi? To od razu nasuwa myśl o morderstwie.

Spoglądałam na niego z niedowierzaniem.

- Ty... ty ją ukryłeś. Ty wiesz, gdzie ona jest. Ona żyje!

Przytaknęła.

- Gdzie ona jest?

- Wkrótce się dowiesz.

- Jak można popełnić podobną niegodziwość?

- A czy on nie jest podły? Czy nie unieszczęśliwił swej pierwszej żony? Jawnie okazywał niechęć własnej córce. Doprowadził do tego, że jego dziecko jest teraz małym potworem. A czy dla ciebie był dobrym ojczymem przez te wszystkie lata?

- W tym była także moja wina. Byłby inny, gdybym w stosunku do niego zachowywała się mniej wrogo.

- Widzę, że starasz się go za wszelką cenę usprawiedliwić. Jemu należy uzmysłowić, że oprócz niego na świecie są jeszcze inni ludzie. Och, wiem, że postanowił się zmienić i otworzyć nowy, lepszy rozdział w swoim życiu. No cóż, dostał za swoje. Ty jesteś zdania, że już dostatecznie wycierpiał. Może masz słuszość.

- Chcę, abyś mi powiedział wszystko, co wiesz, niczego nie ukrywając... w tej chwili.

- Przybywasz we właściwym momencie, Rebeko. Wiesz, jak bardzo cię lubię. Nie chodziło mi tylko o ty, by zostać współnikiem Benedykta. Zależało mi na tobie... i teraz pragnę ci pomóc. Mam nadzieję, że twój ukochany wróci i że wspólnymi siłami stworzycie w Manorleigh i w Londynie wymarzoną rodzinną atmosferę. Mam nadzieję, że zdołasz pocieszyć swego ojczyma po klęsce, jaką poniósł. Ja się już na nim zemściłem i jesteśmy kwita. Osiągnąłem to, co chciałem. Dopiąłem swego. Dotknąłem go równie dotkliwie jak on mnie. Jestem gotów położyć kres tej zwadzie. Przy twojej pomocy może uda się nam wydostać z tej ślepej uliczki, w której się teraz znajdujemy. Celeste jest tutaj.

- Tutaj? W tym miejscu?

Potwierdził skinieniem głowy.

- Jest tutaj od początku. To najbardziej odpowiednie miejsce. Rozumiesz, dom jest nie zamieszkały. Na górze znajduje się małe mieszkanie... z kuchenką i sanitarnymi urządzeniami. To było lokum kierownika klubu. Tu urzędował, a w razie potrzeby także nocował. Takie właśnie

pomieszczenie było nam potrzebne. Celeste była przekonana, że jeśli odejdzie - zniknie na jakiś czas - to Benedykt może wreszcie uzmysłowi sobie, co stracił. Myślała, że może w ten sposób odzyska jego uczucie. Ta myśl stała się jej obsesją. A ja pomogłem jej w realizacji zamierzenia...

- Ty ją namówiłeś, by swój pomysł wprowadziła w życie. Doskonale pasował do twoich planów zemsty.

- Bardzo trafnie odgadłaś. Naturalnie, że ta myśl bardzo mnie zaintrygowała.

- Pomogłeś jej podjąć decyzję. Pokazałeś, w jaki sposób ją urzeczywistnić.

Wzruszył ramionami.

- Celeste była głęboko przekonana - na początku - że dzięki temu jego stosunek do niej się zmieni. A na tym jej najbardziej zależało. Była gotowa uciec się do wszystkich możliwych metod, byle dopiąć celu. Ja wynalazłem tę kryjówkę. Z entuzjazmem przyjęła moją propozycję.

Przemyciła z domu trochę rzeczy: ubrań i innych koniecznych drobiazgów. Ja przewiozłem je tutaj, do tego mieszkania. Swojej służącej powiedziała, że zamierza je rozdać biednym ludziom we wsi.

Przystosowałem też lokal do jej potrzeb.

- Cóż za diabelski plan!

- To prawda, lecz sprawdził się doskonale. Ale to już koniec. Teraz musimy ją stąd wydostać. Trzeba wymyślić jakąś wiarygodną historię. Nie będzie to łatwe, jednak z twoją pomocą może nam się uda. Wiem, że mogę ufać twojej dyskrecji. Znalazłem pewne wyjście. Mam nadzieję, że przemówi ci ono do rozsądku i że wyrazisz na to zgodę. Musimy liczyć się z prasą, która tylko czyha na tego rodzaju sensację. Celeste nie może tutaj dłużej zostać, ponieważ budynek idzie do remontu i ekipa budowlana zjawi się lada chwila.

- Kiedy mogę ją zobaczyć?

- Kiedy ci wyjaśnię, na czym polega mój plan. Mieszkasz u Cartwrightów. Idź dziś na noc do domu Benedykta. Powiedz Cartwrightom, że musisz zrobić porządek w swoim pokoju, coś tam

poszukać... innymi słowy - wynajdź jakąś sensowną wymówkę. Rankiem Celeste wróci do domu.

Będzie oszołomiona i zdezorientowana. Nie będzie wiedziała, co się z nią działo, ponieważ straciła pamięć. Wyszła z domu owej nocy, ale nie pamięta, dokąd chciała pójść. Miała przy sobie jakieś pieniądze. Wystarczająco dużo, by kupić bilet do Londynu. W pociągu wdała się w rozmowę ze współpasażerką, która, jak się okazało, była właścicielką pensjonatu. Celeste powiedziała tej kobiecie, że nie wie, dokąd chce iść, bo nic nie pamięta. Kobieta postanowiła się nią zaopiekować i zabrała ją do siebie. Celeste nie pamięta jednak, ile czasu u niej przebywała. Kobieta od razu się zorientowała, że ma do czynienia z osobą z towarzystwa, i liczyła, że za swe staranie zostanie sowicie wynagrodzona. Celeste jej to zresztą rzeczywiście obiecała. Na razie miała dach nad głową, ale przez cały czas usilnie starała się przypomnieć sobie, kim jest. Chodziła po ulicach w poszukiwaniu swego domu. Wiedziała, że ma dom... gdzieś. Wtem, przechodząc obok rezydencji Benedykta, uprzytomniła sobie, że to jest właśnie jej dom, i częściowo przypomniała sobie, kim jest. Wchodzi do domu... i spotyka w nim ciebie. Ty kładziesz ją do łóżka, posyłasz po doktora. Jesteś ogromnie ucieszona. W trakcie rozmowy z tobą Celeste powoli odzyskuje pamięć, przypomina sobie dalsze szczegóły. Ciebie oczywiście poznaje od razu. Posyłasz po Benedykta. Ten przychodzi. Ogromna radość. Celeste jest znowu w gronie rodziny. Zagadka jej tajemniczego zniknięcia wyjaśnia się ostatecznie.

Słuchałam z niedowierzaniem wywodów Olivera. Gdy skończył, stwierdziłam:

- Ależ to absurdalna historia! Nikt w nią nie uwierzy.

- Ty możesz sprawić, że stanie się całkiem wiarygodna.

- Z pewnością...

- Jest to jedyne wyjście, Rebeko. Wyobraź sobie dziennikarzy, którzy jak sępy rzucą się na waszą rodzinę. Musisz ustrzec Benedykta przed jeszcze większym skandalem. Utrata pamięci jest jedynym sensownym wytłumaczeniem. Postaraj się rozegrać tę scenę, kiedy już do niej dojdzie, jak

najbardziej przekonująco. Celeste była chora. Prawdopodobnie napiszą, że rozchorowała się przez niego, ponieważ ją zaniedbywał, ale plotki ucichną, kiedy zacznie grać rolę kochającego męża. To żadna sztuka. Czułe spojrzenia na oczach ludzi, lekki uścisk ręki...

- Zaprowadź mnie do niej!

- Chodź ze mną.

Poprowadził mnie po schodach na górę. Trwało to dość długo, bo schodów było dużo.

Zatrzymaliśmy się na podeście ostatniej kondygnacji. Oliver podszedł do drzwi i zapukał. Drzwi otworzyły się natychmiast. Stała w nich Celeste. Błada i wychudzona, sprawiała wrażenie bardzo przybitej.

Podbiegła do mnie i rzuciła mi się w ramiona.

- Och, Celeste! - wykrzyknęłam. - Jakże się cieszę, że cię widzę!

- Rebeko, to było straszne. Nie powinnam tego robić.

- Teraz nie ma to znaczenia - odparłam. - Już jest po wszystkim. Oliver opowiedział mi całą historię.

Stał obok, przyglądając się nam uważnie.

- Przejdźmy obecnie do konkretów - zaproponował. Zwrócił się do Celeste: - Rebeka zgodziła się nam pomóc.

Celeste próbowała się uśmiechnąć, ale zrobił się z tego tylko żaloszny grymas. Zalała mnie fala ogromnego współczucia. Tak bardzo chciałam, aby los się wreszcie do niej uśmiechnął.

Zastanawiałam się, czy ona i Benedykt będą w stanie zapomnieć o tym, co się wydarzyło. Nie wiedziałam, czy jest to możliwe, ale przynajmniej teraz była jakaś nadzieja.

- Oliver mi wyjaśnił, jak i dlaczego opuściłaś dom. Musimy zapomnieć o tym, Celeste.

Musisz wrócić do domu. W gazetach wypisywano straszne rzeczy.

Oliver mi przerwał:

- Żeby wszystko skończyło się po naszej myśli, plan musi być przeprowadzony perfekcyjnie. I wiarygodnie. - Wyciągnął butelkę z kieszeni. - Mamy również szkło - oznajmił. Podszedł do kredensu i wyciągnął trzy kieliszki. - Najlepiej nam teraz zrobi łyk koniaku. Tak, nawet tobie, Rebeko. Dla ciebie przecież również był to wstrząs.

Usiedliśmy przy stole. Oliver nalał trochę alkoholu do każdego kieliszka.

Uśmiechnął się do mnie ciepło, tak jak on tylko potrafił.

- Celeste - zaczął. - Rebeka pomoże nam w zrealizowaniu planu. Moim zadaniem jest zaprowadzić cię z powrotem pod dach twego męża, byś mogła się z nim szczęśliwie połączyć. Rebeka pragnie, abyście stali się szczęśliwą rodziną. Wszyscy bardzo lubimy Rebeke, musimy się więc starać spełnić jej życzenie, w miarę możliwości. A teraz posłuchaj mnie uważnie: Rebeka wraca dziś do domu twego męża. Jutro wywiozę cię stąd w dorożce i wysadzę dwie ulice od domu Benedykta. Podejdiesz pod dom i zadzwonisz do drzwi. Rebeka poleci służącej, by je otworzyła, ale sama będzie w pobliżu. Okaże wielkie zdziwienie na twój widok. Ty będziesz bardzo wzruszona, uronisz kilka łez, ale będziesz również wystraszona. Dom jest ci znany, wysilasz pamięć, aby sobie przypomnieć... wreszcie poznasz; tak, to jest twoje mieszkanie.

- Mam nadzieję, że nic nie zakłóci wykonania planu - powiedziałam. - Jednakże, moim zdaniem, jest on mocno naciągany.

- Postaramy się, aby jego realizacja wypadła naturalnie. Wasze role nie są trudne. Bardzo ważne, aby zamierzenie się powiodło. Jeżeli prasa dowie się prawdy, wybuchnie gigantyczny skandal... i wielki kłopot.

- Kłopot dla ciebie - powiedziałam domyślnie. - Za ukrywanie osoby, której poszukuje policja, grożą poważne konsekwencje.

- Sądzę, że potrafiłbym się z tego wykręcić. Utrata pamięci każdego uwolni od zarzutów. Jest to jedyny sposób, aby do minimum ograniczyć zainteresowanie prasy.

- Celeste! - wybuchnęłam. - Taka jestem szczęśliwa, że cię odnalazłam.

- Wahałam się długo, zanim powzięłam taką dramatyczną decyzję - przyznała. - Chwilami nienawidziłam go z całej duszy. Chciałam się na nim zemścić, potem z kolei budziły się we mnie przeciwne uczucia. Co pisze prasa?

- Policja cię poszukuje, Celeste.

Wstrząsnęła się.

- Tak - potwierdził Oliver. - Ale słuchajcie uważnie: Po namyśle zmieniłem zamiar.

Przyszło mi do głowy, że lepiej będzie, jeżeli opuścimy klub o zmierzchu, a nie rano. Nie możemy zaufać dorożkarzowi. Może się zdarzyć, że woźnica nas zapamięta lub się nami zainteresuje.

Przedtem nie przyszło mi do głowy, że niepotrzebnie możemy zwrócić na siebie czyjąś uwagę.

Przyjadę po ciebie własną kareta i sam będę powoził. Celeste zjawi się w domu Benedykta tuż przed zapadnięciem zmroku... dziś wieczór. Zatem natychmiast wracaj do Cartwrightów, Rebeko.

Powiedz im, że chcesz przenocować w domu Benedykta lub coś w tym rodzaju. Biegnij jak najszybciej. Musisz tam być przed przybyciem Celeste i pomóc jej przez to przejść. Po prostu połóż ją do łóżka, poślij po Benedykta... i nie zostawiaj jej samej. Ona będzie udawać, że chce, byś przy niej była. Za wszelką cenę musicie dobrze odegrać swoje role.

- Wobec tego zaraz wychodzę - rzekłam. - Nie mam zbyt wiele czasu na przenosiny do domu Benedykta, jeżeli Celeste ma tam przybyć dziś wieczór.

Skinął potakująco głową.

Zwróciłam się do Celeste.

- Wszystko będzie dobrze! Będę tam, kiedy ty przyjedziesz. Nic się nie martw.

- Benedykt...

- Szalenie się ucieszysz, że wróciłaś.

- On mnie nie chce.

- Zmienił się - uspokoiliam ją. - Zmienił się w stosunku do mnie i zmienił się także w stosunku do ciebie. To dramatyczne wydarzenie tak na niego wpłynęło.

Przylgnęła do mnie kurczowo i minęło kilka sekund, nim zdołałam uwolnić się z jej ramion.

- Wyprowadzę cię stąd - zaoferował się Oliver. A do Celeste rzekł: - Przygotuj się. Zostało nam tylko kilka godzin.

Zeszliśmy ze schodów.

Po drodze powiedziałam do Olivera:

- Będę musiała Benedyktowi wyznać całą prawdę.

- Dlaczego?

- Inaczej nasz plan nie powiedzie się.

- Ale...

- Muszę - upierałam się. - On się w lot zorientuje, że jest to jedyne wyjście, aby uniknąć jeszcze większego skandalu. W twojej bajeczce mogą być jakieś luki, nielogiczności - dam głowę, że na pewno są. Dla mnie plan jest mocno naciągany. Jeżeli Benedykt będzie znał prawdę, dostosuje się do naszej gry. W ten sposób nam pomoże.

- Ale co o mnie pomyśli?

- Przynajmniej się na końcu zrehabilitowałeś.

- Wstawisz się za mną, prawda?

- Naturalnie, że tak... i dziękuję ci. W gruncie rzeczy jestem ci szalenie zobowiązana.

- Zrobiłbym dla ciebie wszystko, Rebeko. Wiem, jak bardzo ci na tym zależy. Ale przede wszystkim musimy wprowadzić z powrotem Celeste pod dach jej męża.

- A więc pamiętaj, wszystko mu powiem.

- Rób, jak uważasz. Już widzę, jak on wszystko analizuje i być może rzeczywiście dostrzeże coś, co my przeoczyliśmy, a co by nas zdradziło.

Opuściliśmy “Diabła w Koronie” i po chwili jechałam już w stronę domu Cartwrightów.

Nie było czasu do stracenia. Poszłam do swego pokoju i włożyłam kilka drobiazgów do torby. Zeszłam na dół i z ulgą stwierdziłam, że Morwenna już wróciła.

- Morwenna, dziś wieczorem postanowiłam przenoć w domu Benedykta -

poinformowałam ją. - Mam tam pewne rzeczy, które powinnam zabrać do Manorleigh. Będzie mi wygodniej, jeżeli zostanę tam jedną lub dwie noce.

- Wychodzisz już teraz?

- Tak - odparłam - za chwilę. Lubię sprawy załatwiać od razu. Zamierzam wkrótce wrócić do Manorleigh.

- Czy nie będziesz się tam czuć nieswojo, sama... bez rodziny.

- W żadnym wypadku, nie obawiaj się.

Na razie wszystko przebiegało łatwiej, niż myślałam.

Przyjechałam do domu Benedykta i zapowiedziałam służbie, że zamierzam w nim zostać dzień lub dwa.

Popołudnie ciągnęło się bezlitośnie. Wydawało się, że nigdy się nie skończy. Aż tu nagle...

głośne pukanie do drzwi rozległo się echem w całym domu. Zeszłam po schodach. Czekałam w pobliżu, kiedy służąca otwierała frontowe wejście. Usłyszałam jej zdziwiony okrzyk. Pośpieszyłam do drzwi.

- Celeste! - wykrzyknęłam. - To ty? Och... Celeste! - Rzuciłam się ku niej i objęłam ją ramionami.

Była bardzo blada i oszołomiona.

- Rebeka... - wyszeptała.

Zwróciłam się do służącej:

- Pani Lansdon wróciła do domu. - Zaczęłam wołać: - Wróciła... jest cała i zdrowa! -

Starałam się sobie wyobrazić, jaka byłaby moja reakcja, gdybym nie była uprzedzona o jej przybyciu.

W holu zdążyło się już zebrać kilka osób. Wszyscy patrzyli na Celeste jak na ducha.

Kamerdyner i ochmistrzyni stawili się na wezwanie. Zwróciłam się do nich.

- Jaśnie pani jest chora - oświadczyłam. - Zaprowadzę ją do łóżka. Przygotujcie butelki z gorącą wodą do pościeli. Ma silne dreszcze. Wezwijcie doktora! Poślijcie po pana Lansdona.

Powiem wam, co macie mu przekazać. Poślijcie natychmiast... ale na razie ani słowa nikomu, że pani wróciła.

Napisałam depezę: "Przyjeżdżaj natychmiast. Czeka cię zaskakująca niespodzianka. Twoja obecność jest konieczna".

- Wiadomość o powrocie pani Lansdon nie ma prawa przedostać się na zewnątrz - przestrzegłam służbę. - Musimy poczekać na pana Lansdona. Będzie wiedział, jak postąpić.

Wszyscy słuchali zaleknieni.

Dystyngowany kamerdyner skinął głową. Ten nigdy nie okazywał, co myśli. Przypuszczam, że uznał za słuszne moje rozumowanie. Nikt nie życzył sobie prasy, dopóki nie przyjedzie pan Lansdon. Łatwo jest powiedzieć coś bez zastanowienia, czego potem można gorzko żałować.

Zaprowadziłam Celeste do jej pokoju. Znoszono butelki z gorącą wodą. Kiedy służba się wyniosła, pomogłam jej się rozebrać i położyć do łóżka.

- Staraj się odzywać jak najmniej, Celeste - powiedziałam. - Dobrze to odegrałaś.

Wyglądasz naprawdę na odurzoną i otumanioną.

- Kiedy ja się rzeczywiście tak czuję - odparła. - Och, Rebeko, tak się boję!

- Nasz plan się powiedzie. Tylko nic nie mów. Po prostu się nie odzywaj. Nie odpowiadaj na pytania, jeżeli będziesz uważała, że są kłopotliwe. Przekonasz się, że wszystko będzie po naszej myśli.

- Benedykt...

- Zrozumie. Już ja się postaram, aby zrozumiał.

- Och, Rebeko! - szlochała z twarzą na moim ramieniu.

- Posłuchaj, Celeste - rzekłam. - To był straszliwy okres dla nas i dla ciebie, ale się szczęśliwie skończył. Od tej chwili życie inaczej się potoczy. Wierzę w to głęboko.

Spoglądała na mnie wzrokiem pełnym ufności, a mnie pod tym spojrzeniem zrobiło się trochę nieswojo. Mówiłam tak, by również siebie pocieszyć, ponieważ przejmowałam się nie mniej od niej.

Ochmistrzyni zapukała do drzwi. Wysłałam z pokoju, nie chcąc, aby Celeste była świadkiem naszej rozmowy.

- Wysłaliśmy już depezę do Manorleigh - zakomunikowała - a doktora tylko co patrzeć.

- Dziękuję, pani Greaves - odparłam. - Stała się rzecz straszna. Wygląda na to, że pani Lansdon straciła pamięć.

- Słyszałam o takich przypadkach, panno Rebeko.

- Ona wyzdrowieje. Już w tej chwili zaczyna jej się trochę rozjaśniać w głowie. Jak zdołałam się zorientować, rozpoznała swój dom, co dobrze rokuje.

- Biedna pani. Musiała wiele przejść w ostatnim czasie.

- Tak, ale zrobimy, co w naszej mocy, by doszła do siebie. Kiedy pan Lansdon przyjedzie...

- Oczywiście, panno Rebeko. Och, ktoś puka do drzwi. To pewno doktor.

Zesłam na dół. Znałam lekarza, ponieważ był już w tym domu kilka razy. Zwróciłam się do niego:

- Wydarzyła się niesłychana historia. Wiem, że pan Lansdon nie życzyłby sobie, aby sprawa się rozniosła, nim sam jej nie przemyśli. Wkrótce tu będzie. Wysłaliśmy do niego depezę. Pani Lansdon jest z powrotem w domu.

Był zaskoczony.

- Tak - kontynuowałam - ale wydaje się, że straciła pamięć.

- To wszystko wyjaśnia.

- Doktorze Jannings, wiem, że mogę liczyć na pańską dyskrecję. Chodzi o to, aby przed przyjazdem pana Lansdona nikt się nie dowiedział, że ona wróciła. Biorąc pod uwagę jego pozycję oraz szum, jaki powstał po jej zaginięciu, pewne jest, że prasa nie da nam żyć.

- Rozumiem - odrzekł doktor. - Tak, oczywiście.

- Przypuszczam, że pan Lansdon po przyjeździe naradzi się z panem. Tymczasem uważam, że trzeba zbadać panią Lansdon. Jest w kiepskim stanie, a wszelkie pytania bardzo ją denerwują.

- Dobrze. Zaraz ją zobaczę. Dam jej coś na uspokojenie. Z tego, co słyszę, potrzebuje teraz spokoju i odpoczynku. Kiedy dojdzie do siebie, wtedy pomyślimy, co robić dalej.

- Zaprowadzę pana do niej.

Weszłam do sypialni. Celeste wyglądała na przestraszoną. Zwróciłam się do niej:

- To tylko doktor, Celeste. Da ci lekarstwo, po którym uspokoisz się i zaśniesz. Nie lękaj się. Jesteś już w domu, wśród swoich.

Byłam przy lekarzu, kiedy ją badał. Obawiałam się, czy nie zada jej jakiegoś kłopotliwego pytania. W stanie, w jakim się obecnie znajdowała, było wątpliwe, czy potrafi z niego umiejętnie wybrnąć.

Na szczęście moje obawy okazały się płonne. Doktor był bardzo taktowny i przede wszystkim starał się ją uspokoić. Dał jej lekarstwo, po którym, jak zapowiedział, powinna zasnąć zdrowym i głębokim snem. Razem wyszliśmy z sypialni. Doktor zamknął drzwi i powiedział do mnie:

- Pani Lansdon sprawia wrażenie zupełnie zdezorientowanej i zamroczonej. Co za szczęście, że rozpoznała swój dom. Jest to kliniczny przypadek amnezji.

- Mam nadzieję, że pamięć jej wróci.
 - Stopniowo. Ale to może potrwać jakiś czas.
 - Ogromnie się cieszę, że wróciła.
 - Musiał to być dla państwa niezwykle trudny okres. Zważywszy na okoliczności, jest to chyba najlepsze, co mogło jej się przydarzyć. Stan fizyczny nie jest zły; cierpi po prostu na chwilowe zaćmienie umysłu. Zdarzają się takie przypadki.
 - Spotkał się pan z czymś podobnym w swej dotychczasowej praktyce?
 - Owszem spotkałem... raz jeden.
 - Czy ta osoba wyzdrowiała... całkowicie?
 - Tak, jednak trwało to jakiś czas.
 - Tak mi teraz lekko na duszy. Mam nadzieję, że pan Lansdon wkrótce się zjawi.
 - Obecność męża powinna w znacznym stopniu przyczynić się do polepszenia jej stanu, takie odnoszę wrażenie. Im więcej bliskich twarzy rozpozna wokół siebie, tym dla niej lepiej. Znajome otoczenie bardzo w takich razach pomaga.
- Kiedy wyszedł, poczułam się, jakby kamień spadł mi z serca. Pokonaliśmy już pierwszą przeszkodę.
- Wróciłam do sypialni. Celeste spojrzała na mnie sennym okiem.
- Usiadłam przy jej łóżku. Poszukała mojej ręki i uczepliła się jej kurczowo. Za chwilę spała już głęboko.
- Nie odchodziłam od niej. Zdawało mi się, że siedzę tak wiecznie całą... czekając na Benedykta.
- Wreszcie usłyszałam jego powóz przed domem. Ujrzałam, jak z niego wysiada. Zbiegłam do holu, a kiedy wszedł, podeszłam do niego.
- Rebeka?! - wykrzyknął.

- Benedykcie, mam ci coś ważnego do zakomunikowania. Chodź do mego pokoju!

Poszedł za mną. Zamknęłam starannie drzwi i stanęłam naprzeciwko niego, patrząc mu prosto w twarz.

- Celeste jest tutaj - oznajmiłam uroczyście.

- Tutaj? - spoglądał na mnie z niedowierzaniem.

- Odnalazłam ją.

- Co? Gdzie? Jak się miewa?

- Jest u siebie, w łóżku... śpi teraz głęboko. Posłałam po doktora. Przyszedł i zaaplikował jej środek uspokajający. Powiedział, że potrzebny jej jest długi wypoczynek. Przeszła gehennę.

- Co? - powtórzył. - Jak...?

- Opowiem ci wszystko od początku - zapowiedziałam, po czym zaczęłam szczegółowo relacjonować ostatnie wydarzenia. Słuchał z niedowierzaniem, ale i z wyraźną ulgą.

- Muszę ją zobaczyć - rzekł w końcu.

- Ona teraz śpi. Ale chodź. Widzę, że nie możesz uwierzyć, że naprawdę wróciła.

Zaprowadziłam go do sypialni. Celeste leżała w łóżku, pogrążona w głębokim śnie. Była bardzo blada. Jej piękne gęste włosy, rozsypane w nieładzie na poduszce, odcinały się ciemnymi pasmami od białej pościeli.

- Jak ona młodo wygląda - stwierdził zaskoczony.

- Muszę z tobą porozmawiać, Benedykcie. Kiedy Celeste się zbudzi, chcę, abyś wszystko już wiedział. Proszę cię, pozwól do mego pokoju.

Nigdy nie widziałam go w takim stanie. Zachowywał się jak lunatyk. Widocznie z trudem przychodziło mu uwierzyć w to, co go spotyka.

- Dużo myślałam o tej sprawie - zaczęłam. - To samo mogę powiedzieć o Gersonie. Wiem, że go nienawidzisz, ale jest sprytnym facetem. Osiągnął swój cel: nie dopuścił, byś został

ministrem. To jest jego słodka zemsta.

- Powinien zostać postawiony przed sąd za udział w intrydze... znalazł jej kryjówkę, pomagał jej, podzegał i namawiał do tego czynu... i nie informował policji o miejscu jej pobytu.

- Wszystko trzeba puścić w niepamięć. Jeżeli będziesz chował urazę i nienawiść, tylko pogorszysz sprawę. Nikt nie jest bez winy... tobie także można wiele zarzucić. Zanedbywałeś ją, lekceważyłeś. Doprowadziłeś do takiej desperacji, że w końcu zdecydowała się na rozpaczliwy krok. Utrzymujesz zamknięty pokój. Jak mogłeś... w domu, w którym mieszka ona, twoja żona?

Tak bardzo cię kocha... bardziej niż na to zasługujesz. Zapomnij więc, proszę, o swym rozgoryczeniu i zaniechaj myśli o zemście. Ponosisz nie mniejszą winę niż Oliver Gerson. Ten przynajmniej okazał skruchę i teraz szczerze żałuje swego postępuku. Dzięki niemu odnalazłam Celeste. To on nam pomógł. To jego był pomysł, by symulowała utratę pamięci, co chyba jest najlepszym wyjściem, Benedykcie. A więc zapomnij o urazach. Oliver Gerson zniknął z twego życia. Powiedziałaś mu słowa, których nie mógł ci darować, i dlatego zemścił się na tobie. Nie możemy zapominać o prasie. Będą ci następować na pięty. Nie dadzą ci żyć. Poddajemy ci pomysł, jak wybrnąć z tej sytuacji. Ogłosisz, że Celeste wróciła i że cierpi na zanik pamięci. W tej chwili nie wiemy, co było tego powodem, a doktor na razie stanowczo zabronił niepokoić żonę pytaniami, bo ją denerwują. Przez jakiś czas wymaga stałej opieki lekarskiej.

Skinął głową potakująco i uśmiechnął się do mnie zagadkowo.

- Jak widzę - rzekł - opracowaliście całkiem logiczny plan.

- Musieliśmy, Benedykcie. Musimy myśleć o niej. Bo zasługuje na to, by życie nabrało dla niej jakiegoś sensu. Nigdy nie powinna zaistnieć taka sytuacja. Gdyby nie ten wypadek, byłbyś już ministrem. Nie doszłoby do skandalu i wszyscy oszczędzilibyśmy sobie tego straszliwego napięcia i strachu, jaki nam towarzyszył przez te ostatnie tygodnie.

- Wiem. Masz rację. To był mój błąd. Źle postępowałem...

- Mam nadzieję, że to się teraz zmieni?

Odparł niskim, ochrypłym głosem:

- Postaram się zrobić, co w mej mocy, Rebeko.

- Zrobisz to. Obiecuj mi!

Wziął mnie za rękę i przyciągnął do siebie. Objęłam go ramionami.

- Między nami już zapanowała zgoda. Musi także nastąpić zmiana między tobą a Celeste - przekonywałam go.

Nie odpowiedział. Myślę, że nie był w stanie wykrzusić słowa ze wzruszenia.

- Dzięki tobie, Benedyckie - kontynuowałam - mam szansę odzyskać swoje szczęście.

Chciałabym ci się w jakiś sposób za to odwdzięczyć...

- Rebeko - rzekł - stałaś się moim aniołem stróżem. - Roześmiał się, co prawda trochę niepewnie, i odsunął mnie od siebie na długość ramienia. - Dzięki Bogu, że dał mi ciebie... - powiedział z uczuciem.

- Podziękujmy Bogu, że mamy siebie - dodałam.

Zaprowadziłam go do małżeńskiej sypialni. Leżała w łóżku zamroczona, ale już przebudzona.

- Celeste - odezwałam się miękko. - Benedykt jest tutaj.

Oprzytomniała natychmiast. Usiadła w pościeli z wyrazem lęku na twarzy. Podeszedł do niej i objął ją serdecznie.

- Tak się cieszę, że jesteś - rzekł ciepło.

Przywarła do niego całym ciałem.

- Nie lękaj się, Celeste - powiedziałam uspokajająco. - Benedykt jest taki szczęśliwy, że wróciłaś. Wie już wszystko. Rozumie... i nie masz powodu do obaw.

Zamknęłam za nim drzwi.

Miałam ochotę śpiewać z radości. Wiedziałam, że za jakiś czas wszystko się dobrze ułoży.

Wyznanie

Podczas następnych kilku dni bardzo wiele się wydarzyło. Serce mi rosło, kiedy patrzyłam na promieniejącą szczęściem Celeste. Wiedziała, że Benedykt zna całą prawdę, i że nie musi się już obawiać żadnych wymówek ani pretensji. Zrozumiał swoją winę i widać było, że pragnie wynagrodzić cierpienia, jakie jej zadał w przeszłości. Odnosiło się wrażenie, jakby żyła w błogim transie.

Doktor był zadowolony z tempa, w jakim wracała do zdrowia, ale ostrzegł, że nie należy przypominać jej o tym, co przeszła, chyba że sama podejmie temat. Benedykt mężnie stawiał czoło hordzie dziennikarzy, w rezultacie czego w gazetach ponownie zaroilo się od sensacyjnych nagłówków.

Przedstawiano go teraz jako rozradowanego męża, który dzielnie i z godnością zniósł mękę niepewności i obawy o los zaginionej małżonki. Przypomnił mi się wuj Peter, który powiedziałby w takim wypadku, że ta sprawa w konsekwencji przyczyni się jedynie do zwiększenia popularności Benedykta. "Ludzie za niczym tak nie przepadają - mawiał - jak za historiami o miłości, które się dobrze kończą".

Oczywiście wielka szkoda, że stało się to już po zmianach w rządzie, ale wuj Peter i w tym wypadku pozostałby optymistą. Rzekłby filozoficznie, że przecież za jakiś czas pojawi się kolejna szansa. Wizerunek zbolełego męża, świętującego powrót cierpiącej na zanik pamięci żony, jedynie z większą siłą przemówi do serc i wyobraźni wyborców.

Oznajmiłam Benedyktowi, kiedy znaleźliśmy się we dwoje, że chciałabym wcześniej niż oni wrócić do Manorleigh. Zamierzam zlikwidować zamknięty pokój - oświadczyłam. Opróżnię go z rzeczy mojej matki i trochę przemebluję. Pani Emery mi w tym pomoże.

Byłam mile zaskoczona pozytywną reakcją Benedykta: nie zaprotestował ani słowem. On i

Celeste zamierzali zostać w Londynie jeszcze kilka dni. Poświęcał jej teraz wszystkie wolne chwile, rozmawiając o polityce i wciągając w swoje sprawy. Ona odpowiadała jak kwiat otwierający się do słońca. Szczęście nadało świeżych barw jej urodzie, która zajaśniała pełnym blaskiem. Odkryłam również, że cechuje ją poczucie humoru, a nawet skłonność do wesołości, czego dotychczas nigdy nie ujawniała.

Wkrótce potem wyjechałam do Manorleigh.

Powrót Celeste wywołał w domu wielką radość. Dzieci przejęte i zaciekawione zasypywały mnie pytaniami. Wyjaśniłam im, że macocha zgubiła się, ponieważ zapomniała, kim jest i gdzie mieszka. Słuchały z oczami rozszerzonymi ze zdziwienia i emocji.

- Pewnego dnia, wędrując po Londynie, uzmysłowiła sobie, że skądś zna ten dom, że przecież tu mieszkała - zakończyłam.

- Jak to się mogło stać, że zapomniała, kim jest? - uporczywie dopytywała się Belinda.

- Zdarzają się takie wypadki... czasami.

- Czy już sobie wszystko przypomniała? - zapytała Lucie.

- To stopniowy proces, ale wkrótce przypomni sobie wszystko.

Belinda zamyśliła się. Ciekawa byłam, jakie myśli chodzą jej w tej chwili po głowie.

Nie czekając, odbyłam rozmowę z panią Emery. Starym zwyczajem zasiadłyśmy do herbaty w jej saloniku.

- Myślę, że teraz wszystko ulegnie zmianie, pani Emery - zaczęłam. - Pan Lansdon bardzo przeżywał zniknięcie żony, jak pani wiadomo.

- To się rozumie - odparła pani Emery.

- Ale ten dramat sprawił, iż sobie wreszcie uzmysłowił, jak bardzo mu na niej zależy.

Pani Emery kiwnęła ze zrozumieniem głową.

- Ile czasu musiało upłynąć, nim doszedł do tego wniosku - dodała sarkastycznie.

- A teraz do rzeczy, pani Emery. Chodzi o zamknięty pokój: zostanie otwarty. Chcę, by pani pomogła mi się tym zająć, i to bezzwłocznie. Zamierzam wynieść stamtąd ubrania mojej mamy, jej osobiste drobiazgi... wszystko, czego używała za życia, a co znajduje się w tym apartamencie.

Pani Emery odetchnęła z ulgą.

- Czy pan Lansdon już o tym wie? - zapytała.

- Wie, bo mu powiedziałam. Nie zaprotestował. Zdaje sobie sprawę, że mam słuszość.

Zapowiedziałam, że zanim wrócę, pokój będzie już ogólnie dostępny.

- To dobrze, tak być powinno. Nigdy mi się ta sytuacja nie podobała.

- Pomyślałam, że należałoby go trochę zmienić, usunąć niektóre meble. Biurko, w którym pan Lansdon trzyma swoje papiery, musi pozostać. Sam zdecyduje, co z nim zrobić. Natomiast wszystkie ubrania musimy stamtąd zabrać. Może na strychu są jakieś meble nadające się do tego pokoju; wstawimy je na miejsce tych, których się pozbędziemy. Chodzi o to, aby pokój zmienił charakter, przybrał inny, bardziej bezosobowy wygląd.

- Rozumiem, o co pani chodzi, panno Rebeko. Proszę mi dać znać, kiedy zechce się pani zabrać do pracy.

Zanim minęły dwadzieścia cztery godziny, apartament zmienił się nie do poznania.

Spakowałam ubrania matki i kazałam wynieść je na strych. Szczotkę do włosów z jej monogramem zabrałam sobie na pamiątkę. Kiedy porządkowanie zostało zakończone, nic już w tym pokoju nie przypominało, że był niegdyś jej własnością.

Obecnie wszystko już było gotowe na przyjazd Celeste.

Od Pedreka nadal nie było odpowiedzi. Przekonywałam siebie, że korespondencja z

Australii idzie bardzo długo, niemniej brak wieści od niego zasiał w moim sercu ziarno niepokoju.

Zaczęłam się naprawdę obawiać, czy do mnie wróci. Może moja postawa zbyt boleśnie go dotknęła.

Staralam się odpychać od siebie niepokojące myśli. Jeszcze za wcześnie na odpowiedź - przekonywałam siebie. On wróci. Musi wrócić. Benedykt i Celeste mają szansę, by rozpocząć nowe życie, dlatego więc ja i Pedrek nie możemy na nią liczyć.

Zauważyłam, że Tom Marner jakby trochę stracił na humorze. Zastanowiło mnie to i przy najbliższej okazji, kiedy dzieci odrabiały lekcje pod kierunkiem panny Stringer, postanowiłam porozmawiać z nim w cztery oczy.

Zapytałam, co go dręczy.

Milczał przez chwilę, nim odpowiedział na pytanie.

- Wspaniale spędziłem czas w waszym gościnnym domu - zapewnił. - Okazano mi tutaj tyle serca. Nie chciałem was opuszczać w dramatycznym okresie, kiedy los pani Lansdon był niewiadomy. Teraz jednak, kiedy pani domu się odnalazła i wszystko zaczyna się dobrze układać, muszę niestety zbierać się do powrotu.

- Masz chyba odpowiednich ludzi, którzy pilnują twych interesów, kiedy ciebie nie ma.

- Oczywiście, że mam, ale taki stan nie może trwać w nieskończoność. Pani Lansdon wraca wreszcie pod swój dach... i ja powinienem pójść w jej ślady. Ale przyznaję, że ta perspektywa niezbyt mi się uśmiecha.

- Będzie nam ogromnie smutno, kiedy wyjedziesz. Nie wyobrażam sobie, co powie na to Belinda.

Uśmiechnął się.

- Ha! Mnie też będzie smutno rozstawać się z wami. Mam wrażenie, że i tak bawiłem tu za długo. Ale chciałem poczekać, aż wyjaśni się sprawa zniknięcia pani Lansdon. Teraz, kiedy już się to stało, powinienem ruszać w drogę.

- Tak mówisz, jakbyś się wcale nie cieszył.

- Bardzo mi było tutaj dobrze. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek spędził czas równie

przyjemnie.

- Rozstania zawsze są przykre, zwłaszcza kiedy ludzie zżyją się z sobą, tak jak my z tobą.

Mam jednak nadzieję, że za jakiś czas ponownie nas odwiedzisz.

- Tak sędzę - odparł.

A więc to była przyczyna jego przygnębienia. Odjeżdżał, i mimo że tęskni za Australią, z żalem opuszcza Manorleigh. Była to dla nas niewątpliwie satysfakcja, chociaż trudno nam będzie opanować smutek przy rozstaniu. Wszyscy go polubiliśmy.

Myślałam o Belindzie. Najpierw Oliver Gerson, a teraz znów Tom Marner. Rozłąka z nim na pewno będzie dla niej ciężkim i bolesnym przeżyciem.

Celeste i Benedykt powrócili wreszcie do Manorleigh. Kiedy przestępowali progi domu, zebrana w holu służba zgotowała im owacyjne powitanie. Była to niezwykle wzruszająca scena. Celeste promieniała. Nigdy nie widziałam jej wyglądającej tak korzystnie. Naturalnie, znałam przyczynę rozkwitu urody. Sprawił to Benedykt. Miałam nadzieję, że rola skruszonego męża, w jakiej obecnie występował, nie była tylko na pokaz, lecz że naprawdę zaczynało mu na niej zależeć.

Zapanowała ogólna radość. Kazałam Emery'emu przynieść szampana z piwnicy i wszyscy domownicy wypili za szczęśliwy powrót pani domu. Celeste podziękowała służbie z wrodzonym sobie wdziękiem, swobodnie i wesoło.

- Czuję się już prawie zdrowa - oświadczyła na koniec.

Odpowiedzieli gorącymi oklaskami.

Postanowiono uczcić to doniosłe wydarzenie, wydając wystawne przyjęcie. Zaproszono administratora majątku oraz wiele innych ważnych osób z okolicy, którzy pomagali Benedyktowi w politycznej działalności.

Dawniej podobne okazje wprawiały Celeste w popłoch. Była niepewna i wystraszona.

Obecnie zachowywała się zupełnie inaczej: zyskała pewność siebie. Benedykt oświadczył, że ją kocha, a ona promieniała z dumy, że będzie miała możność przyczynić się do jego sukcesu.

Nigdy bym nie uwierzyła, że w tak krótkim czasie może nastąpić u nich taka radykalna metamorfoza. Zakrawało to wręcz na cud.

A przyjęcie okazało się niezwykle udane.

Nie tylko Celeste była szczęśliwa. Benedykt również wyglądał na zadowolonego.

Przynajmniej takie odnosiłam wrażenie, chociaż chwilami ogarniały mnie wątpliwości, czy przypadkiem tak przekonująco nie udaje.

Czasami napotykałam jego wzrok. Odpowiadałam spojrzeniem, w którym wyrażałam zrozumienie. On naprawdę zaczynał dochodzić do siebie; powoli zamykał za sobą przeszłość.

Wiedziałam, że nigdy nie zapomni mej matki, że ona na zawsze zostanie w jego sercu i że wiecznie będzie za nią tęsknił. Ale przy boku miał teraz Celeste: ciepłą, żywą, kochającą, która go pocieszy, wesprze, kiedy zajdzie potrzeba. On zaś w miarę upływu czasu będzie ją kochał coraz mocniej.

Cały dom wiedział już, że Tom Marner zamierza nas wkrótce opuścić. Wszyscy żałowali, że wyjeżdża. Był taki wesoły i pełen życia, taki taktowny i uprzejmy dla każdego, niezależnie od pozycji, jaką ktoś zajmował.

- Wyjątkowo sympatyczny gentleman - stwierdziła pani Emery - chociaż nie pochodzi z najlepszej sfery.

Roześmiałam się i odparłam, że nie dzielę ludzi według klasowych kategorii.

- Jak to się mówi - dodała pani Emery z lekką naganą w głosie.

Panna Stringer zauważyła z troską:

- Dziewczynki są bardzo zmartwione, obydwie, ale Belinda przeżywa wyjątkowo mocno.

Przejawia obecnie wielkie zainteresowanie statkami i wciąż dopytuje się, ile czasu płynie się do Australii. Słyszałam, jak opowiadała Lucie o pasażerach na gapę, i podejrzewam, że chętnie by

została jednym z nich. To dziecko ma niepospolitą wyobraźnię.

Belinda niewątpliwie była niepohamowana w swych uczuciach. Czyż nie próbowała zniszczyć życia mego i Pedreka tylko dlatego, że uwielbiała Olivera Gersona?

Starałam się dociec, jak głębokie jest jej uczucie dla Toma Marnera. Ciągle dopytywała się o złotonośne tereny Australii.

- Jakie to cudowne, że tam właśnie przyszedł na świat, Rebeko - odezwała się pewnego razu. - Szczęściara z ciebie.

- Nie podzielałabym twego zdania. Nie było to najlepsze miejsce na urodzenie dziecka, zapewniam cię.

- Chciałabym się urodzić w miejscu, gdzie wydobywa się złoto. Czy do Australii jest daleko?

- Ten kontynent leży po drugiej stronie świata - pośpieszyła z wyjaśnieniem Lucie.

- Płynie się tam wielkim statkiem. Pełno na nim ludzi. Są wśród nich również pasażerowie na gapę.

- A co ty wiesz o pasażerach na gapę?

- Są to takie osoby, które wślizgują się w porcie ukradkiem na statek i wychodzą ze swej kryjówki dopiero wtedy, kiedy wypłynie na pełne morze i kiedy nie można ich już wysadzić na ląd.

- Można. Wysadzają ich w najbliższym porcie.

- Mądrzejsi wychodzą z ukrycia dopiero w Australii.

- Niemożliwe jest ukrywanie się tak długo.

- Co mądrzejsi potrafią. - Jej wzrok wyrażał głęboki namysł.

- Nie myślisz chyba zostać pasażerem na gapę? - zapytałam.

- To byłaby wielka przygoda! - stwierdziła z nagłym błyskiem w oku.

- Nie byłabyś zachwycona. W razie wpadki musiałabyś ciężko pracować za karę, aż do

kresu podróży.

- Nie miałabym nic przeciwko jakiejś pracy, a ty, Lucie?

- Ja także nie.

- A obieranie warzyw, mycie kuchni, szorowanie pokładu? - straszylaam je.

- Mogę myć pokład - wyraziła gotowość Belinda. - Lucie sprzątałaby kuchnię i obierała jarzyny.

- Mówisz kompletne bzdury! - zakończyłam.

Belinda martwiła mnie: to dziecko umiało wcielać w życie swoje dzikie fantazje.

Z Leah działo się coś dziwnego. Była roztargniona, chodziła pogrążona w myślach i głęboko czymś zaabsorbowana. Kilkakrotnie zwróciłam się do niej z jakimś pytaniem, ale nie otrzymałam odpowiedzi. Gwałtownie przywołana do rzeczywistości jąkała się, zmieszana, nie wiedząc, co mi odpowiedzieć.

Postanowiłam porozmawiać z nią na osobności. Wybrałam chwilę, kiedy dzieci miały zajęcia z panną Stringer, i poszłam do niej na górę. Zastałam ją porządkującą garderobę dziewczynek. Trzymała w rękach nocną koszulkę Belindy i wyglądała, jakby za chwilę miała się rozpłakać.

- Leah - zaczęłam. - Coś ci dolega, widzę to. Dlaczego mi nie powiesz? Może będę mogła ci pomóc.

Milczała, zagryzając wargi... i z całej siły walcząc ze łzami.

Kierowana nagłą myślą zapytałam:

- Czy to dlatego, że pan Marner wyjeżdża?

Spojrzała na mnie, a ja zrozumiałam, że przypadkowo odkryłam prawdę.

- Moja biedna Leah - rzekłam ze współczuciem. - Pozwoliłaś sobie zakochać się w nim, czy

tak?

Skinęła głową twierdząco.

- Och, Leah, tak mi przykro! Jestem pewna, że nie starał się ciebie uwieść... widzisz, on do wszystkich ma jednakowo przyjacielski stosunek.

- Wiem, ale dla mnie był szczególnie serdeczny.

- Tak mi przykro. Jestem pewna, że bardzo by się zmartwił, gdyby wiedział, że w ten sposób odebrałaś jego galanterię.

- On się nie zmartwi, panno Rebeko. Chce się ze mną ożenić. Prosił mnie, bym wyjechała z nim do Australii.

Otworzyłam szeroko oczy ze zdziwienia. Podbiegłam do Leah i ucałowałam ją.

- No dobrze - powiedziałam - dlaczego więc się smucisz? Przecież go kochasz, prawda?

- Och, tak! Kocham go bardzo. Jest najwspanialszym mężczyzną, jakiego spotkałam w życiu. Nie mogłam uwierzyć, że zainteresował się mną... w taki sposób jak ten.

- Leah, jesteś bardzo piękna. Jesteś również dobra i miła. Nic dziwnego, że się w tobie zakochał. Nie ma zatem powodu do smutku.

- Chodzi o Belinę. Nie mogę znieść myśli, że się z nią rozstanę.

- Moja droga Leah. Wiem, jakim darzysz ją uczuciem. To naturalne. Zajmowałaś się nią od chwili, kiedy przyszła na świat. Ale masz swoje własne życie i to ono przede wszystkim powinno cię obchodzić. Czasami się tak zdarza. Opiekunowie przywiązują się tak mocno do swych wychowanków, że kiedy przychodzi im się z nimi rozstać, przeżywają wielki wstrząs. Kiedyś jednak musi to nastąpić.

- Nie mogę jej zostawić. Po prostu nie mogę...

Wydawało mi się dziwne, że Belinda, to trudne, zbuntowane dziecko zasłużyła sobie na takie przywiązanie.

- Muszę dokonać wyboru - stwierdziła. - A nie wiem, w którą stronę się zwrócić.

- Czy powiedziałaś o tym panu Marnerowi? - zapytałam.

Potrząsnęła głową.

- Powiedziałam mu, że nie wiem, jak mam postąpić. On sądzi, że to dlatego, iż nie jestem pewna, czy go naprawdę kocham. Mówi, że da mi czas... a czas ucieka. On musi wracać do Australii i chce, bym jechała wraz z nim.

- Musisz jechać, Leah. Kochasz go, prawda? To jest twoja przyszłość.

- Tu nie chodzi o wybór między nimi. W każdym wypadku moje szczęście będzie tylko połowiczne.

- Och! Leah, przecież stawką jest twoje życie z Tomem Marnerem. Jestem pewna, że będzie z niego doskonały mąż. Będzie ci z nim cudownie, a Belinda... ona jest taka nieprzewidywalna, nie wiadomo, czy jej się za tydzień nie odmieni. Poza tym za jakiś czas ona również rozpocznie samodzielne życie i odejdzie od ciebie.

Twarz Leah skurczyła się z bólu.

- Bądź rozsądna - perswadowałam. - Pomyśl, co to oznacza. Twoja przyszłość... twoje małżeństwo... twoje własne dzieci. Nie możesz odrzucić tego wszystkiego dla dziecka, które wprowadzie kochasz, ale które nie jest twoje.

Wydawało się, że zaraz wybuchnie płaczem.

- Nie wiem, jak mam postąpić - powtarzała bezradnie. - Po prostu nie wiem.

- Idź i przemyśl wszystko. Nie wątpię, że podejmiesz właściwą decyzję.

Z tymi słowy wyszłam. Byłam przekonana, że nie odrzuci tego wielkiego daru, jakim było dla niej małżeństwo i uczucie Toma Marnera, tylko w imię miłości do cudzego dziecka.

W dwa dni później Benedykt przyszedł do mnie i oznajmił, że Tom Marner pragnie z nami porozmawiać.

- Z nami? - zdziwiłam się.

- Z tobą, ze mną i Celeste - wyjaśnił.

- Czy to chodzi o Leah? - zapytałam.

- Tak. Są oboje. Sprawiają wrażenie, jakby mieli coś ważnego do zakomunikowania. Wejdz do mego gabinetu. Tam się z nimi umówiłem.

Weszliśmy do środka. Za chwilę w gabinecie zjawiała się Celeste: odmieniona, promieniująca szczęściem żona, a nie lekceważona małżonka jak dawniej. Ilekroć na nią patrzyłam, tyle razy czułam ciepło koło serca.

- Ciekawa jestem, co to za sprawa? - zastanawiała się.

- Sądzę, że Tom Marner chce poślubić Leah, a Leah chce poślubić jego.

- Och, to będzie bardzo... bardzo... jak by to wyrazić?

- Właściwe - odpowiedziałam.

- To właśnie chciałam powiedzieć.

Weszli. Leah wyglądała na ogromnie przejętą, a Tom Marner był jak na niego wyjątkowo poważny.

- Siadajcie - zapraszał Benedykt - i mówcie, o co chodzi.

Nastąpiła krótka chwila milczenia. Tom Marner popatrzył na Leah i uśmiechnął się.

- No, zaczynaj - zachęcał ją.

Leah zebrała się na odwagę.

- To zaczęło się wtedy, kiedy zatrudniłam się w High Tor przy naprawianiu arrasów - zaczęła. - Po raz pierwszy wówczas oddaliłam się od domu.

- Pamiętam dzień, w którym do nas przybyłaś - wyrzekła półgłosem Celeste.

- Tak, widziałam panią - kontynuowała Leah. - Wydawało mi się, że znalazłam się w zupełnie innym świecie. Nigdy przedtem nie opuszczałam domu na dłużej. Wszyscy byli dla mnie

bardzo mili... zwłaszcza pan Jean Pascal.

Odetchnęłam głęboko. Nie mogłam słuchać tego imienia bez dreszczu strachu. Zaczynałam się już domyślać dalszego ciągu.

- Mnie... mnie się wydawało, że jestem w nim zakochana. Byłam przekonana, że się pobierzemy. Proszę, zrozumcie mnie. Nie miałam najmniejszego pojęcia o świecie. Przez całe życie mieszkałam z matką, która ciągle mówiła o grzechu, ogniu piekielnym, smażeniu się w smole i podobnych rzeczach. Wiedziałam, że zgrzeszyłam, ale stało się. Nigdy nie było mowy o małżeństwie, ale ja byłam przekonana, że kiedy dwoje ludzi robi to, co my robiliśmy, muszą się pobrać... kiedyś.

- Rozumiemy, Leah - uspokajałam ją.

- Ukończyłam renowację arrasów i wróciłam do domu... do swej matki. I wtedy odkryłam, że jestem w ciąży. Znaliście moją matkę...

- Dobrze ją znałam - potwierdziłam. Wyobraziłam sobie sceny, jakie rozegrały się w chacie pani Polhenny po tym odkryciu: strach Leah, wściekłość jej matki. Ona, która wszędzie węszyła grzech i na każdym kroku wytykała ludziom niemoralne zachowanie, teraz oto dowiaduje się, że jej własna córka będzie miała nieślubne dziecko.

- Zarzuciła mi, że jestem grzesznicą - mówiła dalej Leah - i że pójdę do piekła. Rozpaczała, że jesteśmy zgubione w ludzkich oczach. Zaczęła się zastanawiać, jak wybrnąć z tej sytuacji.

Wyśle mnie z domu. Będę musiała sama sobie radzić.

- A więc tak wyglądało jej chrześcijańskie miłosierdzie - mruknął Benedykt.

- Nie osądzajcie jej zbyt surowo - prosiła Leah. - Działała w najlepszej wierze. Była przekonana, że ma słuszość. Przypadkowo zdradziła się przede mną ze swej wielkiej tajemnicy... była wtedy taka zdenerwowana i nie kontrolowała swoich myśli. Przeżywała kiedyś bardzo trudny okres w swoim życiu. Twierdziła, że nazywa się pani Polhenny, ale w rzeczywistości nigdy nie

miała męża. Przydarzyło jej się to samo co mnie. Kiedy miała szesnaście lat, została uwiedziona przez dziedzica w swej rodzinnej wsi. W rezultacie przyszło na świat dziecko - ja. Dla jej rodziców był to ogromny cios. Zdruzgotani wysłali ją do ciotki, u której udawała wdowę. Ciotka była akuszerką i od niej moja matka nauczyła się tego zawodu. Po pewnym czasie przeniosła się do Poldorey i zaczęła zarabiać na życie jako położna. Ja miałam wtedy około pięciu lat. To przeżycie zrobiło z niej religijną fanatyczkę. Głęboko wierzyła, że Bóg jej pomógł i że ona, tu, na ziemi, ma do spełnienia ważną misję: nawracanie zbłąkanych owieczek na drogę cnoty. Rozumiałam jej uczucia, jej strach i przerażenie... i było mi ogromnie przykro, że swoim postępkami przysporzyłam jej tyle cierpienia. Trzymała mnie zamkniętą w chacie. Ludziom powiedziała, że wyjechałam do ciotki, do St Ives. Nigdy nie miałam tam żadnej ciotki.

- Wydawało mi się raz, że widziałam cię przez szybę w oknie - przypomniałam sobie. -
Mignęłaś mi przelotnie, po czym zniknęłaś.

- Tak - potwierdziła Leah. - Ja też panienkę wtedy widziałam. Byłam przerażona.

Drętwiałam na myśl, że ktoś może mnie zobaczyć i odkryć, że jestem w ciąży. I wtedy matka obmyśliła ten plan. Powiedziała, że nigdy nie będzie mogła spojrzeć ludziom w miemie w oczy, gdyby wyszło na jaw, że jej córka prowadziła się niemoralnie. Zrobi wszystko - wszystko - aby nikt się o tym nie dowiedział. I oto na jaki pomysł wpadła. Jenny Stubbs od dłuższego czasu obwieszczała wokół, że jest w ciąży. Ona koniecznie chciała mieć dziecko. Jako akuszerka moja matka z łatwością mogła zrealizować swój zamysł. Jenny miała już kiedyś dziecko. Matka postanowiła, że ją zbada i będzie wszystkim opowiadać, iż Jenny faktycznie jest w ciąży. Potem zaopiekuje się nią i ogłosi, że Jenny urodziła dziecko. Tylko że to dziecko będzie moje. Im dłużej o tym myślała, tym bardziej ten plan wydawał jej się realny. Pozbędzie się mego niemowlęcia, a moja cnota, przynajmniej dla świata, zostanie zachowana w nienaruszonym stanie.

- A zatem - wykrzyknęłam - Lucie jest twoją córką!

- Nie wyszło tak, jak matka sobie obmyśliła. W tym czasie urodziła dziecko również mama panienki. Jaśnie pani umarła i w pierwszej chwili mało zajmowano się noworodkiem. Było to wątłe, słabowite niemowlę. Matka była przekonana, że dziecko się nie uchowa. Dawała dziewczynce najwyżej kilka dni, no, może tygodni życia. Matka zawsze lubiła dzieci i dopiero z wiekiem, jej zdaniem, zamieniały się one w diablęta. I wtedy dokonała zamiany. Wzięła chorowite dziecko pani Lansdon i dała je Jenny, a moje umieściła w dzieciennym pokoju na zamku w Cador. Moje dziecko było zdrowe i silne i wydawało się, że nie może być lepszego wyjścia. Moja córeczka wychowała się w warunkach, o jakich Jenny Stubbs mogła tylko śnić. Matka uważała, że rozwiązała problem najlepiej, jak było można, bądź co bądź była babką mego dziecka. Nie przypuszczaliśmy, że Lucie nabierze sił i przetrwa kryzys.

Spojrzałam na Benedykta. Był równie wstrząśnięty jak ja.

Zabrał głos Tom Marner:

- Widzicie więc... Belinda jest dzieckiem Leah.

- A to oznacza - powiedział Benedykt - że moją córką jest Lucie.

Nastąpiło długie milczenie. W mojej pamięci odżyło wspomnienie tej chwili, kiedy prawie fizycznie czułam przy sobie obecność matki. Przypomniałam sobie ów nieodparty wewnętrzny przymus, który kazał mi zaopiekować się Lucie. Ogarnął mnie lęk, który nagle ustąpił uczuciu ogromnego szczęścia. Uczyniłam to, co wiedziałam, że moja matka chciała, bym uczyniła, a ja nigdy nie podawałam tego w wątpliwość.

- Leah wyznała mi wszystko, a ja ją przekonałem, że musi wam o tym powiedzieć -

powiedział Tom Marner. - Ta sprawa dotyczy nas wszystkich i razem musimy znaleźć wyjście z sytuacji. Domyślacie się chyba, jak Leah się teraz czuje.

- Masz słuszość - zgodził się Benedykt. - Ale to jest wielki wstrząs dla nas wszystkich.

- Ogromnie nam zależy - kontynuował Tom - byśmy mogli zabrać Belindę ze sobą do

Australii.

Tego wieczora zasiedliśmy razem w salonie: Benedykt, Tom Marner, Celeste i ja. Leah była zbyt zdenerwowana, by dotrzymać nam towarzystwa.

- Nadal jest mi trudno przyjąć do wiadomości to, co opowiedziała Leah - odezwał się w zamyśleniu Benedykt. - Kto by uwierzył, że akuszerka miała taki pokrętny umysł.

- Ja w to wierzę - odrzekłam. - Ale ten grzech ciążył jej na sumieniu. Rozumiem teraz, dlaczego przed śmiercią koniecznie chciała zobaczyć się z moją babcią. Chciała się przed nią wyświadczyć. Gdyby zdążyła, wiedzielibyśmy o tym już dawno.

- Leah nie można rozłączyć z córką - oświadczyła Celeste. - Mam nadzieję, że będzie szczęśliwa. Belinda jest moją siostrzenicą, jak wiecie. Czuję się za nią w pewien sposób odpowiedzialna.

- Zawsze mnie coś ciągnęło do Lucie - powiedział jakby do siebie Benedykt. - Widocznie istnieje jakaś podświadoma skłonność, która pcha ku sobie ojca i dziecko, nawet jeśli nie wiedzą, jaki związek ich łączy.

- Ja również bardzo lubię Lucie - wyznała Celeste.

Rozmawialiśmy długo, długo w noc. Tom Marner przekonywał nas żarliwie. Chciał zabrać do Australii Leah wraz z Belindą.

- Jest to dziwna dziewczynka - stwierdził. - Trzeba umieć się z nią obchodzić.

Uśmiechał się do siebie. On wiedział, jak z nią postępować. Nie musiał mnie przekonywać; widziałam jaką przyjaźń łączyła go z Belindą. Co więcej, Belinda nigdy nie byłaby szczęśliwa, gdyby ją zostawili. Wydawało mi się, sądząc po jej zachowaniu, że mnie lubi. Nie wątpiłam, że jest do mnie przywiązana... trochę. Ale Leah zawsze była u niej pierwsza; byłam pewna, że w krótkim czasie Tom podzieli to miejsce w jej sercu.

Uważam, że dla każdego z nas stało się jasne, iż kiedy Leah i Tom wyruszą do Australii, to

dziwne dziecko, ten odmieniec, Belinda, pojedzie z nimi również - ze swoją matką i ojczymem, którego sobie upodobała.

Ślub odbył się w niedługi czas potem. Nie było powodu ani czasu, by go odkładać - zawyrokował Tom. Belinda i Lucie były druhnami.

Belinda była niezwykle przejęta. Bezustannie rozprawiała o Australii i przymiotach swego nowego ojca.

Zachowywała się trochę niedelikatnie w stosunku do nas, którzy dbaliśmy o nią przez te wszystkie lata, ale była taka szczęśliwa i przejęta, że nie potrafiła ukryć swoich uczuć. Wszyscy to rozumieli.

Po kościelnej ceremonii udaliśmy się do Manor Grange na weselne przyjęcie.

Kiedy wchodziłam do holu, zatrzymała mnie jedna ze służących. Oczy jej błyszczały.

Oznajmiła piskliwym głosem:

- Jest tu ktoś, kto się chce z panienką zobaczyć, panno Rebeko. Czeka w małym pokoju.

Weszłam do gabinetu, w którym Benedykt przyjmował swoich wyborców i wysłuchiwał ich skarg i sugestii. Ujrzałam mężczyznę stojącego tyłem do okna. Zmienił się. Był opalony na jasny brąz i wydawało się, jakby się trochę postarzał.

- Pedrek! - wykrzyknęłam.

Rzuciliśmy się ku sobie.

Uścisk był tak silny, że zatrzymał nam oddech w piersiach. Wykrztusiłam z trudnością:

- A zatem wróciłeś! Tak wyczekiwałam wiadomości od ciebie!

- Myślałem, że lepiej będzie, jeśli osobiście przybędę.

- Nareszcie! Tak długo to trwało.

- To już nie ma znaczenia. Liczy się tylko teraźniejszość. Ani na chwilę przez cały czas nie przestałem cię kochać, Rebeko.

- Ani ja ciebie.

- Pamiętaj, nigdy więcej nie wolno ci we mnie wątpić.

- Nigdy... nigdy... nigdy - przyrzekłam.

Tyle było do opowiadania... tyle projektów na przyszłość.

Leah, Tom i Belinda mieli wyjechać wkrótce po ślubie. Nadszedł więc w końcu moment, kiedy musieliśmy powiedzieć sobie do widzenia.

Belinda zachowywała się jak chochlik. Nie mogła usiedzieć na miejscu.

- Przyjedziemy do was wkrótce w odwiedziny - obiecywała. - A wy możecie przyjechać do nas. Tak mówi mój ojciec...

Podskoczyła i zarzuciła mi ramiona na szyję.

- Kocham cię, Rebeko - oświadczyła z lekką skruchą w głosie, jakby czując, iż jej radość jest trochę niestosowna. - Wrócę za jakiś czas, by się z wami zobaczyć. - Uścisnęła mnie mocniej. -

A teraz możesz sobie wyjść za mąż za swego nudnego Pedreka.

- Dziękuję ci! Wyjdę niewątpliwie! - zapewniłam.